

Eugeniusz Paukšta

Wrastanie

Część pierwsza

Paweł

Dzisiaj już na pewno nie zasnę. Niedługo będzie świtało. Losia przewraca się na łóżku z boku na bok, ale się nie odzywa, choć widzi, że ślęcę przy tej smrodliwej naftówce. Szkło pęknięte. Gdybyż to nowe można gdzie dostać. Mówią, że czasem handlarze przywożą z Warszawy.

Który to już napad w tym krótkim czasie? Wczoraj minął miesiąc od naszego przyjazdu, a już trzy razy napadli nocą; dziennych rabunków - nawet nie zliczyć. Czy to kiedy się skończy? Samochodami przyjechali, ciężarówkami, diabli wiedzą, kto taki. Konie dwa wzięli. To znaczy, że na całą wioskę zostały jeszcze trzy. I jak tu radzić dalej? Orkę trzeba będzie niedługo zaczynać, siał zaraz potem. Bałem się o gniadosza. Gdyby konia zabrali, już by się chyba przyszło tylko powiesić. Ale do naszej chaty nie doszli, wysunięta za linię innych nad jezioro, zasłonięta kasztanem i dzikim bzem, może nie dostrzegli, może już się dosyć narabowali. Cholera! Na wszystko łakomi, świnie i konie, ubrania i pościel, co tylko trochę lepszego. Lipczyn bronił się, on zawsze zapalczywy, ale cóż tu poradzi? Strzelili mu parę razy nad uchem, potem kolbą trzasnęli w łeb, aż się nakrył nogami, przytomność stracił. To go uratowało.

Losia mówi, uciekać stąd, może gdzie indziej będzie spokojniej. Diabła tam spokojniej! Zły wszędzie do ciebie trafi. Ale i mnie się tutaj nie bardzo podoba. Ziemia iłowata, mało jej trochę. Jeszcze gadają, że nasz dom to rybakówka, mogą odebrać. Sadu nie ma, a przydałby się, ludzie jacyś dziwacznicy, każdy z innej strony. Nas, zabużan, ledwie że troje, reszta głównie spod Łomży, czy spod Mławy, zmieniają się, coraz to któryś ładuje swój, a częściej cudzy, ponemiecki dobytek i - szukaj wiatru w polu. Powęszyć by gdzie za lepszym miejscem, przy jakimś miasteczku. Albo samotną kolonię. To chyba nie, bo jakby tak nocą, a choćby i we dnie tacy jacyś przyleźli, ze wszystkiego by oczyścili. Dobrze, jeśliby z życiem puścili. „Nowa ziemia”, „Ameryka”, jak to w PUR-ze w Wilnie gadali, same cuda miały tu być, gospodarki po uszy pełne wszelkiego dobra.. Co lepsze i lżejsze, znaleźli się tacy, co to już przed nami wywieźli. Trochę zostało, pewnie, ale czy tylko o sam dobytek chodzi? Żeby był spokój, można by i od swojego zaczynać, co się przywiozło z transportem. A tak - ręce opadają, nie wiadomo, czego się trzymać...

Patrzę na ten zeszyt i myślę: „Na co ci, Paweł, to pisanie potrzebne?” Ludzie mówią, że teraz nic, tylko gębę trzymać zamkniętą na skobel. Co zaś dopiero pisać... Ale ciągnie od

tamtego czasu, jeszcze sprzed wojny, kiedy to w „Wiciach” namówiono mnie, żeby coś posiać na konkurs pamiętników chłopskich. „Ty potrafisz, nauki liznąłeś, działacz jesteś społeczny, dużo wiesz i widziałeś...” Bogać tam prawda, ale napisałem. Wyróżnili, wydrukowali. Od tego czasu lubię notować swoje i nie swoje sprawy, łatwiej mi przy tym myśleć.

Już trzeci raz w życiu zaczynam zapiski. Pamiętnik niby. Trzeba by co dnia notować, a ja tylko wtedy, jak mnie zeprze ochota, jak czas pozwoli. Ten drugi notatnik, wojenny, został w Mejsutach w słomie dachu, dobrze owinięty ceratą i płótnem. Straszyle, że na granicy ostra rewizja, niechby znaleźli, jeszcze że tam niemało o partyzantce, dopiero by było. Albo teraz żeby do kogo trafił! Krzyczą na to AK, dopiero nazwy się dowiaduję, u nas mówiło się „organizacja”, i tyle. Każdy już wiedział, w czym rzecz. Głupi jestem, nie na mój rozum to wszystko, trzeba odczekać, może się z czasem wyjaśni. Lepiej, że nie zabrałem tamtego pamiętnika, jeszcze by wynikły kłopoty. Niech sobie tkwi tam w słomie, z czasem odnajdzie go ktoś albo zgnije przez lata wraz z dachem.

A teraz piszę od nowa. Już miesiąc, jak osiedliśmy w tej wiosce nadjeziornej, a prawie dwa, odkąd wyjechaliśmy z Mejsut. Przed nami wyniósł się Bednarek, Sylwester, Boniatowscy, na koniec Maliński. No i ja z Losia i z małym. Reszta tkwi ona swoim. Jeszcze paru zapisało się na listy wyjazdowe, ale zwlekają, że to nigdy nic nie wiadomo, może się odmienić każdego dnia.

Inne wioski całe się opróżniły. Ludzie zostawili tam prawie wszystko: ojcowiznę, mogiły, dorobek. Teraz szukają gdzieś tej „kanady”, co to ją nam w PUR-ze obiecywano. „Jedźcie do Polski, na Zachód, tam ziemia czeka, domy, dobytek!” Prawda i nieprawda. Nie każde drzewo da się przesadzić, bo nie zakorzeni się w nowym miejscu. Bywa, że uschnie, choćby mu nawet i stworzyć lepsze warunki. Tu zaś nie wiadomo nawet, lepsze one czy gorsze. Jak poznać, gdy wokoło wciąż jakby wojna? Strzały nocami i we dnie, napady, rabunki, władzy na tym zadupiu tak, jakby nie ma; tyle że są urzędy po miasteczkach, ale i tam jej przedstawiciele lekko nie mają, komuniści oni czy też kto inny. Polują na nich zwykle bandziory, zasadzają się niby to partyzanci, choć trochę niełatwo mi już wyznać się w tej partyzantce. Że niby przeciw komunizmowi? Ale przez to jeszcze większy bajzel powstaje, a rzecz na pewno nie w tym...

Moczulski - jechał razem z transportem - szepnął, żeby nazywać go trochę; inaczej, bo jest na lewych papierach, wziął mnie na bok, gadał, że skończyło się z Niemcami, teraz trzeba skończyć z komuną. Patrząc, jak Anglia i Ameryka ruszą, siły już przegrupowują, trzeba przygotować im grunt. On sam jedzie, by organizować robotę w Polsce trzeba tu wprawnych,

co konspirację mają w jednym palcu.

- Paweł - pogadywał, już nawet nie szeptał - Paweł, ty musisz też włączyć się. Przysięga obowiązuje nadal. Byłeś żołnierz i nim zostajesz. Do lasu tymczasem cię nie weźmiemy, może później, ale my swoich wszędzie musimy mieć. Zakotwicz się gdzie, wyszukaj dobry punkt, my sami ciebie znajdziemy i zgłosimy się...

Nie widziało mi się to jego gadanie, ale najgorzej, gdy człowiek sam zostaje jak palec, ani się poradzić kogo mądrego. Nie wiem, czyja racja.

Przed rokiem, w czterdziestym czwartym, też narobiono wiele krzyku i gwałtu, pchano oddziały do lasu, żeby teren wyzwolić, jeszcze nim bolszewicy przyjdą. Były walki o Wilno. Tu już strzelała artyleria radziecka, a tu nasi atakowali. Kupa ludu poległa. A i tak, żeby nie Rusczy, sami partyzanci miasta by nie zdobyli, Niemcy mieli tam jeszcze za wielką siłę. Potem te przepaski na rękawach, wspólna straż, potem stan gotowości oddziałów, odmarsz na punkt zborny do Miednik, skończyło się wywiezieniem. Nie zdążyłem ze swoimi na czas i tak się uratowaliśmy. Potem nadeszła ta repatriacja. Radio z Londynu krzyczało znów, żeby nie wyjeżdżać, żeby zostawać na miejscu, nie ustępować z pola. To samo wołały gazetki, w których już teraz niewiele było o Niemcach. Zdarzyły się aresztowania - za stare i nowe. Okazywało się: byłeś w organizacji, to źle, bo powstawałeś przeciw władzy chłopa i robotnika, nie byłeś, też źle, boś pewnie chciał się przekabacić na Niemca. Diabeł by co zrozumiał...

I tutaj też niewiele zmadrzałem. Zresztą roboty tyle, że ani po gazetę sięgnąć, radia też nie posłucham, bo na prąd, a w tej wiosce elektryczności nie znali, choć tyle ciągle było gadania o wysokiej kulturze w niemieckiej gospodarce.

Wiele z tego, co się słyszało i robiło w wojennych latach, inaczej zaczyna wyglądać. W gazetach piszą jedno, ludzie szepczą co innego, Moczulski gadał jeszcze inaczej. Moczulski zresztą chyba musi tak mówić i myśleć, zawodowy sierżant, jeżeli nie za wojaczkę, za co się chwyci? Ale taki Pacuk, pewnie gorzko mu, ciężko, nagle został sam tylko z matką, ani mu kończyć swe życie, ani je zaczynać od nowa. Dopiero przed samym końcem podróży, mojej, bo Pacuk pojechał dalej, dowiedzieliśmy się, że pełniemy tym samym repatrianckim transportem. Pacukowie siedzieli na swoich tłumokach, rzadko kiedy wychylali nos na zewnątrz. Dla nich tamte sprawy wciąż jeszcze były za świeże. Wiele lat mógł mieć ten młodszy chłopak? Najwyżej piętnaście. Padł gdzieś przy ulicy Beliny, w czasie ataku ich grupy od Kolonii Wileńskiej. Nawet nie wiadomo, gdzie pochowany, tyle że koledzy znać dali rodzicom. Sam się wyrwał w ostatniej chwili, pognął do partyzantki w ślady starszego, Wiktora. Wielu takich było. Przyjmowali ich, szczeniaków, pozwalali leżeć śmierci w

paszczę... Zginął. O starszym bracie też słyhu nie ma, może nie żyje, może tuła się gdzieś. Straszną śmiercią zginęła żona Pacuka. On jeden pozostał, zestarzał się, wygląda, jakby miał z sześćdziesiątkę, a przecież mu ledwie się zbliża pięć krzyżyków. Kłął serdecznie, wyzywał od zasranych polityków. - Dowojowali się - mówił - łajdaki, o siłę im chodziło, o liczbę, dzieci brali do szturm. A teraz znów będą podbechtywać, wojować, Polskę nicować. Tylko przy robocie ich się nie znajdzie!... - Musiał coś wiedzieć i słyszeć już w Wilnie, przecież jeszcze nie wysiadł z transportu...

Żeby tak ze słów Pacuka odrzucić to, co wyrasta z ojcowskiego bólu, reszta nie byłaby głupia. Za mało sit; tu pracuje, za dużo gadania, politykowania, węszenia za łatwym zarobkiem, za cudzym chlebem. Za dużo czekania. Ja sam też czekam, nie wiedzieć na co. Wielu jest takich, co to nawet nie rozpakowują bagażu. Czekają. Na wojnę Zachodu ze Wschodem, na jakieś dogadanie się w sprawie granic, na cud; marzy się im powrotna droga. Mnie chyba też się marzy, choć nie wygląda, abym miał w nią wyruszyć.

Piszą w gazetach o przygotowaniach do wysiedlania Niemców. Ze Śląska idą już podobno transporty. Doczekali się, zasłużyli sobie. Ale jeżeli jada, to po nich zostaną wolne miejsca, jak po nas tam zostały, za Bugiem. My zajmujemy miejsce po Niemcach, po nas też inni zajmą. Pustyni nigdzie nie będzie.

Losia mówi, że trzeba szukać innego miejsca, że tutaj nie zasiedzimy się. Chce, żeby dziecko przyszło na świat w jakimś naprawdę własnym już domu. Tadiusz rodził się, kiedy esesmani litewscy podpalili wioskę. Dla drugiego dziecka ma prawo Losia żądać spokoju.

Zlegnie za parę miesięcy, znów się nam coś narodzi, a my jak zawieszeni w powietrzu. Ani tu, ani tam. Ja więcej myślą jestem w Mejsutach, w Wilnie, jak na tej wschodnio-pruskiej ziemi. Mazurską ją nazywają. Więc chyba nie patrzeć, bandy nie bandy, rabują nie rabują, a brać się do roboty. Pole uporządkować, zasiać, naprawić szkody. I oczu nie wyplakiwać za starym. Jak to powiedział Pacuk, gdy mu klarowałem swoje wahania, że w polityce nie ma nigdy powrotu do tego, co przeminęło, zawsze idzie się naprzód, zawsze jest coś nowego, innego. I że nowemu trzeba pomagać, nie oglądać się już za starym. Jeszcze jeżeli śmiercią ono znaczone... Musiał myśleć o żonie i synach.

Chyba mądrze Pacuk mówił, ale sercu niewiele - ta mądrość pomoże. Serce boli, tęskni, wiele już razy nawet łzy ocierałem. Choćby przy tej gruszy dzikiej na polu, zaraz za wioską. Jakby ją kto przeniósł tam z Mejsut. Nawet przechylona w tę samą stronę, wiatry ją tak przegięły przez lata.

Tego ranka poszedłem obejrzeć parę wolnych tu jeszcze domów. Okradzione z co cenniejszego, ale same budynki solidne, z cegły. Bo w tej - naszej chacie wilgotno, może stoi

za blisko wody. Spokojnie było, cichutko, ani wiatru. Las pachniał żywicą. Przypomniały mi się grzyby w Mejsutach. Tam też taki sosnowy las, może roślejszy, trochę starszy. Droga wysadzana brzoźami. Znow przed oczyma się zjawia rodzinna wioska. A po obejrzeniu domów coś mnie pociągnęło na pola. Chciałem obejrzeć ziemię. Grusza mnie też ciągnęła, nie będę się wypierał przed sobą samym, taka mi się wydała znajoma. W ogóle dziw, że dopiero ją zauważyłem, choć miesiąc w wiosce siedzimy.

Oparty o pień, stałem popatrując wkoło. A pień też podobny, nawet kozikiem wyróżniał ktoś litery, jak i na tamtej. Ulęgalki przeświecały spomiędzy liści... Stałem tak długo, a potem obróciłem się, objąłem pień ramionami, mocno, jakbym ścisnął kogoś drogiego, i popłakałem się.- Byłem w Mejsutach. Widziałem przez te łąki znajome domy, tu Bednarka, tam Hryszki, jeszcze dalej Sylwestra. Zboże mi się widziało - nie wyległe jak tutaj, ale rozrosłe, może nawet bardziej, niż to kiedy bywało naprawdę. Tamte krzaki to już nad rzeczką, niech wolna chwila - za wędkę i na płocie, przy upuście może jaz jaki się połakomi. Las ten sam, pachnie, na polanach cały we wrzosach. Na prawo cmentarz, ojciec, matka, siostra młodsza, którą koń kopnął, już nie podniosła się więcej. I grusza, ta sama grusza...

Niechby wtedy już nie Pacuk, ale ktokolwiek, choćby pan Tadeusz albo i od niego mądrzejsi mówili, co chcą, nie uwierzyłbym, nie trafiłoby do mnie. Tęskniłem, całym sobą byłem tam, gdzie rosłem, chowałem się, gdzie i dobro, i zło zaznane stawało się takie drogie. Płakałem nie dlatego, że bym bał się, czy sobie poradzę na nowym, ale że nie chciałem tego nowego, rwałem się duszą do tamtej ziemi.

Lipczyn nie przemógł skutków nocnego pobicia. Zmarł dzisiaj. Głowę mu wtedy rozbili kolbą. Żona zawodzi na całą wioskę... Losia też po swojemu rozpacza, że jakaś nieszczęśliwa ta wioska, zaklął ją któryś z Niemców czy jak. Boi się, żeby z tym dzieckiem, co w sobie nosi, też się co złego nie stało... Oczy ma wystraszone, nigdy takich u niej nie widziałem...

Jakby się coś naprawdę uwzięło na naszą nadjeziorną wioskę. Dwóch tygodni nie ma od czasu, jak zmarł Lipczyn, a już wczoraj zdarzyła się nowa tragedia. Na oczach moich i Losi. Człowiek widział i płakać mógł z bezsilności.

Od tygodnia zabraliśmy się wszyscy do orki. Podsuszyło ostatnio, wyległe, porośnięte zboże wyschło, także osty i inne chwasty, których tu pełno. Zaczynaliśmy od wypalania. Jarecki, nasz sołtys, zarządził, żeby wszyscy usunęli się daleko od pola, a już szczególnie kazał pilnować dzieciaków. Wiatr dał od wioski. Ogień łatwo chwycił trawy i zboże, wiatr poniósł, taką falą szło jak na jeziorze, gdy mocno wieje, tyle że jasnym, wesołym płomieniem. Z początku tylko posykiwało od ognia, ktoś mówił, że myszy się palą, a jest tego

paskudztwa co niemiara. Dopiero zaczęły się wybuchy. Jakby artyleria podjęła ostrzeliwanie. Szarpało ziemię, rozpoznawaliśmy, co granat, co pocisk, co mina. Te diabelstwa były najgorsze, tylko snopy ognia i ziemi, i trawy wlatywały w górę, a potem dym snuł się długo. Dwa dni mieliśmy taką zabawę, aż dziwnie nam było, gdy wreszcie ucichło. Wtedy, z czym kto mógł, ruszyliśmy w pole. Przybył nowy osadnik z żywym dobytkiem, cztery konie mieliśmy zatem na wioskę. Podzieliliśmy robotę. Kto orał, kto motyką choćby czy szpadlem borykał się z ziemią, twardą, wyschniętą; jeszcze ten ogień dopomógł, iż zbiła się w jedną bryłę, pług ledwie ją kruszył. Harowałem jak koń, bo i na swoim, i u drugich, ironie też inni pomagali. Z każdą odwaloną skibą przybywało otuchy, poweselało w wiosce. Dotąd każdy bokami łąził, wilkiem na drugich patrzył, teraz jakby się wszyscy zbliżyli do siebie. Dopiero z tym chłopcem...

Sąsiad wybrał się z czymś do Giżycka; ze świtaniem ruszył, myślał, na szosie spotka jakiś samochód, choćby pocztowy, zabierze się. Na pociąg ani co liczyć. W domu zostawił krewniaka, dopiero przyjechał, dwudziestka jeszcze mu nie stuknęła. Ten kuzyn zabrał się do orki. Na popołudnie przypadł im przydział konia, każda minuta droga. Chłopak - uparta psiajucha, rozkraczony, wparty w rączki pługa, szedł krok za krokiem, odwalał jedną skibę za drugą. Schodziło na odwieczarz. Myśmy kończyli obrządzanie chudoby, staliśmy na podwórzu, patrzyliśmy. Losia była weselsza, może to oranie tak na nią wpływało. Wiadomo, orka to nadzieja na przyszły chleb. Wtedy grzmotnęło, pług musiał zahaczyć o głębiej wkopaną minę, może to zresztą był pocisk, nikt teraz nie dojdzie. Czulem, jak coś zaskowytało mi w sercu, a tam już rozwiewał się dym, opadał pył, przez pole kwicząc przeraźliwie gnał koń z rozerwanym przez pół zadem. Losia z płaczem oczy zakryła dłońmi, ja rzuciłem się do tamtego przez pole. Nie było po co. Strach powiedzieć, co tam ujrzałem...

Dzisiaj rano był pogrzeb. Nikogo z wioski nie brakło, sołtys odczytał modlitwy. Jeszcze tu w okolicy nie słyhać o księdzu, z Łuczan przecie nie będzie się go sprowadzać.

Jęknęła spuszczana trumna. Sześć już nowych kopczyków żółci się na cmentarzu, prędko rosna mogiły na tej nowiznie... Sąsiadka w głos wyklinała tych co kazali się ludziom przesiedlać, skazywali na taką dolę, odrywali od zasiedzianych miejsc na zgubę, na śmierć. Ludzie słuchali ponuro. Prawda, nieprawda, ale wszystkim udzielał się jakiś żal.

Nikt nie poszedł do roboty, patrzyliśmy na, ziemię niechętnie jakby jej, niewinnej, złorzecząc w duchu. Ktoś powiedział, żeby wyróżnić w odwet tych Niemców, co jeszcze w wiosce zostali, dwie rodziny, ledwie sołtys powstrzymał. Nie oni przecież winni. Dali spokój, choć krzyczeli, że w takim narodzie antychrystów nie ma niewinnych, każdy odpowiada za wszystkich. Potem się jakoś uciszyło, pozasztywali się wszyscy w domach jak borsuki po

norach. Straszyla czajaca sie pośród brzd śmierć.

Pisałem cały ten dzień. Nie ma co tutaj zostawać, pora szukać innego miejsca. Mówią, że warto by koło Gdańska albo nawet pod Szczecin jechać. Daleko, chciałoby się bliżej do Mejsut. Znów swoje zaczynam, ani się oderwać od tej pamięci... Pisałem listy. Na Litwę do moich, do Wilna, do rodziny pana Tadeusza, dowiadując się, co z nim słyhać; może są jakie nowiny, choć, prawdę mówiąc, nie bardzo się ich spodziewam. Napisałem też do Pacuka. Podał mi w pociągu adres krewniaków, którzy mieszkają w Poznaniu, zawsze tam można wywiedzieć się o niego. Więcej nie było do kogo pisać, rozwiało się, rozsypało wszystko po świecie. Długo jeszcze będą się ludzie zbierać w gromadę, odnajdywać swoich. Mówią, że można szukać adresów przez Czerwony Krzyż, przez PUR, ale i tam podobno trudno o jakiś porządek.

Trochę mnie coś hamuje, by stąd odjeżdżać. Coś się przecież zrobiło, uporządkowało w obejściu, ponaprawiało, kawał pola też zaorany, a tu znów rzucaj wszystko, pchaj się, gdzie oczy poniosą. Może na jeszcze gorsze? I to zaczynanie wciąż od nowa, cierpliwości może zabraknąć. Ano będę węszył. Jakoby są miejsca lepsze, gospodarki bogatsze, ziemia nie tak ciężka w uprawie. Bo jeżeli na lata trzeba będzie tutaj sięść, jeżeli na zawsze, nie na czas przeczekania, to lepiej się dobrze urządzić. Za parę dni ruszę. Losia jakoś sobie poradzi, nie nowina jej samej zostawać. Tylko tak mi jakoś ciężko. Miejsca swojego w tej Polsce nie widzę. Czy zresztą ja jeden? Dużo się błąka podobnych, z oczyma zmęczonymi gorączką, zagubionych, jakby nie z tego świata. Ja mam chociaż rodzinę, wiem, że jeśli nie dla siebie, to dla nich muszę się o coś pazurami zaczepić i tkwić, nie tu, to gdzie indziej.

Dłużej jak pięć miesięcy nie pisałem. Po tym wybuchu miny, kiedy to chłopak sąsiadów zginął, a Losia powiedziała, że musimy wynosić się z tamtej wioski, listy napisałem, do kogo mogłem, w mieście dostałem bilet bezpłatny z PUR-u - mądrze, po ludzku to urządzili - ruszyłem w drogę...

Drugi dzień mam spokojniejszy i dopiero czuję, jak w krzyżach mnie boli, jak lamie w kościach. Gdyby to ojciec mógł zobaczyć swego Pawełka, o którym babka od ziół, Paulichowa, mówiła, że roku nie wyżyje; a teraz przez całe miesiące robił chyba za trzech, jeśli nie więcej. Nie było rady. Z ochotą czy bez, należało raz jeszcze zaczynać. Ciężko. Co naprzód krok, to w tył ze cztery. A tu Losia słabła mi coraz bardziej, trzeba było za nią robić i w obejściu i w kuchni.

Ładnie tutaj, odstukać w nie malowane drzewo - spokojnie. Od szosy ze dwie minuty dobrym krokiem, wielki czerwony magazyn zasłania widok na chałupę. To i dobrze, nikomu nasza obecność nie lezie w oczy. Rzeczka przechodzi pod mostem przez szosę, potem

zakręca, jakby granicę znacząc mojej ziemi od jednej strony. Maleńka, cichutka, po brzegach wierzba i brzozy, zupełnie jak tam u nas... Ja znowu swoje: u nas i u nas. Losia mówi, że „u nas” to teraz jest tutaj. Niechże jej będzie. Ziemia lepsza niż w przyjeziornej wiosce, glinka lessowa, jakby się wytrzebiło chwast, zrobiło głęboką orkę, poddało nawozu, mogłaby ładnie rodzić.

Obornika miałem, tylko na ogród, ale w stodole na strychu sporo worków nawozu sztucznego, na parę lat by starczyło; rozdałem sąsiadom, sprzedałem trochę, inaczej i tak by zmarniał. Ostu, perzu, piołunu, jeszcze jakichś zielsk innych zatrzesienie. To już nie sprawa jednego roku, od dawna zapuszczone musiały być pola. Ot, i masz ci niemiecki porządek. Paliłem, był jeden wybuch, najpewniej artyleryjski pocisk, odłamek pofrunął aż na drugi brzeg rzeki. Gniada silna, ale orało się ciężko. I ta zaraza - z myszami. Co pługiem ruszysz dziesiątki gniazd, wszędzie uganiają stare myszyska, w dziurach drobica, gołe jeszcze, takie pokraczne, różowe. Tłukłem je butami, waliłem, czym można, ale to, co ubiłem - kropla w morzu, walcem też by pewnie tu nie poradził z tym paskudztwem. Wrony się zlatywały, miasteczko od nas niecałe trzy kilometry, stary kościół z dwiema wieżami i ruiny zamku krzyżackiego, pełno tam ptactwa się mrowi. Takich tłustych wron nie zdarzyło się jeszcze nikomu widzieć, ledwie dały radę wzbijać się w powietrze, tak nażarte były myszami... Wracając z roboty, buty całe miałem we krwi, jak gestapowiec, lemiesz też czerwony, gliniasta ziemia jakby nawet zmieniła kolor. Od tych myszy to wszystko. Orałem jak głupi, inni też to robili. Tutaj siedem kolonii rozrzuconych daleko jedna od drugiej, ale żaden u nas chyba nie wierzył, by można było siać na polu, gdzie takie zatrzesienie tych myszy. Spróbowałem. Ani myśleć. Co parę kroków zrobię, rzucone ziarno już całe zżarte, nawet się mnie myszyska nie bały. Zły byłem na Losię, trzeba było nad jeziorem zostać, może u nich myszy nie tyle... Ale w gazecie piszą, że całą mazurską ziemię nawiedziła ta plaga. Po gminach przydzielano truciznę, worki szarego śmierzącego proszku. Sypało się tym gęsto, jeszcze gęściej padały myszy, ale wcale ich przez to nie ubywało. O siewach ani zamyśleć. A już zaczynało, być cienko w domu. Zapasy jakie takie, przywiezione ze sobą, wyjadło się do czysta. Można było kupować, ale drożyzna rosła, jajek nawet nie było, bo i do nich myszy potrafiły się dostać wcześniej, nim gospodyni zajrzała do kojców. Miałem jeszcze trochę złotych rubli, tych z Mikołajem, z bimbru za okupacji. Do Olsztyna jeździłem, cenę miały niewielką, tyle że można znów „było jakiś czas przebiedować. Coraz czarniej się robiło przed nami. Ludzie uciekali z wiosek, jeśli centralniacy, wracali na stare, zabużanie szukali pracy po miastach, wędrowali na Dolny Śląsk, tam jakoś mniej było słyhać o tej piszczącej pladze. Sam zaczynałem myśleć, czyby się do Olsztyna nie przenieść, na szofera się zgłosić, innej

jakiej roboty poszukać.

Deszcze nas wyratowały. Koniec był października, trafiały się przymrozki. A pola gołe, tylko myszy na nich, a ile już zaczynało się przenosić do budynków. Jakich to cudów trzeba było dokazywać z chowaniem przed nimi resztek ziarna czy kartofli na wiosenne sadzenie. Kartofle u mnie i tak podjadały, dobrze że zaczęli przydzielać w powiecie na skrypt, poratowali trochę, z wiosną też mają dawać. Chyba będą, bo już i krowy przydzielają i konie, tłok tam, ani się dopchać. Mnie nie trzeba, mam swoje... A z deszczami to się niebo zupełnie rozwarło. Lało i lało strumieniami. Nasza spokojna, maleńka rzeczka szumiała i rwała, wylewając z brzegów, zwłaszcza przy łąkach, gdzie niżej. Na gliniastej roli, choć to po orce, stawały kałuże. A w nich dziesiątkami, setkami, tysiącami pływały zdechłe zatopione myszy. W obejściu truliśmy resztę proszkiem, znów go dosłano na wieś. No i teraz u mnie myszy nie znalazłby i na lekarstwo. Pociecha, ale z siewami nic lepiej. Listopad, a jeszcze lało, ziąb, ręce sękowacieją, patrzeć, mrozem zetnie, śniegiem zasypie.

Uspokoilo się z nagła w połowie miesiąca, przez noc jeszcze lało, a ze świtem słońko wyrzało na czyściutkie niebo, zaczęło grzać jakby latem. To było szczęście, Losia tylko się uśmiechała mówiała, że maleńka nasza je przyniosła ze sobą, bo urodziła się na drugi dzień tej pogody. Akuszerka ją odebrała z miasteczka. Ona też naraiła mi potem tę starą Niemkę. Ale to wszystko inna rzecz, najpierw muszę skończyć z siewami. Ładnie obsychało na polach, choć ciągle jeszcze grzęzło się na drogach aż po kolana. Bojąc się, by z nagła to lato listopadowe się nie skończyło, siałem jeszcze na przemoczoną ziemię. Ryzyko, mogło wygnie, ale zawsze dawało to choć trochę nadziei. Wzeszło, lepiej nie można wymarzyć. Choć i chwast pienił się, jednym wypaleniem nie zniszczy się go od razu. Znów przydzielili zboże na skrypt, wziąłem, gdzieś do połowy grudnia orałem, bronowałem, siałem, i znów to samo; pewnie zagarnąłem tak z dziesięć hektarów. Dużo było tej ziemi, nikt nikomu jej nie wymierzał. Jeszcze podorywka w sadzie i w ogrodzie; do tego - doszło, że przy bydłach nocą przy latarni się tłukłem, wtedy też porządkowałem chałupę, brudna była. Już to jakieś plugawe Niemczysko musiało w niej mieszkać. Losi też pomagałem, jak mogłem, ciężko się jej zległo, tak jak i z pierwszym, z Tadzusiem. Do dziś jeszcze słabuje, choć chwyta za robotę. Pomaga jej stara Klara, ta Niemka z miasteczka, co to mi ją akuszerka zleciła. Kto by pomyślał, że Niemka będzie mi posługiwać, dziękować za chleb?

Wysiedlają tych Niemców. U nas tu może mniej, czytałem w jakiejś gazecie, że przede wszystkim trzeba opróżnić ziemie nad Nysą i Odrą, na nie ujadają na Zachodzie najwięcej, krzywią się, może zmiękną, gdy Polacy się tam osiedlą, a Niemca nie zostanie ani jednego. Ale i stąd też jadą. Jedni chętnie, drugich podobno siłą niemal trzeba pakować.

Marzy się im, że Hitler żyje, nie umarł w tym swoim schronie, że jeszcze wróci i oswobodzi ich. Szwabskie niedoczekanie! W niemiecki powrót to ja nie wierzę, choć inni gadają, że wszystko możliwe... Jak pojechałem wtedy na poszukiwanie nowej gospodarki, gdy tamta nad jeziorem zbrzydła nam już do reszty, widziałem niemało Niemców. W Olsztynie sporo ich jeszcze było. Grzeczni, ustępowali z drogi, snuli się po jezdniach, pchając przed sobą małe wózeki, na dworcu mało nie bili się, by odwieźć pakunki komuś z Polaków. Jak się do nich mówiło, rozumieli czy nie, kłaniali się nisko, uśmiechali, ja ja, po swojemu przytakiwali. Aż przykro było. Za nich, za tę pokorę, grzeczność, za strach w ich oczach, choć ani ich bił kto; ani dręczył czy prześladował.

Sąsiad jeden, Banasiak, naśmiewa się ze mnie, że nie wziąłem jakich Niemców do roboty na moim. On zastał swoich w domu, który objął, ale przecież można było zgłosić zapotrzebowanie u burmistrza w miasteczku, *zaraz* by przysłał. Banasiak mówi, że po co samemu tyrać, zaharowywać się na śmierć z myszami, wodą, chwastami, kiedy mogą Niemcy odrabiać pańszczyznę za wszystko, co wyprawiali w wojnę... Pewnie, mógłbym wziąć choćby i dziesięciu za samo karmienie i wyrko. Ale jak już postanowiliśmy z Losia, że zostajemy tutaj, że już więcej nie będziemy uganiać po świecie, to się samemu chce wszystko zrobić. Taka robota wiąże, wtedy dopiero to wszystko staje się swoje. Mnie to najbardziej potrzebne. Bo często tak myślę, że żyły sobie wypruwam, a przecież na cudzym. Moje zostało w Mejsutach. I wtedy coś drapnie za gardło, ściśnie, aż oddech trudno złapać.

Nie wziąłem Niemców, tylko tę Klarę. Starawa już kobieta, ciekawe, że trochę umie po polsku, płacze jakieś słowa, dziwnie je wymawiając. Nie to, że z niemiecka, ale jakoś inaczej, a i słowa inne, choć zrozumiałe, polskie. Mówi, że obok niej mieszkali Mazurzy, dobrzy byli ludzie, jakoś ładzili z sobą, od nich trochę się nauczyła. Pociecha z tej Klary, bez niej chyba nie dałbym rady. Losia słabowała długo po urodzeniu Kaśki, przy dziecku jak zawsze pełno roboty, pieluchy, kaszki, mleczko, mycie, anibym uradził kiedy to po powrocie z pola potrafiłem usnąć siedząc na ławce, tak byłem wypruty z sił. A teraz spokój, Klara wszystko robi przy małej, jeszcze Losi poda, co trzeba wyręczy, obiad ugotuje, niesmacznie, jakoś tak po niemiecku, ale ważne”, że gorące jedzenie, kto by wiele przebierał...

A jednak Losia miała dobre przeczucie, gdy wołała, że chce uciekać z tamtej wioski nad jeziorem, że nad nią pewnie klątwa jakaś ciąży niemiecka. Mało, że przeżyli tam nowy napad w biały dzień, że zrabowano im, co tylko można było zrabować, a i bez tego bieda doskwierała już ludziom, ale potem jeszcze zakradł się tyfus. Ci sąsiedzi co to ich kuzyna rozerwało na minie, zmarli obydwój, tylko dzieciaki zostały, zabrała je dalsza rodzina, gospodarstwo objął ktoś inny. Podobno dziesięć osób zabrała choroba, zapełnił się cmentarz.

Tak, że teraz Bogu dziękuję, iż się stamtąd wynieśliśmy. Może by i z nami się stało podobnie. Tymczasem zamiast straty mamy przybytek. Kaśka fajta w wózku nogami, wrzeszczy teraz, już do niej człapie Klara, da jej herbatki z butelki, dzieciak się uspokoi. A ja spać idę, litery skaczą mi przed oczyma, a piszę jakbym drapał pazurem.

Po wioskach, tych zwłaszcza, co zagubione gdzieś w lasach albo dalej położone od głównych dróg, różnie bywa. Nietrudno i życie stracić. Ale w miastach większych już widać jak pomału się robi porządek. Byłem niedawno w Biskupcu. Inaczej tam niż jeszcze przed paru miesiącami w takich choćby Łuczanych, w naszym miasteczku. Szkoda, że tu nie umieścili powiatu; byle co załatwić, daleko trzeba się pchać, choć już pociągi pierwsze kursują razona dzień. Ze stacji Sątopy można się wybrać, gdzie trzeba, jeżeli wciśnie się człowiek do wagonu, bo tak wygląda, że cała Polska nic, tylko jeździ. Napatrzyłem się wtedy latem, gdy kawał Polski zjeździłem szukając nowego miejsca. Mało brakło, a Losia by mnie więcej nie zobaczyła... Ale chciałem o naszym miasteczku. Afiszów tam pełno różnych, nocami je podobno jedne ręce zrywają, od rana inne lepia na nowo. Jest taka odezwa pułkownika Radosława - pamiętam, gadano o nim dużo, jak było powstanie warszawskie, dzielny dowódca. Otóż ten Radosław wzywa żołnierzy AK, aby się ujawniali, pomagali teraz umacniać pokój, odbudować Polskę. Obok inny plakat krzyczał, że rozgromimy bandy reakcji. Tam ktoś ołówkiem dopisał, że to niby właśnie AK. A potem jeszcze afisze partii; PPR obok PPS-u, a jeszcze jacyś demokraci, a obok Stronnictwo Ludowe i drugie Polskie Stronnictwo Ludowe. Odrodziły się i „Wici”. Zajrzałem tam, ciągnie wilka do lasu, dwóch młodzików siedziało, przyjemnie, trochę się pogadało, mówili, że teraz to mnie już do ludowców, do młodych tom trochę nazbyt łysawy... Nie palę się, za wiele rzeczy wokoło się dzieje, których zrozumieć nie mogę, jedno kłóci się z drugim. A za dużo mi się tu nie podoba, więc lepiej cicho siedzieć i patrzeć, co dalej. Ot, choćby w gazetach było niedawno, pewnie tak w październiku, że w Olsztynie odbył się zjazd autochtonów, Mazurów. Piękne to było, uroczyste, dziękowano im, że narodowość ocalili, polskość tej ziemi. A w naszym miasteczku takich samych Mazurów wysiedlono gwałtem prawie do Niemiec. Gdzie indziej też podobno krzyczą, że oni Niemcy. Więc w końcu jak: Niemcy, nie-Niemcy? I tak ze wszystkim. We władzach trafiają się różni, w którymś mieście burmistrz, co wszystkich trzymał za morde, gwałtu robił najwięcej za komunizmem, za sojuszem ze Związkiem Radzieckim, okazał się zwyczajnym złodziejem z rynków warszawskich. Prawda, że go aresztowali, siedzi, ale po co takim dają władzę bez sprawdzenia? A potem ludzie się śmieją albo klną, ile wlezie. W ogóle według mnie za mało dbałości o porządek. Trudno coś kupić, bo w sklepach państwowych

brakuje towaru, a w prywatnych drogo, obdzierają ze skóry. Na dodatek złotych jeszcze mało, najwięcej można zaradzić handlem zamiennym. Jedno, co w cenie, to wódka, wszystko jedno, państwowa czy zwykły bimber. Jak za wojennych czasów. Ja już też pędziłem dwa razy...

Myślałem dzisiaj o Pacuku, o naszym gadaniu. Nie wiem, czemu od tylu miesięcy jeszcze tkwi md to w głowie, ciągle do tych rozmów nawracam. Może dlatego, że to dawny znajomy, nie trzeba przy nim hamować języka ani czego się bać. Wie o mnie dużo, jeżeli nie wszystko; ja o nim też trochę wiem. Dlatego tyle ze starym gadałem, za cały poprzedni czas, kiedy samemu się było.

Dopiero tam, u niego dowiedziałem się o okolicznościach śmierci jego żony. Bo o tej maleńkiej, miło zawsze uśmiechniętej Pacukowej tyle tylko do mnie doszło, że zginęła już w ostatnich dniach walk o Wilno.

Pacukowie mieszkali przy Nowogrodzkiej, obok Drewnianego Rynku. Na nim sprzedawała Pacukowa ten bimber, który do nich wozilem przez okupację. W czasie walk, kiedy to artyleria obu stron przestrzeliwała się ponad miastem, burząc domy w bardziej wyniosłych miejscach, Pacukowie tkwili w mieszkaniu albo w piwnicy. Wychynęli stamtąd dopiero, gdy już bitwa zaczęła dogasać. Przy nielicznych otwartych sklepach pojawiły się kolejki. Na Trockiej stanęła też Pacukowa. Niemców nie było już w mieście. Byli tacy, co na przedmieściach spotkali czołgi radzieckie, inni zetknęli się z polskimi oddziałami partyzanckimi. Nastrój był radosny, nikt nie zwracał uwagi na z rzadka niosące się jeszcze huk artyleryjskie. Popłoch wszczął się dopiero, gdy na najbliższym rogu grzmotnęło z nagłą w ścianę domu, a ta zawałiła się z hukiem. Drugi pocisk rozerwał się tuż obok długiego szeregu kobiet. Masakra. Pacuk, który powiadomiony przez kogoś przybiegł na miejsce, ciało żony znalazł od razu, ale długo nie mógł doszukać się głowy. Leżała po drugiej stronie ulicy...

I dziś jeszcze, wspominając, nie mogę się otrząsnąć z wrażenia. Ta miła, zawsze zabiegana Pacukowa. Taki los... Tego samego dnia nadeszła wiadomość o zgonie młodszego syna. O starszym po dziś dzień wieści nie ma... A jednak Pacuk ułożył sobie życie... Rzecz w tym, że wie, jak patrzeć na nową Polskę, ma do niej jakiś stosunek. A ja ciągle się błąkam między Londynem a Warszawą, między płótkami i prawdą, nie znam swojego miejsca. Słuchałem, niby się z nim zgadzałem, a jednocześnie rósł we mnie bunt przeciw jego słowom. I właśnie tego, że wie, na jakiej ziemi się znalazł, mu zazdrościłem. Nawet tej jego roboty, jakiejś szerszej niż to moje borykanie się z własnym tylko zagonem, z myszami na nim i ostem.

Nie zabawił robociarz długo u krewniaków w Poznaniu. Przy którejś wódce powiedział że nie podobali mu się, nic ich nie obchodziło poza chwytnością w garść, co tylko

popadnie. Wojnę przesiedzieli w Poznaniu. Jak się tylko z Cytadelą skończyło, a może i w trakcie walk jeszcze, zaczęli ściągać do siebie, co tylko lepsze, z opuszczonych mieszkań niemieckich: dywany, obrazy, kryształ, srebra. To Pacuk widział, a co dopiero musieli mieć pochowane głęboko po szafach... Narzekali, że ciężko, że trudno, weszli za łatwym zarobkiem, tylko dla pozoru trzymając się jakiejś legalnej roboty... Wtedy zrozumiałem, czemu tak krzywo na mnie patrzyli, jak się wywiadywałem u nich o adres Pacuka. Podać podali, ale zaraz mi drzwiami trzasnęli przed nosem... Mnie tam zresztą niczego więcej nie było trzeba. Późnym wieczorem stukałem już do mieszkania Pacukowego przy stacji. Rażniej mi się zrobiło, gdy stary szeroko rozwarł ramiona na przywitanie, poznać od razu, szczerze był rad. Brakło mi tej serdeczności ludzkiej tam, na Mazurach, jakoś się nazbyt boczyli jeszcze wszyscy na siebie, za mało ciągle ludzi ze sobą łączyło.

Tutaj się poczułem jak w domu. Tacy mi się wydali bliscy Pacuk i jego matka, starowinka czyściutka o siwych włosach i mądrym spojrzeniu. Zadreptała zaraz, nie obejrzałem się, stała kolacja na stole, a Pacuk patrzył na mnie i uśmiechał się.

- Masz szczęście, Paweł, właśnie dzisiaj mam wolne od służby... Już nie wyładowuję wagonów, jestem zastępcą zawiadowcy stacji. A jakże, w czerwonej czapce wychodzę na peron. Czasami aż nudna robota, ale ważna, Moś musi ją robić. Nie odszedłbym stąd chyba nigdzie, jak pomyślę, że się tu wszystko własnymi rękami zrobiło. I teraz działa stacja, trudno o lepszą... Jedz, Paweł, jedz. Ja dopiero co wstałem od stołu. Ale wypiję z tobą, nieczęsto teraz pijam, nie idzie mi wódka, potem noce są ciężkie, spać nie mogą, za wiele mi się z minionego zwiduje, a to od nowa boli...

Staruszka schyliła się nad synem, pogłaskała go po ramieniu, spytała, czy może by jednak nie łyknął herbaty, wódkę trzeba także czymś przegryźć. Już mu stawia talerzyk. Jakże to, żeby gość sam się posilał. Czuję wyraźnie, że pragnie odwrócić uwagę syna od tamtych czasów, zabiega, by nie zapadł we wspomnienia. Pacuk spojrzał na matkę, przygarnął ją miękko ramieniem.

- Bóg łaskaw, że to moje matczyisko zostało, pomaga mi, jak tylko może, przyjść do siebie, odgrzebać z żalu i bólu, i złości...

- Ha, i jak odgrzebywali. Żeby pan Paweł to widział! Nic na tej stacji nie było. Tory pozrywane, rozjazdy wywalone minami, ani rampy, ani całego wagonu. Wraki tylko powywracane leżały, niektórym koła sterczały do góry, nawet narzędzi brakło. Sześciu ich takich się bohaterów znalazło, i patrz pan, jakie cacko zrobili - zatrajkotała staruszka. Widziałem, jak niespokojnie zerka na syna.

- Dobrze, mam, dobrze, opowiem to wszystko Pawłowi, niech wie, choć i u siebie też

pewnie widział, co może zrobić człowiek, jeżeli zechce, jeżeli pojmuje sens swojej roboty... Ano, widzisz, matczyśko dobrze mówi. Strach było tu spojrzeć, gdyśmy przybyli. Bo to w Poznaniu montowali kolejarskie grupy, wysyłali je do różnych punktów, żeby uruchomić normalny ruch pociągów. Była tu kiedyś ważna stacja rozjazdowa, ale cofając się, tak ją Niemcy zniszczyli, że ruch puszczono innymi stronami, a tu została głusza, trawa zarastała tory, rdzewiało wszystko, niszczało do reszty. Ludzi niewiele, domy wyszabrowane. Najpierw łajdusy różne wywoziły, co lepsze, z większych osiedli, dopiero poszli na wioski... Domów sporo zburzonych, spalonych, koty zdziczałe wałęsały się gromadami. Nigdy tyle razem ich nie widziałem. Choć, co prawda, i szczurów było nie mniej. Prawdziwa kolumna sanitarna. W piwnicach znajdowaliśmy szkielety czyściutkie, jakbyś je wykapał w jakimś kwasie... Tu były ciężkie walki, opowiadał komendant batalionu, który stacjonował w pobliżu. On nam też sporo dopomógł, przysyłał parę razy żołnierzy, potem przydzielał wyżywienie, bobyśmy inaczej z sił spadli, nic tu jeszcze dostać nie było można. No, Paweł, za te nasze, polskie koleje...

Matka Pacuka uspokoiła się, zgasł lęk w jej oczach, przysiadła u brzegu stołu. Podobała mi się bardziej niż kiedykolwiek. Musiało jej być niełatwo, widzieć ruinę szczęścia swojego syna i zarazem czynić wszelkie wysiłki, by nie zezwolić mu na zapamiętywanie się w tragedii. Uśmiechała się do nas leciutko, Pacuk zaś, przejęty, opowiadał o tamtych dniach.

- W sześciu - mówił - w sześciu, Paweł, postanowiliśmy przywrócić do życia stację. Ludzi niewiele było w okolicy, jeśli nawet osiedlił się który, to pilnował swoich spraw, gdyśmy wołali do pomocy, pukał się w czoło. Co prawda, po trosze przyłączali się do nas, gdyśmy pucowali już wszystko. W końcu była nas prawie dwudziestka... Ty, Paweł, wspominasz pewnie swój partyzancki czas. Bądź pewien, tutaj też otrzymaliśmy niezgorszą zaprawę. Cały dzień praca, często nawet po ciemku. Ale w nocy spać wszyscy jednocześnie nie mogli. Mieliśmy tylko trzy karabiny, tyle że było co chwycić w garść. Raz nas ostrzelano za dnia, w nogę jednego trafili. Za parę dni to samo. I tejsze nocy normalny napad. Jak w wojnę. Zabarykadowaliśmy się w murowanej składnicy, z okienek postrzeliwaliśmy. Tamci mieli granaty, siekli z automatów, wysadzili w powietrze lokomotywę, którą z takim trudem naprawiliśmy, wreszcie podłożyli ogień pod nasz budynek. Żebyś wiedział, co wtedy czuliśmy, na chwilę przed usmażeniem na żywo. Tyle roboty, by z tej kupy splątanego żelastwa i ruin coś zrobić, i oto jaki koniec... Kapitan z tego batalionu radzieckiego przyszedł z pomocą, nadjechali w ostatniej chwili. Dranie uciekli, dwóch swoich zostawiając na torach. Jeden nie żył, drugi pośpiewał jeszcze przed koncertem. Szczeniaki niemieckie, „wilkołaki” czy jak ich tam zwą. Patrz, jak sobie poczynali... Swoich bandziorów też mieliśmy. Znaleźli się

jacyś dekownicy frontowi. A wśród tego wszystkiego zwariowana robota. Czasem ręce opadały. Nie umiemy, nie poradzimy, tu trzeba fachowców. Ale państwo, ludzie czekali na tę linię, na uruchomienie naszej stacji. Aż jednego dnia poszedł meldunek: „zadanie wykonane”... Co tak patrzysz, Paweł? To było państwu potrzebne, ale potrzebne było i mnie. Mogłem nie myśleć w czasie tej harówki. Wiesz, o tamtym. Ale za to myślałem, gadało się też, o innych sprawach, dzisiejszych. Pamiętasz, mówiłem ci, najważniejsze to robota. Miara nie w tym, co kto widzi albo nie widzi w nowej Polsce, ale co dla niej chce zrobić. A tu słyhać, szum idzie po kraju. To i tamto tak i inaczej. Gadanie, ale nie robota. O to cholera mnie brała. Ja, wiesz, robociarz, czasem nie w smak mi w tej czerwonej czapce, tyle że kolor pasuje. I pracą ludzi mierzę, nie wielkim politykowaniem. Słyszysz, chodzą oddziały leśne, napadają, utrudniają robotę. Czy wszyscy tam łotry? Nie myślę. Zaplątani, zagubieni przez tę politykę. Siebie też zgubią. I przeciw czemu powstają? Przeciw temu, co się stało, czego oni na pewno nie cofną. Możesz myśleć, jak sobie chcesz, ale nie przeszkadzaj, pracuj, za to cię oceniają.

Trochę mnie zdenerwował. Rąbnąłem zaraz, jak to jest z AK: jedni wołają, aby się ujawnić, a trafi się talki, co wiele nie pytając posadzi do kryminału. Wystarczy byle podszept, żeś czarna reakcja. Do żłobu pcha się różne tałałajstwo, jakich to ja sam już nie widziałem wójtów albo burmistrzów. Szkody narobi taki jeden za dziesięciu uczciwych. I w ogóle nic nie wiadomo, jak i co z tymi ziemiami. Szczecin raz nam dawali, to znów odbierali, nie milkną gadania o wojnie, za wiele jeszcze bałaganu, zbyt łatwe życie dla cwaniaków. Pewnie, robi się co nieco, ale za mało.

Aż w gardle mi zaschło. Nalał mi kieliszek, oparł się łokciami o stół, zapatrzył się daleko, jakby coś tam widział za ścianą.

- Wiesz, to było na kilka lat przed wojną, zaraz potem jak umarł Piłsudski. Byłem na wyładunkach, przy wygruzce, jak u nas mówiliśmy. Na Pierwszego Maja poszliśmy na pochód. Nasza grupa szła od ulicy Kalwaryjskiej przez Zielony Most do śródmieścia. I na moście, bośmy szli jeszcze po kilku, paru gówniarzy w szkolnych mundurkach nagle zaczęło zrywać nam z klap czerwone wstążeczki. Mnie też taki jeden zerwał. Jakby we mnie się ogniem coś zapaliło. A jeszcze gówniarz krzyknął, że komuniści... Pognałem za nim, zbiłbym, gorzej, skatował szczeniaka. Tłok się zrobił, uciekł mi... I wiesz co? Na drugi dzień wstąpiłem do PPS-u. Dopiero mnie zaciągnęło do partii. I teraz też jestem w PPS-ie. A to, że wiele nie tak, jak trzeba, dzieje się w kraju? Myślisz, nie widzę tego, inni nie widzą? Myślisz, serce czasem nie boli, że to jakoś nie wszystko wychodzi, jak się myślało? I mnie czasami się zdaje, że w niejednym przegina się pałę. Co innego walka ze zbrojnymi oddziałami, co innego

węsenie, kto reakcjonista, kto nie. Prawda, że są tacy, co całą gębę mają pełną czerwieni, w kieszeni legitymacje, a patrzą jeno, gdzie by co wyszabrować, ukraść. Mówisz, że z Armią Krajową także inaczej, jak być powinno. Też zgoda. Czemu wszystkich, co się bić chcieli z Niemcami, ale bili się na innej ulicy, od razu uważać za wroga? Mówię o zwyczajnych ludziach. Mój Wiktor i Czesiek też byli w AK. I co, gorsi przez to od innych, зараżeni? Pewnie, Paweł, widzisz dobrze, ale widzisz jednym okiem, drugie ktoś ci przesłonił. Nie pojmujesz, co to jest z tym naszym Zachodem, z wysiedleniem Niemców za zgodą całego świata, z przejęciem tej ziemi, z uruchomieniem każdej linii, każdej stacji i każdej lokomotywy. Nie pojmujesz, że szala już się przechyliła na jedną stronę, i nie tymi siłami, które tego próbują można byś coś zmienić. Więc zamiast ulepszać odwracasz się tyłem ty i tobie podobni. Nie przeszkadzacie, ale i z pomocą się nie kwapicie... Nie trzęś rękami, nie mówię, że masz zaraz wstępować do partii, że masz jeździć i agitować; wystarczy, jak będziesz robił, swoje, ale z sercem, i nie tylko dla siebie, ale i dla mnie, dla mojej matki, dla wszystkich. Pojmujesz? A ty i miliony tobie podobnych wykrzywicie się, szukacie wczorajszego dnia, który już nie może powrócić. Czy myślisz, że ja nie wracam myślą do tego grobu na Hossie, gdzie leży moja biedna Emilka? Że nie dławi mnie pamięć drogi od Kolonii do Wilna, gdzie padł Czesiek i nawet grób po nim nie pozostał? Że mnie nie ciągnie na dworzec wileński, gdzie trzydzieści lat tyrałem, ładując wagony? Tamto wszystko było moje. Tu też, wiem, ale inaczej, na inny sposób. Ani pojąć łatwo, ani się przyzwyczaić. Związały mnie trochę te pogieęte szyny, któreśmy wymieniali, te wywrócone wagony, które znów ustawialiśmy na torach, strzelanina i Niemców, i swoich, psujących zaczęta robotę. Ale ile serca zostało przy znanych i nieznanym grobach!

Dwa dni pisałem, zebrało się tego. Dziś znowu siadam. Losia oczy szeroko otwiera, ale nic nie mówi. Wie, że czasem nachodzi tak na mnie. Pan Tadeusz zawsze radził, żebym pisał, notował, że to najlepszy materiał, dokument na przyszłość.

Od Pacuka udałem się w dalszą drogę. Jeszcze koło tego osiedla trochę się rozglądałem, ale tam toczyły się ciężkie walki, mało gospodarstw się uchowało, te zresztą już zostały zajęte. Przypomniał mi się Szczecin. Nie tak już daleki od Pacukowej stacji. Pociąg był zatłoczony, jak teraz zawsze. Wcisnąłem się cudem, stałem w ustępie, zmieściło się tam nas nad smrodliwą muszlą cała ósemka. Przez most jakiś jechaliśmy, pontonowy, drewniany, zawieszony nad rzeką. Huśtało, trzeszczało wszystko, pociąg ledwie, ledwie się ruszał, kobiety modliły się na głos, nikt nie śmiał mocniej odetchnąć. Jaka ulga, gdy parowóz gwizdnął weselej i szybciej już pociągnął wagony. Do Szczecina dotarliśmy dobrze pod wieczór. Chciałem tu wywiedzieć się w PUR-ze, gdzie by radzili szukać najlepszego miejsca

na osiedlenie. Na dworcu ciasno, ludzie z tobołami i waliz/karni, jedni dopiero przyjechali, inni wyjeżdżali z powrotem, ze strachem spoglądając na patrole milicji. Pewnie szaber wieźli ze sobą. Wyszedłem na miasto, chciałem poszukać punktu noclegowego przy PUR-ze. PUR mieścił się gdzieś daleko, trudno się było dopytać, zacząłem iść kierując się przybitymi tam i sam wskazówkami, potem dałem spokój. Zaczęło się ściemniać, ludzi na ulicach nagle przybrakło, pusto się zrobiło i ciemno, ruiny. Chciałem już tylko z powrotem na dworzec, tam jakoś noc przebiedować, zacząć szukać rano od nowa. Ani się spodziewałem, że już taki kawałek drogi oszedłem. Ciemno i głucho, czasem tylko światełko pali się w jakimś domu, potem znowu ruiny, wreszcie większa ulica, spokojniej, jaśniej, knajp parę otwartych, wstąpiłem coś zjeść, ledwie żywy już ze zmęczenia. Przysiadła się jakaś dziewczyna, ładna, tylko widać było, że zdarta do reszty. Mówi, żeby jej wódkę postawić. Postawiłem, nie odczepiłaby się inaczej. Chcę iść, a ona w krzyk, że jej długu nie chcę oddać.; zaraz się przysunęło paru facetów. Ale i mnie złość wzięła na takie naciąganie. W drugim końcu sali zaczęli właśnie prać się po mordach, inni tylko patrzyli albo i nie patrzyli, jakby to nikogo nie obchodziło. Ta moja drze się coraz to głośniej, tamci następują, szepcą, żebym po dobremu oddał, nie krzywdził kobiety, bo inaczej... Kelner przepchnął się z rachunkiem, rzuciłem mu forszę, chcę brać na świadka, że dopiero przyszedłem, widział *przecież*; ramionami wzrusza, skąd może pamiętać, setki klientów. Odzeglował czym prędzej. Wtedy nacisnąłem czapkę na głowę, odtrąciłem pierwszego z brzegu i do drzwi. Innej rady nie było. Oni za mną, jeden gnał z nożem, tyle widziałem. Ani wiem, skąd ten łazik wojskowy wyskoczył. Zahamowali, krzyczą, co jest. Ledwie słowo mogę z siebie wydusić, pokazuję, ale tamci już gdzieś wsiąkli, ani ich widać. Zabrali mnie tym łazikiem, podwieźli pod dworzec. Za godzinę odchodził pociąg powrotny, zaraz kupiłem bilet. Nie mnie szukać szczęścia w tych stronach, starczy aż nadto dzisiejszy chrzest...

Odeszła mnie ochota do dalszej wędrówki. Ziemia mazurska po tych przeżyciach wydała mi się spokojna i swojska. Na niej też już zacząłem szukać, aż się nadarzyła ta gospodarka. W parę dni zjechaliśmy na nią, zaczęło się szaleństwo z robotą. Może i dobrze, bo inaczej nuż zrobiłbym jakie głupstwo, a i myśli różne mniej miały przystępu...

Połowa grudnia, a jeszcze ziemia grudą nie ścięta. Niemka Klara oczy otwiera, mówi, nigdy tak nie bywało, śmieje się, iż Polacy to taki gorący naród, że i pogodę zmieniają od ręki. Bardzo się dziwowała... Jakby tak pottrzymało, jeszcze bym płot naprawił, drzewka na zimę opatrzył, zabrałbym się do rozsypania tej sterty spalonego zboża. Ciekawe, skąd się to wzięło pośrodku ogrodu, bidzie tego ze dwa wagony, wygląda na pszenicę. Czarne, na pół zwęglone, ani zamarzyć o lepszym kompoście. Już to ogrodowizna powinna rosnać nad podziw.

Trzech Króli. Mija pierwszy tydzień tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Byliśmy na nabożeństwie z Losia i Tadiusiem, przy Kaście została Klara. Po przyjściu z kościoła święconą kredą napisałem na drzwiach domu i tej pięknej murowanej stodoły literki K+M+B, - niechże nas chronią. Bo to wokoło nie najweselej. Ciężko tym z Lublina przejąć wszystko we władzę. Ciągłe słyhać o mordach, o przelewanej krwi, jakieś partyzantki chodzą po kraju, a obok zwyczajne bandy, kradną, rabują. Władza też nie umie się brać do dzieła, nie tam szukają winnych, gdzie trzeba. A jeszcze teraz zaczyna się walka z PSL-em, przeciw wicepremierowi Mikołajczykowi. Pacuk powiedziałby na pewno odwrotnie, że to Mikołajczyk walkę zaczyna. Nie kijem, to pałką. Jedno, że radości z tego nie będzie...

U nas pociecha z Kaści. Rośnie dziewczynka. Lubię przystanąć nad wózkiem, popatrzeć. Włoski ma jaśniutkie, buzię okrągłą, perkaty nosek i bystre oczki. Tadiusiowi ona też się podoba, ale go matka odpędza, jeszcze by z głupoty uczynił jakąś krzywdę małej... Z pieniędzmi ciężko, zapasów mało. Świnę sprzedałem, jakoś się tym podreperowało. Przed samymi świętami pędziłem samogon. Przydało się, ale z tym lepiej ostrożnie, podobno mocno się biorą za takich. Trzeba szukać innych sposobów. Jest ta pomoc dla osadników. Przydzielali na raty ikonie i krowy z UNRR-y amerykańskiej, ale mało tego było, niemalże bili się przy rozdziale.

Mnie zresztą jedno i drugie niepotrzebne, mam swoje, ale trzeba myśleć, co z ziarnem na wiosnę, z sadzeniakami kartofli, przydałaby się jaka pożyczka. Byłem w miejskiej radzie narodowej, bo nasze osiedle należy do miasteczka. Gadał jeden taki, że tak, pewnie, ale są trudności, na ręce patrzył. Powiedziałem, że pomyślę, poszedłem. Co za moda, należy mi się z prawa, a ten wyciąga brudną łapę, gdy ledwie że pisać potrafił, widziałem, jak się męczył, śliniąc coraz ołówkę... Jedno mi się udało, przydał się samogon, za trzy litry kupiłem od żołnierzy piękny motorek, będzie i do młócki, i do sieczkarni, ładną znalazłem schowaną w stodole, pod słomą. Tyle że o pas się trzeba postarać, znów chyba za wódką. Bo złotych to w ogóle mało się widzi. Nie wydrukowali dosyć w Warszawie albo nie było za co wypłacać ludziom, a darmo rozdawać przecież nie będą.

Losia woła, świąteczna kolacja, pora kończyć pisanie. Jakoś ciągnę jednak ten swój niby pamiętnik, pan Tadeusz na pewno by się ucieszył. Co z nim? Ani od rodziny, ani od niego żadnej wieści. Strzeż Boże, co niedobrego, ciężko byłoby, mało kto mnie tak bliski jak on, choć i Losia temu się dziwi, i ja sam w głowę zachodzę, co nas tak bardzo zbliżyło. Nas czy mnie tylko do niego?

No i chwyciła zima, trzyma mocno. Dobrze mówiła Klara, że kraj tutaj surowy, długa zima, a lato krótkie. Jak się zaczęło po Trzech Królach, to ani popuści, a jeżeli zelżeje, to

żeby śniegiem mocniej syznąć, i znów tylko się trzymaj za uszy. Ważne, że w domu ciepło. Ten mój Niemiec, po którym mam gospodarkę, zapobiegliwy był: i węgla sporo, i drzewa zapas starczy na długo. Inni mają kłopoty, ale radzą sobie; z nie zajętych, zapuszczonych domów znoszą meble, wyłamują drzwi i futryny okien, tym palą. Płoty, czasem drzewa owocowe idą na opał, aż serce boli. Ale jak temu Banasiakowi powiedziałem coś, to tylko popatrzył krzywo, zasyczał, że za wtrącanie się mogę oberwać siekierą przez grzbiet. Zaczynaj z takim.

Dobrze, że się już przewaliło na luty, nie szczęścił się mi poprzedni miesiąc, oby ten odmienił wszystko na lepsze. Nawet do tych zapisków nie było kiedy zasiąść. A tak naprawdę, to bałem się, chowam teraz ten zeszyt, że go i diabeł nie znajdzie. Bo już milicja i UB zaczęły się mną interesować, a to niczego dobrego nie wróży. I żeby choć człowiek w czym zawinił.

Osiemnastego stycznia to było, do śmierci datę zapamiętam. Wieczór, siedzieliśmy w kuchni, tam najcieplej i najjaśniej, zadudniło u drzwi. Przypomniały się wojenne czasy, nigdy takie stukanie nie wróżyło nic dobrego, Losia przysunęła się do wózka z Kasiunią. A tam dudnią, kolbami wałą, znam ten głos dobrze, sarn też, zdarzało się tak waliłem. Nie wiem, otwierać czy nie otwierać. Aż tu ktoś woła moje nazwisko i imię. I do okna bębni, widać twarz, czapkę wojskową.

Otwieram, bo dom jeszcze gotowi podpalić. Czterech weszło. Na pół żołnierskie ubranie, broń u każdego inna. Latarki mają, pytają, kto jeszcze w domu, czy są inni mężczyźni. Obeszli wszystko od strychu do piwnic. Potem dopiero jeden nachyla się mi do ucha, mówi, że skierował ich tutaj porucznik Moczulski. Nie od razu pojąłem, co za porucznik. Moczulskiego znałem jako sierżanta. Awansował, szybko to poszło... Więc mówią, że od niego. Ręczył, że swój jestem, można na mnie liczyć. Głową kiwam, niby że tak, niby że tylko uważnie słucham, a w tej głowie jakby kto tabun koni przeganiał. Masz tobie los, uwzięli się, wciągają człowieka lichu wie w co, mało, że rozeznać się w tej Polsce nie można, jeszcze ci podsuwają teraz gotową decyzję... Mówią, że zamierzają pobyc tu parę dni, przeżywię ich, zresztą obowiązuje mnie przecież dawna przysięga...

Razem było ich jedenastu. Pięć dni zajmowali mi dom, strzegli każdego kroku. Wyczuwałem, że stracha musieli jakiegoś mieć, uważni byli, ani mi się zezwolili oddalić, w niedzielę do kościoła z Losia nas nie puścili... Dopiero później wyszło na jaw, że Moczulski nie żyje, poległ gdzieś koło Działdowa; więzienie tam rozbijali, swoich chcieli uwalniać, nadjechała kolumna UB czy wojska, zostali rozbici. Potem się im przydarzyły dalsze nieszczęścia... Tyle że Moczulski dał im wcześniej ten adres, inne także. Do dziś zachodzę w

głowę, skąd mógł wiedzieć, gdzie się osiedliłem. Ale to inna sprawa. A oni potem mieli jeszcze jakieś walki pod Szczytnem, tym z *Krzyżaków*, wreszcie zmuszeni byli rozsypać się na mniejsze oddziały, w ten sposób zatrzeć ślady. Znać było, zmęczeni, utrudzeni, jeden miał przestrzelone ramię, już opatrzone, ale bandaże ciągle mu zmieniali, smarowali ranę maściami.

Przez pięć dni można się w ludziach rozeznąć, a jeszcze gdy są spłoszeni, gdy marzą o spoczynku i o jedzeniu. Dowodził młody chłopak, porucznikiem go mianowali, Adam. Chyba dopiero pod sam koniec wojny wszedł do akcji, bo przecież nie dałbym mu więcej jak dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Inna sprawa, że z tego, cośmy z nim pogadywali, widać było, że przeżył już więcej, jak ktoś inny przez całe długie życie. I reszta też młodzi, pyski przyjemne z wyjątkiem dwóch: takiego dziobatego, ten mnie najwięcej pilnował, ciągle przewiercał przymrużonymi oczyma, i drugiego, najstarszego, pod czterdziestkę, wyglądał na bandziora najwyższej klasy.

Napisałem, że byli spłoszeni; najpewniej mocno skórę im przetrzepali, nie bardzo się nawet z tym kryli, zwłaszcza wtedy gdy się odgrażali, co to jeszcze pokażą. Ale potem, gdy pokrzykiwania cichły, wyglądali na strasznie biednych. Siedzieli przygarbieni, niewesołe myśli snuć się im musiały po głowach, pewnie i za bliskimi żarła tęsknota. Albo sam ja tych rzeczy nie znam? Dla mnie się skończyło, przynajmniej na, dziś, dla nich trwa, a przy tym robi się wokoło coraz to ciaśniej.

Próbowaliśmy gadać z porucznikiem Adamem. Jeszcze jeden przysiadł się do nas, ten głównie słuchał. Tak się złożyło, że na parę dni przed ich przyjściem sąsiad, co to z matką i siostrą zajął najbliższą gospodarkę za nami, wracał od znajomych w Lubelskiem; wiozł stamtąd parę prosiaków, bo u nas trudno je dostać. Parę stacji przed Białymstokiem pociąg zatrzymał się nagle w pustym polu, podobno semafor był nastawiony na zakaz przejazdu. Parowóz darł się ostrym gwizdem, dokoła wagonów pojawili się uzbrojeni ludzie, wielki oddział. Wagon po wagonie robili rewizję, pozostali na dworze pomagali im, strzelając dla postrachu w górę. Przeglądali rzeczy, niektórym zabierali to czy tamto, najbardziej się jednak interesowali dokumentami. Około dziesiątki podróżnych wysadzili z wagonów. Poszło między ludźmi, że szukają takich z UB. Dopiero podjechała ciężarówka, załadowali na nią zrabowane rzeczy, ci wysadzeni musieli pomagać. Później głośno odczytano im wyrok, że za to, iż należą do bezpieki, zostaną rozstrzelani jako zdrajcy. I zaraz rozciachano dwóch z nich na miejscu... Sąsiad, choć jawnie mówi, że komunistów nie lubi, klnie jak szatan. Na samo tamto wspomnienie aż sinieje ten Włodek na gębie. Nie dziwię mu się. Taki szlachtuz to nie robota. Ale jeżeli już na to ci partyzanci zesli...

Opowiedziałem porucznikowi tę historię, podpytuję, czy ich oddział również tak, czy są takie rozkazy, bo mnie się to zupełnie nie widzi. Powołaliście się, mówię, na Moczulskiego, na przysięgę, ale w niej mowa była o okupancie, o hitlerowcach, ale żeby swój swego za to, że ten ludowiec, tamten zaś komunista? Trochę się bałem swego pytania, zły byłem na siebie, ki diabeł mnie kusi, jeżeli oni podobni, to za same te słowa łatwo by było oberwać w czapę. Adam przyglądał mi się, potem wygarnął ostro, że różni chodzą po kraju. Jest UPA czy OUN, ukraińskie banderowskie organizacje. Te rzną Polaków nawet nie patrząc w legitymację, cóż dopiero, gdy trafią na komunistów. Są jeszcze inni, ci z NSZ: faszyci, też rzeźnię robią, że strach. A ilu zwyczajnych obwiesiów łązi z bronią, całymi kupami zorganizowani po wojskowemu! Niedobitki niemieckie, różni volksdeutsche, dezterterzy wojenni rabują, rzną, gwałcą, a potem potrafią na zabitych kartki zostawiać, że to niby AK. Oni zaś nie mordują bezbronnych, są normalnym wojskowym oddziałem, walczą o władzę, ale z wojskiem, milicją, bezpieczeńką, ze zbrojnymi przedstawicielami przeciwnej strony. Jeżeli ruszą już któregoś z cywilnych, to przetrzepując mu dla przestrogi skórę... Tak jakoś dziwnie spojrział« ten Adam na swoje ręce, mówiąc, że nie ma na nich niewinnej krwi. Aż się wstrząsnąłem. A ten drugi popatrzył wtedy na najstarszego wiekiem, tego bandziora z wyglądu. Jakby z nim było inaczej.

Ośmieliła mnie ta odpowiedź. Pytam znów, co z ich walką, skoro Mikołajczyk wszedł do warszawskiego rządu, a ten uznany został przez Zachód. Komu zatem podlega ich organizacja wojskowa? Mikołajczyk podpisywał uchwałę rządu z sierpnia zeszłego roku o ujawnianiu. Można było skorzystać. Jeżeli nawet i ten pułkownik Radosław z powstania namawia?

Zaśmiali się tylko. Powiedzieli, że gadam jak głupi. Albo to wiem, jak naprawdę jest z ujawnianiem się? Co z tego, że cię zapiszą i puszcza, jak się zgłosisz, gdy niedługo później sto powodów wynajdą, by się przymknąć. Chcesz psa uderzyć, zawsze kij znajdziesz. Nie, wyjścia nie ma, jak się już wlało do lasu, to cię żadne amnestie nie uratują, musisz tkwić tam do końca. Albo zdechniesz ścigany, albo...

Nastąpił cały wykład o sytuacji politycznej. Że coraz bardziej rozchodzą się Zachód i Rosja. A wtedy oni będą gotową kadrą zbrojną. Przekazą władzę w ręce prawdziwych patriotów, którzy opowiedzą się, oczywiście, po stronie anglosaskiej. Da to im prawo po wojnie do wysuwania własnych swych /postulatów. Żeby obok przywrócenia ziem wschodnich pozostały przy Polsce, także ziemie nad Odrą. Gdy tak mówił, przypomniały mi się ulotki i wezwania, by nie wyjeżdżać z Wilna w ramach repatriacji, tkwić na posterunku, czekać. A później, gdy wielu ludziom pokiełbało się już w głowach od tych wezwań, gdy

stracili niejedną szansę lepszego urządzenia się, można było słyszeć z Londynu, że nie ma zakazu wyjazdu, że powinno się wyjeżdżać, bo to sprawa tych ziem zachodnich i w ogóle. Teraz też jakby podobnie. Zostawać w konspiracji, w oddziałach, czekać, nie ujawniać się. A jeżeli nie będzie wojny? Walczyć wtedy do końca, do śmierci? I po co? A co znowu z Mikołajczykiem i z PSL-em? Tłumaczył, że to legalna droga walki, ustrojowa, że gdyby sytuacja inaczej wyglądała, to właśnie tą drogą też można by przejąć władzę w kraju. Że Mikołajczyka trzeba popierać, że zwalczają go różni faszyci z NSZ i jeszcze inni, ale to właśnie błąd... Tu już ględził zupełnie mętnie, ni tak, ni siak... Chciałem jeszcze o coś spytać. Na tej wiosce, przy harówie od rana do nocy, za mało wiedziałem, by samemu wydawać sądy - ale właśnie podniósł się ze swojego kąta ten starszy, na bandziora wyglądający, popatrzył na mnie i mruknął, że coś mu się nie podobam, gdy mnie tak z daleka ogląda. Porucznik go uspokoił, ale bardzo łagodnie, a potem powiedział, że chce spać, jakby dając tym znak, by przy tym nowym o niczym więcej nie gadać. Mnie już zresztą w ogóle odeszła ochota. Pomyślałem sobie w duchu, że ja z wami, braciszki, nie pójdę. Bo ani bardzo wiecie, o co wam idzie, ani mam ochotę bić się aż do samego końca. Taki bohater to już nie jestem. I znowu przypomniały mi się pogadywania Pacuka. Zupełnie na odwyrtekę, a przecież to człowiek uczciwy i Polak dobry. Mało to pokazał w czas okupacji?

Na odchodnym, po pięciu dniach, podziękowali, kazali milczeć jak mur, za jedzenie sypnęli gotówką ani licząc. Nie chciałem brać, pał ich sześć, to tylko śmieli się mówiąc, że u nich pieniędzy jak lodu. Był taki jeden bank w Białostockiem, a w nim złotych bez liku... Siłą mi tę forszę w kieszeń wepchnęli...

Odetchnęliśmy po ich wyjściu, tych pięć dni czuliśmy się jak w więzieniu. Losia była wystraszona, Niemce oczy wyłaziły wciąż na wierzch, mnie samego mało to razy ścisnęło około serca. Jeden Tadziuś się nie bał, łaził koło nich, do broni się rwał, a było jej! Niemieckie automaty i ruskie pepesze. Naszą partyzantkę myśmy zaczynali inaczej, co piąty miał jakieś uzbrojenie. Ech, pokielbasiło się wszystko. Jedno pewne, że myśląc o tych chłopcach, źle się czułem. Żał mi ich było, zmachane to, zabiedzone, sami nie wiedzą, czego chcą. A z drugiej strony, jaki sens robić ten bajzel w kraju, zwłaszcza odkąd powstał Rząd Jedności Narodowej, wszedł do niego Mikołajczyk, premier londyńskiego rządu? Więc jak to właściwie jest? Kto czego <tu chce? O co się bije? O Ukraińcach już słyszałem, straszne rzeczy wyprawiają. Czy oni też podpisują się za AK? A z tym ujawnianiem, kto się ma właściwie ujawniać. Czy ci, co byli w czas okupacji w podziemiu, bili się z hitlerowcem, czy tylko ci, co nie złożyli broni i dalej walczyli już po rozbiciu Niemców? Chyba tylko ci drudzy, choć ten porucznik Adam kłął się, że wszyscy, że to właśnie taka pułapka, by poznać

każdego, co nie był razem z komunistami. Cholera wie, do milicji nie pójde pytać.

Ja nie poszedłem, ale po mnie przyszli. Właśnie milicja, choć potem już tylko cywile się mną zajmowali w powiatowym mieście, dokąd zostałem odstawiony już tego samego dnia. O tych jedenastu chodziło. Nie doszedłem, czy ktoś zaobserwował, jak u mnie byli, czy ich gdzieś pojмали, wygadali się, u kogo spędzali czas. Nie to było najważniejsze. Głową musiałem mocno kręcić, by wyplątać się z nie zawinionej zbrodni. Inaczej jak zbrodnią tego nie nazywali. Że bandę goszczę i przechowuję, że mam stałą z nią styczność. Że mam wyjawic po kolei nazwiska i pseudonimy, podać, co ostatnio robili. Jaka jest moja rola organizacyjna? Że jeżeli prawdy nie powiem, a i tak już ją znają, to do końca życia będę tkwił w celi, jeśli nie gorzej... I tak w kółko: ja swoje, oni znów swoje. I po sto razy życiorys. O partyzantce mojej i o wileńskim AK słowa nie pisałem. W tej sytuacji dopiero byłby to gwóźdź do trumny. Zresztą sumienie miałem czyste, mnie chyba żadne ujawnianie nie obowiązywało, to było w Wilnie i tylko w czasie okupacji... Dwa dni i dwie noce bez przerwy, oni się zmieniali, nie odetchnąłem minuty, tłumaczyłem, powtarzałem, zaklinałem się, że przyszli wieczorem, dobijali się kolbami, siłą chcieli się wdzierać. Kazali karmić, na krok nie puścili samego, nie podawali, dokąd się ode mnie udadzą... O Moczulskim też nie wspominałem, nie uwierzyliby, że nie miałem z nim nic wspólnego, a adres mój, diabli wiedzą, skąd poznał. Zresztą, nie żyje, zamknięta karta...

W domu, mówiła Losia, zrobili dokładną rewizję. Ten zeszyt z zapiskami leżał na szafie razem ze starymi gazetami, nie wiem, czemu go przesłepili, musiałbym się z niejednego tłumaczyć, choć przynajmniej z tymi partyzantami zgodziłoby się, że prawdę mówię. Głupota, że w ogóle piszę, nieszczęścia wyzywam. Ale wciąga mnie, myślę też, że dopomoże w końcu zrozumieć, na jakim świecie jestem.

Potem spałem w areszcie, w wielkiej jakiejś piwnicy, ze trzydziestu nas było, od partyzantów zaczynając, przez bandziorów, do jakiejś pijanej baby. W nocy słyszałem, jacyś dwaj nasłuchiwali, że może ich będą odbijać. Dopiero byłaby kabała, nie wiedziałem: uciekać w razie czego czy zostawać, niby że jestem niewinny. Tydzień tak przesiedziałem, tyle że następne noce spałem w innej celi, maleńkiej, ledwie się nas tam czterech mieściło. Szczeniaki, tak po lat osiemnaście, może trochę więcej. Zgwałcili dwie dziewczyny niemieckie, okazało się na domiar złego, że to były Mazurki. A już zaczynało się opiekować tymi Mazurami. Szczeniaki nie przejmowały się tym, wesoło im było, na mnie patrzyli spod oka, opowiadając wszelkie świństwa. Od pół roku płaczą się po ziemiach zachodnich, rabują, kradną, szabrują, co się trafi, z opowiadań wygląda, że się im dobrze powodzi, pieniędzy nie brak, wódka, dziewczyny, zabawa. Kanada, mówią, żyć, nie umierać. Przypomniała mi się

wtedy moja harówka, orka dzień za dniem, chwasty i myszy, i woda, wszystkie plagi. Teraz jeszcze ten pierdel. Że się komuś zachciało właśnie u mnie nocować. Na przesłuchaniu palnąłem to, raz kozie śmierć. Że czepialiby się lepiej różnych takich urwipołciów, ale nie człowieka, co myśli tylko, jak się urządzić na gospodarce, jak oddać państwu świadczenia rzeczowe, nie małe przecież, a i niespodziewane, skoro przedtem obiecywano ulgi na parę lat... Jak do mnie tamci przyszli, miałem może uciekać do milicji z językiem, żeby mnie machnęli od tyłu serią ze swoich automatów? Kazali cicho siedzieć, to siedziałem. Cholera mnie brała, aż się zaplułem gadając. Coś tam musiało chyba trafić z moich słów, bo jeszcze dwa dni i zwolnili mnie, uprzedzając, że gdyby tak jeszcze raz coś podobnego, pójdę pod sąd wojskowy, tam nie ma żartów... Mówił potem mój sąsiad, Władek, że miałem piekielne szczęście. Czasem samo wyjaśnienie trwa całe miesiące. Dorzucił, żebym teraz uważał, mogą mnie obstawiać.

Dziesięć dni minęło od mego powrotu. Losia rozplakała się wtedy z radości, Tadiusz z kolan mi nie schodził. Nawet ta stara Niemka była wyraźnie rada. Ja myślę, dobrze ma u mnie, jeść do syta, ubrana, nie wstrzymuję, jak do miasteczka chce iść. Listy do swoich gdzieś w Niemczech pisze, w tych amerykańskich, tyle że się jakoś odpowiedzi nie może doczekać.

Musiałem to wszystko opisać, będzie co kiedyś wspomnieć, bo już z wojny dużo rzeczy zatarło się, widzę je jakby przez mgłę. Czasami wydaje mi się, że i Mejsuty tak samo się zamgliły, aż to czy tamto trudno w nich sobie przypomnieć. Może i dobrze, mniej jakoś się tęskni.

Zima trzyma. Korzystam z czasu, a że to i opału nie braknie jest czyim przesuszając chałupę, zabrałem się do bielenia i malowania. W oborze też zaczyna się wreszcie robić porządek, nawet okienka wymyłem, jasno teraz, jak się wchodzi, przyjemnie.

Dziwaczna ta wiosna. W całym kraju ociepliło się, zazieleniło pod koniec marca, tutaj zaś wszystko o parę tygodni później. Nie o oziminę chodzi ani o pierwsze liście, ale o kwiaty. Bez dopiero się rozwija od paru dni, a słyszę, że gdzieś w centralnej Polsce dawno już przekwitł. Razem tak wszystko ruszyło, ciągnęło się, śniegi nie chciały topnieć, na północnych zwisach przy rzeczulce i w takiej wielkiej jamie za moim polem jeszcze się trzymają brudnymi resztkami, aż potem buchnęło jednego dnia. Od razu zielono, ciepło, jaśniej jak gdyby. Jeszcze wierzbowe bazie sypią się żółcią wraz z wiatrem, a już gałązki brzoź zrobiły się fioletowe i strzelają z nich pierwsze żółtawe listeczki. Nad wodą kaczeńce i jakieś inne - białe kwiatki, - delikatniutkie, Losia je lubi, co dnia nowy pączek przynosi, stawia w kuchni na oknie. Trawa rosła dosłownie w oczach, już się krowy pasą i cielak.

Prawda, że tu lato wygląda na krótsze, robota zbiega się jedna z drugą. Już się dłużyła zima, nie było wiele roboty, chałupę i budynki gospodarcze wyporządziłem jak trzeba, nie było się za co chwycić, może nawet gorzej, więcej się przez to myślało, częściej kupowało gazety, ale zapisywać cokolwiek w tym czasie się bałem. Zeszyt ten leżał owinięty ceratą, schowany w stodole. Bo rację miał sąsiad, od tamtego aresztowania coś się mną *za* dużo interesowali: Milicja parę razy zaglądała, niby przypadkiem. Tyle się dogadałem, że popić chłopaki lubią, nie żałowałem, udawali zresztą, że nie wiedzą, iż piją samogon. Bo z nudów pędziłem jeszcze kilka razy; z nudów, ale i dla gotówki, nie było skąd grosza złapać, a wydatki mnożyły się... Potem wzywali mnie do miasteczka, z powiatu przyjechał jeden z tych, którzy mnie wtedy przesłuchiwali. Bardzo się rozpytywał, czy do PSL-u należę, czy kogoś z tamtych więcej już nie widziałem. Grzeczny był, spisał protokół, podpisałem, rękę mi podał. Potrzebna mi jego ręka.

Dziś znowu piszę. Jakby się uspokoiło, nikt mnie już nie nachodzi. Może nareszcie będzie koniec. Ale bo to wiadomo, co im nagle strzeli do głowy? Choć z drugiej strony, gdzie jak gdzie, ale tu w naszej okolicy zrobiło się spokojniej, nie słychać o napadach, o bandyckich wyczynach. Już to więcej biją się na zabawach i trupy padają; na wsi, zwyczajna rzecz, było podobnie przed wojną, jest i teraz. Nawet łatwiej dziś o to, gdy się tak koło siebie znaleźli ludzie pozbierani z całego świata; byle głupstwo starczy, gotowa zwada, boś ty zza Buga, a ty centralniak, taka twoja owaka... Ten sąsiad, kawaler, jak poszedł raz na zabawę, to wrócił z niej dopiero po dwóch tygodniach okrężną drogą, przez szpital. Teraz już więcej nie chodzi, pomogła nauczka.

Na skrypt dłużny dostałem trochę zboża siewnego, owies i jarą pszenicę. Owies brudny, ale pszenica piękna, żebyż dobrze zechciała rodić... Jednak coś się zaczyna ruszać, bo to i koni więcej, i krów z rządowych przydziałów, unrowskie i inne, na targu w miasteczku w każdy czwartek aż ciasno, mrowią się ludzie, sprzedają, kupują, choć ceny wysokie. No i gadania jest wtedy najwięcej. Każdy siedzi w chałupie, niewiele wie, a tutaj szum na świecie, w kraju też dużo się dzieje, taki rynek to najlepsza okazja. Bywa, rozdają gazety, ulotkę przeciwpaństwową ktoś ci podetknie, mnie tak zrobili. Przeczytać przeczytałem, ale zaraz ją podarłem. Niechby ktoś zobaczył, dopiero bym się musiał tłumaczyć, jeszcze przy moim szczęściu.

Uporałem się ze wszystkim na polu, chyba z hektar mam więcej uprawy, niż zamyślałem. Jeżeli chwast się nie rzuci i lato będzie dobre, może odetchniemy z jesienią. Bo już bieda zaczyna dociskać. Dopiero się zabraliśmy z Losia do ogrodu, duży, łagodnie opada na południe, ziemia mocna, musiał dbać o nią Niemiec, a jeszcze przyrzuciłem to wszystko

spalonym zbożem. Ciekawe, czy to były właściciel je spalił ze złości, że nie może go zabrać ze sobą. Nasiona przy wiozłem z Mejsut, starczyło, jeszcze obdzieliłem wszystkich sąsiadów; na rynku były na wagę złota, ale ja nasion nigdy nie sprzedawałem, to i tutaj nie będę. Rozsady potem też udzielię najbliższym. Jakoś się już zaczynamy poznawać, z tym Władkiem nawet się trochę zbliżyliśmy. Pracowity, nadziwić się mu nie mogę, od rana do nocy na polu.

Obejrzałem sad owocowy, pół setki, drzewek młodszych i starszych, zadbane, dobrze poprzyciniane, tylko nie wiadomo jakie gatunki. Przekopałem dokoła każdego nawozem, lepiej obrodzą. Przydaje mi się teraz szkoła, jaką mi dały „Wici”. Tyle lat byłem przodownikiem, a potem instruktorem kółek uprawowych, Mejsuty wygrywały konkursy powiatowe, a raz nawet i wojewódzki. Tu też będę musiał na drugi rok założyć trochę inspektów, choć z dziesięć okien. Trzeba się zakorzeniać na nowym miejscu. Wszystko na to wskazuje. Te pszczoły wczoraj to też jakby znak jaki. Duży piękny rój zakołował, właśnie byłem na łące, pobiegłem patrzeć, gdzie przysiadzie. Na tej lipie przy bramie, u pierwszego konara. Pognałem po drabinę, jakąś firanką przezroczystą okryłem twarz, podkurzacza nie miałem, ale trocinami sobie pomogłem, jakoś mi się łatwo udało rój zebrać; musiały być zmęczone, z daleka przylecieć. Cały wieczór, do późna w noc majstrowałem ul, nawet zgrabnie mi wyszedł. Teraz trzeba się będzie postarać o więzę, tymczasem cukru podsypałem na luzno, niech się nieboractwa pokrzepią. Losia powiedziała, że te pszczoły to dobry znak, na szczęście, aż mnie pocałowała z ochoty. Daj Boże...

Jak tak składniej zaczyna iść, to i coraz bardziej mi się tutaj podoba. Trochę na uboczu od drogi, rzeczka maleńka, przy rozpędzie łatwo się ją przeskoczy, ale szumi, płynie, czyściutka woda, jakby kryniczna, są w niej płocie i jazie, przy piasku wiercą się kielbie. Tadiusz, jak podrośnie, będzie miał uciechę przy wędce. Szkoda, że jeziora nie ma, najbliższe chyba o dobre trzy kilometry. Władek, ten sąsiad, mówi, że glinianki starczą nam też. Prawda, duże są, wykapać się można, i rybą pocieszyć. W - niedzielę próbowałem na kielbie z rzeczki, trzy szczupaki przyniosłem, a jeszcze - największy mi się zerwał. Już i z miasteczka podjeżdżają tutaj z wędkami.

Łażę często po swoim polu. Będzie tego chyba z dziesięć hektarów; kiedyś obliczą, wymierzą, tymczasem ile kto zagarnął, tyle i trzyma. Łąka też dobra, zmeliorowana, warto by jednak dreny oczyścić, może latem znajdzie się czas., Z każdym dniem zieleniej się robi, liście rozwijają się na oczach, kwiatów coraz to więcej, już się pokazały niezapominajki. Tadiusz zrywał je dla matki jak oszalały z radości, znudziła się dzieciakowi zima.

Niby mnie cieszy to wszystko, ze słońcem na jasnym niebie i myślom weselej, ale czasami oczy, aż mgłą zachodzą z żalu jakiegoś, z tęsknoty za Mejsutami. Tam było ładniej.

Co z tego, że ziemia słabsza. Też rodziła, jak kto przy niej dobrze się krzątał. Rzeczka też piękniejsza, las obok. Tu musiałem trafić na okolicę, skąd i do lasu daleko. Ale nie narzekam, może byłoby gorzej, las ciągle by przypominał. Czasem specjalnie sobie szukam roboty, żeby zagłuszyć nią to szarpanie w środku, jakiś ból, że się musiało wszystko porzucić, w obce światy wędrować.

Ten dzień siódmego maja zostanie mi długo w pamięci. Jeszcze chwila, a nie byłoby naszego Tadziusia. - Wyszedłem z kosą, na nie „zoranym kawałku przy samej rzeczce rozrastał się oset, nasiona by z wiatrem niosło na rolę, trzeba było skosić paskudztwo. Tadziuś ciągle ze mną się pęta, na krok nie myśli odstać. Kosilem, a on sobie kamyki rzucał do wody. Jeszcze rzeczka wezbrana, jak to z wiosną, prąd mocniejszy, co dziwnego, że gdy się dzieciak ześliznął, zaraz go porwało i /poniosło, ledwie raz tylko zakrzyczał. Zerwałem się jak oparzony, byłem dobry kawałek od niego. Nim dobiegłem, nim wypatrzyłem go w wodzie, nim wyciągnąłem, chłopak już stracił przytomność, leciał mi na brzegu przez ręce, sączył ślinę ze śluzem. Zaraz go brzuchem na swoje kolano, wycisnąłem wodę, trochę zatrzepotał rączkami, ulżyło mi: nie jest tak źle. I prawda, nawet nie zdążyłem ze sztucznym oddychaniem, jak oczy otworzył, odetchnął mocniej, jeszcze się zakrztusił, rzygnął resztkami wody. Na rękach go zaniósłem do domu. Losia w krzyk, uspokajam, że nic, ułożyliśmy małego do łóżka, zaraz mleko gorące, pierzyny, niech się wypoci. Dopiero wtedy mnie wzięło. Nie siadłem, osunąłem się na krzesło, czułem zimny pot na całym ciele, ręce mi się zatrzęsły. Jedna chwila, niechbym znalazł się trochę dalej, nie od razu zobaczył malca, a niosło go pod zakręt, gdzie jama głęboka i łąka podmyta, byłby koniec. Dobrze, że była to rzeczka, a nie glinianka, od naszej strony tam grunt głęboki na parę metrów, woda zawsze mętna, ani co w niej wyślepić. Trzeba lepiej chłopca pilnować...

Tkwiałem na krześle, sam na pół żywy, gdy ta nasza Klara patrzy przez okno i woła blada, że *Polizei*... Tego mi tylko brakowało! Czterech, ich przyjechało, bryczuszką. Konisko słabe, cherlawe, że ledwie ciągnie. Pomyślałem tyle, że kiepsko się tej naszej władzy miasteczkowej powodzi, jeżeli nawet na konia mocniejszego nie mogą się zdobyć. Bo burmistrza poznałem. Okazało się, przyjechali obejrzyć, jak sobie radzę, wywiedzieć się, może trzeba jakiejś pomocy. Burmistrz, z nim sekretarz tego ich PPR-u i drugi też z partii. Ten drugi właśnie znalazł się na ziemi, jak pytać i o co. Poszliśmy przez pola, nad rzeczka, gdzie ten nie zorany kawałek. Pochwalili, że osty ścinam za wczas, wrywam z korzeniami, gdy ziemia jeszcze wilgotna. Pokazałem, gdzie dopiero co Tadziuś o mały włos się nie utopił. Zadziwili się, że tyle ziemi uprawilem i zasiałem, pochwalili porządek w całym obejściu. Ten

drugi partyjny zapisywał sobie wszystko. Bałem się, może pod jakie nowe podatki, ale uspokoił. Po prostu chcą wiedzieć, co się tu u nich dzieje, jak ludzie sobie radzą. Czy czego chcą? Mówię: zboże na siew dostałem, konia i krowy mam, tymczasem poradzę, pewnie, przednówek trudny, ale przyciśnie się jakoś pasa, gorzej bywało. Aby tylko spokój, żadnych napadów, rabunków, to pójdzie. Westchnęli, przytakując. Ten sekretarz powiedział, że, gdyby tak wszyscy myśleli... Losia na poczęstunek prosiła, zaradna jest, z taką kobietą niemało można zwojować. Niby się wymawiali, ale jajecznicą pachniała, a oni tam na urzędach wiele widać nie mają, to się i zląkomił. Trochę wędliny, ostatek, też podaliśmy, masło, ser świeżutki, aż zacmokali na to bogactwo. Ze strachem postawiłem butelkę samogonu, spirytus, trzy razy przepuszczony, prawie nie pachniał. Wypili. Sekretarz zaśmiał się pytając, gdzie taki dobry można tu dostać. Burknąłem, że z miasteczka, tam kupiłem na rynku. Tylko milicjant trochę bokiem na mnie popatrzał, gdy mu tamten powiedział ze śmiechem, że słabo pilnują, jak pod posterunkiem sprzedaje się bimber.

Zaraz potem pojechali do mojego sąsiada, tego Władka, co z matką mieszka i siostrą. Patrzyłem za nimi, podobali mi się. A potem przyszła mi taka myśl do głowy, że gdyby to widział ktoś z „leśnych”, zaraz bym dostał baty, iż trzymam z komuną, mam z nią szacherki.

Naszą Klarę wzywali do magistratu. Spisy tam robią Niemców na wysiedlenie. U nas tutaj trochę się to przyhamowało, podobno pchają ich głównie z ziem nad Odrą, ale jak widać, szykuje się wysiedlenie i na Mazurach. To drugi już taki spis. Pytają, czy chce jechać i dokąd. Mówi: do krewnych w zachodnich Niemczech, podaje miejscowość. Zapisali, opowiadała, że jakiś urzędnik szeptał, niech mu da pięćset złotych, to lepsze miejsce zarezerwuje dla niej w wagonie. Nie miała, więc nie dała. Że taki drań jeszcze żeruje na cudzym nieszczęściu! Bo jacy ci Niemcy, to wiadomo, słusznie, że ich stąd wypychają, ale takiej starej kobiety szkoda, na ostatek życia odjeżdżać ma nie wiadomo gdzie.

Wiem, bo i myśmy też odjeżdżali... A w domu Klara zaczęła płakać. Pojedzie, mówi, ale czy wie chociaż do kogo. Pisze i pisze do swoich krewniaków, a tymczasem ani karteczki w odpowiedzi. Może ich tam nie ma, może jej nie chcą, dlatego milczą. I co wtedy będzie, co pocnie daleko, wśród obcych? Mówię, że dopiero będzie ze swymi, z Niemcami. Tak mnie przekłuła spojrzeniem, aż się jej przestraszyłem. Co mnie to zresztą obchodzi? Byle prędzej tych Niemców już wysiedlili, lepiej ich, starych i młodych nie widzieć na oczy, za długo się już na drani patrzyło... Obwieścili, że w końcu czerwca odbędzie się referendum, takie niby wybory, pytania będą, na każde trzeba odpowiedzieć: tak albo nie, Ruch się już przy tym wszczął na całego. Miasteczko nasze małe, a polityka się zrobiła tam wielka, jakby w jakiej

stolicy. Już sam nie wiem, ile się nabrało tych partii i stronnictw. Największy atak idzie na ludowców Mikołajczyka, na PSL. Bo w miasteczku też mają oni swój komitet. Aptekarz im przewodzi, innych nie znam. Jak się okazało, i mój sąsiad Władek tam się zapisał. - Chłop - mówi - jestem, to mnie nie w robotniczej partii być, ale w ludowej. - Ale teraz nietęgą jakąś ma minę. Bo to i milicja do niego zagląda, ot, niby tak *bez* powodu, i gazety jakieś ślą, gdzie mowa, że ten PSL idzie razem z bandziorami. Klnie, wyzywa, że nieprawda, czyta taką swoją „Gazetę Ludową” z Warszawy. Nie co dnia ona dochodzi, giną na poczcie niektóre numery.

Dobrze, że ja się nigdzie nie zapisałem, od samego początku wszystko mi było niejasne. Jak i dzisiaj. Bo z jednej strony Mikołajczyk, wódz PSL-u, to wicepremier, minister rolnictwa, a tymczasem wyzywa się na niego, a w tym rolnictwie też wygląda, jakby to jego ministerstwo niewiele miało do powiedzenia... Przypomniało mi się, co wtedy gadał porucznik Adam. Choć i tu nie wszystko pasowało do siebie.

Wczoraj wieczorem w jakiejś wiosce zastrzelono tego z partii, co to był wtedy u mnie razem z burmistrzem i sekretarzem, tego, który się znał na rolnictwie. Niegłupi był, nikomu nie szkodził, wyglądało, że chodzi mu tylko, żeby było jak najwięcej ziemi uprawnej, żeby rozwijała się gospodarka. Może ja nie wiem, może miał tam coś za koszulą, ale nie podoba mi się to wszystko. Strzelać po ciemku, ani patrzeć, że człowiek ma żonę i małe dzieci... Jutro zapowiadają, odbędzie się uroczysty pogrzeb. Władek ma iść z delegacją pogrzebową PSL-u, nieść wieniec. Też się krzywi na wszystko... Tej samej nocy aresztowano podobno kupę ludzi, aż miejsca braknie w areszcie. Rozumiem, szukają winnych, ale że niejeden nacierpi się niewinnie, jak ja, to pewne, Łatwo aresztować, ale jeżeli z krzywdą, to o wiele trudniej ją potem naprawić.

A wyglądało, że się już niby uspokoiło. Tymczasem; wieści chodzą, że i gdzie indziej też nie najlepiej. To wszystko chyba w związku z tym referendum.

Nareszcie lipiec, najwyższy czas zaczynać sianokosy. Można było kosić już przed tygodniem, ale zwlekało się, za gorąco było. Nie to, że z nieba, choć stamtąd również przypiekało niezgorzej, ale w związku z referendum. Ależ gwałt się zrobił. W miasteczku nie zostało jednego domu, płotu chociażby, żeby nie krzyczały stamtąd czerwone, białe, czarne napisy, co jeden to większy od drugiego. „Głosujcie trzy razy tak...” „Tylko świnie głosują na nie”. A zaraz obok: „Raz nie, dwa razy tak”. Przy tych ostatnich patrzyłem, czy nie poznam ręki Władka. Bo to jego PSL tak właśnie nakazywał głosować. Za reformami, za ziemiemi odzyskanymi, ale przeciw skasowaniu senatu. Chodził Władek, chodził, aż przestał, jak go konkurencja, też z kubełkami farby, przetrzepała dobrze po krzyżu; chociaż się chwalił, że on

też nie żałował pięści, a ma je jak bochny. Agitował mnie, żeby wstąpić do tych jego ludowców. Powiedziałem, że nigdzie nie wstąpię, a taką politykę z mordobiciem mam gdzieś... Tego mi jeszcze trzeba, mieszać się w to wszystko... Ciekawe, kto teraz będzie zmażywał te napisy, przecież nie można zostawić tak zapaćkanych domów.

A te różne bandy to namawiały podobno, żeby głosować trzy razy nie. Tego już nie pojmuje. Bo jeszcze co do senatu, mnie on niepotrzebny, ale w końcu mała rzecz, nie mnie by wybierali do niego. Reformy społeczne już co innego. To wyjdzie wszystkim na dobre, po co mają u nas jacyś obcy, a choćby i swoi, mieć własne fabryki. Ale główna rzecz -<- to ziemie odzyskane. Przypomniał mi się Pacuk, gdy mówił, że narodu nie można szarpać bez przerwy, z miejsca na miejsce. A gdyby wołać „nie”, to trzeba by z tych ziem wyjeżdżać. Niemcy by tam najpewniej wrócili, niedoczekanie ich...

W końcu zgniewało mnie to. Głosowałem trzy razy tak. Na żadne wiece nie chodziłem, bo to zwoływały je i robotnicze partie, i PSL. Można było przy tej okazji dostać po głowie. Wołałem, niech sobie pracuje nie potłuczona.

A tak naprawdę, to w końcu nie wiem, może bym na ten pierwszy punkt o senacie powiedział nawet, że nie... Choćby dlatego, *żeby* już nie być taki gorliwy, za wiele mi jeszcze tutaj się nie podoba. Ale już w sam dzień referendum zobaczyłem w miasteczku na rynku jednego z tych, co to wtedy w jedenastu mieszkali u mnie. Ten najstarszy z krzywą głową, który mówił, że coś brzydko mu pachnę. Pogadywał do ludzi, poznał mnie, nic, tylko palec przyłożył do ust. A potem widziałem, jak się tak mi przyglądał co jakiś czas, aż - w końcu zniknął z oczu. My zaś z Losia ledwie rzuciliśmy kartki, zaraz z powrotem do domu. Ciekawe czy tamten namawiał, żeby trzy razy nie, czy jak Władek: dwa razy tak, raz nie. A może w ogóle nie namawiał, wyszedł z lasu, kręci się między ludźmi, chciałby sobie żyć już spokojnie? Kto może wiedzieć?

Już ogłoszono wyniki, okazuje się, większość głosowała trzy razy tak albo przynajmniej dwa razy, jeszcze tylko łakomiąc się na ten senat. Prawie wszyscy byli za ziemiami odzyskanymi. To mi się podobało najbardziej. Bo już nieważne, czy ja mieszkam na tych ziemiach, czy gdzie indziej, ale one się nam należą, piastowska, jak to mówią, kolebka, odebraliśmy swoje od Niemców. Za nasze udreki, za wojnę i okupację, za miliony zabitych i tak mała zapłata, nikomu to życia nie wróci, ale jednak coś jest i trzeba to mocno trzymać w garści. Warto by kiedy pojechać obejrzeć bliżej. Bo wtedy, latem, to nic nie zobaczyłem, ruiny w Szczecinie i nóż w łapie bandziora. W Gdańsku w ogóle nie wylądowałem, a piękne podobno miasto. I Wrocław... Tylko czy to czas będzie, a i pieniądze? Chyba że dobrze obrodzi.

Teraz najważniejsze to sianokosy, póki pogoda. Trawa ładna, bujna, zbierze się kilka wozów. Co jeszcze zapiszę? Gniada się oźrebiła, znów jest przychówek.

Spoglądam na swoje notatki. Pisałem je w lipcu, zaraz po referendum. Gdzieś tak w rocznicę przyjazdu na Mazury. Transport nasz, pamiętam, przystanął na stacji w Łuczanych, na peron wyszedł starosta, młody człowiek, tłumaczył, co to są ziemie odzyskane, zachęcał, by się na nich osiedlać. Większość pozostała, rozsypaliśmy się po wsiach wielu osiadło w samym mieście... Miesiące lecą. Tadzius nam rośnie. Kaśce też nie brakuje niczego. Mejsuty oddalają się w pamięci, czasem tylko wspomnienie jakieś o nich zaboli ostro, zapieczę, ale zaraz potem zacicha.

Znowu jesień, druga jesień na nowiźnie. Mocno padało, czyżby to tutaj taka już reguła, że od września leje i leje? Między jedną ulewą a drugą cudem jakimś zebrałem zboże, łapałem każdą chwilę, gdy tylko się przejaśniło. Średnio mi obrodziło, chwast częściowo wygłuszył pszenicę, ciężko będzie uporać się z ostem. Byle wiatr, wieje nasieniem od drugiej strony rzeczki, gdzie spory kawał ziemi oddano technikum rolniczemu, założyli je dopiero co w miasteczku. Dziwne, że się jeszcze nie zabrali do uprawy, leży rola dyrwanem, rozsadnik chwastów. Jeszcze parę lat roboty, nim się wypłeni paskudztwo. Ale przecież trochę się i zebrało. Owies mi pięknie obrodził, nawet oset nie dał mu rady. Żeby trochę się ociepliło, można by zaczynać kopanie kartofli. Ogrodem zajmuje się Losia, sam nie wydoliłbym z czasem, kobiecie na szczęście się poprawiło, weselsza, lepiej radzi z robotą. W ogrodzie rośnie wszystko nad podziw. Wszyscy sąsiedzi dziwią się moim pomidorom, ogórki wozami odstawiałem na rynek. Buraki, marchew - choć na wystawę - słać. Mówią, że będzie w Olsztynie wojewódzki pokaz rolniczy. Czasu brak, gdyby nie to, może bym się zapisał... A jeśli nie teraz, w następnym roku warto by może zabrać się mocniej do ogrodnictwa. Rozsadę w kilku oknach miałem na wiosnę śliczną, cała okolica zbiegała się z zakupami.

Uspokoilo się w okolicy. Gdzieś dalej, słyhać, chodzą jacyś „leśni”, ale już nie tyle, co przedtem. Sporo ich wylapano, inni może się przyczaili, na coś czekają, kto wie. Przed dwoma miesiącami, z początkiem września, przyjechał do Niemiec ten amerykański minister, Byrnes. Bardzo się ujmował za Niemcami, tamtymi, co pod okupacją zachodnią. Na Polskę krzywo patrzył, powiedział, że granica na Odrze i Nysie jest czymś chwilowym. Może inaczej zresztą, ale podobnie. Straszny krzyk u nas się podniósł, radio i gazety szumiały, wiece zwoływano, manifestacje, w naszym miasteczku też była demonstracja na rynku przed ratuszem. Poszedłem, tym razem wrzeszczałem, razem z innymi. Aż dziw, jak w tej sprawie ludzie są zgodni. Nawet ci, co nie lubią komunistów i PPR-u. Szkoda, że w wielu innych

sprawach tak się wszyscy nie godzą, byłoby może lepiej w tej Polsce.

Później okazało się, że samymi wiecami i gardłowaniem w gazetach niewiele się zwojuje. Nie wiadomo, jak i kiedy zaroilo się u nas raptem od osadników, którzy przyciągnęli tutaj znad Odry, z Dolnego Śląska, nawet z Gdańskiego. „Te Prusy - mówili - może przy Polsce zostaną, ale tamte ziemie niepewne. Słyszeliście, co gadają Anglicy i Amerykanie? Lepiej zawczasu wynieść się stamtąd niż potem oberwać po łbie. Bo to pewnie Niemcy tam wrócą, a wtedy patyczkować się z Polakami nie będą. Tam przecież tych hitlerowców wielu jeszcze zostało...

Podobno takie nastroje „walizkowe” objawiły się na tych ziemiach zachodnich dość silnie. Pisano o tym w gazetach, szukano sposobów, jak z tym walczyć. Najwięcej uciekali osadnicy z Polski centralnej, ci co łam mieli gospodarki, rodziny, mieli do czego wracać. Najpewniejszy okazał się nasz zabużański repatriant. On nie ma dokąd wracać, musi się trzymać tej nowej ziemi, wczepiać się w nią pazurami. Jak ja. Nie uciekałbym przecież, gdyby co, rwałbym się do bicia z Niemcami. Bo gdzież bym poszedł? Na mnie ten Byrnes podział jak płachta na byka, rozzłościł. Tak samo i wielu innych.

- Taka jego mać - krzyczał Włodek, ten sąsiad z PSL-u - gównu Angliczaninowi do polskiej ziemi.

Śmiano się z naszych, że to niejeden łapcie przywiózł łykowe, że bieda, nie zna się na nowoczesnej gospodarce, kury po pokojach i świnię trzyma. Zdarzają się tacy. Jeżeli ktoś całe życie był komornikiem albo siedział na pół hektara piasków, a teraz ma ziemi, ile dusza zapragnie, własnej, rodzajnej, to pewnie, że może zgłupieć. Skąd się ma znać na dobrej uprawie? Ale gdy się popatrzy wokoło, to najbardziej właśnie ci repatrianci dbają o gospodarke. Radzą sobie, jak który umie, chodzą w łapciach czy butach, ale u nich najmniej ugorów, najwięcej zboża, kartofli. Już się wczepiają w tę ziemię, wiedzą, że muszą żyć dla niej. A taki Włodek mówi, że on by już na pewno nie wracał. Do czego? Do tej biedy, którą tam miał, do smrodliwej chałupy z jedną izdebką do harówki na cudzym?

Tak samo jest ze mną. Jakże, rok harówki nad siły i potem jakby nigdy nic, zostawiać to wszystko? Żeby sił tylko starczyło. Coś mnie zaczyna czasem pobołować żołądek, na szczęście soda pomaga, wypiję i znowu dobrze.

Nie pisałem nic tutaj od lipca. Choćbym chciał, nie było kiedy. Wieczorem walił się człowiek jak nieprzytomny, zdarzało się, ubrania już zrzucić nie mogłem. Od szarzyzny świtu do ciemna, i tak co dnia. Tu sianokos, tam orka, zrywanie ostu, ręce potem bolą pokłute, palenie całych kup chwastu, ani się obejrzyysz, już żniwa, a ludzi do pomocy nie ma gdzie nająć. Niemców mało już zostało w miasteczku, przedtem oni się wynajmowali. A jeśli ktoś

się już zgŁosi, nie wiadomo, ile *zaząda*, można by pójść z torbami przy takich pomocnikach. Szczęściem, jest ta Klara do dzieci, mogła mi Losia pomagać. Żniwa, suszenie, „zmaganie się z deszczem, już podorywka, zaraz mierzwę trzeba wywozić, sporo się jej zebrało; po nasiona wymienne na zasiew jechać, umawiać się o pomoc w kopaniu kartofli. A jeszcze normalne zajęcia przy gospodarstwie, świnię trzy i dwakroć tyle przychówku, wiele to zeżre przez dzień. Losia na wiosnę posadziła aż osiem kwok, są - kurczaki, trochę indyków, kaczki bobrują po rzece albo zapuszczają się na gliniankę. Mam też nowy nabytek, psa sobie sprawiłem. Śmieszny jakiś, łaciaty, przykrótki w nogach, za to o zadzie szerokim, ale czujmy, niech się tylko coś ruszy w pobliżu, ujada, aż się cała okolica psim łajaniem podnosi.

Niedziela dzisiaj, ale jak nie w polu, to w obejściu nawet w święty dzień dosyć roboty. Teraz też trzeba iść krowom i klaczy podrzucić, źrebakowi, przynieść kartofli do parzenia na jutro, Losia nie poradzi z ciężarem. Już nie wiem, czy ochota się znajdzie do przeczytania gazety. Dwie prenumeruję, ale mogę co najwyżej je przejrzeć, czasu brak. Chyba zimą sobie odbiję, jeżeli się co nie zmieni.

Mamy już grudzień. Z pola wszystko sprzątnięte, zasiane, ozime wzeszło ładne i gęste. „Klara odjeżdża, przed dwoma dniami wezwali ją do punktu zbornego w Sątopach. Trochę nam będzie jej brak. Popłakała się Niemka na odjezdnym, że to jej dobrze tu u nas było. Śmieszna, albo i ona nie człowiek?

Na styczeń mają być rozpisane wybory. I od razu spokój jakby zdmuchnęło. Gdzie nie patrzeć, ruszyła jakaś partyzantka, „leśni” czy zwykłe bandy, jak zwał, tak zwał. Dość, że krew się leje po obu stronach; u nas tu niby cisza, ale też nocami strzelanina skądś dochodzi. Na niejednych padł blady strach, urzędnicy jacyś niepewni, grzeczniejsi się zrobili, ludzie na wsiach barykadują na noc chałupy, niektórzy wołają nie sypiać w domach. Zwłaszcza podobno pomstują ci z lasów na członków partii. Jak znajdą legitymację, każą ją zjadać, potem ćwiczą gościa kijami, to już w najlepszym razie, bo i strzelić potrafią, wyprawić na drugi świat. Ich też nie żałują, co prawda, ruszyło przeciw reakcji jak woła radio i krzyczą gazety, nie tylko UB czy milicja, ale i wojsko, specjalnie w tym celu powstały nowe jednostki - KBW. Byle wyjść na szosę, zaraz natknie się człowiek na mundur. Gdy jechałem do Kętrzyna końmi, trzy razy mnie legitymowano. Raz milicja, drugi raz KBW, a trzeci raz też wojsko, przynajmniej ludzie w wojskowych mundurach, w rogatywkach z orłami z koroną. Zatem wiadomo, już, o kogo tu chodzi. Im bliżej do końca roku, do stycznia, na który zapowiedziano wybory, tym się robi goręcej. W Lubelskiem czy Kieleckiem, a bliżej nas w Białostockiem, podobno zupełnie jakby front. A wojna niby to przed dwoma laty się skończyła. My też wieczorami wcześniej gasimy światło, niech nas nikt z szosy nie widzi, zła lepiej nie kusić. Bo i milicja o mnie znów

sobie przypomniała, wpadła dwa razy niespodziewanie, pytając, czy kogo u siebie nie ukrywam.

Koło Piza podobno są bandy niemieckie. Złapali jedną taką, jakoby sami z SS. Ale inni wciąż jeszcze chodzą. Ci to nie mają nic do Stracenia, psiekrwie, ciężka być musi z nimi przeprawa.

Kupiłem kartki w miasteczku, wysłałem życzenia Pacukowi i znajomkom, którzy jeszcze w Mejsutach czy Wilnie zostali, posłałem też do Gdańska, gdzie osiedli kuzynkowie żony i młodszy brat, który dopiero niedawno za tamtymi przyjechał. Żal że nie napisałem do niego wcześniej, jak był na Litwie, niechby wywiedziało się w Wilnie o pana Tadeusza. Śnił mi się parę razy, z rybami wielkimi, a to na powodzenie, na pomyślną wiadomość albo spotkanie. Dałby Bóg, może bym wtedy mógł więcej zrozumieć z dzisiejszych dni. Zakłuło mnie coś w sercu w tej chwili. A co, jeżeli pan Tadeusz też jest za zbrojną walką z komunistami, jeżeli tkwi gdzieś w leśnym oddziale? Bo przecież wszystko możliwe.

Pierwsze płatki śniegu za oknem, grube, mokre, zaraz się roztopiają na ziemi. Nowa zima nadchodzi, razem z nią Nowy Rok, dajże Boże, szczęśliwy i pomyślniejszy od poprzedniego.

Nowy Rok, tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy. Siedzę trochę ociężały, w głowie jeszcze mi szumi. Za wiele wczoraj wypiliśmy. Niespodziewanie się zjawił Zenek, brat Losi, który dopiero niedawno zjechał wraz z resztą rodziny do Polski. Przybył z odwiedzinami, ale wydaje mi się, że długo u nas pobędzie. Bąkał, że się pokłócił ze swoimi, że miasto wielkie mu nie pasuje, lepiej by się czuł na wiosce. Ma siedemnaście lat, wyrosnięty i mocny; o nauce myśli, o jakimś zawodzie, ale to od jesieni, przedtem chciałby się trochę rozejrzeć. Jeśli ma ochotę, niechaj zostaje, starczy tego, co jest, dla wszystkich, jeszcze w gospodarce pomoże, bo sam długo chyba tak nie pociągnę. Skoro już gniada robi bokami, cóż o mnie mówić.

Łagodny, cichy dzień, śniegiem nieźle zawiąło, bielutko wkoło. Trochę czytałem *Krzyżaków*. Mądrze zrobili z tymi tanimi książkami, które można kupić u listonosza. Dobrze byłoby zacząć zbierać bibliotekę dla Tadziusia. Ani się spostrzeże, jak chłopak podrośnie, zacznie się - uczyć. Martwi mnie, że trochę jest słabowity. Niby nic, ale męczy się łatwo, czasem siada gdzieś w kącie osowiały i wpatruje się w jedno miejsce. Byliśmy u lekarza, trzech ich jest już przy szpitalu w miasteczku. Zbadał, powiedział, że nic groźnego, teraz wszystkim dzieciom sporo brakuje po wojnie. Odżywiać go dobrze, a wyjdzie z tego. Pocieszyło mnie to, bo już bałem się o jego płuca. Pamiętam moją chorobę, zostawiła ślad potem na całym życiu; że i dzisiaj czasem mi tak bardzo ciężko, ledwie radzę z robotą, tam właśnie należy szukać przyczyny.

Losia zasnęła razem z małą. W nocy Kaśka darła się czegoś, niespokojna była, to i kobiecie niewiele się spało. Zenek ubrał się, poszedł rozejrzeć się w naszym miasteczku. Cudów tam nie zobaczy, choć też inny już obraz aniżeli rok temu. Ruiny uprzątnięte w większości, wyrównane, latem trawniki, ratusz otynkowany od nowa, świeżutki, świeci białymi ścianami. Kościół ogromny, stary gotyk - trochę dalej ruiny zamku, głęboka fosa, mają ją na wiosnę oczyszczać; smród bije od zastalej wody, diabli wiedzą, czego w niej nie ma, dopiero przecie wojna minęła. Najbardziej ponury jest most jeden kamienny nad fosą, tylko na ostatnim odcinku była część podnoszona. Fosa tam wrzyna się w parów, most częściowo wspiera się o jego dno, częściowo zwisa łukiem nad wodą. Od strony żarniku jest ślad po dawnych drzewach, a w murach tego mostu okienka, maleńkie, aniby głowa przez nie nie przeszła. Jakoby było to takie więzienie, w zimnie i wilgoci tkwili tam ludź więzieni przez Krzyżaków. Jak czytam Sienkiewicza, zaraz mi staje to przed oczyma... A wracając do miasteczka, to zapowiedziano, że niedługo uruchomią w nim stałe kino. Można by czasem się wybrać. Losi przydałaby się jakaś rozrywka. Próbuje się tworzyć amatorskie zespoły, biblioteki, będzie to kino. Niby niewiele, ale razem i bardzo dużo. Do biblioteki warto się chyba zapisać. Inna rzecz kiedy będę czytał? Jeśli i w tym roku trzeba będzie tak ciężko pracować, nie znajdzie się wolnej chwili. Może i dobrze by było, gdyby Zenek dopomógł, wynagrodzę jakoś, pomogę w nauce.

Gdyby tak ojciec żył i mógł mnie zobaczyć, jak cały dzień brnę za pługiem przez glinę, a potem do późna w noc przy świetle wyrzucam gnój z obory, by jeszcze przy szarym świetle wywozić go na pole, nie wiem, zdumiałby się więcej czy też przestraszył. Od pierwszego zachorowania, miałem wtedy chyba coś dziewięć lat, niewiejskim zwyczajem z całą energią zabrał się do leczenia, półtora roku trzymał mnie w sanatorium; od tamtego dnia postanowił, że nie mnie na roli pracować, muszę się uczyć czegoś innego. Tak dostałem się do gimnazjum, skończyłem pięć klas, zaczynałem myśleć już o maturze, gdy nagle śmierć ojca, wszystko runęło, trzeba było wracać, pomagać swoim... Kilka trudnych lat, wreszcie siostra wyszła za męża, szwagier zajął się ziemią. W samą porę, bo znów się płuca podziurawiły. Od nowa leczenie, a potem jakby próżnia. Ani się uczyć dalej - stary koń - ani zawodu w ręku. Strzeliło mi: kursa szoferskie. Duży koszt, a w wyniku dwa miesiące jazdy na zmiennika w taksówce, parę okazji wyprawy na tamten świat; nie dla minie to było. Wróciłem do Mejsut, już zawieszony w próżni, we wsi i poza nią. Ziemię wydzierżawiłem szwagrowi, sam się zająłem ogrodem. Stąd był czas na zabawę w „Wiciach”, poletka doświadczalne, sadownictwo, pszczelarstwo, próby podciągnięcia młodzieży; na starych nie było co liczyć, na sztuczne nawozy patrzyli jak na zarazę”... A potem wojna, niby żyło się w

Mejsutach tak jak zawsze: dzierzawa, sad, tyle że już nie było „Wici”, a z młodymi, niektórymi, zaczęło się mówić o czymś zupełnie innym.

Patrzę sobie za okno na śnieg, nasłuchuję, jak obok śpią Losia z małą, jak Tadiusz pokrzykuje z podwórza, i śmiać mi się chce. Śmieszna, okrężna droga z powrotem do punktu, z którego się wyszło. Gnój, harówka, ani chwili wolnego czasu dla siebie, i znów zagubienie nie tyle w wiosce, ile w Polsce, do której mnie i ciągnie, i której zrozumieć nie mogę.

Że komunistyczna, socjalistyczna... Ja, cóż, Chrystusa Marksem nie zastąpię. Ale jeżeli się z czymś nie wojuje, to trzeba szukać spraw, które łączą. A byłoby takich niemało. Cóż, komuniści, gdyby byli jak ten, którego zastrzelili przed referendum - fachowiec, gdy mówił o zbożu, było wiadomo, że na nim się zna - z takimi nietrudno by się chyba zgadało. Gęby też nie darł, nie zasłaniał się bez przerwy ideą, chciał po prostu, żeby było dobrze. Z takim to i ja gotów byłbym pójść konie kraść... Przypomina mi się nasz Grzybas spod Mejsut, siedział na takiej maleńkiej kolonii pod lasem, otoczony dokoła rojstami. Sam był jak palec, w tamtej jeszcze wojnie cała jego rodzina wymarła na tyfus. Coś dłużał przy ziemi, tyle, żeby mu na najpotrzebniejsze starczyło, resztę czasu czytał. Książek miał jak w bibliotece, politycznych najwięcej, ale nie tylko. Był komunistą, o tym wiedziała cała okolica, wiedziała i policja, wieleż to razy robili w tej jego biedzie rewizje, aresztowali, miesiącami trzymali w więzieniu. Najbliższy sąsiad z dobrego serca zajmował się wtedy gospodarzeniem. Sam, bywało, także niekiedy pomogłem... W wiosce też było trochę takich, co to do wojny najwięcej się zawsze awanturowali, ale żaden z nich nie próbował z nami się łączyć, żeby coś choć trochę poprawić. Ale jak przyszedł trzydziesty dziewiąty, jak już weszły władze litewskie, to ci pierwsi się ogłosili komunistami i pierwsi pognali rąbać majątkowy las, co do wioski przylegał... Majątek jak majątek, właściciel jak właściciel, nie w tym rzecz, jedno było wiadomo, że las ten kochał i mając nawet prawo wyrębu sosenki nie spuścił, żał mu było, takie rosły dorodne drzewa... Mógł teraz żałować, patrząc, jak śmigają wszystko pod toporami. Wieźli do siebie, sprzedawali na całą okolicę, okazali się drwale, że lepszych nie znajdziesz. Wtedy Grzybas się ruszył na tych najgłośniejszych, co to przy każdym uderzeniu siekierą w drzewo wołali: "Niech żyje komunizm i Związek Radziecki!" Sklął ich, wyzwał, potem dla odmiany tłumaczył, że wspólne dobro, że tak nie wolno, że to anarchia. Zbili go tak, że ledwie z życiem wyszedł... A jak po tym okresie litewskim przyszedł już na dobre władze radzieckie, to dopiero piekło się zaczęło za ten wycięty las. Wycięty i cięty nadal, nie żalowali bo sobie. Nie Grzybas doniósł, nie był z takich, każdy sam to widział, co się zrobiło... Już lepiej nie wspominać, co potem paru z tych największych krzykaczy wyprawiało za Niemca. Tylko Grzybas zawsze był taki sam. Jakoś długi czas hitlerowcy go

nie ruszali, nie trafili najpewniej na ślad, zabrali go dopiero przed samym nadejściem armii radzieckiej, zaginał... Wiele to razy odbywały się u starego odprawy, zbiórki, on przechowywał jakiś czas broń, z nim pan Tadeusz też miał jakieś znoszenia, wiem, że często nocowali tam różni ludzie. Pan Tadeusz nieraz dyskutował, kłócił się słowo za słowo ze starym, inaczej dużo rzeczy widzieli, a jednak mogli być koło siebie i razem ze sobą. Chodzi o uczciwość w ludziach, to najważniejsze...

Zebrało mi się na wspominki i zatęskniłem teraz do Mejsut. Jacy tam ludzie byli, to byli, ale z nimi się rosło, chowało, przeżywało dobre i złe. Swoi. A tutaj? Człowiek sam tkwi jak zapowietrzony, unika innych, niepewny, kto kim jest. Trochę się to przeciera, już i my znamy się z sąsiadami z najbliższych gospodarstw, wpadnie czasem pożyczyć coś jeden od drugiego, ale i tyle. Może tylko Władek jest bliższy, ale jedna jaskółka nie robi wiosny.. I nie to może, że ludzie z różnych stron, niezwyčajni siebie, ale że każdy jakiś zastraszonej, patrzy, żeby nikomu się nie narazić, z czymś nie wygadać. Tyle się słyszy pogłosek że i na to krzywo patrzę, i na tamto, nikt nie wie, co prawda, co wymysł, woli zamknąć się w sobie, nosa nie wychylać poza swoje sprawy...

W Mejsutach na Nowy Rok co by się działo! Jedni do drugich, wieczorem zabawa, nie obeszłoby się bez bitki, gadanina, spaceru. A ja to bym pewnie poszedł z wędką nad rzeczkę, przy zakręcie, gdzie ta wielka głębia, na blachę dobrze brały spod lodu okonie. Bywały garbusej i po dwa kilo. Zawsze mnie ciekawiło, że latem nigdy nikt takiego nie wyciągnął na wędkę, a i do siatki taki okoń nie wszedł. Musiały mieć swoje schowania, czujne były, zimą głód je czynił mniej ostrożnymi... Stałbym nad przerebłą, od łąk, zza tych wysokich olszyn może by wydra wyjrzała, od lat się tam trzymały, chłopcy próbowali je łapać, nie udawało się. Zimą żerowały koło bystrzyny tak ostrej, że woda tam nigdy nie zamarzała, choć reszta rzeki, stała pod lodem...

Tadzius z kimś rozmawia, poznaję, to Zenek. Trzeba kończyć pisanie, wywiedzieć się od chłopca, co w naszych stronach. Nie z Mejsut oni, z innej strony, od Podbrzezia, ale zawsze ta sama ziemia. Jakże tam sobie ludzie dziś radzą?

Jak na nasze stosunki wybory styczniowe przebiegły zupełnie spokojnie. Gdzie indziej w Polsce jakoby bywało różnie, czasami gorąco, choć już się nie słyszało o takiej szamotaninie zbrojnej jak przed referendum. U nas, na Mazurach jakby, przycichło, ludzie zasiedzieli się, więcej myślą o tym, jak zarobić na chleb, nie próbują politykować, Tyle że z tym PSL-em szło cały czas na udry. Inne partie i stronnictwa zrobiły blok wspólny, tamci wystąpili osobno. Choć i oni się także rozbili, jakaś grupa odeszła i zrobiła drugi PSL; ci w

wynikach mają osiem mandatów, a PSL ledwie, ledwie (koło trzydziestki. Inna rzecz, wspólny blok był o wiele mocniejszy. Choćby po afiszach, ulotkach i różnych innych druczkach rachując. Ależ to musiało kosztować! Polityka nietania rzecz.

Wahałem się dość długo. Czytałem te plakaty, miałem dużo i z PSL-u, sąsiad Władek przynosił, agitował po swojemu. W końcu jedno mi się wydało jasne, że trzeba poprzeć jakiś porządek. Póki będzie to wojowanie w kraju, wszystkie pieniądze zabierze propaganda, a tymczasem jest wiele ważniejszej roboty. Głosowałem za blokiem demokratycznym. W miasteczku niektórzy, partyjni głównie, szli jawnie, niejedni tak kartkę swą wyciągali, że i na kilometr można było numer odczytać. Mnie się to nie wydawało. Poszedłem za zasłonę, gdzie w samym rogu - całą salę przejść trzeba było, żeby do niej się dostać - postąłem chwilkę, potem wrzuciłem swój głos... Władek zły był na mnie, czemu nie głosowałem na jego listę. Czy chcę kołchozów? Powiedziałem, że jakby miały już być te kołchozy, to PSL nie obroni przed nimi. Czego zresztą się ciska, jeżeli i u nich tam nie ma porządku, jakieś grupy się odłączają, buntują się...

Właściwie było mi jego żal, tego Władka, jak zobaczyłem minę chłopca po ogłoszeniu wyniku wyborów. Długo głową kręcił, nic nie mówiąc. A parę dni potem ten ich przewodniczący z miasteczka, aptekarz, spakował manatki i wyjechał. Ja myślę, już to łatwego życia on nie miał, a jeszcze teraz po ich przegranej. A zaraz potem rozsypało się koło PSL-u w naszym miasteczku. Władek wyraźnie odetchnął. Inna rzecz, twardy był, już mu na różny sposób przedtem radzono, by się wycofał z tej historii, kłął i pędził tych namawiaczy do wszystkich diabłów.

Mówią, że teraz utworzony zostanie nowy rząd, już nie tymczasowy, nastaną lepsze porządki. Niechby wreszcie nastąpiły.

Od Pacuka nadeszła kartka, przeprasza, że nie od razu odpisał na życzenia i swoich świątecznych i noworocznych nie przesłał, ale był bardzo zajęty i ze szczęścia o niczym nie mógł pamiętać. Syn starszy mu się odnalazł, w wojsku służy, przyjechał na krótki urlop. Więcej, dodawał jeszcze Pacuk, to mi później napisze albo i sam przyjedzie, weźmie sobie trochę urlopu. Ucieszyłem się nowiną. Może teraz odejdzie Pacukowi ten smutek, nie będzie kłął w rozmowie o byle co i skakał do gardła.

Zaczęliśmy z Zenkiem szukać skarbów. Śmieszne, ale prawdziwe. Coś mi wyglądało, że moje pszczoły zaczną się roić, myślałem też o zakupieniu paru rojów, dobrze byłoby mieć chociaż z sześć uli, starczyłoby miodu dla siebie i byłoby jeszcze na sprzedaż. A robota przy pszczołach przyjemna. Zdobyłem już cały sprzęt, sporo tego pętało się po różnych gospodarstwach, wymieniałem u ludzi to - za wódkę, to za weki, których u mnie w piwnicy

było pełno. Niemiecka moda, wszystko pakować w słoje. Wygodne, u nas tego nie znano; jak coś trzeba było dłużej przetrzymać, to się solilo, potem mięsa jeść często nie było można, aż gębę zwierało, sama sól...

A z tymi pszczołami, to polazłem - na strych, żeby ściągnąć jakieś deski na ule. Zima, jedyny czas, kiedy można coś zrobić. Przy kominie była mała wędzarnia, zgrabnie urządzona. Z jednej strony ścianka wydała mi się grubsza, obita deskami. Podważyłem jedną siekierą. Zaskrzypiały gwoździe, ustąpiły, a tam jakby szafka, półki, na nich zaś nastawiano różności. Od odważników - że się im chciało chować takie śmiecie - do moździerzy, kompletów śrub, kluczy francuskich, zamków i innych takich cudów. Najcenniejsze jednak były porcelanowe filiżanki, spodki, dzbanki, dużo tego, bardzo delikatne i ładne. Losia strasznie się ucieszyła, czerepów u nas brakowało, chcieliśmy już kupować. Teraz ładny kawałek grosza zostanie w kieszeni...

Strasznie się to wszystko spodobało Zenkowi, zaraz zaczął oglądać każdą deskę w domu i gospodarce, każdy murek, wszędzie coś podważał, uchylał, aż się już bałem, że mi zdemoluje budynki. Śmiał się, dłużej dłużej. I znalazł. W stodole, w takiej cementowej skrzyni wmurowanej w polepę, owinięty w tłuste szmaty był ładny motor, w sam raz do siewkarni czy młocarni. Pasy też były. Naprawdę ładna zdobycz. Więcej jednak niczego nie udało się wymyszkować... Aż dopiero wczoraj, koniec lutego, wyszedłem do ogrodu, żeby podkopać ziemię koło inspektów, obłożyć je świeżym nawozem, czas przecie na siew rozsady, już mam w okolicy markę specjalisty od tych spraw. Kapustę moją zwłaszcza bardzo chwalili, biała, duże głowy i mocno nabite. Kopię, aż mi łopata zgrzyta jak po żelazie. Przestraszyłem się w pierwszej chwili, że jakaś mina. Ostrożnie już badam, a to wiadra stoją, jedno przy drugim pięć sztuk. Wszystkie pełne czerepów, takich już gorszych, do kuchni. Samych szklanek było ze dwadzieścia. Wołam Losię. Aż stękała, nosząc to wszystko do domu. Zenek śmieje się, że i na szaber nie trzeba jeździć, wszystko na miejscu.

W ogóle jakoś więcej śmiechu jest w domu, od razu lżej i weselej. Może wiosna to robi, może to, że życie jakby się po trosze normuje. Z miasteczka przed paru dniami ostatnią grupę Niemców skierowano - na punkt zborny do Olsztyna. Niech jadą na zdrowie. Ci, co zostali, to już Mazurzy. W samym miasteczku jest jeszcze trochę Niemców fachowców, z gazowni, z odlewni i fabryki termometrów. Zatrzymali ich, nim się nasi podszkołą. Niegłupio pomyślane.

Od pięciu dni Pacuk jest u nas. Przyjechał zupełnie niespodziewanie, nawet zły byłem, że nie napisał wcześniej, bo to jakoś właśnie w tym czasie zebrało się dużo roboty, choć się

wiosna opóźnia, znów śnieg, przymrozki, ziemia twarda, nie puszcza. Ale nic, przynajmniej jest możliwość pogadania, powspominania starych czasów. A i o dzisiejszych gadamy, co Wlezie.

Pacuk zmienił się. Co to jednak zrobił powrót Wiktora! Szczęśliwy teraz, śmieje się często, wszystko dokoła widzi w różowych kolorach. Wiktor, okazuje się, niełatwo miał. Gdy Niemcy rozbili ich oddziałek, on sam był lekko ranny, nim znalazł nowy kontakt, przesiedział razem z innymi kilka dni w jakiejś gajówce. Tam dowiedział się o koncentracji polskich oddziałów pod Miednikami. Na zły swój los, pchnęli się zaraz w tę stronę. A tam, wiadomo, jak się skończyło. Trafił do wagonu, wywieźli... Przy pierwszej okazji uciekł razem z paru innymi. Część Polski była już wolna, formowano wtedy II Armię Wojska Polskiego. Poszedł Wiktor do berlingowców, jak u nas nazywano wojsko ludowe, z nimi na front.

Pacuk aż rósł nad stołem, gdy mówił, jak się tam Wiktor sprawował. Taki dumny był z chłopca. Bo Wiktor i plutonowego się dosłużył, i odznaczenie miał, mało brakło, zdobywałby Berlin, podobno jego batalion miał być tam skierowany, ale potem uwięźli wszyscy w walkach nad Nysą, dowodził nimi generał Świerczewski. - Jak się zobaczycie, sam ci Wiktor opowie, jak tam było gorąco... - machał Pacuk rękami. Dodał jeszcze, że Wiktor chce zostać w wojsku, może pojedzie do oficerskiej szkoły. I znowu pęczniał, że będzie miał syna oficera. Tymczasem jednostka Wiktora jest w Rzeszowskim, tam idą ciężkie walki z ukraińskimi faszystami. Dopiero Pacuk posmutniał, trząśł jakoś tak po starczemu głową.

- Pewnie, musi, pewnie, trzeba. Jakże coś robić w kraju, póki się go nie oczyści z banderowskiego ścierwa? Tyle że ojcowskiemu sercu straszno chwilami. Dopiero go odzyskałem, jakby zmartwychwstał, a teraz znów nie wiadomo, co się może przydarzyć.

Pocieszałem go: nic Wiktorowi nie będzie. Jeżeli się tam nad Nysą i pod Budziszynem uchował, coś się o tych walkach przecież słyszało, to i z Ukraińcami poradzi... Ale sam wcale nie byłem pewny. W gazetach czytałem, trochę ludzie opowiadali, że tam naprawdę jest strasznie. Banderowcy nikomu nie darują, całe wioski palą i wyrzynają. Zasadzki robią, teren dobrze znają lepiej niż flaszę wojsko. Oni tam przecież się urodzili, a że wiedzą, iż nie ma dla nich pardonu, „biją się zaciekle. I jeszcze męczą ludzi okropnie; jeśli złapią gdzie naszych żołnierzy, torturują, przedłużają im śmierć w męczarniach. Podobno też właśnie nie zwykłej śmierci od kuli, ale banderowskiej niewoli nasi żołnierze najbardziej się boją. Daj Boże, by się Wiktor cało uchował...

Ciekawiło mnie jedno, jak on załatwił sprawę ze swoim AK. Bo przecież więcej robił i w konspiracji, i w partyzantce niż ja. Gdy poszedł do wojska, musieli o coś go pytać. Pacuk

na moje słowa zamachał rękami.

- A ty, Paweł, ciągle swoje i swoje. Już kiedyś gadaliśmy, jak to z AK. Widzisz, trochę teraz ucichło, już tak na nich nie pokrzykują, musieli dojść na górze do wniosku, że różni ludzie tam byli, a już najmniej można się czepiać zwykłego żołnierza, który szedł do pierwszej organizacji, jaka mu dawała szansę, że będzie się bił z Niemcami... Na pewno Wiktorowi nikt z tej racji nie robił zarzutów, nie awansowałby przecież... Chociaż bo ja wiem, trochę może masz rację. Wiktor nic mi o tym nie mówił. A ty też lepiej byś tak ciągle za tym swoim AK nie węszył, ważniejsze kłopoty są w kraju. Patrz, jak trudno porządek wprowadzić, ile biedy, zniszczenia, ilu ludzi do diabła, a nie do człowieka podobnych. Najlepiej, jak o tych sprawach nie będziesz gadał. Trzymaj język za zębami, jak cię nie pytają o tamto, i tyle. Wiktora też zostaw w spokoju. Jakby mu chcieli co z tej racji wyrzucać, sam pójdę i komu trzeba wygarnę, aż w pięty mu pójdzie. Za patriotyzm, do jasnej cholery, nie krzywdźcie człowieka, dajcie mu żyć w spokoju... - Aż się rozkrzyczał, a Losia, przestraszona, wybiegła z kuchni, pytając, co to się dzieje. Dopiero nam odeszło. Popatrzyliśmy na siebie, zaśmieliśmy się. Już tego dnia więcej o polityce nie rozprawialiśmy. Mogłoby dojść do starcia, a żadnemu z nas to nie było potrzebne. Pacuk rozgadał się o swoich planach. Teraz, po odzyskaniu syna, wróciła mu ochota do życia. Myślał rozglądać się za jakimś porządniejszym mieszkaniem. - Byle łachudra - mówił - w wielu pokojach siedzi, gdy my w ciasnocie gnieździemy się z matką; najgorzej to ta wilgoć, staruszcze szkodzi, ma przecież reumatyzm, łamie ją czasem tak, że ledwie się rusza. - I czerwona czapka już, go znudziła, pewnie, odpowiedzialna praca, ale nieruchawa, siedź, czekaj na te pociągi, pilnuj, czy szlak wolny, czy składy zestawione w porządku, razem z SOK-iem sprawdzaj, czy nie ma jakichś rabusiów albo szabrownicy czy się z towarem gdzieś od boku nie władowują. Teraz już niepotrzebne pionierstwo pierwszych miesięcy, jest więcej ludzi, fachowych kolejarzy. Pacukowi uśmiechała się robota przy przeładunkach. Może nie to, żeby sam miał nadal rozładowywać, choć i z tym chyba by sobie poradził - pamiętam, jaką miał siłę - ale jakaś inna pokrewna robota. Wniosek w tej sprawie złożył do dyrekcji, odpowiedzi dotąd nie nadeszli. Jedno, żal byłoby mu wyjeżdżać ze swojej stacji, jak dzieciaka od małego ją odchuchał, z gruzów podnosił. Ale jeśli by już rozstanie było konieczne...

Trochę sennawo się zrobiło. Nie mogło być inaczej, popijaliśmy każdego dnia nie za wiele, w miarę, ale wódka działała. Pacuk coś pogadywał, ja przypominałem sobie, jaka to on był za okupacji. Od wielu, wielu lat pracował na dworcu towarowym w Wilnie jako ładowacz. Był dziesiętnikiem, potem, ES Sowietów, zrobili go nawet brygadierem, wielki miał posłuch wśród swoich. Słyszał też z siły. Trzy worki cementu potrafił zarzucić na plecy, a tym

swoim wózkiem podnośnikowym to i toną towaru obracał tak jak inny walizką. W ogóle ci ładowacze była to taka wiara, że nie próbuj z nimi kiedy zadzierać. Silne chłopcy, mocne także i w gębie, aż uszy puchły, jak się słuchało piętrowych ich połajanek, ale na wszystko byli gotowi. Od Pacuka jeszcze w Wilnie czasami to i owo słyszałem, opowiadał, niby to o kimś innym, jak gdzieś wagony podczepiali mię w tym, co Niemcy chcieli, kierunku, jak jednego razu do połowy oczyścili wagon z bronią, plomb nie ruszając, a najlepsze, że wszystko pod nosem wartownika, który się w niczym, nie zorientował. Przez nich szedł szmugiel, i ten prywatny, i co ważniejsze, konspiracyjny. Ludzi umieli tak schować, że dojeżdżali sobie spokojnie aż do Warszawy, gdzie już inni ich przejmowali; gazetki i ulotki wysyłali, gdzie tylko chcieli. Kiedyś odbili na stacji grupę aresztowanych, gdy ich żandarmi i gestapowcy prowadzili ku wyjściu. Śledztwo niczego potem nie wyjaśniło... Widziałem raz Pacuka na stacji, latem, był tylko w spodniach, na kosmatej piersi miał wytatuowaną głowę kobiety, jak mięśnie napinał, to ta szeroko otwierała oczy.

A jak się umiał maskować. Znaliśmy się przecież blisko dwa lata, a ja się niczego nie domyślałem. Ot, robociarz od wygruzki, co szuka okazji zarobku, dlatego stale bierze ode mnie samogon, od razu płaci. O polityce ani słowa nie pisał, nic, czasem tylko towar jaki inny zaproponował, a to drożdże, a to sodę kaustyczną czy kalafonię. Brałem, szło to na wsi jak woda, choć ryzyko było duże z przewozem, nie to co z samogonem, który woziłem w dzbanie od mleka z podwójnym dnem. Później na dodatek zrobiłem jeszcze pas natykany półlitrowkami, trochę się było grubawym, ale nie bardzo się rzucało to w oczy... Na trop wpadłem właściwie przez pana Tadeusza. Dał mi wtedy ten adres za torami. Pacukowie już nie mieszkali na Nowogrodzkiej. Coś mi się jakby wydawał znajomy, ale że nigdy, jadąc do Pacuka, nie przyglądałem się bramie z wypisanym na niej numerem, to się nie od razu zorientowałem. Najlepsze było, że gdy znalazłszy numer, wszedłem już w podwórze, domu, gdzie mieszkał Pacuk, to się cofnąłem, zły na siebie, że poplątałem sprawy, nie z samogonem przecież przyjeżdżam... Sprawdzam, a jednak tu. Prosto do mieszkania Pacuka. Była to jakaś pilna sprawa do Wiktora. Przekazałem, niewiele rozumiejąc ze zlecenia, pewnie było zaszyfrowane... Pacuk dziwnie wtedy na mnie popatrzył, kręcił głową, coś mu się tutaj nie spodobało. Wziął mnie pod ramię, mówi:.

- To i ty bawisz się w takie rzeczy, myślałem, że świnie tylko hodujesz i pędzisz samogon. Może źle, że się będą płatać różne sprawy?

Długi czas rozmawialiśmy z Pacukiem o Tadeuszu. Znamy go obaj, wydaje się, że ja bliżej, ale i Pacuk z nim nieraz się stykał, jeszcze nim ja Tadeusza poznałem. A w ocenie tego człowieka są między nami różnice. O co chodzi Pacukowi? Czemu się krzywi, a z drugiej

strony mówi o tamtym, jakby musiał mówić, jakby go wiązało z nim coś bardzo mocnego? Tak samo jest ze mną... Jeżeli mój chłopak nazywa się Tadeusz, to nie z przypadku, Losia i cała rodzina chcieli przecież innego imienia...

Mówiliśmy o czym, wspomniałem, jaki żal, że nie ma pana Tadeusza, jego zdanie mogłoby być tutaj ciekawe. Nic więcej. Ale Pacuka jakby kto igłą żgnął. Oczy mu się zapaliły, broda zadrgała. Natarł na mnie, że dziwne, iż ciągle ten Tadeusz nie może wywietrzeć mi z głowy, zawsze do niego nawracam, do niego się odwołuję, jakby pojadł on wszystkie rozumy świata. Przez takich jak on dzieci się rwały pod kule, ginęły, a ich śmierć nie - przyniosła nikomu ani niczemu pożytku...

Jakoś się nie zgniewałem tym razem, przypominam tylko sobie i Pacukowi, jak to - było w Mejsutach. Że właśnie Tadeusz wołał, by ochraniać najmłodszych, nie wciągać, wojna za okrutna rzecz, konspiracja zbyt niebezpieczna, nie tylko, że łatwo można zginąć, jeszcze na dodatek w gestapowskich męczarniach, ale że obok fizycznych równie łatwo o inne zwichnięcia, moralne. Mówię, że właśnie Tadeusz opowiadał, jak zbyt młodemu chłopcu niepotrzebnie powierzył ktoś kierowanie grupą egzekucyjną. I szczeniak, wierny, oddany, wykonywał wyroki sądu podziemia na zdrajcach, parszywcach. Ale strzelał do bezbronnych, najczęściej zaskoczonych ludzi. Aż doszło do strasznej omyłki, zamiast na skazanym zdrajcy wyrok wykonano na jego bracie, człowieku najzupełniej niewinnym. Starszy wiekiem na pewno by to przeżył. Wojna, nie takie omyłki się zdarzają, ale dla młodego, wrażliwego chłopca to było za wiele. Gdy rzecz wyszła na jaw, przyłożył pistolet do swojej głowy... Więc czemu Pacuk właśnie Tadeusza obciąża odpowiedzialnością? Przecież iż Cześkiem nikt nie wie, jak było naprawdę. A jeżeli nawet w tych ostatnich dniach brano i takich, to na pewno pan Tadeusz nie miał w tym żadnego udziału.

Wtedy Pacuk znów swoje, o oficerach. Ze zgubili Polskę we wrześniu, potem zaś zaplątali naród w sytuację, z której trudno o wyjście, po dziś krew się leje po lasach, niepotrzebna krew. Pułkownikowskie rządy dwa razy wyszły Polsce i społeczeństwu bokiem. Pan Tadeusz, choć pułkownikiem nie był, za młody; to rósł w tym klimacie, mierzył wszystko tymi kategoriami. I tłumacz znów, że zwyczajnie podchorąży, że i w konspiracji, i w partyzantce nie doszedł wyżej niż do podporucznika, że zupełnie inaczej to wyglądało. Ja panu Tadeuszowi wiele zawdzięczam nigdy na nim się nie zawiodłem, życie sobie ratowaliśmy w sytuacjach, kiedy człowieka się przejrzy na wylot.

Tutaj Pacuk jakby przestraszył się, przykrył oczy powiekami, powiedział cicho, że o sprawach oficerskich mówi ogólnie, widząc je na klasowym tle, że w końcu przecie i on związany był z Tadeuszem, chętnie by go zobaczył. Bo zanim jeszcze zaczęło się z

konspiracją, nim zbiegły się drogi Wiktora i Tadeusza, to właśnie on, ojciec, znał już tamtego wcześniej, razem wszak pracowali przy wyładunku wagonów w sowieckim okresie. I tylko dobrze może o nim świadczyć z tamtego czasu.

To było dla mnie nowe. Słuchałem ciekawie Pacuk zaś wspominał, tak mi się wydawało, z jednej strony - niby niechętnie, z drugiej jakby mus jakiś nakazywał mu dzielić się ze mną swoimi spostrzeżeniami... To już było po ustanowieniu Litwy Radzieckiej, w czterdziestym pierwszym. Na teren Litwy rzucane były ogromne ilości różnych towarów, nadchodziły pociąga z żywnością i innymi rzeczami. Nigdy nie było tyle roboty przy wyładunkach, trzeba było dobierać wciąż nowych i nowych ludzi. „Wygruzczykami” nazywano ich po rosyjsku. Różni przychodzili, mało który wytrzymał. Musiało się tam mieć cholerne zdrowie, a na jakieś wymigiwanie się już by stara wiara nie pozwoliła, wszystko robiło się na akord. Inna sprawa, że nigdzie też zarobki nie były równie wysokie, niektórzy wyciągali po cztery” i więcej tysięcy rubli, na tamte czasy prawie majątek. Pan Tadeusz trafił do dziesiątki Pacuka. Jeden w niej tylko został z nowych, inni prędko się wykruszyli, sił zabrakło. Gdy Pacuk wspominał o Tadeuszu z tego okresu, brzmiał w jego słowach nieukrywany podziw. - Sam, bywało wracałem do domu zaharowany tak, że ciała nie czułem. Robiliśmy na akord, często po dwanaście czy nawet piętnaście godzin. Nie było innej rady, chyba że zrezygnować z pracy. On w pierwszym tygodniuomalże się już poddał. Wychudł, z wysiłku drżały mu ręce, pocił się tak na zimno, niezdrowo. Siłę miał ale wytrzymałości brakło, wiadomo, inteligent. Było paru takich, co mu za tę inteligencję mocno dokuczali. Nic, tylko patrzył na nich złymi oczami. Aż potem wciągnął się w robotę, po miesiącu może mnie tylko ustępował. Cały tłuszcz z siebie zrzucił, bary mu się rozrosły, jak rękę podał to krzyczeć się chciało. Gadatliwy nie był, nie wydzierał się z mądrościami, polityki nie tykał, starał się z nami zrównać, nic więcej. Draka wyszła po Pierwszym Maja. Pochód był, kto tylko pracował, ten szedł, jedni z przekonania, inni ze strachu. Jeden ksiądz nawet gnał wtedy z nami, sam widziałem, tylko mu latały poły sutanny. Tadeusz nie poszedł. Na drugi dzień którymś z naszych pyta go czemu. Mówi prosto: dlatego że ma inne poglądy. - Toś ty skurwysyn, zaszany, inteligent, z robotnikiem nie trzymasz... - Wstał, blady, - popatrzył po nas, a potem podszedł do tego osiłka; tak po prawdzie, nożownik to był, przed wojną na rynku oszwabiał ludzi w trzy karty, czerwone i czarne, inne takie cudeńka, silny jak byk i bić się umiał. Więc Tadeusz do niego. Za ramiona go złapał, ścisnął, a potem machnął go kilka razy w mordę. Jedną ręką walił, drugą przytrzymywał. Tamten dopiero się opamiętał. Jak się oderwie od Tadeusza, jak skoczy na niego! Zamłócili, nie widziałem czegoś takiego, kurz tylko niósł się od miazgu węglowego na rampie. Jeden drugiemu nie potrafił dać rady.

Wtedy ten oprych wyszarpnął nóż sprężynowy z kieszeni i machnął. Tadeusz odskoczył, w ramię tylko oberwał, krew lunęła, bez marynarek byli, w samych podkoszulkach. I teraz oczy nie nadażyły już śledzić. Nóż, jeszcze we krwi, wyleciał wysoko w powietrze, nad wagon, tamten zachrypiał, zakrzyczał, wreszcie rąbnął głową o ziemię, i nic, jęczał już tylko. Tadeusz ramię ociekające krwią ścisnął, spojrział na nas ponuro, pyta, może jest drugi ochotnik. A mamy wiedzieć, że z robotnikami on zawsze będzie za jedno, pokazał też, że robić może nie gorzej od nich. Za to z chuliganami sztamy nie trzyma i trzymać nie będzie. Co tu gadać, podobał się. Odtąd miał u nas dobrą markę. Bo to wiedzieliśmy, nie z jakichś burżujów ani też żaden faszysta.

W parę miesięcy po przyjeździe Niemców zetknęli się znowu ze sobą. Wiktor włączył w konspirację, ojciec nie protestował, uważał to za słuszne i potrzebne. Jakże tak, poddać się hitlerowcom bez oporu, by robili z ludźmi, co chcą. Kilku młodych zebrało się u Wiktora, przyszedł do nich Tadeusz. Gdy zobaczył Pacuka, dał znak, żeby milczał, iż znają się ze sobą. Pseudonim już miał, nie chciał się od razu ujawnić. Potem zresztą nie krępował się już, że go znają w domu Pacuków. Rzadko w nim zresztą bywał. Aż do tej chwili, na krótko przed końcem wojny, gdy zjawił się nocą, mokry i ledwie żywy, z dwiema kulami w sobie, a ledwie wszedł, zaraz stracił przytomność. - W ogóle nie wiedzieliśmy, co się stało, z kim kontaktować się, gdzie szukać pomocy...

Pamiętam, jak w tym miejscu opowiadania Pacuka odetchnąłem głęboko, dopiero wyjaśniły mi się niektóre sprawy. Ten zwłaszcza okres, gdy straciłem łączność z panem Tadeuszem, gdy i rodzina jego nie miała pojęcia, co się z nim dzieje. I spotkanie po kilku długich tygodniach, gdy zobaczyłem go znowu, niepodobnego do siebie, cień dawnego człowieka. Wspominał, że był ranny, że uszedł spod kuł... To wtedy krył się w domu Pacuka... Trzy tygodnie u niego leżał, znalazł się lekarz, Wiktor już drugiego dnia nawiązał potrzebne kontakty, wywiedział się szczegółów. Na ulicy Zamkowej, w centrum miasta, wpadła ważna placówka, biuro lewych dokumentów, archiwum... Strzelanina trwała długo, padło trzech gestapowców, ze strony polskiej jakaś dziewczyna i starszy człowiek. Jeszcze jednego złapali, zaciął mu się pistolet, nie zdążył już strzelić do siebie. Tadeusz uciekał, ostrzeliwując się, Królewską, potem na przelaj przez park pod Górą Zamkową, chciał przedostać się na Antokol. Na moście przy Wilence przecięli mu drogę, był osaczony. Wpław się rzucił przez Wilię. Strzelali do niego, ranili, a jednak, płynąc, nurkując, wychynął gdzieś pomiędzy gęstwą zabudowań i domków na drugim brzegu, wsiąkł w nie. Próżno całymi godzinami obstawiali teren, przeszukując go z psami. A potem, nocą, jakąś okrężną drogą, resztką sił, dobrnął do Pacuków. Czemu tam właśnie, skąd można wiedzieć? Może inne

punkty, obawiał się, zostały spalone, może z innego powodu.

W czasie wylizywania się z ran, gdy już poczuł się lepiej, wiele godzin przegadali ze starym Pacukiem. Wiktor po uszy tkwił w podziemnej robocie, jeździł gdzieś w teren. Pacuk miał dużo czasu wolnego, ani pracy wiele nie było na towarówce, ani się nie chciał tam nikt przemęczać dla Niemców, byle tylko stuknęło tych osiem godzin... Gdy znów mię było ojca, to mały Czesiek tkwił przy chorym, wpatrywał się w niego z uwielbieniem, miał oto bohatera przed sobą... Zgryźliwie, nieprzyjemnie wymawiał Pacuk to słowo, musiało go drażnić.

Gadali więc wtedy. Punkt wyjścia mieli wspólny, obaj nie znosili sanacji, przedwojennych rządów, które w wyniku przyniosły klęskę. Godzili się przy ocenie endecji, Pacuk jej szczególnie nie znosił. Zresztą, tak naprawdę to niewiele ich ze sobą różniło. Do okazywało się przy socjalizmie, to wiedziałem, też - przecie nie mało z tym człowiekiem przegadałem, Tadeusz wyraźnie oświadczał się za całą stroną socjalną ruchu, za przemianami społecznymi. Przeciwstawiał się natomiast walce klas. Mówił, że syci się nienawiścią, a nienawiść zawsze zaślepia. Czym innym stanowczość, nawet surowość rządów, czym innym działanie oparte na nienawiści. Jeszcze też sprawa religii, wiary. Pacuk ani wojował za ateizmem, ani nie żywił do sprawy religii szczególnej niechęci. Tyle że sam nie wierzył. Tadeusz był wierzący, przeciwstawiał się ostro, gdy mu Pacuk oświadczał, że właśnie wierzący wspierali często siły reakcji. - Nie ta miara - mówił - nie ta miara. Patriotyzm i postęp, ludzi oddanych tym sprawom znajdziesz wśród wierzących i ateistów. Traugutt był wierzącym katolikiem, a reprezentował postępowe treści w powstaniu styczniowym. - Przytaczał jeszcze wiele innych przykładów, Pacuk nie bardzo już je pamiętał... Jeszcze była też kwestia Związku Radzieckiego, Tadeusz obstawał za jednym, że dzisiaj nie ma co wywodzić takich czy innych żalów. Jest wojna, trzeba się jednoczyć przeciw hitleryzmowi. Sprawy wzajemnych stosunków ustalić należy dopiero po wojnie, ale jedno jest pewne już teraz: muszą się ułożyć wzajemne pokojowe, możliwie życzliwe stosunki, nie sposób, zwłaszcza wobec doświadczenia niemieckiego żyć nadal z nożami trzymanymi za pazuchą...

- Kiedyś mu powiedziałem - ciągnął Pacuk - że ma inteligenckie wahania, opory, nie umie trafić do celu prosto i bezpośrednio... Wtedy mi dopiero wygarnął, że głupi.>. Że to ślepy zaułek to węszenie wszędzie jakiegoś klanu inteligentów jakoby przeciwstawiających się robotnikom. Groźne zaskorupienie, kompleks - tak mówił - podcinanie wspólnej gałęzi... Przytaczał przykłady, sypał datami i nazwiskami. Aż się dziwiłem, skąd on tak zna wszystko, ileż wtedy miał lat, najwyżej jakieś dwadzieścia sześć. Zakrzyczał mnie, zahuczał, że pewnie dla tych samych powodów starszego syna, tańc zdolnego, nie chciałem kształcić, urwałem go nauce. I że wstyd, że bym wyskakiwał z takimi bzdurami, wyżej mnie ceni, w ogóle

socjalistów szanuje, choć nie we wszystkim się zgadza, ale już te kompleksy to zguba dla nich samych.

Odechciało mu się tego wieczora dalszego gadania. Tyle bąknął, że jednak trzeba uważać na takich, co to trochę za socjalizmem i trochę za wszystkim innym, właśnie tak jakoś mętnie, po inteligencku...

Żałowałem bardzo serdecznie, że Tadeusza nie ma tu razem z nami. Pacuk ani mnie przekonał, ani powiedział coś bardzo nowego. Tyle w końcu to i ja wiem. Ale mię wiem, jak dziś znaleźć swoje, kiedy dokoła jedno cieszy, a drugie martwi, Jedni tak mówią, drudzy inaczej. Ciężko się toczy ten polski wózek.

Codziennie o ósmej słuchaliśmy dziennika. Tego wieczora na samym początku podano wiadomość o śmierci generała Karola Świerczewskiego, który zginął z rąk ukraińskich faszystów w zastawionej na niego zasadzce. Bliższych szczegółów nie było, tylko zapowiedź, że będą informować słuchaczy w miarę napływu dalszych wiadomości... Świerczewski, wiadomo, kto to był, dużo o nim czytałem w gazetach, ten z wojny hiszpańskiej, wiceminister Obrony Narodowej. Cholera, tyle czasu po wojnie, a tam w Rzeszowskim front jeszcze, nie ma spokoju... Pacuk słuchał, patrzył na mnie, oczy jego robiły się wielkie, coraz większe. Zbladł. A potem mówi:

- Świerczewski nie żyje... Tam i Wiktor. Może on też nie żyje?

Żał było patrzeć na człowieka. Losia aż chlipnęła cichutko. Chciałem go uspokoić, ani słuchał. Nawet nie próbował przed nami udawać. Ujął głowę rękami, łokcie miał wsparte o stół i kiwał tylko głową to w jedną, to w drugą stronę. Wydał mi się wtedy bardzo stary i bardzo zmęczony.

Losia nalala mu herbaty, zawsze uwielbiał herbatę. Podniósł głowę. Uśmiechnął się do Losi, do Zenka, do mnie, powiedział, że wstrząsnęła nim ta wiadomość, bo to i Świerczewski, tyle słyszał o nim od syna, i zarazem lęk o Wiktora. Teraz każdego południa będzie zaglądał do skrzynki listowej, czy nie ma tam jakiej złej wieści. Pewnie w takich urzędowych kopertach przysyłają zawiadomienia o śmierci?

Nie chciał więcej zostać u nas, następnego ranka odwozłem go do pierwszego pociągu. Tłoczno było jak zawsze, ale on jako kolejarz poradził sobie. Prosiłem, żeby pisał i żeby się nie przejmował, na pewno nic się Wiktorowi nie stało. Głową tylko kiwał, wargi zaciskał. Aż dziw, jak go to załamało. Niby taki twardy człowiek. Ale nie ma się czemu dziwić, za wiele przeżył, za wiele stracił, by teraz się nie bać.

Długo myślałem o tych sprawach. Tydzień już, jak Pacuk odjechał. W gazetach i w radio podają więcej wiadomości z Rzeszowskiego, jakie tam są tereny, jakie toczą się walki. Tych upowców jest jeszcze kilka tysięcy, terroryzują ludność, nie dopuszczając do odrodzenia normalnego życia. Projektuje się współdziałanie wojsk czeskich i radzieckich z naszymi, by wytepić bandytów do reszty... A niechby się wzięli już za nich. Z hitlerowcami dało się radę, miliony ich były, a tutaj tylko parę tysięcy i tak się to ciągnie, ludzie giną niepotrzebnie, kraj nie może odetchnąć.

Kwiecień, wiosna piekła tak jakoś z nagłą, odwilż, słońce, wiatr, już na części ziemi podeszło, można orać pod jare, jeszcze trochę, kartofle przyjdzie sadzić. Losia każdą wolną chwilę spędza w ogrodzie, nie mam już czasu jej pomagać. Dobrze, że jest Zenek, nie żałuje fadygi, wczoraj cały dzień orał, ze zmrokiem zszedł z pola. Muszę mu kupić ubranie, obdarty jest chłopak. Wart tego, jeśli aż tak się stara.

A jednak Pacuk miał trafne przeczucie. Napisał dzisiaj, że jedzie do Wiktora, który został ranny, przewieziono go do szpitala wojskowego w Krakowie. Jak się bliżej dowie, co jest, zaraz da znać. A najdziwniejsze, że Pacuk, niewierzący przecież, dodawał na końcu, żeby modlić się za Wiktora. Jak on drży teraz o syna, więcej na pewno niż przedtem.

Dzisiaj niedziela, przesiedziałem ją razem z Władkiem na gliniankach, łowiliśmy szczupaki. Jeden mi się trafił do trzech kilo, brania miałem częstsze, ale zrywały. Kurtys złapał trzy, tyle że mniejsze.

Biedny ten Władek, już gadamy na ty, wypiliśmy bruderszaft. Za ten. PSL swój wciąż pokutuje. Dawno już były wybory, dawno rozleciało się to ich koło w miasteczku, a na niego ciągle krzywo patrzą. Jakies napisy nocą smarował ktoś na murach w miasteczku, zaraz o świcie przyjechała milicja do Władka, ręce oglądali, gapili się po kątach, czy farby nie znajdują... Chciał dostać przydział sadzeniaków kartofli, skierowali go do. Warszawy, do Mikołajczyka. Klnie chłop, ja go rozumiem, w taki sposób mogą przecież człowiekowi życie obrzydzić. A tymczasem pracowitszego i spokojniejszego nie szukaj. Z matką mieszka i siostrą. Siostra krawcowa, do roli się nie miesza, w ogrodzie nawet nie chce pomagać, bierze zamówienia z miasteczka i szyje, nieźle zarabia. Matka grzebie przy gospodarstwie, a on ciągle na polu. Sporo wziął tego, ale mówi, że dość się nabiedował przez całe życie, chce nareszcie stanąć na nogi. Narzekam na swoją robotę, ale „z nim sięgnie zrównam. Takich pracusiów rzadko dziś można spotkać...

Zenek spiknął się z dziewczyną tych drugich sąsiadów, Banasiaków, spotykają się wieczorami, w sobotę byli na zabawie w miasteczku. Żeby się chłopiec nie zechciał wżenić,

nim jakiegoś fachu nie chwyci w ręce. Bo to potem nie nauka, jak baba, a jeszcze dzieciśka. Losia też niespokojnie na brata patrzy, ale po mojemu chłop ma już swoje lata, nie dziw więc, że babskie łydki mu pachną. Jak się z nimi oswoi, to mu zapał przeminie.

Pacuk już wrócił na swoją stację. Mógł wcześniej napisać, już mi takie różne myśli chodziły po głowie, może go do konającego - wzywali... Dopiero wczoraj zdobył się na list. Wiktor miał przestrzał uda, już się zagoiło, kość nie uszkodzona. Gorzej z lewym ramieniem, pozostanie na zawsze już usztywnione, nie będzie go Wiktor mógł zginać swobodnie. Chłop najbardziej rozpacza, że nic z marzeń o szkole oficerskiej, inwalida, nie nadaje się już. To ładnie, że dali mu sporą odprawę, przywiesili na pierś Krzyż Walecznych... Chłopak ucieszył się na wiadomość, że jestem w kraju, pozdrowienia przesyła. Podobno, pisze Pacuk, zamyśla, czyby też ziemi nie wziąć, należy mu się w ramach osadnictwa wojskowego. Tyle że nie zna się na tym.

Z nowin taka, że kino jest już w miasteczku. Będzie gdzie zajrzeć zimą, zgłupieć by można inaczej w tej głuszy. Mieszkańcy ogłosili czyn pierwszomajowy, mają uporządkować ten park dookoła zamku, fosę wyczyścić, ławki ustawić, od razu inaczej będzie to wyglądało. Ponieważ nasze osiedle należy do miasteczka, też się zgłosiliśmy, na sobotę daję wóz i konia, sami z Zenkiem będziemy machać łopata.

Podobno była to prawdziwa sensacja, kto żyw, biegł przed posterunek milicji. W biały dzień przez całe miasteczko przeszedł leśny oddział, uzbrojeni po zęby, w wojskowych mundurach, pomęczeni tylko, bladzi i niespokojni. Ponad dwudziestu ich było, mówią, że kryli się w naszym powiecie. Przyszli ujawnić się w związku z lutową amnestią dla członków różnych nielegalnych organizacji. W gazetach ciągle o tym się czyta, podają cyfry, tysiące ludzi, ale tak blisko nas to się pierwszy raz chyba zdarzyło. Bądź co bądź cały oddział. Mądrze zrobiono z tą amnestią, usuwa się przyczynę bałaganu, likwiduje walki wewnętrzne, daje ludziom możliwość powrotu do normalnego życia. Teraz główny kłopot to jeszcze te ukraińskie bandy, tam jakoby jest bardzo trudno, biją się upowcy do upadłego, jakaś grupa chciała się przebić przez Czechosłowację do Austrii, kawałek kraju przeszli, nim ich ujęto. W każdym razie uciekają jak szczury z tonącego okrętu. To dobry znak.

27 września 1947 roku. Muszę datę postawić, bo mi się wszystko w końcu popłacze, skoro, tak rzadko zaglądam do tych notatek. Ale to lato było takie gorące, jedna robota gonila drugą. Prawda, dzięki pomocy Zenka mocno podciągnęło się gospodarę, zaczyna już na coś wyglądać, zibiory, jak dotąd, Pan Bóg pobłogosławił, że serce rośnie. Może staniemy jakoś na

nogi. A i nie było nic takiego bardzo znów ciekawego, trudne, ale spokojne dni. Od zniw dopiero się wszystko zaczęło.

Nie wiedzieć z czyjej łaski zaproszono mnie do udziału w delegacji naszego powiatu na wojewódzkie dożynki w Olsztynie. Że to dobrze gospodaruję, wywiązuję się z obowiązku wobec państwa. Byłem z tego bardzo zadowolony, mają mnie za porządnego Obywatela, nikt się o nic nie czepia, co swoje myślę, moja rzecz, nic nikomu do tego. Bo to w duchu ciągle się bałem, a nuż zaczną się czepiać wileńskich czasów, o to, że byłem w AK, że się nie ujawniłem, tłumacz się, iż mnie przecież to nie tyczyło, licho zresztą wie, może tyczyło, Władek mówił, że jego znajomy z Węgorzewa też się ujawnił, a brał udział tylko w powstaniu warszawskim, papierek odpowiedni otrzymał, zarejestrowali, zatem potrzebne to było. Pal sześć, może bym i poszedł, zameldował się, ujawnił, jak oni to nazywają, ale słysząc przecież, że już nic gorszego jak mieć gdzieś tam zapisane, iż się walczyło w Armii Krajowej. O posadę trudno, o lepszą robotę, zawsze się jest potem na oku, ma się ten „haczyk”, jak to nazywają, w papierach. Zaproszenie na dożynki świadczy, że nikt niczego się nie domyśla, nawet tamta sprawa z partyzantami, którzy pięć dni u mnie siedzieli, przycichła, nikt do niej nie wraca..

Pojechaliśmy razem z Losia. Ona przecież nic jeszcze nie widziała w tej Polsce, nosa za wioskę nie wysadziła. Z dziećmi Zenek pozostał. Ostatnia okazja, bo już się zapisał do szkoły górniczej. Zwalnia to od służby wojskowej, a chłopcu tuż do niej.

Olsztyn zupełnie się zmienił od tego czasu, kiedy tam byłem ostatni raz. Nie to samo miasto. Ruiny pouprzątane, zostały jeszcze tylko na Starym Mieście, ale i tam je wywożą, w paru miejscach stawiają fundamenty pod nowe budynki. Tramwaje, duże sklepy, ludzie ubrani porządnie, choć ciągle biednie. Ale co za dziw, tak krótko po wojnie, z pracy niełatwo się od razu dorobić. Widać jednak porządek, ktoś coś myśli, ma jakieś szersze widzenie. Piękny dzień, kwiaty na trawnikach, słońce, kwiaty w rękach ludzi, chorągwie, dzieci z chorągiewkami, ludowe zespoły w bogatych strojach. Pochód, na boisku popisy, zabawa, wręczanie wieńców, może tylko za dużo przemówień, niby gospodarska uroczystość, a rwie się na mównicę jeden przez drugiego, z każdej partii, z każdej władzy. I ciągle w kółko to samo: Związek Radziecki, Polska Ludowa, socjalizm, zwycięstwo nad reakcją, rozbicie burżuazji, lud pracujący. Zgoda na każde słowo, ale po jakie licho młócić to samo i młócić, aż ludzie ziewają ze znużenia? Potem było weselej, samolot nawet latał, zrzucił kwiaty, jeden bukiet spadł tak celnie, że na samą honorową trybunę. Podobało mi się, biłem brawa lotnikowi, aż ręce puchły. Dla delegatów był wspólny obiad, wojewoda wydawał, z wódką, i to nieskapo, aż znów porwali się gadać. Tyle że nie słuchałem już, szeptaliśmy sobie z Losia.

Poszliśmy wreszcie na miasto, zapowiedziałem przedtem kierownikowi naszej grupy, że pojedziemy jeszcze dalej, nie będziemy razem z nimi wracać do miasteczka ciężarówkami. Zaprosiłem Losię do kawiarni poszliśmy do teatru, delegatom dano bilety, Losia pierwszy raz w życiu była w teatrze. Pomyślałem, że gdyby jakoś lepiej się ułożyło, można by czasem przyjechać do Olsztyna. Ale chyba aż tak dobrze się nie ułoży. Już by mógł lepiej teatr taki przyjechać niekiedy do naszego miasteczka. Bo teraz, gdy ktoś się zjawi, to czasem nie wiadomo, śmiać się czy płakać. Jakieś takie zgrywusy, forsę tylko na wiosce chcą skombinować.

Spotkaliśmy trochę znajomych, nie z samych Mejsut, ale z innych na Wileńszczyźnie wiosek. Każdy już się jakoś urządził, narzekają, ale radzą sobie lepiej lub gorzej. *Zawsze* jednak, w każdej rozmowie, wspominało się nasze strony. Mnie zaś w Olsztynie przypominało się samo Wilno. Bo gdy się tak szło chodnikiem, to jakby gdzieś na Pohulance czy na Zwierzyńcu, ta sama mowa, z zaśpiewem i zaciąganiem. Losia aż w bok mnie szturchała, gdy tak raptem przechodząc ktoś mówił do towarzysza: „A tamten kawałek ziemi to myślą puskać w arenda, sam nie poradza”, albo coś o parsrukach czy jeszcze inaczej.

Ale nie tylko to gadanie i ludzie ze swoich stron. Sam Olsztyn też taki pagórzasty, uliczki to na dół, to w górę, domy ciasnawe, stare, Bardzo podobne, może dlatego też wilniuki tak gęsto tutaj zasiedli.

O nocowaniu nie było co myśleć. Gdzież, taki gęszcz ludzki.

Pociąg na Krzyż i dalej na Słupsk mieliśmy o trzeciej nad ranem. Ostatnie godziny przesiedzieliśmy na dworcu, drzemiąc na zmianę. Pijanych było dużo, bili się ze sobą, > milicja miała pełne ręce roboty. W pociągu też ciasno i straszna duchota, gdy przyjechaliśmy do Pacuków, byliśmy już ledwie żywi: Ani ojca, ani Wiktora nie było w domu, matka zaraz po nich pobiegła. Wiktor pierwszy przyszedł, wpadł do domu zupełnie jak bomba. Mało się zmienił, tyle że wychudł i jakby wyższy przez to wyglądał. Uściskaliśmy się, Losię ucałował w policzek, choć ją pierwszy raz widział. Zaraz zajrzał i stary, na krótko, musiał wracać do służby, Wiktor to samo. Nas położyli spać, Losia ledwie się już trzymała na nogach. Zdrowia, to my oboje wielkiego nie mamy, może dlatego tak nam ciężko na gospodarce.

Dwa dni u nich gościliśmy i oba wieczory, do późna w noc, tośmy jedli, popijali, i gadali bez przerwy. Pacuk jakby mniej się zrobił nerwowy, spokojniej rozmawiał, nie pokrzykiwał jak kiedyś. Jeszcze bardziej szczerwieniwał. Coraz to mówił „my to zrobimy”, „my tego chcemy”, my i my, jakby on pierwszy w Polsce był od rządzenia. Aż mnie to gniewało, ale potem powiedziałem sobie: „Ej, czy ty, Paweł,” mu nie zazdrościsz, że on może tak cieszyć się wszystkim, zna swoje miejsce?” - no i przestałem się złościć. A już zupełnie

zwariowany był Pacuk na punkcie ziem odzyskanych. Ciągłe wspominał, jak to oni w szóstkę, pośród bandziorów i szabrowników, o głodzie i chłodzie, uruchomili stację, szlak kolejowy, jak pchnęli wagony i dwie lokomotywy, od razu stworzyły się inne zupełnie możliwości życia dla ludzi, którzy tu osiedli.

- I wiesz, Paweł, tak jest wszędzie. Trochę jeździłem jak to na kolei się trafia. I co ci powiem: gdzie nie zajrzysz, choćby w najbardziej zrujnowane miasto, gdzie jeszcze tych gruzów pełno, od razu ich nie usuniesz, to wszędzie ludziska krzątają się jak mrówki, reperują, budują z niczego, jak my tę kolej, puszczają w ruch fabryki, często ani patrząc, czy mają co z tego dla siebie. I ciągle nowi osadnicy ciągną. Mniej już wędrownych ptaków, ale napływają ci, co chcą tu zasiać na stałe, na zawsze. Wiesz, mnie teraz pospołu miłe moje Wilno, trudno się oderwać pamięcią, i to nasze osiedle, ta stacja. Wiem, śmiać się będziesz, ja nigdy w życiu tego nie robiłem w ogródku, najwyżej tam w Wilnie skopałem żonie na wiosnę, a tutaj sam kwiaty sadziłem na klombach przy rampie, sam wieszałem doniczki przy peronie, żeby ładniej było, weselej. Bo tu jeszcze ludziom wesołości brakuje, za szaro i za ponuro wokoło, talki niemiecki wygląd ma to i tamto. Trzeba to odmienić, rozjaśnić... Pieniądzy nie chcieli nam dać na remont stacji, a brudna była i szara, (brzydka jakaś. Tośmy sami, kolejarze, odmalowali. Ja wyciągałem te litery z nazwą, mówię ci, trzy dni malowałem z językiem wysuniętym na brodę, ale jest, jakoś wygląda...

Wiktor zaśmiał się wtedy, mówiąc, że niektóre litery są mocno krzywe. Ojciec tak spojrział na niego zezem, że nie mogłem powstrzymać śmiechu. Aż wszyscy zaczęliśmy się śmiać. A Pacuk znów swoje, jakby toast wygłaszał przy każdym kieliszku:

- Pewnie, można by dużo przyganiać... Ale to niby rewolucja u nas, a za rewolucji różnie bywa, trzeba płacić i błędami jakimi, i krzywdą wynikłą z omyłki... Minie, jeszcze trochę niechaj się uspokoi, ułoży, wtedy i zobaczysz. Teraz dopiero zaczną ludzie pracować dla Polski, nikt rąk nie pożałuje. Choćby ten nasz zachód. Czyby kto inny potrafił tak go od razu ożywić, na ruinach, na bezludziu, z niczego prawie? A tu już wystawa ma być we Wrocławiu osiągnięć ziem odzyskanych. Robić wystawę trzeba z czegoś, pojmujesz?

Trochę zaczęło mi się to upodabniać do przemówień dożynkowych. Dużo tego chwalenia, za dużo. Kto umie patrzeć, nie zaprzeczy, że się wiele zrobiło. Ale są także inne sprawy... Nie myślałem jednak się spierać, wiedziałem, Pacuka nie przekonasz. Chciałem zresztą więcej wywiedzieć się o Wiktorze. Tak mi się jakoś zdawało, że ojciec jego nie chce dopuścić, byśmy zostali sami i zaczęli rozmawiać o dawnych czasach, że jakby dlatego tak gadał i plótł swoje w kółko, aż nudno. Czasem dziwnie patrzył to na jednego, to na drugiego z nas, a jak coś tam zaczął Wiktor bąkać o partyzanckich czasach, zaraz mu

przerwał, że po co to wywlekać dawne nie najweselsze dzieje, lepiej mówić o tym, co dzisiaj. Sam już nie wiedziałem, czy nie chce Czeška i swojej żony przed pamięć przywodzić, czy też o Wiktora mu chodzi.

Potem jednak wyszło, że chyba o Wiktora.. Pacuk jakby się czegoś lękał, chciał na coś spuścić zasłonę...

Na drugi dzień naszego pobytu służba wypadła mu na noc, od dziesiątej. Losia zajęła się już matka Pacuka, strasznie przypadając żonie mojej do serca. Tak, iż w końcu zostaliśmy sami z Wiktorem. On też najwidoczniej czekał tej chwili. Deszcz ustał, otworzyliśmy okno, aby trochę przeczyścić powietrze. A potem siedliśmy obok siebie na ponemieckiej kanapie, zza okna płynęły rześkie powiewy, już się noce robiły chłodniejsze.

- Ojciec opowiadał mi, co z tobą się działo. Na szczęście wymigałeś się od mojego losu - zaczął Wiktor. - Bo widzisz, zesłali mnie z całą internowaną brygadą wileńską AK. Tak się skończyły sny o zwycięskiej walce. Nie bronię grzechów dowództwa, dość o tym się nasłuchałem, jednak takim jak ja uczyniono krzywdę. Ale rady nie było, przynajmniej z początku. Bo potem, co tu długo gadać, przysnąłem jeszcze z kilkoma, nie było to takie trudne, wciąż się zdarzały ucieczki. Na Wilno nie szliśmy, ale prosto do Polski, do Lublina. Nikt tam nas nie znał. Wojna, wiadomo, bałagan, można będzie gdzieś się zaczepić, i tyle. W samym Lublinie zabawiliśmy krótko, tam była już władza, wojsko, nietrudno podpaść, i jak bym się wtedy tłumaczył? Po wsiach tymczasem już się zaczynała zabawa we wzajemne strzelanie, tworzyły się grupy działające przeciw PKWN-owi. Z jednej strony nawet coś mnie do nich ciągnęło, wiesz, cała ta szkoła konspiracyjna, a potem bolesne zakończenie partyzanckiej kampanii, z drugiej dom się we mnie odzywał, robociarskie środowisko, przekonania ojca, w końcu chciałem już tylko jakiegoś spokojnego kąta, w nic się nie mieszać, ot, byle przeżyć ten najtrudniejszy czas. Z grupy uciekinierów zostało nas dwóch, tamci poszli swoimi drogami. Ten mój kompan mówi jednego dnia: „Idę do berlingowców, cholera, co pewne, że będę dalej tłuki Niemca, a mnie tam mucha z komunistami czy akowcami”. To spłynęło na mnie jak wybawienie, sam o podobnym rozwiązaniu nie pomyślałem. Jednego tylko się bałem, ozy nie będą zbyt wiele wypytywali... Jakoś przeszło, pośpiech był, nie chodziło o szczegóły, na pytania o podziemie, o konspirację, także i o AK wałnąłem, że nie. No bo jak? Inaczej musiałbym tłumaczyć się z ucieczki... odbębniłem skrócone rekructwo, raz mię tylko zahaczył o coś polowych, niczego się nie dowiedział, a tu zaraz wyjazd na front... Tam wiesz, nie żałowałem siebie. I rany były, i odznaczenia, awans. Już myślałem, że na zawodowego zostanę, oficerskie gwiazdki się marzyły, bądź co bądź, byłem z tej kadry ludowego wojska. Aż dopiero ten pech za Baligrodem, kilometr od miejsca gdzie zginął generał. Skończyła się

piosenka, tkwię jeszcze u starego, ale pora myśleć o czymś, co - by pozwoliło zaczepić się na stałe. Sam nawet nie - wiem: brać ziemię czy może uczyć się pracując byle gdzie, tylko dla zaczepienia się tymczasem...

Zaskoczyło mnie to, Pacuk inaczej montował całą historię, ani słowa o wywózce, nawet konspirację omijał półsłówkami. Wiktor tymczasem wywała prawdę na wierzch. Też się nie ujawnił, siedział zadekowany w wojsku... Powiedziałem, że najwięcej mnie boli, iż nie można się przyznać do własnej przeszłości, jakby była nie wiem jak bardzo zbójcka, a w końcu chodziło nam tylko o Polskę, szliśmy dla jej sprawy, tam gdzie mogliśmy się dostać. W podzięce nazywają nas reakcją. I jak on, Wiktor, to widzi?

Zaczął od tego, że jest członkiem Związku Walki Młodych. W wojsku wstąpił. Nie dlatego, iż to było dobrze widziane, ale że to uznał za słuszne. Nie miał nic przeciw socjalizmowi, najchętniej by mu pomagał. I wtedy, i jeszcze bardziej dziś. Ale pewne sprawy i jego bolą, boi się o nich mówić. Jakby miał człowiek dwa życia, jedno nie ujawnione, drugie oficjalne, z legitymacją, z odznaczeniami... Wojsko wiele mu dało. Nie to, że walka, że front, przynajmniej wie, iż się odkuł na Niemczech, ale też że i politycznie nie jest już jak tabaka w rogu. Że rozumie i to, iż błędy, jakich chyba nie mało się zrobiło właśnie w pierwszym okresie po wojnie, będzie można naprawić. Wyłuskać prawdę, nie pozwolić, by zło i dobro rzucono do jednego worka. A tymczasem to jeszcze wcale się nie robi różnicy. Najwięcej zaś drą się tacy krzykacze, którzy szcerwienieli jedynie od wierzchu.

Trochę był zmieszany mówiąc mi to. Może się wstydził, że gada trochę nie w duchu tego swojego ZWM-u albo że w ogóle istnieć mogą tak wstydlive sprawy, wplątujące człowieka w zakłamanie... Wiktor był zdania, że nie potrzebuję się ujawniać, tamte sprawy minęły z momentem mojego przyjazdu na Mazury. Chodzi przecież o tych, co nadal działali w Polsce przeciwko niej. Choć w końcu i on też nie był pewien...

Do rana przegwarzyliśmy, wspominając konspiracyjne akcje, wspólny wypad na posterunek żandarmerii niemieckiej w Mejszagole, zwłaszcza zaś walki z Litwinami generała Plechaviczjusa. Odżyły najdrobniejsze szczegóły: jak byliśmy ubrani, jaką kto broń posiadał, nawet co jedliśmy każdego niemal dnia. Już nie wracaliśmy do polityki, oddaliła się od nas, był nastrój i leśnych ognisk, i nocy spędzonej w przyczajeniu na bagnach; pałętały się wtedy wkoło jakieś świetliki, białe pnie brzoź upodabniały się do dziwacznych - postaci: Powodowane to było zmęczeniem i napięciem nerwów. Przyznał się Wiktor, że w pewnej chwili omal nie wystrzelił wtedy do takiej zjawy. Dopiero byłby kawał, gdyby ściągnęło to na nas esesowców litewskich. W - ogóle rozmarzył - się chłopak, zaczął wspominać swoją dziewczynę, Halinę, raz ją kiedyś poznałem, rozeszły się ich drogi przez głupi los, próżno jej

teraz szuka, wywiaduje się, jakby kamień w wodę - przepadła. Zresztą i miłość jego zetlała, jak to w żołnierskim życiu - były inne dziewczyny, tamto zostało pięknym wspomnieniem...

Bardzo się zaprzyjaźniliśmy od nowa. Musiał mi Wiktor przyrzec, że jak tylko będzie mógł, zajrzy do nas na dłużej. Posiedzi, znowu powspominamy, pokłócimy się trochę o dzisiejsze, o to, co w nim zostało z naszych szczeniackich marzeń.

Wczoraj tak się rozписаłem, a nie wspomniałem o najważniejszym. Choć to stało się co prawda, dopiero w parę dni po powrocie do domu. W Olsztynie, podczas tych dożynek, kupiłem, że to u nas nie zawsze można dostać, cały stos różnych gazet i pism. W księgarni też wzięliśmy kilka książek, najwięcej dziecięcych, żeby. Tadiusz miał co czytać. Rwie się do nich, obrazki ogląda, wypytuje o wszystko, czasem aż żal, że czasu brakuje, by więcej zająć się chłopcem.

Ale nie o Tadiusiu chciałem tym razem... Po paru dniach znalazło się trochę czasu, przeglądam te wszystkie pisma. Jedno mnie zwłaszcza zaciekało, schowałem je, nazywa się „Pokolenie”. Piszą tam, że wydawane jest przez dawnych akowców, chodzi im o wyjaśnienie szeregu spraw, o rozbicie różnych murów powznoszonych bez niczyjej z tego korzyści. Ucieszyłem się, że jednak nie jest chyba tak źle, jeżeli o tych sprawach można tak pisać... Potem oglądałem inny tygodnik, „Polskę Zachodnią”, specjalnie poświęcony ziemiom odzyskanym. W pewnej chwili rzucam okiem na podpis pod artykułem o Powiślu - później dopiero się doczytałem, że chodzi o te powiaty dawnych Prus, które dołączono do województwa gdańskiego - otóż patrzę na podpis i sam sobie nie wierzę: Tadeusz Zapiński. Czyżby to właśnie on? Jest w Polsce, pisze, działa, zatem skończyło się wszystko szczęśliwie. Nie poszedł z podziemiem bo i tak mi się czasem myślało. Zerwałem się z miejsca i (krzyczę do Losi, że pan Tadeusz się znalazł, jest jego artykuł w gazecie. Na pewno om, przecież wiem, że czasami, choć rzadko, drukował w podziemnych gazetkach, mówił mi nawet, pod jakim pseudonimem. Jak go tylko teraz odszukać! I żal zarazem poczułem, czemu on mnie nie szukał, mógł przecież przez PUR czy inną drogą, meldowany jestem, byłaby zatem możliwość. Aż się musiałem hamować. Skąd wiem, że nie szukał, albo od jak dawna jest w Polsce, może dopiero przyjechał?... Tak sobie tłumaczyłem, głupio, bo z artykułu wynikało, że zna sprawy, jest z nimi od dawna związany. Znowu się przestraszyłem, że może to ktoś zupełnie inny. Mogło się zdarzyć, że i imię, i nazwisko to samo. Dopiero Zenek mądrze poradził napisać do Poznania, gdzie się mieści redakcja tygodnika, poprosić o adres, na pewno podadzą. Zaraz siadłem i napisałem, Zenek poszedł do miasteczka, by list nadać na poczcie. Wtedy się trochę uspokoilem.

Teraz czekam na odpowiedź z redakcji, na jakąś wiadomość. Można było próbować poprzez gazetę od razu pisać do pana Tadeusza, ale zawahałem się. Bo jeżeli to tylko to samo nazwisko i imię, autor zaś jest kimś zupełnie innym? Czekam i od nowa kotłują się we mnie przeróżne wspomnienia, przeżywam każde zetknięcie z tym człowiekiem, zastanawiam się, czy tak wiele mu zawdzięczam, jak mi się wydaje, czy też po prostu potrzebne mi wtedy było oparcie się o kogoś, komu ufałem, kto umiał mi wyjaśnić wiele nieprostych rzeczy, dodać otuchy, podtrzymać w trudnych chwilach.

Przychodzą mi na myśl słowa mojego ojca. Mówił, że ja zawsze się palę, by coś zaczynać, a potem zmieniam, projekty, chwytam się za coś zupełnie innego. Tyle że ciągle chcę działać, coś robić. Może to tylko sprawa tej mojej gruźlicy w dzieciństwie, która odezwała się później młodzieńczym nawrotem. Gruźlicy zawsze są aktywniejsi, jakby sama choroba pchała ich do działania. Pan Tadeusz radził mi kiedyś przeczytać *Czarodziejską górę* Tomasza Manna, osobiwą jakoby książkę, której akcja dzieje się w sanatorium przeciwgruźliczym. Obiecał mi nawet wystarać się o nią, ale tak jakoś zeszło, nie otrzymałem tej książki. Zastanawiał się, czy jej podołam, bo to trudna lektura. Nie wiem, musiałbym spróbować. To też wynikło na marginesie jakiejś rozmowy o mojej chorobie... Przed wojną co roku przeprowadzałem badania kontrolne, teraz ile już lat nie byłem u lekarza. Może warto by nawet zajrzeć któregoś razu... Choć właściwie czuję się mocny, a że praca mnie męczy, to inna sprawa, zawsze tak było. Myślę o tych ojcowskich słowach, że chciałem działać, coś robić nie tylko dla siebie, na własnym podwórku. Stąd były „Wici” przed wojną, stąd pewnie w okupację próby nawiązania stosunków z jakąś organizacją. Dopiero przez pana Tadeusza nawiązał się kontakt, mogłem działać i wiedziałem, co robię, dlaczego. Bo w jakiś sposób trzeba mnie jednak było prowadzić za rękę. Trudno przychodziło mi własne rozeznanie, nazbyt się zawsze wahałem. W „Wiciach” tak mnie prowadzono, wskazywano kierunek, dalej już umiałem iść sam. To samo w konspiracji. A teraz jestem zaplątany i gubię się, zazdroszczę Pacukom, jednemu i drugiemu; oni nie znają takich wahań, wiedzą, idą ku czemuś. Ja ugrzązłem w glinie i gnoju, cuduję się wszystkiemu dookoła, czasami rwie mnie, by biec, pomagać, kiedy indziej wstrzymuje coś z równą siłą. Może z tej racji tak tęsknię do pana Tadeusza, tak mi on ciągle w myślach, a teraz, gdy ślad się wreszcie odnalazł, trudno mi o spokój w oczekiwaniu. Czy dlatego, że jeszcze raz miałbym zaczynać i trzeba mi kogoś, kto pomoże, wyznaczy kierunek? Może i tak. Jeżeli artykuł naprawdę pisał Tadeusz, to i on znalazł już swoje miejsce, coś wie i czegoś chce. Mógłby mi pomóc.

Zenek nawiązał znajomości w miasteczku, dziewczyna Banasiaków już mu się

najpewniej znudziła, rzadziej ich z sobą widuję. Trochę mu zazdroścę, choć nie wiem, z kim trzyma, gdzie podziwia się wieczorami. Ja, gdy zjawiam się w miasteczku, czuję się tam i swojsko, i obco zarazem. Swojsko, bo cieszę się, że i tutaj jednak trochę się robi, bo to w końcu mi bliskie. Ani porównać z tym, co było przed dwoma laty. A Obco, bo nie znam ludzi, bo nie wiem, do kogo się zbliżyć, do młodszych czy starszych, bo nie mam z kim zacząć jakiejś roboty, nie wiem, czego się trzymać. Gdy ogłoszono czyn pierwszomajowy, trzy dni tyrałem wraz z koniem nie gorzej jak dla siebie. Czegośmy z tej wody nie wyłowili, od szkieletów niemieckich żołnierzy zaczynając, po bomby, melbie jakieś, maszyny i urządzenia. Wywoziłem to śmiecie, gruz, zwoziliśmy darń, układaliśmy na zboczach wału, strasznie mnie to cieszyło. Dostałem potem z rady narodowej dyplom z podziękowaniem. Ale to się skończyło, wszystko znowu jak dawniej. I ta ciężka samotność. Wróg ja - czy przyjaciel, swój czy obcy? W jakimś przemówieniu drukowanym w gazetach znalazłem takie zdanie: najwyższy czas, by się określić. Tymczasem nie wiem, jak się mam określić.,

Krzyk w gazetach, bo Mikołajczyk uciekł za granicę. W „Przekroju”, prenumeruję to pismo, ukazał się taki dziwny artykuł pod tytułem *Primadonna jednego, sezonu*. Dużo w nim było prawdy. Władek, ten sąsiad, czytał, złościł się, ale w końcu też ramionami wzruszał, wreszcie zapytał: - Jeżeli ten Mikołajczyk tak zakończył karierę, to w ogóle po cholere przyjeżdżał? Chciał wojować, zgoda, ale wtedy trzeba do końca, a nie dezerterować. - I mnie się wydaje to słuszne. Bo można sobie pomyśleć, co teraz będzie z jego ludźmi, ogłupionymi, zostawionymi samymi sobie. Z tymi, którzy mu zawierzyli?

Nareszcie. Me spieszą się te redakcje. Więcej niż po miesiącu czekania nadeszła dzisiaj odpowiedź. Podają, by do pana Tadeusza pisać pod adresem zarządu wojewódzkiego Polskiego Związku Zachodniego w Gdańsku. Od razu siadłem i napisałem. Listonosz czekał, wypił przez ten czas kwaterkę wódki. Niechże mu będzie na zdrowie! Bo to niby parę zdań, a ciężko mi szło. W końcu ułożyłem krótko. Że przeczytałem jego artykuł, tą drogą zdobyłem pośredni adres. My z całą rodziną osiedliliśmy się tu, a tu, czekam zatem na wiadomości i serdecznie pozdrawiam. Tyle, bo kto wie, jeszcze ktoś obcy przeczyta, po co się zwierzać?

U Kurtysa byli jacyś, którzy organizują nowe stronnictwa z dawnych peeselowców. Władek odmówi; powiedział prosto, że ma dosyć polityki. Krzywo to przyjęli, zabąkali coś o reakcji, poszli sobie. Władek przybiegł z nowiną okropnie zły. Klął i wygrażał tamtym pięściami. Rozumiem go, dziwny sposób werbowania, i zarazem z tą reakcją. To nie propaganda, zamiast jednać, tylko odpycha się ludzi. Ale przecież ja nikomu nie będę radził co i jak.

Kaśka nasza dobrze już mówi. Tadiusz jej pilnuje. Chłopak jakby zmężniał, podrośł, śmieszny czasem, taki mały filozof, zapytuje o sprawy, że ani mu odpowiedzieć. Pociecha z dzieciaków..

Z Zenkiem na początku było wszystko dobrze. Ale już się zaczynają kłopoty. Mało pomaga, ciągle nie ma go w domu. Nie poganiam, milczę; po co Losi mam przykrość robić? Ale ona też to widzi i martwi się. Dawno się już zgłosił na Śląsk do tej szkoły górniczej, ale ani myśli wyjeżdżać. Przyszło parę napomnień, nie odpowiedział. Przestali pisać, pewnie przekonani, że zrezygnował. Nam mówi, że pojedzie, jeszcze tylko tydzień, dwa tutaj posiedzi. Niechby już jechał, bo tu gotów wpaść w jakąś kabałę. Ma sporo pieniędzy, tylko nie wiem skąd, przecież ja mu nie daję, pije, parę razy wrócił z miasteczka zupełnie pod gazem, mamrotał, ledwie dobrnął do łóżka. Muszę z nim chyba pogadać.

Mamy sąsiadów. Obok tego wielkiego budynku, który podobno kiedyś był magazynem, a teraz stoi pusty, tuż przy szosie znajduje się jakby willa, maleńka, biała, straszliwie wyszabrowana. Sam zresztą stamtąd przyniosłem kiedyś wyrwane framugi okna. Potrzebne mi były dla zrobienia przegrody na kurnik. Do tej willi, po parodniowym lada jakim remoncie, wpakowano teraz cztery rodziny ukraińskie. Mówią, że niby na tymczasem.

Trochę ich żal, tych Ukraińców, ale bardzo mi się nie podobają. Krzykliwi, zaczepni, ani za grosz jakiejś pokory. Ktoś inny w tej sytuacji zmałałby, starał się nie włączyć nikomu w oczy, a oni na odwrót. Napyskowali przecież z miejsca urzędnikowi, który ich tutaj przywiózł, jeszcze trochę, a ruszyliby, z pięściami.

Ze mną są grzeczni, przychodzą” kłaniają się, poproszą o pożyczenie to wiaderka, to kosy, myszkują przy tym dokoła, oglądają gospodarkę dokładnie. Nie podoba mi się to, czuję, że będą z nimi kłopoty.

Nareszcie znaleziono sposób na wytepienie tych wszystkich band faszystowskich w Rzeszowskiem: upowców, ouenowców, licho wie jeszcze kogo. Dopóki istniały tam zamieszkałe wioski, było to niemożliwe. Terroryzowali mieszkańców, mieli w wioskach spoczynek i żywność. Mieli też wielu stronników, nawet i swoich członków. Dlatego orientowali się w ruchach wojsk polskich, mogli zwinąć się w porę albo na odwrót, urządzić zasadzkę. Stąd ta „akcja W”, jak ją nazywają, przesiedlenie z tamtych terenów wszystkich mieszkańców, stworzenie odludzia, gdzie i kryć się będzie trudniej, a w ogóle przestanie istnieć możliwość zaopatrzenia. Osiedlają ich teraz na Mazurach i Warmii, podobno także w Szczecińskiem.

Polityka polityką, na pewno niegłupi to sposób, ale że mnie się właśnie trafiło takie sąsiedztwo, to zły los.

Jakbym przeczuł. Dziś zjawiała się komisja z rady narodowej, oglądali moją gospodarke. Zapadła decyzja, że mam wydzielić tym nowo przybyłym część gospodarczych budynków. Nie pomogły protesty, więc już tylko o to dbałem, by nie wpakowali się mi w środek obejścia. Ostatecznie o budynki mniejsza, starczyłoby ich na trzech takich jak ja.

W końcu udało się tak wykombinować, że oddałem całe skrzydło najbliższe tej willi. Zenkowi od razu kazałem - stawiać płot, by się jak najszybciej oddzielić, inaczej łaziliby mi po ogrodzie i po podwórzu. Bardzo im się> to nie spodobało. Ledwie urzędnik odjechał, a Zenek zaczął kopać doły pod słupy, przybiegli w trójkę, awantura, co ja sobie myślę? przecież władza powiedziała wyraźnie, że wszystko musi być wspólne... Takim chwytem próbowali mnie zagiąć. Zenkowi mówię: - Kop dalej - sam im tłumaczę, na krzyk krzykiem, na groźby groźbami. Myśleli, że ich się złękne. - A sprawdzić - mówię - jak to z tym wspólnym, możemy w radzie choć jutro... - Wreszcie niby to dali spokój. Zenek płot stawiał, pomagałem mu, ale już następnego dnia wywalili to wszystko, zaczęli przejeżdżać wozami przez nasze podwórze. Wskazuję im inną drogę okrążającą budynek od drugiej strony, śmieją się, że im za daleko... Do bójki nie chciałem doprowadzać, zaprzęgam konie, i do miasteczka. Zaraz wysłali urzędnika z dwoma milicjantami. Myślałem, że się nie obejdzie bez krwi. Natarli na tamtych, za nic mieli milicję, krzyczeli, że z setkami takich dawali sobie radę. Dopiero ścielili, jak któryś z nich, starszy pewnie, nakazał spokój, zagadał coś po ukraińsku. A milicjanci już broń ściągnęli z ramion, trzymali przed sobą pepesze gotowe do strzału. Wreszcie zgodzili się: dobrze, płot niech stoi, przez podwórze moje nie będą jeździć... Ale pięściami mi grozili. Losia płacze, że oni mogą nas pozabijać, ci jacyś upowcy. Tłumaczę: nie wolno talk mówić, to mogą być najbardziej niewinni ludzie, nie wszyscy tacy tam byli, może ci - więcej ucierpieli aniżeli kto inny. A że wojują o swoje? Każdy by robił to sarno, jakby go wyrwali z korzeniami ze swojej ziemi, przesadzili na nowy grunt. Albo z nami w jakiś sposób nie było tak samo? Też jechaliśmy z Wileńszczyzny, nie wiedząc dobrze dokąd i po co, też wczepialiśmy się i jeszcze wczepiamy pazurami w tę ziemię... Gadałem tak, ale w duchu sam też się bałem, ciągle spoglądałem w stronę białego domu przy szosie. Wieczorem zaczęli śpiewać. Ładne mieli głosy i kobiety, i mężczyźni, a w tych pieśniach jakby tylko sama skowycząca tęsknota. Aż się momentami strasznie robiło. Drzwi na noc ryglowaliśmy z Zenkiem starannie...

Znowu muszę dzisiaj o tych sąsiadach. Za nic sobie mają władzę, poczynają, jakby wszystko ich było. Nie o mnie teraz chodzi, dali mi spokój. Ale o to spustoszenie stawu. Obok pola, które im przydzielono, jest szeroki, zarosły wokoło trzcina staw. Pod mostem w

poprzek szosy są jakieś zasuwki, żelazne kraty, zaniezione błotem i zielskiem. Próbowaliśmy ruszyć je kiedy z Zenkiem i Władkiem, nie poradziliśmy. A ci tymczasem podnieśli jakoś zardzewiałe zastawki, pewnie od młyna, był tu kiedyś, zostały tylko ślady kamiennej podmurówki. Podnieśli, woda runęła wodospadem, różnica - poziomów poboczy szosy z jednej i z drugiej strony wynosi chyba z pięć metrów. Rzeczka tak Skromna poszerzyła się, zabrudziła, błoto nią teraz płynęło. Pół dnia tak trwało, na miejscu stawu szlam czarny, śmierdzący zostawał, a pośrodku pas wody, to szlak rzeczki, tej samej, co okalała moje pola. Wtedy Ukraińcy ruszyli po ryby. Szczupaków, okazało się, pełno tutaj, prócz tego karasie. W każdej kałuży wody miotało się parę sztuk, zdarzały się nawet do dwóch kilo. Zenek też przebrał się, zaczął łowić. Oni z pyskiem, ale postawił się chłopak. - Takie to wasze jak nasze, lepiej się uspokójcie. - Machnęli ręką, ryb starczyło dla wszystkich. Naleliśmy wody do starej blaszanej wanny, stała pod oborą, tam wpuszczaliśmy nasze szczupaki, było ich ze trzydzieści sztuk... Zaimponowało mi |U Ukraińców to jakieś gospodarskie patrzyenie. Pomedytowali nad spuszczoneym stawem, zbadali, jak głęboka jest warstwa szlamu, uznali, że zastaw nie będą wprowadzać na dawne miejsce. Niech sobie woda normalnie przepływa, a na miejsce stawu założą z wio- sną ogrody. Pewnie, będzie tu rodzić. Wcale niegłupi pomysł.

Zjawił się jeszcze raz ten urzędnik, który zaprowadzał porządek. Oznajmił, że to zamieszkanie Ukraińców jest tylko chwilowe. Remontuje się dla nich domy gdzie indziej. Tutaj bowiem państwo urządza magazyn, a willa będzie mieszkaniem magazyniera. Ja odetchnąłem, ale Ukraińcom czemuś wydłużyły się miny. Czyżby mieli ochotę gnieździć się tak w ciasnocie w cztery rodziny?

W nocy opróżnili mi z miodu jeden z uli, mam ich teraz sześć. Nie chcę się złościć, nie pomoże to wiele, ale czuję, że nim się oni wyniosą, ja zejdem na żebry. Chłopcy ich obrzucili Tadiusia kamieniami. Z płaczem i guzami na głowie przybiegł do matki.

Słów nie mam, co dnia jakaś szkoda. W nocy skosili mi spory kawałek koniczyny, a tak na nią chuchałem, podsypywałem nawozem, znakowałem na wiosnę ziemię. Nawet się nie wypierali, powiedzieli, że muszą czymś karmić bydło. Szczupaki wybrali nam z wanny, chowaliśmy je na niedzielę, miał przyjść Władek z matką i siostrą. Następnego dnia podkradli kartofle z kopca.

Pomyślałem, że jedyna rada - spróbować z nimi porozumieć się po dobremu. Posłałem Zenka po wódkę, sam zaprosiłem najstarszego, wyglądał jakby na ich przywódcę. To on kazał zamilknąć temu, który przy milicjantach zaczął wydzierać się, że radzili sobie z setkami takich jak oni... Początkowo nie chciał, ale wreszcie się zgodził.

Dobrze mówi po polsku, bo nie wszyscy nasz język znają, a może tylko nie chcą nim mówić. Zaczęło się od ogólnych spraw. Wyrzekał, jak z nimi postąpiono. Mało, że przez ostatnie lata nie zaznali chwili spokojnej, bo z jednej strony upowcy, z drugiej polskie władze, jednym dogodzisz, drugim się narazisz, zawsze niedobrze. Gospodarstwa podupadły; jak kto chował świniaka, to gdzieś po ziemiankach, po jarach, zboże też trzymało się w różnych skrytkach. A i swoich trzeba było się strzec, w wiosce byli bowiem tacy i tacy, nie zawsze się wiedziało, kito za kim stoi. Ani dnia spokojnego, ani nocy... Aż ostatnio zrobiło się ciężej niż kiedy. Polskie wojska przystąpiły do generalnej ofensywy. Po wsiach stały wielkie oddziały. Ale w tym samym czasie stawały w ogniu te domy, których gospodarze trzymali z Polakami, paru ludzi zginęło nie wiedzieć przez kogo wyprawionych na tamten świat... Jak wojsko ruszyło gdzieś dalej, nocą przyszli upowcy, wieś podpalili, strzelali do ludzi ratujących dobytek. Dwadzieścia chałup poszło z dymem. I tak w kółko. Polacy naciskali, faszyci bronili się rozpaczliwie. Wtedy nadeszła decyzja wysiedlania. Z całym dobytkiem, ale w pośpiechu. Teraz nie wiedzą, czy mają tu zostać na stałe, czy ich może kiedyś znów przeniosą na ojcowiznę...

Nie wszystko mi się podobało, co mówił, od kielicha się nie wymawiając. Choćby ten czarnoziem, którym się chwalił, słyszałem innych, mówili, że ziemia tam rozmaita, lepsza i gorsza, cudownie było. Albo z tą lojalnością dla Polski, o której tak stary zapewniał. Kto wie, co siedzi w duszy drugiego? Kiwałem więc głową słuchając, a gdy urwał, sam mówić zacząłem. Że my podobnie przyjechaliśmy z daleka, repatrianci. Od początków zaczynaliśmy. Dla was gdzieś remontują domy, my je sami remontowaliśmy. Ziemię zastaliśmy zapuszczoną, do dziś nie można się uporać z chwastami. Klęska myszy, powódź, głód, często brak ziarna. Aż się zaczęło lepiej gospodarować, można związać koniec z końcem. To oni właśnie musieli przyjść, kradną, jakby zawsze złodziejskim fachem się zajmowali. Zawiniłem im w czym? Sprowadziłem ich tutaj? Nie lepiej, jeżeli już musimy, w zgodzie żyć, po sąsiedzku?

Nie próbował tłumaczyć swoich. Coś tam mruczał pod nosem, że to z biedy i ze zmartwienia. W końcu obiecał, że nie dopuści więcej, by miało u mnie coś ginąć. Wychyliliśmy po szklance na tę intencję, on to zaproponował zamianę kieliszków na szklanki. Jeszcze na odchodnym kurę wycyganił, daliśmy na odczepne. Zobaczymy, czy słowa dotrzyma.

Nadszedł list ekspresowy od pana Tadeusza. Zgadza się, to on. Pisze, że się ogromnie ucieszył, napisał jeden artykuł i dzięki temu znaleźliśmy się, bo dotąd niczego nie mógł się o mnie wywieść. Mieszka w Gdańsku, uczy się i pracuje, przy pierwszej okazji chce się ze

mną zobaczyć, może zioną się uda. Bardzo serdecznie pisze, ciepło, zupełnie jak dawniej. Niech przyjeżdża jak najszybciej, bardzo chcę go zobaczyć. A jeśli się dobrze ułoży, sam się machnę do Gdańska.

Po tym liście jakby mi kamień spadł z serca. Dopiero widzę, jak brakowało mi tego człowieka. Szkoda, że pisze tak niewiele, o przeszłości nie wspomina ani słóweczkiem. Czyżby to z ostrożności? W ogóle wiadomości mało, a tak bym pragnął wiedzieć o nim jak najwięcej. Ale niedługo już się dowiem.

Wysłałem też dzisiaj list do Wiktora, zapytując o przyjazd. Roboty jak zawsze pod zimę już mniej, moglibyśmy powspominać dawne dzieje. Czasem sobie myślę, że bardzo dawne. Jakoś zaciera się wszystko w pamięci. Może to i dobrze? Za Mejsutami mniej tęsknię. Przesłoniły się jak gdyby mgłą, straciły na ostrości konturów.

Wiktorowi doniosłem też o odnalezieniu się Tadeusza, podałem adres. Lubią się, niechże wiedzą o sobie.

Dziś wyjechały dwie ukraińskie rodziny. Osiedlono je koło Rynku, podobno bardzo przyzwoite gospodarki. Ale odjeżdżali niechętnie, baby popłakiwały, pewnie żal im było rozstawać się z gromadą; tu w okolicy sporo ich było, tam zostaną zupełnie samotni... Trzeba przyznać, że to niegłupie. Z jednej strony daje się ludziom szansę życia normalnego, w spokoju, z drugiej, jeśliby za którymi z nich ciągnęły nie udowodnione winy, zmniejsza się ich możliwość działania. Cieszę się z ich wyjazdu. Od rozmowy z najstarszym niby wielkich szkód nie robili, zawsze jednak pętali się wokoło zagłądali w każdy kąt, człowiek coraz mniej się czuł u siebie. Pozostali też niedługo mają wyjechać, jeszcze przed Nowym Rokiem. A o tym magazynie przycichło jakoś, nikt nie zagląda do ogromnego budynku, nietoperze tam się gnieźdzą całymi stadami, w jaśniejsze wieczory widać, jak harują nad szosą.

Nad ranem ostre przymrozki. Zapowiadają, że tegoroczna zima będzie ciężka. Kopce z kartoflami opatrzyłem solidnie.

Zenek wyjechał wreszcie na ten swój Śląsk. Przez ostatni tydzień ciągle pił, raz zwałił mi się nad ranem do domu, ciągnąc za sobą jakiegoś jegomościa o łysej głowie, urzędnika z prezydium. Mieli ze sobą butelkę, zmusili, żebym pił z nimi. Nie chciałem awantur, byłoby Losi przykro, przecież to brat jej rodzony, ale w duchu byłem wściekły. Ledwie się w końcu pohamowałem. Lada dzień Zenek wyjedzie. Po co się rozstawać w niezgodzie?

Teraz, jak go nie ma, jakoś się puściej zrobiło, a już najbardziej wieczorem, gdy dzieciaki pozasypiają. Losia mówi, że z Zenkiem było bezpieczniej. Śmieję się, dziś inne czasy, wytrzymałyśmy sami wtedy, gdy bandy chodziły, rabunkom nie było końca, zdarzały

się mordy, dzisiaj możemy być tym bardziej spokojni. A chłopakowi taka szkoła się przyda. Fach górniczy, co prawda, ciężki, choć dobrze płatny. Ale i Zenek też nie ułamek.

Przeleciało, ani się człowiek obejrzał, Boże Narodzenie. Trzecie już na tej ziemi. Niespodziewanie przyjechał Zenek, umundurowany na górnika, wesoły, zadowolony. Były kłopoty z przyjęciem, że się tak spóźnił, ale obiecał iż naukę nadrobi, więc się zgodzili. Puścili też na wakacje zimowe. Losia jednak bardzo go kocha, rozpromieniła się na jego widok, mundur oglądała z podziwem, dzieciom pokazywała. To dobrze, że się cieszy, od razu w całym domu staje się weselej.

Przyszły życzenia od Pacuków. Napisał także Tadeusz. Długi list tym razem i tak samo serdeczny. Wybierał się do mnie, ciągle coś przeszkadzało, teraz jeszcze ma egzaminy, zabrał się na całego do nauki, trzeba nadrobić stracony przez wojnę czas. Może ja bym wpadł zimą na trochę do Gdańska, a on swoją wizytę odłoży na lato. Mieszka razem z ojcem i siostrą, jakoś radzą, choć trudno im się jeszcze ze wszystkim oswoić. Cieszy się, że osiadłem na ziemiach odzyskanych, właśnie na Mazurach, które tyle wycierpiały. Sprawa polskiego zachodu to wielka rzecz, można dzięki temu na wiele innych spraw spojrzeć przez palce, choć się to nie zawsze udaje. Prosi, żebym napisał dokładniej, jak się nam wiedzie, jakie mam gospodarstwo, czy osiadłem może nad jakimś jeziorem. Ciekaw jest mojej żony, nie widział jej, aż się nie chce mu wierzyć, że mam już dzieci. On sam o żeniactwie jeszcze nie myśli. W kopercie był kawałek opłatka.

Wzruszyłem się tym listem. Już się nie czułem taki bardzo sam na świecie. Wszystko też wokoło wydało mi się w czasie tych świąt weselsze. W sklepach w miasteczku pokazało się sporo towaru, Losia dostała rodzynki; wiele to lat ich nie widzieliśmy, chyba od przed wojny? Matka zawsze je kupowała, musiały być do ciasta, tak samo jak na Wielkanoc.

Na pierwszy dzień zaprosiliśmy Władka z matką i siostrą. Siostra już u nich nie mieszka, przeprowadziła się do miasteczka. Tam jej poręczniej jako krawcowej. Ale na święta ściągnęła do swoich.

Dziś drugi dzień. Losia z Zenkiem i dziećmi udali się do kościoła. Ja zostałem, musi ktoś domu pilnować. Ciepło, choć śnieg na dworze, jakoś tak jasno, weselej. Siedzę i rozmyślam. Trzecie święta na Mazurach, na nowiznie. Trochę się już tutaj zakorzeniliśmy. Gospodarka niezgorzej idzie, w grudniu sprzedałem trochę zboża, dwa razy wozilem, drugi raz to po apelu, by więcej odsitawić, przed samymi świętami zawieźlimy dwa bekony. Losia je wykarmiła. Cenę dali za nie dobrą, kupiliśmy za to buty i ubranie dla dzieci, a Losi materiał na sukienkę. Siostra Władka uszyje. Należy się Losi. Tyle lat już w starych szmatach chodzi.

Może Bóg da, częściej będzie można coś kupić, z najgorszego już chyba wyszliśmy.

Jakoś się to wszystko razem skupiło: święta, list od Tadeusza, opłatek, wspomnienia. Siedzę, dobrze mi, ale zarazem jakoś tęskno, trochę smutnawo. I nie bardzo wiem,- czemu. Trzy lata na nowej ziemi, a przedtem tyle lat w Mejsutach, z ojcem, z matką, potem już tylko z matką. Siostra została na ojcowiznie, dawno nie pisała, nie wiem, co się z nią dzieje. Latem wspominała, że w Mejsutach myślą założyć kołchoz, nie wszystkim się to podoba, ale na to nie ma już rady... To już chyba byłyby inne zupełnie Mejsuty. Znam tamtych ludzi, nie mogę wyobrazić ich sobie przy wspólnej gospodarce. Jeszcze młodszy, myśm się jakoś trzymali, choć także bywały wyjątki, ale starzy, przecież to pożarte z sobą jakby pies z kotem. Et, co mnie ich kołchoz obchodzi, niechaj się sami martwią. U nas to chyba jeszcze nieprędkie, choć słyszy się o spółdzielczości coraz to więcej. Mnie w takie coś nie wepchną, wolę gorzej, ale u siebie, co ma mi każdy w garnek zaglądać, godziny liczyć, fobię, nie robię.

Wychodziłem dzisiaj na pole. Śniegu niewiele, miejscami ruń wygląda spod niego całymi płatami. Ładnie żyto weszło. Ostatni raz tyle go wysiałem, trzeba będzie przerzucić się na pszenicę, ziemia tu dobra, choć glina, ciężka w obróbce. Na gliniankach cieniutka warstewka lodu. Wczoraj przyszli jacyś chłopcy z miasteczka, pchali się niemal na środek. Władek w porę zobaczył i przegonił. Potopiliby się. Ciekawe, czy szczupak będzie tu brał spod lodu? Warto kiedy spróbować.

Najładniej jest w sadzie. Dobre gatunki drzew, Niemiec wiedział, co robi. Śliwy tylko przy płocie marne, zdałaby się tutaj węgierka, może wymienię przy - jakiej okazji... Na gałęziach świeży śnieg, znać nawet gwiazdki, iskrzą się, choć słońca nie ma. Pewnie znowu będzie sypało. Maleńkie odciski nóg, Tadiusz tu biegał, tak cieszył się śniegiem. Jak to dobrze, że chłopak zdrowy, płuca silne, nic po mnie nie przejął.

Długo tak przyglądałem się zaśnieżonym drzewom i chyba pierwszy raz uczułem w sercu radosne ukłucie, że to moje, bliskie mi, serdeczne. Pierwszy raz, bo dotychczas czułem jakoś inaczej; pewnie, moja gospodarka, ale bez tego przywiązania, bez ukłucia w sercu, jakie się odczuwa w stosunku do czegoś najbliższego: do człowieka, stworzenia jakiegoś, do ziemi rodzinnej. Ej, to chyba także nie to, Mejsuty to moja rodzinna ziemia. A rodzinnego czegoś nie można wymieniać na inne... A jeśli zrodzi się uczucie podobne tamtemu? Może i dobrze, by się zrodziło, wtedy by nie przeszkadzała tak często pamięć, ból wspomnienia, uczucie jakiejś krzywdy. Dotychczas często to odczuwałem, choć coraz rzadziej, najpewniej czas robi swoje.

Dobra byłaby ta nowa miłość. Jeżeli tak myślę, może już ona jest? Tadeusz pisze tak mocno o ziemiach odzyskanych, podkreśla to. Więc chyba podobnie odczuwa. Może jemu

Gdańsk teraz staje się tak bliski jak przedtem Wilno, przy tym jedno nie przekreśla drugiego?

Opadły mnie jakoś te myśli, wiem, Boże Narodzenie, sam zostałem w domu, czyściutki śnieg za oknem, drzewa wystrojone, spokój. Wspomnienia nadbiegają, tłoczą się, trudno je w sobie wszystkie wyłapać.

To była niespodzianka: Ledwie nasi wrócili z kościoła, stukanie i w drzwiach ukazuje się Wiktor. Widocznie Pacukowie mają już taki zwyczaj: nie zapowiadać się z wizytami. Dobrze trafił, wolny czas, spokojnie, żadnych większych zmartwień, w takim nastroju najlepiej gada się z przyjacielem.

Wczoraj dopiero się zdecydował. W godzinę potem siadał już do pociągu. Kłął długą drogę do nas, trzy przesiadki, wyczekiwanie na stacjach. Hałaśliwy, krzykliwy, po swoim obląpiał mnie, siłę ma jak niedźwiedź, nawet to usztywnione ramię jakoś mu nie przeszkadza. Wychudł jeszcze bardziej, nos mu się wyciągnął, ale tak ogólnie jakby wyprzystojniał.

- Wyrwałem się, nudno mi ze starym, nudno na tej stacji i w małym mieście. Chcę się wynieść gdzieś, od lutego idę do wieczorowego technikum budowlanego. Nie będę się obijał po stacji, taki chłopak do każdej posługi...

Niby śmiał się, pokrzykiwał, ale smutek czy gorycz odczuwałem w jego słowach i całym zachowaniu. Potem zrozumiałem rzecz bliżej. Wiktor nie mógł przeboleć, że pech z usztywnieniem ramienia pokrzyżował jego plany. Przyzwyczyił się do wojska, marzył o oficerskiej gwiazdce, i nagle wszystko na nic, został bez zawodu bez nauki, a lata swoje już ma. To wszystko go drażniło, niepokoiło, w końcu nie wiedział, czego się trzymać.

Ej, chyba źle piszę. Wiedzieć to może wiedział. Inaczej, niecierpliwił się, że tyle jeszcze przed nim, że poprzednie lata przez tę ranę jakby się zmarnowały. Niecierpliwy był zawsze. Wtedy, gdy wraz ze swoim Oddziałem przyjechał na wieś, przed akcją przeciw litewskim oddziałom esesmańskim Plehaviczjusa, omal nie poszedł na udry z dowódcą, tak go rwało do bitki, chciał pędzić ani patrząc, czy w danej chwili są jakieś szanse. Bił się też po wariacku...

Czego się trzymać, to Wiktor wie. Już na początku rozmowy powiedział, że został przyjęty do PPR-u. Na kandydata tymczasem... I zaraz zaśmiał się, że z ojcem się teraz sprzeczą, co lepsze: PPS czy PPR. Wygarniają sobie to czy tamto, jeden na drugiego zwała winę za to, co jeszcze nie jest w kraju w porządku. Znowu się zaśmiał, mówiąc, że to nawet wygodnie, nie obciąża partyjnego sumienia. I zaraz sprostował, że oczywiście żartuje.

Później już, któregoś z dalszych dni, zapytałem go, czy tamte dawne zastrzeżenia, o jakich mówiliśmy u niego w domu, już w sobie rozwiązał. Powiedział uczciwie, że nie, w

każdym razie nie wszystkie, ale że dlatego właśnie wstąpił do partii, iż uważa, że im więcej tam będzie oddanych ludzi; tym prędzej da się naprawić to, co jeszcze jest złe. A tego złego wcale nie jest tak mało. I zwalczyć je też nie będzie łatwo. Prościej jest robić rewolucję niż ją utrwaląć..

Ale więcej nie chciał rozwodzić się na ten temat. Pewnie uważał, że mu nie wypada z bezpartyjnym. Wydawało mi się chwilami, jakby zabrakło między nami poprzedniej, szczerości, coś się wśliznęło nowego pomiędzy mnie a Wiktora, rozrasta w dziwną przegrodę. Najwięcej go podrażniło gdy przerwałem mu zachwyty nad produkcją, nad fabrykami, uwagą, że dzieje się to często kosztem ludzi. Zaburczał, iż zapominam, że przeżywamy okres przejściowy, kiedy wysiłek musi być szczególnie wielki, a gdzie idzie o rzeczy najważniejsze, trzeba czasem przymknąć oczy na jedno czy drugie. Nie podjął też rozmowy o Związku Radzieckim. Machnął ręką, co ma gadać, jeżeli tam nie byłem i nie wiem nic. Zrezygnowałem, nie chce po prostu mówić i tyle. Może boi się mnie albo też boi się swojej szczerości.

Myślę, że na pewno musi mu być czasami ciężko. Przypomniawszy mi się stary Grzybas, chyba jeden z najuczciwszych ludzi, jakich znałem. Czy Wiktor też tak gorliwie wierzy w swoją prawdę, jak wierzył. Grzybas? Nie pytam go o to, nie będę pytał. Zresztą, za mało wiem. Wojenne obserwacje i doświadczenia to jeszcze nie wszystko, w czas pokoju może być zupełnie inaczej. Ale czy jest? Skąd mogę wiedzieć? Z gazet, z radia? Nie lubię naszego radia, za wiele tam gadania, odmieniają ten socjalizm na wszelkie sposoby, Polska im z ust nie schodzi. Próbowałem słuchać polskich audycji z zagranicy. Tak samo gadają jak nasze radio, tylko że wszystko na odwrót.

Z Wiktorem najlepiej się nam wspomina. Wspólnych dziejów tak wiele nie było, właściwie jeden okres, gdy z Wilna wyszło w teren sporo oddziałów do walki z faszystowskimi wojskami. Litwinów, którzy rozpanoszyli się tak, że co krok zostawiali za sobą trupy, gorzej niż hitlerowcy. Bo przedtem, a i potem jak już Niemcy rozwiązali te oddziały litewskie, przetrzepane przez naszych solidnie po skórze, każdy z nas robił na swoim terenie. Ciekawe były te zwierzenia, opowieści o sprawach bliskich, ale nie znanych w szczegółach. Wiktor dużo wiedział, był dowódcą robotniczego plutonu, robili takie specjalne akcje... Zenek przysłuchiwał się, dla niego to rzeczy nowe, za mały wtedy był, aby brać w nich udział. Mnie zaś, słuchając Wiktora, przychodziło czasem do głowy, z czym on jest bardziej związany: z tą konspiracyjną i partyzancką przeszłością czy z dniem dzisiejszym, z organizacją młodzieżową, z partią, do której wstąpił? Jeszcze równie ciepło jak tamte wileńskie czasy wspominał Wiktor służbę wojskową, walki nad Nysą, generała

Świerczewskiego.

Przy tych wspomnieniach Wiktor jest najmilszy. Wydaje mi się, że on nie jest stworzony do polityki, płacze się w niej. To człowiek działania, konkretnej roboty. Dlatego tak go drażni, że obija się na stacji jako niekwalifikowany robotnik kiedy wie, że mógłby robić coś znacznie poważniejszego, i to o wiele lepiej. Pan Tadeusz powiedział kiedyś, że to świetny materiał na jakiegoś inżyniera, ma wielką inteligencję, wiedzy mu tylko brakuje. Cóż, teraz droga łatwa, jeżeli zacznie się uczyć.

Smutno mi się w tej chwili zrobiło. Tadeusz się uczy, Wiktor też ma podobne zamiary, ja tylko ugrzązłem na wsi, od świtu orzę do nocy, zamiast mądrzeć głupieję między świniami, krowami i rączkami pluga. Nawet to, czego się nauczyłem w tych paru klasach gimnazjum, a potem łyknałem jeszcze na kursach „Wici”, wietrzeje mi z głowy. Chłopska dola, chciałem się z niej wyrwać, ale wszystko mnie wgniata w ten los z powrotem... Co mógłbym zrobić? Rzucić gospodarkę, przenieść się do miasta? Czymże tam być? Kiedy się uczyć? Musiałoby się uganiać za groszem, żona przecież jest, dzieci, odpowiedzialność za ich los...

Pytał Wiktor, czy znam jakiegoś doktora Palczaka, figurą podobno był w konspiracji wileńskiej. Skąd miałem go znać, pierwszy raz słyszę, to za wysokie już dla mnie progi. A co ten Palczak? Nic, spotkali się w Słupsku, gdy Wiktor jeździł tam szukać dla siebie roboty i zapisać się do szkoły technicznej dla budowlanych. Znali się trochę z wojny. Odwiedził nawet później Wiktora. Wspominali nieco. Doktor źle się czuje w Polsce Ludowej, narzekał bardzo... Rozeszły się ich drogi, gdy mu Wiktor powiedział, że należy do partii... Zaraz potem wymiotło go, jakby od zarazy uciekał, tyle iż upewnił się, że może chyba pewien być lojalności, zważając na dawne braterstwo broni...

Wczoraj Wiktor odjechał. Dziesięć dni przesiedział u nas, witaliśmy razem Nowy Rok. Weselej było. To jednak naprawdę porządny chłopak. Niech mu się wiedzie. Dobrze mieć po świecie trochę przyjaciół, nie czuć się na tej wiosce osamotnionym jak borsuk w norze.

Namówiłem Wiktora, żeby wracając zajrzał do Gdańska i odwiedził Tadeusza. Chętnie, przystał, mówił, że sam coś takiego zamyslał. Mnie zaś chodziło jeszcze o coś innego, Losia zrobiła świeże masło, do tego doszły dwie tłuste kury, duży kosz jaj, słoń miodu. Wiem, że pan Tadeusz będzie pomstował, nie lubi takich prezentów, ale na pewno mu się przydadzą, w miastach ciągle jest trudno z jedzeniem.

Wiktor wyjechał wczoraj, a ja już dzisiaj znowu piszę. Został we mnie jakiś niepokój, coś tak jakbym bardzo chciał pić, wypilem kubek, miałem ochotę na jeszcze, a już nic więcej

nie było. Zagubiły mnie te nasze rozmowy, może też wspomnień było za dużo.

Tym bardziej tęsknię teraz do Tadeusza, mam ciągle nadzieję, że on mi wiele pomoże. Czasem ciągnie mnie, żeby iść między ludzi, robić coś, organizować, choćby te sprawy rolnicze, a jeszcze bardziej wszystko związane z sadami, z pszczołami, znam to i lubię. Albo coś jeszcze innego, jakieś kulturalne życie, żeby odgłupić naszą wioskę. Zarazem krzyczy coś we mnie, że nie, gdzie się chcesz pchać, tam takich nie trzeba, czerwony nie jesteś, wydasz się podejrzany. Tadeusz tymczasem coś robi, inaczej nie wiązaliby jego adresu z tym Polskim Związkiem Zachodnim, ma już jakiś cel, ma czym się zająć w wolnych chwilach.

Chyba niedługo pojedę do Gdańska. Teraz zima, roboty przy gospodarce niewiele. Losia sama da radę, poproszę zresztą Władka o pomoc, porządny, swój chłop, nie odmówi na pewno.

Zenek też wraca na Śląsk, w jakichś Pyskowicach ta ich szkoła, koło Gliwic. Jak mało właściwie znam Polskę, a szkoda.

Ta szkoła rolnicza zajęła obok nas na pola doświadczalne kilkadziesiąt hektarów. Nie wiem, czego i jak w niej uczą na lekcjach, ale to pokazowe gospodarstwo kością mi stoi w gardle. Na wiosnę, a właściwie latem, zabrali się do zasiewów. Zenek widział, traktorzysta orał co drugą bruzdę; na oko nie znać, dopiero później. Zboże zasiane przerosło chwastem na chłopa, ostem najbardziej, nie wiem, po co właściwie to wszystko kosili i zwozili jesienią. A kartofli, chyba z osiem hektarów, w ogóle już nie tknęli. Od posadzenia na pole nie wyszedł nikt ani razu. Zachwaściło się wszystko, osty zagłuszyły kartofle, tak zostało na zimę. Wtedy gdy w gazetach wołają o dostawę ziemniaków, o zaopatrzenie w nie miast, gdy na wykopki przyjeżdżali robotnicy z pomocą. I nic nie słysząc, aby ktoś oberwał z tego powodu. Ja bym takiego dyrektora, czy kto tam jest za tę ziemię odpowiedzialny, już nie wiem jak karał. Jawny sabotaż... Nie moja sprawa, mówi. Losia, gdy czasem pomstuję na takie porządki. Pewnie, nie moja, ale gryzie to, aż patrzeć się nie chce, gdy idę szosą i dostrzegam, jak sterczy nad śniegiem wyległa nać pomieszana z ostami.

Albo z Ukraińcami. Ostatnia rodzina, która mieszkała w tej białej willi, to był najstarszy, ten, i którym zawierałem ugodę, że nie będą nic ruszali z mojego dobytku. Czekał na przydział gospodarki. Pewnego dnia, tak z miejsca, kazali mu się przenieść do Banasiaka. Tam jest ogromny budynek na dwie strony, z każdej mieszkanie po kilka pokoi. Dawniej jedno z nich zajmowali Niemcy, ale już się wynieśli za Odrę. Ziemi wokoło też dosyć, Banasiak nie uprawia ani połowy. Ukraińiec trochę się krzywił, ale w końcu się zgodził.- Wtedy dopiero Banasiak krzyk podniósł, że to jego, że nie dopuści, będzie bronił. Milicja

musiała przyjechać. Trochę Banasiaka rozumiem, ale z drugiej strony po co ma się i dom, i ziemia marnować?

Najciekawsze z tą willą. Dla magazyniera na przyszłość... Już drugiej nocy przez źle zabezpieczone drzwi włamał się ktoś i powywoził futryny, drzwi, ostatki mebli, nawet piec kafłowy rozebrał. Aż żal było patrzeć na taką ruinę. Jeżeli, naprawdę przyjedzie ten magazynier, znów będzie remont, polecą dziesiątki tysięcy. Krew psuje taka gospodarka, psu tylko zdatna na budę.

Nie wiem, czemu tak mnie dzisiaj poniosło, zły jestem na cały świat. Władek śmiał się, żebym sobie krew puścił, to się uspokoję. Gdyby było lato - mówił - przyniosłby mi pijawki.

Nawet w kalendarzu sobie zanotowałem. Czwarty lutego. Losia śmieje się, że wszyscy moi znajomi wpadają jak burza, ani człowiek wie, kiedy się ich spodziewać. Trochę to prawda. Jeszcze nie ochłonałem z oszołomienia, choć to już minęło pół dnia.

Po tej przesyłce, którą przekazałem mu przez Wiktora pan Tadeusz odezwał się krótkim listem, dziękował, ale i gniewał się, zapowiadał, że ureguluje należność przy pierwszym spotkaniu. Właściwie tylko tyle. Kiedy to spotkanie i co, nie wspominał. Czekałem, czekałem, sam nie chciałem już więcej pisać ani też jechać do Gdańska, mogłoby wyglądać, że się tam wpraszam. Ale zarazem dziwne zdawało mi się to przydługie milczenie. Nachodziły mnie myśli, że może nic już ze mną Tadeusza nie łączy, skończyła się wojna, partyzantka i konspiracja, on inteligent, ja chłop, gdzieś migąło w pamięci zdanie Pacuka o inteligentach, w ogóle przykro było i smutno.

Dziś też przykro, że mogłem tak źle o nim pomyśleć... Siedziałem na strychu, poprawiając coś koło wędzarni, tej samej, gdzie za podwójną ścianką znaleźliśmy porcelanę. Nagle od podwórza, słyszę, zajeżdża samochód, daje sygnały. Nim się otrzepałem z wapna, nim zlażłem po schodach, już usłyszałem znajomy głos, pokrzykujący:

- Czy tutaj mieszka Paweł Sekuła?

- Tutaj, tutaj - odrzyknąłem, serce mi z radości skoczyło pod gardło. I już się ściekamy jak bracia. Wycalował mnie pan Tadeusz, sadza siłą, bo rwałem się Losię wołać, niech w pokoju trochę przyprzątnie, zatroszczy się o jedzenie, gość z drogi, na pewno głodny... Nie, nie dosłownie na pół godziny, jedzie służbowym samochodem, nie jest sam, ale nie mógł zmarnować okazji, trochę zboczyli, namówił, by tutaj zajechać. Jakże nie zobaczyć, się z przyjacielem?.

Losia już usłyszała, kto jest, sama zorientowała się, co ma robić, wybiegła, tamtych

dwóch prosi, do pokoju prowadzi, sama w te pędy do kuchni, na strych, gdzie mamy wędliny, do obory po świeże jaja; tupotało, jak biegała, a Tadzik jej pomagał.

Ale z tego wszystkiego, choć zabawili z dobrą godzinę, nie wiem, czy piętnaście minut porozmawialiśmy sami. Ani zapytałem o wiele rzeczy, które tak chciałbym wiedzieć.

Tyle się dowiedziałem, że w Gdańsku mieszka Z ojcem i siostrą, ojciec pracuje w bankowości, siostra się uczy, on też się uczy, ale zarazem przyjął posadę. Nie, w partii żadnej nie jest. Z podziemiem też nie miał nic wspólnego, - To by była głupota i samobójstwo - tak powiedział. Społecznie się za to udziela, właśnie w tym Polskim Związku Zachodnim, jest we władzach okręgu, dzisiaj też jadą w tych sprawach. Przy następnej okazji więcej mi o tym opowie. Aha, uczy się na politechnice, studiuje architekturę. Musiałem mieć głupią minę, przecież był przed wojną na prawie, miał już, zdaje się, ze trzy lata studiów, a teraz taka zmiana. Zaśmiał się, że przez wojnę, gdy widział, jak prawo ciągle łamano, zniechęcił się do niego. Co innego architektura, takie przed nią wylaniają się możliwości, trzeba przecież odbudowywać tę biedną Polskę...

Zacząłem się wtedy zwierzać, że ja im wszystkim zazdroszczę. Robią coś, przejmują się, czują się potrzebna, a ja sam, tylko z tą gospodarką od świtu do nocy. Do partii żadnej nie pójde, nie dla mnie to, nigdy nie należałem, teraz też nie będę, a jeszcze, że nie wszystko mi wydaje się słuszne, tak jak potrzeba... Wtedy zawołał, że niechbym też pracował w tym Związku Zachodnim, na pewno jest koło w miasteczku... Staliśmy w korytarzu, żeby parę słów zamienić bez świadków, Tadziuś pomagał matce nakrywać do stołu, nosił naczynia z kuchni. Zagapił się na nas, wyrócił wraz z maselniczką. - Ej, Tadziuś, Tadziuś - wołam. Pan Tadeusz dopiero przyjrzał się chłopcu, oczy jego zrobiły się duże, okrągłe, jakby się zmieszał, pokazał palcem.

- Tadziuś? Tadziuś? Czemu tak?...

Musiałem mocno się zaczerwienić, aż mnie uszy zapiekły. On też spieszył się. Dopiero po chwili rozwarł ramiona, uściskał i ucałował minie bez jednego słowa.

Losia już prosiła do stołu, tamci panowie też pokrzykiwali, jakoś się im mniej nawet spieszyło. Tadeusz przedstawiał mnie jako przyjaciela z czasu okupacji; wspomniał że niejedno przeszliśmy wspólnie. Było roi przyjemnie to słyszeć.

- Bo to panowie wiedzą, jak bywało w partyzantce czy...

Tak jakoś nie po swojemu zahuczał, śmiechem przygłuszył Tadeusz moje słowa, nie dał dokończyć Czyżbym się z czymś niedobrze wyrwał? Prawda, jak partyzantka, to zaraz z kim dłaczego; wiadomo, jak jest. Aż się w język za swoją głupotę ugryzłem. Ale tamci albo nie dosłyszeli, albo to nic ich nie obchodziło, już jeden z kieliszkiem w ręku wznosił toast za

przyjaźń...

Losia podała jajecznicę na boczku, pachniało. Tadeusz skoczył, chwycił z jej rąk półmisek, ujął za ramiona, przyjrzał się, nagle ucałował w dba policzki, a potem do mnie:

- Ech, wybór dobry, pewnie, że opłacało się wieść ją tu z Wilna. To teraz pani zdrowie, pani Leonio. - szybko, co tu gadać, z wprawą porozlewał wódkę w kieliszki.

Bardzo się podobała Losi ta elegancja, jak potem mi powiedziała. A ja dopiero po ich wyjeździe dowiedziałem się jeszcze jednego. Kierowca, który też przyszedł później do stołu, pan Tadeusz go przyprowadził, przyniósł wcześniej do kuchni jakieś paczki. Były tam zabawki i książeczki dla dzieci, pudełko kakao, cukierki, jeszcze woda kolońska, a dla mnie kilka książek, broszury, jak zobaczyłem, wszystko o tych odzyskanych ziemiach, a jeszcze plik różnych gazet. Gazety i książki to nic, ale tamte zabawki, takie cuda, jak kakao czy te perfumy dla Losi, to naprawdę nie można, wydatek wielki, jakże ja teraz odpłacę?

Odjechali tak, jak się zjawili. Już, już zaczęli raptem poganiać jeden drugiego.

Jeszcze kiwają ręką pracz okno. Krzyknął Tadeusz, że się niedługo odezwie...

Chyba wszystko zapisałem, niewiele więcej mogliśmy sobie powiedzieć. Aha, wspomniał o Wiktorze, pogadali do syta. Wiktor to twardy chłop, poradzi w życiu. Teraz myślę, że Tadeusz musiał wiedzieć, iż Wiktor Jest w partii, na pewno mu się z tym zwierzył. Tadeusza to nie zraziło, nie obeszło nic, mówi o Wiktorze przyjaźnie. A wielu jest takich, co na partyjnych patrzą jakby na jakichś zapowietrzonych. Pójść w dzień rynkowy do miasteczka, jeszcze jak ci i owi podpiją, to się niejedno usłyszysz. Niby szeptem, niby mówią do siebie, ale wiadomo: pijany miary głosu swojego nie zna.

Co tam zresztą, nieważne te sprawy. Głównie, że nareszcie się znowu spotkaliśmy. Niby krótko, niby niewiele, a jakoś lepiej się czuję. Jak ja bardzo lubię tego człowieka.

Nic już nie mogłem robić przez resztę dnia. Ubrałem dzieci i poszliśmy trochę pospacerować po śniegu, na szosę, polem, buty nam wszystkim przemokły, uszy poczerwieniały, ale to - nic. Przyjemnie było. Tadiusz i Kaśka wariowali bawiąc się w śniegu. A teraz Tadiusz śpi z jednym misiem w objęciach, Kaśka z drugim. Ani pozwolili je sobie odebrać.

Wczoraj tyle było radości z niespodziewanych gości a dzisiaj wielkie zmartwienie. Losia idąc do udoju pośliznęła się i padając złamała lewą rękę. Bolało ją, ale była cierpliwa. Zaraz zaprząłem konia i do szpitala. Ceregiele, kto, jak, dopiero potem zajęto się nią naprawdę. Po paru godzinach powiozłem kobietę z powrotem do domu. Parę dni kazano jej leżeć, a potem nosić zagipsowaną rękę na temblaku i unikać wszelkich nieostrożnych ruchów.

Ogromnie jestem zmartwiony. Losi mi żal, nie wiem też, jak sobie sam bez niej

poradzę. Warto by rozejrzeć się za kimś do pomocy. Tu w pobliżu nikogo nie znajdę, chyba w miasteczku. Podobno jeszcze trochę Niemców zostało, coś zahamowały się ostatnio transporty. Może w związku z tym, że na Zachodzie jakiś gwałt podnosi się o nasze ziemie nad Odrą i Nysą?

Trzeba brać się w garść, ciężko teraz będzie, dopiero widać, co znaczy kobieta w domu.

Połowa marca, ale wiosny nie widać, tyle że te gałązki wierzbowe, których przygarść przyniosłem niedawno do domu, rozwinęły się. Mają dzieci uciechę, a i samemu też miło spojrzeć.

Losi zdjęto dziś gips. Jeszcze musi bardzo uważać z tą ręką. Wychudło całe ramię, blade tafcie, jakby w nim krwi ani trochę nie było.

Szkołę przez ten czas to ja miałem. Tyle tej niby babskiej roboty przy gospodarce. Krowy, świnię, kury, gęsi, bo owce to już sam zawsze karmiłem. Najgorzej z gotowaniem, zwłaszcza przez pierwszy tydzień, bo potem to już Losia jedną ręką jakoś radziła. A z dziećmi: to ubierz, to rozbierz, to znowu pierz im ubranie, a brudzą jak szatany.

Z pomocą nie było łatwo. Najprzód poradzili mi w prezydium jakąś Niemkę. Przyszła, niestara jeszcze, niebrzydka. Na robotę nosem kręciła, ale przez dwa dni jakoś to szło. Potem jej odechciało się, natomiast zaczęła się do mnie migdalić, piersiami opierać się, niby to przypadkiem, kuprem kręcić, to znowu podwiązkę sobie poprawiać. Raz w nocy pić mi się zachciało, poszedłem do kuchni, nawet światła nie zapaliłem, księżyc był, jasno, ona spała w maleńkim pokoiczku tuż obok, też się zwlekła, tak jakoś cichutko, dopiero ją zobaczyłem, jak zaszeleściło przy mnie. W koszuli tylko była, piersi niemalże wylaziły na wierzch. Skląłem ją i kazałem wynosić się następnego rana w pioruny.

Już potem więcej na sąsiadów liczyłem. Matka Władka czasem zajrzała, ale jej za ciężko było. Banasiak dobry nagle się zrobił, kobieta jego przychodziła do udoju, a jeszcze i żona tego starego Ukraińca. Czasem mi się wydaje, że gdy tak razem mieszkają, to jakby konkurują ze sobą, zabiegają, aby mnie pozyskać dla siebie jedyni przeciwko drugim. Bo obie kobiety wygadywały niebywałe rzeczy. Udawałem, że nie słyszę, nie chciałem się wtrącać. Aż w końcu dość miałem wszystkich tych bab, wolałem sam robić. Losia też, choć jedną ręką, radziła sobie z niejednym. Chwalić Boga, skończona bieda, parę dni i śladu ani pamięci po złamaniu nie będzie. Odetchnę. Patrzyć, jak wiosna ruszy, wtedy, tylko się zwijać.

Pan Tadeusz przysłał znowu parę książek i kupę różnych tygodników. Listu przy tej przesyłce żadnego nie było. Szkoda. Pacukowie też się nie odzywają, Każdy ma swoje

zmartwienia, gdzie tam znajdują czas, by sobie zawracać głowę listami.

Dziś pierwszy raz miałem więcej czasu, wyszedłem do ogrodu obejrzeć swoją szkółkę. Przed dwoma laty sypnąłem jesienią nasiona antonówki, spory woreczek. Antonówka najlepsza jest na podkładki, najmniej boi się mrozów. Wzeszły wszystkie ziarna, aż kłamię zeszłej wiosny, kiedy musiałem rozsadzać je w szkółce. Jest ich więcej niż tysiąc. W sierpniu przez trzy dni oczkowałem, pęcherze mi się zrobiły na rękach od trzymania okulizaka. Ładnie się przyjęły, jeszcze rok i będzie można drzewka wysadzać. Trochę na tym zarobię, niektórzy zaczynają już szukać owocowych szczepów. Zasiedzieli się, przyzwyczaili, to i sady pragną zakładać. Czasami żałuję, może trzeba się było nie śpieszyć z osiadaniem na roli, ale powęszyć, choćby w rękę komu coś wsunąć, znaleźć ładne ogrodnictwo około miasta, tam hodować warzywa, szkółkę prowadzić na dużą skalę, byłoby miejsce także i na pasiekę. Ani w połowie bym się tak nie mordował jak tutaj, dochodu to już zupełnie nie równać. Może tylko z podatkami byłaby bieda, słyszałem, że ogrodnikom wysokie wymierzają... Co tam, próżne żale poniewczasie. A kto wie, może bym także narzekał?

W ogrodzie i w sadzie, choć mróz i śnieg, czuć jednak po trochu wiosnę. Młode pędy drzew nabrały leciutkiej fioletowej barwy, czekają, by wystrzelić pałkami. Doły obok inspektów zasypane śniegiem. Pora już je oczyścić, znieść ze strychu nowe okna przygotowane zimą, dwanaście sztuk. Razem ze starymi sporo będzie tych szkieł, rozsady dostarczą dla całej okolicy, znów będą chwalić moją kapustę i kalafiora. Pomidory sprowadziłem z Warszawy, nowe jakieś odmiany. Czy dobre, powiedzieć można będzie dopiero jesienią. Od jutra brać się mi do roboty. Jeszcze parę lat, Tadziuś będzie ojcu pomagał.

Ręce bolą, w grzbiecie czuję się jakby złamany. Ale dawno też, nie byłem w takim dobrym humorze, aż się Losia dziwiła, gdy rozśpiewałem się na cały głos jak za najlepszych czasów. Nowe skrzynie inspektowe ustawione. Przez pół dnia paliłem w dołach wykapanych pod oknami, żeby ziemia rozmarzła i później nie wyziębiła nawozu. Pod oborą dymi olbrzymia przyzma gnoju, sam koński, najlepszy i najcieplejszy. Za parę dni zacznę go ubijać dokoła skrzyń, za tydzień można będzie wysiewać nasiona na rozsadę.

Do pszczół zajrzałem. Dobrze przezimowały.

Jest list od Wiktora. Z nowym adresem. Prośbę ojca załatwiono pozytywnie, przeniesiono go do Słupska. Podobno duże miasto. Został kierownikiem ruchu towarowego, czy jak się to u nich nazywa. Wiktor zadowolony, będzie mieszkał z ojcem i babką, postara się o taką robotę, żeby zarazem można było się uczyć. Musi mieć zawód w ręku. Znów żal

mnie ogarnął, gdy to czytałem. Dla mnie już nie ma okazji do nauki, dwóch srok za ogon nie złapię, z gospodarką szkoły się nie pogodzi.

Coś za dużo zaczynani żałować, skowyczę nad sobą, a to niedobrze. Nie można się poddawać, zwłaszcza gdy nie ma prawdziwych powodów do narzekania...

Niby wiele rzeczy mnie drażni, talk wiele jest robione nie tak, często zupełnie na odwrót, ale nie wywraca się ta Polska Ludowa. Pracują fabryki, buduje się nowe, cuda się dzieją podobno w Warszawie, trzeba by pojechać, zobaczyć. Na wsi tylko wszystko podobnie jak dawniej, biednie, trudno, jakby się czas zatrzymał.

Byłem w miasteczku. Zapisalem się do Polskiego Związku Zachodniego. Biednie jakoś tkwią, na końcu miasteczka, dwa pokoiczki jak klatki dla szczurów. Inaczej wyobrazałem to sobie. Pytam, czemu tak mało o nich słyhać. Tłumaczą: prezesem koła był tamten aptekarz od Mikołajczyka. Jak wyjechał, na całe koło krzywo zaczęli patrzeć, przenieśli do gorszego lokalu. Może się teraz poprawi, tydzień temu były nowe wybory, weszli nowi ludzie. W niedzielę jest walne zebranie, opracowanie planu działania.

Wracałem przez rynek, patrzyłem na świeżo odmalowany ratusz. Pusto, mało ludzi, domy wokół jakieś szare i brudne... Odechciało mi się wszystkiego. W niedzielę na zebranie nie pójdę, szkoda czasu.

Wieczorem zjawił się Władek. Ciemno już było, wcześniej ani go co wygoni z domu. Nie widziałem nikogo, kto by aż tak pracował. Jak nie można na polu, to ciągle robi coś przy obejściu. Stukanie młotka niosło się dzisiaj przez cały dzień. Płot stawiał, nowe drzwi zbijał do stodoły, do kowala jeździł, żeby wyklepał mu rygle. Niewielki, ani znać po nim tej siły. Tyle że wychudł, kościsty się zrobił. Zły przyszedł. Składał wniosek o przydział pół tony cementu. Otrzymał odpowiedź, że cementu w spółdzielni już zabrakło, poprzydzielany. Inni później złożyli wnioski i otrzymali.

Kupi na lewo, nietrudno dostać, magazynier lubi pieniążki. Drożej, ale swój cement będzie miał.

Wypiliśmy ćwiartkę.

Skusiło mnie jednak, poszedłem dzisiaj na to zebranie. Zeszło się sporo ludzi. Najnudniejszy był referat, dukał go jakiś z kartek tak sennie, że wszyscy drzemali. Było tam o powrocie na stare ziemie piastowskie, o odbudowie, że postępuje, że w naszym Związku trzeba ludzi mobilizować, zwalczać propagandę szerzoną przez reakcję, przez Niemców z zachodniej części, krzyczącą, iż Polacy zmarnują Nadodrze, że nie umieją gospodarować.

Słuchałem i złość mnie spierała. Ciągle to samo, w radio w gazetach, każdy już umie

na pamięć. Po co powtarzać? Przecież zebrali się sami członkowie, powinni rozumieć i wiedzieć.

Był delegatem powiatu, z obwodu Związku. Też gadał to samo, tyle że płynniej mu szło. Najwięcej o tej mobilizacji. Żałowałem, że papierosów nie palę, szczypać musiałem się w rękę, żeby naprawdę nie zasnąć. Inni palili, to pomagało.

Trzeci gaduła. O programie działania. Żeby wszystkim wyjaśnić tłumaczyć, paraliżować zbrodnicze knowania wszelkich wrogów obcych i swoich, niechętnych ziemiom zachodnim. Że w kwietniu urządzi się wystawę osiągnięć, fotografie ma nadesłać zarząd główny. A w maju będzie Tydzień Ziemi Odzyskanych. Na rynku urządzi się wielką manifestację, wieczorem można by pochód młodzieży z pochodniami.

Nie wiem, czy to było potrzebne, gapili się na mnie wszyscy jak sroka w kość. Zdenerwowałem się. Tadeusz tyle mi mówił o tej organizacji, czytałem w „Polsce Zachodniej”, w broszurach, o sensie społecznego działania, o potrzebie jakichś czynów na każdym terenie. A tutaj wyłącznie o propagandzie, gadaniu, krzyku, nic więcej. Sam przyszedłem do Związku, żeby wyrwać się z samotności. Tymczasem okazuje się, że to niewiele może mi dać. A oni wszyscy siedzą, słuchają, pójda i będą jeszcze uważali, że są strasznie gorliwi... Poprosiłem o głos, zapytali o nazwisko i kogo reprezentuję, jakby to miało jakie znaczenie. Powiedziałem, że tylko siebie samego. I wygarnąłem, że ten program im się nie podoba. Że wszystko w nim słuszne, ale że to za mało. To samo i inni robią: gazety, radio, partie, każdy urząd. Związek powinien inaczej, można w tej „Polsce Zachodniej” przeczytać, jak gdzie indziej ludzie starają się, po prostu mniej gadają, a więcej robią...

Musiałoby się to nie spodobać niektórym. Pewnie, tak radośnie, ładnie mijają zebranie, aż tu wdarła się na nie parszywa owca. Ktoś mi przerwał, że skoro tak krytykuję, to może wystąpię z konkretnymi propozycjami... Talk mnie to przerwanie zdenerwowało, że zapomniałem o tych propozycjach, jakie pragnąłem zgłosić. Dotąd mówiłem płynnie, teraz zacząłem się jąkać. Już się ktoś cicho roześmiał. Więc mówię, warto by spowodować, żeby ktoś napisał broszurkę o naszym miasteczku, o tym zamku, koło którego w zeszłym roku na Pierwszego Maja wszyscy robili porządek...

Znów mi przerwali, ktoś krzyknął do mnie: - Czy i towarzysz też? - Odpowiadam, że towarzysz czy nie towarzysz, ja jestem bezpartyjny, ale przez trzy dni razem z kuzynem i furmanką pracowaliśmy w pocie czoła... Więc żeby coś takiego wydać, z fotografią, niechby wiadomo było co i jak. Ludzie chodzą koło zamku, przyjeżdżają na rynek, nikt nic nie wie... Potem wspomniałem, że jak się już z tym parkiem ładnie zaczęło, to trzeba wykończyć. O ławki się postarać, dosadzić nawę krzewy. Na drogach koło miasteczka nie ma drzew, zatem

postarać się o sadzonki, może nawet drzew owocowych. Lokal związkowy brzydki, w ruderze. Nie chodzi o to, żeby rada narodowa przydzieliła inny, ale żeby wspólnym wysiłkiem wyremontować jakiś opuszczony budynek, wtedy zaś nie tylko biura, ale i świetlicę tam zrobić. Związek mógłby urządzać kursy, pszczelarski na przykład albo sadowniczy, mocniej wiązać ludzi z nowymi miejscami zamieszkania...

Niektórym to bardzo trafiło do serca. Kiwali głowami, nawet delegat obwodu z powiatu. Klaskali, gdy skończyłem. Ale potem ci z za stołu prezydielnego przypuścili atak na mnie, że niby wszystko słuszne, ale takie samo gadanie jak ich. Bo z czego, jak, kiedy brak środków, brak fachowców. Skąd wziąć drzewka owocowe? Kto będzie sadił? Dopiero zgłupiałem zupełnie, wyrwałem się, że drzewka można będzie dostać nawet u mnie, jabłonie, paręset sztuk..-

- To znaczy, że obywatel po prostu chciałby na tym zarobić? Interes dla prywatnej inicjatywy? Tak? - zapytał przewodniczący.

- Nie. Darmo je oddam. Mają trzy lata, na następną wiosnę albo lepiej na jesień gotowe będą do wysadzenia. Można by też większą szkółkę dla naszego Związku założyć, sam poprowadzę, najwyżej by przyszedł pomóc ktoś przy robocie. Związek sprzedawałby później na wieś szczepki po taniej cenie. Taka robota miałaby chyba jakiś sens...

Trochę się szumu zrobiło. Poparli mnie jedni, inni też wystąpili z propozycjami, ktoś dziwił się, że chłopów tak mało w kole, że sami miasteczkuwi, trzeba by wieś zaktywizować. A na ostatek wstał jeden; dowiedziałem się potem, że był to nowy lekarz w szpitalu, postawił wniosek, żeby mnie dokooptować w skład zarządu. Tyle okazałem rozmachu, inicjatywy a takich ludzi właśnie trzeba.

Za stołem zakotłowało się, ale delegat z obwodu powiedział, że można tak zrobić, więc zaraz głosowanie i ani się obejrzałem, jak zostałem wybrany. Jeszcze z rozpędu i tego doktora wybrali, który mnie zgłosił.

Na tym stanęło. Zebranie zarządu odbędzie się za dwa tygodnie. Zawiadomią. Pluję sobie teraz w brodę, za gwałtownie wystąpiłem, lepiej było siedzieć cicho. Jeżeli im wszystkim wygodniej z pozorami działania, to ani ten doktor, ani ja nikogo nie przekonamy. Najwyżej będą przykrości. Jak to podpytywali: „A z czyjego ramienia?”, jak pokpiwali, że chcę zarobić na drzewkach: Nawet trochę mi szkoda tych drzewek, tyle było przy nich roboty, w dwa dni rozprzedałbym - wszystko, kapnęłoby sporo grosza, a teraz za darmo oddawaj: Powiedziało się, nie ma czego żałować. W sumie cały ten wstęp do wejścia pomiędzy ludzi nie bardzo mi się udał. Wcale mnie tam nie chciano. Pan Tadeusz namówił, ale skąd mógł wiedzieć, jak tu u nas wygląda? To nie Gdańsk czy inne wielkie miasto, ale głucha wioska,

małe miasteczko, gdzieś z boku, bez kolei, tyle że autobusy już jeżdżą dwa razy na dzień. Każdy tutaj swojego patrzy, i tyle.

Nakląłem się dzisiaj. Miałem pilną pracę w polu, tak nagle puściła ziemia wraz z kwietniem, wiatr przesuszyl, tylko z pługiem wychodzić. Trzy dni orałem zapamiętałem, nóg ani grzbietu nie czułem, zostało jeszcze pracy na parę godzin, gdy przerwała ją ta komisja. Z Urzędu Likwidacyjnego. W sprawie mebli ponemieckich. Że nie są darmowe, ale odpłatne. Niezupełnie mi się to jakoś widziało, przecież mam z PUR-u papier świadczący, że nie tylko ziemię, dom, ale i większość wyposażenia pozostawiłem w Mejsutach, otrzymuję zatem prawo rekompensaty, ale jeśli jest zarządzenie, nie będę się wyklócał, z góry wiadomo, że nie poradzę. Tych mebli też przy tym nie było wiele, za późno tutaj przybyłem, co lepsze szabrownicy - dawno wywieźli. Ale jakieś biurko, parę szaf, stoły i krzesła, komoda...

Spisali, co im podałem. Pokazują na łóżko. A to? Mówię, że własne, przywiozłem transportem. Gdzie mam dowody? Pokazuję, jest na zaświadczeniu, że przewożę rzeczy osobiste, nic więcej. Gdybym się spodziewał, prosiłbym o wpisanie mebli, teraz muszą mi uwierzyć na słowo. Tłumaczę, że łóżka, jedna szafa, komplet krzeseł, parę skrzyń, wszystko przywiozłem ze sobą. Dowody? Rozkładam ręce. Mówią, że muszą potraktować to jako mienie ponemieckie. Zaciąłem tylko zęby i milczę. Jeden, najstarszy, odprowadza mnie na bok. On rozumie, na pewno to prawda, ale przepisy... Może postaraliby się jakoś obejść ale chyba rozumiem, żyć wszyscy muszą, czy to nie wiem, jak dzisiaj na urzędniczych posiadach... Wzięli tysiąc złotych, już byli grzeczni, nawet tych ponemieckich gratów wszystkich nie zapisali. W stodole też udali, że nie widzą motoru, któryśmy odnaleźli z Zenkiem schowany pod podłogą... Siedzieli parę godzin, zaczęli przebąkiwać, że pora obiadu, a jeszcze tyle pracy przed nimi, chcieliby obejść wszystkie domy w naszym osiedlu. Zrozumiałem, Losia zaczęła smażyć jajecznicę, krajać wędlinę, znosić kwaszone ogórki, ja pobiegłem do Władka - pożyczyć wódkę, u siebie nie miałem. Przestrzegłem, że do niego pewnie też przyjdą. Zaśmiał się tylko, on już sobie z nimi poradzi...

Zdenerwowała mnie szacowna komisja. Może oni w ogóle nie mają żadnego zlecenia na spisywanie tych mebli, a tylko gonią za łapówkami, każdy przecież wsunie coś dla świętego spokoju. Jaśnie urzędnicy. Chwał potem Polskę Ludową, jak ma takich reprezentantów!

Wiktor znów napisał. Przyjemnie, że jednak pamięta. Już się w Słupsku urządził, pracuje w przedsiębiorstwie budowlanym, wieczorami chodzi do technikum. Wybrali go do egzekutywy organizacji partyjnej. To chyba coś takiego jak zarząd. Jest zadowolony, dopiero

teraz dowiedział się, jak wiele już w kraju zrobiono, ale więcej jeszcze zostaje do zrobienia. Ojciec jego też w swoim żywiole, przy wagonach, załadunek i wyładunek, stacja towarowa. Ale dawne osiedle wspomina, lubi też tam czasem wyskoczyć, nie może zapomnieć, jak z ruin i gruzów uruchamiali szlak. Pyta Wiktor, co u mnie, zaprasza, może zajrzą tak do nich.

Pogodny ten list, wesoły. Musiał już chłop zapomnieć o wojsku, zajął się czymś nowym, uczy się, polityku je, snuje dalekie plany. Mówił Tadeusz, że Wiktor jest twardy, na pewno dojdzie do czegoś. Obaj zresztą są twardzi. A ja tu użeram się z urzędnikami, wódkę im stawiam i łapówki pchani w kieszeń. Chyba też byłby czas wyrwać się z tego zakłętego kręgu, gdzie tylko gospodarka i gospodarka, na niej świat się przecież nie: kończy. Może jednak w tym Związku Zachodnim... Pierwsze wrażenie mogło być mylne...

W polu nie tak wiele roboty. Chwastu znacznie mniej, byłoby jeszcze lepiej, żeby md nasion nie zwiewało z ziemi szkoły rolniczej. Tam nikt jeszcze nogą nie stąpnął na rolę, aż się kisi na ten widok w człowieku. Dobrze, że tak dużo obsiałem ozimną. I plon pewniejszy, i roboty na wiosnę mniej. Mogę zająć się więcej ogrodem, wróciły stare zamięłowania. W oknach wysiałem nasiona pod rozsadę, zaczynają wschodzić. Za parę dni będzie własna rzodkiewka i sałata, dzieci co dzień zaglądają czy, może już. Pod ogród wzięłem jeszcze spory kawałek ziemi, tuż przy domu, gdzie rosła marna, ponemiecka jeszcze koniczyna. Południowa wystawa, najlepsza pod ogórki czy pomidory.

Za dwa tygodnie krowy wyjdą na świeżą paszę, już zaczyna się trawa zielenić. Lubię wiosnę. W tym roku jakoś mocniej się czuję, sił przybyło, może dlatego, że więcej spokoju naokoło, i we mnie też się uspokoiło. A różnymi urzędami nie ma się co przejmować.

Wiem już, co to jest w partii egzekutywa. Doktor Czeladzin wyjaśnił mi, on należy do egzekutywy komitetu PPR w naszym miasteczku. Przyjechał do mnie przed paru dniami, poznać się bliżej, jak powiedział, porozumieć w sprawie wspólnej pracy w Związku Zachodnim. Bardzo mu podobało się moje wystąpienie, referował je sekretarzowi partii, tam też uznano, że trzeba by pomóc naszej organizacji.

Doktor przyjechał tutaj z Warszawy zaraz po ukończeniu nauki. Ma staż, mówił, w naszym szpitalu. Nie jest już taki młody, uczyć się zaczął na medycynie przed wojną, okupacja przerwała, na tajnych kompletach próbował dalej, ale za wiele miał zajęć. Był członkiem Armii Ludowej. Pomyślałem sobie, że jeśli poznamy - się bliżej, nareszcie będę się mógł niejednego dowiedzieć z tych spraw okupacyjnych i jak to jest właściwie z AK.

Oglądaliśmy moją szkółkę jabłonek, mówiliśmy o projekcie zwiększenia liczby sadzonek na przyszłość, jeżeliby Związek naprawdę chciał się tym zająć. Dowiedziałem się wielu rzeczy. O Mazurach na przykład. Że w miasteczku jest jeszcze trochę Niemców, ale jest

też kilkadziesiąt, rodzin mazurskich. Nie najweselej z nimi. Niektórzy noszą się z niemiecka, nawet języka polskiego już zapomnieli. Inni, na odwrót, mówić nie potrafią po szwabsku. Najgorsze, że często traktują ich jako Niemców. Działy się w stosunku do nich różne świństwa, dlatego są często nieufni, krzywo patrzą na Polskę, niejednego nie rozumieją. Niektórzy zgłaszali się na wyjazd do Niemiec, choć kiedyś walczyli z tymi Niemcami o swój język, o prawo do polskości. Związek powinien zająć się Mazurami w miasteczku i okolicy, zapewnić im opiekę, wyjaśnić ludziom, no i niektórym przedstawicielom władzy, jak sprawa wygląda.

Zapalił się do mojego projektu, żeby członkowie Związku własnymi siłami odbudowali budynek dla organizacji. Pomoc partii już on, doktor, zapewni, znajdą się przydziały koniecznych materiałów, może nawet i nieco pieniędzy z prezydium rady. Ale robocizna musi być społeczna, związkowa. Powiedziałem, że ja chętnie pomogę, konia też dam na transport. Może nawet sąsiada jednego namówię, żeby wstąpił do Związku i też pomagał. Myślałem o Władku. Ale zaraz sobie przypomniałem, że Władek był w PSL, może to będzie przeszkodą. Doktor pyta, kim był, czy tylko członkiem. To głupstwo, czy mógł ktoś z tych członków wiedzieć, jak rzeczy wyglądają naprawdę? Tylko nadgorliwcy tak mówią. Westchnął, że co prawda, tych nadgorliwców jest dużo. Jakby spochmurniał, ale zaraz znowu się rozweselił. Powiedział jeszcze, że musimy się częściej widywać. I żebym na zebranie zarządu nie zapomniał się zjawić.

Odjechał swoim motocyklem. Jakiś grat wygrzebany w miasteczku. Dymi, trzeszczy, ale doktor cieszy się z niego. Za resztę oszczędności go kupił. Może teraz jeździć w teren do pacjentów. Podarowałem mu słoik miodu. Kępował się, ale wziął. Dałem, bo mi się chłop spodobał. Swój, jakiś taki gorący, po ludzku gada, oczy mu się aż pała.

Tadzius łazi po łąkach, wyszukuje kwiaty. Nad rzeczką pokazały się kaczeńce, świeże, pachną wiosną. Liście grube, mięsiste, jak się je Karwie, pokapują soki. W ogrodzie koło krzaków bzu wygrzebał chłopak sporo przylaszczek. Nie zauważyłem ich dotąd. Trzeba będzie porozsadzać jesienią, przyjemne kwiatki, w Mejsutach też je miałem w ogrodzie. Były jeszcze fiołki i konwalie, warto by się gdzieś o nie postarać.

Najpilniejsze roboty mamy za sobą. Teraz najcięższe będzie sadzenie kartofli, trzeba będzie ludzi wynająć. Parę osób, bo już uradziliśmy z Władkiem, Banasiakiem i tym starym Ukraińcem, Botwiniemko się nazywa, ale po nazwisku nikt o nim nie mówi, otóż uradziliśmy, że będziemy sobie pomagać tak, żeby w dzień, dwa uporać się u każdego z robotą. Jakoś zaczynamy zżywać się trochę ze sobą, nie za blisko, ale już jeden na drugiego nie patrzy

wilkiem jak na początku. Ten Ukrainiec, jak sam został pomiędzy nami, okazał się swój chłop, pierwszy do pomocy, jak trzeba, greczny i spokojny. Jeżeli nawet z Banasiakiem radzi sobie, mieszkając pod jednym dachem...

Odbyło się to zebranie zarządu. Zupełnie inne niż poprzednie, razem z członkami. Przewodniczący zrobił się bardzo greczny, a jak doktor Czeladzin coś mówił, to tylko mu potakiwał. Raz nawet powiedział, że on rozumie, jakie zadania stawia partia przed naszą organizacją. Doktor <go zaraz poprawił, że zadania to my sami będziemy sobie stawiać, a partia oczekuje od nas, że pomożemy jej w rozwiązaniu wielu spraw. Niby to samo, ale inaczej. Uchwaliliśmy „sporo: że zrobi się w najbliższym czasie spis tutejszych Mazurów; prezes i doktor zajmą się tym, zająrzą do wszystkich, porozmawiają, wywiedzą się o żalach, potem dopiero sporządzą opracowanie, jaką komu trzeba będzie dać pomoc; całość przedstawi się radzie narodowej. Będą też robili starania, żeby Mazurzy zapisali się do Związku, to ich własny interes, że znajdą oparcie w naszej organizacji. Potem była też sprawa mojej szkółki. Prezes mówił już o tym w Olsztynie, okręg obiecał przydzielić trochę pieniędzy, bardzo im się spodobała ta akcja. Więc żeby plan opracował co i jak, czego najbardziej potrzeba. Technik, członek zarządu, ma wyszukać dom do remontu. No i jeszcze Tydzień Ziemi Odzyskanych. Trzeba by jakiejś akcji wstępnej, ogólnospołecznej, może odgruzowanie reszty ruin, może ten park przy zamku, musimy to jeszcze przemyśleć. Raz na dwa tygodnie, w niedzielę, będziemy urządzać odczyty o ziemiach zachodnich, o historii Mazur i Warmii, żeby ludzie wiedzieli, gdzie się znaleźli, poczuli się mocniej związani z tą ziemią.

Podobało mi się to wszystko. Mam porozumieć się z inspektorem drogowym w radzie narodowej, ustalić razem, którą drogę wysadzimy jabłonkami na jesień. Tego przecież nie można zrobić byle jak.

Aha. Władek zgodził się, podpisał deklarację przystąpienia do Związku.

Jutro wysięję do dwóch okien nasiona jabłoni. Jeżeli mamy zakładać szkółkę, to sadzonki na jesień będą gotowe, tak mi wyglądają że ładnych parę tysięcy.

Zastanawiam się, czy nie nazbyt podniecam się Związkiem i swoim w nim udziałem. A jednak lepiej mi z tym znacznie lepiej

Gdy tak sobie obliczam, sporo mnie nawet kosztuje ta społeczna gorliwość. Przy odbudowie domu dla Związku pracowałem z koniem trzy dni. Wozilem żwir i piasek, a potem wapno. W ogólnomiasteczkowej akcji odgruzowania cały dzień, od rana do ciemna, jeszcze oś pękła w wozie, trzeba było dorabiać nową. Nie mówię o szkółce; jak poprosiłem o

pomoc, to przyszło zaledwie trzech ludzi z miasteczka i od nas Władek.

Teraz jakby ucichło. Już po Pierwszym Maja, już po Tygodniu Ziem Odzyskanych. Chcą wszyscy odpocząć. W domu też narosło roboty, ani wiem, za co najpierw się chwycić.

Pan Tadeusz się nie odzywa, Pacukowie też milczą. Pisze natomiast Zenek. Narzeka: i nauki dużo, i zajęcia praktyczne w kopalni ciężkie. Chce jednak wytrzymać, mimo że dużo chłopców po prostu uciekło, niektórzy razem z mundurowym wyposażeniem i nawet z kocami, które zabrali z sypialni. Niechby się tak pojawił z kocem, nie zważałbym, że brat Losi ani że chłop pod wąsem, spralbym dupę jak szczeniakowi!

Doktor słowa dotrzymał, już parę razy tutaj się zjawił. Tłumaczył się, że nie zaprasza do siebie, ale ciągle czeka na obiecane mieszkanie, tymczasem kątem gnieździ się przy szpitalu. Zmarniał i mniej już jest uśmiechnięty niż dawniej. Narzeka na stosunki w szpitalu, samowolę dyrektora, lekceważenie obowiązków przez pielęgniarki, niedawno wykryte kradzieże w kuchni... Najpewniej prawdziwe to wszystko, wokoło bardzo klną ludzie na szpital.

Losia mówi, że doktor jest zagłodzony. Co to za jedzenie w szpitalu czy w gospodzie, gdzie największy dochód to przecież z wódki! Prawda, od poczęstunku niby wymawia się, ale je potem, aż mu się uszy trzęsą. Młody, roboty ma sporo, co dziwnego, że wygłodniały.

Rozmawiamy dużo. Był przedtem w Związku Walki Młodych, potem przyjęto go do partii. Ojca miał komunistę, przed wojną rzadko go nawet widywał, bo ojciec ciągle siedział w więzieniu. Raz skazali go na dwanaście lat, wojna wybuchła, więc wcześniej wyszedł na wolność, ale zaraz potem Niemcy zaczęli go szukać. Wolności nie doczekał, rozstrzelali go jako zakładnika w Warszawie... Sporo dowiedziałem się o powstaniu warszawskim. Doktor klął jak ostatni szewc dowódców, którzy dali rozkaz do walki, już najwięcej wyzywał na generała Bora. Ale żołnierzy i młodych oficerów z AK bardzo bronił, chwalił za dzielność. - Wiem - mówił - najlepiej, biliśmy się ramię przy ramieniu. - Zgadzał się ze mną, że ta sprawa z AK nie została rozegrana, jak trzeba. Szczęśliwie, że chociaż ogłoszono dwie powojenne amnestie, zezwolono na ujawnienie... Chciałem zapytać o siebie, jak to naprawdę jest, ale wstrzymałem się. Kto w końcu wie, co w drugim człowieku siedzi?

Kiedy indziej doktor zapalał się, mówił, jakie partia na trudne, odpowiedzialne zadania, co za ciężar wzięła na siebie: wyprowadzić państwo z wojennego chaosu i bałaganu, zrealizować obiecane reformy. A tymczasem ludzi mało, czasem wślizgują się różni karierowicze, tylko brukają opinię partii, nie od razu zdemaskuje się takich... Popępniało się także błędy, za ostro postępowano w stosunku do niektórych ludzi czy ugrupowań, nie umie się ostatecznie wyjaśnić roli bezpartyjnych, niektórzy chcą ich traktować jakby jakichś

gorszych obywateli. Bąknąłem raz czy drugi, że w naszym miasteczku również niełatwo. Teraz dużo się zapisało do partii, ale nie wszyscy najlepsi. Czasem się kogoś wyrzuca, ale to nie załatwia sprawy.

Jakby się czasem spostrzegł że za wiele wyrzeka, choć jakoś z serca to mówił, musiało mu niejedno mocno dopiec i zaleźć za skórę. Zaczynał znów opowiadać, ile się jednak przez powojenne lata zrobiło. Choćby wyrugowanie Niemców, przejęcie przez Polaków Nadodrza, zasiedlenie, rozruch gospodarki, są przecież wielkie efekty.

Zamyślił się nagle po takim opisie, głowę podparł rękami. Siedzieliśmy w ogrodzie przy stole zrobionym z młyńskiego kamienia, pod bzami. Usłyszałem, jak szepce do siebie:

- Ale ciągle za mało, można było zrobić o wiele, wiele więcej...

Potem podniósł się szybko, miewał czasem takie ruchy gwałtowne, zaśmiał się, poklepał mnie po ramieniu.

- Nic, panie Pawle, wszyscy razem, tacy jak pan i tacy jak ja, sprawimy, że wszystkim nam będzie w tej Polsce dobrze.

Losia zrobiła mu osełkę masła. Wziął, ale zaznaczył, że się rozliczy. To prawda, kiedyś przyniósł paczkę z UNRR-y. Dziw, czego tam w pudełeczkach nie było. Mówił, że przyznano lekarzom po dwie, więc dzieli się z nami. Kiedy indziej zbadał dzieciaki. Kaśce kazał dawać więcej witamin i *na* słońcu przebywać, znalazł ślady krzywicy. Tadiusz ma delikatny organizm, powiedział, ale jest mocny, nic mu nie grozi. Bardzo byłem mu wdzięczny za to zbadanie. Ciągle się z tym zwlekało, wiadomo, cała wyprawa byłaby do miasteczka. A tak na miejscu i dokładnie, bez żadnego pośpiechu...

Czytam ten list, krzywe litery, nagryzmołone albo w pośpiechu, albo w wielkim zdenerwowaniu. Oczom nie chcę wierzyć żeby to było prawdziwe. Wiktora aresztowali.

Pacuk pisze, że od zmysłów odchodzi, nic pojąć nie może. Myślał, że jakaś bolesna omyłka, ale trzy tygodnie mijają. Gdyby to był błąd, wróciłby Wiktor, tymczasem ani się wywiedzieć o niego nie można. Adwokat mówi, że tak będzie do końca śledztwa, czasem trwa to długie miesiące. Tyle się dowiedział adwokat, że sprawa polityczna, jakieś podziemie jakoby... Jakże Wiktora posądzać o takie rzeczy? Tak się starał w Słupsku w partii, tak pracował w egzekutywie, do późna w noc często obradowali, kładł się zmęczony, a rano do pracy, a po obiedzie nauka czegoś to czepiać się człowieka...

Rozpisał się Pacuk. Boli go, złości, wyraźnie jest zrozpaczony. Musiał się wypowiedzieć przed kimś bliskim. Na końcu dodał, że w domu dwa razy przeprowadzano rewizję, oczywiście nie znajdując nic. Zapisywali przy tej okazji nazwiska z listów do

Wiktora, więc jeśliby mnie o co pytali, żebym wiedział.

Nie, naprawdę nie mogę uwierzyć. Narzekałem, że mnie zabrali wtedy w czterdziestym szóstym roku, ale przecie tamtych jedenastu mieszkało u mnie przez całych pięć dni. Trochę na siłę, ale w końcu i tak bym ich przecie nie zdradził nie wyznawałem się wtedy w niczym, co wokół się dzieje...

Wiktor aresztowany! Tak niedawno chwalił się w liście że partia obdarza go zaufaniem, tyle jest zadań przed nim, ale sił mu nie braknie, poradzi sobie. Dodawał, że uświadamianie faktu, iż jest nareszcie Poldka Ludowa, że w niej dzieje się coraz lepiej, dodaje mu sił. Wyobrażam sobie, jak musi czuć się teraz w jakiejś celi, a co dopiero podczas przesłuchań. Stary Piotr musiał się chyba przestyszeć, może adwokat chciał wydusić z niego więcej pieniędzy, bo co jak co, ale przecież nie podziemie. Wiktor i podziemie! Taka sama prawda jak to, że ja jestem szefem tego podziemia.

Ostrzega Pacuk, że mogą mnie wypytywać o Wiktora, co o nim wiem. Zostawię jego listy, pokażę, one lepiej ode mnie powiedzą, co Wiktor myślał i czego chciał... Ale ten pamiętnik trzeba będzie staranniej chować, nużby się w nim co komu nie podobało! Ładna historia, gdyby tak nie daj Boże ze mną. Wszystko, co się tu wypracowało przez lata, diabli by wzięli. Jak by sobie Losia z dziećmi radziła?

Przestraszyłem się myśli, że pan Tadeusz też do Wiktora pisywał, tak mi się przynajmniej wydaje. Czy i jego Pacuk uprzedził? Za wiele przeżył ten człowiek, żeby jeszcze mieć jakieś przykrości. Może ja sam napiszę, dam znać, co się stało z Wiktorem. Chyba tak będzie najlepiej.

Żebym tak mógł w czym Wiktorowi dopomóc!

Czytam list Pacuka, zaczynam znów od początku, jakbym swoim własnym oczom nie wierzył.

Losia aż ręce załamała, gdy jej powiedziałem, co się stało z Wiktorem. A potem zabiadoliła, że lepiej, abym i ja też cicho siedział, po co się płaczę w jakiejś sprawie w miasteczku, po co mi ten Związek Zachodni potrzebny, po co szkołka, nie wiedzieć dla kogo, jeszcze biedy sobie napytam. Zaśmiałem się, ale tak naprawdę to już nie wiem, co myśleć. A gdyby się tak wybrać do Gdańska? Co gorzej, iż lada dzień sianokos, trawa porosła bujna jak rzadko; chyba już później, gdy siano będzie w stodole. Albo na niedzielę wyskoczyć? W niedzielę znów jest zebranie zarządu koła...

Masz tobie los, aresztowano Wiktora. Ani mu medale wojenne nie pomogły, ani partia. Pieski los.

Jak się zaczyna pruć, to we wszystkich szwach. Nieciekawie minęło nasze zebranie zarządu, zupełnie inaczej niż poprzednie. Przewodniczący był służbowo w Olsztynie, przy okazji wstąpił do okręgu Związku, żeby przynaglić przysłanie obiecanych nam dwudziestu tysięcy na planowane akcje. Trafił na nastrój, jak powiedział, popłochu. Podobno Polski Związek Zachodni ma zostać rozwiązany albo też przejść do jakiejś innej organizacji, to jeszcze nie wiadomo... Uznano jakoby, że swoją rolę organizacja nasza spełniła, nastąpiło już zupełne złączenie ziem odzyskanych ze starymi, a zatem nie jesteśmy potrzebni. Kiedy to rozwiązanie nastąpi, nie wiadomo, ale rzecz postanowiona.

Miny nam się wydłużyły, doktor zaklął nawet tak z ruska, - mówi, że to zostało mu z konspiracji, tym sobie przynosił ulgę. Bo jeżeli prawda, to na nie nasz zapał, nie ma co się brać do realizacji projektów. I powód nie trafiał nam zupełnie do przekonania. Pewnie, zatarły się niejedne różnice, nie ma jakiegoś wyraźnego przedziału między ziemiami zachodnimi a Polską centralną, ale żeby już tak zupełnie wszystko było na cacy, na pewno nie. Skończył się tylko pierwszy, pionierki okres, osiedlanie, eksmisja Niemców, rozruszanie gospodarki. Ale to przecie dopiero start. Daleko jeszcze do pełnego rozruchu. Zresztą, nie decydują same fabryki, maszyny i domy. Chodzi o ludzi. Mało i tutaj jeszcze takich, co to, niczego niepewni, siedzą jakby na obcym, gotowi każdej chwili pakować manatki wyfruwać stąd jak najdalej? Byle jakiś krzyk na Zachodzie, atak na Odrę i Nyse, już się taki niespokojnie ogląda, a bywa, że ogołoci gospodarkę, nocą się wyniesie, i potem szukaj wiatru w polu! Jeszcze drugie tyle osadników bardzo by się przydało, nie cała ziemia znalazła się pod uprawą, nie wszystkie fabryki zostały odbudowane...

Całe zebranie przegadaliśmy tylko na temat likwidacji naszego Związku. A ja dopiero odczułem, jak się przez tych parę miesięcy związałem z organizacją. Coś takiego było mi potrzebne od dawna, wszedłem między ludzi, nie czułem się już taki samotny poza nawiasem, zagubiony i nie rozumiejący, co w tym moim kraju się dzieje. Wiele spraw mi Związek wyświecił. Miał rację Tadeusz, gdy radził, aby się tutaj zapisać. Rozruszaliśmy niejedno, jeszcze trochę, zakończy się remont naszego domu, na jesień planowaliśmy uroczystość, a tymczasem taka nowina. Już to ja mam piekielne szczęście, zawsze się coś wywraca pode mną czy przede mną. A potem zaczynać trzeba od nowa.

Dzisiaj sobota, wczoraj z pomocą Władka zwieźliśmy siano do stodoły. Na niedzielę chciałem pojechać do Pacuka, nie było od niego dawno wiadomości. Może tam źle. A może wszystko się obróciło na dobre, Wiktora wypuścili, są wszyscy razem? Tak sobie myślałem,

zbierając się do drogi, pomagając Losi w zbijaniu masła, chciałem zabrać je dla Pacuków...

Siedzę tak nad masłem, a tu raptem milicjant, a z nim cywil. Zadygotało we mnie, gdy ich ujrzałem przez okno. Losia zbladła, przeżegnała się szybko, stanęła bliżej drzwi, jakby mnie chciała osłonić.

Oni sami niczego nie chcieli. Doręczyli tylko pismo, abym następnego dnia zgłosił się na milicję. Nie mają pojęcia, w jakiej sprawie. Mam tylko poświadczyć, iż otrzymałem wezwanie.

Poszli. Mała karteczka, ale ile przez nią niepokoju wprowadzili w nasz dom. Prawdę mówiąc, ani Losia, ani ja nie zasnęliśmy już wczorajszej nocy. Bo jeżeli talk się stać mogło z Wiktorem, cóż mówić o mnie? Może zechcą się przyczepić do tamtych wojennych spraw, może znów rozpytywać zacząną o tamtych jedenastu partyzantów czy też bandytów?

Przeglądałem listy, darłem, choć nic w nich nie było. Tylko tych paru kartek Tadeusza żal mi było, schowałem je razem z notatnikiem, tak, że aniby kto znalazł. Poszedłem do Władka, mówię mu co i jak, dopiero wspomniałem o Wiktorze, poznali się, jak tamten był u mnie, proszę, że gdyby coś złego, niech nie zezwoli pod moją nieobecność by gospodarka zmarniała, niech pomoże żonie i dzieciom. Całe życie nawet w najgorszym razie trzymać mnie nie będą, kiedyś wypuszczą, więc żebym miał do czego wracać. Rękę podał, jakiś uroczysty się zrobił obiecał, że zajmie się jakby swoim. Wierzę, że naprawdę pomagałby z duszy i serca. Trochę mnie to uspokoiło.

Dziś wybrałem się na ósmą, jak głosiło wezwanie. Długo czekałem, ze dwie godziny. Denerwowałem się strasznie.

Przesłuchiwał sam komendant. Znaliśmy się ze Związku ale teraz był inny, ręki nie podał, kazał siadać na taborecie, sam się rozwalił za biurkiem. Najpierw: kto, co jak; personalia. Czy mam pseudonim? czym był w partyzantce? w konspiracji?... Powtarzam tak, jak raz już mówiłem w czterdziestym szóstym... Więc dalej: czy mam dużo znajomych i gdzie? A tych z Wilna? wojskowych może jakich? polityków? - Kogo ja tam znam, paru ludzi, sąsiadów najbliższych. Czasem na rynku czy w innym mieście, jak na dożynkach w Olsztynie, spotkam kogo, zamienimy parę słów, znów każdy idzie w swą stronę. Za trudne czasy, za wiele roboty, z niczego gospodarke trzeba postawić na nogi... No i jeszcze znam sporo ludzi z miasteczka, a to przez Polski Związek Zachodni. Choćby i samego pana komendanta... - Ręką zamachnął, to mu się widać nie spodobało.

Cisza. On na coś czeka i ja też czekam. A już wiem, że chodzi o Wiktora. Choć chwilami myślę, że może jednak o to moje nieszczęsne AK, o partyzantkę. Zresztą, i jedno, i drugie, Wiktor i te sprawy jakoś się łączą.

Wreszcie kawa na ławę, jak to mówią. Czy znam Wiktora Pacuka? Znam, pewnie, że znam, nie tyle jego, ile jego ojca, do Wilna mu towar za Niemca ze wsi woziłem, masło, jaja, czasem nawet samogon; sąsiad pędził, pomagałem sprzedawać... Wiktor, wiem, syn jego, niedawno wrócił z ludowego wojska. Bił się pod generałem Świerczewskim nad Nysą, ma odznaczenia, Krzyż Walecznych, jeszcze inne. A potem brał udział w walkach z faszystami ukraińskimi, tam go ranili, musiał wyjść do cywila. Teraz w partii pracuje w Słupsku, tak mi się zdaje...

Znów machnął ręką. Nie o to chodzi. - To my wiemy - mówi. - Ale czy ten Wiktor nie działał w jakiejś organizacji nielegalnej, czy nie miał jakichś kontaktów, czy nie rozmawiał ze mną na te tematy, może namawiał do czegoś?

Odpowiadam na wszystko, że nie. Nie i nie. Po zapisaniu tych zeznań komendant długo się mi przyglądał, jakby pierwszy raz mnie zobaczył. Potem po swojemu zamachał ręką, kazał się podpisać pod protokołem, zagroził, że jeżeli okaże się to nieprawdą albo jeśli nie powiedziałem wszystkiego, źle będzie ze mną, zamiast do domu pójde zupełnie gdzie indziej.

Do swoich leciałem jakby na skrzydłach - Losia siedziała zapłakana, za stołem tkwił Władek, próbował ją jakoś pocieszyć. Nawet Tadziuś płakał, taki mały, a jakby też coś rozumiał. Radość była wielka...

Teraz dopiero, wieczorem, jak już wszyscy posnęli, a ja siedzę i piszę, zrobiło mi się bardzo smutno. Bo to przesłuchanie jest znakiem, że Wiktor siedzi, niedobrze z nim, sikoro talk chodzą koło tej sprawy, szukają, gdzie by trafić na jaki ślad. Czego oni chcieć mogą od chłopca? Podziemie - pisał wtedy Pacuk. To jedno na pewno jest niemożliwe, Wiktor nie potrafiłby przede mną aż tak udawać. A w sumie znów nic nie rozumiem.

Wyjazd trzeba odłożyć, może nawet w ogóle zrezygnować, jeszcze tym biedy, nie tyle już sobie, ile Pacukom napytam. Ech, cholerny los!

Zastanawiam się, jak to jednak człowiek potrafi być obojętny dla losu drugich. Przejąłem się początkowo aresztowaniem Wiktora, spać parę nocy nie mogłem, potem jeszcze przyszło to wezwanie do milicji i przesłuchanie. A zarazem normalnie, jak co dnia, jakby nic się nie stało, zbierałem siano, uczestniczyłem w martwiejących zebraniach Związku, babrałem się w ogrodzie, odwożąc sporo warzyw do spółdzielni, teraz znów szykuję się do żniw. Przy tej galopadzie w pracy rzadko myślę o Wiktorze. Łapię się na jakimś pomniejszaniu jego sprawy, na wmawianiu w siebie nadziei, że wszystko skończy się dobrze, aresztowanie okaże się omyłką, patrzeć tylko, dotrzyma Wiktor ubiegłorocznej, obietnicy, pojawi się u nas właśnie na żniwa. Myśląc tak, wiem zarazem, że to nieprawda, że Wiktor

siedzi, szarpie się. Gdyby było inaczej, miałbym już na pewno wiadomość od Piotra... A potem zasypiam, nie budzę się, sen mam twardy, za twardy nawet jak na to zmęczenie robotą. Czy naprawdę obojętnieję, czy tylko chwytam się wszelkich pozorów, by zbyt wiele nie myśleć? Bo wtedy gniecie mnie ogromny ciężar, czuję, jakbym wracał do początku swej drogi na ziemi mazurskiej, znowu czuję się zagubiony, sam pełen coraz pogłębiającej się nieufności. Zgasła już we mnie radość, jaką odczuwałem przy pracy w Związku Zachodnim. Nie tylko dlatego, że wciąż krążą słuchy o likwidacji organizacji, ale i z tej przyczyny, że przesłania mi ją pamięć Wiktora.

Dochodzi do tego, że zaczynam się bronić przed tą pamięcią. Nazbyt ona bolesna, a jeszcze gorzej, niezrozumiała. Jakże, on, Wiktor, człowiek, który nie żałował siebie ani na froncie, ani teraz, w partii, w budowaniu Polski Ludowej, podejrzany, więziony? Cóż zatem mówić o takich jak ja?

Na pewno nie należałem do najbardziej odważnych ani w konspiracji, ani w partyzantce, tym bardziej może w życiu, ale nikt mi też nie mógł zarzucić tchórzostwa. Do dziś... Bo teraz boję się, próżno walczę z tym lejkiem. Gdy na szosie nie opodał nas słyszę zatrzymujący się samochód, gdy nadbiegają stamtąd głosy, czuję, jak mi serce podchodzi do gardła, pocę się, dłonie - robią się wtedy tak nieprzyjemnie śliskie, oglądam się niespokojnie: może to po mnie przyszli? może mnie teraz zabiorą? na długo, długo, a ja nic nie będę mógł na to poradzić. No bo jeżeli zabrali Wiktora?

Nie odezwałem się do Pacuka. Nie pisałem jednym słówkiem do Tadeusza. Z lęku, z obawy, że a nuż coś bliższego łączyło tych dwóch ze sobą, z kolei i ja mogłbym być zamieszany w jakąś kabałę.

Wstyd mi, ale nie umiem się pohamować. Dobrze, że od jutra już żniwa. Nie lubię kosić, męczy mnie to bardziej niż cokolwiek innego, ale teraz cieszę się z góry na to zmęczenie. Mniej będę myślał, mniej będę się bał.

Tadziuś skończył sześć lat. Zaczyna czytać, matka pokazywała mu czasami litery, sam teraz chwyta gazetę czy książkę, tak jakoś śmiesznie składa wyrazy... Wczoraj zapytał mnie, czemu Wiktor nie przyjechał. Obiecywał, że się zjawi na żniwa, a tu już zboże w stodole, a jego jeszcze nie ma. Dlaczego Wiktor skłamał?

Żadnych wiadomości. To znaczy, że jest niedobrze. Bardzo mi żal starego Pacuka. Jak on się czuje?

Wczoraj, pierwszego września, przyjechał Pan Tadeusz. Przymaszerował piechotą, z plecakiem na ramionach. Na tydzień. Ma trochę wolnego, zateśknił do nas, chce przy okazji

bliżej poznać Mazury..

Jak na złość, właśnie wieczorem musiał się zjawić doktor Czeladzin. Nie miałem okazji porozmawiać z Tadeuszem. Wspomniałem tylko krótko po przywitaniu, że Wiktor aresztowany, że stawia mu się zarzut współpracy z podziemiem, jak pisał Pacuk.

Nic nie wiedział, był bardzo wstrząśnięty, wypytywał. Cóż mogłem powiedzieć, skoro sam nic więcej nie wiem? Jego nie przesłuchiowano, nikt go o Wiktora nie wypytywał. Albo kartek od niego, jak sam mówił, ogólnikowych bardzo, głównie z życzeniami świątecznymi, nie znaleziono, albo nie zwrócono na nie uwagi. Ja szerzej rozpisywałem się do Wiktora o swoich sprawach...

No i zaraz nadszedł doktor Czeladzin, nadjechał właściwie swoim motorem, przywożąc wiadomość, że z rozwiązaniem Związku Zachodniego jeszcze nic nie wiadomo. Tadeusz od razu to podchwycił, znaleźli temat, rozgadali się jakby się znali od dziecka. Ze Związkiem, prawda ciągle jeszcze niepewne. W każdym razie działalność organizacji straciła na rozpędzie. Obaj zgadzali się, że to błąd, że nie można, jak mówili, sztucznie przyspieszać pewnych procesów. Scalanie ziem zachodnich z resztą Polski i tak postępuje w zaskakująco szybkim tempie. Ale błędne rozstrzygnięcia, zamiast dopomóc, mogą proces ten zahamować...

Mało miałem okazji do włączenia się w ich rozmowę. Ścierali się, mało sobie nie skakali do oczu; już się obawiałem, że będę ich musiał rozdzielać... Ani myślałem, że Tadeusz tkwi tak po uszy w polityce, jest wprowadzony we wszystko, co dzieje się w kraju: i w to, co dobre, i w to, co złe. Nawet na temat partii się wyklócali. Dopiero dowiedziałem się, że są starania o zjednoczenie PPS-u z PPR-em. Doktor uważał za słuszne, obawiał się jedynie, by nie przeprowadzono tego mechanicznie, Tadeusz obstawał za racją samodzielnego istnienia jednej i drugiej partii. Doktor tłumaczył mu wtedy, że obie partie wywodzą się z rewolucyjnych tradycji, że złączenie powinno nastąpić właśnie dzisiaj, gdy głównym zadaniem staje się Utrwalanie zdobyczy proletariatu, nierozpraszenie wysiłków. W końcu wdali się w zbyt już dla mnie zawile sprawy różnic i podobieństw, powoływali się na książki, przemówienia, gdy ja ani jednych, ani drugich nie znałem.

Bardzo sobie się spodobali, obiecali, że jeszcze się posprzecząją któregoś dnia, jak doktor wróci z Olsztyna, dokąd jedzie na najbliższe dwa dni. Trochę odetchnąłem, już myślałem, że codziennie będą tak dyskutować, a w końcu ja też mam jakieś prawa do Tadeusza.

Późno w noc, kiedy obu nam się oczy kleiły, rozmawiając o Wiktorze, naprowadziłem na temat tych moich łąków. Tadeuszowi mogłem to powiedzieć, myślałem: może wykpi,

może po prostu nie uwierzy. Pamiętam, jemu nigdy, nie brakło odwagi. Jak nas esesmani litewscy otoczyli w starym wialuszu nad stawem, on jeden nie stracił głowy, tylko dzięki niemu uratowaliśmy życie.

Uwierzył i nie zdziwił się. Położył swoją rękę na mojej i zwierzał się, jakie to on lęki przeżywał po pierwszym swoim aresztowaniu przez gestapo. Przypadkowo trafił wtedy do kotła. Przez siedem dni był katowany, stawy mu powykręcali, wieszali na kajdankach, aż ramiona wyłamywały się z barków.

Tego siódmego dnia zaryzykował. Teraz mi dopiero powiedział, że nie z brawury, ale po prostu dlatego, że więcej tych tortur już by nie wytrzymał, bliski był załamania... Nie znałem go wtedy jeszcze, ale i do nas dotarła wiadomość o ucieczce jakiegoś więźnia z gestapo wspaniałym skokiem z okna pierwszego piętra na chodnik. Ostrzeliwany uszedł kulom, klucząc jakimiś uliczkami, przejściami między domami, wydostał się na swobodę...

- Nieprawda, jak gadano, że bohaterstwo, brawura. To byk strach, zwyczajne tchórzostwo. Żebym miał cyjanek, równie chętnie bym go zażył, jak skakałem przez okno. Nie liczyłem na szansę ucieczki. Myślałem: albo łeb rozbiję o płyty chodnika, albo mnie zastrzelą, jeśli mogąc się jeszcze poruszać, będę dalej uciekał... Panie Pawle, ja przecież sądziłem, że jestem na drugim, a nie na pierwszym piętrze... Dopiero gdy zobaczyłem, że jestem cały, na ulicy, zbudziła się we mnie chęć walki o życie. Ale skakałem ze strachu, przed samym sobą, przed tymi na górze, przed masakrą, jakiej doznawałem przez tydzień... Pan mówi, że serce panu dygoce, pot zlewa na byle przyhamowanie motoru na zakręcie. Mnie w nocy każdy mocniejszy szelest przyprawiał o szaleńczy strach. Drżałem, dygotałem, wstydzilem się siebie, ale nie mogłem się opanować. Bardzo długo to trwało, chciałem już prosić o zwolnienie z konspiracyjnej roboty, przestałem się do niej nadawać. Dopiero ojciec mój mnie wyleczył. Wykiął minie, trzasnął w głowę raz i drugi, wyzwiał od gówniarzy. To było u niego tak nieoczekiwane, tak obce, że zgłupiałem, zbaraniałem zupełnie. Dopiero ojciec siadł przy mnie, zaczął mi tłumaczyć. Spokojnie, jak to on potrafił, tylko paląc jednego papierosa za drugim. Powiedział, że gestapo nie ma nadprzyrodzonej mocy, najlepszy dowód w mojej zwariowanej ucieczce, że nawet w beznadziejnej sytuacji można ich zaskoczyć, a sobie otworzyć drogę ratunku. Powiedział, że ból bicia wcale nie jest czymś gorszym od cierpienia wielu chorych ludzi, wreszcie, że strach jest czymś, co można w sobie przezwyciężyć, ale dopiero wtedy gdy się przeanalizuje jego przyczyny... To pomogło. A gdy mnie ponownie aresztowano, bałem się wprawdzie przesłuchań, ale już normalnym, zwyczajnie ludzkim lękiem, a nie tamtym zwierzęcym przerażeniem...

Tadeusz mówił jeszcze potem, że niesłuszne aresztowanie może dzisiaj szczególnie

boleć, bo się jest w Polsce, u siebie, w swoim kraju. Tam był wróg, z którym się walczyło, którego się nienawidziło, tutaj bywa tylko bolesne, czasem nawet tragiczne zaplątanie się w jakichś własnych, narodowych sprawach.

Zapytałem go wtedy, co myśli o tych walkach zaraz po wojnie, wszystkich partyzantkach, grupach, bandach tułających się po lasach. Bo dla mnie sprawa ciągle pozostaje niezrozumiała. Nazwał ją tragedią ludzi, którzy zawierzyli na ślepo przywódcom. Jedno było na pewno jasne, że zbrodnią stawało się ryzyko jednego choćby życia z tych uratowanych po wojnie, po okupacji.

Wypytywał Tadeusz o Wiktora. Trząśł głową na te podejrzenia, o których pisał Pacuk w swym liście. Powiedział, że to niemożliwe nie tylko dlatego, że Wiktor związany był sercem z tym, co jest w Polsce dzisiejszej, ale równie i z tej przyczyny, że jest na coś podobnego po prostu za mądry.

Rad jestem, że Tadeusz przyjechał po żniwach. Goniłaby robota, trudno byłoby o wolniejszy czas. Teraz pozwoliłem sobie na odpoczynek, chyba pierwszy od przybycia na Mazury. Pogoda piękna, upał, ani odrobiny wiatru. Liście drzew skręcają się od żaru. W sadzie osypało w tym roku owocami. Niemiec znać się musiał na drzewkach, przeważnie doskonale odmiany. Gdy jesienią będę zakładał szkółkę, wiem już, co zaszczepię na podkładkach z antonówki.

Tadeusz interesuje się naszą gospodarką. Aż w ręce klaskał na widok inspektów i pasieki. Powiedział, że najlepszy to dowód, iż mocno zapuściłem już tutaj korzenie. Po swojemu entuzjazmował się każdym drobiazgiem, chodząc po obejściu planował, co i gdzie trzeba by zrobić: tu posadzić topole, tam żywopłotem rozdzielić podwórze, tutaj znów wyciągnąć dereniową alejkę. Przekonuje mnie, zachęca, niemal wymusza obietnicę, że zastosuję się do jego projektów, śmieję się, przytakuję, nie powiem mu przecież, że zapomina o możliwościach. Sami z Losia nie uradzimy, ponad nasze to siły.

Na gliniankach próbowaliśmy łowić szczupaki. Pogoda niedobra, ryby w upały słabo żerują, trzymają się głębszych, cienistych miejsc. Nawet kielbie w rzeczulce biorą jak od niechcenia. Woda przejrzysta, rozsloneczniona, widać każde ziarno piasku na dnie.

Ciągle wybierałem się na jezioro Legajny, może jakieś dziesięć kilometrów od nas. Piękny pałacyk nad brzegiem należał do rodziny jakiegoś admirała niemieckiego; on sam, zabalsamowany, leżał w grobowcu w trumnie o wieku ze szkła. Podobno w czasie przewalania się frontu przez Mazury wyrzucił ktoś trumnę na jezioro. Pływała na wodzie, odbijana wiatrem od brzegu do brzegu, strasząc przygodnych rybaków. Rozbili ją w końcu i

zatopili... Otóż Tadeusz dopiero spowodował, żeśmy zaprzęgli gniadą i pojechaliśmy do tych Łęgajń. Piękne jezioro, spokojne, cichutkie, o wodzie ciemnoniebieskiej. Pożyczyliśmy łódkę, łowiliśmy ryby - bez większych wyników, Tadeusz się rozbrykał jak młody chłopak, śmiał się, żartował, ani chciał słyszeć o rozmowie na poważniejsze tematy. - Niech pan popatrzy, Pawle, jak tutaj ładnie - przerywał mi, gdy zagadywałem o dręczące mnie sprawy. W końcu uległem, może ma rację, trzeba oderwać się od wszystkiego co gniecie i niepokoi.

Od przyjazdu Tadeusza sypiam spokojniej, lęki przycichły, da Bóg, zagasną zupełnie. Czegóż się boję? Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Jeżeli wtedy, przed paru laty, wypuszczono mnie, gdy obecność w moim domu tej jedenastki była konkretnym faktem, czego mam się dzisiaj obawiać?

Bardzo minie śmieszy stosunek Losi do naszego gościa. Dopiero poznali się bliżej; Losia krzywiła się, gdy mówiłem o Tadeuszu, podrwiwała, że jestem w nim zakochany. Doszło nawet kiedyś do starcia, gdy uparłem się, że dzieciak będzie się nazywał Tadeusz. Teraz ja śmieję się w kulak, widząc, jak żona przygotowuje co ranka słodką śmietankę, by Tadeusz mógł ją wypić po wstaniu, jak wypytuje co lubi, i biega do miasteczka, zdobywając chyba spod ziemi potrzebne jej produkty. Cieszy mnie, że Tadeusz i Losia spodobali się sobie. Tadiusz również trzyma się gościa jak rzep psiego ogona. Chodzą po obejściu, gadają, Tadiusz fachowo wyjaśnia, tamten podpytuje, śmieją się, z tyłu dogania, ich biegnąc jak kaczka, maleńka Kaśka. A potem całą trójką idą nad rzeczkę i tam kładą się nad brzękiem, wypatrując kielbi w przejrzystej wodzie.

Byliśmy dzisiaj w miasteczku, pierwszy raz chyba poszedłem tam bez żadnego interesu, z własnej ochoty. Obejrzeliliśmy szczegółowo ruiny zamku, z części parterowej sporo jeszcze się zachowało; z mostu spoglądaliśmy na czarną wodę fosy. Słońce tam nie dociera, przesłaniane olbrzymimi drzewami. Opowiadałem Tadeuszowi o oczyszczaniu parku przyzamkowego, o projektach upiększania miasteczka. Musiałem się jakoś rozruszać przy tym, bo Tadeusz przystanął nagle, wziął mnie za ramiona, śmiejąc się zajrzał w oczy.

- Cieszę się, że pan, Pawle, potrafi się tym emocjonować. Dla mnie to coś więcej niż tylko radość, że znajduje pan własne swoje miejsce, to także dowód narastania nowych więzi społecznych na tych terenach. Byli tacy, którzy pokrakiwali, że nastąpi to dopiero po najmniej kilkudziesięciu latach...

Wstapiliśmy do prywatnej kawiarni, która już od roku istnieje przy rynku; czyściutko w niej i porządnie, gdy w gospodzie Samopomocy Chłopskiej brudno i śmierdzi piwem. Wypiliśmy oranżadę, zjedliśmy jakieś ciastka, a potem spacerkiem wracaliśmy szosą do naszego osiedla. Tadeusz spoważniał sam nawrócił do spraw, o których mówiliśmy zaraz

pierwszego wieczora po jego przyjeździe.

Mówił o sobie, ale rozumiałem dobrze, że pragnie w ten sposób trafić do mnie, zależy mu bardzo, by mi pomóc. - Jakże nas kołowano, wpychano w ślepy zaułek, karmiono mrzonkami... Gdy wyłoniła się sprawa repatriacji do Polski, wahaliśmy się nie tylko pan i ja, ale zdecydowana większość Polaków z tamtych terenów. Decyzja wyjazdu nikomu nie przychodziła łatwo. Ukochanie regionu, tradycji, wśród których się rosło, osobiste powiązania, odbierało to jasność logicznego myślenia. Ten lokalny patriotyzm usiłowano wygrywać. Rzucano hasła do zostawiania na miejscu, do trzymania warty, mglisto zapowiadano niedługo zmiany. Głupi by się nie domyślił w tym sugestii starcia radziecko-anglosaskiego. PKWN, Lublin - to jeszcze nie docierało do większości ludzi w Wilnie i w terenie. Wezwania londyńskie wprowadziły chaos i mętlik, opóźniały decyzję, kierowały ludzi do aktywnej walki z władzami, podtrzymywały konspirację... Ja też uległem hasłu trzymania straży rodzinnej ziemi. Wbrew logice ojcowskiej, wbrew niektórym rozsądnym przedłożeniom, upierałem się, by jeszcze czekać. Drogo to później musiałem przypłacić. Wie pan, Pawle, odkładając wyjazd, myślałem nawet i o tym, że gdybym wyjechał, stanąłbym pod zarzutem dezercji. Bałem się tego. Lęki, strachy, obawy zawsze są bardzo fałszywymi doradcami. Cóż po mnie byłoby teraz na przykład w Wilnie? Nikt nie zakazywałby mi mówić i czuć po polsku, ale ja całym sobą byłbym tu, w kraju... I nieważne, że tęsknię czasem. Ostatecznie, pierwszych wielkich miłości się nie zapomina. Nieważne, że dziś jeszcze potrafię powiedzieć myśląc o powrocie do domu, że czas mi jechać do Wilna, gdy bilet wykupuję w tejże samej chwili do Gdańska...

Nie wiem, czy dobrze wszystko to zapisałem, w każdym razie sporo z tych myśli Tadeusza zaczynało do mnie przenikać. Rozumiał mnie, wiedział, że i teraz stawiam sobie czasem pytanie, po co wyjeżdżałem, czemu próbuję flancować siebie na nową ziemię. Tadeusz chciał mi pokazać, że tam, na starym gruncie, czegoś by mi brakło do wzrostu, do życia, jakiegoś nieodzownego klimatu, świadomości trwania pośród swojej narodowości i w swoim państwie. Że kraj rodzinny to sprawa uczuć, przywiązania, tradycji, ale jeszcze nie wystarcza do życia.

Stanęliśmy, Tadeusz przyglądał się okolicy. Miasteczko leży nieco niżej od miejsca, na którym staliśmy. W słońcu połyskiwały dachówki, domki na stromych bocznych uliczkach zdawały się wspinać jedne na drugie. Zamek ginał za kępą rozrosłych drzew. Obok nas ciągnęły się byle jak uprawione pola szkoły rolniczej. Szlak rzeczulki znaczył się krętą linią wierzb i olszyny. Jakiś bardzo swojski i bliski wydał mi się ten krajobraz. Nad nami dźwięczały druty telefoniczne. Gdy tu przybyłem, linie były pozrywane, słupy leżały w

rowach około szosy, nie od razu zjawili się monterzy, by na nowo przeprowadzić szlak. A potem znów nocami podpiłowywał ktoś te słupy, padały tarasując szosę. Dookoła wtedy rozpościerała się pustka, z nielicznych tylko kominów unosił się dym, pola straszły plantacjami ostu wyższego od chłopa. Zmieniło się, wiele się zmieniło.

Tadeusz obserwował mnie, widziałem to. Uśmiechnął się, nic nie powiedział. I ja się uśmiechnąłem, zrozumieliśmy się.

Poszliśmy dalej. Przed nami wyrósł straszący wciąż pustką olbrzymi magazyn. Tadeusz głośno rozmyślał:

Jeszcze przed wyjazdem - nie wiedział wtedy, że nie z jego woli wyjazd ten znacznie się opóźni - stanęło przed nim pytanie: A co tam, w kraju? Zgoda na rząd lubelski, na nowy ustrój, obojętność w stosunku do niego czy walka? Było już po konferencjach w Jałcie i w Poczdamie, przesądzających sprawę. W tym świetle jakakolwiek walka była bzdurą. Konspiracja odpadała... Musiało też odpaść drugie wyjście: obojętność. To uwiad i roztrwonienie własnych sił. Po prostu i najzwyczajniej klęska. Wyłaniał się zatem problem uczestniczenia, tylko na jakiej zasadzie, jeżeli nie istniała wewnętrzna zgoda na wszystko, co się działo?

Powiedział Tadeusz, że to było dla niego największym problemem. Znalezienie właściwego pola działania, gdzie mogłaby istnieć aprobata, a przynajmniej neutralny stosunek do nowej rzeczywistości.

Z zakrętu wyłonił się motocykl chrypiąc straszliwie i czkając. Doktor Czeladzin hamował, ślizgały się pozbawione protektorów opony. Chmurny był, zgaszony, musiało mu coś doskwierać. Nic jednak nie mówił, zapowiedział, że może wpadnie wieczorem, jeżeli mu nie wlepią zastępstwa z dyżurem; jakoś szczególnie stara się o to ostatnio jego dyrektor. Dodał, że mocno drą koty ze sobą.

Tadeusz patrzył za odjeżdżającym motorem, musieliśmy go popychać, aby zaskoczył.

- Takim jak on też niełatwo. Oni, ten doktor, ci prawdziwi ideowcy, Polskę pojmują jako kształt modelowany ich myślą i rękami, boli ich, jeżeli wyłaniające się z bryły kontury odbiegają czasem od obrazu, jaki wymarzyli. Buntują się, szukają środków naprawy... Wiktor również należy do takich. Nie wiem, za co siedzi, ale równie dobrze może to być przejawem jakichś jego buntów, wewnętrznej niezgody...

Nie dokończył. Nóg niemal nie gubiąc, pędził do nas Tadiusz, dopiero długo po nim wytoczyła się z krzaków na drogę także i Kaśka. Tadeusz usadził obydwój na swoich ramionach, truchtem pędził do domu przez łąkę.

A ja szedłem powoli zastanawiając się nad tym, co mi mówił Tadeusz. Teraz siadłem i

zapisuję. Nie spamiętałbym inaczej, zatarłoby się w pamięci, a na pewno warto będzie zajrzeć do tych notatek, gdy znów zacznę się wahać, będę szukał swojego miejsca. Może jednak już będzie mi łatwiej, ostatnio zbliżyły się do mnie niejedne sprawy, ja się też do nich zbliżyłem. Jak to powiedział Tadeusz? Że wrastam.

Zaskoczyło mnie to, zdziwiło, ale bardzo uradowało. Nie umiałem tego ukryć, bo Losia śmiejąc się powiedziała, że chodzę dumny jak kogut *ze* swego ogona. Nie paw, ale kogut, a ja tych stworzeń bardzo czemuś nie lubię, ale niech będzie. Pewno, że czuję się dumny. Z całego powiatu jedzie nas pięciu, ja między nimi. Bądź bądź, coś to znaczy.

Z rady narodowej przywieźli dziś pisemko, kazali pokwitować odbiór. Pięknie drukowane zaproszenie na ogólnopolskie dożynki w Warszawie. W delegacji naszego powiatu. Trochę zbaraniałem. Bo czemu ja? Nawet zapytałem o to urzędnika, który wręczył pismo. Wzruszył ramionami.

- My na was, towarzyszu, nie narzekamy, podatki spłacone przed terminem!, zboża dużo sprzedaliście, jarzyny dostarczacie Samopomocy, świnie zakontraktowaliście, przykładowo, można powiedzieć. A już tam waszych politycznych czy społecznych spraw nie znam, na pewno swoje zrobiły. Jesteście w PPR czy w PPS?

Zdziwił się trochę, gdy odrzekłem, że nigdzie nie należę, bezpartyjny. Zamruczał, że i takich potrzeba.

Tadeusz śmiał się, że niby to narzekam, przeżywam wahania, mówię o lejkach, a po cichu wykierowałem się na aktywistę rolnego w powiecie, na wzorzec gorliwości w sojuszu robotniczo-chłopskim. Nie wiedziałem w pierwszej chwili: pokpiwa ze mnie czy mówi poważnie. Ale gdy mnie ścisnął i powiedział, że bardzo go cieszy moje wyróżnienie, wiedziałem już, w czym rzecz.

Trochę mi głupio. Podatki, pewnie, należy płacić, ale ja śpieszyłem z nimi, żeby mieć spokój, żeby nikt się mnie nie czepiał. Jak mówi Władek: „żeby nikomu nie, podpaść”. Tymczasem traktują to jako tytuł do chwały. Nawet zastanawiałem się, czy jechać, wymówić się może zdrowiem, czymkolwiek. Co mi po tych dożynkach? Choć z drugiej strony ciągnęło. Tadeusz przeciął te wahania. Muszę jechać. Po pierwsze - to zaszczyt, po drugie - powinienem zobaczyć Warszawę. Już się tam dużo zrobiło, ani poznać widoku sprzed dwóch lat, ale są miejsca, gdzie prawda wojny i hitlerowskich okrucieństw nadal ujawnia się w całej pełni.

Tadeusz miał odjeżdżać dziś wieczorem, ale przedłużył pobyt o jeden dzień. Cieszy się słońcem jak dziecko, opala się nad glinianką, kąpie w niej, próbuje łapać szczupaki, ale źle

biorą.

Rano bardzo się cieszyłem, że jeszcze przez dzień będzie Tadeusz z nami. Teraz nie wiem, co o tym myśleć. Gdybyśmy pojechali na stację w Sątopach, rozminąłbym się z Pacukiem. Tymczasem doszło do tego starcia, stary ładowacz rozwarł gębę ze straszliwą awanturą.

Z początku nic tego nie zapowiadało. Zmierzchno, gdy nagle pojawiła się w ogrodzie kolejarska sylwetka. Nie poznałem od razu, szedł jakimś nie swoim, bardzo zmęczonym krokiem. Przygarbił się, włosy mu posiwiały, zrobiły się rzadkie, twarz wyciągnęła się. Dopiero głos: - Cóż to, nie poznajesz mnie, Paweł? - uświadomił już kto i jak. Skoczyłem witać się, wycalowałem starego, starając się ukryć zaniepokojenie jego wyglądem.

Wyszedł nam na spotkanie Tadeusz. Poznał Piotra z daleka. Też pocałował Pacuka, tradycyjnie, trzy razy. Kolejarz wzruszył się, powiedział, że mu od razu ulżyło. Dobrze wiedzieć, iż są ludzie, którzy pozostają oddani, witają serdecznie. Bo wkoło siebie ma takich, nawet wśród towarzyszy, którzy nagle ochłodli, unikają go. Jakże, ojciec aresztanta politycznego. Może po prostu tylko się boją, ale taki strach dobrze o człowieku nie mówi. A u nas życzliwość i dobre słowo. Po to właściwie przyjechał, na krótko, czasu brak, ciągle się stara o syna.

O Wiktorze nadal nic nie wiadomo. Przed miesiącem zaczęto przyjmować paczki dla niego: znaczyłoby to, że jest już po śledztwie, ale przed paru dniami znów zakazali. Adwokat krzywi się, że najpewniej wznowienie dochodzeń, wyłoniły się jakieś nowe szczegóły. I ciągle powtarza, że tyle mu wiadomo, iż Wiktor aresztowany został za kontakty z podziemiem...

- Za każdym razem, gdy tak gada, mam ochotę spruć tego dziobatego faceta po gębę, żeby aż nogami się nakrył - żalił się Pacuk. - Dopiero przypominam sobie, że to nie on winien. Do tamtych nie mam dostępu. Chodziłem, starałem się, ani progu nie przestąpiłem... Byłem drugim sekretarzem oddziałowej organizacji PPS na towarówce. Czemuś wcześniej zrobili wybory, więcej mnie nie wybrali. Powiedziałem im tylko: „To wstyd. Ja wiem mało, wy mniej jeszcze ode mnie, ale co pewne w tej sprawie, to że syn mój nie winien.” Pospuszczali głowy, ale wiem, mówiono mi, że gdy wyszedłem za drzwi, to burczeli, wygadywali, że jeszcze się stawiam zamiast cicho siedzieć i wstyd łykać za wychowanie syna...

Zwierzał się tak, zupełnie nie po swojemu. W ogóle od przyjazdu do Polski Pacuk zrobił się gadatliwy. Aż potem nagle oprzytomniał, otrząsnął się z żalu, popatrzył na nas, machnął ręką. Co tam mówić, niedobrze, i tyle.

Ulotnił się dobry nastrój poprzednich dni. Świadomość tragedii Wiktora od nowa spadła nam wszystkim na głowy. Tadeusz spochmurniał, już nie pogwizdywał i nie wybuchał śmiechem. Gdy rozmawiałem z Pacukiem, siedząc z boku przyglądał się smutnie staremu kolejarzowi.

Próbowaliśmy go pocieszyć, odwracaliśmy uwagę od pamięci o synu, tłumaczyliśmy, że jeszcze trochę, że muszą wreszcie śledztwo skończyć, wtedy na pewno Wiktora wypuszczą. Wiele dziś takich spraw, jeszcze ciągle wre w Polsce, zdarzają się bolesne omyłki. Chcą sprawdzić, szukają... Trzeba zdobyć się na cierpliwość, tyle się wyczekało. Pewnie, wiem dobrze, paplanie, ale cóż robić innego, gdy sami czujemy, że ciemne to, niewyraźne, nie pasuje do Wiktora. Pacuk zresztą naszych pocieszeń nie chciał słuchać, opędał się od nich.

Może by na tym stanęło, gdyby nie odezwanie Tadeusza. Nawet nie zapisałem, że wczoraj wypiliśmy bruderszaft, bardzo z tego rad byłem i dumny. Pocieszając Pacuka, *zaczai* tłumaczyć, że w końcu jako stary lewicowiec najlepiej powinien wiedzieć, że polityka ma twarde reguły. Zwłaszcza wtedy jest ostro, gdy rządy przejmują partie proletariackie. Nie tylko z uwagi na starcie przeciwieństw klasowych, ale również ze względu na fakt, że proletariat musi dopiero uczyć się sprawowania władzy. Brak mu tradycji i rutyny w rządzeniu, a doświadczeń rewolucyjnych czy działania partyjnego nie można kopiować w nowych warunkach. Stąd błędy.

Nie dokończył, bo Pacuk zerwał się niespodziewanie zza stołu, kończyliśmy właśnie kolację, zaczął mówić głośno, ze złością. Palec wyciągnął, celował nim w stronę Tadeusza.

- Wy zawsze mądrzy jesteście, za dużo wiecie, krytykujecie jak nie wprost, to stronami... Proletariat wam śmierdzi, nie podoba się, że raz wreszcie jest ponad wami, nad waszymi gładkimi słówkami, za którymi cholera wie, co naprawdę się kryje... Ja wiem, że z Wiktorem wszystko nieprawda, mój syn nie wstąpiłby do partii, nie związałby się z komunistami, gdyby nie wierzył w słuszność tego, co oni głoszą i czego pragną dla Polski, Nie byłby zakłamanym i dwulicowym jak wy wszyscy, panicyki w oficerkach, ciągnący młodych na zgubę. Na co się zdała cała wasza robota w Wilnie, te bataliony, pułki i dywizje AK, te kursy, szkolenia, które prowadziliście, otumaniając wszystkich wokoło? Jeden mój chłopak zginął, diabli wiedzą, komu i na co była jego śmierć zdalna; żebyście nawet miasto zdobyli, to i tak niepotrzebnie, bo w parę dni potem, z wami czy bez was, zdobyłyby je wojska radzieckie. Taktyka, manewr polityczny, podobnie jak w Warszawie, całe to straszne powstanie, setki tysięcy ofiar... Mało tego, potem zaczęły się mordy. Wiem, kolej z niczego odbudowaliśmy, robociarze tacy jak ja. Że Niemcy strzelali, rozumiem, ale że swoi

przeszkadzali, bo i tak było, tego nigdy nie pojmę. Chyba ze złości, że nie wy, ale inni odbudowują Polskę. Lepiej czy gorzej, ale ją odbudowują całym sercem, tak jak umieją. Za to strzelaliście? Za to? Zabrakło miejsca dla oficerków w wysokich butach, na kilometr można było was poznać, więc co, ucieczka do lasu? I na to się zdały wasze mądrości, gładkie słówka: Polska, ofiara, bohaterstwo, walka. Ciągłe tym świdrowaliście uszy, aż człowiek gotów był chwałami uwierzyć... Teraz bruździecie na inny sposób. Plotką, oszczerstwem, bo dzięki czemuż innemu mógł się Wiktor znaleźć w więzieniu? Ze swoich nikt by nie rzucił na niego złego słowa. Więc ktoś z obcych, ktoś kto może się podszył, zyskał zaufanie, a teraz przeszkadza, chce łamać ludzi... Mnie już nawet nie wierzą w mojej partii, odsuwają na bok, tylko czekać, wyrzuca, bo jakże, takiego mam syna... Czasem kotłują mi się po głowie straszne myśli. Może usidlił ktoś Wiktora właśnie takim gadaniem, właśnie mądrościami, powoływaniem się przy byle czym na książki, na filozofów. Ten biedny, dumny Paweł też patrzy na pana jak cieleń na malowane wrota. Żebyś pan mu poradził, pewnie do piekła za panem by poszedł. Bo mu podoba się pańska mądrość, rozeznanie we wszystkim, nawet i w naszych partyjnych sprawach. Tak naprawdę, to gównu pan wiesz, gównu robotnika rozumiesz, ale swoje będziesz plótł... Że nie umiemy jeszcze rządzić, że tam różnych przepisów, jak i co robić, nie znamy na pamięć, to nieważne. Przyjdzie czas, nauczymy się sami, nie wy będziecie nas uczyć, nie wy...

Aż krzyceć zaczął, aż tkał swój palec w pierś Tadeusza.

Patrzyłem na to przerażony, nie wiedząc, co robić, jak powstrzymać Pacuka. Gdybym mu przerwał, zdenerwowałby się jeszcze więcej. Więc tylko tkwiłem przerażony za stołem, Losia z drugiego kąta pochrząkiwała, oczy jej się paliły. Zawsze tak jest, gdy się czymś bardzo przejmuję.

Jeden Tadeusz pozostał na pozór zupełnie spokojny, choć wiem, że się w nim gotowało. A gdy Pacuk ochrypl od krzyku i zamilkł, ciągle z zawieszonym w powietrzu palcem, Tadeusz *zaczai* tłumaczyć łagodnie, jakby uspokajał małego dzieciaka. Że przecież Pacuk mówi w rozżaleniu. Rzecz nie tylko w tym, że syn siedzi, ale że w poczuciu jakiejś krzywdy niejedno się chwieje w samym Piotrze, w jego spojrzeniu na świat. Że Pacuk boi się nie tylko o Wiktora, ale i o siebie, żeby nie zająć w krytyce nazbyt daleko, gdzie już będzie tylko osobiste poczucie krzywdy, i poplątanie wszystkich spraw... W bólu można wiele powiedzieć później żałuje się słów. Ale nawet ból nie tłumaczy, dlaczego Pacuk wątpi w Wiktora. On, Tadeusz, zna go wszak znacznie mniej, ale ma pełny szacunek dla jego przekonań, choć są inne od jego własnych, i dlatego jest pewien, że Wiktor nie uczynił nic, co by mogło skalać jego opinię... Jeżeli zaś chodzi o naukę, to chyba jest ona ludziom potrzebna

i każdy, kto coś umie, a chce wspólnie pracować, powinien mieć możliwość wykazania swoich umiejętności na właściwym polu. Nowych warstw inteligencji nie uda się prędko wychować, ale i wtedy stara kadra będzie nadal potrzebna, jeżeli państwo ma rozrastać się i rozwijać. Więc lepiej nie unosić się, nie tracić głowy, ale patrzeć szerzej i jaśniej... Wiktorowi też nie byłoby tu dzisiaj przyjemnie...

Pacuk siedział cicho. Jeszcze tylko, gdy Tadeusz mówił o inteligencji, zaburczał niechętnie pod nosem. Myślałem już, że przeprosi Tadeusza, ale nie zrobił tego. Zasepiony był, ponury, wódkę pił tak, jakby to było woda. Później jakby zupełnie o nas zapominając, oparł się łokciami o stół, patrzył przed siebie, nad czymś rozmyślał, twarz jego ściągnęła się jeszcze bardziej, na czole potworzyły się głębokie, poprzeczne zmarszczki, oczy zatraciły zwykły swój wyraz... Strasznie mi się zrobiło go żal. Wiem, Pacuk ścierpiałby wiele ciosów, ale ten przerastał jego siły. Wiktor i taki zarzut...

.Również Tadeusz przyglądał się Pacukowi z wyraźnym współczuciem.

Zaczęliśmy zabierać się do spoczynku, nie miało sensu dalej siedzieć. Wtedy Pacuk podniósł nagle igłowe, dłońmi uderzył mocno o blat.

- Wiecie, co wam powiem, gdyby okazało się, że jest tak, jak mówi adwokat, ja Wiktora nie będę chciał znać... To tak, jakby strzelał do naszej szóstki, gdyśmy z niczego uruchamiali stację. To tak, jakby strzelał do własnego ojca. Ot, co wam powiem.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Tylko muchy brzęczały u sufitu pod lampą. Tadeusz przysunął się do Pacuka, delikatnie ujął go za rękę.

- Nie, panie Pacuk, Wiktor nie postąpił niegodnie, na pewno.

Wydało mi się, jakby w oczach Piotra, bezbarwnych teraz, bez życia, zabłysło na chwilę coś jakby wdzięczność. Nie odezwał się jednak, nie ujął ręki Tadeusza. Odsunął się tylko łagodnie i wyszedł na dwór.

Wróciłem z Sątop smutny, od - chwili gdy machając ręką patrzyłem na pociąg uwożący Tadeusza. Jakby wraz z nim odpływał spokój, oddalało się coś bardzo bliskiego i potrzebnego.

Pacuk odjechał w południe, zabrał się z miasteczka ambulansem pocztowym. Nagle zaczęło go gonić, chciał jak najprędzej być w domu, może jakie wieści są od Wiktora... Wziął mnie na stronę, zawstydzony, słów dobrać nie umiał, *zaczai* bąkać, że chciałby zwrócić się o pożyczkę, z zarobków nie może nastarczyć, adwokat bardzo drogo kosztuje, przecież Wiktora nie można tak samego zostawić. Nie wie, kiedy odda, ale odda na pewno... Przerwałem. Po co ma mówić? Sam mu to chciałem zaproponować.

Wspomniałem potem Tadeuszowi o prośbie Pacuka. Przejął się, zaczął grzebać w portfelu, miał tam z osiem tysięcy, oddał je, mówiąc, żebym je wręczył staremu Piotrowi. I żebym nie wspominał, że to od niego.

Stary pożegnał się z Tadeuszem chłodno. Miałem jednak wrażenie że czuje się zawstydzony tym, co powiedział wieczorem.

Zapakowałem pełną walizkę różnych produktów. Pacuk brać nie chciał, gwałtem trzeba mu było to wpychać. Dobry człowiek z mojej Losi. Sama powiedziała, że Pacukowie nie mają pieniędzy, więc trzeba im dać, co tylko można. My sobie poradzimy. Ucałowałem mocno kobietę. Tadiusz i Kaśka sami, nikt im nie mówił, podali staremu bukiet kwiatów.. Nie wiedział, co z tym zrobić, potem twarz ukrył w tych kwiatach, długo tak ją trzymał... Odwróciłem się, niech nie widzi, że pojmuję, w czym rzecz...

Resztę dnia przegadaliśmy z Tadeuszem. Opowiadał o „sobie, o swojej pracy, o nauce; jest już na trzecim roku architektury, sam się dziwi, skąd tak nagły zapał pojawił się u niego w tym właśnie kierunku.

Kilka z jego słów chciałbym jeszcze tu zanotować. Że wciąga go ta nowa Polska, złości, przeraża czasami i niepokoi, ciągle się z nią o coś wyklóca, ząb za ząb, ale zarazem ciągle o niej myśli, chciałby jak najwięcej dać jej z siebie. Czuje się jakby rozpołowiony. Jedyne z tego wyjście, to powyżej głowy zanurzyć się w robocie, takiej, która daje rezultaty od razu widoczne: domy, wielkie budynki wyrastające na gruzach i na pustkowiach. Właśnie tam przy nich można chwycić szeroki oddech.

Czy ja też mógłbym złapać podobny oddech tutaj, w głuchej wsi, w małym miasteczku, na polu i w ogrodzie? Czy to w ogóle w mojej sytuacji możliwe? Pociesza mnie zaproszenie na dożynki w Warszawie. Czyżby ten skrawek papieru przynosił już częściowo odpowiedź?

Z Warszawy wróciłem wstrząśnięty. Chcę jeszcze na świeżo zapisać swoje wrażenia. Stolicę widziałem na parę lat przed wojną, „Wici” urządziły wycieczkę, w nagrodę za drugie miejsce wojewódzkie w prowadzeniu poletek uprawnych całe koło z Mejsut zwiedzało Warszawę. Ujrzałem ją po latach jeszcze pełną ran okupacyjnych...

Wyjazd odbył się z wielką pompą. Zjechaliśmy do województwa, a stąd specjalnymi wagonami, całymi w zieleni i wieńcach, z napisami, że Warmia i Mazury, pędziliśmy do Warszawy. Razem z nami wyjeżdżał zespół ludowy, wesoło było, młodzi śpiewali przez całą drogę, aż ich kierownik uspokajał, bał się, by nie ochrypli przed występami na dożynkach.

Siedzieliśmy całym województwem niedaleko trybun, mogłem z bliska widzieć

Wszystkich przywódców rządu i partii. Inaczej sobie ich wyobrażałem, sam nie wiem, gorzej czy lepiej, dość, że inaczej. Tymczasem byli normalnie ludzcy, ożywieni, bawili się jak i my, ręce musiały ich tylko dobrze rozboleć od ciągłego klaskania. Ładne były te uroczystości, nawet przemówień mniej niż u nas w miasteczku przy byle okazji... Ale to wszystko jest w gazetach, a mnie obchodzi nasza Warszawa.

Zwiedzaliśmy ją jeden dzień wspólnie, wozili nas autobusem, często stawaliśmy, wysiadaliśmy, przewodnicy tłumaczyli, gdzie jesteśmy, co tu jest, a jeszcze częściej, co było... Strasznie dużo tych ruin, sterczą wypalone mury, puste okna straszą wieczorami ponurą czernią. Siady kuł i pocisków. Całe góry gruzu. Myślałem, ile to ludzi zginęło pod tymi ruinami, nikt nie wie ani nie będzie wiedział. Stare Miasto. Pamiętani je sprzed wojny, rynek, długo po nim chodziliśmy. A dzisiaj morze zsypanego cegły i kamienia. Najstraszniej jednak wygląda dawna żydowska dzielnica, w której za okupacji mieściło się getto. Mało, że ludzi wymordowali, jeszcze nawet domom darować nie chcieli, równając je z ziemią. Przewodnik mówił, iż jest projekt, aby pewnej części dawnego getta nie odbudowywać, zostawić te ruiny, niech będą przestrogą, ponurą pamiątką na przyszłość... Tam, gdzie był dworzec, sterczą bryły betonu, przetkane żelastwem, jakby krzyczały, jakby tymi ramionami pokrytymi rdzą chciały wzywać pomsty na hitlerowcach...

Następne pół dnia mieliśmy wolne, dla siebie, po południu goszczono nas grupami w różnych organizacjach. Całe to przedpołudnie chodziłem po Warszawie, jeździłem z miejsca na miejsce, chciałem widzieć i zapamiętać. Gdy Tadeusz podrośnie, śladu nie będzie z tych zniszczeń. Pokazywano nam, co zdążono już odbudować, mówiono, ile gruzu wywieziono, ile pozostaje do wywiezienia. Ogromna praca. Byłem dumny z tych, którzy podjęli decyzję, żeby odbudować Warszawę. Bo istniały dwie koncepcje: odbudowy i zostawienia starej Warszawy takiej, jak jest, gruzowiska, a założenia nowej stolicy w innym miejscu. Powstałoby piękne miasto, może byłoby łatwiej, ale to nie byłaby prawdziwa stolica. Po śmierci zwycięstwo odniósłby jednak Hitler, który mówił, że zniszczy Warszawę tak, że nigdy już się nie podniesie do życia. Zarazem rezygnacja z odbudowy byłaby obrazą dla tych wszystkich, co w walce o Warszawę zginęli. Na szczęście zapadła decyzja: odbudujemy stolicę na starym miejscu.

Znów poszerzyło się moje widzenie polskich spraw. Znów inaczej widzę niejedno. Słyszałem z radia londyńskiego czy skądinąd, były nadawane te audycje po polsku, pisano w ulotkach, jakie przed dwoma laty krążyły po Mazurach, że komuniści nie cenią patriotyzmu. Jestem pewien, że bardzo musi kochać kraj i jego stolicę ten, kto podjął się odbudowy Warszawy na usypisku ruin. Nie bacząc na koszty, na trudności, na wiele jeszcze ciężkich na

pewno lat.

Losi i dzieciom przywiozłem prezenty. Kobiecie kupiłem bluzkę z dziwnego materiału, podobnego do tych, z których szyte są spadochrony. Amerykański jakiś. Dzieciaki otrzymały zabawki i cukierki. Tadeusz najwięcej się ucieszył z książeczek. Czyta już zupełnie dobrze, lubi położyć się w ogrodzie na trawie i przewracać kartkę za kartką. Trzeba kupować mu książki, jak najwięcej książek, niech czyta, niech się uczy. Czasem tak sobie myślę, czy chłopak zostanie po minie na roli. Jest trochę słabowity. Chciałbym go uczyć, jeżeli Bóg da zdrowie. Musi mieć przynajmniej maturę. Boję się marzyć, alby porwał się jeszcze wyżej. Ale wtedy na pewno odejdzie od ziemi. Byłoby żal, tyle już w nią serca włożyłem, już mi ten kawałek między (rzeczulką a gliniankami stał się bliski i własny. Że to się ciągle nie mogą te rzeczy ze sobą pogodzić: dobrze gospodarowana wieś i w niej mądrzy, wykształceni ludzie. Wiktor w swoim czasie, jak tutaj był, próbował mi tłumaczyć, że to będzie możliwe dopiero w kolchozach, wtedy będzie się budowało osiedla, w nich kina, żłobki, przychodnie lekarskie, biblioteki. Nie bardzo chciało mi się słuchać, nie widzi mi się, by można było te rzeczy osiągnąć. U nas chłop rwie się do swego, pragnie mieć swoją ziemię, własną, do której nic nikomu.

Czasem sobie marzę, że dobrze by było żyć w mieście czysto, porządnie się ubierać, każdej chwili mieć teatr lub kino, wokoło ładnie bez tego wiecznego gnoju, bez ganiań od świtu do nocy. Ale zarazem wiem, że nie potrafiłbym długo wytrzymać bez zieleni, bez zapachów, jakie idą od ziemi po świeżo spadłym deszczu, gdy wszystko paruje i otula się mgłą. Tęskniłbym za dojrzewającym zbożem, za ogniskiem palonym przy jesiennym kopaniu kartofli, za wiatrami wstrząsającymi domem w zimowe zawieje. Tak jakoś zapadłem pośrodku, ani tu, ani tam. Nie bardzo pojmuję, gdzie by mogło znaleźć się wyjście.

Może to tylko ja tak się tłukę bezradnie, nie wiem, czego chcieć od siebie i od innych wymagać. Drudzy może dobrze się czują, i ci w miastach, i ci na wsi. Władek nie narzeka, rad jest, że ma tę swoją ziemię. Marzył o niej przez całe życie, dziecko komorniczej rodziny. Zachłannie pracuje, wypruwa z siebie żyły, byle ten własny, swój naprawdę kawałek wychuchać, wycackać, zbierać z niego najwięcej, ale i tak samo bez skąpstwa najwięcej mu dawać. Władek nie marzy o mieście, jemu i książka mniej potrzebna, choć rozgarnięty jest chłopak, wcale nie z tych najgłupszych.

Widzę, że zaczynam filozofować, jak by to nazwał Pacuk. Może nie brak w tym racji. Lepiej dać spokój, a brać się do roboty. Przez czas pobytu Tadeusza, a potem przez dożynkowy wyjazd nazbierało się znowu tyle pracy, że ani wiadomo, za co się pierwej chwycić.

Nie miałem zamiaru nic dziś notować, nazbyt jestem zmęczony. Cały dzień przy podorywce, aż ręce spuchły od pługa, nóg prawie nie czuję. Przeczytałem te wczorajsze zapiski, to swoje filozofowanie, i coś mi przemknęło przez myśl... Tadeusz, mówiąc o jakichś błędach, o złej robocie, zaklął na ćwierćinteligentów, udających fachowców, pozbawionych zdrowego rozsądku i gospodarskich umiejętności. Że nawet trudności kadrowe, podkpiwał, nie usprawiedliwiają kultu nieuctwa i głupoty.

Wiem, że to prawda. Choćby koło nas dosyć się już napatrzyłem kolejnych burmistrzów, a teraz obserwuję, co się wyrabia w szkole rolniczej. Jeżeli mam jeszcze oset na swoim polu, to właśnie ich wina, tego wzorcowego ośrodka, jak pokrzykiwano przy otwieraniu szkoły. Wiatr nawiewa paskudztwo co jesień na moje pola. Od początku trzeba zaczynać z nim walkę. Ale cóż ja innych krytykuję, a sam? Jedno pewne, nie pchałbym się na burmistrza ozy dyrektora sokoły, jeżeli nie potrafiłbym temu poradzić.

Ale trzeba sobie powiedzieć prawdę. Kim ja sam jestem, jak nie takim chłopskim ćwierćinteligentem?

Tadeuszowi nic nie powiedziałem, coś mi się tylko wyrwało niemilego o sobie. Zrozumiał może szybciej, niż ja sobie dokładnie uświadomiłem to, co teraz napisałem. Zaprzeczył, podkreślił, że nie chodzi o te pięć klas ozy nawet więcej, ale o horyzont widzenia. Zasób szkolnej wiedzy to wiele, ale nie wszystko. O człowieku stanowi to, czy potrafi mieć szeroko otwarte oczy, o ile poszerza zakres swoich zainteresowań, czy jest bogaty w pewne wartości. Nauka, studia stają się wtedy uzupełnieniem, pełniejszym wydobyciem tamtych cech na jaw, nic więcej.

Przytakiwałem, choć świadom byłem, że usiłuje wszystko uczynić, byle mnie nie urazić. Ale ja i talk zdaję sobie sprawę, com wart. Zawieszony w próżni, już nie tutaj, ale jeszcze nie tam, ni to pies, ni to wydra. Taki jestem we wszystkim. Ta Polska dzisiejsza. W tym ozy innym gniewa mnie, w innym jej nie rozumiem, a znów jeszcze w jakimś zakresie jestem za nią całym sercem i duszą. Jak choćby za Warszawą, za jej odbudową. Albo za ziemią odzyskanymi, choć wiem, że łączy się z nimi i to, że nie jestem w Mejsutach, że tęsknię i niełatwo mi zapuszczać korzenie w nowy grunt.

Niby nie wiadomo, co będzie dalej z Polskim Związkiem Zachodnim, ale my postanowiliśmy robić swoje, dopóki można. Dom odremontowany, ostatnie poprawki, za tydzień będzie gotów. Zarząd okręgu wydebił od Urzędu Likwidacyjnego przydział mebli biurowych. Zbieranina, ale jakoś to w końcu wygląda. Spółdzielcza stolarnia podjęła się

odnowienia gratów, mówią, że będą jak nowe. Doktor Czeladzki wy dostał skądś wielkie fotografie mazurskiej ziemi, oprawiamy je. Sam wziąłem także piętnaście sztuk, mam drzewo, jest trochę szkła na strychu, robotę znam, nie poszkapię. Ogrodnik z miasteczka przygotowuje już przed domem klomby kwiatowe, obiecuje posadzić trochę drzewek i krzewów ozdobnych.

Tak samo z pewnym opóźnieniem, ale jeszcze niegroźnym, zabieramy się do mojej szkółki. Ziemię już przygotowałem, z rady narodowej prezes wydebił drut kolczasty na ogrodzenie. We wtorek mają przyjść ludzie, będziemy wysadzać młode siewki z inspektu. Na przyszłą jesień przeszczepi się szlachetne gatunki, jeszcze rok, można będzie wysadzać drzewkami drogi, sprzedawać ludziom po cenie kosztu, wymieniać z innymi kołami, choć do tego się nie kwapimy, powinno zostać wszystko w naszej okolicy.

Doktor Czeladzin odprowadzał mnie spory kawałek, potem znów ja zawróciłem, żeby z nim dojść aż pod szpital. Parę godzin tak dreptaliśmy, gadając o różnych sprawach. Mądry człowiek, a rozmawia mi się z nim jak z kimś równym i bliskim. Prawie jak z Tadeuszem. Doktor go mile wspomina, żałuje, że nie zdążył raz jeszcze zajrzeć, ale dyrektor szpitala się uparł, obciążyła go dyżurami, mają ze sobą już jawnie na pieńku; tamten się stara wygrażyć młodego, czuje, że ziemia zaczyna mu się palić pod nogami. W szpitalu zbyt wiele nieporządków, użył nawet Czeladzin słowa: nadużyć. Prosił jednak, bym milczał na razie. A w pewnej chwili westchnął i zwierzył się, co najbardziej go boli, iż dyrektor także jest w partii, w Komitecie niektórzy go osłaniają, nie wiedząc, jaką przynoszą tym szkodę. - Sitwa - powiedział Czeladzin - ale ja ją rozbiję.

W Związku Zachodnim on jest teraz głównym motorem wszystkiego. Prezes cieszy się z tego, bo doktor ma poparcie pierwszego sekretarza komitetu miejskiego PPR, a to wiele znaczy.

Otwarcie nowego domu związkowego wyznaczyliśmy na ostatnią niedzielę września. Zamierzamy zrobić to bardzo uroczyście. Przyjadą delegaci z okręgu i powiatu, będzie nawet małe przyjęcie, w radzie narodowej znaleźli trochę grosza. Cieszę się, przecież i ja także przyłożyłem się do tej sprawy. Niby tylko odremontowany dom, a jaka radość. Widzi się konkretny wynik wspólnego działania. Rozumiem teraz Tadeusza, że chce projektować domy. Od razu widoczny jest wynik pracy, można z tego czerpać otuchę i siłę.

Przedtem narzekałem, ale teraz bardzo jestem rad, że zapisałem się do PZZ, że wciągnięto mnie do zarządu, że w końcu tam wszyscy się dogadaliśmy i zrobiliśmy kawał potrzebnej roboty.

Ani się obejrzałem, znów zima ma karku. Listopad, od pierwszego dnia powiało

ostrym wiatrem, nadciągnął przymrozek, raniuško drzewa i płoty pokryły się szronem. Jak każdego, roku poszliśmy całą rodziną na cmentarz. Niewielki, mało zadrzewiony, otoczony murem z kamienia nieprzytulny i obcy. Nic w nim z tych na Wileńszczyźnie, czy to w miastach, czy po wsi. Tamte były schowane w drzewach, przytulne jakies, zawsze na górze, spokojne, ale niesmutne.

Na miasteczkowym cmentarzu za dużo jak na mój gust marmurowych i kamiennych nagrobków. Ustawione rządami, zimne i martwe. Niemieckie napisy gotycką czcionką. Ale nazwiska wyraźnie polskie. Marcinsky, Polock, Kapke, jeszcze inne. Coraz częściej między tamtymi grobami wyrastają nowe, już powojenne. Skromniejsze przeważnie, czasem otoczone drewnianą sztachetką, z brzoźowym krzyżykiem, obsadzone krzewami, latem całe w kwiatach. Kilkanaście grobów jest bezimiennych, nowe, a na nich, nic, żadnych napisów, żadnych tabliczek, tylko maleńkie skromne krzyżyki. Ludzie pogadują, że to z pierwszych miesięcy - jakaś grupka osadników wymordowanych przez niemiecką bojówkę, inni znów twierdzą, że to partyzantka akowska, trzeci, że członkowie bandy. Co człowiek, to inna opinia, zależnie najpewniej od tego, kto i jak myśli. Aż dziwne, że nad grobami żyją jeszcze te sprawy. Może wszakże żyć muszą, stanowić jakąś przestrożę czy upomnienie. Bo zaraz w pierwszej alejce od wejścia obok siebie dwa groby, jeden z nich to tego instruktora rolniczego z PPR-u, który zginął krótko przed referendum. Napis głosi, że poległ w walce z kontrewolucyjnymi bandami. Zdziwiło mnie, że na tym grobie nikt nie zapalił ani jednej świeczki; nieładnie, że własni towarzysze zapomnieli o zmarłym. Kazałem Tadzikowi ustawić dwie lampki, zapłonęły, ogienki migotały na wietrze. Zapaliliśmy też lampki na tamtych nieznanym grobach. Niech za każdym popłynie westchnienie w modlitwie. Ludzi dużo, snują się, poprawiają coś przy tych świeżych grobach. Świeczki, lampki, światełka, cmentarz nabral innej wyglądu, skrzy się, błyska, tańczą dziwacznie długie cienie, pomyślało mi się, że groby i cmentarz potrafią wiązać ludzi z ziemią równie czasem silnie jak życie. Bo oto bliscy leżą pod darnią, ci których się kochało, których nie można wymazać z pamięci. Choć raz w roku, na Dzień Zaduszny, następuje zbliżenie. W ten dzień musiałem myśleć o Mejsutach, o matce i ojcu na cmentarzyku za wioską. Siostra na pewno ustroi ich groby zapali świeczki. A gdyby jej nie było, czy zadbałby o nie ktoś obcy?

Tęskno i smutno, coś skowyczy, rwie się w człowieku. Od trzech dni morduję się ze stawianiem płotu dookoła ogrodu. Drażniły mnie stare, rozsypujące się sztachety, sprawiały wrażenie, jakby wszystko inne też nie było w porządku. Na wiosnę może zdobędę trochę pieniędzy i zezwolenie na deski, chciałbym dom oszalować, przydałoby się starym ścianom. Motor przy studni mam nowy, znalazłem na strychu. Początkowo nie wiedziałem nawet, co to

takiego jest, aż mi Władek powiedział. Ślusarz z miasteczka szukał kantownika, a u mnie w stodole był cały stos prętów. Wymieniłem je za robotę. Losia nie chce oczom wierzyć, co chwila odkręca kran w kuchni przy zlewie, patrzy na wodę, klaszcze w ręce jak dziecko. Tadiusz myje się co pięć minut, byle tylko znaleźć okazję do odkręcania kurka. Nawet dwie linie przeprowadziłem na ogród, żeby do inspektów wody nie dźwigać.. Namordowałem się z tym niemało. Sam też jestem rad, ani marzyłem kiedy o takich wygodach. Motor sam się włącza, gdy w baku zaczyna brakować wody, szumi wtedy i dudni, potem staje. Z wiosną warto by zrobić jeszcze przewód do obory, teraz rur nie starczyło.

Nie wiem, kto mię tak sobie upodobał w prezydium, bo wczoraj otrzymałem pismo z podziękowaniem za przedterminową odstawę zboża. Ciekawe, razem z Władkiem odstawialiśmy, a jemu słowa dobrego nikt nie powiedział. Śmieje się: - Peeselowiec jestem - ale czuję, że go boli taka niesprawiedliwość. Żeby tylko tacy wrogowie ustroju istnieli w tej Polsce, śmiać by się można było. Widziałem dziś doktora Czeladzina, wspomniałem mu o Władku, rozłożył tylko ręce, zachmurzył się, powiedział, że go to jeszcze więcej drażni i boli niż mnie. Zresztą, dodał, łączy się to z ogólną niedobłą atmosferą w miasteczku. Może zmieni się na lepsze po zjednoczeniu robotniczych partii...

O tym zjednoczeniu głośno teraz w radio i gazetach. Pamiętam, jak Tadeusz wyklócał się w tej sprawie z doktorem. Na mój rozum, choć daleki jestem od znajomości tych spraw, to chyba lepiej, mniej to choćby będzie kosztować, obojdzie się bez uzgodnień, konferencji międzypartyjnych i narad. Może zresztą się mylę, nie moja sprawa.

Pacukowi posłaliśmy paczkę z prowiantami. Podziękował karteczką, napisał, że u nich bez zmian. Zmartwiłem się. Co się naprawdę stało z Wiktorem? Bez przyczyn nie więziliby go przecież tak długo. Więc czyżby jednak ojciec miał słusność, niepokojąc się, że ktoś omamił mu syna? Byłby to dla starego straszliwy cios.

Ostatnią notatkę robiłem pierwszego listopada. Była smutna, nie wiedziałem dlaczego. Dzisiaj szesnasty grudnia. Przed dwoma dniami wypisano mnie ze szpitala, dopiero po paru dniach będę mógł zacząć wstawać. Doktor Czeladzin mówi, iż szczęśliwie, że w ogóle z tego wyszedłem, mogło być już zupełnie źle.

Pierwsze mrozy ścisnęły już w listopadzie. Na gliniankach wytworzył się lód, gładziutki, błyszczący, ale niemocny. Dziś zresztą, choć grudzień, ani śladu po nim nie pozostało. Na swoją i moją biedę przygnało nad gliniankę gromadę chłopców z technikum rolniczego. Takich po czternaście lat. Pewnie uciekli z lekcji, chcieli powałęsać się z dala od miasteczka. Widziałem ich, wrzeszczeli na całą okolicę, śmiali się, popychali. Niedaleko

przegradzałem część łąki na pastwisko, zostało mi jeszcze nieco kolczastego drutu z przydziału na szkółkę. Zimno, ręce drętwiały, niesporo mi szło, pokaleczyłem się, zamierzałem już zostawić robotę do najbliższej odwilży. I wtedy ten krzyk.

Można się było domyśleć, że nie darują okazji, wleżą na lód. Dopóki ślizgali się pojedynczo, to lód choć trzeszczał i rysował się, wytrzymawał. Ale zbiegło się ich trzech w jedno miejsce. Zarwał się, co gorsza, że tam gdzie najgłębiej... Dobiegłem na brzeg co siły w nogach. Pozostała trójka na brzegu pęta się z miejsca na miejsce, krzyczą. Dopiero ich pogałem, by lecieli do mego obejścia, tam przy stodole są drągi, niech zaraz z nimi wracają.

A trzech tapla się w wodzie, grubo ubrani, jeden nawet z tornistrem na plecach. Chwytają za lód, który łamie się i obrywa. Któryś gorzej pływał, napił się wody, zaczyna się nurzać. Co było robić, zrzuciłem kurtkę i buty, włączę na lód, kładę się, tym sposobem staram się do nich dostać. O parę metrów od nich załamało się i pode mną. Ścięło mnie w jednej chwili. Rąbię lód rękami, łamię go, byle szybciej, do tych gówniarzy. Na powierzchni tylko dwie głowy. Nie, ukazuje się trzecia. Do tej sięgnąłem najpierw, ciągnę pętaka, do tamtych wołam, niech się trzymają, jak długo można. Na brzegu pusto, pozostali jeszcze nie powrócili. Przebieram ramieniem i nogami, w drugiej ręce trzymam topielca, nie bardzo wiem, co mam robić. Nie da rady rozbijać lód na takiej przestrzeni. Więc staram się wywindować pętaka na wierzch, ale łamie się wszystko, pryska całymi kawałami. Jakoś go wyciągnąłem, mówię, by na leżąco czołgał się prosto do brzegu. Oczy wytrzeszczone, głupkowate, jakby nic nie rozumiał, usta otwarte, ledwie dyszy, ślini się, wypłuwa wodę.

Teraz wracam do pozostałych dwóch. Sił mi zaczyna brakować, chłód lodowatej wody paraliżuje ciało. Na brzegu wrzask, kątem oka widzę, już są ci pozostali, przynieśli drągi, podsuwają ku pełznącemu po lodzie.

Z tymi było gorzej. Stracili siły, opanował ich strach. Jak sięgnąłem po pierwszego, obaj się uczepili mojej ręki, zagarniali ramię jak szponami, ciągnęło mnie w wodę, ledwie się mogłem utrzymać na wierzchu. A tu już jeden złapał mnie za kark, czuję jego palce na szyi. Woda zalewa mi oczy, ciągnę ich, rozwałam sobą lód, myślę: „Byle tylko dotrzeć do drągów wysuwanych od brzegu, byle dotrzeć...” Nie wiem, skąd tyle siły w sobie znalazłem. Ale nieszczęście omal nie przydarzyło się wtedy, gdy wyglądało, że wszystko już dobrze. Chwyliłem jedną ręką za drąg, krzyczę, by ci z brzegu ciągnęli. Ciężko idzie, lód przy brzegu mocniejszy, nie pęka tak łatwo, ale dostać się na niego też nie ma sposobu. Nagle jeden z tonących chłopaków, zdawałoby się, przyczepiony do mnie jak kleszcz, traci przytomność, osuwa się, puszcza moje ramię. Nie mogę go ratować, bo przecież jeszcze ten drugi. Jakimś cudem podsadam, go rzucam po prostu na lód. Tamci ciągną go na drąg do siebie. Dwaj

uratowani. Ale trzeciego w ogóle nie widać, nie ma, poszedł na dno...

Próbuję uświadomić sobie swoje odczucie z tamtych chwil. Niełatwo to. Wiem, że kotłowało się we mnie wszystko. Z jednej strony pragnienie, by i temu trzeciemu pomóc, nie oddać go śmierci. Z drugiej świadomość, że koniec, straciłem siły, skostniałem, ledwie mogę ramionami poruszać. Tadiusz, Kaśka, Losia, jakbym widział ich wszystkich przed sobą. Straszliwy żal, że tak przychodzi mi ginąć... Znurkowałem chyba bezwiednie. Lód był cienki i przezroczysty, to nas uratowało. Chłopak nie poszedł jeszcze ku dnu, przywarł dziwnie od spodu tafli lodowej, dopiero teraz ciało jego zaczynało wahadłowo jakby, wolnusiętko osuwać się w głąb. Chwyciłem, szarpnąłem, wydał mi się straszliwie ciężki. Napiliśmy się wody, zdławiło mnie, w płuca jakby kto ostre żelazo wbijał. Za drągi, dwa mi już teraz podali, chwyciłem, palce dłoni jakby mi kurczem ściągnęło. To najpewniej pomogło. Ciągnęli nas na siłę poprzez łamiący się lód, dopiero bliżej brzegu sami zaryzykowali, weszli na tafle, wygarnęli nas na powierzchnię. Leżałem na lodzie połową ciała zanurzony w wodzie. Wiedziałem, trzeba jak najszybciej na brzeg, do domu, siebie i ich przebrać, osuszyć, napić gorącym mlekiem, mróz przecież. Leżałem jak martwy. Znowu ci z brzegu ciągnęli, jakoś wróciło mi życie. Wykaraskałem się, wyciągnąłem nieprzytomnego chłopaka. Nie otwierał oczu, zleżał na ziemi jak flak. Stosowanie sztucznego oddychania pamiętam jak przez sen, jakiś nadludzki wysiłek. Ale pomogło po kilku niemal ruchach, może wystarczyłoby samo usunięcie wody." Doktor mówił, że niska temperatura ocaliła nas wszystkich, organizm dłużej znosi wtedy przebywanie bez powietrza i zalanie dróg oddechowych.

W domu prędko wróciłem do siebie. Całe towarzystwo rozebrałem do naga, dałem herbaty z wódką, Losia pobiegła do Władka, by gnał do miasteczka po pogotowie. Zabrali całą kompanię, po mnie mieli raz jeszcze przyjechać, powiedziałem, nie trzeba, wyschnę, ogrzeję się, samo minie. Jeszcze tego dnia łąziłem po obejściu, nieźle się czułem. Dopiero wieczorem mnie wzięło. Gdy Czeladzin wywiedziało się o zdarzeniu, a gadało o nim całe miasteczko w te pędy do mnie. Nie minęła godzina, byłem w szpitalu. Zapalenie płuc, jeszcze dziesiątek mniej ważnych chorób się przyplątało. Pięć dni leżałem bez przytomności. Czeladzin już tracił nadzieję. Jednak wyszedłem, nie było sązione.

Losi przez ten czas Władek bardzo pomagał, prawdziwy przyjaciel. Nie wiem, jak się mu za wszystko odwdziczę.

Jednego mi tylko żal. Podczas mojej choroby odbyło się uroczyste przyjęcie przez Związek Zachodni odremontowanego domu. Było podobno bardzo przyjemnie. Inna sprawa, powiedział mi doktor, że ten dom to tak właściwie jak łyżka po obiedzie. Już wiadomo na

pewno, że Związek zostanie rozwiązany, nie jakoś inaczej, sfuzjowany z Ligą Morską czy inną organizacją. Ale czy fuzja, czy likwidacja to właściwie na jedno wychodzi. Szkoda.

Jutro są urodziny Kaśki. Skończy trzy lata.

Niespodziewanie przyjechał Zenek. Myślałem, że już na święta, jakieś dłuższe zimowe wakacje, okazało się, na stałe. Chłopak zmarniał, schudł, cienie ma pod oczyma. Mówi, nie wytrzymał pod ziemią, słabo mu się robiło, trochę, a mdlałby. Bo teraz już trzy dni w tygodniu robili w kopalni, pozostałe trzy dni mieli normalną naukę. Kwękał, kwękał, w końcu miał dość, postanowił rzucić górnictwo. Lekarz sam dał zwolnienie, znalazł jakieś zmiany w sercu podobno również początki astmy, zawyrokował, że nic górnikom po takim. No i zwolnili. Nawet ubranie przydziałowe pozwolili zabrać. Mówi Zenek, że je przerobi, dobre sukno, przyda się na tymczasem.

Trochę mnie śmieszy, że tak się nie chciało iść chłopcu do wojska, tak się wymigiwał przed nim szkołą górniczą, a teraz, proszę, innego wyjścia już nie ma. Na wiosnę na pewno go powołają. Przyda się. Sam w wojsku z uwagi na moje płuca nie byłem, dostałem ostatnią kategorię. Żałowałem potem, brakowało i jednak tego w życiu, to dobra szkoła. A w partyzantce i tak, i tak musiałem brak ten nadrabiać.

Gdy tak zesłałem po chorobie, Zenek przyda się w domu, pomoże przy gospodarce. Nie rozwałkom się chyba od razu, jak wtedy przed wyjazdem.

Doktor pilnuje mnie teraz jak dzieciaka. Znowu był dzisiaj i dał zastrzyk, przepisał nowe lekarstwo, ostukiwał, opukiwał, bardzo się interesował, jak dawniej było z moimi płucami, kiedy to chorowałem na gruźlicę, notował sobie. Nie wiem, na co mu to potrzebne.

Nie zapisałem przedwczoraj, że w szpitalu za mojego pobytu nastąpiły wielkie zmiany. Dyrektora usunięto ze stanowiska, podobno dyplom miał sfalszowany, naprawdę to był tylko przedwojennym felczerem dopuścił się ponadto nadużyć, prokuratura wdrożyła śledztwo, zarządziła aresztowanie. Tak samo zamknęli magazyniera, razem robili siuchty. Czeladzinowi zaproponowano objęcie dyrekcji szpitala. Odmówił raz, odmówił ponownie, nie chciał w tej sytuacji. Wiec teraz jest bezkrólewie, czekają, lada dzień mają przysłać kogoś nowego.

W Warszawie odbywa się kongres zjednoczeniowy PPR i PPS. Tylko o tym słyhać w radio i można czytać w gazetach. Pewnie, ważna rzecz, żeby też wyszło narodowi na dobre. Czeladzin mówi, że to było konieczne, dotychczas rozdrabniało się robotę albo się robiło ją podwójnie. Może być, mnie teraz jakoś mniej ciekawia te rzeczy. Może to rezultat choroby, zbyt jestem osłabiony i zmęczony, aby przejmować się zewnętrznymi wydarzeniami. Zresztą

za mało wiem.

Mówiła dziś Losia, była na zakupach w miasteczku, że przed świętami jest bardzo dużo towarów. Tylko kupować. Chwalić Boga, najlepszy znak, że kraj się jednak rozwija, że cokolwiek na ten temat gadają, robi się w nim niemało.

Myślę też, że musi być już znacznie spokojniej, łatwiej z rządem. Moje lęki ustały, jak ręką odjął. Tadeusz mi w tym dopomógł. Jeszcze odzywały się czasem po jego wyjeździe, ale słabsze, to już nie był ten strach dławiący za gardło. Teraz jestem spokojny, nie daję powodu, by mnie się czepiano. Odwrotnie, chwalą mnie. Mówił doktor, że mam otrzymać specjalne podziękowanie od rady narodowej. Na sesji, oficjalnie. Za bohaterstwo przy ratowaniu chłopców. Z tym bohaterstwem to wielka przesada, zwykła *rzecz*, każdy by tak zrobił. Szczęście, że się udało. Ale dobrze, że widzą te rzeczy, jest jakaś sprawiedliwa miara.

Gdy tak sobie myślę w różowych kolorach, przypomina mi się Wiktor i wszystko przygasa.

Boże Narodzenie. Czwarte już od wyjazdu z Mejsut. Na Wigilię zaprosiliśmy doktora Czeladzina. Było bardzo przyjemnie. Śpiewaliśmy wszyscy kolędy.

Pacukowi posłałem paczkę. Losia kazała jeszcze wysłać indyka do Gdańska, bardzo jej przypadł Tadeusz do gustu Indyki zresztą ładnie się u nas podchowały, dwadzieścia sztuk. Połowę sprzedaliśmy, reszta dla siebie, dwie parki zostaną na chów.

Od siostry z Mejsut nie mam żadnych wiadomości. Pisałem też do innych znajomych, najbliższych mi z „Wici”, nic, ani słowa. Co się tam u nich dzieje?

Może dlatego, a może, że właśnie święta, wiele myślałem o rodzinnej wiosce. Spokojnie, nie tak jak w poprzednie lata, ale na smutno. Znów zatęskniłem za rzeczka z okoniami podrywanych nad lód, za wydrą przy spiętrzającej się tamie, za ludźmi. Kawał serca tata zostawiłem i tego się nie przekreśli.

Banasiak przyszedł z prośbą o pożyczkę. Przypadkowo wspomniał o wypadku doktora. Nic nie wiedziałem. Szeroko otworzył oczy;

- Całe miasteczko o tym mówi. Żałują go, dobry był człowiek, choć czasem nazbyt gorący.

- Był?

- No tak, zabił się przecież...

Usiadłem z wrażenia. Doktor Czeladzin nie żyje. Wraciał nocą

od pacjenta na swoim gruchocie. Na zakręcie, przy wjeździe do miasteczka, zarzuciło

go na wilgotnym bruku. Motor trzasnął o ścianę domu, doktora wyrzuciło z siodelka, głową trafił w kant muru. Gdy wybiegli na szosę pobliscy mieszkańcy, już nie - żył. Właśnie dziś odbędzie się pogrzeb. O dwunastej.

Dochodziła dziesiąta. Gwałtownie zacząłem się ubierać. Zdążyłem jeszcze. Na ten sam cmentarzyk, po którym na Zaduszki przechadzaliśmy się z Losia i dziećmi.

Ludzi zebrało się wyjątkowo dużo. Czeladzin był lubiany, zawsze można było na niego liczyć. Jego telefon działał we dnie i w nocy, nigdy go nie wyłączał. Składano wieńce od partii, od rady narodowej, od Związku Zachodniego, od ludzi prywatnych. Było mi przykro, że przyszedłem z próżnymi rękami. Nie zdążyłem, za późno o wszystkim się dowiedziałem. Czy to zresztą ważne?

Rozeszli się wszyscy, a ja dłużej zostałem na cmentarzu. Stałem nad grobem z odsłoniętą głową, ciągle nie mogłem pojąć, że nie ma już tego człowieka o chudej twarzy i dobrych oczach, odważnego i uczciwego. Jeździł zawsze wariacko, opony były zdarte, nie dziwnego, że łatwo wpadły w poślizg.

Nie żyje. Jeszcze parę dni temu był u nas, razem spożywaliśmy Wigilię, śpiewali kolędy. Choć niewierzący, cenił tradycję. Długo rozmawialiśmy, było pogodnie, nie za wesoło. Ujął mnie w pewnej chwili za rękę, wilgotna była, spytał, czy się zawsze tak pocę. Zaczęło się od choroby, najpewniej skutek osłabienia. Potrzęsął głową, potem powiedział jakby od niechcenia, żebym nie zwlekał z przyjściem do szpitala na prześwietlenie. Miałem zamiar uczynić to po Nowym Roku.. -

A teraz go nie ma. Nie żyje. Nigdy nie mogę się otrząsnąć po śmierci znanych mi osób, nawet niekoniecznie bliskich, co dopiero gdy doktor stawał się właśnie coraz mi bliższy.

Za dwa dni Nowy Rok. Ten mijający, czterdziesty ósmy, zamykam odejściem dobrego człowieka. Smutno.

Wiele miesięcy nic już nie notowałem. Od śmierci doktora Czeladzina, jeszcze w grudniu zeszłego roku. A dzisiaj połowa maja. Kaśka znosi mi kwiaty, kładzie na stole ogródkowym zrobionym z koła młyńskiego. Pachną świeżością. Pszczoły brzęczą, pracują aż miło. Piętnaście uli.

Przez te prawie pół roku niby nic się nie przydarzyło. Tkwiłem na miejscu, nie wyjeżdżałem nigdzie, nawet w miasteczku rzadko się pojawiałem, nie było po co. Związek Zachodni został rozwiązany, dom przez nas odremontowany stał jakiś czas pustką, aż potem zajął go nowy burmistrz, nie pomogły protesty dawnego związkowego zarządu, że chcemy przekazać budynek na cele społeczne. Nie ma w miasteczku porządnej świetlicy, a

tymczasem pan burmistrz pragnie wygodnie mieszkać.

Ze szkółką kłopoty, nie pchałbym się z tą robotą, gdybym przypuścił, co będzie. Zjawiała się jakaś komisja, uznano, że prowadzę szkółkę na skalę przemysłową czy jak tam oni to określili. Muszę płacić zatem odpowiednie podatki. Tłumaczę, że to własność byłego Związku Zachodniego, że moją ziemię wydzierżawiłem za symboliczną złotówkę. Oni nic, wyśmiali propozycję „przejęcia szkółki na cele społeczne. Owszem, będę mógł zrobić taką darowiznę, ale po opłaceniu podatku. Nie pomogły podania odwoławcze do powiatu ani do województwa. Musiałem zapłacić wielkie pieniądze, krucho mieliśmy potem przez parę miesięcy. Ano cóż, otrzymałem piękną zapłatę za żarliwość społeczną. Jak się zobaczę z Tadeuszem, to mu opowiem.

Może by się tak nie stało, gdyby nie to, że zmieniły się Władze. Jest nowy sekretarz partii, nowy burmistrz, nowy prezes Samopomocy Chłopskiej, nowy dyrektor szpitala. No i zaczynają rządzić od nowa. Ludzie znów narzekają, podatki cisną chłopą, w mieście trudniej jest przeżyć. Może się zmieni to wszystko wraz z sześcioletnim planem, ale jakoś zabrakło tej otuchy, która krzepiła tak jeszcze niedawno.

Pisał Pacuk. U nich bez zmian, Wiktor nadal w więzieniu. Starego Piotra skreślono z listy członków partii. Jego, starego działacza, robotnika z ojca i dziada! Czyżby to pozostawało w związku z Wiktorem?

Tadeusz też pisał kilka razy, po swojemu, króciutko. Na Nowy Rok przysłał dzieciom pakę słodczy, dla Losi materiał na suknię. Teraz ją szyje siostra Władka, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Dla mnie, jak zawsze, książki. Przez wiosnę dużo czytałem, znów się wciągnąłem w czytanie jak w nałóg, i teraz, kiedy roboty powyżej uszu, choć na krótko, co dzień sięgam po książkę.

Zenek od miesiąca jest w wojsku, pewnie dostaje teraz rekrucką zaprawę, nie chciałbym znaleźć się w jego skórze. Dobrze, że już go powołano. Tak zawsze z nim bywa, pierwsze tygodnie, miesiące nawet, grzeczny, pokorny, rwie się z pomocą, dopiero potem diabeł zaczyna go nosić jak narowistą klacz.

Z roztopami znów się u niego zaczęło. Każdy wieczór w miasteczku, pijane powroty. Widziałem go któregoś razu z tym urzędnikiem z prezydium, zataczali się obaj, przykro było patrzeć. Trochę przewąchałem, skąd bierze pieniądze na te pijaństwa. Że też wcześniej na jp nie wpadłem. Po owsie poznałem, zginęło mi go najpewniej ze dwieście kilo. Zgubił się potem pierścionek Losi, przy robocie w kuchni często go zdejmowała, kładła byle gdzie, myśleliśmy: spadł potoczył się w jaką szczelinę, może już wyrzucony dawno wraz ze śmieciami. Coś mi tu pachnie, nie chciałbym jednak podejrzewać, nie mając dowodów.

Nieprzyjemnie, Losi nawet nie mówię, co ma się wstydzić za brata.

Do kwietnia bardzo źle się czułem. Niby nic, ale siły nie chciały wracać, byle drobiazg, już się męczyłem. Zacząłem się nawet obawiać, czy to nie nawrót gruźlicy wiedziałem, że trzeba pójść na prześwietlenie, ale z dnia na dzień to odkładałem. Aż nagle minęło, jak ręką odjął, siły wróciły, nie ma więc po co się prześwietlać. Chyba z tego najbardziej się ucieszyłem, cóż tu gadać, bałem się, bardzo się bałem, bo gdyby okazało się, że właśnie jest to najgorsze, jak bym się czuł? Losia sama, nikogo z rodziny, na Zenka nie można liczyć, dzieciaki małe, nie odchowane... Ech, co ja za pogrzebowe mam myśli. Wszystko będzie dobrze, musi się obrócić na dobre.

Ogłoszono regulację gruntów w naszym powiecie. Właściwie to jest potrzebne. Sam od dawna ciekaw byłem, jaki obszar uprawiam; chyba z dziewięć, dziesięć hektarów. Ale czyż na oko można ocenić? Gorzej., że pomiary przychodzą nowym okresie polityki rolnej. Podobno pragną w możliwie szybkim tempie przeprowadzić uspołdzielczenie. Słysząc już naokoło, jak namawiają ludzi do tworzenia komitetów założycielskich spółdzielni produkcyjnych. Parę kilometrów za nami też już coś takiego powstaje. Opowiadali Władkowi jego znajomi z tej wioski, że ani dnia nie mają spokoju. Ledwie oczy otworzą, już są agitatorzy z powiatu. I na polu znajdują, i wieczorem przydybią przed snem. Zachęcają, namawiają. Aż w końcu dla świętego spokoju podpisali jedni, drudzy, dalej łatwiej już szło, jeszcze jak okrzyknięto kogo kułakiem.

To takie nowe słowo, modne teraz. Kto trochę więcej ma ziemi, trzyma kilka terów, lepiej prowadzi gospodarkę, zaraz zostaje kułakiem. I zaraz zaczynają się podatki, domiary, szarwark. Czuję to wyraźnie po sobie, Władkowi też tyle rąbnęli, że zbielał. Jedno go pociesza, że tu u nas nie da rady ze spółdzielnią, bo obszar za mały i rozrzucone tych parę kolonii. - Chciałaby dusza do raj, ale nie ma z czym - śmieje się.

Ja też się uśmiecham. Był taki czas, kiedy myślałem, że wspólna gospodarka musi stać się jedynym rozwiązaniem rolnych kłopotów. Bo co za pomoc dla państwa z takich małych, coraz to dalej w rodzinie dzielonych kawałków? Dziś inaczej to widzę, choć, kto wie, gospodarczo może tamto mogłoby więcej dawać, wszystko zależy od ludzi. Ale skąd znaleźć nie tylko chętnych, ale na dodatek uczciwych i pracowitych?

Tak czy inaczej, my tutaj mamy spokój. Nawet do tych hektarów szkoły rolniczej zabrano się nareszcie solidnie. W szkole też jest nowy dyrektor, tamten wyleciał z trzaskiem. Co to zmian wokoło, ani jednego urzędnika znajomego.

Czekamy na tę komisję od regulacji. Władek mówi, żeby zrzec się hektarów, które

przekroczą dziesiątkę. Najlepiej byłoby mieć ze siedem czy osiem, nie będą ci wtedy wysmalać oczu, że jesteś kulakiem. Może - pomysł jest słuszny, ale trzeba wiedzieć najpierw, ile się ma, potem dopiero można się zrzekać. Pytanie też, czy pozwolą, bo kto będzie w końcu uprawiał te opuszczone hektary?

Aha, warto zapisać, śmieszna rzecz. Przed paru dniami listonosz przynosi paczkę, dla Losi. Zagraniczną, z Niemiec Zachodnich. Od naszej Klary. Pisze, że znalazła rodzinę. Na początku było jej trudno, ale urządziła się, stanęła na nogi. A paczkę to przysyła za nasze serce, żeśmy z nią dobrze się obchodzili, naprawdę jak z człowiekiem. Losia się oburzyła: za kogo Klara rias ma? W paczce znajdowało się kakao, herbata, ubranka dla Kaśki, ładne u nas takich się nie dostanie, dla Losi wełna australijska, napisane to na każdym motku. Najwięcej radości przeżył Tadeusz. Otrzymał zegarek niklowy, widać taniutki, ale ma tam parę kamieni i dobrze chodzi. Nie spodziewałem się tego po naszej Niemce. Cóż, że obiecywała pisać i zawsze pamiętać.

Zawiadomienie od Tadeusza, że się żeni, i w parę dni potem zaproszenie na ślub. Wahalem się, ale ustaliliśmy, że nie pojedę. Ani ubrania nie mam stosownego na taką okazję, ani się komu tam przydam, sami miastowi, głupio będę się czuł, kłopotów jeszcze narobię Tadeuszowi. Inna sprawa, że czas też wybrał na żeniaczkę najmniej sposobny, w same żniwa, gdzieżby tu człowiek mógł ruszyć, choćby i chciał. Posłaliśmy telegram z najlepszymi życzeniami, a na drugi dzień paczkę. Z tym pięknym serwisem porcelanowym, który Zenek odnalazł w skrytce przy kominie. Bardzo się podobał Tadeuszowi, długo go oglądał, przepatrywał pod światło, stara porcelana... Kłopot miałem z pakowaniem. Pół nocy zawijałem każdą filiżankę czy talerzyk osobno w grube papiery. Potem upychałem to delikatnie w masywnej paczce zrobionej z drzewa tak, aby się nie potłukło w czasie drogi koleją. Tadeusz na pewno się ucieszy, ale i kłął mnie będzie nie od parady. Nie znosi jakichkolwiek prezentów. Pocięszam się, zrozumie, iż ślub nie trafia się co dzień, a tedy i przyjaciele mają też pewne prawa.

Piękne zboże w tym roku, zwłaszcza pszenica mi obrodziła, aż ludzie z szosy zbaczają, by się jej z bliska przypatrzeć. Dałem sporo obornika, potem podsiałem tym jeszcze poniemieckim sztucznym nawozem, wyrosła wysoka, gruba w łodygach, z pękatym kłosem. Może zbiorę do trzydziestu z hektara. Żyto - niewiele w tym roku go mam - też ładne. Owies tylko mi wyległ.

Ogród w tym roku zapuszczony,, nawet nie wykorzystałem wszystkich inspektów, choroba przeszkodziła, słaby byłem, zastanawiam się, czy w ogóle nie porywam się z

zamiarami nad siły.

Już po regulacji. Na szczęście przyszli po żniwach, trochę ziarna nawet mieliśmy wymłóconego, chciałem bowiem czym prędzej odstawić kontyngent. Dwa dni przesiedzieli we trójkę; smoki prawdziwe, tyle żłopali wódki, zagryzając ją również niezgorzej. Może jednak dlatego okazali się potem życzliwi. Miałem razem z łąką trzynaście hektarów. Trzy odrzuciłem, zrezygnowałem, zresztą z najsłabszej ziemi. Zostało mi równe dziesięć. Może jeszcze za dużo, ale żal mi się było wyrzekać, tyle roboty włożyłem w odchwaszczanie, w nawiezienie, a teraz oddawać to, nie wiedzieć czemu. Władek musiał podobnie myśleć, zostawił dwanaście, wbrew własnemu gadaniu. - Nie zarzną mnie chyba - mówił, ale oczy jego patrzyły ponuro.

Jeszcze w tym roku mamy otrzymać oficjalne plany naszych gruntów, zapisze się naszą ziemię w gminnych księgach, będzie się wreszcie wiedziało, na czym się siedzi.

Bardzo serdeczny list przysłał Tadeusz, dziękując za serwis. Podaje, że to jest rzadka porcelana, wymienia nawet nazwę firmy, jakiś tam Rosenthal. Tym lepiej, jeśli to aż tak cenne, nie okazaliśmy się przy tej okazji dziadami.

Urlopu do tej chwili Tadeusz nie brał, niewiele mu zresztą pozostało, bo ponad dwa tygodnie przesiedział w domu, szykując się do egzaminów. Zdał je pomyślnie, znów krok naprzód, ma coraz bliżej do końca. Teraz odbywa praktykę; szczęśliwie, zezwolono mu na nią w Gdańsku, jest zatem przy żonie.

Siostra Tadeusza dawno się już wydała za jakiegoś inżyniera, mieszkają w Gliwicach. A oni razem z ojcem, staruszek jeszcze dobrze się trzyma. Bardzo chciałby mnie Tadeusz odwiedzić, tylko że się nie składa mu z czasem. Może bym ja zjechał do Gdańska, bardzo wraz z żoną byłiby temu radzi. Pyta szeroko, co ze mną, jak mi się wiedzie, co jest z Wiktorem, bo nie ma żadnych wieści ze Słupska..

Pogodny ten list, chociaż wynika z niego, że za wiele Tadeusz najwidoczniej bierze na siebie: nauka, praca, teraz rodzina. Ale wiem, że poradzi.

Pragnąłbym, aby przyjechał. Jeżeli nie, późną jesienią zajrzę może do Gdańska. Ciekawi mnie to miasto, tyle się o nim słyszało i przed wojną, i teraz. Statki tam budujemy, w porcie ruch, dobrze byłoby spojrzeć na nowe zupełnie rzeczy. Morza też nie widziałem w życiu. Tadziuś niedawno pytał o nie. Opowiadałem tak, jak je znam i wyobrażam sobie z książek.

Od dwóch tygodni Tadziuś jest uczniem. Od września zaczął chodzić do pierwszej klasy, pora, kończy siedem lat. Najgorzej, że jednak daleko do szkoły, więcej niż trzy

kilometry. Teraz to nic, ale gdy przyjdzie jesień i roztopy albo mrozy nastaną? Co dnia zaprzęgam gniadą i jedziemy do miasteczka. Przy okazji zabieram konwie mleka sąsiadów i swoją, przekazuję je do mleczarni. Płacą od przywiezionego litra, kapnie parę groszy i z tego.

Spoglądam na małego każdego ranka, jest straszliwie przejęty, minę ma przepoważną. W ogóle Tadiusz jest może zbyt poważny, dziecko w tym wieku powinno być żywsze, weselsze. On tymczasem chodzi zadumany, przygląda się wszystkiemu, potem zaskakuje pytaniami, których bym po nim się nie spodziewał. Elementarz zna na pamięć, tak samo pierwszą czytanekę, łapie się za gazety, za książki, duka coś, niewiele na pewno rozumiejąc z przeczytanych słów. Nauczycielka skrzywiła się słysząc, że już czyta, powiedziała, że będzie się nudził na lekcjach. Pytam go teraz czy się nudzi. Zaprzecza z ożywieniem.

Kim ten Tadiusz zostanie? Czy wystarczy mu podstawówka, wróci na ziemię, przejmie po mnie dziedzictwo? Czy, jak tego pragnąłbym i jak mi na to wygląda, będzie chłopak drapał się dalej, obierze inny zawód?

Czasem czuję niepokój, że nie doczekam dorastania moich dzieci, nie będę miał możliwości obserwowania, co wykluwać się będzie z tych skrzatów. Złoszczę się na siebie za takie myśli.

Dzisiaj trzydziesty września. Odnotowuję dzień, bo oto listonosz przyniósł wiadomość od Pacuków. Obaj piszą, Piotr i Wiktor. Przed paru dniami został zwolniony, bez rozprawy, bez sądu. Nie udowodniono mu żadnej winy, wszystkie zarzuty okazały się omyłką. Prawdą było tylko nieujawnienie przynależności do AK...

Krzycząc z radości poleciałem z listem do Losi. Więc jednak wiara moja i Tadeusza w Wiktora była słuszna. Pomyłka, pewnie, ale blisko półtora roku przesiedział chłop przez nią. To nie zostaje bez śladu. Stary Pacuk odczuwa to najpewniej szczególnie silnie. Pisze przecież: niewinnego trzymali, ani ojcu nie zezwolili syna tłumaczyć - Potem jakieś zdanie skreślone, zamazane, starannie. Nie wiem, co tam było. Pewnie Wiktor wolał wykreślić jakieś zbyt ostre słowa ojca.

Chwała Bogu. Miejsca sobie z tej radości znaleźć nie mogę. Chyba wezmę siatkę, podkurzacz, pójdę do pszczół dawno już przy nich nic nie robiłem. Uspokaja mnie ta praca, lubię, jak szumią biedactwa. Znają mnie, siadają na rękach, nie żądla. Moje pszczołki, rój mocny, jeden w drugi.

Piszę krótko do Tadeusza. Niech też najszybciej dowie się o zwolnieniu Wiktora. Niech i on się ucieszy.

Przedwczoraj wysłałem list do Tadeusza, a oto okazuje się, że rozminął się z nim w

drodze. Państwo młodzi są u nas. Żal tylko, że przyjechali na krótko. Co to znaczy dwa dni, ani się zacznie rozmawiać!

Ładna ta żona Tadeusza, zgrabna, taka jakaś bardzo dziewczęca. Janina. Z Grodna pochodzi, to mi zaraz Tadeusz oznajmił, zatem też repatriantka. Tych związań z tamtą ziemią nigdy się chyba za naszego życia nie zerwie. Co innego dzieci. Cóż Tadziusia czy Kaśkę będą obchodzić moje Mejsuty, których nie widzieli na oczy i najpewniej też nie zobaczą? A choćby i Wilno. One się już tutaj jeśli nie zrodziły, to dorosną i wychowają, dla nich na pewno nie będzie nic nad Mazury i Warmię, nad osiedle w pobliżu miasteczka z ruinami pokrzyżackiego zamku...

Janina ma ciemne włosy, ale jasne, bardzo błękitne oczy. Gdy coś mówi z przejęciem, nos się jej śmiesznie marszczy. Podoba się to bardzo Tadeuszowi, nie kępując się naszą obecnością całuje ją w ten nosek. Żywa, przyjemna, ani usiedzi, ledwieśmy coś zjedli, porwała się do kuchni pomagać Losi w zmywaniu, nie dała sobie odmówić. Słysząc potem było, od razu się rozgadały, śmiały się, wyglądało, jakby miały już tysiąc spraw wspólnych. Nawet Losia, raczej niegadatiwa, puple teraz bez najmniejszego opamiętania.

Tadeusz chodził ze mną po gospodarce, chwilami jakby był nadąsany, że tego nie zrobiłem czy tamtego, cośmy wspólnie uradzali przed rokiem. Aż się spostrzegł, że przecież chorowałem, stąd te zaniedbania. Musieliśmy zresztą niedługo uciekać do domu, rozpadało się. Nieprzyjemnie zaczął się ten październik. Żeby tak na kopanie kartofli nie chciało padać, nic gorszego, jak grzęznąć w gliniastej, namiękłej ziemi, kłopot też z kopcowaniem. Mam kartofli w tym roku więcej o blisko pół hektara. Zakontraktowaliśmy dziesięć bekonów, to się bardzo oplaca, ale świnki trzeba karmić...

Otrzymaliśmy sporo prezentów, wszyscy, aż mi przykro. Wiem, że Tadeuszowi się nie przelewa. Trzeba naradzić się z Losia, czym się im odpłacimy. Miodu mann sporo, w samą porę wyjąłem, muszę konwi poszukać czy blaszanego dzbana, żeby zmieściło się tam z dziesięć kilo...

Po obiedzie goście spacerowali, dobrnęli aż do miasteczka nie bacząc na deszcz, obejrzelili zamek, zwiedzili stary gotycki kościół, zaszli do kawiarni na kawę. Ludzie mówią, że ostatnie to miesiące tej kawiarni, prywatna, od nowego roku mają odebrać zezwolenie. Co mnie to zresztą Obchodzi? Ja sam w tej kawiarni nie wiem, czy byłem pięć razy, ot tyle że dobrze było wiedzieć, iż jest gdzie posiedzieć, zjeść ciastko, posłuchać muzyki z płyt.

Po kolacji rozgadaliśmy się z Tadeuszem. Kobiety bajtlowały w kuchni o swoich sprawach, my zaś rozsiedliśmy się wygodnie na tej czerwonej kanapce i, jak zawsze po długim niewidzeniu, skakało się od jednego tematu do drugiego. Zaczęło się od Wiktora.

Musiał się solidnie nacierpieć, polityczna sprawa. Szczęście, że Wiktor ma twarde kręgosłup, otrząśnie się, chwyci za robotę, nie będzie przeżywał żadnych kompleksów. Gorzej ze starym Pacukiem. - Z listu widać, że ciesząc się, czuje się zarazem bardzo skrzywdzony. Jeżeli go teraz z powrotem przyjmą do partii, jakoś uspokoją, to dobrze, ale z tym też niepewne. W partii ciągle walka z tym prawicowym odchyleniem. A kryteria oceny, jak powiedział Tadeusz, często zupełnie płynne.

Przypomniało mi się to zdanie o AK, które Pacuk nagryzmolił swym krzywym pismem. Tadeusz wzruszył ramionami. Niby trochę się wyjaśniło, dziś nie drukują takich afiszów o zaplutyh karłach reakcji, ale smrodek nadal zostaje. Jak to mówią, haczyk akowski w personalnej ankiecie. Masz taki haczyk, to jesteś niepewny, ukryty wróg, lepiej trzymać się od wszystkiego z dala... Czemu wytykano to Wiktorowi, też licho wie. Nie był obowiązany do ujawnienia, nie działał po wyzwoleniu, od razu opowiedział się za Polską Ludową, w II Armii, w walkach z banderowcami, w przynależności do partii. Jakiż więc sens miało wyciąganie tych starych spraw? Może zresztą są jakieś dodatkowe motywy, z jednego zdania w liście trudno wnioskować.

Odniosłem wrażenie, jakby Tadeusz znacznie więcej teraz się krzywił na to, co w Polsce się dzieje, niż jeszcze przed rokiem. Wyznał, że wielu spraw zupełnie nie może pojąć. Tej nagłej zmiany linii w partii, i to we wszystkich sprawach: w przemyśle, w rolnictwie, w kulturze. Obok słusznych wytycznych, jakichś wielkich założeń, pojawiają się oceny i pociągnięcia nie przemyślane, doraźne, drażniące społeczeństwo. Na zebraniach już nie przemawiają ludzie otwarcie, wolą milczeć, potakują i klaszczą często nie z przekonania, ale z obawy, by ktoś im nie poczytał ze zło, że myślą inaczej. Także jakby minął już entuzjizm pierwszych powojennych lat, gdy często o głodzie i bez wynagrodzenia szaleli ludzie z robotą, >byle szybciej, byle prędzej postawić coś na nogi, usunąć jeszcze jedno znamię wojny i okupacji, ułatwić życie sobie i innym.

Tadeusz sam po rozwiązaniu Polskiego Związku Zachodniego wycofał się z aktywności społecznej. Poświęcił się cały dwom sprawom: żonie i nauce. Chce jak najprędzej uzyskać dyplom, rzucić się w wir projektowej roboty. Tam może odnajdzie dawny swój zapał.

Dowiedziałem się, że żona Tadeusza także się uczy historii sztuki. Zaczęła ją na uniwersytecie toruńskim rok wcześniej od Tadeusza, teraz dojeżdża na egzaminy z Gdańska. Cieszył się, że potem będą mogli złączyć zainteresowania przy pracy nad rekonstrukcją zabytków.

Tutaj zapalił się Tadeusz na dawny swój sposób. Zaczął mi opowiadać, jak zbudowano w Warszawie Trasę W-Z. Niestety, za mało znam stolicę, by dokładniej ustalić jej miejsce. Tyle że gdzieś w dół od Kolumny Zygmunta, tę pamiętam, przy samych ruinach Starego Miasta. A i Stare Miasto ma być odbudowane, zupełnie takie samo, jak było dawniej, podobnie jak ulica Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. Obok nowych domów będzie zatem coś przypominającego przeszłość... W Gdańsku też zapadły podobne decyzje. Również odbudują Stare Miasto, takie wspaniałe budowle, jak dwór Artusa, jak kościół NP Marii. Na długie lata roboty, i to jakiej pięknej roboty. A obok całe dzielnice nowych, wygodnych domów. Plany są imponujące, aż serce rośnie, byle je wykonać, nie pozostawić na papierze.

Z tym samym ożywieniem zapraszał do nich, do Gdańska. Sam to muszę obejrzeć, zobaczyć w początkach przywracania miastu dawnej urody. I do Warszawy warto, bym znowu pojechał za jakiś czas... Boże drogi, małoż to miejsc w Polsce, które chciałbym obejrzeć, zobaczyć, ale czy Tadeusz nie zdaje sobie sprawy, jak to niełatwo ze wsi się urwać? Ale może pojedę, nie będę przecie czekał nowego zaproszenia na jakieś dożynki. Raz się udało, w tym roku nikt już o mnie nie wspomniał, nawet za tamtych chłopców uratowanych z topieli rada narodowa nie przysłała zapowiadanego podziękowania. Nowi ludzie, cóż ich minione sprawy obchodzą? Przekreślili je, biedzą się nad swoimi własnymi rządami.

Była dziś chwila, gdy chciałem powiedzieć Tadeuszowi o swoim pamiętniku. Ugryzłem się w język. Po co? Za dużo tam o nim, może by go to jeszcze uraziło, a mnie potrzebna jego przyjaźń i serdeczność, dzięki której przyjechał tu z żoną, nie wstydził się przyjaciela - chłopca, zapaćkanego w gnoju i glinie przygłupiałego w głuszy... „Ej, Paweł, czy nie przesadzasz” - chciałbym powiedzieć teraz do siebie. Może przesadzam, może i nie.

W drugi dzień gościny mniej gadaliśmy z Tadeuszem o tych ogólnych sprawach. Tyle, że z różnych słówek ponownie zauważyłem, iż nie jest już tak zapalony jak przed rokiem, mniej chwali, drażni go więcej rzeczy.

Ciekawą radę dał mi też na odjeźdźnym. Inną zupełnie niż przy pierwszych spotkaniach. Powiedział mniej więcej tak:

- Pawle, myślę, że chwilowo nie masz co płać się w szersze sprawy. Zresztą i gdzie? Do partii tej lub innej nie masz ochoty się zapisywać. Związku Zachodniego niestety nie ma. Lepiej poświęcić się gospodarstwu, to też ważny wkład społeczny, miasto chce jeść, zagranica też kupi niejedno z naszych przetworów rolnych. Więc i tym daje się państwu pomoc...

Smutno się przy tych słowach uśmiechnął, jakby przepaszająco.

Namawiałem, żeby nie wrywali się tak z powrotem, niech przedłużą pobyt o parę

dni. Tadeusz powiedział wtedy, że i o te dwa dni nie było łatwo. Niewiele zarabia, musi się chwytać dodatkowej roboty. A teraz ma możność niezłego zarobku. Jeden ze znanych architektów w Gdańsku otrzymuje wiele zleceń państwowych i prywatnych. Sam nie dałby rady z projektowaniem. Więc niektóre zamówienia zleca po cichu do wykonania tak zwanym „murzynom”. Ot, choćby studentom z architektury. Robi ogólne szkice, daje wskazówki co i jak, według nich rozrysowuje się szczegółowy projekt. Teraz trafia się Tadeuszowi podobna okazja, a tyle miłsza, że architekt zostawił mu dużą swobodę. To projekt budynku dla wielkiej wędzarni ryb. Tadeusz przejął się projektem, przez to go trochę opóźnił, a tam już straszliwie nagle. Nie warto byłoby tracić życzliwości tego architekta.

Żona jego krzywiła się, gdy to mówił, on też nerwowo przetykał ślinę. Może było mu wstyd, że tak się daje wykorzystywać, bo podobno tamten architekt sprawdza później taki projekt i firmuje go własnym nazwiskiem. A taki „murzyn”, jak Tadeusz, dostanie pieniądze i może iść, dokąd go oczy poniosą, nawet nie wie przeważnie, gdzie ten jego pomysł zostanie zrealizowany.

W ogóle był tym razem o wiele smutniejszy. Raz się tylko na całego rozbrykał, gdy poszedł się kąpać na gliniankę. Nic, że październik, choć ciało obsiadła mu gęsia skórka, pokrzykiwał, że ciepło, jakby kto ogrzał wodę. Dziękuję, ja tam nie miałem ochoty. Ale pani Janina też się kąpała. Dopiero w kostiumie zobaczyłem, jaka jest zgrabna. Dobrze Tadeusz wybrał. Losia też nie może się ich obojga nachwalić.

A z naszymi prezentami była awantura jak - zawsze. Bo to Losia i kaczkę dwie machnęła po łbach, i szynkę wędzoną wygrzebała ze zboża na strychu, nie mówiąc o wiadrze miodu i drugim pełniutkim jajek. Tadeusz rozgniewał się, powiedział, że nie weźmie. Potem chciał płacić. To wtedy ja udałem, że się obrażam. Skończyło się na podziękowaniach i śmiechu.

Odjechali. A u nas w domu nagle opustoszało. Dobrze, że przyszedł Władek, przyniósł pół litra. Skasowali mu jakiś podatek, chciał to zapisać z uciechy. Jutro będziemy u niego młócić, a potem u mnie. Robota nie czeka.

Jakoś osobliwie układają się czasem niektóre sprawy. Przez październik i teraz, w listopadzie, głośno było o problemach niemieckich. Obok tej kapitalistycznej Republiki Federalnej powstała Niemiecka Republika Demokratyczna. Jeden naród, dwa państwa, granica między nimi bardziej strzeżona niż gdzie indziej. I ten Berlin rozbity na pół... Gadaliśmy trochę na ten temat z Władkiem Kurtysem, przyłgnęliśmy jakoś do siebie. Niegłupi chłopiec, czasami tylko jakby udawał mniej rozgarniętego, niż jest naprawdę. Łatwo on w życiu nie miał, dlatego gdy dochrapał się tu wreszcie swojego, haruje nieprzytomnie,

cięższy się wszystkim; mało to go razy widziałem, jak chodzi po polu przystaje, nachyla się, ogląda każdą roślinkę. Któregoś świtania wstałem jeszcze za ciemna, by poprawić odratowanie na pastwisku, krowy ml stamtąd uciekły poprzedniego wieczora. Otóż tego ranka, kiedy to mgły dopiero się rozplýwały, usłyszałem od pola Władka jakieś pohukiwania i pokrzyki, jakby ktoś niesłychanie się cieszył. Zostawiłem robotę, zaciekawiony podszedłem bliżej. Wtedy spostrzegłem Kurtysa. Zaskoczony był moją obecnością, zaczął udawać, że coś tato robi. Nie byłem jeszcze pewien, czy to on tak wywrzaskiwał przed chwilą, zapytałem go wprost. Zawsze pewny siebie, teraz zająknął się zaczerwienił jak dziewczyna.

- Ja... Widzisz, Paweł, jak to powiedzieć, wyjdę czasami, patrzę, ot, jak teraz, ozimina ładnie wschodzi, wiem to z mojej roboty, i wtedy spiera mnie straszna uciecha. Więc sobie krzyknę, zahukam, zaklaskam w ręce, rozumiesz? Może i nie rozumiesz, ale zostaw to przy sobie, pomyślą jeszcze ludzie, żem zwariował. Ale ty wiesz, jak się nic dotąd nie miało, każdy mógł cię popychać z kąta w kąt, a teraz, no, teraz i ta ozimina moja, i te drzewka w sadzie, i dom, to aż każe coś krzyżeć, cieszyć się jakby szczeniakowi.

Władek, jak chyba każdy, sporo miał z Niemcami na pieńku. Trochę mi opowiadał o swoich okupacyjnych przeżyciach. Pamiętam, jak Wiktorowi mruknał, że mu zazdrości, iż mógł bić szwaba do woli, odkuć się choć w części za siebie i za innych. Choć i ten Władek, niskie, o mocnych barach chłopaczysko, trochę sadła też zalał Niemcom za skórę...

Ale nie o tych sprawach niemieckich zamierzałem tu pisać, tylko o przedwczorajszej historii. Zupełnie jakby ze szpiegowskiej powieści. W okolicy od dawna krążyły słuchy, że Niemcy przysyłają jakieś listy grożące obecnym właścicielom ich dawnych gospodarstw, że zdarzają się czasami ulotki przeciwpolskie, w Olsztynie natrafiono na organizację odwetową, na wiosnę ma się odbyć wielki otwarty proces, aż ochota by brała pojechać, posłuchać. Ale to wszystko tak jakby z daleka. Aż właśnie przedwczoraj...

Z samego ranka, dopiero wstałem, wpadł do nas Władek. Wyciąga z kieszeni jakieś papiery, podaje, woła bym czytał. Po polsku drukowane, tylko jakby niektórych liter im brakło, ale nawet składnie to ułożone. Odezwa do Polaków mieszkających w Prusach Wschodnich. Że Niemcy traktują nasz pobyt jako czasowy, jako zostawienie majątku pod naszą administracją. Nakazują, by solidnie pracować, strzec mienia do ich powrotu. Bo niedługo przepędzą precz komunistów, przejmą, co swoje, nam zaś oddadzą Wilno i Lwów, i jeszcze dalsze ziemie, prawie pod Moskwę. Więc żeby o tym pamiętać, nie współpracować z komunistami, utrudniać rządy bolszewikom, i tak w kółko. A jeszcze groźby, że potrafią też odpowiednio ukarać, niech nie myślimy, że cokolwiek zostanie nie zauważone...

Rozzłościłem się, patrzę na Władka, trzyma jeszcze całą garść tych ulotek. Pytam,

skąd to ma. Opowiada: pies się w nocy straszliwie rozszczękał od kępy krzaków olszowych przy takiej dolince, gdzie zawsze przez całe lato trzyma się niewielka kałuża wody. Ujadał, aż spać nie było można. Z samego rana poszedł Włodek na pole zobaczyć, myślał, jaki zwierz może raniony, dlatego pies obtańcowuje go tak zajadle. Na wietrze koło krzaków szamocze się coś białego, człowiek, nie człowiek, ziemia naokoło usiana papierami. Przysunął się bliżej, Wydało mu się, że to spadochron. A nuż jaki szpieg zachodniemiecki, słyszy się i o takich rzeczach. Dopiero zobaczył, że jednakże to coś innego. Jak by przekłuty wielki balon, do niego przywiązane paczki z ulotkami; niektóre się rozerwały, rozsypały wokół.

Oglądaliśmy później ten balon. Dobre jedwabne płótno, przetkane nylonem, impregnowane, ładnych kilka metrów. Włodek ma zamiar uszyć z tego koszule, już mu je siostra wykombinuje. Z ulotkami pojechał rowerem na posterunek, niech już tam milicja dochodzi szczegółów. Jedną schowałem, pokażę Tadeuszowi, gdy znowu przyjedzie.

Na milicji powiedzieli Władkowi, że to nie pierwszy już taki balon. Całymi setkami puszczają je na naszą stronę rewizjoniści niemieccy. Taka sama historia jak z listami i paczkami, które tu masowo nadchodzą.

Włodek opowiadając mi to dorzucił, że jednak może dobrze, że powstała Niemiecka Republika Demokratyczna. Ci nie do bici hitlerowcy mają przez to dalej, a tak, gdyby była z nimi bezpośrednia granica, to już nie balony z ulotkami, ale szpiegów żywych setkami pchiliby na pewno na naszą stronę. Teraz to chociaż sami Niemcy jedni drugich pilnują.

Ja zaś myślę, że od polityki w naszych czasach się nie ucieknie. Nie pomoże żadne zamykanie się w swoich jedynie sprawach. Próbuję tkwić na swej gospodarce jak ślimak we własnej skorupie, tylko pole, Obora, a dla siebie żona i dzieci. I co? Jak nie inaczej, to choć balonem z nieba polityka ci się wciśnie, każe się zastanawiać nad dzisiejszymi sprawami. Bo to chociażby z Niemcami. Od tych ulotek coś inaczej zaczyna mi się układać ocena. Dotąd mierzyłem rzecz może zbyt prostą miarą. No bo jeżeli tam się od nowa szerzy hitleryzm, organizacje przesiedleńców i różne inne występują coraz ostrzej przeciwko Polsce, a Zachód patrzy na to spokojnie, jeszcze tych Niemców popiera, po cichu zezwala im na tworzenie armii, to my musimy ze swojej strony spoglądać na tego, kto jest za nami, z kim możemy wspólnie się bronić.

Źle się coś czuję. Przez dłuższy czas miałem z tym spokój od jesieni jednak znów zaczynają wracać bóle żołądka. Mdli mnie, świdruje tak, że chwilami aż wyprostować się trudno, zgaga pali, aż oczy na wierzch wyłażą. Zażywam sodę całymi łyżkami, pomaga na jakiś czas, potem zaczyna się wszystko od nowa. Ciężko w tym stanie pracować, podwójny wysiłek. Humoru też nie ima, wszystko widzę na ponuro. Losia krzywi się, że jestem

burkliwy, ani ze mną się porozumieć.

Przed paru dniami znów byliśmy na miasteczkowym cmentarzu, znów zapaliliśmy świeczki i lampki. Grób doktora Czeladzina szczególnie przybraliśmy, jakieś jedno się tylko światełko na nim paliło. Ciekawe, dobry był człowiek, lubili go wszyscy oprócz tych, których zwalczał, a teraz, jak odszedł, nikt go już nie pamięta. Krótka jest ludzka wdzięczność.

Zastanawiam się, czy nie pojechać niedługo do Gdańska. Chciałbym zobaczyć się z Tadeuszem, przewietrzyć się trochę. Tylko że bóle żołądka sprawiły, iż nie wszystko pilne zdołałem zakończyć, przeciągnęło się także i w polu. Listopad, trzeba korzystać z ostatnich pogodnych dni, zima może zaskoczyć niespodziewanie.

Znowu mnie boli. Wezmę jeszcze raz sodę, postaram się zasnąć, jedyny ratunek.

Władek doczekał się nowych zmartwień. Dwa razy wzywali go na milicję. Poszło o ten głupi balon, który spadł z ulotkami na jego pole. Pytają, co z balonem. Teraz żałuje, ale zagalopował się z początku i mówi, że nic nie wie. Znalazł rozrzucone ulotki, zebrał to, zaniósł. Oni na to, że musiał być także balon, powłoka, musi go oddać. Przecież sam wspomniał, że ulotki spadły z balonem... Zaplątał się wtedy: no, tak mówił, bo słyszał od ludzi, że to na balonach zrzucają. Gdyby wiedział, poszukałby, a tak może ktoś zabrał, mało to dzieci łązi wszędzie tam, gdzie nikt ich nie posiał.

Nie wie, jak się wycofać. Koszul i tak szył teraz nie będzie, poznaliby od razu, z czego zrobione. Oddać też nie uchodzi, bo czemuż się przedtem zapierał? Po drugim wezwaniu na milicję poradziłem mu, niech matka odniesie, powie, że znalazła i schowała, nic nie mówiąc synowi; skąd mogła wiedzieć, że to balon? Myślała, materiał jakiś wala się bezpotrzebnie na polu.

Zrobił tak. Wiążę Tadziusia do szkoły, zabrałem też matkę Władka z pakunkiem pod pachą. Oddała. Opowiadała w powrotnej drodze, że nie bardzo chcieli jej wierzyć, wyraźnie powiedzieli, że mógłby syn zwrócić powłokę od razu, nie robić im i sobie kłopotu. Na drugi raz miech uważa, bo to mogą wynikać grubsze nieprzyjemności.

Najlepsze w tym co innego. Matka Władka przysięgała się, że komendant miał koszulę uszytą z takiego samego materiału jak powłoka balonu.

Lepiej się czuję, bóle ustały, nawet sody nie potrzebuję pijać, już obrzydła mi do reszty.

Udał się nam ten rok. Jeszcze połowa zboża nie wymłócona, a już mam ziarna nieomal tyle, co w poprzednich latach. Pszenicy zwłaszcza zebrałem dobrze ponad trzydzieści kwintali z hektara. Rekordowo, ale bo też i wspomniała odmianę dostarczyli nam w tym roku z

gminnej spółdzielni. Inna sprawa, nie wszystkim tak obrodziło, może to wina ziemi, może staranności uprawy. Ja ani sztucznych nawozów nie żałowałem, ani też obornika. W każdym razie odstawię już oddałem z naddatkiem, sprzedałem część na podatki, trochę, żeby zyskać bieżący grosz, a nadal stodoła pełna... Z jabłkami też nie wiadomo co robić, załadowałem pełną piwnicę, późny gatunek zimowe, trzeba będzie oddać to do spółdzielni, nie będę przecież wystawał na rynku.

Żeby tylko jeszcze dał Pan Bóg zdrowie, nie byłoby na co narzekać. Kaśka skończyła cztery lata, spore z niej dziewczynisko, wesoła, żywa jak skierka. Nawet jak jestem w najgorszym nastroju przy bólach żołądka, ona jedna zawsze potrafi mnie rozweselić. Uśmiechnie się, wdrapie na kolana, przylepka, i już jest człowiek udobruchany.

Tadzius się dobrze uczy, była wywiadówka, same pochwały. Losia cieszyła się z tego jak dziecko. Obiecałem, że na wiosnę kupię rower, niech sobie chłopak na nim ugania.

Wyjechałem z domu na pięć dni, nie było mnie dziesięć. Losia już się mocno niepokoiła, pamiętając moje przygody za tej pierwszej podróży w czterdziestym piątym, gdy ruszyłem w Szczecińskie szukać miejsca na osiedlenie. Tymczasem aż trudno uwierzyć, jak się wszystko zmieniło. Wtedy ten chaos, tłok w pociągach, co krok bandyci, złodzieje, wszystko wokoło w gruzach, tylko początki dopiero jakiegoś normalnego życia. Teraz wszystko gra jak w zegarku. Chwilami w takim Słupsku, nie - mówię już nawet o Gdańsku, wierzyć mi się nie chciało, że Polacy objęli te ziemie przed niecałymi pięcioma laty. Wygląda, jakby tu tkwili od wieków.

Pewnie, biednawo jeszcze, ludzie szaro ubrani, zmęczeni, to widać. W pięć lat wszystkiego się nie odmieni. Ale to, co się już dokonało, też cieszy. Pomyśleć, gdyby jeszcze nie te trudności i błędy, - o których trochę napomykał Wiktor, a szerzej mówił Tadeusz...

Zacznę od początku. Wiktor ciągle pilił w listach, aby do nich przyjechać. Zdecydowałem się wreszcie, nie odkładałem na Nowy Rok, jak to sobie początkowo uplanowałem, ale wsiałem w pociąg zaraz z początkiem grudnia, jak się tylko zwolniło z robotą przy gospodarce. Pogoda była piękna: choć grudą ściągnęło już ziemię i nocami chwytaly silne przymrozki, we dnie słońce prażyło chwilami jak latem. Może w tym świetle weselej świat wyglądał, stąd moje tak dobre wrażenia. Inna sprawa, że dopiero dłuższa nieobecność na jakimś miejscu pozwala ocenić zmiany. Tadeusz bardzo chwalił wygląd naszego miasteczka, to, co w nim nastąpiło przez jeden rok. Tymczasem mnie się zdawało, że u nas właściwie nic się nie dzieje, stanęliśmy w miejscu. Gdy Pacukowie krzywili się, że zbyt wolno odbudowuje się Słupsk i okolice, nie mogłem tego zrozumieć. Miasto piękne, już odnowione miejscami, tylko ruin wciąż dużo, czyściutko, czego można chcieć jeszcze?

Tej piękności miasta zresztą nie zaprzeczali. Wiktor mówił, że Słupsk to jak mały Paryż, podobny ma układ ulic, jakby projektował miasto ten sam architekt. To mi się nie wydaje, zresztą Paryża nie znam i na pewno w życiu nie poznam. Nie mam nawet takich wymagań. Wystarczał im Słupsk, ze swoim ruchem, z gęstwą ludzką, z wesołymi ulicami, z kolorowymi plakatami bijącymi ze wszystkich murów.

Czemu miasto jest zawsze, przynajmniej od zewnątrz weselsze niżeli wieś? Czas ludzki także bardziej swobodny, nie tak zapchany od rana do nocy. Kocham wieś, ale to nie przeszkadza mi ją widzieć prawdziwie, nie maślanymi oczyma wczasowicza, który zjeżdża w najlepszą pogodę, wyleguje się na trawie, patrzy w błękitne niebo i wrzeszczy, jakie to boskie życie. Niechby w deszcz popracował na polu, choćby przy kopaniu kartofli, gdy i ciało przemoknięte do wnętrza, i chłód, albo niechby zorał gliniastą glebę wczesną wiosną, gdy nóg nie można wyciągnąć, tyle się jej przylepia do butów za każdym krokiem...

Dziesięć dni spędziłem jakby na innym świecie i tylko czasem napływało przed pamięć, jak tam w idiomu z chudobą, jak sobie Losia z robotą poradzi, a to znowu, że gnój nie odrzucony, zatona w nim świniaki, i tak dokoła Wojtek.

Trochę się gadało o tych sprawach wiejskich z Wiktorem. Mniej był już zapalony jak dawniej, choć ciągle obstawał przy swoim: spółdzielnie i spółdzielnie, tworzyć je nie zwlekając od razu w całym kraju, gospodarkę w tym kierunku przestawić. Więc mu przedkładam, że może nawet ma rację; mnie to nie przekonuje, ale inni, bo ja wiem, młodsze pokolenie, które nie będzie odczuwało równie silnego jak my przywiązania do ziemi, ono niech - przeprowadzi taką reformę. Ale też nie na ślepo. Powinien być przykład, wzorzec. Niechby pewna ilość ochotniczych spółdzielni przez parę lat wykazała się wynikami, odmianą życia, niechby udowodniła swą wyższość, wtedy można by myśleć. Bo dotąd to wszystko tylko na gębę. Taki Władek, który przed słońcem wstaje, leci na pole i tam pokrzykuje z ochoty, że nareszcie gospodarzy na swoim, że ma tę własną ziemię, która żąda wysiłku, ale i daje w zamian, czy można by sobie wyobrazić go teraz tak z miejsca w spółdzielni? To przekreślałoby jego radość związania z ziemią, spełnienia marzenia piastowanego przez długie lata. Ja też choć mój przykład trochę jest inny. W pojedynkę, choć na pewno nieraz o wiele trudniej, jednak lepiej się czuję...

Stary Pacuk słuchał i podśmiewał się, nie ze mnie, z Wiktora. Pacuk jest za zostawieniem spraw gospodarki takimi, jak są. Mówi, że dać wsi lepsze warunki, dobre nasiona, nawozy, wtedy wzrośnie produkcja, tu jest jedyne rozwiązanie. Nawet natarł na Wiktora pytając, jak *on* by widział rozwój spółdzielni, gdyby tak z miejsca wszędzie powstały, gdy braknie przemysłowego zaplecza. Trudno o maszyny, co tam mówić, o głupie

kosy trudno, z nawozami sztucznymi gorzej niż biednie, podobnie z tysiącem innych wyrobów. Więc jak oni chcą robić tę rewolucję w rolnictwie?

To chyba jedyna sprawa, przy której posprzeczaaliśmy się cokolwiek ostrzej. Bo w ogóle to nawet niewiele się u Pacuków mówiło na polityczne tematy. Nastrój był wcale nie do nich. Stary machał tylko ze złością ręką, zacinął usta, uchylał się od rozmowy. Wiktora też mniej się zdawało teraz wszystko interesować, chwilami jedynie zapalał się tak jak dawniej. Znać było po nim wyraźnie więzienne miesiące, blady był, ciągle jakby zmęczony.

Przyjęli mnie, Boże lepiej chyba jak brata. I stara matka ucałowała, przytuliła do siebie, widziałem potem, jak nieznacznie otarła łzy. Pacuk ramiona rozwarł, Wiktor po swojemu rękę uściśnił, że ledwie nie zakrzyczałem, zaburczał coś, zrozumiałem że on mówić nie umie, ale chce, żeby wiedział, jak bardzo dziękuje i zawsze będzie pamiętał. Aż mi się przykro zrobiło, głupio, bo w końcu cóż ja pomogłem? Że ta pożyczka, tych kilka paczek z żywnością...

Jakbym przyjechał do drugiego swojego domu. Nie to, żeby ktoś nadskakiwał, robociarze oni, takie mody im nie znane, ale jakoś prosto, zwyczajnie. Więcej się czuło, niż to okazywali.

Dużo nowin się dowiedziałem. Pacuk już nie był kierownikiem, pracował teraz, jak kiedyś w Wilnie, jako zwykły ładowacz. Po skreśleniu go z partii, jesienią tamtego roku, dano mu do poznania, że na tak odpowiedzialnym stanowisku nie może dalej zostawać, stracił wszak zaufanie swych towarzyszy. Bez słowa odszedł, ale podobno matka go nie poznała, gdy wrócił do domu. Jakby mu z dwadzieścia lat z miejsca przybyło. To prawda, i dzisiaj staro wygląda, aż wierzyć się nie chce, że przy wyładunkach potrafi wziąć jeszcze sto dwadzieścia kilo na plecy. Wiktor mówi, że teraz mógłby ojciec wrócić do partii, może by go przyjęli, ale ani chce o tym słyszeć, mówi, że skamleć nie będzie; jak wtedy nie zawierzyli jego słowom, to on ich teraz nie potrzebuje. Jednak zapomnieć ciągle nie może, boli go ta sprawa.

- A z tobą - zapytałem Wiktora. - Jak z tobą było? Jak jest?

Może i nie trzeba było tak z miejsca, należało zaczekać, niechby sam Wiktor *zaczai* się zwierzać. Na pewno nie pierwszy zadawałem mu takie pytania. Cóż dziwnego, że skrzywił się w pierwszej chwili, dopiero potem leciutko się uśmiechnął. Długo mi opowiadał, ale odnosiłem wrażenie, że robi to z pewnym przymusem, albo nie chcąc nawracać do smutnych spraw, albo w jakiejś obawie, że zawsze w takich razach lepiej jest milczeć.

Zapytał mnie w pewnej chwili.

- Pamiętasz, wspominałem ci kiedy o doktorze Palczaku? On mi się głównie

przysłużył.

Ciężko przeżył aresztowanie, rzecz najmniej spodziewaną ze wszystkich. Zdumienie, oburzenie, jeszcze nic z obaw. Potem wielkie zaskoczenie głównym zarzutem: współudział w tworzeniu podziemnej organizacji. Nie rozumiał, żądał wyjaśnień. Uśmiechano się, nikt się nie śpieszył z ich udzielaniem, sam ma opowiedzieć szczerze o swojej winie, oni mają czas, wiedzą wszakże już wszystko, to jemu dają ostatnią szansę... Potem było znacznie gorzej, każdy dzień niemal zaskakiwał go niepojętymi niespodziankami. Choćby jak się zaczęło z AK. Był, nie był? Przecież był. Zatem czemu to skrywał, czemu nie ujawnił się wstępując do II Armii? Czemu później też zataił to w ZWM-ie i w partii? Jakie mu zlecono zadania w AK do wykonania w wojsku? Druzgotało go każde kolejne posądzenie, przygniatało, opływało jakimś przerażeniem. Jakże, więc taka odpłata? Tłumaczył, dlaczego nie wspominał o swojej pracy konspiracyjnej do walce w oddziale partyzanckim. No bo przecież była ta nieszczęsna Kaługa, uciekł z niej, jakże więc mógł grzebać wtedy sam siebie, tym bardziej, że nigdy nie pragnął niczego innego poza możliwością walki z Niemcami. Uważał zresztą w swoim wypadku tę sprawę za zupełnie nieważną. Nie istniała dla niego w tamtym czasie inna polityka, jak tylko możliwość walki z hitleryzmem. Czego więc chcą od niego? A już te posądenia, że współdziałała obecnie z podziemiem! Tu mu przerywano, wspólnie dojdą później do dni dzisiejszych, teraz ważna jest przeszłość. Miesiącami się to ciągnęło, wciąż w kółko. Przesłuchania, protokoły, znów przesłuchania, znów podpis na protokole... Już to samo mogło załamać. A jeszcze różni ludzie w celi, zetknięcie iż różnymi tragediami, ciągle osaczanie lękiem, coraz rzadszy bunt przeciw posądeniom.

Zaczęła się druga część śledztwa. Jak z tą organizacją? Kto, kiedy i gdzie, cele, zakres działania, broń, inne środki? Znów oczy wytrzeszczał, niczego nie pojmował. Wreszcie po długim czasie pytanie, co może powiedzieć o doktorze Palczaku. Wtedy jakby błysk olśnienia. Spotkali się, doktor zajrzał potem do domu Wiktora. Krytycznie był nastawiony do Polskiej Ludowej, ale nic więcej. Małoż to było, a i jest, nastawionych krytycznie, ale dalekich przecie od jakiegoś wrogiego działania. Doktor! Tutaj musiało coś tkwić... Śmieli się z tego wyjaśnienia, że tylko przypadkowe spotkanie, wizyta tamtego, nic więcej, że żadnych zwierzeń, namawiań nie było. Oni wiedzą, ale czekają, niechże sam powie. AK też chciał się z początku wypierać. Nie chciał i nie wypierał się, ale cóż by pomogły protesty i sprostowania? I tak teraz, dla odmiany, dookoła Wojtek o tym doktorze. Znowu dziesiątki protokołów, coraz krótszych w paru zdaniach, nic bowiem nie wnosił do nich nowego. Aż wreszcie ustały wzywania na śledztwo. Miesiące zakłóconego siedzenia w celi, bicia się z własnymi myślami, narastających uczuć żalu i gniewu.

Opowiadając mi to, Wiktor przeżywał całą sprawę od nowa. Czerwieniał, zaciskał pięści, na czoło wystąpił mu pot. Oczy jego stały się bardzo smutne, napelnione rozżaleniem i ciągle jeszcze żywym zdziwieniem. Mówił teraz urywanymi zdaniami, skrótami, jakby czym prędzej pragnął zakończyć opowieść.

Pewnego dnia, wczesnym latem, zabrano go z celi, ogolono, przebrano. Wieczorem odjazd do Warszawy z dwoma konwojentami. Ta jazda była niełatwa. Wokoło wolni, rozgadani ludzie, migający poza oknami świat, jakaś dziewczyna ciekawie na niego popatrująca, ani domyślająca się, że naprzeciw niej siedzi aresztowany. W Warszawie konfrontacja z doktorem Palczakiem. Doktor potwierdził zeznania Wiktora. Potem dalsze konfrontacje z kilku ludźmi, wszyscy nieznajomi. Przy tym nic, żadnych wyjaśnień, ani słowa, coś tylko pojąć mógł z odpowiedzi doktora, ale i to było niejasne. Powrotna droga, znów ta sama cela, dzień za dniem, żadnego zainteresowania jego osobą. Wreszcie do tego doszło, że wezwanie na nowe przesłuchanie przyjął z radością, nareszcie coś zaczynało się dziać. To samo od początku, jeszcze raz, szczegółowo, dokładnie, jeszcze dokładniej. Dwa następujące tygodnie ciszy, wreszcie pewnego dnia uwolnienie, tak już niewyobrażalne, że w pierwszym momencie nie potrafił nawet odczuć radości...

- O ciebie też mnie rozpytywano... Zbyłem, że handlowałeś z ojcem jajkami, rąbanką, i tyle. Ojciec mi już wspominał, że byłeś przesłuchiwany, jakoś ci się upiekło. Gdybyś przyznał się do AK, to i ja bym oberwał, że prawdy o tobie nie powiedziałem. Widzisz, człowiek zaczyna łąać ani chcąc w sprawach, które są jasne i czyste.

- A Tadeusz? - spytałem.

- O nim słowa nie było. Nie wiem, może nie zainteresowały ich kartki od niego. On nigdy nie lubi pisywać, na swoje szczęście.

To chyba i wszystko z poważniejszych rozmów w domu Pacuków. Za boleśnie przeżyli obaj aresztowanie, jasne widzenie spraw kraju zmąciło się im, szarpią się w sobie, nie umiając odnaleźć wyjścia.

Wiktor wrócił do pracy, od nowa rozpoczął naukę w technikum wieczorowym. W partii sprawa jego członkostwa nie była aktualna, pod nieobecność skreślano go, jak i ojca, i listy. Gdy zapytał sekretarza w swym przedsiębiorstwie, czy ma starać się o przyjęcie, ten go zbył, że może później, teraz zajęci są wszyscy jakąś akcją. Więcej nie próbował, zrozumiał, że mimo uwolnienia od zarzutów jest teraz niepewny. Choćby ta przeszłość akowska, ucieczka. Przyjął to jak nowy, nie zawiniony cios.

Rozumiał też ojca. Pacuk bardzo się zniechęcił do Polski. Przypomniał sobie nagle o siostrze, która została w Wilnie, zaczął robić starania o wyjazd do niej, jeździł do konsulatu

radzieckiego w Szczecinie. Na zewnątrz ukrywał jednak właściwe powody swych starań. Ze mną wiele mówił o Wilnie. Że tęskni za nim, chciałby czasem złożyć kwiaty na grobie żony, czułby się bliżej zmarłego nie wiedzieć gdzie młodszego syna. Praca na kolei też mu tam bardziej odpowiadała. Tu jakoś inaczej, ciasno ludzka zbieranina, ani zamarzyć o tak zgranej kompani jak jego dawna brygada na dworcu towarowym.

- Obiecują, że dostanie zezwolenie na pół roku. Ciotka już przysłała staremu pismo, że zapewnia mu utrzymanie na czas pobytu. Ale ojciec przypuszcza, że potrafi zarobić, jeszcze jej pomoże... Mówi, że wróci, ale mnie się wydaje, że gdyby uzyskał zezwolenie na stały pobyt, już bym go więcej w Polsce nie widział. - Uśmiechnął się Wiktor bardzo smutno.

Tego wieczora przyglądałem się Piotrowi z wielkim współczuciem. Jakże go boleśnie musiało dotknąć aresztowanie Wiktora, jeśli się tak załamał. Runęły jego marzenia, to wielkie zaufanie do Polski Ludowej, z którego się przecież md zwierzał, została tylko gmatwanina, poczucia własnej niepotrzebności. Pacuk zaś zawsze lubił czuć się potrzebnym.

I Wiktor tłamsił, coś w sobie, również jakby inny już człowiek.

A przy tym wszystkim nastrój w domu Pacuków nie był ponury, nie wyczuwało się w nim zgorzknienia: Nie od razu pojąłem, że była to zasługa matki Pacuka, a babki Wiktora. Ta staruszka robiła dobrą minę do nie najlepszej gry. I udawało się jej to, umiała rozruszać obu mężczyzn, oderwać od smutnych zamyśleń. I jednemu, i drugiemu oczy na jej widok zawsze rozbłyskiwały serdeczniej i cieplej. Przy niej zmieniali się, umiała wydobyć z nich nie fałszowaną pogodę.

Łaziliśmy z Wiktorem po mieście. Miałem wyrzuty, że przez dwa popołudnia nie poszedł z mojej przyczyny na lekcje. Śmiał się, łatwo je sobie nadrobi. Kino, małe piwo, nawet spacer na budowę Wiktora, blok mieszkalny, pierwsza większa inwestycja tego rodzaju w Słupsku. Odpoczywałem w tym domu, nawet cienie przeżyć tych ludzi zdawały się mnie omijać, nie ciążyły specjalnie. Siedem dni minęło, jak z bicza trzasnął. Jeszcze zatrzymywali, ale już było mi spieszno, pragnąłem odwiedzić też Tadeusza. Wiktor prosił o przekazanie od niego pozdrowień, nawet Pacuk rozchmurzył się nie po swojemu.

- Pozdrów go i ode mnie. Lubię tego Tadeusza, choć czasem mnie drażni. Zwłaszcza jeżeli ma rację. Ale nie mogłem wtedy pozwolić, żeby on z innych pozycji pakował się w krytykę partyjnych spraw. Dziś, to prawda, jesteśmy na równych prawach, wszyscy bezpartyjni. A o tych inteligentach to źle rozumiał. Nie o nim myślałem. W każdym razie nie zaszkodzi, jak to powiesz.

Po raz drugi zlecenie swoje przypomniał mi na odjeździe

Jasne, że przekazałem Tadeuszowi słowa Pacuka. Śmiał się, zawsze żywy na ten swój sposób, ruchem głowy odrzucał włosy do tyłu, powiedział, że lubi starego i że w końcu Piotr miał wtedy też nieco racji. Niezupełnie to zrozumiałem.

Przejął się za to Tadeusz historią Wiktora. Zwłaszcza że znał tego doktora Palczaka. Zetknął się z nim w Wilnie. W konspiracji doktor nie był szczególnie ważną figurą, zaczął wypływać na wierzch po wygnaniu Niemców, gdy skomplikowała się sytuacja, zapanowały sprzeczne opinie, każdy przeżywał jakieś wahania, co dalej robić. Doktor zdecydowanie opowiadał się za potrzebą dalszej walki, jak to określał, z drugim wrogiem, głosił kurs antyradziecki. Widocznie w Polsce *zaczai* go aktywnie realizować, a Wiktor miał pecha, że zetknął się z tym człowiekiem.

Zgadało się nam o Związku Radzieckim. Tadeusz na niejedno wyrzekął. Wtedy wypsnęło mi się coś o tym doktorze Palczaku, że w każdym razie był konsekwentny.

- Bałwaństwo, a nie konsekwencja - zaklął Tadeusz. - Nie ma innego wyjścia jak dobre stosunki z rosyjskim sąsiadem. Każde inne wyjście to samobójstwo. I dlatego doktor i jemu podobni to bałwani i szkodnicy. Żyją podsycaaniem kompleksów, rachubami na nową wojnę, zapominając, że dla nas taka wojna byłaby w każdym wypadku zagładą.

Zaklął mocno przy tej okazji, aż się zdziwiłem. Nawet w konspiracyjnej robocie nie bluzgał takim językiem. W tej chwili weszła pani Janina, usłyszała, zaśmiała się, pokiwała głową:

- Pewnie Tadzio znów walczy o morale Polski Ludowej... Będzie i na to czas, nagadacie się, teraz proszę na obiad.

Ale po obiedzie Tadeusz pognął ma wykłady w ogóle zdaje się, że trochę mu wszedłem w paradę, *bo* miał właśnie kilka dni wolnych i poświęcał je na zrobienie jakiegoś projektu dla politechniki. Żona jego śmiała się, mówiąc, że przynajmniej nie będziemy politykować, zastępować i rządu, i partii. Pytała o Losię i dzieciaki, o moje sprawy. Gdy wspomniałem, że chciałbym kupić coś moim na święta, klasnęła tylko w ręce, nie minęły dwie minuty, jak weszła ubrana, poganiając mnie, bym też się ubrał, pojedziemy do miasta f0bić zakupy. Powiedziała, że strasznie to lubi. Aż nogi mnie rozbolały, tak nałaziliśmy się po sklepach. Kupiłem więcej, niż zamierzałem, ale po tegorocznych zbiorach można sobie było pozwolić. Już się radowałem na myśl o uciesze Losi i małych.

Mieszkają Tadeuszostwo we Wrzeszczu, razem z jego ojcem. Nie zastałem starszego pana, pojechał do Warszawy na jakąś naradę, jest radcą w banku, stale go wzywają do ministerstwa. Mieszkanie dosyć wygodne, ale ciasnawe, pokoiki maleńkie. Są z nich jednak zadowoleni, trudno o mieszkanie w jednym z najbardziej zniszczonych miast w tej wojnie.

Dużo się robi, odbudowuje stare dzielnice i planuje nowe. To wszystko pokazał mi następnego przedpołudnia Tadeusz. Niczym w porównaniu była łązega z jego żoną, teraz wypruwałem z siebie naprawdę ostatni dech. Wędrowaliśmy z miejsca na miejsce, pomiędzy ruinami i po placach budowy. Na Starym Mieście nasłuchałem się o historii Gdańska, we Wrzeszczu o planach zabudowy na przyszłość. Jest już w opracowaniu generalny plan perspektywiczny. Mnie się najwięcej podobały te domki starego Gdańska, które się teraz odbudowuje. Ulica Długa. Tadeusz pokazywał niemal każdy domek, mówił, jak się nazywa, jakie tam będą ozdoby, wzorowane na zachowanych szczątkach albo na fotografiach. Ale wnętrza są urządzone już nowoczesnie... Podziwiałem nie tylko jego znajomość tych spraw, ale zapał, jakieś ogromne przejęcie, gdy o tym mówił. Jakby nic innego już nie istniało poza tym na świecie... Zazdrościłem mu. Ten człowiek zawsze angażował się w coś całym sercem, spalał się w swoim zamiłowaniu. Myślę, że będzie z niego dobry architekt, mówi o murach jakby o kochanej kobiecie, jak matka o dziecku. A to chyba konieczne, żeby mogło powstać coś naprawdę pięknego. Wdzięczny byłem mu za ten Gdańsk, sam bym ani dziesiątej części nie potrafił zobaczyć, nie mówiąc już o tych wszystkich cudёнkach, których się nasłuchałem.

Pojechaliśmy na Westerplatte. Widziałem również budynek poczty, gdzie się Polacy bronili w trzydziestym dziewiątym. Motława, spichrze, nawet motorówką się przejechaliśmy.

Oczywiście spóźniliśmy się na obiad. Pani Janina tylko pogroziła nam palcem. Ona jest strasznie miła. Obiecała, że w najbliższe lato zajrzą do nas na pewno. I Losię od niej mam ucałować serdecznie, uściskać Tadziusia i Kaśkę. Bardzo mnie tym wzruszyła.

Ale reszta czasu tak jakoś się zesła, że mało mówiliśmy z Tadeuszem o ogólnych sprawach. Nie miałem zresztą na to wielkiej ochoty, dość tego było już u Wiktora. Tyle że gdy zacząłem się nieco uzalać na psujące się na wsi stosunki, Tadeusz przestraszył mnie zapowiedzią, że będzie jeszcze trudniej. Zmiana kursu w polityce rolnej nie przejdzie łatwo. Tym bardziej że na dole, na szczeblu powiatu, a co dopiero gminy czy gromady, do reszty wypaczą ją różni gorliwcy. Trzymać się, jakoś próbować sobie radzić. Zresztą przy zmianach zawsze najostrzej jest na początku, potem rozpęd stępieje, stanie się łatwiej...

Dosyć ponuro widział Tadeusz najbliższy czas, nie tylko na wsi. Określał to szerzej: brakiem zaufania do człowieka. Sprawa Wiktora była dla niego dodatkowym przykładem. Ale rad mi żadnych nie dawał. Najpewniej nie widział ich... Myślę też, że zbyt był zajęty swoją nauką, ciągle przy niej przebywał myślami, na inne problemy już mu nie starczało ochoty.

Wyjeżdżałem wzruszony serdecznością Tadeuszosstwa. Co tu kryć, trochę obawiałem się tej wizyty, przychodziło mi na myśl, że stanę się im w Gdańsku zawadą, wstydzicie się będą prostego chłopca, niby grzeczni, tęsknić będą za moim odjazdem. Tymczasem wszystko to

było szczere, nie mogło być udawane, Tadeusz nie potrafiłby nawet udawać, lubił nazywać wszystko po imieniu.

Dobrze, że zdobyłem się na tę podróż, takie przewietrzenie się jest potrzebne. Zetknąłem się z nie najweselszymi sprawami, tak w Słupsku, jak w Gdańsku, ale jedno wyczuwałem i u Tadeuszów, i u Pacuków, że choć narzeka się, znajduje się zarazem uspokojenie i radość w tym, co w Polsce się robi. Wiktor myśli, czyby nie jechać do Nowej Huty, imponuje mu rozmach tej budowy. Tadeusz o świecie zapomina wśród murów Starego Miasta, o porcie czy stoczni mówi jak o rodzonym bracie. Jedni i drudzy po uszy ugrzęźli w odbudowie kraju, a te inne sprawy dlatego ich tak jątrzą i boją, że w jakiś sposób hamują rozpęd naprawdę w Polsce chyba dotąd nie znany. I znów myślę o sobie. A ja? Czy te moje ule, inspekty, szkółka drzew owocowych, dobre zbiory pszenicy, czy też staje się to jakimś wkładem, jest czymś więcej niż tylko moim prywatnym interesem zwyczajnym samolubstwem, i tyle? Ale co mam robić i jak? Gdzie podziąć moje pragnienie działania?

Ze strachem patrzę, jak biegną lata. Mocno siwieję, skronie zupełnie już pobielają. Losia mówi, że mi z tym ładniej. Może... Nie zmienia to faktu, że coraz mocniej tkwię już w tej drugiej połowie życia.

Boże Narodzenie, zawsze ktoś gości u nas. Tym razem zaprosiliśmy Władka z matką. Siostra jego wyszła za mąż, już na dobre osiadła w miasteczku. Miły był wieczór, spokojny. Dzieciaki brykały, Władek wpadł w uroczysty nastrój, matka jego wciąż ocierała łzy, nie wiem, jakie wspomnienia tak ją wzruszyły. Najlepiej czuł się Zenek. Otrzymał kilka dni urlopu. Chłopak szczęśliwy, skończył się już okres rekrucki, przeniesiono go do innej formacji, gdy się okazało, że zna nieco mechanikę. Jest w jednostce pancерnej, uczy się w szkole mechanicznej dla przyszłych podoficerów. Pytam, czy zamierza zawodowo pozostać w wojsku. Nie zdecydował się jeszcze, wzrusza ramionami. Zatem i on się jakoś urządził.

Trochę podle się czuję. Gdy wracałem z Gdańska, do Sątopów miałem tylko nocne połączenie, na autobus trzeba by czekać do rana, nie uśmiechał mi się pobyt w brudnej i zimnej poczekalni. Pieszko pomaszerowałem do domu. Rozpadał się z nagłą deszcz, ostry, zaciany wiatrem. Pochłodziło. Przemokłem do cna, mimo szybkiego kroku zmarzłem, ostatnie kilometry drogi ledwie się wlokłem, szczękając zębami. Maliny, herbata z wódką, kwiat lipowy, pomogło niby, ale ciągle się jeszcze czuję zziębnięty, dreszcze przebiegają po krzyżu, ogólne osłabienie. Dzień Nowego Roku w jakimś niewesołym nastroju, najpewniej z tego niedobrego samopoczucia. O Mejsutach myślałem serdecznie i bardzo żałośnie, przypominały mi się też wszystkie lata na ziemi mazurskiej, od dni w chacie nad jeziorem, wśród lęku przed napadami band rabunkowych, w niepewności, co będzie jutro. Dziś już

inaczej., zasiedzieliśmy się, rok miniony był pierwszym, kiedy zaczęliśmy się po trosze opierać. Nie pamiętam tak dobrych plonów, można byłaby żyć spokojnie, ale niepokoją wieści z zewnątrz. Ta spółdzielczość - wielka niewiadoma, ten krzyk o kułakach diabli wiedzą, czy i mnie nie zechcą do nich zaliczyć, te narastające podatki, jakieś domiary, nie wiedzieć za co, wszystko to straszy, przy tym moja odporność zmalała, zaczynam się martwić na zapas.

Poprawiło mi się ze zdrowiem, znowu mocniej się czuję, czasem tylko piersi uciska jakiś ciężar. Ale to drobiazg. W końcu i tak nigdy nie spodziewałbym się po sobie tych sił, jakie wykazałem na zagospodarowywaniu nowizny.

Zenek już odjechał, w przeddzień pohulał w miasteczku. Jacyś dwaj towarzysze odprowadzili go nad ranem pijaniuteńskiego, zataczając się pomaszerowali później z powrotem.

Mróz ścisnął twardo, zaglądałem dzisiaj do uli, czy dobrze pszczołki moje zabezpieczone. Nic się im złego nie dzieje. Myślę przez zimę jeszcze kilka tali zmajstrować, przy rojeniu będą potrzebne. Ale więcej niż dwadzieścia pni nie chciałbym mieć, i tak ledwie już radzę. Tadeusz tymczasem ciągle snuje jakieś zamachy na moją gospodarkę. Przy liście z życzeniami opłatek załączył, namawia, abym zbudował niewielką cieplarnię, mógłbym mieć trochę kwiatów na sprzedaż, a z wiosną podciągnąłbym wcześniej nowalie, opłacałoby się i do Olsztyna przesłać czy nawet do Gdańska... Uśmiecham się. W tych sprawach jest on dziecięco naiwny. I tak już wzięliśmy chyba za wielki rozpęd jak na nas dwoje. Byle upilnować dobrze tego, co się już ma...

Czekam wiosny, choć tak do niej daleko. Na jesieni sadiłem kłącza konwalii i fiołków, sporo tego, powinny zakwitnąć, jak zrobi się ciepło. W ogóle bylin kwiatowych warto więcej posadzić, weselej staje się wtedy..

Wiosna - to pięknie, ale dzisiaj dopiero piąty stycznia. Jutro Trzech Króli. Gdzieś musi być poświęcona kreda, znów wypiszę na drzwiach litery K + M + B. Żeby przed złem broniły w tym nowym, pięćdziesiątym roku, szóstym od końca wojny, od wyjazdu z Mejsut, od osiedlenia za gmaszyskiem ciągle pustego magazynu, między rzeczulką a gliniankami, z których Władek wyłowił już wszystkie szczupaki.

Nie wiem czemu, smutno mi od pierwszego dnia Nowego Roku. Wbrew właściwie wszystkiemu. Kaśka idzie do mnie, dosyć pisania, wgramoli się na kolana, zaczniemy zabawę, zaginie ten dziwny smutek. Chodź, Kasiu, chodź...

Jakbym czuł, że się przyplączę coś złego. Nadeszło pismo z prezydium, żeby się zgłosić dla wyjaśnienia spraw podatkowych. Zabrałem cały plik kwitów, poszedłem. Urzędnik długo marudził, młodziak taki, świński blondyn z zapryszczoną gębą. Wynalazł trzydzieści pięć złotych nie uregulowanych opłat stemplowych przy moim wniosku w sprawie szkółki, którą zakładałem dla Związku Zachodniego, a teraz muszę płacić od niej gruby podatek. Zapłaciłem łącznie z karą za zwłokę, niech mają. Szkołkę rozsprzedam jesienią do ostatniego drzewka, będzie przynajmniej spokój. O trzydzieści pięć złotych wzywać, szarpać człowieka, szlag by ich trafił. Ważny gówniarz, ledwie drapie piórem po papierze, ale gębę drze i z góry patrzy...

Po tej ceremonii płacenia powiada nagle, że mam iść jeszcze do sekretarza prezydium, Górnego, chce ze mną się widzieć. Zdziwiłem się, ale poszedłem na pierwsze piętro ratusza. Okazało się, że sekretarzem jest ten urzędnik z którym Zenek się upił i którego wyrzuciłem z domu na zbitą mordę. Teraz, po jakichś nowych zmianach, awansował na sekretarza prezydium.

Nakłąć się na Zenka nie mogę. Siedzi teraz spokojnie w wojsku, ani wie, jakiego piwa nawarzył swoją głupotą. Górny wie o moim związaniu z konspiracją i partyzantką AK w Wilnie. Zenek czemuś mu to powiedział przy wódce, pewnie chciał się szwagrem pochwalić. Teraz ja muszę pić kwaśne piwo...

Zaczął się grzecznie, tak ogólnie o wszystkim. Dlatego od razu wyczułem, że coś tutaj jest nie w porządku. Tamten i o podatkach, i o moich pszczołach, i o inspektach, o szkółce, o dziesięciu bekonach... Znał moją gospodarkę równie dobrze jak ja. Kiwałem głową aż do chwili, gdy odezwał się mniej więcej tak:

- Od początku do końca kułak. Pewnie i spółdzielnia produkcyjna wam by się wcale nie uśmiechała?

Mówię, że skąd może wiedzieć, skoro nikt ze mną jeszcze na ten temat nie rozmawiał. Jak i to, że dobre gospodarowanie wcale nie ma nic wspólnego z kułactwem. Nikogo nie wyzyskuję, parobków nie trzymam, sam z żoną uprawiam ziemię. I właściwie o co chodzi, po co mnie tutaj wzywał?

Wtedy od razu bluzga mi w twarz: czemu się nie ujawniłem, że byłem w AK, czemu się kryję, naiwnie myśląc, że władza ludowa nie dowie się o tym? W Wilnie jak w Wilnie, choć i to ważne, ale tutaj też działałem przeciw Polsce, przechowywałem u siebie bandę, karmiłem ją i dostarczałem wiadomości. W czterdziestym szóstym roku.

Zastrzelił mnie tym. Musiałem się zrobić bardzo blady, nie od razu głos odzyskałem, by powiedzieć, że łże, że kłamstwo wszystko, a w ogóle jakim prawem minie wypytuje i

stawia zarzuty. Zaśmiał się tylko i powiedział, że prawem, jakie mu daje obywatelstwo Polski Ludowej, którą trzeba chronić przed wrogami takimi jak ja, co to nie ujawniają się wprowadzają w błąd Bezpieczeństwo, knują przeciw krajowi, w ogóle jedna taka bzdura za drugą. W końcu dodał, że się nie wyprę, świadkiem może być chociażby mój szwagier, porządny człowiek, który się brzydzi moim postępowaniem. Dlatego radził się nawet z nim, sekretarzem prezydium, co z tym wszystkim ma począć...

Jakby mnie kto oblał saganem ukropu. Zenek się radził? Zenek mógłby być taką świnią? Miałem do niego o niejedno pretensje, o to popijanie chociażby, ale czegoś podobnego nie potrafiłbym nigdy przypuścić. Po pijanemu chyba wygadał. Może w święta? Nad ranem dwóch jakichś przyprowadziło go nieprzytomnego. Może ten właśnie sekretarz?

Tak to miną wstrząsnęło, że się zagubiłem zupełnie. Jak ogłuszony słuchałem gadania Górnego. Chytrze mnie obstawiał. O tym i owym, wreszcie zaczął o swojej litości. *Ze* mu żal Losi i dzieci, przecież gdyby Bezpieczeństwo dowiedziało się prawdy, dostałbym wyrok na długie lata; z takimi przestępstwami nikt się nie cacka. W dodatku, że raz mi się udało już władze okłamać. Z tymi bandytami, którzy u mnie mieszkali...

Tutaj wróciła mi trochę przytomność, zaprotestowałem, w końcu wszystko wiadomo i niech przestanie mnie straszyć. Sami przyszli, siłą się wdarli, miałem może sam dawać głowę pod nóż. Zastrzeliliby jak psa, gdybym krok zrobił od domu.

- To czemuście się nie ujawnili, że byliście w tym bandyckim AK? - on znowu na to.

Tym ujawnieniem mnie złapał, podkreślił, że każdego obowiązywało, także i w stosunku do okresu okupacyjnego. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przecież i Tadeusz, i Wiktor nie mieli jasnego zdania w tej kwestii, z pewnych oficjalnych oświadczeń mogło wynikać, że w zasadzie ujawnienie obowiązywało tylko ludzi pozostających w podziemiu po wojnie. Ale z drugiej strony sama nawet sprawa Wiktora... przecież haczyli go o wileńskie kwestie.

Dopiero wylazło szydło z worka. Żałuje żony mojej i dzieci, mnie także mu szkoda, na pewno już zrozumiałem swój błąd. Ale on też się waha w sumieniu, jak ma postąpić, powinien wszak zameldować nie zwlekając, gdzie trzeba... Tak kołował, że sam się wyrwałem: niech milczy, już ja mu się potrafię odwdziaczyć. Oburzył się, ale chodził ciągle koło tego tematu. Wreszcie, że ręka rękę myje, podziwia moją zaradność i gospodarność, pewnie, potrzebni tacy gospodarze, ostatecznie z kułactwem, jeżeli najmniej siły nie trzymam, nie jest talk źle... A żadnej wdzięczności nie trzeba; za kogo go mam? On tylko z dobrego serca, po ludzku, za nic. Pewnie, ma swoje kłopoty, kto ich nie ma, pożyczkę musi spłacić, są jeszcze inne zobowiązania. Jeśli już jestem łaskaw, tak po przyjacielsku, niech mu

pożyczę osiem tysięcy. Rzecz jasna, niedługo odda... A w ogóle chciał mnie tylko nastraszyć, stare dzieje, co tam do nich powracać. Więc spuścimy na tamto zasłonę. On tylko ostrzega, żeby o tym wszystkim być cicho, Zenek niepotrzebnie gada, całe szczęście, że właśnie na niego trafiło...

Stało, że za trzy - dni przyniosę mu te osiem tysięcy złotych. Pożyczka na wieczne nieoddanie. Trzeba głową pokręcić, skąd wziąć pieniądze. Pożyczę tymczasem od Władka, ma w gotówce, potem mu zwrócę. Było się na tym skończyło. Zenek - zupełny, okazuje się, gówniarz - plecie po pijanemu, co ślina na język przyniesie. Bo chyba nienaumyślnie to zrobił. Ani się teraz wywiedzieć. W liście do wojska nie będę o tym pisał, diabli zaś wiedzą, kiedy on znów dostanie urlop. Nie wiem także, czy Losi powiedzieć wszystko, czy tylko w części, nie wspominać o Zenku. Ona tak wierzy chłopcu, może dlatego, że to jedyny ktoś jej bliski z rodziny.

Dawno nie byłem już podobnie zdenerwowany. Losia to widzi, spogląda na mnie spokojnie, czeka, aż się z nią podzielę wiadomościami o tym, co zaszło. No tak, o Zenku nie wspomnę, ale resztę, niech wie. Będzie płacz, ale nic nie poradzę. Myślałem, nastał już spokój. Okazało się, będzie się wlec za mną to AK. Najlepiej było siedzieć cicho przez całą wojnę, bimbrem handlować i zgarniać dolary. Ci, którzy tak robili, mają dziś spokój, o nic ich głowa nie boli. Odechciało mi się wszystkiego. Marzec na nosie, a ja patrzę po gospodarstwie jakby po czymś obcym, nie moim. Nie ma co, doczekałem się.

Zaniosłem dzisiaj pieniądze sekretarzowi rady narodowej naszego miasteczka. Nie licząc zgarnął paczkę banknotów prosto do kieszeni sportowej marynarki. Usiłował być życzliwy i przyjemny. Powiedział, że nie muszę się przejmować, od niego nic na pewno nie wyjdzie, kamień w wodę. Kto z nas nie ma z młodości jakichś przewinień? Nikt by na wolności nie został, gdyby zechcieć tak wszystkich karać. Za pożyczkę jest wdzięczny, zwróci przy najbliższej okazji, umie ocenić moją przyjacielską pomoc w trudnej dla niego sytuacji. My, na wsi, musimy się popierać wzajemnie, inaczej by zjedli nas w kaszy...

Z dziesięć minut opowiadał takie bajki. Mnie zaś trzęsło ze złości. Boże, jaką miałem ochotę zbić ten uśmiechnięty pysk.

Później się trochę uspokoiłem. Było nie było, już przynajmniej ma zatkana gębę. Oby się tylko na tym skończyło.

Znów mam żołądkowe bóleści, pewnie ze zdenerwowania ostatnich tygodni. W gazecie czytam, że we Wrocławskim już wiosna, pojawiły się pierwsze kwiaty. U nas tu zima na całego, mróz, śniegu jeszcze nic nie ubyło.

Kaśka zachorowała. Ma gorączkę, na policzkach czerwone rumieńce, nic nie je, piłaby

tylko i piła. Trochę próbuje ją Losia podleczać, gdyby do jutra nie było poprawy, trzeba będzie wołać lekarza. Jaka szkoda, że doktor Czeladzin nie żyje.

Tadziuś siedzi przy małej, pilnuje. Gdy Kaśka zasypia, cichutko czyta sobie książeczki. Do szkoły chłopak oczywiście nie chodzi, tych kilka dni przerwy szkody mu nie zrobi. I tak jest najlepszy w klasie.

Żeby tylko z Kaśką nie było nic poważnego. Patrząc na to rozgorączkowane maleństwo i czuję, jak bardzo je kocham. Może dlatego, że taka przylepka, ma już ponad cztery latka, a zawsze mi się na kolana gramoli. Głosik dźwięczny jak ptaszka jakiegoś. I te oczka czarne, zawsze połyskujące. Męczy się teraz, biedactwo.

Z Kaśką niedobrze. Był doktor, wczoraj przyjść nie mógł. Dziś też zjawił się dopiero późnym wieczorem. Dziecko nie spało, rozgorączkowane, patrzy na nas nieprzytomnymi oczyma, lśnią się jakby węgliki. Wydaje się nie poznawać nikogo z nas. Doktor, młody jakiś, za młody, uspokaja, że to nic groźnego, angina, ostre zaziębienie, a gorączka wielka, to tak zawsze u dzieci.

Od razu pojechałem do apteki. Rano mam do szpitala dać znać, czy nastąpiła jakaś zmiana.

Nic nie robiłem dzisiaj poza koniecznymi obrządkami przy bydle. Siedzę przy łóżeczku Kaśki. Strasznie mi jej żal. Usteczka ma spieczoną, zwilżam je co chwila. Takie to biedne, straszliwie bezradne.

Pogorszyło się, z samego rana pojechałem do szpitala. Doktor już był. Wsunąłem mu do kieszeni kopertę, w niej pół tysiąca. Zgarnął jakby nigdy nic. Ale teraz zrobił się szybszy. Nie minęło pół godziny, wracaliśmy do nas karetką pogotowia.

Gdy obejrzał małą, nie był już taki pewny siebie jak wczoraj. Zdecydował: natychmiast do szpitala. Więc znów do miasteczka, tym razem z Kaśką. Losia podetknęła mi pieniądze, zrozumiałem. Więc znowu lekarzowi, już bez koperty, prosto w kieszeń. Niech zajmuje się tylko dziewczynką, niech robi, co jest możliwe. Bardzo się boję. Dziecko nieprzytomne.

Zaszedłem także do dyrektora szpitala. Z kopertą. I siostrom szpitalnym zapowiedziałem, że jutro dostaną ode mnie prezenty, nie można o nikim zapomnieć. Wiele słyszy się o tym naszym szpitalu. Nowy dyrektor, ale stosunki stare albo i jeszcze gorsze. Każdy ciągnie do siebie. To nie okres doktora Czeladzina.

Głupstwo, dam wszystko, byle Kaśka mi wyzdrowiała. Losia od zmysłów odchodzi.

Od rana w szpitalu. Kaśka ma zapalenie opon mózgowych, stan bardzo ciężki. Doktor nie ma wesołej miny. Mówił o jakichś zagranicznych lekarstwach. Znowu tysiąc złotych. Głupstwo, byle mi dziecko uratowali.

Losia ledwie przytomna. Jak zawsze w biedzie, jest przy nas Władek. On właściwie zajmuje się gospodarstwem. Ja cały dzień tkwię w miasteczku, krążę koło szpitala. Wypytyuję i płacę na Wszystkie strony. Byłem w kościele, modliłem się, zamówiłem mszę na intencję Kaśki. Żebyż dobry Bóg dopomógł!

Siódmy dzień choroby. Lekarze nie próbują mnie nawet pocieszać. Ten młody powiedział dzisiaj, że cud może tylko uratować dziewczynkę.

Z daleka tylko, od progu, pozwolili mi spojrzeć na małą. Rozgorączkowana, leży spokojnie, jakby nieżywa. I tylko powieki zadrgają czasami nad tymi czarnymi oczkami.

Boże, nie dopuść, by stało się to najgorsze!

Kaśka nasza zmarła o godzinie piątej nad ranem. Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie.

Żyła cztery lata i cztery miesiące. Dzisiaj, dwudziestego dziewiątego marca, był pogrzeb. Wypadło na śnieżną zadymkę. Dęło nam prosto w twarz, zbijało z nóg.

Myśleć nawet o niczym nie mogę. Pogrzebem zajmował się głównie Władek. Nie wiem, czy sam bym poradził, żeby jego nie było.

Losia zemdląła dziś przed wyjazdem z domu. Mnie też niewiele brakuje.

Patrzę na datę ostatniego zapisu. W dzień pogrzebu naszej Kaśki. A teraz już ósmy sierpnia. Ile to miesięcy minęło zupełnie jakby wyrwanych z życia. Rozumiem już, co znaczy poruszać się jak automat. Tak jest ze mną. Orzę, sieję, koszę, zwożę do stodoły, młócę, ani myśląc o tej robocie. Inspekta zapuszczone, pierwszy raz nie miałem w tym roku rozsady, a ludzie cinęli się po nią jak nigdy, musieli odchodzić z kwitkiem. W szkółce też nieporządek, chwast się tam mocno pleni, ziemia nie zruszona, skamieniała na amen. Wiem, ale i siły mi brak, i ochoty, aby to zmienić. Tylko pszczołami zająłem się jak zawsze, może dlatego, że Kaśka je tak bardzo lubiła, nie bała się ich, a i one nigdy jej nie ucięły. Lipy pięknie kwitły w tym roku, miodu pełne plasty. Rok temu bardzo bym się tym cieszył, a teraz?

Niby już nie boli tak ostro jak przedtem, przytłumiło się, ale dokucza, ćmi, trudno o znalezienie swojego miejsca. I nic nie pomagają żadne uspokajania, że trudno, naprzeciw losu nie pójdziesz, trzeba przeboleć, i dalej żyć. Pewnie, żyję, mam przecież tych moich dwoje: Losię i Tadiusia. Muszę dbać o nich, ale to nie przygłusza we mnie strasznej tęsknoty i żalu

za małą. Czasem nie mogę uwierzyć, że naprawdę jej nie ma, że odeszła, leży na cmentarzyku miasteczkowym. I my już tam mamy swój grób. Roik trzeba odczekać, dopiero dam zrobić skromny nagrobek, koniecznie biały. Tymczasem kwiaty tam rosna, zmieniamy je, zawsze niech będzie ładnie i kolorowo. Kaśka kwiaty tak bardzo lubiła, całe ich pęki znosiła z pola i łąki.

Są listy do Pacuków i Tadeusza, czekają na odpowiedź. Zupełnie mi się nie śpieszy. Dałem im tylko znać, że Kaśka zmarła. A wszystkie inne sprawy stały się dla mnie dalekie i obce.

Różne gadania idą pomiędzy ludźmi, ani ich słucham. Podatki w tym roku mocno podwyższyli, mnie wyraźnie traktują w prezydium jako kułaka, stąd i miara ostrzejsza. Zapłaciłem, co się będę wyklócał.

Przed tygodniem, późno wieczorem, ciemno już było, nagle przyjechał motocyklem mocno podpity Górny. Po trzy tysiące złotych pożyczki. Tyle tylko i miałem. Odjechał zadowolony. Zatem nie koniec, jak myślałem z początkiem roku. Będzie mnie teraz doł.

Zenek dał znać, że przyjeżdża, dostał tydzień urlopu. Na pogrzeb Kaśki go nie ściągaliśmy, byłoby tylko zamieszanie. Teraz będę mu musiał wygarnąć za paplaninę przed sekretarzem. Zawsze się bałem miasteczkowych wypraw Zenka, okazało się, że słusznie. Inna rzecz, że i to mnie jakoś niewiele obchodzi, zobojeźniało.

Diagnoza lekarska przyczyny śmierci Kaśki: zapalenie opon mózgowych na tle gruźliczym. Bardzo mnie to zaniepokoiło, zaraz pojechałem z Tadzusiem na prześwietlenie. Wszystko w porządku. Odetchnąłem choć tutaj.

Ze mną nie najlepiej. Czuję się bardzo słaby, ociężały, niechętny do roboty. Ale to najpewniej w związku z tymi przejściami. A może żołądek? Zdarzają się czasem nawroty bólów. Nic, przejdzie.

Miałem ochotę samemu prześwietlić się wtedy, gdy był rentgen Tadzusia. Ale właśnie zabrakło im klisz. Trzeba o tym pomyśleć. Coś mi przychodzi na myśl przedwojenne odczucia. Podobne zupełnie nachodziły mnie wtedy okresy ociężałości, niechęci do wszystkiego. Nie daj Boże, by wróciła choroba. Boję się myśleć o czymś takim. Boję się nawet próbnym badań. Gdy zabrakło klisz, odczułem coś w rodzaju zadowolenia.

Z Zenkiem porozmawiałem od serca. Chłopak wygadał się po prostu z głupoty. Tak jak przypuszczałem, pragnął zaimponować szwagrem. Przerażony był rezultatami. Zrywał się, by pędzić do prezydium i stłuc sekretarza po głbie. Ledwie go powstrzymałem. Nie dałoby to żadnego efektu, świadków nie mam, że tamten wymusza ode mnie łapówki. Zenek zaś miałby do czynienia z żandarmerią. W końcu chłopak omal się nie rozplakał, straszliwie był

przygnębiony.

Jakby mi chciał wynagrodzić te przejścia i straty, z zapalem zajął się podorywką, skosił resztkę jęczmienia, oczyścił z chwastów i spulchnił grunt w szkółce. Oglądałem przy okazji drzewka, doskonale się rozrosły, jesienią można już je będzie wysadzać na grunt. Tadiusz proponuje, żeby cały teren naszej ziemi obsadzić jabłunkami. Można by, zbytniego zacienienia by nie było. Lepsze są śliwy, wiśnie chociażby, ale przecież nie będę ich kupował, a na zakładanie nowej szkółki nie mam ani sił, ani ochoty.

Wiktor zaprasza, żebym do nich przyjechał. Uczy się i pracuje. Stary Pacuk od maja w Wilnie, pojechał do siostry. Ma zezwolenie na półroczny pobyt. Raz tylko pisał, dojechał szczęśliwie, spaceruje po ulicach, przygląda się miastu od nowa.

Zamysliłem się nad tymi słowami Wiktora. Czy miałbym ochotę pojechać do Mejsut? I tak, i nie. Już nawet na myśl mi nie przychodzi, bym mógł tam kiedy powrócić na stałe. Trudno przyszłoby się odrywać od tej gospodarki mazurskiej. Tyle się tutaj włożyło wysiłku, pięć lat pracy, jakiej równej nie znałem w życiu. Opierzyliśmy się już, gdyby nie choroba Kaśki i jej śmierć, a także gdyby nie ten łobuz z prezydium, który mocno podszarpnął nam kiesę, nie wiedzielibyśmy teraz, co to gotówkowe kłopoty. Przywiązałem się już do poszumu rzeczułki, do chybkich płotek przemykających pod osłoną nadbrzeżnych krzaków czy podłużnych sylwetek kielbi wiercących się w piaszczystych płycznach. Ciągnie mnie nad gliniankę porosłą gęsto sitowiem i trzcina z koczującymi w niej kaczkami i kurką wodną. Nawet ta gliniasta, trudna w uprawie, ale i wdzięczna w plonach gleba stała się bardzo bliska sercu... W miasteczku grób maleńkiej, kochanej Kaśki. Nie ma tygodnia, bym nie zajrzał z parę razy. To już swojskie, serdeczne, bliskie. A znów Mejsuty? Też kochane, z pamięcią wszelkiego dobrego i złego, z jakim tam się spotykałem. Też rzeka, wielki las, znajomi ludzie albo chociaż, ich pamięć. Też cmentarz i groby rodziców. Jakby się przepołowiło w człowieku, tu szmat serca, ale i tam go także nie ma. Więc jakże tani jechać, choćby w odwiedziny? Żle bym się czuł, jakby zagubiony na jakimś rozdrożu. Pewnie popłakałbym się pod dziką gruszą na polu, jeżeli tam nadal stoi. Ale wtedy pamiętałbym podobny płacz swój pod inną gruszą, już na tej ziemi, nad jeziorem przy wiosce, która pierwsza nas przygarnęła z repatrianckiego transportu.

Nie ciągnie mnie talki wyjazd. Wolę być tutaj, a do Mejsut wracać jedynie tęskną pamięcią. Może i dobrze, że pamięć tak ma do czego się odwoływać w chwilach, gdy człowiekowi jest źle bardzo i smutno. Z tego się zradza później uspokojenie.

Ciągle nie mogę się pozbierać po śmierci Kaśki. Śni mi się często, maleńka, z tymi

błyskającymi czarnymi oczkami, gramoli mi się na kolana, uśmiecha się, przylepeczka. Losia jakoś prędzej przeboleła, pogodziła się z losem, radzi sobie z gospodarką, mnie wyręcza. Bo i ze zdrowiem szwankuję, ciągle te żołądkowe historie, sodę kupuję kilogramami. Jeszcze to osłabienie, nużące, odbierające do wszystkiego ochotę. Z rzadka tylko powraca energia, wtedy zrywam się, staram się nadrobić zaległości. Bo już nie idzie mi wszystko tak gładko jak w uprzednich latach.

Dziwnie mało zrobiłem się odporny. Sekretarz przyprawia mię o jakieś wisielcze nastroje. Ciągłe nachodzi. A to mu tysiąc złotych, a to chociażby pięćset, na przepicie na pewno. Daję, bo nie pomagają tłumaczenia, że już naprawdę nie mam i ciągnę ostatkami. Zaraz wyłazi z AK, z nieujawnieniem, przytacza przykłady, kogo i na ile podobno wsadzili za takie coś. Znow denerwuję się zatrzymaniem motoru na szosie przed naszym domem, niepokoi mnie byle skrzyp drzwi, obce kroki... Powiedziałem Władkowi o tych niepokojach, ale o Górnym zmilczałem. Władek jest kapany w gorącej wodzie, jeszcze by wynikła nowa bieda. Niepokoje wyśmiał, mówiąc, że nikt mnie nie będzie ruszał, w końcu nie taki znow jestem groźny. Czasem taka kpina pomaga, tym razem na bardzo krótko, i znow ciągle muszę się czymś przejmować i denerwować. Znow się stałem odludkiem. Może to i dobrze, jakoś nie najweselej zrobiło się w Polsce: z jednej strony potężne osiągnięcia, nowe fabryki i kopalnie, odbudowuje się dużo, po sklepach sądząc, zmniejszają się braki w zaopatrzeniu, trochę więcej pieniędzy trafia do ludzi, choć pensje nadal są biedne. Ale zarazem na wsi trwa ostry kurs, cisną nas podatkami, coraz to jakieś nowe wezwania przychodzą, płacić trzeba i płacić albo oddawać w naturze. W gazetach niemało o zakładaniu nowych spółdzielni produkcyjnych. Wielkie słowa, entuzjazm, radość, ale kto wie, jak dużo w tym prawdy. W tej wiosce niedaleko nas też powstała spółdzielnia produkcyjna; gdy niedawno odstawili zboże, jechali sznurem furmanek, z chorągiewkami, w kwiatkach, niby bardzo ochoczo, ale miny mieli niewyraźne. Kilku naprawdę chciało tej spółdzielni, reszta zgodziła się na odczepne. Gospodarują wspólnie, idzie to jakoś, ale nienadzwyczajnie, nie ma w ludziach ochoty. Po mojemu to trzeba inaczej. Jeśli nie wszyscy się zgadzają, to wydzielić z wioski część ziemi dla ochotników, albo pozbierać ich z paru miejscowości, dopomóc, ułatwić. Niech dają dobry przykład. To tylko mogłoby innych zachęcić. Skoro wszakże jak dotąd głównie na gadaniu o przyszłych cudach rzecz polega, to taka droga daleko nie zaprowadzi.

Mniejsza o spółdzielnie. W ogóle ludzie zrobili się niemrawi, nie tylko ja jeden. Każdy przycichł, stara się trzymać tylko własnego domu, unika zajmowania się ogólnymi sprawami. To niedobrze, w ten sposób załamuje się w ludziach ochotę do wspólnych czynów, wygasza się zapał.

Każdy, przypuszczam, ma jakiś powód swojego lęku. U mnie łączy się on z tym sekretarzem prezydium, z jego groźbami. W dodatku trafiło to na okres po śmierci Kaśki, gdy jakoś oklapłem, wyżyłem się swojej energii. Przez tego człowieka pogrążam się coraz bardziej. Do wielu rzeczy w ogóle się nie biorę. „Czy warto - myślę - jeżeli mam na niego pracować, znów wpychać w śliską łapę pieniądze, które coraz trudniej przychodzą?” Już mi parę razy przyływała do głowy myśl, by zaryzykować, raz kozie śmierć, pójść do milicji albo - jeszcze lepiej - do powiatowego prokuratora, zameldować, co robi Górny. Że będę musiał powiedzieć o AK i swoim nieujawnieniu, to trudno, niech mnie karzą. Może to w końcu lepsze niż ciągle żyć w strachu, że pewnego dnia nie będę miał dla łobuza pieniędzy i skończy się na meldunku z jego strony. Teraz miałbym na swoją obronę choć to, że sam się zgłosiłem.

Dziwna myśl dzisiaj mnie nawiedziła. Było to w trakcie kopania kartofli; koniec września, czas już, tu wcześniej spadają przymrozki, nie warto wyczekiwać aż na październik. Tym bardziej, że kartofle ładne, dobrze obrodziły.

Kopaliśmy jak zawsze najbliższą kompanią. Banasiakowie i Ukraińcy, Władek i my. Dobrze nam szło, jeszcze ciepło, sucho, nawet ja sam się rozgadałem, mniej się trapiłem moimi biedami.

Władek, jak zawsze, wypruwał z siebie żyły. On inaczej nie potrafi pracować, inaczej też nie postawiłby tak dobrze swej gospodarki. Przyszedł z próżnymi rękami, nie miał dosłownie nic. W porównaniu ze mną była to ostateczna bieda. Ani konia, ani wozu, ani krowy, owcę kupił na początek, parę kwok matka jego posadziła na jajach. Poradził. Jego także zaliczają do kułaków, bo jakże, tyle mieć ogonów w oborze, tafcie plony z hektara. Żeby był leń i wałkoń, źle ziemię uprawiał, obchodził się jedną krową i jakąś wyleniała chabetę, toby roztkliwiano się nad nimi jak nad biedakiem, umarzano by podatki, udzielano pożyczek.

Ale nie o tym chciałem, tylko o Władku i Losi. Złapałem kilka razy, jak on na nią popatruje spode łba, z ukosa, jak jej nadskakuje, śpieszy z pomocą; niby taki był zawsze, ale teraz robi to jakoś inaczej. Czyżby on w Losi się podkochiwał? Śmieszne, ale kto wie. Unika kobiet, ani razu nie widziałem go z żadną dziewczyną, w końcu jest młody, ma trzydziestkę, aż dziw chwilami, że go wola boża nie ponosi... Zazartowałem któregoś wieczoru, mówię Losi, że ma tu admiranta, Władek oblizuje się spoglądając na nią. Speszyla się, zaczerwieniła, zapomniała języka w gębie. Dopiero po chwili mówi, że i jej na to wygląda. Niby nic Władek nie mówił, ale kobieta zawsze wyczuje. Nawet miała ochotę porozmawiać ze mną na ten

temat. Bo po co ma ten porządny chłopak robić sobie jakieś nadzieje? Nic u niej nie zyska, to pewne. Może oziębic stosunki, radzić sobie bez jego pomocy, unikać spotkań...! Chwilę i ja tak sądziłem, ale potem mówię, że nie, ostatecznie zależy najwięcej od Losi, by go czymś nie zechciała przypadkowo ośmielić. Bo on również najpewniej niczego złego nie myśli, po prostu nudno mu w domu, ciąży samotność, cóż, tylko ta stara matka, więc rwie się do ludzi. Jest nieśmiały, nie pijus, za spódnicami nie umie latać, dlatego garnie się do nas. Niech sobie przychodzi, byłoby go trudno odsunąć, tyle razy okazał się wszakże prawdziwym przyjacielem...

Nie wiem, czy słusznie postanowiłem. Coś, prawda, zakłuło mnie w sercu. Z drugiej strony uczułem jakby zadowolenie, że Losia może się tak podobać. Myślę też o tym, że Władek to naprawdę teraz jedyny przyjaciel. Zostalibyśmy zupełnie już sami. Z resztą sąsiadów utrzymujemy dobre stosunki, ale nic więcej nas z sobą nie łączy.

Inna sprawa, że może się to nam w końcu tylko wydaje. Po cóż Władkowi zakochiwać się ni stąd, ni zowąd w mężatce, gdzie nie ma żadnej nadziei, skoro na taką partię jak on niejedna panna zlakomi się z wielką ochotą? Najwidoczniej dużo mam czasu, skoro muszę już wymyślać i takie historie.

Trochę wcześniej rodził się już we mnie ten zamiar, ale nie byłem zdecydowany. Trudno wiązał się nam teraz koniec z końcem, może więc nie było mądrze odrzucać okazji sporego zarobku. Przeważył sekretarz, już choćby dlatego, żeby draniowi spłatać filga, warto rzecz przeprowadzić. Figę będzie miał z moich drzewek. Trochę mi się robiło przykro. Ofiarowałem tę szkółkę wtedy Polskiemu Związkowi Zachodniemu, obiecanej pomocy niewiele miałem, sam pracowałem przy niej. Niemniej jednak przeznaczałem ją na dobro ogólne. A teraz sprzedawać?

Zasiadłem z ołówkiem. Obliczyłem kosztą. Potem zsumowałem te drzewka, które zasadzę u siebie, te, które dam w prezencie Władkowi, także najbliższym sąsiadom. Zostawało jeszcze sporo nad tysiąc sztuk.

Resztę oddaję. Naradziłem się z członkami dawnego zarządu, którzy jeszcze byli w miasteczku. Każdy mówił, że to moja własność i mogę nią rozporządzać, jak chcę. Tutaj więc nie było oporów. Nie wiedziałem jedynie, do kogo się zgłosić z tą sprawą. Do przewodniczącego prezydium najpewniej nie, zaraz by się podzielił nowiną z Górnym, jeszcze by zapragnęli zrobić na tym interes. Przyszło mi wreszcie do głowy, żeby pójść z tym do komitetu miejskiego partii, do pierwszego sekretarza.

No i poszedłem. Trochę mi sekretarka robiła wstręty, że towarzysz Kulski bardzo

zajęty, w końcu jednak zgłosiła. Niestary to jeszcze człowiek, suchy w, obejściu i oczy ma ogromnie zmęczone, aż litość bierze patrzeć. Pyta, w czym rzecz.

Opowiadam, jak było z tą szkółką. Że przeszła potem na moją własność, podatki z niej opłacałem, pielęgnowałem, zamierzałem sprzedać drzewka jesienią, ale się rozmyśliłem. Miały być na obsadzenie dróg, na założenie sadów w gospodarstwach naszej gminy, niech tak zatem zostanie. Ofiarowuję tysiąc szczepów jabłoni. Stawiam jednakże warunki, muszę mieć gwarancję, że zostaną one rozdzielone bezpłatnie, a gdyby za pieniądze, to na jakiś społeczny cel, choćby i na Czerwony Krzyż. Nie mogą się drzewka zmarnować, więc ktoś musiałby przejąć opiekę nad akcją sadzenia, zwłaszcza przy drogach. To dużo roboty: wymierzać, doły kapać, podlewać z początku...

Sekretarz słuchał, wytrzeszczał te smutne oczy, wreszcie wstał, wziął mnie za ramiona, pyta, czy nie jestem chory, czy dobrze myślę, czy w ogóle prawda z tą całą szkółką, bo on jest tutaj niecały rok, nic o tym nie słyszał. Nie mógł uwierzyć. Aż dopiero się rozweselił. Dziękował mi, obiecał zająć się sprawą, zorganizować rozdział szczepów i kontrolę nad ich sadzeniem. Pyta jeszcze, czy to pilne; mówię: najlepiej w ciągu tygodnia, dwóch, żeby się drzewka dobrze przyjęły przed zimą.

Umówiliśmy się, że przyjdę za dwa dni, zostanie spisany uroczyste akt darowizny.

Zadowolony wróciłem do domu. Ciągle miałem przed oczyma minę Górnego, jak to drań będzie się wściekał. Gdybyż to wiedział jeszcze, że sam mnie naprowadził na ten pomysł! Przyjechał przed tygodniem, w dzień, zupełnie trzeźwy, czegoś zmartwiony. Starał się być przyjacielski, łaziliśmy po gospodarstwie, napomykał o miód, wreszcie, gdy przystanęliśmy przy szkółce, pyta o drzewka, co z nimi, czy będę sprzedawał, wiele to może być warte. Aż mu oczy się zaświeciły. Wtedy pomyślałem: „Czekaj, łobuzie, ja ci pokażę wartość”. Dostał pół wiadra miodu, jeszcze pięć stówek w kieszeń, więcej nie chciał tym razem, zresztą i tak bym mu nie dał, grosza poza tym w domu nie było. Pojechał, ciągle się oglądając na szkółkę.

Zobaczymy, jak to rozwinie się dalej. Losia trochę się krzywi. Władek popukał się w czoło. Za podarowane mu drzewka podziękował, jutro je zabierze, od razu weźmie się do sadzenia. Już - to on jest prędko w robocie. Widziałem przed wieczorem, kopał doły, woził w nie kompost, rozrabiał glinę, by w takiej papce maczać korzenie przed sadzeniem. Mało tego, zapowiedział, że w podzięce za dar posadzi także i moje drzewka. Tadiusz usłyszał i prosi, żeby obsadzić dookoła nasz kawałek ziemi. Niech będzie, niech ma chłopak uciechę.

Za głupotę się płaci. Tak powiedział dziś Władek, przejęty moją historią, bezradny jak

ja. Po kolei jednak zapiszę, tyle tego, zagubić się można.

Na trzeci dzień po wizycie u sekretarza partii przysłała do mnie jakaś komisja rolna z rady narodowej. Zrobili dokładne oględziny gospodarstwa, obeszlili całe pole, wtykali nos, gdzie tylko mogli. Ile jest uli? Jakie mam korzyści z inspektów? A dlaczego owiec trzymam dwadzieścia sztuk? A skąd ten motor do przetaczania wody? A ile drzewek naprawdę jest w szkółce? A to, a tamto... Kwity podatkowe musiałem im pokazać, obliczaliśmy wspólnie, ile jeszcze jest zboża nie zmlóconego, gdzie dostałem otręby, skąd sól bydłęca, mało brakło, w garnki Losi by zaglądali... Jeszcze niczego nie pojmowałem, choć mi już w głowie świeciło: czy to nie w związku z tymi szczepkami?

Potem nadeszło wezwanie na milicję. Spotkałem tam wszystkich obecnych w miasteczku członków dawnego zarządu Związku Zachodniego. Ale na przesłuchania wzywali nas pojedynczo. Ja, oczywiście, odpowiadałem najdłużej. Jak było ze szkółką? Jeżeli miała stanowić własność PZZ, z jakiej racji nie została przekazana przy likwidacji organizacji? Jakim prawem nią dysponuję? Wszakże przy zakładaniu brali udział członkowie koła... Wszyscy zeznawali tak samo.

No, tak, wiedziałem już dobrze, w czym rzecz. Ładnie mi się przysłużył sekretarz partii. Licho mnie skusiło tam iść, bawić się w społecznika. Losia zapłakana, boi się, żeby nie został aresztowany. Bo to co wiadomo?

Bo i drugi raz musiałem iść na milicję. Tam się jakoś bardzo interesowano już nie szkółką, ale moją osobą. Skąd przyjechałem? kiedy? a co tam w Mejsutach robiłem? a jaki był mój stosunek do okupanta? a czy tutaj nie współdziałałem z PSL-em? a czemu się tak zaktywizowałem w Związku Zachodnim? dlaczego nie należę do partii? a skąd stać mnie na tyle bydła, świń, owiec? a kto mi dał pieniądze na zakup uli? a jak zdobyłem gotówkę na inspekty? Nie było końca. Skończyłem, to oni od nowa. A co w Wilnie? w Mejsutach? a czy byłem w konspiracji? a może w partyzantce? a tutaj czy nie miałem znośnię z bandami? a to i tamto. Bardzo się przejęli, gdy powiedziałem, że w czterdziestym szóstym roku zostałem aresztowany i przez tydzień siedziałem w powiatowym areszcie w związku z zajęciem mojego domu przez jedenastu ludzi z podziemia. Dziesięć razy musiałem opisywać tę sprawę.

W domu kolejna nowina: jakaś komisja w towarzystwie milicjanta nałożyła sekwestr na szkółkę. Policzyli wszystkie szczepy, ustawili tabliczki; zajęte przez państwo, nie wolno niczego ruszać... Władek z jednego rad, że nie mogą już ugryźć tych drzewek, które on zasadził u siebie i na naszej ziemi, dobrze też, że Banasiakowi i Ukraincowi daliśmy po dwadzieścia szczepów.

Nie wiem, co będzie jutro. Znów przesłuchania. Czy może coś jeszcze gorszego?

Losia przygotowała paczkę z bielizną, gdyby co, mam wkładać cieplejsze ubranie, mocne buty, albo to co wiadomo?

Siedzę teraz z głową pełną ponurych myśli. Chyba tym razem oduczą mnie już na zawsze gorliwości społecznej. Jeżeli w ogóle uda się wyjść z tego obronną ręką. Swoją drogą mam wielki żal do sekretarza partii. Tyle się pisze w gazetach o zaufaniu do tego czołowego oddziału klasy robotniczej, o potrzebie współdziałania...

Spróbowałem i dostałem, że ani się pozbierać.

Na dodatek czuję się niedobrze, osłabiony, chwilami aż mi ziemia wiruje pod nogami, znów wzmogły się kurcze w brzuchu, zgaga, szczęście, że chociaż soda pomaga. W kieszeni mam zawsze dużą torebkę, gdyby aresztowali mnie, starczyłoby na jakiś czas.

15 października. Tydzień minął i spokój. Nic. Nie wzywają mnie, nikt się nie zjawia. Tylko przy szkółce sterczą tabliczki sekwstru. Napis chemicznym ołówkiem, rozmazane litery, deszcz padał, zamoczył.

Tadeusz pisze, że zamierza zajrzeć do mnie na kilka dni. Ma tydzień wolny, tyle mu zostało z urlopu. Już po dyplomie, uzyskał tytuł inżyniera architekta. Bardzo się cieszy, snuje różne projekty, przyjedzie, to mi opowie. Janina, niestety, nie otrzyma zwolnienia z biura, więc tylko śle pozdrowienia...

Cieszę się i boję zarazem. Może lepiej, żeby w tym czasie Tadeusz tu nie przyjeżdżał? Licho wie, co jeszcze może wyniknąć, przyczepią się do niego, zaczną wypytywać, co, jak, dlaczego. Więc może zawiadomić, niech zrezygnuje z przyjazdu, nim się wyjaśni ta dziwna sprawa? Chociaż z drugiej strony warto może, żeby z bliska zobaczył, jak mnie traktują, jaką podzięką odpłacają za dobre serce... Nie wiem, zostawię decyzję do jutra, na łapucapu nie warto postanawiać niczego.

Samochód na szosie. Jakby zwalniał. Trzeba chować te moje zapiski... Nie, przejechał, pognął do miasteczka. Znów czegoś się boję, nie mogę opanować tego uczucia.

Jednak wyszli z tego z honorem. Dzisiaj, właśnie wyrzucałem gnój z obory, żeby go potem wywozić na pole, nadjechała Pobjeda. Przyjechał sekretarz partii razem z przewodniczącym rady narodowej. Wstyd mi było, że taki zapaćkany w krowieńcu i brudny. Prosiłem, niech siadają w mieszkaniu, trochę się tylko ogarnę... Myłem się, przebierałem, a w głowie jakby tabun koni mi hasał. Jeśli takie grube ryłby zjawiają się u mnie, to albo zupełnie już źle, albo się obróciło wszystko na dobre. Tego dobrego najmniej co prawda się spodziewałem...

Sekretarz zaczął od przeprosin. Że z jego winy to wszystko. Po moim wyjściu, gdy zgłosiłem się z tymi drzewkami, ciągle nie mógł uwierzyć, żeby ktoś dobrowolnie robił podobną ofiarę, taki gest dla ogólnej sprawy. Poleciał więc komuś, żeby bliżej się o mnie wywiedzieć. W końcu partia nie może lekkomyślnie przyjmować wszystkiego za dobrą monetę. A nuż kryłbym coś za swym darem, zamierzał uzyskać przyzwolenie oka władzy na jakieś ciemne sprawy... Tymczasem wszystko poszło inaczej. Jakiś instruktor zaczął węszyć, poleciał do rady narodowej, tam mu coś szepnięto, pognął do milicji, tam znów mną się zainteresowano, jedni i drudzy się przestraszyli, że może coś przeoczyli, i tak już to poszło. Na domiar złego sekretarz pojechał do województwa na plenum, potrwało to ze trzy dni. Dopiero po powrocie dowiedział się szczegółów. Zaraz zapoznał się z uzyskanymi materiałami, nakazał przerwać szykany, tak się wyraził, zabrał towarzysza burmistrza i przyjechał, alby mnie najmocniej przeprosić... Żebym źle nie myślał o partii, o władzy, o nim jako o sekretarzu... Kiwałem głową, rad, że tak się to wszystko kończy. Co miałem mówić? Człowiek już przygotowany był na najgorsze.

Tymczasem niespodzianka. Jak to zawsze z babami, nic nie wiadomo. Losia słyszała wszystko, zagotowało się w niej, podskoczy do przodu, tuż przed gości, i jak nie zacznie wygarniać. To oni teraz mnie proszą, żebym ja źle nie myślał, gładko im ciepłe słówka przychodzą, ale zapominają, ile to nas kosztuje. Łzy, niepokój, bałagan w gospodarstwie, strach, moja choroba, przecież od nerwów pogorszyły się moje żołądkowe historie... Ludzie wokoło się śmieją, mówią, że jedyne to cicho dziś siedzieć, nie wychylać się z niczym. Dwa tygodnie jak wyrwane z życia, a teras tylko gładkie przeproszenie, i koniec. Tym wy Polski nie zbudujecie, strachem i nieufnością. Jedni po nocach przyjeżdżają, łapówek chcą, inni we dnie straszą, ani kroku zrobić nie można. Czemu tak wszędzie wrogów wietrzycie? szukacie ich pośród porządnych ludzi? Sami swoich pilnujcie, łajdaków, pijusów, łapówkarzy, innych zostawcie w spokoju, którzy niczego więcej nie pragną jak tylko, by żyć spokojnie...

I jeszcze wiele im wykrzyczała, ani spamiętać. Ja strasznie się zląkłem, że ona o tych łapówkach. Dobrze, że nie wymieniła Górnego. I tak był kłopot, zapytywali później, o kim to mowa. Zbyłem. Babskie gadanie, kiedyś się coś takiego zdarzyło, nie ma już tych ludzi w miasteczku.

Bajem się, że dopiero rozzłoszczą się, zacznie się zabawa od nowa. Burmistrz sczerwieniał, poderwał się, gębę otworzył do krzyku, ale sekretarz szarpnął go za ramię, nakazał spokój. A potem, gdy Losia zadyszała się tak, że już i słowa nie mogła powiedzieć, bardzo ją przeprosił, powiedział, że ją rozumie, że to skutek tego niewłaściwego postępowania, więc niech tak źle wszystkiego nie widzi, zobaczy sama, jak on, sekretarz,

usunie teraz nasze zmartwienie. Uspokoił Losię, jakoś tak po ludzku mówił, i w tych smutnych, zmęczonych oczach było wiele dobrego.

A potem zabrali mnie ze sobą Pobiedą. Strasznie stary grat jazgotał i trząś się, szofer powiedział, że ma już ponad dwieście tysięcy kilometrów za sobą, po generalnym, ale nadal w nim wiele nawala... W miasteczku wszyscy się oglądali, gdy tak razem wysiadaliśmy przed ratuszem. Wskoczył sekretarz prezydium, zobaczył mnie z nimi, schował się galopem, jakby go co sparzyło. Wtedy pomyślałem, czy to on ze złości nie narobił całego tego rabanu, nie podszeptał czego złego w milicji czy w partii. W prezydium spisaliśmy akt darowizny: tysiąc szczepów dla dobra miasteczka. Zaraz też wystawiono mi podziękowanie, z pieczęciami, a jakże. Ustaliliśmy na koniec, że w ciągu tygodnia zorganizują, może na następną niedzielę, społeczną akcję sadzenia drzewek.. Przedtem wszystko przygotowują, wymierzą, musi być rzecz dobrze przygotowana. Po tym wszystkim odprowadzili mnie, kazali odwieźć Pobiedą, z fasonem, wszyscy dokoła się oglądali, a komendant milicji, który właśnie przechodził, aż przystanął, salutując mi jakby jakiemu generałowi. W duchu to jednak musiał być wściekły. Wyobrażam sobie, jak oberwali wszyscy od sekretarza partii.

Obróciło się zatem na dobre. Inna sprawa, że jak ognia będę unikał teraz wszelkich pomysłów społecznych. Lepiej byłoby sprzedać drzewka, miałbym pieniądze i obeszloby się bez przykrości. Czas najwyższy, by te zachcianki społeczne wypaliły się we mnie bez reszty. Za drogo w końcu kosztują.

Jest Tadeusz. Zmizerowany, wybladł, znać, że solidnie pracował. Inżynier architekt. Dopiął swego. Zawsze osiągał to, czego pragnął, inna sprawa, że nie żałując siebie. Bardzo rad, więcej, szczęśliwy z tego dyplomu. Szczęśliwy z bardzo różnych powodów.

- Widzisz, Paweł - powiedział - to nie tylko jakieś zamocowanie się w życiu, konkretny fach w ręku, możliwość zabezpieczenia rodziny. To dla mnie coś znacznie więcej. Kochani architekturę, dla mnie budowlane obiekty, tak zabytki, jak najbardziej nowoczesne koncepcje, to nie martwe bryły, to coś żywego, coś, w czym można doszukiwać się duszy twórcy, jego myśli pragnień. Zaczynałem kiedyś od prawa, dziś bym zadusił się na pewno w martwych formułach. W architekturze będę mógł się wyżywać, pozostanę sobą... Dzisiaj niełatwo jest być sobą, pozostawać w zgodzie ze swoim wyobrażeniem świata. Wierzę, że w moim zawodzie będę mógł tworzyć coś konkretnego, w coś, przelewać to, co wyraża mnie samego. Rozumiesz, Paweł?

Rozumiałem i na nowo zazdrościłem. Bo czemu to ja dałem się zepchnąć na margines, stałem się popychadłem przypadków, wahadłem rozhuśtywanym przez innych? Zły wybór,

przekleństwo chłopskiego losu, od którego można się tylko wtedy oderwać, jeśli się oderwie od ziemi, w tym najdosłowniejszym sensie: od uprawiania jej i zmuszania do owocowania.

Powiedziałem mu to. Poszerzyłem ukazując tło moich kłopotów. Bardzo uważnie słuchał, powiedział, że musi to dokładnie przemyśleć, czy naprawdę nie znajdzie się wyjścia. Pokazałem mu wtedy na skronie, na pasma siwizny na głowie. Już nie te lata, żeby wariacko próbować ryzyka przestawienia swojego życia.

Przyjechał w piątek. W niedzielę razem poszliśmy na tę akcję sadzenia szczepów moich jabłonek. Przemyślano rzecz dobrze: obsadzić wszystkie wylotowe drogi z miasteczka, otoczyć je kwitnącymi z wiosną jabłonią, jesienią mieć dodatkowy dochód dla miejskiego budżetu. Gorzej było z przygotowaniem. Nie wszędzie wymierzono odległości między drzewkami, nie przygotowano dołów, sadzono też byle jak, nadłamując korzenie, płytko, na zeskalonym gruncie. Złościło mnie to, choć muszę przyznać, nie dawano mi na to złośczenie się czasu. Sekretarz i burmistrz cackali się ze mną jak z jajkiem, fotograf robił zdjęcia, na początku była nawet uroczysta mówka, wskazanie na rolę mojego czynu, na potrzebę piękna naszych dróg, burmistrz czytał to z kartki, zacinał się czasem, musiało niewyraźnie być napisane. Niech tam. Rad byłem, że jednak stanęło na moim, że się skończyły te przesłuchania, że w końcu drzewka się przyjmą, będą rosły, a ja idąc drogą będę się cieszył, że moja praca nie poszła na marne.

Tadeusz przejął się bardzo moim gestem, jak to nazywał. Wspominał przy tym szczerze, że nie wie, czy sam by się na taki zdobył. Wiem, że nieprawda, że dużo wspólnie przeżyliśmy, ale mówił to, żeby mi zrobić przyjemność. Za to ulżył sobie w mocnych słowach, gdy opowiadałem, jak próbowano mnie zrobić. Gdyby nie sekretarz, może bym siedział dzisiaj w więzieniu.

Przywiózł ze sobą słońce. Koniec października, a piecze jak w lipcu. W koszulach tylko siedzieliśmy przy kamiennym stole koło pasieki. Pszczołki pracowały bez chwili spoczynku, jakby rozumiejąc; że to ostatni czas przed zimą. Przyjemnie, tego dnia nie miałem ani kurczów żołądka, ani mnie zgaga nie piekła. Opanowywał mnie spokój, wzbierała zachwiana już wiara w życie.

Nie byłby sobą ten mój inżynier architekt, gdyby ciągle czegoś nie działał. Siłą prawie zaciągnął mnie do szpitala, sam rozmawiał z lekarzem. Chodziło o te bóle żołądka. Przez dwa dni tak łaziliśmy, trzeba było zrobić analizy. Okazało się: nadkwasota i najprawdopodobniej wrzody żołądka. Najlepiej byłoby zlikwidować sprawę operacyjnie. Można spróbować leczenia dietą i lekami. Dieta nie bardzo mi odpowiada, na tych kaszkach nie pociągnę długo z robotą, ale jeżeli nie ma innego wyjścia, jak tylko pójść pod nóż, to jednak

posłucham, będę się opychał owsianką i manną. Za trzy miesiące mam się zgłosić na nowe badania, gdyby zaś nie następowała poprawa, to wcześniej jestem zdecydowany na operację..:

Tadeusz obiecał, że postara mi się w Gdańsku o zagraniczne środki. Marynarze przywożą podobno wiele lekarstw, można je potem kupować u różnych handlarzy.

Wdzięczny jestem Tadeuszowi. Sam nie wiem, kiedy bym wybrał się do lekarza. A tak może skończy się udreki; nabiorę od nowa sił.

Byliśmy na cmentarzu. Tadeusz kupił u ogrodnika piękne kwiaty, zostały na grobie Kaśki. Strasznie mi zawsze smutno, gdy wspomnę moją malutką...

Jutro Tadeusz wyjeżdża. A dzisiaj, przed paru godzinami, znów się pojawił mój prześladowca, sekretarz z prezydium. Podpity był. Wywołał mnie z domu. Losia ręce załamała, zajęczała, że na żebry pójdziemy... Obeszło się tym razem pięciuset złotymi. Przy okazji Tadeusz dowiedział się o wszystkim. Uprzednio nic mu nie wspominałem, wstyd mi, że przez głupotę Zenka tak się dałem opętać temu draniowi.

Nie zgadzał się ze mną. Mówił, że trzeba zdobyć się na odwagę, złożyć meldunek milicji, a najlepiej to pojechać do powiatu, wyjaśnić sprawę przed prokuratorem. Nie działałem przeciw Polsce Ludowej, więc nie mam się czego obawiać. Szkoda tylko, że nie ma świadków, Losia jako członek rodziny nie wchodzi w rachubę. Ale on, Tadeusz, może potwierdzić, że widział, jak ten Górny przyjeżdżał, jak wychodziłem do niego. Dodałem, że i Władek też może potwierdzić. Ale nikt nie widział, jak tamten brał ode mnie pieniądze. Wyprze się, powie że w innych sprawach się zjawił, po zakup miodu. I co mu zrobię?

Trochę mnie skołował, sam nie wiem, co robić. Przecież nieraz myślałem, że nie można zezwolić, żebym stracił wszystko przez tego łajdaka. Ale jeżeli przyczepią się do nieujawnienia? Żeby z deszczu nie wpaść pod rynnę!

Z okazji wyjazdu wypiliśmy trochę. Tadeusz odradzał, powiedziałem, że od następnego dnia przechodzę na dietę, a teraz nie daruję okazji. Ale piło się jakoś smutno.

Przebrała się miarka. Zdobyłem się na decyzję. Pojechałem do powiatu, wyłożyłem wszystko prokuratorowi, kawę na ławę. Niech będzie, co ma być, nie dam się więcej łupić. Drań taki, niedługo święta, więc się zdecydował urządzić je moim kosztem. Zażądał pięciu tysięcy. Podpity był, jak to on zawsze, groził jak jeszcze nigdy, że wszystko wyjawia, zgniję w więzieniu. Ja też rozłościłem się, powiedziałem, że nie mam tyle, że przez niego świecę już gołą dupą, nie mogę rodziny puścić na żebry, bo niedługo dojdzie do tego. Zaczął więc

zaklinać się, że to ostatni raz, potem zostawi mnie już w spokoju, ale teraz koniecznie potrzebuje pieniędzy. W końcu strzeliło mi do głowy z tym prokuratorem, przypomniałem sobie namowy Tadeusza. Mówię łobuzowi, że wcześniej jak za trzy dni nie będę mógł zdobyć tyle gotówki. Krzywił się, ale się zgodził, przyjdzie za trzy dni wieczorem.

To było wczoraj. Dziś rano pojechałem do powiatu. Opowiedziałem całą prawdę. Także o AK. Prokurator pytał, kiedy to było. Gdy nadmieniłem, że jeszcze w Wilnie, machnął ręką. Więcej już wypytywał o tych jedenastu, którzy mieszkali u mnie przez pięć dni, mruknął, że zajrzy do akt, wszakże byłem przesłuchiwany przez Bezpieczeństwo. Głównie wypytywał o tego łapówkarza, szantażystę, jak go nazywał. Skrzyczał mnie, że dawno już trzeba było tu przyjść, a nie dawać się wysysać. Czy mnie żony i dziecka nie żal? Zapisywał sumy, jakie dawałem, zebrało się już blisko dwadzieścia tysięcy. Pytał, czy są świadkowie. Potem zastanawiał się, chodząc po gabinecie. Wreszcie nakazał mi, żebym przygotował te pięć tysięcy, najlepiej w grubych banknotach, i żebym zapisał sobie numery. Potem mam to wręczyć Górnemu, a reszta do nich będzie należeć.

Pieniądze już mam. Trochę było swoich, resztę znów wziąłem od Władka. Wtajemniczyłem go we wszystko, razem spisywaliśmy numery. Pojutrze przyjdzie ten cholerny łapownik, dam mu kopertę, zobaczymy, jak się to wszystko potoczy dalej.

Denerwuję się, zawsze wtedy jest gorzej z żołądkiem. Kaszki nie pomagają. Doktor mówił, żeby unikać sody, przepisał pigułki. Słabiej działają, ale przynoszą ulgę.

Wracając z powiatu wysiadłem przed miasteczkiem, nie chciałem, żeby mnie Górny dostrzegł z okien ratusza, nużby się czegoś domyślił oglądałem sadzone niedawno jabłonki. Większość przyjęła się, na tej drodze przynajmniej. Piętnaście sztuk ktoś jednak połamał, nie wiem, dzieci jakieś czy ktoś ze starszych, może pijany. Szkoda, już się na pewno ich nie odsądzi, a tak byłoby ładnie, gdyby rosły potem nieprzerwanym sznurem po obu stronach drogi.

Stało się, aresztowali sekretarza prezydium. Ostro się do niego zabrali. Zaraz na drugi dzień po wręczeniu pieniędzy. Kartkę z numerami otrzymali ode mnie, zgadzało się, tak mi powiedział komendant milicji. Straszne zdziwienie w miasteczku, tego nikt by się nie spodziewał. Facet ostro się stawiał, ale nie dali mu gadać. Zabrali go od razu do aresztu w powiecie. Ktoś mówił, że i inne jakieś sprawki mają mu udowodniać.

Przynajmniej święta będą spokojne.

Wiktor przysłał list, życzenia, trochę wiadomości o sobie. Pracuje i uczy się. Ojciec rzadko odzywa się z Wilna, nic nie wiadomo, jakie ma dalsze zamiary.

Zaprasza mnie serdecznie, bym przyjechał do Słupska. Kto wie, jeżeli mi się trochę poprawi ze zdrowiem, może w styczniu ruszę z domu. O Gdańsk bym zawadził.

Do Władka też nadszedł list od jakiejś Niemki z NRF. Ciekawe, że zna dokładnie jego nazwisko i imię. Pisze, że Władek ma opiekować się jej gospodarstwem, podaje nawet szczegółowe wskazówki, co robić i jak. Jeżeli jej posłucha, to po powrocie Niemców ona nie będzie go krzywdzić, a nawet zostawi u siebie, żeby jej dalej pomagał... Władek wściekał się z początku, potem zaśmiewaliśmy się obaj. Ci Niemcy żyją chyba na innym świecie i jeżeli mogą im marzyć się jeszcze takie bzdury. Inna sprawa, że bezczelni to oni są. Dokuczałem Władkowi, że ma się grzecznie sprawować, bo chlebobdawczyni będzie się gniewać na niego. Jakoś pogodnie minął ten wieczór.

Święta. Nowy Rok. Pierwszy raz we trójkę, bez Kaśki. Bardzo było nam wszystkim ciężko. Nawet nie śpiewaliśmy kolęd. Władka z matką na Wigilię także nie zaprosiliśmy. Łykając łyzy spoglądaliśmy na tradycyjny dodatkowy talerz. Zazwyczaj stał jako piąty. Zdawało mi się chwilami, że to wszystko nieprawda, co się zdarzyło, zaraz zasiądzie tu Kaśka, będzie ślepić czarnymi oczkami i prosić o więcej ryby, którą tak bardzo lubiła... Ale Kaśka nasza na cmentarzu, śnieg przysypał teraz mogiłkę, ciepłutko jej pod nim, nie zmarznie...

Dzisiejszy dzień, noworoczny, też ciężko minął. Dobrze, że już się skończył. Jutro praca, jak normalnie, przy niej nie pamięta się tak boleśnie.

Znów mi Mejsuty stanęły przed oczyma jak żywe. Silne jednak są te stare uczucia i przywiązania w człowieku.

Zaczynamy zatem rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy. Dajże Bóg, by szczęśliwszy, nie tak tragiczny dla nas jak poprzedni. Może się wreszcie odmieni wszystko na dobre.

Styczeń przewalił się rozchlapany, deszcz na poły ze śniegiem, błoto, ani przejść suchą nogą. Ta pogoda sprawiła najpewniej, że zaraz po Trzech Królach znów się zwałem do łóżka, zaziębienie, grypa, długo z niej wychodziłem. Przy tym coraz więcej wspomnień z dawnych lat staje mi w pamięci. Ten nawrót gruźlicy podobnie wyglądał. Byle przeziębienie, już kładłem się do łóżka, a potem ślimaczyło się wszystko.

Zjawił się lekarz, ten sam młodzik, który leczył Kaśkę. Opukał, ostukał, wspomniałem mu o moich płucach, orzekł, że nic strasznego, tylko silne zaflegmienie. Muszę przyznać, że uczepliłem się tych jego słów jak pijany płotu. Straszliwie bałbym się nawrotu gruźlicy. Czyż mógłbym myśleć w tych warunkach o jakimś leczeniu, wyjeździe, cieplarnianym życiu?

Wtedy ojciec o wszystko się troskał, mogłem pływać jak pączek w maśle. Dzisiaj wszystko na mojej głowie.

Parę tygodni przeminęło, wstawałem, znów się pokładałem. Dobrze, że w domu i gospodarstwie jaki taki ład, żadnej większej roboty. Pocięcha też, że sekretarz prezydium więcej mi już niestraszny. Opowiadają ludzie, Władek znosi te wiadomości, że wyszły na jaw inne nadużycia w prezydium, nad sekretarzem zbiera się czarna chmura. Do mnie pofatygował się sam komendant, przepytował o dodatkowe szczegóły znoszeń z szantażystą, jak z satysfakcją nazywa tamtego. Najciekawsze, że w ogóle słowem nie odzywał się o AK, o nieujawnieniu, o tej grupie „leśnych”, którzy u mnie mieszkali. Czyżby to prokurator wydał mu takie zalecenie? Proces nie nastąpi wcześniej jak latem, dużo jeszcze różnych niejasnych spraw.

I tak przeskoczyło na luty, przesunęły się moje plany wyjazdu do Wiktora i Tadeusza. Dużo czytałem w tym czasie, trochę jakby uporządkowało się we łbie. Z partii przesłano mi wycinki z naszej powiatowej gazetki, sporo tam było o mnie, o darowiznie szczepków, słowa uznania, stawianie jako przykład. Ale już w „Gazecie Olsztyńskiej” zupełnie inaczej. Cały nacisk położono tam na inicjatywę komitetu partii w naszym miasteczku. Mimochodem tylko zaznaczono, że drzewka pochodziły ze społecznego daru... Pal licha, mnie o to nie chodzi, ale można by jakoś to ładniej, przecież nie hańba chyba, że chłop chce się przyczynić do upiększenia miasteczka i najbliższej okolicy.

Dopóki leżałem, kaszki i pigułki pomagały, mniej było kłopotów z bólami żołądka. Ledwie jednak zaczęła się codzienna harówka, wszystko wróciło od nowa. Drze w środku, jakby kto widłami tam orał. Już i soda nie zawsze pomaga. Do lekarza nie idę, z góry wiem, co mi powie, operacja. Jeżeliby nawet, trzeba z tym odczekać aż do następnej zimy. Gospodarki na łasce bożej nie zostawię przez lato.

Dotąd nie zwracałem na to uwagi. Dopiero dziwne spojrzenia Losi kazały mi przyjrzeć się w lusterku. Niewesoło wyglądam, zapadłe policzki, worki pod oczyma, plamy jakieś na twarzy. Siwych włosów też coraz więcej. Ostatni okres dorzucił mi chyba z dziesiątek lat.. Stałem się mało odporny. Prześladowają mnie różne myśli, ani się od nich opędzić, to też nie wpływa dobrze na zdrowie. Nie wiem czemu, męczy mnie uczucie jakiejś przegranej zagubienia się w życiu. Chciałbym działać, nie sprowadzać wszystkiego do gnoju wyrzucanego z obory, do ilości mleka z udoju. Nie jestem komunistą, nie dla mnie partia, ale chcę coś robić, dla wszystkich z całego serca. I co, miejsca dla mnie nie ma.

Pewnie, może w tym nie wszystko trzyma się kupy. Może mówi przeze mnie

zgorzkniałość, choroba, przejścia, nie zawinione lęki, własne zagubienie się. Ale coś prawdy wszakże też jest.

Płaczę, że mi za ciasna ta rola, chłopski dzisiejszy los. Szansę startu też bardziej na papierze niż w życiu. Nie chodzi o mnie, stary już jestem, ale o młodych. Zawsze ich biją ci z miasta, rówieśnicy, szerszy krąg spraw, z którymi się stykają od dziecka, poszerza ich inteligencję, spryt, zdolności. A i dalej, nauka niby bezpłatna, ale żyć w takim mieście chłopski syn musi, musi jeść, mieć coś dla siebie, trzeba w to pchać, nieraz Okrawając coraz to nowe rąbki i tak przykrótkiej koszuli... Cóż dopiero, gdy taki stary byk jak ja chciałby też coś uzyskać. W mieście każdy, tak lub inaczej, może się uczyć, nadrabiać braki. A tutaj?. Choćbym pragnął robić maturę, pociągnąć dalej niż te moje pięć klas, które, nie wiem, więcej pożytku przynosi czy szkody, zastawiając mnie jakimś nie dokończonym, ni to prostym chłopem, ni takim ćwierćinteligentem, więc choćbym zamierzał brnąć dalej, to jak? Zaocznie, na wieczorowych studiach dla dorosłych? Po pierwsze, nie wiem nawet, czy są takie możliwości, po drugie kiedy? - skoro świt cię zastaje na nogach, a późna noc też jeszcze nie widzi w łóżku. W fabrykach wiele poszło naprzód, ale na wsi ciągle jeszcze tak samo prawie wiek temu. Mówią, że spółdzielnie zaradzą. Nie Wiem, ale tam także niewiele jeszcze nowego, szarpią się starymi sposobami jak my. Albo ot, jest obok ziemia szkoły rolniczej, niby ma się prowadzić tutaj pokazową uprawę. Przedtem straszyla bałaganem i zaniedbaniem, teraz owszem, porządek, ale nic nie lepiej niż u okolicznego chłopa. Ja wynikami biję ich na wiele długości. Więc jak to właściwie jest?

Rozpisałem się, a jednocześnie ból narasta, wzmaga się, muszę znowu sięgnąć po sodę, pigułki zażyłem już trzy, nic nie pomogły. Co ze mną się dzieje? Żeby to nie zbliżało się szybkimi krokami coś złego. Jeszcze na mnie nie pora, choćby dla swoich za wiele mam do zdziałania. Chcę zaś, czy nie chcę, trzeba robić w tym gnoju, w glinie, od świtu do późnej nocy. Chłopski los, ani się z niego wyrwać. Może zresztą wyrwać się nawet nie trzeba, w tym losie trzeba szukać radości, spełnienia pragnień. Stawiam sobie Tadeusza za przykład, ale on w swoim kręgu pozostał, myślę o Wiktorze, ale on się robociarskiej doli swojej nie wyparł, więc czemu mnie ciągle drażni ta ziemia, moje z nią związanie, każdy przy niej spędzony dzień i każda zmęczona noc. Czy ja tu jestem winien, że zbyt wiele myślę?

Stało się. Teraz wiele pojmuję z moich niepokojów, ze stanu ciągłego podenerwowania i podniecenia, z grymaszeń i pretensji do wszystkich, tylko nie do samego siebie.

Przedwczoraj rzuciła mi się po młócce w stodole krew ustami. Ostry pył wdarł się w

płuca, nie wytrzymały, objawiły prawdę. I jeżeli z małym odcieniem nadziei poszedłem wczoraj do szpitala na przebadanie, to już tylko dla postawienia tej ostatecznej kropki. Sprawdziło się, gruźlica wróciła. Są kawerny, prątkuję.

Nie wiem, może to tamta kąpiel w gliniance, gdy ratowałem chłopaków, może przemoknięcie w nocnej drodze z Sątop do domu albo zmniejszona odporność przy zapaleniu płuc i chronicznych już zaziębeniach... Nieważne przyczyny, istotny skutek. Jedno mnie wszakże najbardziej przeraża. Kaśka zmarła na, zapalenie opon mózgowych na tle gruźliczym. Wiem już. Ode mnie ta gruźlica na nią spłynęła, pośrednio sam zawiniłem śmierci mojej maleńkiej ukochanej przylepki. Boże, jaka to ciężka świadomość.

W ogóle wszystko jasne. W styczniu czułem się bardzo źle, bo chlapa była na dworze, odwilż, mgły wciąż wisiały nad ziemią, powietrze stało ciężkie, ledwo nim można było oddychać. Gdy w lutym przyszły mrozy, odżyłem, od razu poczułem się lepiej, gdyby nie młócka, może po dziś bym nie wiedział, co ze mną się dzieje.

Dziś siedemnasty lutego. Trzeci raz nawrót gruźlicy. Czy wyjdę tym razem obronną ręką, czy też zacznie się powolne konanie? Trzeba mieć nadzieję. Trzeba. Choć trudno mi o nią.

Czuję się trochę mocniej. Co drugi dzień przyjeżdża rowerem pielęgniarka z zastrzykami wapna i jeszcze jakimiś innymi. Różnych pigułek łykam też do syta. Może to już objawia się ich działanie, stąd lepsze samopoczucie?

Władek nam bardzo pomaga. Przychodzi każdego dnia, bierze się do najcięższej roboty. On też wozi teraz mleko, zabierając każdego ranka Tadiusia do szkoły. Dziwny jest ten Władek, ja bym na jego miejscu nie okazał - chyba aż tyle serca przyjacielowi. Sam się śmieje, że robi teraz na dwóch gospodarstwach. Jak się okazuje, nie z samej przyjaźni, nareszcie znam prawdę, ale ta prawda wzrusza mnie może najwięcej.

Co tu wiele skrywać przed samym sobą? Nawet w tych zapiskach nie chciałem przyznawać się do tego, że wiem, jak bardzo ogląda się Władek na Losię. Był czas, obawiałem się, czy nie przyprawiają mi rogów. Gdybym się zawiódł na Losi, byłoby chyba najgorsze. W nią jednakże nie zwątpiłem tak naprawdę ani razu. Tylko coraz głupiej mi było przyjmować pomoc Władkową. Bo jeżeli on to czynił tylko dla Losi, może dla jakichś nadziei, to jakże ja wyglądałem, zdając sobie z tego sprawę i zarazem przyjmując tę pomoc?

Któregoś wieczoru siedzieliśmy z Władkiem gadając od niechcienia o różnych sprawach, wspominając poprzednie lata, czas, kiedy to życia nigdy nie było się jeszcze pewnym. Światła nie zapalaliśmy, przyjemniej było po ciemku, leniwiej. Losia poszła do

obory doić krowy. Tadziuś powłókł się razem z nią. Byliśmy sami w domu. Władek napomknął, że następnego dnia przyjdzie wyrzucić mierzwę i poukladać ją w przyzmy, niech się zagrzeje, pora okładać gnojem inspekty. Zakłuło mnie, spytałem go prosto, ale z takim samym leniwym spokojem, z jakim toczyła się cała dotychczasowa rozmowa, tylko we mnie, we wnętrzu, aż wrzeć coś zaczęło i zwijać się. Spytałem, czemu właściwie tak oni pomagają. Ani mu kiedy jakimkolwiek sposobem odpłacę, ani ma się za co wywdzięczać. Jakby go zaskoczyły moje słowa. Przysunął się na krzesło, oparł mocniej łokciami o stół. Ciemno było, nie widziałem jego oblicza, zaledwie jaśniejsza plama majaczyła przez mrok w tym miejscu, gdzie była jego twarz, ale przecież jawiła się ona przede mną tak dokładnie, że mógłbym określić każdy jej szczegół. Kanciasta, przybrana zawsze nieposłusznymi grzebieniowi, krótko ściętymi włosami, z odstającymi mocno uszami, z nosem mięsistym, lekko rozplaszczonym w nasadzie. Nie widząc, dostrzegłem, jak zwierają się jego szerokie usta, zawsze powtarzające ten ruch, gdy coś go zaskakiwało. Aż stół zaskrzypiał, gdy podnosząc głowę do góry wparł się w blat całym ciężarem. Bardzo spokojnie mówił, jeszcze spokojniej, niż ja zadałem mu to pytanie, ale wiedzieliśmy obaj, co się kryje pod tym zewnętrznym spokojem.

Powiedział Władek, że właściwie najwyższy czas, abyśmy więcej wiedzieli o sobie. Już kilka razy uczciwie chciał się ze mną rozmówić, ale ciągle mu brakło odwagi. Nie wiedział, jak ja rzecz przyjmę. Po biedzie młodości dorwał się tutaj do swojej ziemi. Ugrzązł w tej gospodarce bez reszty. Z nami jednymi się zbliżył. Przedtem, ot tak, zwyczajnie po sąsiedzku. A później, jeszcze gdy siostra odeszła, gdy z nerwową matką ciężko czasami było, w nas znalazł jakby rodzinę. Po Kaśce płakał jakby po własnym dziecku. Mnie lubi, lubi też Losię. Może nawet więcej, niż lubi. We mnie widzi jak gdyby brata, ale w Losi jednak coś więcej niż siostrę... Odsunął od siebie to uczucie, przyjaźnił się ze mną, nie wypadało. Losia też jakby wyczuwała, kilka razy dała znać, żeby na nic nie liczył, że w ogóle głupio się wybrał... A teraz jest skołowany, garnie się do nas, pomaga z serca tak mnie, jak Losi. Mogę być pewny, nigdy by mi świństwa nie zrobił, nigdy, już nie mówiąc o Losi, że ona by do niczego nie dopuściła. Ale w końcu jest mu głupio. I dlatego dobrze, że sam zacząłem. Mówi prawdę, niech wiem, jak jest, niech decyduje, czy ma się wynieść, nie pokazywać więcej, czy może nadal do nas zaglądać, być razem. My mu jesteśmy koniecznie potrzebni, na równi Losia, jak i ja. A właściwie to wszystko jakieś głupie, to jego zwariowany los, matka mu wypomina, ona coś widzi, coś czuje, niechby się zajął jakąś inną dziewczyną, dał pokój bzdurcom, pora na żeniączkę, nie na wzdychania i zaharowywanie się na cudzym... To cudze dla niego zupełnie jak swoje. I co tu począć? Niech ja zadecyduję...

Splótl w tej ciemności ręce, z chrzęstem wyłamywał palce ze stawów. Milczałem długo. Niby nie było to nowe, domyślałem się uczuć Władka, tyle że wyraźniej i jaśniej je teraz przedstawił. Wierzyłem mu, to nie było nieprawdą. Kochał się w Losi, ale i do mnie serdecznie był przywiązany. Jak się w nim to wszystko godziło, nie wiem, siebie czasem trudno wytłumaczyć przed samym sobą, coś dopiero innych. Teraz czekał odpowiedzi ode mnie. Spierały się we mnie pragnienia pokazania mu drzwi, na zawsze - co z tego, że i ja go serdecznie lubiłem, wiele mu zawdzięczałem, skoro śmie podkochać się w Losi? - i chęć pozostawienia nadal wszystkiego, jak było dotąd, bo chyba dalszych zmian przewidywać nie ma potrzeby. Zdecydowałem się wreszcie. Trochę nieswoim głosem powiedziałem, że mu wierzę i ufam, niechaj będzie, jak jest. Ale rejka moja, zdążająca do jego rąk leżących na stole, zatrzymała się nagle w połowie drogi, lęk jaki ścisnął za gardło. To była niełatwa chwila.

Władek siedział jeszcze jakiś czas, dopiero gdy z podwórza, od obory, dobiegły głosy wracających z udoju Losi i Tadziusia, podniósł się, nacisnął na łeb wymiętą cyklistówkę, w której wyglądał jak bandzior, szepnął że mi bardzo dziękuje, i poszedł. Mnie zaś zrobiło się czemuś bardzo smutno.

Teraz jest tak jak zazwyczaj. Władek przychodzi, siedzi w kuchni wygapiając się na Losię, to znów gadamy ze sobą, ale o innych zupełnie, już nie tych naszych najskrytszych sprawach. Pomaga nam nadal. Gdy mu ofiarowałem trzy ule z rojami, początkowo narobił gwałtu, nie chciał, potem przyjrzał mi się uważnie i zgodził się. Jakby uznał, że za tę jego robotę musi być zapłata, mimo wszystko być musi.

Ale rozwiązanie z tymi ulami przyszło mi na myśl dopiero później. Wiem na pewno, że przy tamtej rozmowie po ciemku sprawa pomocy Władka w gospodarce w ogóle nie powstała mi w głowie, jakby jej nie było. W mojej decyzji brakło tego rachunku. Dopiero później pojąłem, że w jakiś sposób powinienem odpłacać mu różnymi grzecznościami za pomoc. Dla jego dobra i dla mojego i Losi dobra. Zdaje się, że Władek też to zrozumiał.

Wiosna zwała się zwariowanie, prawie z dnia na dzień, nieomalże upałami. Zbiegły się wszystkie roboty. Ledwie sobie z nimi radziłem. Na szczęście orać mogłem, męczyłem się, ale brnąłem krok za krokiem wsparty w rączki pługa. Są jednak roboty, do których już nie mogę się brać. Trzeba mi było skosić mały kawałek łąki z niewysoką jeszcze trawą. Po paru ruchach ustałem. Odzywało się ostrym bólem w płucach, rwało tak, jakby obcęgami kto szarpał. Boję się myśleć, co będzie, gdy sianokosy nadejdą. Będę musiał wynająć ludzi.

W oknach mam tylko rozsadę. Losia przy niej więcej robi niż ja. Skończyły się, na

tymczasem przynajmniej, zabawy z ogórkami, z młodą sałatą czy rzodkiewką. Nad moje to siły.

Niedobrze ze mną, był nowy krwotok, na polu, nie tak silny jak pierwszy. W domu nawet nie wiedzą. Przeleżałem z godzinę na trawie, obmyłem się potem w rzeczce, i tyle. Otrzymuję nową serię zastrzyków, nowe pigułki, podobno takie specjalne przeciwgruźlicze, PAS. Czy pomogą?

Mimo to jakoś spokojniej żyję. Przedtem, bywało, jedna godzina nie mijała bez nerwów. Tyle lat szarpaniny, co mam robić ze swoją przynależnością wojenną do AK, potem ciągły niepokój z sekretarzem prezydium, głowienie się, skąd brać dla niego pieniądze (o rozprawie nie słychać, pewnie jeszcze trwa śledztwo). Zżerało to, może i nawrót gruźlicy tutaj znajdował swoją przyczynę? Przy chorobie więcej czasu jest na myślenie, mogę rozpamiętywać ostatnie lata. Wiele się w nich przeżyło. Bywa, że gdy spoglądam wkoło, aż się nie wierzy, że tamto wszystko było prawdą, że napady band różnych na wioski, strzały, śmierć Bogu ducha winnych, ciągły bałagan, niepewność, szabrownictwo, wyniszczanie gospodarstw, ciągła wędrówka ludzi, tłok i awantury na kolei, porywanie się z motyką na słońce, o dziwo, często zwycięskie. Niby to świeże jeszcze, często i dziś tym czy owym przypomni się mocno, a z drugiej strony bardzo odległe, odleglejsze znacznie niż te sześć lat minionych od końca wojny.

Albo Niemcy. Tylu ich było, gdy przyjeżdżaliśmy na ziemie odzyskane. Wiercili się wszędzie, uganiali z tymi swoimi wózkami, popatrywali spode łba, a potem nagle, ani się kto spostrzegł, wynieśli się. Jacyś nieliczni pozostali jedynie, już bez znaczenia. Odezwą się czasem balonami, ulotkami jakimiś, paczkami albo listami, jak do Władka. Bo ta jego Niemka, której na oczy nie widział, dawna właścicielka jego gospodarki, wciąż pisze. Nakazuje mu, żeby zbudował zbiornik cementowy na gnojówkę. Sama to zamierzała uczynić, ale nie zdążyła. Ruscy już napierali, trzeba było uciekać. Więc niech Władek to zrobi, koniecznie. Jak wróci, spojrzy za to na niego łaskawym okiem. Albo że w oborze czas byłby na nowy dach, gdyby mógł dostać dachówkę, najlepsza byłaby... Władek przedtem się wściekał, teraz się śmieje. A przed tygodniem wysmażyliśmy list do tej baby. Taki bardzo grzeczny. Władek napisał, że dziękuje za wskazówki, że się stara, jak może. Gnojówka jest, a jakże, piękny zbiornik, dach pokrył nie dachówką, ale blachą, miedzianą w dodatku, wygodniej i ładniej. Pyta, czy baba woli więcej grusz w sadzie czy jabłoni, a może amatorką jest śliwek? A dom jaki by nowy widziała? Bo Władek chce budować, ale nie ośmieli się czynić tego bez jej rady... Jeszcze takie głupstwa. Dopiero na końcu pokazał chłop język, radząc Niemce, aby się odczepiła, przestała zawracać głowę sobie i jemu, bo ani się tu kiedy

pokaże, ani też kto będzie jej słuchał... Ciekawe, odpisze czy już teraz da spokój?

Posłałem Losię i Tadiusia na prześwietlenie i dokładne zbadanie. Chwała Bogu, obydwójce są zdrowi. Bo tego to najwięcej się boję. Ze mną tylko coraz to gorzej, słabnę, każdy dzień mija z większą trudnością, wieczorem na nic siły już nie mam, niejedno zostawiam nie zrobione, nie wykończone, chcę się już tylko położyć. Mówią, że wiosna jest dla gruźlików najcięższa.

Zastrzyków doktor więcej już nie przepisał. Powiedział: wystarczy. Biorę tylko pigułki PAS, trudno je dostać, przez znajomego ściągałem je aż z Olsztyna, kupione prywatnie, zagraniczne, dlatego pewnie tak bardzo drogie. Szczęście, że krwotoków nie ma, te są zawsze najgorsze.;

Na Pierwszego Maja przysłali mi zaproszenie na trybunę w czasie pochodu. Nie mogłem się nadziwić, skąd taki honor. Bo czasami trudno coś tu zrozumieć. Raz krzywo na mnie patrzą, a to, że dawny akowiec, to znów, że kułak, drugim razem zaproszenie na trybunę pierwszomajową.

Poszedłem, Tadiusia ze sobą zabrałem, niech się chłopak przypatrzy. Słońce było, ładnie wyglądało to wszystko. Inna rzecz, że przemówienia strasznie nas znudziły. Zawsze to samo i to samo, co każdy już umie na pamięć.

W Polsce Ludowej Pierwszego Maja świętuję na honorowej trybunie! Kto by pomyślał? Bo i to, że mnie proszą, i to, że zgadzam się, stoję na tej trybunie i biję brawo, gdy defilada przechodzi.

Wracając oglądaliśmy iż Tadiusiem jabłonki posadzone przy naszej szosie. Przyjęły się ładnie, tym większy żal, że tak dużo zostało zniszczonych. Naliczyłem ze trzy dziesiątki połamanych, zdeptanych. Warto by podosadzać nowe w te miejsca. Gdyby tak jaka poprawa w zdrowiu, może bym jeszcze raz założył maleńką szkółkę, właśnie tyle, ile trzeba szczepków dla dosadzenia. Ba, gdyby poprawa w zdrowiu! Tej jakoś nie widać. Jedno tylko, że bóle żołądka rzadko się już zjawiają i znacznie słabsze.

Trochę zluzowało się z robotą, trochę mi się poprawiło, wróciła jakby ochota do życia. Postanowiłem na króciutko wybrać się do Wiktora i Tadeusza. Ale przedtem zamierzam zawadzić o Toruń, doktor Okińczyc tam osiadł, ten sam, do którego w Wilnie zjeżdżali ludzie z całego województwa. On też mnie leczył w młodości z gruźlicy. Niech teraz poradzi, muszę żyć przecież dla swoich.

Tak wtedy myślałem wyjeżdżając. Doktor był stary zupełnie, ale jeszcze przyjmował i

leczył. Poznał, ucieszył się, ale tylko dopóki nie zaczął mnie badać. Spojrzał zza okularów, pyta:

- Wróciło?

Nie czekając, znów bada. Potem każe się ubierać, siadać na krześle i słuchać. Tak jak on zawsze. I jak zawsze, prawdę mówi, nie dodaje ani nie odejmuje. Źle jest, gorzej niż kiedy. Płuca podziurawione, kawerny, że choć pięść wsadzaj. Mała nadzieja, by z tego wyjść, prawie żadna. Pewnie, PAS biorę, nie zawadziłoby spróbować streptomycyny. Wyjazd do sanatorium, a choćby w domu życie spokojne, bez przemęczania się, bez większych wysiłków. Choć niepewne, czy i to wszystko pomoże.

Wydało mi się, że bardzo smutnie patrzy na mnie zza okularów. Nie pojechałem do Słupska ani do Gdańska. Odeszła mnie wszelka ochota. Udałem się do Okińczycza z nadzieją, że nie jest może tak źle, jak by wyglądało ze słów naszego miasteczkowego lekarza. Okazało się jeszcze gorzej, tamci nie mówili wszystkiego. Już się nie dziwię, że tak osłabłem. Powoli idzie ku końcowi. Będzie szło coraz prędzej.

Na bóle żołądka machnął Okińczyc ręką. Też na tym samym tle. Choroba atakuje na pełnym froncie.

Za dużo wiem o swojej chorobie. Czasem niedobrze wiedzieć zbyt wiele. Inaczej patrzę na Losię, na Tadiusia. Już mi pewnie niedługo razem...

Ścięło mnie to z nóg, załamało. Do dziś nie mogę zebrać się, choć już dwa tygodnie minęły od tego nie dokończonego wyjazdu. Tadeusz napisał, że w lipcu przyjadą do nas z Janiną. Miesiąc urlopu dzielą na dwa tygodnie pobytu nad morzem, dziesięć dni spędzę u nas, a potem chcą zajrzeć do Warszawy, załatwić tam kilka spraw.

Ucieszyłem się bardzo, dopiero później opadły mnie różne myśli. Będą mieszkać tutaj, spać, jeść. A ja prątkuję. Co z tego, że osobne ręczniki, nakrycia, że czysto... Inna rzecz, że Losia i Tadiusz co dzień są razem, nie uchronisz się od zetknięć, a nic się im nie stało. Więc może i tamci?

Już siadałem, żeby napisać, co ze mną jest, niechaj nie ryzykują. Zacząłem nawet, ale podarłem list. Nie napiszę. Niech przyjeżdżają. Będę bardzo Ostrożny, będę strzegł się więcej niż kiedy. Może to ostatnie nasze spotkanie? Trzeba mi Tadeusza, może jego obecność pozwoli mi znaleźć uspokojenie. Też chyba nie, nie odważę się powiedzieć mu prawdy. Uciekłby może, a ja go bardzo chcę widzieć.

Dziś nadeszło nowe wezwanie pilące z podatkiem. Parę tysięcy nie wiedzieć czemu. Już nas poprzednie płatności wyżyłowały, dużo *tego*, a pieniędzy coraz to mniej. Myślę ze strachem, co będzie dalej. Zjeżdżam na dziady. Pracować nie mogę ani w części jak dawniej.

Z żołądkiem znowu gorzej. Jak sobie ta biedna Losia poradzi?

Co bym pomyślał o Władku, jednemu mię zaprzeczę, że naprawdę serdecznie jest nam oddany, stara się, jak tylko może. Nie poradziłbym z sianokosem, gdyby nie on. O żniwach myślę ze strachem, ale czas jeszcze na nie.

Kocha się w Losi. Ona go lubi, nic więcej. Nie wiem, czy dobrze robię, że nie odsuwam Władka od nas. Ale już to samo, że mi szczerze wyjawiał wszystko, świadczy o nim dobrze.

Wczoraj głupia myśl przeleciała mi przez głowę. Że nie wiadomo, jak ze mną, kto wie, czy długo pociągnę, żona i Tadiusz zostaną sami, więc gdyby Władek zajął się nimi... Nie chcę o tym myśleć, coś tutaj nie gra, nie wolno mi tak myśleć. Może jeszcze nie wszystko stracone, trochę jakby czuję się ostatnio mocniejszy.

Często wspominam Kaśkę, czarne oczka, śmieszniutką buzię. Ale wspomnieniami serca się nie nakarmi. Jakby zdwoiła się moja miłość do Tadiusia, jakby i uczucie do Kaśki przerzuciło się teraz na niego. Niedługo już będzie miał dziewięć lat. Wyrośnięty jest, chociaż nie najmocniejszy. Dobrze się uczy, do najlepszych należy w klasie, a przecież w domu inikt mu nie pomaga, czasu na to nie staje.

Wieczorami więcej niż dawniej gadamy ze sobą. Losia nie wzbrania, krząta się przy kuchni, roboty ma więcej, nie mogę już jej wiele pomagać, a my w pokoju siedzimy w mroku na tej kozetce pluszem wybitej i mówimy o różnych rzeczach. Mądry ten mój chłopak, czasem wydaje mi się, jakby był za mało dziecinny, zbyt poważny na swoje lata. Nie wiem, może za wiele widzi w domu, zbyt bliskie mu są nasze zmartwienia, moje kłopoty i lęki.

Najbardziej lubię, gdy mówimy nie o jakichś poważnych sprawach, ale gdy głośno sobie marzymy. Że jak wrócę do zdrowia, będę już w pełni sił, a on, Tadiusz, podrośnie, będzie mógł oni pomagać, to uczynimy nasze gospodarstwo ładniejsze. Ziemię będziemy nowoczesnie uprawiać, może kupimy mały traktor, chłopak wyczytał, że będą takie produkować, już z daleka odróżni się nasze pole od innych, zboże będzie bujniejsze, kartofle lepiej Obrodzą, buraki, nigdzie nie spotka się koniczyny ozy lucerny takiej jak u nas. Ale najwięcej pracy włożymy w ogród. Pszczół trzeba będzie mieć ze sto uli. Pasiekę ustawi się od południa, gdzie te krzewy derenia. Boże, jak tam będzie szumiało i huczało w słoneczne dni, kiedy kwiaty rozpachną się aż do bólu głowy. Inspektów też zmastrujemy więcej, a może nawet cieplarnię, jak to radził Tadeusz. I kwiaty, cudne kwiaty, żeby zawsze kwitły i pachniały. I drzewka owocowe, dużo ich, można przecież obsadzić nie wykorzystany pas ziemi za budynkami gospodarczymi, tam kędy Ukraińcy przejeżdżali, gdy jeszcze mieszkali obok nas...

Najlepsze, że minie też udziela się zapał Tadziusia, uzupełniam jego projekty, dodaję, gdzie trzeba doprowadzić wodociąg, gdzie ustawić spryskiwacze, które by chygotały na wietrze lejąc pasmami wody. Wymieniam kwiaty, jakie warto zasadzić, krzewy ozdobne, migdałek, forsycję, miałem to u siebie w Mejsutach, na wiosnę zrywało się gałązki, jeszcze śnieg leżał na dworze, a one rozkwitały w mieszkaniu, od razu się robiło weselej... A dopiero w jakiejś chwili zaboli zrozumienie, że to chyba już nierealne, że to tylko marzenie, które się nie może zrealizować, że nie ładniej i lepiej, ale coraz smutniej będzie tu u nas...

Tadzius jakby odczuwa wtedy tok moich myśli, poważnieje, a potem tuli się do mnie, jakby lęk go ogarnął. Łagodnie odsuwam go od siebie, wstaję czym prędzej, przekreślam kontakt, żółte światło rozprasza smutek, nie ma już lęku w Tadziusiu. We mnie też nie ma, ale i ciągle nie ma nadziei. Bo gdy muszę odkaslnąć, na chustce prawie zawsze znajduję ślady krwi.

To głupie, bo w końcu nie w porządkach sprawa. Przed przyjazdem Tadeusza ostro zabrałem się do wyładzenia obejścia. Dawno nie było aż tak zabałaganione. Trzeba było spalić zielsko ubiegłoroczne, zgarnąć część na kompost, wypławić ścieżki, podsypać piaskiem. To samo koło inspektów. Przy okazji oszkliliem porozbijane okna. Tadzius mi bardzo pomagał. Rwie się do roboty, przyjemnie tak z nim pracować.

Przyjeżdżają siedemnastego, zatem już za trzy dni. Cieszę się bardzo, ale zarazem ciągle mi głupio, że nie uprzedziłem Tadeusza o mojej gruźlicy. Muszę się bardzo pilnować. Losi zapowiedziałem, żeby ani słowa o chorobie, ot, najwyżej, że to żołądkowe historie. A poza tym musi pamiętać o osobnych nakryciach dla gości, mnie niechaj wyznaczy jakiś komplet, który od razu się będzie wyróżniał. Żeby się nie zarazili, broń Boże...

Głupio mi i przykro. Ale tak bardzo chcę pobyć z Tadeuszem, kto wie, kiedy się nadarzy następna okazja. Tyle mnie z nim łączyło, tak potrzebna mi świadomość jego życzliwości.

Pisał Wiktor. Nic nowego, dużo ma pracy, nauka dobrze mu idzie. Co najciekawsze, zapytuje, czy ojciec jego nie pisał do mnie z Wilna. Bo od dawna nie mają od niego wiadomości. Cóż, to mogło się stać ze starym? Chyba nic złego.

Są już Janina i Tadeusz. Przyjechali dziewiętnastego. Wyciągam dzisiaj notatnik, by zapisać coś bardzo dziwnego, choć przyjemnego. Dwudziesty drugi lipca, rocznica Polski Ludowej. Wczoraj była uroczysta akademie. Siedziałem z Losia w drugim rzędzie, przysłano zaproszenia. Akademia: jak zawsze przemówienia, orkiestra, potem przydzielanie odznaczeń.

Zgłupiałem, gdy usłyszałem swoje nazwisko. Przewodniczący powiedział: „Za wzorowe prowadzenie gospodarstwa i ofiarność społeczną...” Srebrny Krzyż Zasługi. Uszom nie wierzyłem, dopiero po dłuższej chwili podniosłem się, aby podejść do stołu prezydyjnego. Patrzyłem na ten krzyż, chór jakiś występował, wszystko wirowało, nie mogłem skupić myśli. Ja i takie odznaczenie; a jednak uznanie, jednak zrozumienie że naprawdę chciałem pomagać choć nie zawsze wychodziło, jak trzeba. Jeszcze niedawno te moje lęki, obawa aresztowania, szantaż łobuza z prezydium rady, potem kłopoty przy sadzeniu drzewek, a teraz nagle taka zmiana: Srebrny Krzyż Zasługi.

Do dziś jeszcze nie mogę ochłonać. Boże, jak Tadiusz się cieszył, jak oglądał odznakę, gładził ją palcem, jaką dumną miał minę, że tak jego ojciec został uhonorowany. Tadeuszowie cieszyli się serdecznie. Losia się uśmiechała, Władek, gdy przyszedł, oczom i uszom nie wierzył, długo rękę mi ścisnął. Jednak to robi wrażenie..

Dawno nie odczuwałem podobnego jak teraz spokoju i jakiejś otuchy, że wszystko się obróci na dobre, że będzie, musi być dobrze.

Cisza u nas, aż w uszach dzwoni. Niby tak jak zawsze, ale dziwnie. Tadeuszystwo wyjechali na parę dni do Giżycka, o Kętrzyn chcą zawadzić i Węgorzewo... Pamiętam, gdy przyjeżdżaliśmy. Giżycko nazywało się jeszcze Łuczany, a Kętrzyn Rastembork. Wiele nazw się zmieniło. Tak jak i w nas wiele się też zmieniło.

Wyjechali, wrócą jeszcze na jeden dzień, pociągną potem prosto z Olsztyna na Warszawę, dopiero do Gdańska. Tydzień byli zaledwie, a tu od razu poczucie pustki. Wiem, Losia odpocznie, z gotowaniem przybyło jej obowiązków, z opieką nad gośćmi. Ale i ona przycichła, też jakby zdziwiona nasłuchuje zapadłej ciszy.

Leżę dzisiaj. Znow gorzej się czuję, może dlatego, że te dni były bardziej męczące. Niby nic, ale przy Tadeuszu nie można usiedzieć spokojnie. Albo w rozmowie rozpali tak, że zaczyna się człowiek przejmować, albo każe gdzieś iść, coś oglądać, snuje projekty, duch niespokojny jak zawsze. Już od dwóch dni ledwie się trzymam, ale wszystko robiłem, byle nie okazać tego Tadeuszowi. Wypytywałby, pchał może do lekarza, dowiedziałby się od niego całej prawdy, a to niepotrzebne zupełnie. Teraz za to mocniej krwią pluję, boli mnie w płucach, oddycha się ciężko, coraz to jakby ciężiej. Mówią, że dla suchotników najgorsze miesiące maj i czerwiec, te minęły, już koniec lipca, ale jakaż z tego pociecha?

W nocy źle spałem, ciągle budziłem się z drzemki, znowu w nią zapadałem, zwidywały mi się nieustannie Mejsuty, prześladowała dzika grusza na polu, przed wyjazdem z repatrianckim transportem długo stałem wsparty o jej pień, miałem łzy w oczach,

odczuwałem ból rozstania. Teraz ta grusza wciąż ożywała przede mną... Bociany na łące nadrzecznej, las wysokopienny, a potem niewielkie zagaje, w nich jesienią zatręśnienie borowików. A potem stałem na moście, łowiłem płocie, wyśmigiwałem je po podcięciu na deski, trzepotały się w kurzu... Jeszcze późniejszy czas, partyzancki, nocny atak na litewskich faszystów Plechaviczusa... Tak całą noc. Wstałem zmęczony, nasycony tamtą przeszłością, niespokojny, czemu to wszystko we mnie odżyło, jakby w ogóle nie było późniejszych lat, tego co jest, co jeszcze będzie.

Nie, o tym, co będzie, myśleć nie chcę. Za smutno przędą się myśli.

Zmęczony jestem, ledwie tych, kilka zdań nakreśliłem, już się zmęczyłem, oddechu brak i bez przerwy już boli, szarpie, nabrzmiewa we mnie przeraźliwą, bez końca i początku, straszną pustką.

Gdy pojawiają się rżyska na polach, to pierwszy znak, że zaczyna się jesień, smutnieje w przyrodzie... Po żniwach już, po wizycie Tadeuszów, dawno odjechali, po odznaczeniu lipcowym. Wrzesień nadchodzi, jeszcze ładnie, słońko przygrzewa, ale patrzeć jeno, zaczyna się deszcze, chlupa, gliniaste błoto, krótkie dni, pohukiwanie sowy za oknem, zamieszkującej dziuplę starej lipy przy bramie. Boję się tej jesieni, boję pożegnać z ludźmi, ze zbożem, z kwiatami, które przekwitły i więdną tną długich, zbrązowiałych łodygach. Kiedyś lubiłem jesień, jej kolory, a teraz się boję.

Urodzaje gorsze w tym roku, susza nazbyt dopiekła zbożu. Za tydzień młócka. Władek już zamówił młockarnię, sam przyjdzie z pomocą. Stara się, jak może, a ja coraz częściej muszę odganiać myśl, co będzie, gdy mnie nie stanie...

Każdy ranek to cała już męka, wiele wysiłku woli trzeba, by się zmusić do wstania. We dnie snuję się, marzenie mam jedno, żeby odpocząć, poleżeć. I czasem tylko, z rzadka, jakieś nawroty energii, podniecenie, chęć działania. Mijają szybko, znów potem ta osowiałość, znów tłuczenie się z ponurymi myślami.

Otrzymuję zastrzyki streptomycyny, bardzo trudno ją dostać i dużo kosztuje. Zastanawiam się, może źle robię. Nie pomogą, a wydaję pieniądze, które bardziej przydałyby się Losi.

Ledwie nadeszły chłodniejsze dni, odczułem dużą poprawę. Przy kaszlu nie pojawia się krew na chustce, zniknęło uczucie drażniącej pustki w miejscu klatki piersiowej, przybyło sił. Rad jestem, że mogę się ruszać i choć po trosze pracować. Próbowalem nawet brać się do podorywki, ale ten wysiłek okazał się nazbyt wielki. Podobnie Losia nie dopuściła mnie do pomocy przy młócce, pamiętała pierwszy krwotok przy takiej okazji. Władek wszystkim się

zajął.

Wstaję wcześniej, odwożę mleko i zarazem Tadziusia do szkoły. Chłopcu trochę to nie w smak, wolałby rowerem, ale i na rower będzie miał czas. Na szosie zrobiło się niebezpiecznie, za wielki ruch. Jak przed paru laty samochód był rzadkim zjawiskiem, tale teraz stale je widać i słyszać, najczęściej ciężarówek, ale nie brak także aut osobowych, przeważnie nasze Warszawy. Już i samochody własne robimy w Polsce... W samym miasteczku też większy ruch, latem uruchomiono w starych halach dużą fabrykę octu, musztardy, jeszcze jakichś tam przypraw. Mają teraz samochody co wozić. Powstaje mechaniczna stolarnia, będą w niej produkować meble dla zagranicy. Coś więc i u nas ruszyło. Wprawdzie, jak mówią, kropla to w morzu, za wiele rąk czeka na pracę w naszej okolicy, ale i każda taka kropla też wiele znaczy.

Cieszę się moją poprawą zdrowia, chcę wierzyć, że to zastrzyki i lekarstwa pomogły. Bo pamiętam przecież z przebiegu własnej choroby, że u gruźlików często tak bywa, po zupełnym osłabieniu przychodzą okresy pozornego zdrowia. A później wali się wszystko z trzaskiem. Po cichutku coś jednak mi szepce, że źle ze mną nie będzie, utrzymam się jeszcze przy życiu.

Jadąc rozmawiam z Tadziusiem. Opowiada mi o szkolnych zdarzeniach, o nauce i o kolegach. Słucham, cieszy mnie to przejęcie się chłopca każdym drobiazgiem. Tak bardzo pragnę, aby był szczęśliwy, umiał sobie życie ułożyć, coś w nim wybrać i temu czemuś być wiernym. Niechaj nie zatrzyma się tak jak ojciec w połowie drogi, co gorsza, nie wiedzieć dokąd.

Wiele bardzo myślę o przyszłości chłopaka. Z Tadeuszem też rozmawiałem na ten temat. O tym, jak pragnąłbym aby dobrze się uczył, ukończył średnią szkołę, dopiero później decydował się na wybór zawodu. Wyraziłem nadzieję, że Tadeusz pomoże mi w opiece nad dzieckiem... Nie mogłem wyraźniej wspominać o swoich obawach, iż kto wie, czy sam będę świadkiem dojrzewania Tadziusia. Wydaje mi się, Tadeusz zrozumiał moje intencje. Powiedział z uśmiechem, że wspólne imię szczególnie zobowiązuje, na pewno znajdą z chłopcem dużo wspólnego. A z wszelką pomocą on zawsze jest gotów, mogę być całkowicie o to spokojny. Zbyt nas wiele złączyło kiedyś i dzisiaj nadal zbliża ku sobie, byśmy nie mogli siebie być pewni w dobrym i w złym.

Kryłem swój stan przed Tadeuszem. Wiem, że Losia nie zdradziła się ani słowem. Złe swoje samopoczucie tłumaczyłem żołądkowymi dolegliwościami. Wszakże wcale nie jestem pewien, czy Tadeusz nie domyślił się prawdy. Niejedno by na to wskazywało. Nawet ta jego powściągliwość w szerszym omawianiu różnych polskich kłopotów, jakby uważał, że

powiniennem teraz stykać się tylko z bardziej pogodnymi sprawami. Najwyraźniej uchylał się od podejmowania wielu tematów. Kiedy indziej wspomniałem o książce, którą mi kiedyś polecał, o *Czarodziejskiej Górze*, że pragnąłbym ją przeczytać. Machnął ręką, mam czas, utwór ten nie nastraja zbyt pogodnie do życia, ostatecznie mogę sobie darować, jest sporo innej lektury. Kiedyś bardzo zachwalał właśnie tę książkę, wspominał o treści: sanatorium, gruźlikach, ich przeżyciach i myślach. Pewnie, nie najlepsze zajęcie przy moim stanie... Wie zatem, domyśla się czy też to zwykły przypadek? Tyle że podobnych zbiegów okoliczności było sporo, a wszystkie wskazywały, że przyjaciel celowo stara się mnie oszczędzać...

Życie za to jest mniej wyrozumiałe i wcale nie stara się o stwarzanie cieplarnianego klimatu, ale rąbie prosto przez łąb. Jak ta historia z Banasiakiem i innymi. Zaczęło się to przed paru dniami. Przyjechał do miasteczka jakiś młodzik z Warszawy, pełnomocnik od spraw skupu. Z miejsca zaczął na ostro, krzykiem i groźbami, goniąc na wszelki sposób tych, co jeszcze nie odstawili zboża. A wczoraj aresztowała milicja kilkanaście osób z okolicy. Zabrali także Banasiaka. Pewnie, dziad leniwy, mógł się z młócką pospieszyć, oddać, co trzeba, na punkt. Ale z drugiej strony, żeby tak od razu zamykać? I kto teraz będzie robił u chłopca, kto choćby młócką się zajmie?

Nam z Władkiem upiekło się jakoś. Dzięki jego energii mamy już odstawy za sobą. Gdybyśmy się jednak spóźnili? Ładnie bym wyglądał w areszcie ze swoimi płucami. Mówią, że wszystkich aresztowanych sędzić będą za gospodarczy sabotaż. To gruba sprawa. I po co to potrzebne? Na pewno każdy z tych chłopaków oddałby zboże, niechby z karą za opóźnienie.

Przejęci jesteśmy sprawą Banasiaka. Władek przyszedł dzisiaj z projektem, byśmy pomogli Banasiakowej. Wymłócimy, baba zawiezie zboże, może wtedy lżej będzie staremu, może go nawet wypuszczą? Zgodziłem się, sam iść nie mogąc dałem sto złotych, żeby robotnika opłacić. Jeżeli nas zaczynają tak cisnąć, to trzeba trzymać się w kupie. Dziś mnie, jutro tobie. Losia poszła dziś opłacić podatek od pszczół. Niewielki, ale lepiej nie zwlekać. Człowiek zaczyna już dmuchać na zimne.

Nie podoba mi się to wszystko. Prawdę mówiąc, już mniej mnie nawet ten Srebrny Krzyż cieszy.

Dokoła, słyhać, od nowa jest nacisk, by zawiązywać produkcyjne spółdzielnie. Sporo ich nawet powstaje. Niektóre z prawdziwej ochoty. Inne ze strachu, rady już dać ludzom z namawianiem nie mogą. Nie wierzę, aby w takich niedobrowolnych spółdzielniach mogło dziać się cokolwiek dobrego. Każdy będzie ciągnął do siebie, ani dbając o sprawę ogólną.

Jakoś nieźle nadal się trzymam. Czyżby Bóg dał, udało się oszukać chorobę?

Banasiaka dziś wypuścili i wszystkich innych aresztowanych z nim razem. Podobno zrobiła się wielka awantura, ten młody pełnomocnik oberwał za niewłaściwy stosunek do ludzi. Z miejsca go zdjęto ze stanowiska. Chłopi nie wierzą swojemu szczęściu, myśleli już, że całą zimę przesiedzą.

Losia pisała do wojska, do Zenka. Otrzymał urlop na dwa tygodnie, podobno jest tam u siebie prymusem, wyrobił się chłopak, dlatego go tak łatwo zwolnili. Od trzech dni pracuje w polu, orze, bronuje, zasieje, co trzeba. Całe szczęście, ja już nie imam sił na tę robotę. Trudno też było Władka wykorzystywać, choć on stale rwał się z pomocą. Dwóch gospodarok jeden nie uciągnie, a jeszcze z jakiej racji ma się nami zajmować? Odetchnąłem na widok Zenka. Chłopak spowaźniał, myśli o dalszej nauce. W wojsku ukończy technikum mechaniczne. Może zostanie na zawodowego, będzie się pchał na oficera. Kartofle, mimo obaw, ładnie obrodziły. Trochę je wcześniej wykopiemy, póki jest Zenek. Już on wszystko zorganizuje. Losia szczęśliwa, nareszcie przydał się jej braciszek.

Niedobrze. Już w ostatek października źle było ze mną, ale chciałem koniecznie być na cmentarzu przy grobie Kaśki. Od razu po powrocie położyłem się do łóżka, osłabłem, ledwie ręką mogłem ruszyć. Szukamy wszędzie streptomycyny, trudno ją kupić. Ta, którą we wrześniu nadesłał Tadeusz - okazało się, że to Losia pisała do niego z prośbą - już się dawno skończyła. Zabroniłem Losi pisać znowuż do Gdańska. Co oni sobie o mnie pomyślą?

Dwudziesty listopada. Nie mam nadziei. Trzeba będzie odchodzić. Był parę dni temu lekarz, zbadał, pokiwał głową, nie bardzo nawet chciał brać pieniądze. Zapisał jakieś proszki na uśmierzenie bólów, nic więcej. Dobre i to. Kurcze żołądkowe wróciły mocniejsze niż kiedykolwiek. Losia nie chce powiedzieć mi prawdy, ale zdawało mi się, że doktor szeptał jej coś o gruźlicy żołądka... No pewnie, jeżeli płuca, to i cały organizm... A ja, głupi, jeszcze niedawno gdy trochę się lepiej czułem, miałem złudzenie, że wyjdę obronną ręką.

Wysłałem list do Tadeusza z prośbą, żeby przyjechał na dzień czy dwa. Źle ze mną, chciałbym bardzo z nim porozmawiać. Myślałem o Tadziusiu, pragnąłbym jeszcze raz zapewnienia Tadeusza, że będzie opiekował się chłopcem. Nie w utrzymaniu rzecz, nie w jakichś pieniądzech, ale w pomocy w nauce. Jedno dla mnie pewne, za słaby chłopak, by mógł się ostać na roli. Niech szuka w życiu innego zawodu. Mówi, że zamierza zostać nauczycielem.

Losia przyznała się, iż dopisała się do listu mojego do Tadeusza. Nie chce powiedzieć, co naskrobała, mówi, że głupstwa, trochę pozdrowień, nic więcej. Nie wietrzę, ale i nie ima

sposobu by z niej prawdę wydobyć. Już zbyt wiele zaczyna dziać się tutaj poza mną.

Połowa listopada minęła. Ciekawe, dociągnę do końca miesiąca czy wcześniej już zamknę oczy. Pogodziłem się - trzeba umierać. Ale mam żal do losu, do życia. Tyle mogło być jeszcze przede inną. Zostaje żona, dzieciak. Co z nimi będzie? Nie mam żadnych zapasów, pusto w domu, co było, to zjadły przedtem podatki i ten łobuz z prezydium. Jego rozprawy wciąż jak nie ma, tak nie ma, może już w ogóle nie będzie, ujdzie łobuzowi na sucho...

Zaczęły się deszcze. Leżę przy oknie, patrzę przez zamazane szyby. Klon przed domem stracił ostatnie liście, z gałęzi skapuje brudnawa woda. Ponuro i smutno. Nie ma też sikorek, które na tym drzewie zawsze wyskakiwały, nawet nie wiem, kiedy odleciały. Sowa gnieźdząca się w starej lipie pohukuje po swoim nocami. Przedtem śmieszyło mnie to, dzisiaj drażni, jakby to na mnie pohukiwała, że pora, że czas... A mnie tak bardzo się nie chce. Tak bardzo żal odchodzić.

Tadeusz przysłał streptomycynę, jeszcze jakieś zastrzyki. Życzy zdrowia, mata się nie przejmować, na pewno Wyjdę z choroby obronną ręką. Pisze, że chwilowo w żaden sposób nie może przyjechać. Wykańcza jakiś wielki projekt, siedzi nad nim dniami i nocami, sypia po trzy godziny, musi oddać na termin. Zagrał tutaj o najwyższą stawkę, jeśli mu się powiedzie, zdobędzie wreszcie bardzo mocną pozycję jako architekt. Ale gdy tylko skończy, od razu właduje się w pociąg...

Rozumiem go, pewnie, pilne sprawy. Ale zarazem przykro mi i żałośnie. Ja bym na nic nie patrzył, gdyby z nim było tak źle. Co prawda, nie pisałem wszystkiego, może dlatego źle zrozumiał, sądzi: choroba, ale ostatecznie każdy choruje, wyjdę z tego, będzie czas na odwiedziny. Losia pomrukuje na Tadeusza, aż krzyknąć musiałem na nią. Pisała do niego w tym samym liście, nie wiem co, może dlatego bardziej niż mnie obeszła ją ta odpowiedź.

Wczoraj miałem krwotok. Wyraźny znak, że niewiele mi pozostało, może nie dni już, ale godziny. Wreszcie zdobyłem się na rozmowę z Władkiem. Długo nie mogłem na nią się zdecydować, ale już jest najwyższy czas. Można nie zdążyć.

Zastanawiałem się, przemyślałem rzecz na wszelkie sposoby. I chyba dobrze, że tak postanowiłem.

Władek każdego dnia wysiadywał godzinami przy moim łóżku. Czasem rozmawialiśmy trochę, czasem obaj milczeliśmy. Nie udawał, wiem, przeżywał to, co ze mną się dzieje. Nawet karmić próbował mnie tym kleikiem. Bo od tygodnia nic jeść nie mogę. Od razu takie mnie bóle chwytają, że wytrzymać nie sposób. Piję tylko, czasem zmuszam się do

kleiku, choć i po nim nie jest mi dobrze. Gdy Władek podawał mi łyżkę, ręka mu się trzęsła, aż się kleik rozlewał na pościel.

- Słuchaj - mówię mu - chcę porozmawiać z tobą...

On głową skinął, że tak, jakby spodziewał się tej rozmowy. Zapytałem go wtedy, czy jego stosunek do nas nie uległ zmianie. Kiwnął znów głową. Ciężko mi to przychodziło, ale wydukałem wreszcie to najważniejsze. Niech po mojej śmierci żeni się z Losia, jeżeli ona wyrazi zgodę. I Tadziusem ma się zająć, musi mi to obiecać, jak i to, że dobry będzie dla Losi. Słowo niech da, niechaj przysięgnie.

Zaraz, to zrobił. A potem chwycił moją rękę.

- Paweł - mówi - Paweł, zostaw to, jeszcze nie koniec, pożyjesz jeszcze, wrócą ci siły. Ja i ciebie pokochałem jak brata. Dlatego tak trudno mi było to razem pogodzić, i ty, i Losia. Tadzius także mii bliski jak swój. Pewnie, krzywdy by przy mnie nie mieli, ale do tego nie dojdzie, wyzdrowiejesz, zobaczysz, wyzdrowiejesz, Paweł...

Nie wiem sam, wierzył w swoje słowa, czy mnie chciał tylko pocieszyć. Cóż, kiedy sam wiem najlepiej. Z tego się nie wychodzi.

Tylko potem, gdy Władek już poszedł, strasznie się rozplakałem. Cicho, żeby nikt nie słyszał, z twarzą wetkniętą w poduszkę, płakałem i płakałem... Losia jednak usłyszała. Podeszła do łóżka, bez słowa zaczęła mnie gładzić po głowie, po włosach, które prawie zupełnie już osiwiwały. Całowałem jej rękę. Trwaliśmy tak bez słów.

Z Tadziusem dziś rozmawiałem. Muszę mieć te rzeczy za sobą, żeby śmierć nie zdołała zaskoczyć przedwcześnie. Chłopak rozumie, co się dzieje. Jest bardzo smutny, ale i poważny nad wiek.

Mówiłem mu o nauce. O matce, że ją musi szanować, pamiętać o niej, pomagać. Że gdyby matce było źle kiedykolwiek, jak tylko stanie na nogi, niech ją zabiera do siebie. Że jeśli pan Władek wszedł do rodziny, różnie wszak bywa, musi mu być posłuszny, to bardzo dobry człowiek i mam do niego zaufanie. Że jak będzie miał jakieś kłopoty, trudności, zwłaszcza z nauką, niech od razu komunikuje się z Tadeuszem z Gdańska. On mu pomoże. Dużo jeszcze rad mu dałem i przestroóg. Myślę, że pamięta je wszystkie. Na koniec powiedziałem o pamiętniku. Że gdy umrę, niech ten zeszyt i wszystkie poprzednie spakuje razem i dobrze schowa. A odczyta dopiero, jak dorośnie, jak skończy naukę. Nie wcześniej. I wtedy niech bierze przykład z tego, co w ojcu było mądre i dobre, a głupstw ma nie naśladować. Niech zwłaszcza wyraźnie ustali kierunek swojego życia, tak lub inaczej, niech nie tkwi w wahaniach jak ojciec. Bo to jest zawsze najgorsze...

Widziałem, z trudem panowałem, aby się nie rozplakać. Wytrzymałem.

Najtrudniej mi było porozumieć się z Losią. Nie miałem odwagi z nią mówić choćby o Władku. Powiedziałem tylko, że gdyby chciała kiedy wyjść za mąż, niech będzie spokojna, ja to rozumiem, wiem, że samej trudno jej będzie poradzić. Aby tylko był to porządny człowiek. Taki chociażby jak Władek. Zresztą sama wybierze.

Powiedziała, że nie chce o niczym takim słyszeć. Że ja ją tylko obchodzę. Straszliwie jest zgnębiona i smutna. Schudła, wybladła, cień tylko z mojej dawnej Losi pozostał. Ile to z choroby jednego człowieka zmartwień dla innych...

Tak, najważniejsze mam już zatem za sobą.

A jednak zbliża się listopad ku końcowi, a ja wciąż żyję. Nic nie jem od dwóch dni i kleików przełknąć nie mogę, piję tylko. Patrzę na swoje pismo, każda litera skacze w inną stronę, bardzo mi trudno już pisać, męczę się. W południe miałem krwotok. Nie taki znów mocny, ale boleśniejszy niż kiedyś. Nadchodzi koniec.

Strasznie chciałbym, aby Tadeusz przyjechał. Nie śmiem już pisać do niego, przynaglać. Trochę mi żal, że nie potrafi znaleźć dnia jednego wolnego. Tyle w końcu razem przeżyliśmy. Ale może wiele wymagam, każdy ma swoje sprawy, zmartwienia, kłopoty...

Rozmyślałem teraz, jak pogadałem już z najbliższymi, o dalszych sprawach, spoglądam na te sześć z góry lat na Mazurach. Nie żałuję tych lat. I ta ziemia mi bliska. W snach, ciekawe, płaczą się wspomnienia Mejsut z tym, co minie tutaj otacza. Jednak drzewo stąd, drugie stamtąd. Tamta rzeczulka i nasze glinianki. Jedno bliskie i drugie, jakby podzieliło się we mnie miłością. Tam się tkwiło od dawna, tutaj było się świadkiem, więcej, bo uczestnikiem budowania polskości. Niełatwo szło i krew się lała winnych i niewinnych, i jedzenia, i pieniędzy brakło, wszystko w ruinie, w zgliszczach, a jednak ani poznać w dzisiejszym dniu tamtych pierwszych miesięcy. Zupełnie jak wiosną, gdy szara, zrudziała łąka pokryje się nagle świeżą zielenią, soczystą i bujną.

Stary Pacuk wrócił do Wilna. Pociągnęło go tam serce, nie mógł chyba zżyć się z nowym dokoła. A ja? Gdybym był zdrow i gdyby można było powracać? Nie wiem. Chybabym tutaj pozostał. Podzieliła się moja miłość; i tam jej trochę i tutaj. Tyle że tamto przeszłość, było, minione, tutaj dzień dzisiejszy. A ten zawsze bliższy, choć zarazem i znacznie trudniejszy...

Dzisiaj pogodniej, jest słońce. Zagląda nawet do mojego okna, takie jesienne, już nie grzejące, ale miłe, jaśniutki e. Nawet ten klon bez liści wydaje się weselszy. Ptak jakiś po nim skacze, nie sikorka, ale któryś z tych, co zostają nie uciekają, tak człowiek związany z ziemią,

która go karmi... Ptaki jak człowiek...

Męczy pisanie. Tyle jeszcze chciałbym na tych stroniczkach zamieścić, myśl jakaś żywsza, lepiej widzi teraz niejedno niżeli normalnie. Ale sił brak. Może jutro jeszcze otworzę ten zeszyt: zanotuję, co mi w bezsenne noce przychodzi do głowy.

Ten ptaszek ciągle skacze ma gałęzi, piórka stroszy, łebkiem kręci. Nie wiem nawet jak się nazywa, tyle że bardzo jest swojski...

Część druga

Wiktor

I

Monotonny głos wykładowcy usypiał uwagę. Światło padające od zakurzonej porcelanowej kuli klóciło się z resztkami ustępującego dnia, lepką żółcią padając na twarze słuchaczy. Zatrącały się w tym oświetleniu cechy indywidualne, wszystkie oblicza przybierały identyczny senny, apatyczny wyraz.

Sąsiad trącił go w bok, zaszeptał:

- Usrać się można z nudów. - Urwał, pozorując tępe zasluchanie.

Wiktor spojrzał na wykładowcę, który referował bezbarwnym głosem kolejny problem z dziedziny materiałoznawstwa. Spostrzegł się, że wsłuchany w jego słowa, nic z nich nie chwyta, omijają go dalekim kręgiem. Myśl jego uparcie nawracała do wydarzeń minionego przedpołudnia.

Od samego rana dzień był jakiś pechowy. Może to pogoda tak wpływała na ludzi, dosyć, że snuli się wszyscy na budowie leniwie. Gdy dopiero koło dziesiątej robota poszła jako tako sprawnie, zaraz ją przerwał gwizdek oznajmiający śniadanie. W ciszę wpadły zgryźliwe słowa, przekpinka jakaś, głupawy żart. Poniedziałki zazwyczaj są takie. Ci ze wsi wracają od rodzin zmęczeni, zanurzeni po uszy w tamtym najbliższym sobie klimacie. Robotnikom miejskim towarzyszą echa wolnego dnia gruchań z dziewczuchą, wypitej ćwiartki, stanu odprężenia, po którym zawsze tak trudno jest wziąć się w garść. Szewskie poniedziałki - jest w tym coś prawdy.

Właśnie, odjeżdżała z placu budowy ciężarówka Ignasiaka. Wiktor zajrzał do jej wnętrza jedynie przypadkiem. Cement, żelazo zbrojeniowe cięte w równe kawałki, gładkie pręty płaskownika. Zaniepokoił go ten płaskownik. W oczekiwaniu na żelazo przez parę dni markowali tylko robotę. Ostro zahaczył Ignasiaka, kto mu to kazał wywozić. Ten próbował odwarznąć, ale widząc złą minę brygadzysty, wskazał głową na majstra. Klidecki był czujny, spod dachu szopy obserwował scenę. Uznał teraz za słuszne wkroczyć do akcji.

- Jaki twój zaszpany interes, Pacuk? Swojego pilnuj! Ignasiak ma jechać, i tyle. Z bazy dzwonili, nakazali.

- Nam samym płaskownika braknie.

- To go urodź... Jedź, Ignasiak, nde masz tu co wystawać.

Stojąc obok siebie patrzyli, jak star przeciskał się między sztapłami cegieł. Spod tylnych kół tryskała rozmokła po niedawnych deszczach, lepiąca się glina. Dopiero teraz zetknęły się ich wejrzenia.

- Ty, krzywołapy, lepiej byś pilnował swego koryta - szepnął Klidecki, nie po swojemu, łagodnie. - Na ciebie też może znaleźć się jaka gadka.

- Ja takiej lewizny nie puszcze, majster! Kiblować za was nie mam ochoty. A grozić możecie swojej mamie, nie mnie. Dokąd pojechał Ignasiak?

- Powiedziałem, nie twój zasrany interes. Pytaj głównego inżyniera, on dzwonił z bazy.

- Taki on dobry jak wy.

- Jeszcze raz ci mówię, uważaj, Pacuk. Z nami nie wygnasz.

Zawrócił wzruszając ramionami.

Cicho się to odbyło. Zdawało się, starcie nie mogło zwrócić niczyjej uwagi, jednak ułowił Wiktor kilka uważnych spojrzeń. Dostrzegł, jak zbliżało się do nich paru robotników najbardziej zgranych z majstrem. Paczka działała, szykowała się do obrony.

Pewien był, że natrafił na nową lewiznę. Stale ginął materiał z budowy, potem tygodniami go brakowało, utykała robota. Był pewien, ale nie miał żadnych dowodów. Przedsiębiorstwo prowadziło większe i mniejsze budowy w kilku naraz punktach. Często przrzucano materiał z jednego na drugi. Częściej na pewno, niżeli to było potrzebne. Główny inżynier wydawał zlecenia majstrowi. Ignasiak, rzadziej kto inny, wiózł materiał w sobie tylko znane miejsce. Trzeba by mieć swoich ludzi na wszystkich stanowiskach roboczych, żeby chwycić szajkę złodziejską za rękę.

Przez resztę dnia łowił za sobą popyskiwania i złośliwości. „Te, inżynier” - najczęściej dawało się słyszeć. Zazdrościli mu tej nauki wieczorami, pogardliwym zawołaniem kompensowali swój kompleks nieuctwa. Nie wszyscy, ale właśnie paczka zgrupowana koło majstra. W takich chwilach zaciskał pięści, poprzysięgając, że się pomści, nakryje ich pewnego dnia na złodziejstwie, odkuje się za swoje. Po chwila znów kłął sam siebie. Po cholere w to wszystko się miesza? Za silni są wobec niego, wszystkie końce utopiają w wodzie, obstawiają władze budowy, jego zaś, Wiktora, zagryzą.

Gwałtowny, nieprzyjemny dźwięk dzwonka oznajmił koniec wykładu. Wykładowca zgarnął z pulpitu notatki, podrygującym kroczkiem ruszył ku drzwiom.

- Cholerny syn, przerwał na dzwonek wpół zdania - mruknął najbliższy towarzysz Wiktora.

Odmachnął niechętnie ręką. Przerazały go kolejne godziny lekcja. W całym ciele odczuwał niespokojne znużenie, z trudem oddychał, czuł jak ciało jego staje się lepkie od potu. Dopiero połowa kwietnia, a żar od tygodnia jak w najbardziej upalne żniwa. Zwariowana wiosna w tym roku. Męcząca, ogłupiająca i na budowie, i na tych lekcjach...

Gdy wreszcie można było powlec się już do domu, zniechęcenie narastające przez cały dzień zdawało się sięgać szczytu. To nie było nawet zmęczenie fizyczne, nie przepracowywali się na budowie, przy wadliwej organizacji robót nie było to nawet możliwe. Raczej niezadowolenie z siebie, niewiara we własne zamierzenia. Niechęć budzi choćby związanie z przedsiębiorstwem budowlanym, gdzie załogę stanowi zmienna, przygodna zbieranina. Kilku cwaniaków majstrów, a reszta w większości nowicjusze, sezonowi, najczęściej ze wsi, dorabiający nieźle przy budowie. Nic z robociarskiej wiary, z jaką zżył się dzięki ojcu jeszcze w Wilnie, na towarówce, czy nawet w tych grupach, z jakimi pracował przed aresztowaniem.

Z górą rok pobytu w więzieniu sprawił, że w niejednym nie mógł się po powrocie połapać. Bo to i zmieniło się już niby nieco na lepsze, unormowało się życie, skończyła się ciężka bieda, dokuczająca do niedawna. Ale z drugiej strony ostygł zapał, miejsce zwariowanych może entuzjastów zajęli cwaniacy, umiejętnie wodzący rej pośród zubożniałych ludzi. Wiedział dobrze, że nie wszędzie tak było. Z zazdrością spoglądał niekiedy na spotykane grupy robotników z narzędziówki, z warsztatów kolejowych, z innych fabryczek. To nie to co ta hałastra na budowlance. Między tamtymi na pewno czułby się znacznie lepiej. Tam jednak nie było dla niego miejsca, chyba na funkcji jakiegoś popychadła. Usztywnione lewe ramię stawało się przeszkodą nie do obalenia. Ani dźwignąć większego ciężaru, ani poruszać nim swobodnie. Zostawało zatem trzymać się budowlanki, nauka i pielęgnowanie marzeń, o zdobyciu zawodu, gdzie jego ułomność już by mu nie zawadzała.

Wracając do domu przecinał na skos Park Miejski, prawdziwą dumę Słupska, skupisko rzadkich drzew, szczęśliwie ocalałych z pożogi wojennej. Chcąc się wyzwolić od nie najweselszych myśli, przystanął przy kiosku z piwem, tuż przy wejściu do parku. Jak zawsze było tu tłoczno, tylko że miejsce robotników, okupujących kiosk wczesnym popołudniem, zajęli teraz młodzi ludzie o niesprecyzowanych zawodach. W ciepłym powietrzu rozchodził się mdły odór parującego piwa. Pito wprost z butelek. Co wytrawniejsi piwosze zakręcali uprzednio flaszką i dopiero rozwirowany płyn wlewali do gardeł. Miało dodawać to smaku i podnosić wrażenie mocy.

Wiktor pił powoli, gorzki napój orzeźwiął, zdawał się rozpraszać uczucie znużenia.

Ciekawie rozejrzał się wokoło. Wiosna dawała znać o sobie nie tylko delikatną zielenią pękających pąków na krzewach, ale nade wszystko zachowaniem ludzi. Na pozór nieuchwytnie, zaznaczało się przecież leniwe podniecenie, jakby odurzenie powietrzem. Po kilka, trzymając się pod ramiona, snuły się dziewczęta, chichotami odpowiadając na zaczepki chłopców. Pod osłoną cienia drzew przesuwwały się przytulone do siebie pary. Czasami z ciemniejszych zakątków nadbiegał nerwowy śmiech. Młodzi przy kiosku znacząco spoglądali wtedy po sobie. Któryś z nich zdecydowanym ruchem postawił na ladzie kiosku nie dopitą butelkę, podskoczył ku dwom przechodzącym dziewczętom, wyciskając na policzku jednej z nich mocnego całusa. Odtrąciła natręta wcale nie gniewnie. Jeszcze się oglądała potem za siebie. Zdarzenie przywitał życzliwy śmiech.

Właśnie tej życzliwości znajdowało się jakby więcej w ludzkiej postawie, w pobłażliwych uśmiechach starszych, w zawadiackiej zaczepności młodzieży, połączonej z szarmanckim gestem wobec kobiet, w gęstej atmosferze zmysłowego oczekiwania ogarniającej park i przyległe ulice. Nie opodal kiosku jakaś para zwarła się na chwilę w mocnym uścisku. Widzieli to piwosze, a przecież nie pobiegło w tamtą stronę żadne rubaszne słowo.

Krótką chwilą odprężenia dobrze wpłynęła na samopoczucie Wiktora. Rozpogodzony trochę, minął park, wychodząc na jasny skwer przy zbiegu Kilińskiego i Partyzantów. Z obiecującym uśmiechem przewiodła po nim wzrokiem spacerująca w tym punkcie dziewczyna. Ładna była, jeszcze nie wymięta jak większość jej towarzyszek. Przystanął przed małą restauracyjką, zawahał się, czyby nie poprawić nastroju przy bufecie. Przez oświetlone okna widniały spoza kłębow dymu czerwonym sukniem obijane, poniemieckie jeszcze, secesyjne fotele, ściany zdobne we frymuśne wywijasy gipsowe. Tłoczno tu było jak i we wszystkich innych lokalach.

Spostrzegł się, że stoi już dłuższą chwilę przed oknami restauracyjki. Speszony, cofnął się gwałtownie, wpadając na młodziutką parę zapatrzoną w siebie, szczęśliwą. Obejrzał się za nimi raz i drugi. Też mógłby jak ten chłopak mieć swoją dziewczynę, prowadzić ją pod ramię, obojętny na wszystko inne. Mógłby inaczej przyjmować tę wiosnę, nie tylko zniechęcającym znużeniem. Wieczory należałyby do niego, w niedzielę można by wyjechać za miasto, chociażby i niedaleko - ładnie musi być teraz na zboczach głębokiego jaru w Lasku Północnym czy w kotlinie dawnego koryta Słupi - położyć się na trawie, głowę złożyć na kolanach dziewczyny, gapić się w obłoki na niebie...

Przeciskając się przez jakiś zbiegowisko, nieopatrznie zrobił gwałtowny ruch lewym mamiem. Od razu wrócił do rzeczywistości. To lewe ramię, ta rana zaważyła. Nie ma

innego wyjścia, łatwiej czy trudniej, trzeba pchać się obraną drogą. Na wszystko przyjdzie czas, teraz zacisnąć zęby i wytrwać, uzyskać papierek z ukończenia technikum, wystąpić do życiowego przetargu z innymi już możliwościami. Jeszcze rok, dwa, potem też inaczej będzie mógł spojrzeć na wiosnę, wyszuka sobie dziewczynę, będzie szedł z nią przytulony jak tamci młodzi, z którymi się zderzył przed knajpą.

Przyśpieszył kroku, nieomal przebiegł na ukos przez Stary Rynek, zerknął tylko na ciąg zabytkowych kamieniczek, jesienią odnowionych przez ich przedsiębiorstwo, jasny akcent wśród dookolnych gruzowisk, ciasną uliczką pomknął w dół, by z ulgą zanurzyć się w cuchnącą kotami sień starego domu czynszowego, gdzie na piętrze było ich mieszkanie.

Spotkał go uśmiech babki, ciepły jak zawsze, kilka troskliwych słów, - ale wyczuł zarazem i niezwykle u tej opanowanej staruszki podniecenie.

- Stało się co, babciu?

- Nic, nic, Wiktoru. Tyle że ojciec twój pisze. - Urwała na chwilę, pragnąc większy efekt wywołać tym słowem, które teraz rzuciła przyciszonym tonem, jakby zwierzała się z wielkiej tajemnicy: - Przyjeżdża.

- Wraca? Nie może być. Gdzie list?

Zelektryzowała go ta wiadomość. Wyjazd ojca do Wilna, przeciągający się jego pobyt, skłaniający do przypuszczeń, iż zechce umrzeć na starych śmieciach, też ciążył kamieniem. Nie umiał pogodzić się nigdy z decyzją ojca, choć nie odmawiał jej wielu racji. A teraz z nagłą taka nowina.

List był krótki, jak zawsze. Pacuk donosił, że niedługo powróci. Wcześniej nawet zamyślał, ale siostra obecnie niedomaga, samotna, musi przy niej jeszcze zostać. W tym roku na pewno się jednak zobaczą. Poza tym czuje się dobrze i serdecznie pozdrawia.

Odkładając zapisany dużymi literami skrawek papieru, zamyślał się. Jednak powraca. Nie próbował dociekać przyczyn, trudno je było odgadnąć. Szkoda, że ciotki Klary nie przywiezie ze sobą. Jedyna z rodziny została w Wilnie. Próżno ją namawiali. Odpowiadała, że nie odejdzie od Ostrej Bramy, pragnie życia dokonać w domeczku, jaki jej został po mężu... Nie domek to był, chałupka, daleko na Sołtaniszkach, właściwie za miastem, nie byłoby czego żałować. Ale na upór ciotki nie było lekarstwa. Przynajmniej miał się ojciec u kogo zatrzymać, gdy nagle pociągnęły go dawne strony. Donosił przedtem, że Się urządził, pracuje po staremu, odnalazł niektórych kompanów. A teraz powrót?

Babcia była przejęta. Przystanąła za krzesłem, na którym siedział, i odezwała się przyciszonym głosem:

- Wraca do nas. Myślę, że go jeszcze doczekam. Tak się modliłam o ten powrót, o to,

żeby choć jedno dziecko mieć przy sobie, gdy śmierć nadejdzie.

Żachnął się. Nie lubił tego tematu. Spostrzegła się w jednej chwili.

- Wiem, wiem, Wiktorku, tak sobie tylko gadam. To z tej radości, że Piotr znów będzie razem z nami. Przy tobie, przy mnie... A wiesz, coś dobrego przygotowałam na tę intencję. Zaraz podaję obiad, zobaczysz, ucieszysz się. Głodnieńki ty pewnie, tyle czasu, od rana do nocy. Zaraz podaję.

Uśmiechnął się, nim jeszcze zapach potwierdził jego przypuszczenia. No oczywiście „zeppelin”. Z Wilna przywieźli tę potrawę, przysmak jeszcze z czasów pierwszej wojny. Pierożki z gotowanych kartofli mieszanych na poły z surowymi, nadziewane krajany w kostkę mięsem i tłuszczem. Babci czemuś właśnie ta potrawa zdawała się najbardziej elegancka i odpowiadała na wszelkie uroczystości. Że zaś lubiła sprawiać niespodzianki, pojawiały się „zeppelin” na stole przynajmniej raz na miesiąc. Jakże nie delektować się tym jedzeniem! Oczy staruszki syciły się zadowoleniem, coraz to dokładała mu pierożków na talerz...

Kręcił się później po domu, nie bardzo zdecydowany co robić. Z radia popłynęły słowa pogadanki dla rolników o stosowaniu nawozów sztucznych. Muzyki dobrej nie znalazł. Wyłączył aparat. Zdrzemnąłby się, ale nie zmusi się potem do wstania. Tymczasem zbliżały się egzaminy, roboty na budowie też więcej, ledwo się jedno z drugim daje pogodzić.

Próbował się uczyć. Czekał go niedługo egzamin z wytrzymałości materiałów, sporo wzorów i cyfr, skomplikowanych obliczeń. Mozolnie rozwiązywał zadania; pamięć zawodziła, gmatwały się wyliczenia. Kolumny cyfr coraz to upodabniały się do kształtów dziewczyny, która go zaczepiła na Kilińskiego, albo i tej Ewki z budowy, łatwej, pokładającej się ze wszystkimi chłopcami.

Z pasją zamknął wreszcie książkę, poskładał notatki... Nic z tego nie będzie...

Gdy się położył, sen nie chciał nadejść. Zza uchylonego okna wdzierало się dziwnie parne powietrze, nie rzeźwiło, obezwładniało jedynie ciało, rozhuśtywało myśli.

Dziewczęta. Oplatały go teraz kręgiem, ani się z niego wyzwolić. Pewnie, można by przeżyć jakąś przelotną miłośćkę, nietrudno o byle romansik. Też byłyby spacerzy po parku, przytulania, niedzielne wypadki za miasto, nad Słupię, w bukowy las, jeszcze nagi w konarach, ale od dołu pęczniejący już pulsującą zielenią. Pewnie, można by, miał powodzenie, nieraz to sprawdził, ale to zawsze wymaga zachodu, zjada czas, którego ciągle za mało.

A gdyby tak poważnie? Gdyby znaleźć dziewczynę taką jak Halina... Cóż, poważnie - to zaraz żeniaczka, dom, dodatkowe kłopoty i troski. Dziś we dwoje z babcią ledwie sobie

radzą, cóż dopiero, gdyby się powiększyła rodzina. Nauka musiałaby pójść w ką, wszystkie ambicje i nadzieje. Zostałaby nieustanna gonitwa, tyranie. Jeszcze musi poczekać, jeszcze ma czas...

A i gdzie szukać takiej jak Halina? Teraz już wspomnienia zatarły się, czasami tylko powrócą tęsknym nawrotem. Rozeszły się niespodziewanie ich drogi, widzieli się ostatni raz na parę dni przed szturmem na Wilno. Wysyłał listy, pisywał je na najdzikszych miejscach postoju jednostki, w pogoni za upowskimi bandami. Szukał jej przez PUR, poprzez Czerwony Krzyż, ze skromnego żołdu parę razy zamieścił ogłoszenia w tygodniku „Repatriant”. Zewsząd negatywna odpowiedź: „nigdzie nie notowana”. Pozostawała tęsknota, później już tylko żal, jak po czymś bezpowrotnie straconym.

Otrząsając się z tych wspomnień, tłukąc się z nagle wzbudzoną tęsknotą do kobiety, do sentymentalnych spacerów, trzymania za rękę, pierwszych nieśmiałych pieszczot, wiedział jednak, że pewnego dnia zbraknie mu sił do stawiania oporu. Że są sprawy nieuchronne, które można odwlekać, ale których nie sposób się wyrzec. Same odnajdą drogę. Byle więc uratować możliwie najwięcej czasu, wygrać ten czas, mieć już za sobą kawał przebytej drogi.

Zza okien, z uśpionej ulicy, ciemnej - cóż znaczyło tych parę rzadkich, ledwie migocących latarni - dobiegł go zduszony szept kobiety i mężczyzny. Zerwał się, desperacko zatrzęsął okno.

II

Parno jak przed burzą. Od tygodnia, od całego ich tygodnia trwała taka - pogoda. Piach na plaży we dnie rozgrzewał się tak, że trudno było po nim stąpać. Jeszcze w późne wieczory, gdy przysiadali na skarpie, biło od ziemi zebrane w ciągu dnia ciepło. Słońce każdego dnia od nowa nasycalo ich namiętnością, rozładowującą się w parnych nocach.

Księżyc niewidoczny z okna pokoju, zbliżając się ku pełni zalewał pomieszczenie nierealnym światłem. Każdy przedmiot otulał się mgławicową otoczką, nabierał nowego wyrazu.

Dźwignął głowę, wsparł ją na prawym łokciu. Nawet w czasie najgorętszych pieszczot pamiętać musiał o lewym ramieniu, drażniło go to teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Otworzyła oczy, w niebieskawym świetle lipcowej nocy dostrzegła skierowane na siebie spojrzenie Wiktora. Dłoń jej przesunęła się ku głowie mężczyzny, gładziła ją pieszczotliwie, tym rodzajem pieszczoty, na jaki zdobyć się może tylko zaspokojona kobiecość.

- Wit, myśleć się nie chce, że to nasza ostatnia już tutaj noc... Osiem dni przeleciało, jakby ich woale nie było.

- Za kilka godzin odjedziesz do swego Wrocławia, nie wiadomo kiedy się zobaczymy. Czekać cię będzie mąż, dzieci, inne sprawy, inne życie... Nie chcę o tym myśleć, tak samo jak o latach dzielących nas od ostatniego widzenia. Pamiętasz, to był także lipiec. Chcę, żeby istniały tylko tamte dni i te obecne.

Przysunęła się do niego, przylgnęła całym ciałem. Potem znów przerwała długie milczenie.

- Gdybyśmy wtedy poznali siebie, może by się, Wit, wszystko potoczyło inaczej. Nie osiem nocy, ale...

- Nie licz.

- Dobrze, dobrze, nie liczę - zaśmiała się leciusiętko, jakby tylko musnęła tym śmiechem powietrze. - Powiedziałeś, że jest tylko tamten czas przed rozstaniem i ten. O tamtym właśnie myślę. Pamiętasz taki wieczór, zmierzchało się, szliśmy nad Wilenką przez park, zbieraliśmy kasztany, rzucaliśmy je potem do wody. A później objąłeś mnie, stanęliśmy w cieniu jakiegoś drzewa. Całowaliśmy się. Zacząłeś rozpinać mi bluzkę, chciałeś całować piersi. Sama odpięłam staniczek, nawet nie zgadniesz, czemu się pośpieszyłam. Chciałam spełnić twoje i moje pragnienie, ale było coś jeszcze innego. To był talki biedny staniczek, podcerowany, wzmocniony łątką. Nie chciałam, żebyś to dostrzegł... Niezdarny byłeś, ja też. Później mocno, bardzo mocno mnie przytulałeś. Garnęłam się do ciebie, a jednocześnie bardzo się bałam. Mogłeś wtedy być pierwszym moim chłopcem.

- Pamiętasz? Myślałem o tej chwili często na froncie. Szukałem cię, wspominałem.

- Poszliśmy kiedyś daleko Antokolem, aż na most kolejowy. Wilia była tego dnia szara i niebo było szare. Tam się też całowaliśmy.

- I w bramie twojego domu.

- Zawsze się bałam, aby ktoś nas nie zobaczył.

Milczenie. Księżyc musiały pokryć na moment chmury, ściemniło się w pokoju, zgubiły się gdzieś drobne przedmioty, zmatowiało, przygasło ciało kobiety.

Zza okna nadbiegł leciutki, ale wyraźny podmuch. Halina zadrżała. Ogarnął ją silniej, wtuliła się w niego jak małe dziecko? Czemu z nagła nasunęło się inne porównanie? Jak dziwka. Odtrącił myśl, słowo, czym prędzej pośpieszył za jej wspomnieniem. Dlaczego ona mówi, że gdyby wtedy zostali z sobą, inaczej by dzisiaj losy ich wyglądały? Przecież następujące dni i tak musiały przynieść rozstanie. Czekalaby na niego? Pamięta. Park Bernardyński, wszystkie ścieżyny i aleje, nie tylko tę nad brzegiem Wilenki. I Antokol, i

Zakręt, i błądzenie po starych, ciasnych zaułkach śródmieścia. W celi to wspomnienie stawało się podniętą do walki o własną prawdę, do odrzucenia niejednego zwątpienia w sens tego, w co wierzy, czemu poświęcił tak wiele. Halina również pamięta. Z dziwnym spokojem jednak odjeżdża. Zupełnie jakby odwracała jedną zapisaną w tych nocach kartę, by otworzyć przed sobą zupełnie nową, czyściutką. Ale to nie będzie już jego karta...

- Wiem, o czym myślisz. Zdaje ci się, iż się bardzo zmieniłam. Skinął głową. Widziała ten ruch, chmury musiały odsłonić księżyc, pokój od nowa nasączył się bladawym światłem.

- Sądziłam, że cię wzruszy ta śmieszna opowieść o cerowanym staniczku. Śmieszna i głupia historia... A potem, pamiętasz, przestałeś zjawiać się na spotkania, znikales na całe tygodnie. Wiem, co powiesz: konspiracja. Jakiś czas także maczałam w tym palce, potem zostałam na uboczu, nie wiem czemu, uznano mnie chyba za niepotrzebną. Ale mnie twoje nieobecności drażniły. Więcej, brakło mi ich także dlatego, że już się umiałam tulić i ścisnąć, że ktoś całował moje piersi. Sińce potem miałam, przy myciu kryć się musiałam przed matką.

- Znow ten śmiech, tylko, tylko muskający powietrze. - Gdybym została twoja już wtedy, gdyby się spełniło i to jeszcze nie znane, może bym potrafiła cierpliwie tęsknić. A tak, nie mogąc się ciebie doczekać, chętniej spozierałam na Stefka. On jakoś zawsze miał czas...

- Twój przyszły mąż? To wtedy już? - przerwał. Wyszło to gwałtowniej, niż pragnął. Jego samego zdumiała gwałtowność tego pytania.

- Wtedy już... Nie przerywaj mi, Wit. Widziałeś go, zjawileś się kiedyś niespodziewanie, ja z nim byłam umówiona przed domem na tę godzinę. Nie chciałam dopuścić do starcia pomiędzy wami. Kazałam Stefkowi, by przyszedł później. Był posłuszniejszy od ciebie... Wtedy, pamiętasz, nasz przedostatni spacer...

- Ostatni też nie był dłuższy.

- To już nie z mojej winy. Spieszyłeś gdzieś, zachowywałeś się nieprzytomnie... Ale wracam do tego przedostatniego spotkania. Nieostrożny, Wit, byłeś. Broń miałeś przy sobie. Niemcy w tym czasie stali się czujniejsi. Pamiętasz, jak patrole ich obserwowały nas przy mijaniu? Bardzo mnie narażałeś... Znowu ściskaliśmy się. Zwariowany byłeś, nigdy tak mnie nie całowałeś. To było prawie tak jak dziś. I ja zrobiłam się nieprzytomna. Z jednej godziny uczyniło się kilka. Wit, jaki ty byłeś głupi, mogłeś otrzymać ode mnie, co tylko byś zechciał. Wtedy jeszcze nie należałam do Stefka. Mogłam należeć już ma zawsze do ciebie.

- Po co mi mówisz to wszystko?

- Żebyś wiedział, co straciłeś.

Znow się oparł na łokciu, przyjrzał się jej twarzy uważnie. Może to zimne światło nocy sprawiło, że twarz Haliny stężała, przeobraziła się.

- Tak, Wit. Żebyś wiedział, co straciłeś. Ja dobrze wiem, napomykałaś zresztą, jakie ci myśli w te nasze noce przychodziły do głowy. Że rzucę męża, może i dzieci, gdybym ich nie potrafiła dla siebie uzyskać, przyjdę do ciebie, przekreślimy dziewięć lat, zacznie się sielanka. Zapomniałeś, że się zmieniliśmy i ty, i ja. Już bym nigdy więcej nie chciała nosić cerowanych staników. Dość mam także pamięci biedy w ojcowskim domu... Ty zostałeś takim samym zapalencem jak zawsze, jak wtedy, gdy na spotkanie z dziewczyną przychodziłeś z bronią w kieszeni...

- Musiałem. Nie wolno mi było poruszać się bez broni. Cyjanek też miałem ze sobą...

- Zapaleniec. Byłeś taki i zostałeś. Przy twoich mrzonkach zapomniałeś o sobie. Może i o mnie, kto wie, nawet dziś... Po wojnie wszyscy mieli szansę. Stefek szybko, bardzo szybko skończył studia zaczęte jeszcze nielegalnie za okupacji. Ty nabawiłeś się sztywnego ramienia i nadal nim cegły na swojej budowie podajesz...

Dźwignął się, usiadł. Nie poznawał własnego głosu.

- Halina, co ty mówisz? Dlaczego jesteś taka zła? Bawisz się mną? Więc po co te wszystkie czułości, te noce po co to wszystko? Czyżby?...

- Uspokój się, Wit. Nie pojmujesz jednego, nie pojmujesz, że przeze mnie mówi też żal, wielki żal. Że mogę się złościć, iż tak życie się ułożyło. Jeżeli jestem okrutna, to może więcej dla siebie niż dla ciebie.

Łagodnym, ale silnym pchnięciem obaliła go znowu na tapczan. Przywarła do niego tak, iż czuł całe jej ciało. Tuliła się jak przestraszone czymś dziecko... albo... albo jak dziwka...

„Jak dziwka - ze zjadliwą satysfakcją powtórzył w duchu. - Jak dziwka...”

Wzdął ją tym razem inaczej. Właśnie jak dziwkę, której zapragnął, a z którą stosunku wstydział się sam przed sobą. Oczekiwał wybuchu gniewu, pragnął takiej reakcji, byłoby mu łatwiej trzasnąć to wszystko i odejść. Tymczasem znowu go zaskoczyła. Jeszcze świeżo nim syta, jeszcze sprężona w sobie, ogarnęła go ramionami z jakąś zwielokrotnioną siłą wzbudzoną z namiętności.

Jakże miał nie wierzyć w przypadki? Ten jeden jedyny raz, w jedną jedyną niedzielę wyjechali do Ustki. Na wycieczkę, tym razem na koszt budowlanki, z jakiegoś tam socjalnego funduszu, o którym dotąd niewiele wiedzieli. Bąkali poniekąd, że majster umyślił taką wycieczkę i naparł na dyrektora i głównego inżyniera. Majstra zaś podbechtała żona. Zachciało się babie za państwowe pieniądze morze obejrzeć. Tyle lat w Słupsku - wydziwiała - o krok od tego Bałtyku, a jeszcze nad nim nie była. Tak czy inaczej, w niedzielny ranek

frunęli krytą ciężarówką nad morze. Ze skrzynką wódki i całą beczką piwa. Zapowiadała się niezgorsza uciecha...

Fala szła od morza niewielka, przyjemnie było iść brzegiem plaży. Chłodna w porównaniu z żarem słonecznym woda zalewała stopy, przejmując całe ciało - przyjemnym dygotem. Idąc można też było popatrywać na opalające się kobiety. Niektóre leżały z otwartymi oczyma, leniwie, ale zarazem i taksujące wodząc po mijających ich mężczyznach.

Waldek zbrojarz, idący wiraż z nimi skrajem plaży, cmoknął w pewnej chwili z uznaniem.

- Patrz, Wiktor, ta czarna mucha znów przyjechała, będę się musiał do niej przystawić. Żona jednego prywaciarza z Warszawy. Zawsze latem tu zjeżdża, lubi się gzić z chłopami. Czuję, że mnie parę dni na robocie nie będzie. Widzisz ją?

Nie słuchał. Ledwie musnął spojrzeniem przystojną czarnulę. Bo oto o parę metrów dalej, za tamtą, dostrzegł inną kobietę. Też patrzyła na niego. W jej wzroku było zdumienie zmieniające się w radość. Pierwsza opamiętała się, zrywając się ze swojego miejsca:

- Wiktor!

- Oho, widzę, że ty także nie ciemniak... - gadał coś zbrojarz, ale już go Wiktor nie słyszał, idąc na spotkanie Haliny.

Nie wierzył sam sobie. Halina! Jest, żyje. Co za los kazał mu jechać do Ustki! Miał ochotę odmówić, w ostatniej chwili się zdecydował. Halina!

Całował jej rękę. Podawała mu je tym samym, tak dobrze znanym dziewczęcym ruchem. Zaczerwieniony jak szczeniak nieśmiało podniósł spojrzenie ku jej twarzy, ogarniał wzrokiem całą figurę.

- Tak samo patrzysz jak wtedy. - Jej śmiech też był ten sam, wzbogacił się tylko o nowe tony, niespokojnie drażniące.

- Siądźmy, gapią się na nas wokoło.

Musiła go pociągnąć za rękę, za to lewe, usztywnione ramię. Aż się skrzywił, gdy go nagle szarpnęło bólem.

- Nie, nic, taka sobie pamiątka z frontu... Halina, ty, ty.

- Ja. Ta sama. Zmieniłam się?

Potrząsnął głową. Bardzo mało. Tyle że dziewczęcość przekształciła się w rozkwitłą kobiecość. Ale ta nowa Halina bardziej mu się podobała, tylko może na inny sposób.

Tak wiele pragnęli o sobie wiedzieć, tak się obydwójce cieszyli z tego nieoczekiwanego spotkania. Ale była chwila, kiedy jego radość nagle przygasła. Nie od razu zauważył na jej palcu obrączkę. Urwał zaczęte zdanie wpół słowa, szeroko otworzył oczy:

- Mężatka?.

Chwila milczenia. Pierwsza je znów przerwała, jakby w obawie, aby nie spłoszyć tej nuty, która się rozdziwiała pomiędzy nimi.

- Tak, Wit. Tyle lat, odszedłeś nie - dałeś znaku o sobie... Nie mówmy o tym. Chcę teraz wiedzieć jak najwięcej o tobie, wrócić do tamtych chwil, kiedy razem szliśmy przez las, trzymając się jak dzieci za ręce. Pamiętasz?

Pamiętał. Nie tylko tę drogę przez las. Pamiętał inne ich wspólne drogi. I smak warg Haliny. Zawsze były wilgotne, chłodnawe, pocałunki dopiero je rozpały... Wspomnienie było silne, że nie potrafił się wstrzymać, by na te usta nie spojrzeć. Czy dzisiaj są tak samo wilgotno-chłodne jak poziomki zrywane w osłoniętej od słońca kotlinie? Dojrzewają tam później, ale są bujniejsze i mają taką szczególną, leciutką goryczkę.

- Całowaliśmy się. Pamiętasz, Wit? - szepnęła, trafnie wnikając w jego myśli.

- Nie mów... To... - Dotknął obrączki.

- Jeśli tak bardzo ci ona przeszkadza... - Wolniutko zsunęła obrączkę z palca, chowając ją do plażowej torby. Teraz myśl o mnie tylko jak o tamtej Halinie.

Najwidoczniej pomogło. Niedługo zapomniał, że Halina ma męża, że tyle się zmieniło od tamtego czterdziestego czwartego roku.

- Musimy się jutro zobaczyć i pojutrze, Wit, i każdego teraz już dnia...

- Mogę przyjechać tutaj dopiero w niedzielę.

- Wtedy ja będę wyjeżdżać... Musisz się zwolnić z pracy. Nawet dziś na to dla mnie się nie zdobędziesz?

Nie musiała wymawiać ostatnich słów, był przecież do chwili zdecydowany. Pewnie, że się jutro spotkają i pojutrze, i jeszcze dzień później. Nie dopuszczał wtedy do siebie myśli, że talk dotrwają tylko do przyszłej niedzieli, będącej dniem odjazdu Haliny.

Poddał się zupełnie jej woli. Gdy następnego dnia, krótko przed południem, z fikcyjnym zwolnieniem - lekarz zakładowy łasy był na pieniądze - łądował znowu na plaży, dowiedział się, że ma już wynajęty pokój w tym samym domu, gdzie zatrzymała się Halina.

- Będziemy się spotykali co ranka, wychodzili razem na plażę, prawda, kochany?

Mrużyła oczy. Nie wiedział, podkpiwa czy naprawdę myśli, że będą do nich, należały jedynie dni, tutaj, na rozpalonym piasku, na oczach setek ludzi, że nocą przedzielać ich będzie zimna ściana, zza której na próżno będzie się starał wyłować jej oddech.

Ale pierwszego wieczoru sama go zatrzymała u progu swojego pokoju, szepcząc.

- Możesz wejść na jedną maleńką chwilę, ucałować mnie na dobranoc. Tak samo jak całowałaś mnie wtedy w parku, pamiętasz?

Zachłysnął się tą nocą. Nie liczył następnych, jeżeli jawiła się w nich myśl o przyszłości, były to zwariowane rojenia, że musi się tak wszystko ułożyć, by zostali na zawsze już razem. Po cóż by inaczej stykały się ze sobą od nowa ich drogi?...

I dopiero ta rozmowa w przeddzień nowego rozstania. Inna od poprzednich, od opowiadań i zwierzeń o wszystkich tych długich latach dzielących Widno od Ustki. Niedobra, złowróżbna dla niego. A dla niej?

To właśnie pytanie zadawał sobie jeszcze wielekroć. Wtedy, gdy zasiadał do pisania listów, kierowanych na adres siostry Haliny, listów, w których tak trudno mu było się wypowiedzieć. Wtedy, gdy nastąpiło jeszcze jedno spotkanie, jeszcze jedna, ostatnia noc w małym hoteliku w Jastrowiu, podobna w szaleństwie do tamtych w Ustce, zakończona o pełnym już świetle słowami Haliny, że więcej nie będą się chyba spotykać, że zbyt daleko się już rozeszły ich drogi, by je można znowu ku sobie naginać. A te ich szaleństwa były tylko wyrównaniem tego, co się wszakże im należało: mieli prawo do siebie na długo jeszcze, nim się pojawił Stefek.

Odjechał z Jastrowia urażony, z niewiarą w słowa Haliny. Jeśli prawdą to było, że nigdy nie zaznała podobnych uczuć, że wszystko inne było mizerną namiastką wobec tego zapamiętania i upojenia, jakie jej dawał, to czyż mogła istnieć przed nimi jakakolwiek przeszkoda? Łudzi się Halina, będą, muszą się nadal widywać, choćby w tych krótkich tylko, kradzionych dniach czy godzinach.

Ciągle jeszcze oszołomiony zaczęta na plaży w Ustce zwariowaną miłością, zaraz po spotkaniu w Jastrowiu zasiadł do listu, najdłuższego, jaki w życiu napisał, pełnego zaklęć i przysiąg. Pisywał nadal, minio iż nie nadechodziła żadna odpowiedź, miotał się w bezsilnej pasji, w takim rozdrażnieniu, że kto żyw ustępował mu z drogi, w domu czy na budowie. Nic w nim nie było poza Haliną, pamięcią każdej pieszczoty, każdego słowa i ruchu. Na budowie zdarzały się skandaliczne rzeczy, ginęły materiały najbardziej potrzebne, zmieniali się ludzie załogi, któryś iż wiejskich chłopaków spadł z rusztowania, było dochodzenie, milicja - nic go teraz nie obchodziło. Nawet to, że majster Klidecki zmienił swój stosunek do niego, przyzywał na kielicha, wreszcie pewnego popołudnia po szczególnie udanej jakiejś lewiźnie wsunął mu w kieszeń zwitek czerwonych papierków poszeptując, że dobrze, że Wiktor nareszcie zmądrzał, chce żyć jak inni ludzie. Nie odrzucił tych pieniędzy. Potrząsnął nawet majstrową ręką. Zarobki były mniejsze, budowa ciągnęła się ślimaczo, luki w budżecie domowym stawały się coraz groźniejsze; zarówno tam, w Ustce, jak i przy późniejszych spotkaniach silił się na gest, jakby przysłaniając przed Haliną zażenowanie, że jest tylko robotnikiem. Zapożyczył się nawet, pieniądź kusił jak nigdy. W krótkich przebłykach

otrzeźwienia przerażał się sobą, świnieniem się, pobłażliwością na jawne już nadużycia. I zaraz zacierało się wszystko wspomnieniem Haliny.

Wytrzymał miesiąc znaczony coraz krótszymi, ale i coraz bardziej błagalnymi listami do Wrocławia. Naukę tej jesieni traktował aby zbyć, rosły szeregi złych not, opuszczał wykłady, gnany nadzieją pragnął wcześniej zajrzeć do domu, może nadeszła wreszcie odpowiedź niosąca tęskne wezwanie; brak listu napełniał go takim zniechęceniem, iż nie do pomyślenia było ślęczenie nad lekcjami.

Dręczyło go pytanie, czy ze strony Haliny nie było to wszystko zwyczajną zabawą. Może on tylko wziął to śmiertelnie poważnie, ona zaś zapomniała dawno o wszystkim i lituje się nad jego szczeniackimi listami? Roztrzęsiony zupełnie, zdobył się pewnego dnia na decyzję. Pojedzie do niej, postawi wszystko na jedną kartę.

Pojechał, nie mogąc już stłumić lęku przed tą rozmową. Milczenie Haliny było aż nazbyt wymowne. Naiwne stawały się próby tłumaczenia sobie, że może chora, może się jej przydarzyło jakieś nieszczęście, może przykrości domowe. Gdyby kochała na prawdę, nic by nie mogło jej stanąć na drodze. Gdyby kochała... Nasłuchiwał tłukącego się w nim echa tych słów, natrętnie, monotonnie powtarzanego przez uderzenia kół pociągu na złączach szyn. Kołatały w nim uparcie, gdy jeszcze z dworca wrocławskiego nakręcał numer jej telefonu, gdy z drzeniem, czując, jak mu poca się dłonie, oczekiwał, kto podniesie słuchawkę. Z ulgą rozpoznał jej głos. To on, Wiktor, przyjechał, nie mógł znieść dłużej tęsknoty za nią, muszą się zobaczyć, nie odjedzie bez tego spotkania... Suchy początkowo jej głos przeszedł w cieplejszą tonację, zadźwięczał w końcu jakże mu znanymi szeptami.

Ten intymny szept, zawisający chwilami, wibrujący, wisiał również przez cały czas nad niewygodnym stolikiem na uboczu gdzieś położonej kawiarenki. Ten drażniący ton pasował do kobiety, która usłuchała jego naglącego wezwania. Świetnie ubrana, owiana leciutkim zapaszkiem perfum, już samym wyglądem zyskiwała przewagę nad jego starannym, ale szablonowym ubiorem, nad zachowaniem zapeszonym i nieobytym. Kolana nie mieściły się pod stolikiem, skrzypiało wyplatane kolorowe krzesło.

Nie wierzył jej słowom, mimo wszystko nie mógł ciągle uwierzyć. Po tym uradowaniu w telefonicznej rozmowie, po szepcie niosącym inną zgoła zapowiedź, po pierwszych minutach w klimacie jakże dobrze mu znanym, nagle zupełnie inne stanowcze słowa. I chociaż ten sam szept, inne już spojrzenie zza sztucznie przedłużonych rzęs wyraźne zniecierpliwienie.

Po cóż tu zapewnienia, że i ją prześladowała pamięć ich nagłego spotkania i zwariowana chwilami tęsknota, kiedy następne zdania były tak logicznie proste, chłodne, że

aż parzące? Nie można całe życie być zapaleńcem, nie dostrzegającym tego, co niewygodne. Jest mąż, suma lat z nim Wspólnie przeżytych, dzieci, nie można ich skrzywdzić, pewne w końcu przyzwyczajenia, pewien styl życia, środowisko, to Wszystko, co wikła nierozzerwalnie, przed czym trzeba ustąpić. Ależ nie, nie żałuje ani trochę, nie odczuwa żadnych wyrzutów z powodu tego, co się stało. Jedno nic nie ma z drugim wspólnego.

- Wakacyjna przygoda?

Spojrzała po swoim, spod rzęs. Cieniutki, ledwie że zauważalny uśmiech. Dopiero w ślad za nim wstrząśnienie głowy, a w głosie leciutka nutka urazy, że skoro on tak to jedynie pojmuje... Nie, lepiej nie mącić pięknego wspomnienia tanimi wyrzutami, zostawić je takim, jakie było.

Coś odpowiadał, zaprzeczał, bąkał i prosił. Zaklinał na pamięć spacerów alejami wileńskich parków, przy wtórce szumiącej Wilenki, w cieniu starych zaułków, w mroku bramy jej domu, gdzie szyld jej ojca czernił się na przybitej tabliczce słowem: szewc. Prychnęła, cóż jej Wilno, miasto jak inne. We Wrocławiu też rzeka, też parki, także spacerory dla zakochanych...

Ucięcie spojrzeniem na zegarek, podaniem ręki, wionięciem zapachu. Nie zdążył od razu się dźwignąć, tak szybko podniosła się z miejsca...

- Niechaj, Wit, zostanie tylko wspomnienie.

Powrotną drogę przestał w pociągu na korytarzu z czołem przytulonym do chłodnej szyby. Zdumiewające, ale teraz dopiero mógł trzeźwo myśleć.

Zaraz następnego ranka po powrocie z Wrocławia wstąpił do sąsiadki, pożyczył czterysta złotych, cztery czerwone papierki. Na budowie wetknął je w rękę majstrowi.

- Zwracam pożyczkę.

- Ależ, człowieku, jakaż to była?... - Klidecki urwał. Zbyt intensywnie i wiele mówiące było spojrzenie „krzywołapego”.

- Dziękuję za zwrot, he, he, pożyczki.

Te słowa usłyszeli wszyscy. Ale tylko jeden Wiktor usłyszał następne, wypowiedziane już ciszej:

- Z nami nie wygrasz. I radzę, nawet nie próbuj.

III

Gdy wieczorem rozsiadał się ze swymi książkami za stolikiem przy oknie osłoniętym kocami, bo zawiewało tamtędy niezgorzej, ojciec nieodmiennie odkładał gazetę, przyglądał

mu się, stwierdzał zawsze tak samo, na pozór niby to obojętnie:

- Uczysz się?

- Przecież ojciec wie, niedługo matura...

Drażniło go zachowanie ojca. Wiedział, co kryje się za tymi słowami. Nie zawsze bowiem rozmowa kończyła się tylko na paru zdaniach. Starli się kilka razy. Ojciec atakował, on bronił sprawy, do której ciągle miał przekonanie. Bronił, pragnąc ocalić sam siebie. Do tego doszło. Wolał przymykać oczy na fakty, z którymi się stykał, które natrętnie nasuwały się mu, jak i wszystkim, przed oczy. Inaczej zbyt wiele wywracało się w dotychczasowych pojęciach, świat stawał na opak, racja zdawała się zostawać po stronie umiejętnie wykorzystujących koniunkturę cwaniaków..

Tyle, że ojciec przeszkadzał w tym uciekaniu od prawdy.

W listopadzie przyjechał, jak zawsze niespodziewanie, bez żadnej zapowiedzi poza kwietniowym listem, który tak rozradował babkę. Siostra Klara wyzdrowiała już, wrócić mogła w tok codziennej swej dreptaniny. Wtedy Pacuk uznał, że pora znowu wrócić pomiędzy swoich. Z hałasem, z bagażami, zjawił się któregoś wieczora, niby to roześmiany, rozgadany jak rzadko, choć wyraźne było, że za tym ożywieniem kryje się jakieś poczucie winy.

Od lutego pracował znów na kolei przy przeładunkach. Mało już zastał starych znajomków, zmieniali tu ludzie pracę szybko, przerzucali się z jednej roboty na drugą, nie trafiali lepiej ni gorzej, zawsze podobnie, a przecież coś ich gnało, nie mogli usiedzieć spokojnie. Pacuk obserwował wszystko wkoło siebie uważniejszym, bardziej zaostrzonym wejrzeniem. Tak się natknął na sprawę cegieł. Trudno się zresztą było mię natknąć, jeśli nieustannie odpływały ze Słupska i innych miast i miasteczek całe transporty czerwonego ładunku. Stare cegły. Najmniej z usypisk ruin, częściej z domów, Morę wymagały niewielkiego tylko remontu, a były burzone, rozwalane z zastosowaniem przemysłanych sposobów. I to wtedy, gdy w mieście robiło się coraz ciasniej, narastał gwałt o mieszkania.

- Czy to trzeba być technikiem, żeby wiedzieć, jak zwalać ściany? Jak przepasać liną kominy, by padały w określonym kierunku? Byle drwał z lasu to lepiej potrafi... Piękna odbudowa ziem odzyskanych!...

- Warszawie trzeba - protestował niepewnie.

- Tylko Warszawa jest w Polsce? Nic więcej? Ucz się, synku, ucz, mądry będziesz, przydasz się, skończycie grabić uszkodzone chałupy, zabierzecie się do tych, które zostały całe. A potem będziecie się cieszyć, jaka to nowa trasa czy nowa dzielnica powstała w Warszawie. Nikt tylko się nie odważy powiedzieć, że to ze słupskiej cegły, z koszalińskiej,

barlińskiej, człuchowskiej, czort jeszcze wie jakiej. Psu na budę zdalna taka robota.

Milkł stary, teraz naprawdę już stary, zmieniły go te lata nieobecności.

A potem, brał znów gazetę do ręki, patrzył ponad nią gdzieś w sufit, zdumiewał się od nowa, jakby sumując i własne słowa, i myśli.

- Zrozumieć nie mogę, coście wy tutaj przez te lata ponarabiali. Myśmy po wojnie z niczego, na głodno, często i pod kulami, byle prędzej coś ruszyć z miejsca, odbudować, upiększyć, ani patrząc na siebie, na własne. Wy teraz przekreślacie cały tamten wysiłek... No nic, nic, ucz się, Wiktor, może nie tylko będziesz rozwaliał domy, może je kiedyś zaczniesz naprawdę budować.

Wsiąkał w gazetę, choć skąd można było wiedzieć, czy naprawdę ją czytał!

On zaś nos wciskał w książkę, ale jak się tu uczyć, kiedy w dochodzącym gdzieś z tyłu szeleście gazety dźwięczą słowa ojca? Nie ojca, własne, najbardziej własne myśli. Przecież naprawdę zrobił się specjalistą od burzenia. Oficjalnie nazywało się to odgruzowaniem. Znalazł się nawet w Słupsku przybyły z Warszawy specjalny pełnomocnik od spraw odgruzowania... Jakby to na miejscu nie znalazło się lepszych, gdyby naprawdę chodziło tylko o usuwanie wojennych zwalisk...

Po wstrząsach wywołanymi przejściami z Haliną, po okresie zwariowanej pogoni za kobietami w złudnej nadziei znalezienia zapomnienia w ich objęciach, zrodziła się konieczność wyrwania z dusznej atmosfery, w jakiej się znalazł. Zarwał naukę, odsunęła się perspektywa skończenia technikum, bardzo wolno odpływało wspomnienie Haliny. Zbrzydły łatwe stosunki, mierzyła własna obojętność na kandydy obserwowane przy pracy. Zaczął stawiać się Klideckiemu, stał się z naczelnym inżynierem, zgranej paczce zaczęła grozić katastrofa, mogło wszystko się wydać. W pomoc przyszła im „akcja odgruzowania”...

Zaczął się to już znacznie wcześniej. Od pół roku niektórzy złośliwie nazywali ich „budowlankę” - „rozbieranką”. Kilka grup robotniczych przedsiębiorstwa pracowało nad wydobywaniem cegieł i układaniem jej w sztaple. Ciężarówki zwoziły cegłę na stację, tam nią zapelniano wagony, młodzi zetempowcy zamazyście pisali kredą na każdym: „Na odbudowę stolicy.” Ale dopiero z minioną jesienią odgruzowanie nabrało rozmachu. Przyjechał pełnomocnik, zawsze zapity cwaniak, przy okazji robiący dobre interesy z prywatnymi odbiorcami słupskiej cegły w Warszawie, zmieniły się zasadniczo funkcje największej firmy budowlanej. Brakło obiektów do budowy. Jeszcze tu i ówdzie jakiś dom dla instytucji państwowej, jeszcze jakaś niewielka hala fabryczna, zupełnie wyjątkowe remonty. Rozbiórka stawała się dla przedsiębiorstwa jedynym ratunkiem. Tyle że mniej tam było okazji do łatwych kradzieży. Jeszcze naczelnym inżynierem, głównym księgowym, kierowniczym działów - ci

znajdowali drogę porozumienia z panem pełnomocnikiem z Warszawy. Ale majstrowie, brygadziści, co cwańsi z załoga unikali rozbiórek jak ognia. Niby zdarzały się nawet premie, ale i praca niebezpieczna, i poganianie przy niej - ciągle było tej cegły mało - i w ogóle już zupełnie nie to, co fuchy przy budowach,

Może by inaczej uderzyli w Wiktora. Albo to trudno o jakąś awarię, pomówienie o sabotaż, o jakąś szeptankę, niby przeciw władzy ludowej? Odgruzowanie zjawilo się w samą porę. Dla obu stron. Bo ten krzywołapy nie będzie (rozrabiał i przyczyni się przez swoją sumienność do większego uzysku cegły, a to jest mile widziane.

Z fasonem się to odbyło. Prawie że uroczyście, w biurze budowlanki, z ceremoniałem. Mianowano Wiktora nie brygadzystą już, ale kierownikiem grupy odgruzowania. Z podwyżką uposażenia zasadniczego i z dużymi możliwościami na premie od przekroczenia planu.

Gruz” jednak dalej zalegał ulice i place, tylko główne szlaki oczyszczono dla świętego spokoju. To było najmniej płatne. Łatwiej zwałało się jeszcze stojące, nie zamieszkałe domy, wymagające tylko większego remontu. Pełnomocnik tak się rozpędził, że zamyślał już rozebranie starych murów obronnych, łakomie oglądał się na głośną Basztę Czarownic. Tutaj już jednak sami mieszkańcy podnieśli bunt, zagrał w nich słupski patriotyzm. Uchwaliła protest rada narodowa, robotnicy z fabryki urządzeń rolniczych zgłosili rezolucję. Wtedy dopiero przycichło.

Na tę sprawę natrafił stary Pacuk. On też na kolej, gdzie niedawno zaczął pracować, podniósł szum pośród robotników przeładunkowych. Niedużo wskórał, zbyt wielu było tam świeżo przybyłych ze wsi, ale miał w każdym razie stary czym się pochlubić. Pokpiwał przy tym ile wlezie z Wiktora:

- Nie udało się wam, panie kierowniku od rozbiórek, ze słupskimi murami. Może w ogóle wykurzymy was z tej roboty...

Potem jednak zrzęda mina staremu ładowaczowi. Mury i basztę uratowali, ale nic więcej nie można już było zdziałać. - Zlecenia nadchodziły z Warszawy, krzyczano tam: „Dawaj cegłę!”, na miejscu zarabiali na niej dostojnicy większego i mniejszego kalibru. Próbujących protestować uspokajano argumentami ideowymi: „Zrozumcie, towarzysze, nie stać nas na odbudowę wszystkiego, pół Polski jeszcze w gruzach. Największy wysiłek należy kłaść w odbudowę stolicy, w innych miastach trzeba tymczasem przynajmniej usunąć ruiny. Potem dopiero na ich miejscu będziemy szklane domy budować. Na wszystko przyjdzie czas.” Umilkł i Pacuk, tyle że nie mógł sobie darować codziennej przekpinki na widok siadającego do książek syna. Że też musiał wybrać sobie taki fach, lepiej by związał się z kolejarstwem, tam nie można przeprowadzać żadnych rozbiórek, pod lokomotywą musi się

palić, szyny muszą trzymać się swoich szlaków, wagony toczyć się gładko, bez zahamowań.

Wiktor rozumiał rozgoryczenie ojca. I jego bolała wkradająca się we wszystko ospałość. Tu i ówdzie, po głośniejszych zastrzeżeniach zachodnich do polskich granic, po nowych wybrykach rewizjonistów w NRF, odżywały nastroje paniki ci, i owi chyłkiem przenosili się do Polski centralnej, mniej było takich, którzy ryzykowali inwestowanie swoich kapitałów czy energii na miejscu.

Istniała wszakże między ojcem a synem duża różnica. Wiktor, obserwował zmiany z dnia na dzień, nie dostrzegał ich tak ostro i dramatycznie, przyzwyczajał się. Romans z Haliną, w skutkach jeszcze nie wyleczony, własne kłopoty, nauka, to go zajmowało w tym stopniu, że sprawy ogólne schodziły na dalszy plan. Zbuntował się przeciw kantom na budowie, wstydził się krótkiego okresu własnej słabości, kiedy niemalże zaczął uczestniczyć w złodziejstwach, ale na tym zakończył się jego protest. Stary natomiast po długiej nieobecności w kraju miał świeższe spojrzenie, wracał z przekonaniem, że rozmach pierwszych lat powojennych nie tylko nie wygasł, ale się wzmógł, że się wszystko musiało zmienić na lepsze, że Słupska zupełnie nie pozna. Doznał rozczarowania, zdumiał się, zaperzył. Surowo, z przesadą oceniał różne ujemne zjawiska, nie chciał się zgodzić z potulnością powszechną, stawał Okoniem także i przeciw niej. Wiktor musiał go uspokajać, przestrzegać przed możliwymi przykrymi skutkami.

- Nie kracz. Ja te strachy mam gdzieś. Gówniarz byłeś, gdy ja należałem do PPS-u, z komunistami też się znałem, traktowali innie za jednolitofrontowca. Czerwoną kokardkę nosiłem, kiedy sanacja częstowała za to pałkami. Strachem takich jak ja nie wezmą...

Wtedy znów dziwacznie zmieniły się role. Wiktor zaczynał dowodzić, że ojciec gada jakby jaki reakcjonista, gotów by zaraz przekreślić całą Polskę Ludową. Trzeba przecież zdać sobie sprawę, że kierunek jest słuszny, a niedociągnięcia, błędy to dlatego, że ludzi właściwych mało. Są to normalne choroby wzrostu...

Przerywał mu stary, rozzłoszczony do reszty.

- Gazety sam czytam i nie musisz mi artykułów recytować. Dureń jesteś, do reakcjonisty mnie porównujesz. Ty myślisz, że gdyby to nie była czerwona władza, ja bym sobie strzepił tak język, dziwował się bez ustanku? Wypiąłbym się, i koniec. Ale mnie złości, że nasi tak robią. Rozumiesz? A wy wszyscy zgadzacie się, kiwacie głowami na wszystko, co dobre i co złe, rozumu swojego nie macie, żeby widzieć, gdzie leży prawda. Ot, co. Klnę, bo mi niejedno się nie podoba.

Słuchając tych ojcowskich ataków, kłócąc się z nim często do upadłego, musiał szukać argumentów dla swoich racji, wyłuskiwał się z pancerza zobojeźnienia, który coraz

bardziej na nim twardniał i sztywniał. Szukał jakichś rozwiązań, choćby tylko na własny użytek. Inaczej zaczynał widzieć sens swojej nauki, zdobywanego z trudem przyszłego zawodu. To była szansa wyrywania się z rozbiórkowego nonsensu. Przecież w końcu nie tylko się rujnuje, znacznie więcej buduje, rosną te fabryki, powstaje gdzieś Nowa Huta, mając fach w ręku można będzie się zabrać do takiej twórczej roboty, choćby wyjechać gdzie bądź, pod Kraków, na Śląsk, gdzie więcej się dzieje, gdzie nadal jest Polska tych pierwszych wspomnianych tak tkliwie przez ojca lat.

Nadal. Tam? A tu? Nadbiegało wspomnienie wspólnej włóczędzy z Pawłem po mieście, ulicami, parkami, wzdłuż starych murów, tych, które omal nie uległy rozbiórce, przez bramy, Nową i Młyńską, obok odbudowanego zaraz po wojnie Mariackiego kościoła, a potem wzdłuż Słupi, gdzie zaczyniano przygotowywać do odbudowy zamek. Przejmował się wtedy, wyjaśniał, tłumaczył, tak bardzo pragnął, aby i Paweł zachwyił się Słupskiem, jego ludźmi, rozmachem, stukotaniem tramwajów, żeby pojął, dlaczego tak wielu zaczęło uważać to miasto za swoje. Jasno było wtedy, kolorowo i jakoś weselej. Diabli wiedzą, czemu teraz tak spochmurniało i na ludzkich gębach, i na ulicach czy murach. Tramwajów nie ma, zabrał je Koszalin, przed dwoma laty przemianowany na wojewódzką stolicę. Może właśnie to zepchnięcie Słupska na drugie miejsce ospałością objęło miasto?

Nie pragnął stąd odjeżdżać. Ciężko byłoby zaczynać od nowa, przyzwyczajając się, zahaczać o jakieś mieszkanie i paru bliskich ludzi. Gdy tylko wrócił z wojska, od razu go Słupsk przyciągnął, rwał się do niego ze stacji ojcowskiej w małym miasteczku, znajdował w tym mieście coś z Wilna, może właśnie w pięknych parkach, w zieleni, której tu więcej było niżeli gdziekolwiek. Cieszył się rozmachem, nowymi domami. Kto wie, czy nie dlatego pociągnęła go budowlanka, mógł się przecież i gdzie indziej próbować zahaczyć. Wtedy miał czystą kartę, zdobyły jego ankietę i II Armia, i walki bieszczadzkie; orderzy na piersiach i legitymacja partyjna dodawały znaczenia, mógł po niejedno sięgnąć. Nie pchał się, myślał o nauce, łączył jej rezultaty z przyszłością swojego miasta, tak przecież częściowo na wyrost, mówił zawsze o Słupsku. Potem dopiero przyszyły osobiste rozczarowania, zagasło także niejedno w mieście. Chyba nie na zawsze. Ojciec nie może mieć racji, nadejda i dla Słupska jaśniejsze dni, warto jakoś dopomóc, by je przybliżyć, ale nie można uciekać.

Musiał myśleć często o nieudanej ucieczce ojcowskiej z powrotem do Wilna. Nigdy nie był przekonany do racji ojca, dziwił się nawet listom, które obwieszczały, że się urządził od nowa, że dobrze się czuje, że odżył po przejściach w Polsce. Dziwił się, ale nie bardzo wierzył. Dlatego też mniej znacznie niż babkę zaskoczyła go rok temu wiadomość, że ojciec wraca. Nagle wydało się to oczywiste, najzupełniej zrozumiałe. Później dopiero, gdy minęła

już pierwsza radość przywitania, szukać zaczął także innych przyczyn takiej decyzji. Dla ojca Słupskiem była przecież tamta stacyjka, wysiłkiem własnych rąk przywrócona do życia. Wyrzekł się tej stacyjki, podążając za synem do miasta. Miasto przyjęło syna, ale czy nawiązały się więzi pomiędzy nim a ojcem? Może ich zabrakło, dlatego wzmogła się nagle tęsknota za rodzinną ziemią wileńską, nabrał racji zamiar powrotu nad Wilię?

Pacuk nie chciał odpowiadać na pytanie Wiktora. Wykręcał się, uchylał, najwyraźniej stawał się wtedy zmieszany, niepewny. Dopiero po powrocie z Mazur jakieś zahamowania pękły.

Zgadało się kiedy o Pawle. Pacuk aż z miejsca się zerwał, gdy usłyszał nowinę o śmierci Sekuły...

- I nic nie mówisz? I do Wilna nie napisałeś? Paweł nie żyje, od pięćdziesiątego pierwszego, powiadasz? Gruźlica?

Nie mógł ochłonąć. Dopiero poznał Wiktor, jak blisko był związany ojciec z tym chłopem. Kto wie, czy nie był to najbliższy mu człowiek poza rodziną? Aż łzy stanęły w oczach starego Piotra. Dopiero się posypały pytania, co z żoną Pawła i z dzieckiem, czy radzą sobie, czy Wiktor o nich pamięta. Niech wszystko opowie od chwili pogrzebu po dziś...

W dwa dni później stary wyprawił się do rodziny Pawła. Zabawił poza domem blisko tydzień. W tym czasie nadeszła z Moskwy wieść o śmierci Stalina, gazety pełne były wspomnień, odbywały się akademie, składano zobowiązania. Wiktorowi trudno szła nauka w tym okresie, zastanawiał się, jak to dalej rozwijał się będzie socjalizm bez duchowego wodza, ambarasowały dodatkowe roboty, trzeba było oczyścić teren wokół jednego z parków, który miał otrzymać imię Stalina. Wracał zmęczony, ogłupiały ogólnym poruszeniem, chwilami zdawało mu się, że przy okazji tej śmierci niejedni chcieli się popisać głośnym popłakiwaniem, przysięgami i publiczną manifestacją żalu. W domu padał zmęczony na łóżko albo zasypiał nad otwartą książką.

Pewnego wieczoru przepojonego mgłą i mżącym natrętnie deszczem pomieszany ze śniegiem - cała zima była podobnie niemrawa - ojciec, ledwie stanął w progu, oznajmił nową swoją decyzję. - Wraca na tamtą stacyjkę. Dość ma wielkiego miasta, dość wioski, w ogóle wszystko mu się przejadło. Tam choć będą te tory, które sami układali na ściąganych na własnych plecach podkładach, niewielki budynek, który otynkowali swoim przemysłem, choć żaden z nich nigdy przedtem nie parał się taką robotą.

Zdumiewał się energią ojca. W Wilnie ani w części nie przejawiał podobnej. Tkwili od zawsze chyba w tym samym ponurym mieszkaniu oficyny domu przy Nowogrodzkiej; pierwszą robotą ojcowską, gdy zgłosił się do niej jako młody chłopiec, były wyładunki na

towarowym dworcu, od pracy tej nigdy nie odszedł w poszukiwaniu czegoś innego. W ogóle był stały w upodobaniach i przyzwyczajeniach. Dopiero tutaj ruchliwy się zrobił, przerzucał się z zawodu do zawodu, wyjeżdżał, wracał, Wyklócał się, z kim mógł i o co mógł. Teraz wraca na swoją stację. A był czas, że i tam mu się przestawało podobać, marzył o wielkim ruchu towarowych pociągów. Kto by pomyślał, że w starym piecu diabeł talk będzie palił?

- Jakże tam u Losi Pawiowej?

Ręce starego ostro przecięły powietrze.

- Parę godzin tylko tam u nich byłem... - Niechętnie podjął temat, choć wyraźnie dawało się odczuwać, że musi się przecie wygadać. - Zaradziła sobie szybko, znajdując fatyganta, na dodatek stałego. Wydała się za tego ich sąsiada. Pętał się ciągle przy nich. Kto wie, czy jeszcze za Pawła czegoś nie było?... Że to babę zawsze musi gdzieś swędzić. Z brzuchem chodzi. Tyle jej tylko potrzeba. Co przywiozłem ze sobą, oddałem Tadkowi. Chłopaczek podrośł, mizerny tylko i chuderlawy, karmią go źle czy co. Pytałem po cichu. Chwalił tego nowego ojca, że dobry, stara się, pomaga, może ze strachu tak gadał; albo to co zrozumiesz? Ten sam dom, ogród, pole, drzewa i ule, graty w pokojach, ale i inne to wszystko, obce, nic tam z Pawła już nie zostało. Ona nadskakiwała, ten nowy fatygant też się starał, jak mógł, uśmiechał się, zęby szczyrzył, ale nie mnie na coś takiego nabierać... Kurewstwo, i tyle. W życiu raz jeden powinno się żenić czy tam wydawać za męża...

- Paweł sam kiedyś mówił mi o Władku, że chłop porządny, przyjaciel...

- Gadaj, ale nie mnie. Przyjaciel! Rogi podmajstrowywał z tej całej przyjaźni.

- Gadałem z nim po pogrzebie. Wspominał o słowach Pawła krótko przed śmiercią...

Tak jakby dawał im przyzwolenie.

- Gówno prawda. Żaden chłop, choćby i umierając, tego nie zrobi. Co tam zresztą będziemy gadać. Stało się, nie ma Pawła i tego nie odwrócisz. Chłopaczka tylko po nim trochę mi żal. Mówią, że dobrze się uczy. Na cmentarz razem poszliśmy. Nie powiem, pewnie ze strachu, by za wielkiego gadania ludzkiego nie było, płytę ładną zrobili, krzyż z kamienia, napis niczego sobie, krzakami grób obsadzony... Ten mały się rozpłakał, wspominając ojca, ja też pokapywałem łzami. W ogóle na cmentarzach robi się ze mnie baba. Na Rossie, jak do matki twojej przychodziłem, tak samo piekło mnie w oczach. Też ładnie tam zostawiłem, grób pierwsza Masa.

Opuściła Piotra poprzednia energia. Ścichł, ramiona zwisły wzdłuż ciała, patrzył przed siebie gdzieś w pustkę. Wiktorowi żal nagle zrobiło się ojca. Słusznie coś widzi czy niesłusznie, jedno pewne, drugiego podobnie uczciwego długo by szukać. Ta jego wierność dla matki. Stąd ta surowość w ocenie Losi. A cóż miała innego zrobić? Sama nie poradziłaby

z gospodarką. Może, prawda, trochę za wcześnie, nie zawsze wystarczy odczekać ten obowiązkowy rok i parę tygodni. Teraz jest w ciąży. Wszystko dobrze, byle nie krzywdzili Tadzika.

Przypomniała mu się historia tego imienia, pomyślał o Tadeuszu. Rozeszły się chyba ich drogi, właściwie to tak od śmierci Pawła. Jakby on łączył ich wszystkich ze sobą. Jemu to było potrzebne, skarżył się, że jest tak bardzo samotny, że się zagubił w połowie drogi. Dlatego garnął się do nich, ustawiał pomosty. Uczciwy był, może aż za uczciwy, stąd jego szarpanina i niepokoje, przez nie jednoczył ze sobą także jego i Tadeusza, nawracał do wspomnień, chwilami jakby chciał wskrzesić tamten wojenny czas konspiracji i walki, bo wtedy czuł się potrzebny, wiedział, ku czemu idzie. I do tej Polski nowej się rwał, nie z własnej winy dostawał od niej kopniaki. Źle trafił na ludzi, a przecież się nie załamał, trzymał się po swojemu do końca...

Tadeusz w Gdańsku, inżynier architekt, szykował się na specjalistę odbudowy zabytków. Ognie miał w oczach, gdy mówił o nich. Czy dzisiaj także jest taki? Jeden chyba z najodważniejszych ludzi, jacy byli w tej konspiracji. Może i on tylko tam umiał znaleźć własne miejsce, gdy można było sprawę widzieć bardzo jednoznacznie i prosto. Warto by kiedy napisać, wywiedzieć się bliżej, teraz tyle że kartki sobie wymieniają dwa razy do roku na święta...

- O co pytasz?

- Czy ten Tadeusz był na pogrzebie Pawła?

- Nie był. Depeszę przysłał, zaraz potem nadszedł i list. Już nie pamiętani, czym się tłumaczył, ważne szczególnie sprawy.,

- Inteligencja, oficerzyna, zawsze mówiłem. Taki był wielki Pawła przyjaciel, ale gdy ten już odszedł, to od razu rodzina jego zrobiła się niepotrzebna... Ważne Sprawy, taka jego mać.

- Daj, ojciec, spokój. Sam lepiej ode mnie znasz Tadeusza, kiedyś go tylko chwaliłeś, tam w Wilnie. Za Czeška czemuś go winisz, jakby miał on cokolwiek wspólnego z tą śmiercią...

- Jak nie on, to jemu podobni... A może i nie, boli mnie to, wtedy i gadam niesprawiedliwie. Czort tam w końcu co wie... Dość już o tamtych. Ty co tutaj robiłeś przez ten czas? Stalina oplakiwałeś?

- Coś jakby takiego...

- Bo ja przyglądałem się, jak przy kolektywizacji wygląda na wiosce...

- Uspółdzielczaniu...

- Jak zwał, tak zwał, na jedno wychodzi... Ty wiesz, że tam są niektóre wsie tak nietania! puste jak zaraz po wojnie? Jak zaczęli chłopów naciskać, to ci, co anieli jeszcze coś w Polsce, pognali cichaczem na stare swe śmieci... Inni z torbami wyszli, niby kułacy, też nocą zwiewali, bo za podatki nie płacone groził kryminal... Tylko nasi, zza Buga, tu siedzą, nie mają gdzie więcej uciekać. I co, nadal będziesz mówił, że cała przyszłość w produkcyjnych spółdzielniach?

- A żeby ojciec wiedział. Tylko że to inaczej trzeba by je zakładać...

- Czort swoje, baba swoje... A ja też swoje wiem. Chłopa naszego nie ruszać, bo się w ogóle wszystko rozpieprzy i ostami ziemia zarośnie. Nie tak?

- Nie... Zostawmy na inny raz, mam jeszcze dużo do nauki. - Rozzłościło go to, nie miał ochoty na dalszą rozmowę, trochę mu już brakowało argumentów. Sam przecież widział, każdej jesieni pół miasta ruszało na akcję żniwną. Do PGR-ów, coraz ich się więcej tworzyło; trzeba było uprawiać gospodarki porzucone przez chłopów. Ale i do spółdzielni. Nieliczne były, które sobie radziły, inne rozsypywały się, nikogo w nich nic nie obchodziło. Na robotników jadących z pomocą patrzano tam trochę jak na wariatów, ale radzi im byli. Często stali z boku popatrując, jak ci harowali za siebie i za nich... Ale przecież była i ta spółdzielnia, tuż niemal pod Słupskiem, zupełnie inna. Tylko że tam zjechała cała grupa, przejęła część ziemi od PGR-u, od razu zaczynała na wspólnym.

I znów zaczęły się dni, kiedy nie obywało się bez wieczornej rozmowy z ojcem. Stary podjudzał, drażnił, wyciągnął jakieś przykłady, a patrząc umiał, zdawał się zwać na syna winę za każde zło. Wtedy musiał ulec tej prowokacji, odpowiadał, złościł się, denerwował, na koniec przestawał widzieć sens tak w racjach ojcowskich, jak w swoich własnych.

Piotr, jakby się domyślając tego chaosu, kończył po swojemu dyskusję:

- Że ciebie nie zaproszą od nowa do partii... Za taką agitację kieszenie by ci złotem napęlić. Żebyś to jeszcze ojca własnego przekonał...

Któregoś wieczora Wiktor wybuchnął. Nie mógł sobie poradzić z matematyką, jej bał się najwięcej przed zbliżającym się egzaminem. Miał dużo do przerobienia, a tu znów ojciec odkładał gazetę, by zacząć dyskusję.

- Po cholere ojciec mnie drażni? Żebym inteligentem nie został, bo wtedy zdeklasuję, się czy jak? Sam widzę, że tu w niejednym inaczej idzie, niż sobie myślałem, niż ludzie sądzili, ślepy nie jestem. Ale ja złego nie naprawię, a skakać zacznę, to prędko zrobią ze mną porządek. Zabrałem się do nauki, chyba najmądrzejsze. Taki sam ze mnie robotnik jak iż ojca, ja się tego na pewno nie wstydzę, ale chyba także nie wstyd się czegoś nauczyć? Przed wojną nie miałeś mnie za co uczyć, od razu trzeba się było zaciepać o pracę. Dziś mam tę szansę.

To też może źle według ciebie? A w ogóle jak tak na wszystko się krzywisz, czegoś z Wilna po raz drugi przyjeżdżał? Żeby mnie tylko życie utrudnić, wykołować do reszty?

Patrzył na syna, jakby go nie poznawał. Wreszcie wstał, czemuś opadły <mu nagle ramiona, zmalął, wyglądał w tej chwili żałośnie.

- Głupi jesteś, Wiktor. Jak dotąd, niewiele zmadrzałeś od swojej nauki. Ja nie chciałbym, abys się uczył, ja?... Klniesz, że krytykuję, że narzekam. Pytasz, czemu przyjechałem z powrotem, skoro raz stąd uciekłem. Kiedy indziej ci powiem. A kłąć będę tak długo, jak długo będzie mnie boleć jedno czy drugie, czy trzecie. Bo pojmiij wreszcie, że jeśli gadam, to tylko dlatego, że mnie to boli. I jeszcze jak boli. Ja wcześniej, Wiktor, od ciebie nosiłem w klapie czerwoną kokardkę. I ciągle ją noszę. I nie lubię, jak mi pod nią wpychają to, co się tam nie mieści.

IV

Upiekło się. Ostatecznie nic się wielkiego nie stało, tyle że chłopak będzie kulał do końca życia. Mogło być gorzej, gdyby tak zamiast drewnianej rąbnęła go żelazna belka. Kwiczał pod gruzami jak szczeniak, mazał się łzami. A przedtem też należał do największych krzykaczy, groził, do bójki się rwał.

O zatuszowaniu sprawy zdecydowało, że była to właśnie brygada pracy zetempowska, choć też nieściśle, bo na sześciu dwóch nie należało do młodzieżowej organizacji. Ale gardła i ta para miała nie gorsze od innych. Pracować umieli, jeśli mieli na to ochotę. Gdyby nie te kanty, nie przepychanie się na siłę przed innymi, podchwytywanie najlepszych stanowisk, no bo oni to młodzież, brygada, współzawodnictwo...

Wiktor wszakże oberwał za swoje. Wezwano go do Urzędu Bezpieczeństwa. Wypominano przy okazji to i owo. No i w ogóle, żeby ostatni raz. A młodzieży trzeba więcej pomagać, zadbać, zatroszczyć się, zrozumieć, że z niej rośnie siła socjalistycznej Polski. Uznano jednak, że wina tamtych była bezsporna.

Brygadzysta, sprytniejszy od reszty swojej kampanii, zaraz drugiego dnia przyszedł do Wiktora. Nawet czapki nie zdjął, ręce tylko zatarł, oznajmił dosyć kategorycznie:

- Znakiem tego, szefie, na miejsce Grzelaka przyjdzie do nas teraz Jurkowski. Bierzemy się od nowa, wie pan, może tamten domeczek z frontu? Ulicę się zamknie, cegielka dobra, zaprawa lekko odchodzi, pójdziemy na potrójną normę...

- Tam miał iść Mackiewicz ze swymi.

- Znowu pan stawiasz się? Przeciw młodym? Szef czasami jak dziecko. Partia i my,

jako jej pomocnik, awangarda młodzieży, chcemy nie żałować wysiłków, kraj potrzebuje, a szef tymczasem stajesz okoniem. Już pogadują chłopcy, że trzeba by rezolucję przeciwko panu, jakże to tak?

- Zastanowię się, teraz nie zawracajcie mi głowy, Rolecki, mam kupę roboty z obliczeniami.

- Może być jutro, nam mucha, dziś i tak fajrant. Z obliczeniami żeby szef znowu się nie pomylił...

Gdy Rolecki wyszedł, Wiktor długo jeszcze patrzył na zbite z desek drzwi przepierzenia baraku. Dygotał ze złości. Taką miał ochotę spruć pętaka po pysku. W ZWM-ie inaczej było, cwaniacy tam nie rządzą. Teraz pętaki rozpanoszyły się całą gębą, hukiem biorą. Normę zawsze przecież Rolecki naciąga, podaje złe obliczenia. Gdy mu je sprostuje, drze gębę, aż na całą ulicę słychać. I w końcu trzeba usłuchać, nic nie pomoże wojowanie.

Cała ta jego brygada przy rozbiórkowej robocie to jedno nieporozumienie. Teraz wypadek miał Grzelak, następnym razem może gruz przysypać, całą brygadę. Zabezpieczeń żadnych nie mają. Pchają się, gdzie najłatwiej, ale pchają z ryzykiem. Drą ku ziemi cale ściany, szarpia kominy, niebezpiecznie podłazą pod osypujący się gruz. Ostrzeżenia to groch o ścianę. Mają je gdzieś. Byle norma, byle więcej. Cegła nie oczyszczona dobrze, połówek więcej niż w innych grupach, zostają za nimi w ogóle nie ruszone rumowiska, gdzie praca jest bardziej czasochłonna. Śmieją się: „To niech stare pryki grzebią się po nas, my, awangarda robocza, zawsze na przodzie.”

Wyciągali po trzy, cztery tysiące. W całej budowlance nie było lepiej zarabiających. Popijali też zdrowo; często w trakcie roboty, skryci gdzieś w na pół zasypanej piwnicy, odbijali korek. I znów na zwróconą uwagę chóralny wrzask: „Piwo! Albo nie można? Czego szef się nas czepiasz? Polska Ludowa ci może niemiła?”

„Ach wy, sukinsyny - myślał ściskając ręce w bezsilnej pasji. - Wy krzycicie o kadrze, o awangardzie, o socjalizmie? Żebyście choć wiedzieli, co się kryje za tymi słowami. Żebyście choć trochę byli podobni do chłopaków, którzy pracują przy budowie hali dla zakładów meblowych. Też brygada pracy, też ich ciągnie współzawodnictwo, też z ZMP jest tam paru. Ale ci orzą naprawdę, więcej, wojują z innymi w imię dobra roboty, już parę kantów nakryli, na ich gwałt nie dało się zatuszować, nawet Klidecki dostał przeniesienie na gorszą robotę, mniej płatną. A zdawałoby się, tego nikt nie potrafi ugryźć.”

Z tamtymi solidaryzował się, potrafiłby znaleźć wspólny język. Ale nie z tą cwaniacką zbieraniną. Można było przewidzieć sprawę Grzelaka, można przewidywać i dalsze. Durnie, nie wiedzą, jaką cenę ma życie. A jak im łatwo te wielkie słowa z gardeł wychodzą: „Polska”,

„socjalizm”, „praca”, „współzawodnictwo”... Jacy są pewni poparcia, tego, że ich na pewno wszędzie we władzach wezmą w obronę. Bo i jakaż - władza chciałaby się narazić na zarzut, że hamuje w pracy zetempowską brygadę?

Jednego nie mógł Wiktor im odmówić: odwagi, choć głupiej często, bezsensownej. Rwali się na chwiejące się ściany, nie patrząc, że cegły usuwają się im spod rąk, wałą z hukiem na ziemię. Ściągali kominy krótkimi linami, byle prędzej, byle mniejszym wysiłkiem. Jak koty łazili po gzymsach, po szczytach dwupiętrowych domów, ten sam Rolecki stójkę na rękach kiedyś wykonywał nad samą przepaścią jemu, Wiktorowi, na złość: dostrzegł z góry, że szef nadchodzi. Tylko czy taka idiotyczna odwaga ma jakieś znaczenie?

Znów była jesień. I nic się nie zmieniło. Cóż z tego, że skończył technikum? Miał w kieszeni świadectwo dojrzałości zdobyte w trzydziestym roku życia. Zaraz w czerwcu zgłosił się do naczelnego inżyniera, zawiadomił o ukończonej nauce, pokazał świadectwo, prosił o przeniesienie do innej pracy, ciekawszej niż to rozwalanie miasta do reszty. Przecież przedsiębiorstwo prowadzi parę budów w samym Słupsku i w niedalekiej okolicy.

Kazał mu dyrektor napisać wniosek i dołączyć życiorys. Jeszcze raz, kilka takich leżało już przecież w teczkach personalnego. I nic. Odmowa. A jeszcze parę tych przyjemnych rozmówek. Bo zarazem odrzucili jego wniosek o reaktywowanie w członkostwie partii. Zbiegło się to, dużo mu krwi napsuło. Nawet ojcu słowem nie wspomniał. Dopiero miałby stary okazję wydziwiać. On zaś, kto wie, czy nie przyznałby mu już racji we wszystkim. Nie tyle wbrew faktom, bo te jakoś pokrywały się z ojcowskimi teoriami, ale wbrew sobie. Jeszcze wierzył, jeszcze chciał widzieć sens choćby swojej kampanii wojennej, głodnych i chłodnych dni i nocy w walkach z upowcami, pierwszego entuzjazmu, gdy po powrocie do cywila rozpoczął pracę...

Ktoś w kancelaria powiedział mu przed tygodniem, jeszcze przed wypadkiem Grzelaka to było, że jest uparty. Bo do nowego dyrektora znów powędrował jego wniosek. Tyle że bez życiorysu, tym razem tego nie zażądano. Czyżby i teraz miało się skończyć tak samo? Poprzedni dyrektor czekał w kryminale na rozprawę sądową, razem z głównym magazynierem i paru kierowcami. Przeholowali, pod wagonami lewej cegły do lewych odbiorców zaczęli pchać na Warszawę żelazo. Dźwigary, pręty zbrojeniowe, płaskowniki. Nakryła sprawę jakaś lotna grupa kontrolna z tejeż Warszawy, inaczej może stuszowano by to i owo na miejscu, nie byłoby w każdym razie aż takiego alarmu. Są teraz nowe władze w budownictwie, ale czy to cokolwiek zmieni? A jeszcze, że nowy dyrektor to bezpartyjny. Potrzebny był inżynier, z członków partii na miejscu nie było takiego. Czy ten nowy w tej sytuacji potrafi coś zdziałać? Zaraz go zagłuszą, zakraczą, zakrzyczą.

Jak i jego samego zakrzyczeli. Było to po ostatnim plenum, po głośnej sprawie gryfickiej. Natchnęło go to mocną otuchą. Zatem jest tak, jak sądził poprzednio. Miejscowi kacykowie poczynają sobie bezprawnie, szarogęszą się, dla wykazania się gorliwością potrafią krzywdzić ludzi. Ale przecież nie są wszechwładni, niezmienni. Inaczej się widzi na górze te sprawy. W Gryficach kilku ludzi zostało pozbawionych stanowisk i będą odpowiadać przed sądem. Za nacisk stosowany wobec chłopów nie mających ochoty zakładać produkcyjnych spółdzielni...

Zechciał połączyć się znowu z tymi, którzy walczą o naprawę, dopomóc, by więcej było uczciwych, pełnych zapału. Na pewno mógłby dać z siebie wiele, wyklócałby się o to, co lepsze, o sposoby działania, o prawdę. Z ubocza, jak teraz, ma ograniczone możliwości. Nie dostrzega też w całej rozpiętości wszystkiego, trudno mu walczyć z narzekaniami. Złożył wniosek o przyjęcie do partii, a właściwie o przywrócenie mu praw członkowskich. Sądowej sprawy mu wtedy nie wytoczono, okazało się wszystko omyłką. Teraz, mając za sobą dyplom technika, chciałby swoją wiedzę, swoje możliwości poświęcić sprawie. Więc prosi.

Miesiąc przeminął bez echa. Baz i drugi zagadnął przy spotkaniu sekretarza podstawowej organizacji przy przedsiębiorstwie. Tak, tak, myślą o tym, było wiele ważniejszych spraw, ale już niedługo zadecyduje się, poproszą go na zebranie. Uśmiechał się sekretarz, życzliwy był, Wiktor już gotów był sądzić, że zebranie stanie się zwykłą formalnością, przedtem rzecz rozważono dokładnie.

Na zebranie zjawił się starannie ubrany, w najlepszym garniturze, z dobrze zawiązanym krawatem, w błyszczących butach. Wraz z paru innymi kandydatami długo czekać musiał na dworze, zebranie odbywało się bowiem w największej salce baraku, inne pomieszczenia biurowe dawno były zamknięte. Czekając zmokli i zmarzli, dzień chłodem przenikał, rozpadała się na dobitkę mżawka. Odetchnęli, gdy pojedynczo zaczęto ich zapraszać na salę. Wychodzili udęczeni, długo z każdym to trwało, nawet do gadania nie zdradzali ochoty.

Wtedy zaczął się denerwować. Czy zbyt różowo nie widział już swojej sprawy? Różnie, jak słyhać, zdarza się przy publicznym wygłaszaniu życiorysu...

- Wiktor Pacuk.

Odetchnął. Najgorsze jest zawsze czekanie.

Tym razem omylił się. Najgorsza była ta spowiedź, a właściwie pytania. Plątał się, pocił, czuł, jak rumieńce mu wybijają na twarz, gdy możliwie dokładnie referował swe życie. Kiwali głowami, przynajmniej ci z pierwszych miejsc, dalszych twarzy zresztą prawie nie widział w przyćmionym świetle i w kłębach dymu papierosów.

- Czy są, towarzysze, jakieś pytania? - Sekretarz powiódł po zebranych zmęczonym spojrzeniem.

- Ja mam. Żeby nam Pacuk dokładnie raz jeszcze powtórzył, jak to było z AK i potem...

Więc od początku. Wilno, jak wyglądała tam konspiracja. Partyzantka radziecka rzadziej tam zaglądała aniżeli gdzie indziej. Że jedną właściwie szansą walki z Niemcami było AK...

- A właśnie! AK!... Z paniczykami się szło...

- Nie przeszkadzajcie, niech mówi.

A więc starcia z żandarmerią hitlerowską, akcje specjalne na gestapowców. Ostre boje z oddziałami esesowców litewskich. A potem atak na Wilno. A jeszcze potem sprawa internowania. Jego ucieczka. Wstąpienie do II Armii, udział w walkach, odznaczenia, Virtuti Militari, Krzyż Walecznych...

- Znamy takich. Wszystko, aby zamaskować swoje prawdziwe oblicze...

Tego pokrzyku już nie wytrzymał nerwowo.

- Nie wiem, gdzie był wtedy towarzysz, który mnie tak oskarża. Dla maskowania nikt życiem nie ryzykuje, nie otrzymuje też ran. Do dziś mam ramię sztywne. W Bieszczadach też pokazałem swoje oblicze. A jak tam było, powiedziec tylko mogą ci, co razem walczyli z UPA.

- Pewnie, lepiej było bić się w Bieszczadach, choćby po to, żeby nie walczyć z polskimi faszystami w Lubelskiem czy Białostockiem. Znamy to.

- Towarzysze, spokój - zdenerwował się sekretarz.

- Ja chcę o coś zapytać towarzysza, Pacuka. Przy tym aresztowaniu okazało się, że towarzysz nie miał zupełnie nic na sumieniu? - podniósł się mężczyzna z grupy rozbiórkowej.

- Nic. Powiedziano mi tylko, że źle zrobiłem, iż się nie ujawniłem w wojsku z poprzedniej przynależności do AK.

- To zrozumiałe na tle tego, co usłyszeliśmy... Towarzysz przed aresztowaniem był członkiem egzekutywy podstawowej organizacji? A jeszcze przedtem należał do ZWM?

- Tak.

- Majchrzak, nie rozgrzeszajcie tak łatwo.

Starszy robotnik obrócił się do autora krzyku.

- Nie rozgrzeszam, tylko uczciwie oceniam postawę towarzysza Pacuka. Po mojemu, mocno związał się z Polską Ludową, od samego początku.

- Potem będziecie mówić, jak poprosimy kandydata, żeby pozwolił się nam naradzić -

uciał sekretarz wywód.

Nie trwało czekanie tak długo. I nie spodziewał się Wiktor innej decyzji jak odrzucenie jego wniosku. Nie dawał swoją przeszłością gwarancji, że godnie potrafi nosić tytuł członka partii.

Podanie oddalono.

Z trudem wtedy się opanował, żeby nie trzasnąć im w twarz parę mocnymi słowami. Jacyż czujni! Podał któryś nawet w wątpliwość jego postawę moralną, przypomniał, że zbumelował z roboty, miał jakiś romans w Ustce z kobietą obcą klasowo, że się trzyma samotnie, izoluje od otoczenia, nosa zadziera, ma się za coś wyższego. Ostatecznie skończone technikum nie świadczy o wszystkim. Jest wielu towarzyszy, którzy ledwie szkołę podstawową skończyli, ale umieją podolać najcięższym placówkom, mają zaś rozum i rozeznanie talki e, że starczy go na dziesięciu inteligentów, a cóż dopiero techników... Osłupiał, zaskoczony, rozgniewany bez reszty. Najgoręcej zaś kłął od ostatnich samego siebie. Diabli mu kazali składać ten wniosek. Teraz dopiero pognębiono go ostatecznie...

Straszliwie się upił tamtego wieczora. Chlał z jakimiś nieznanymi, całował się z nimi, wymieniając swe imię. Były jakieś dziewczuchy, z jedną poszedł potem zataczając się do jej domu, tam spał. Niewiele to zresztą pomogło na zmniejszenie uczucia krzywdy, upokorzenia, a nade wszystko niesmaku. „Więc tak - myślał - tam gdzieś są szlachetne cele, jakaś wielka idea, a tutaj ludzie pokornie przyjmujący wyolbrzymione hasło czujności, nie Umiejący dostrzegać człowieka poza tanimi sloganami.” Był w AK. To wystarczało, aby lekką ręką przekreślić żołnierską służbę przez tyle lat, rany, odznaczenia, późniejszą aktywność w ZWM i w partii. Bez żadnej dyskusji. Ten jeden, Majchrzak, który próbował zabierać głos w jego obronie, został ostro zagaszony. Paru krzykaczy gardłowało, reszta milczała.

Później dopiero, zdał sobie sprawę, że było coś jeszcze. Ironicznie, z pasją wykpił jego ubranie, wyczyszczone buty, a najbardziej krawat. Że nie po robociarsku, nie po partyjnemu, że nieklasowo... Albo o technikach i o inteligentach. Tak, dawno drażniła ta jego nauka. Nikt w to nie wglądał, jak niełatwo mu przychodziło, jak trawił noce, niewyspany szedł do roboty, jak wielu sprawi nie mógł pojąć i długi czas rozgryzał je mozolnie, z uporem, z jednoczesną walką ze zwątpieniem we własne zdolności, w sens całego tego wysiłku. Czy naprawdę miało to sens? Jest technikiem, i co? Odsuwają się od niego, jakby stał się sparszywią owcą. Razi ich jego technikum. Sami nie mieli możliwości, a często ochoty zdobyć się na wysiłek. Ci właśnie czepiają się krawata, czystych butów, umiejętności dokonania na budowie skomplikowanych obliczeń. Do inżynierów nie mają takich pretensji.

Ci przyszli niejako z zewnątrz, nie wywodzili się spośród nich jak on. Jeden spośród tych w budowlance zdobył się na harówkę nad książkami. Dlatego boli ten krawat. Wszystko boli, nawet romans z Haliną boli. Któż to z tym się wyrwał, jak nie ten sam Waldek, zbrojarz, który na plaży w Ustce chwalił się mężatką z prywatnej inicjatywy? Ale wtedy byli równi, a teraz zmieniły się role; nieważne, że Waldek zarobi trzy razy tyle co każdy technik. Ważna ta zawiść, zazdrość przesłaniana wielkimi słowami, troską o czystość szeregów...

To były ciężkie dni. Jeszcze dodatkowym gwoździem do trumny stała się odmowa przeniesienia do innej pracy. Zostawała jedynie ta „rozibieranka”, przeciw której coraz więcej się podnosiło wśród ludzi protestów.

- Zdarzyło się jednak i coś jaśniejszego. Następnego dnia po odrzuceniu jego kandydatury podszedł do niego przy robocie Majchrzak, ten, który go bronił na zebraniu partyjnym. Uśmiechnął się trochę niepewnie:

- Nie przejmujcie się, kierowniku. Do końca stałem za wami, aż mnie zakrzyczeli, że mam skłonności do odchylenia. Wtedy umilkłem, wiecie, z tym żartów nie ma... Chcę wam coś innego powiedzieć. W partii byłem przed wojną. Wiele widziałem, różnie się działo, bardzo dobrze i bardzo źle. Z towarzyszami też bywa różnie. Na tym zebraniu nie ja jeden podobnie myślałem, ale inni bali się nawet słowo powiedzieć. Nie tak pojmuję dyscyplinę partyjną, ale jakże to im wytłumaczyć. Zmieni się, musi pójść ku lepszemu. Wtedy znów złożycie wnioski...

- Więcej nie złożę. Nie będę się łaski dopraszał.

- Może i nie złożycie. Ale będziecie musieli inaczej spojrzeć na wiele spraw... Nie mogłem was bronić, tak, jak chciałem. Już poprzednio, jeszcze przed Gryficami, oberwałem za wątpliwości, jak jest z tą spółdzielczością. Potem za uwagę, że zastój na ziemiach zachodnich. Że defetysta jestem i nie widzę, jak bardzo wiele się robi. Teraz doszło niemal odchylenie... Przeczekam, wyprostuje się linia partii, będę mógł inaczej mówić i myśleć...

- Dziękuję wam, Majchrzak. Wiele dla mnie znaczą wasze słowa. Ale ja o tamtych nie chcę już więcej myśleć; Nazbyt to boli. Z kopytami w serce włazili. We wszystko. Krawat ich raził, radzi by, abym się na nim powiesił.

- Żal wami szarpie, dlatego tak ostro mówicie. Zmieni się, musi się zmienić, mówię wam, jakem Majchrzak... Słuchajcie, kierowniku, jeszcze jedno. Po fajrancie paru z naszej wiary chciałoby golnąć z wami kielicha. Nie, nie w knajpie, wyjdziemy sobie nad Słupię, dzień ładny, można się położyć, pogadać, pośmiać... Za daleko od nas jesteście, wiem, to przez naukę...

Poszedł. Trzech ich było, dwaj starsi i jeden młody. Trochę wódki, na gazecie

kaszanka i wątrobianka, chleb w grubych pajdach. Mocne słońce, choć już jesień, ciepło, dobrze, uczucie, że jest się między swoimi. Ani takimi, jak ciągle krytykujący ojciec, ani takimi, jak ci, z młodzieżowej brygady, ani takimi, jak najgorsi krzykacze na zebraniu partyjnym. Ale chyba na tej trawce najwięcej i najszczerzej się myślało o sprawach kraju. Nie tylko Słupska, kraju całego. Z troską. Czasem żartobliwie, z zacięciem, z dowcipem.

Wracał do tego wspomnienia i do towarzystwa Majchrzaka i jego kompanów z ulgą, z nadzieją wytchnienia. Zwłaszcza zaś wtedy, gdy się zaczęły kłopoty z młodzieżową brygadą Roleckiego, gdy zdarzył się wypadek z Grzelakiem, jak wtedy, gdy starał się przyjść z pomocą Jurkowskiemu i nie bardzo wiedział, jak ma to zrobić.

Jurkowski przyszedł do niego po spóźnionym fajrancie w jakieś trzy tygodnie od swego wstąpienia do brygady Roleckiego. Zaczynało się zmierzchać, już i dni były znacznie krótsze, a jeszcze się zachmurzyło, szło wyraźnie na deszcz. Wiktor został w przenośnym baraku, przesuwanym z miejsca na miejsce w miarę postępów „odgruzowania”. Zamierzał podsumować na bieżąco stan robót. W ciągu dnia nie miał na to zupełnie czasu, już samo pilnowanie zwariowanej brygady przed szaleństwami potrafiło dość absorbować. Dlatego niechętnie spojrzął na niewielkiego, czarniawego chłopaka, włączającego bez pukania do służbowej dyżurki.

- Kierowniku, na parę słów, można?

- Gadajcie, byle szybko, mam tu jeszcze kupę roboty.

- Jeśli się da, postaram się. Bo to głupia sprawa... Nie myślcie, że chcę naskakiwać na kogoś. Obchodzi mnie to czy nie obchodzi, ja za szpicla nie będę... Kierowniku, przenieście mnie gdzie indziej, pieprzę tę całą brygadę Roleckiego. Tyle chciałem powiedzieć.

Przyjrzał się chłopakowi uważnie. Był i speszony, i zadzierzysty zarazem. Wyglądał Jurkowski na takiego, który nie daje sobie w kaszę dmuchać. Pewnie pozarli się z sobą chłopaki, jest zły na tamtych i chce zwiewać gdzie indziej.

- A co wam przeszkadzała? To przecież przodownicy pracy. Najlepsze wyniki w robocie i najwyższe zarobki. Gdzie indziej takich nie otrzymacie. Więc jak, chcecie naprawdę odejść?

- Chcę. Albo w ogóle machnę wszystko, ale z nimi robić nie będę. A z tą robotą też niezupełnie tak jest, jak mówicie... Jak się ma najlepsze punkty robocze, jak się nie oczyszcza terenu, zostawiając to innym, jak... Co ja zresztą będę wam gadał. To jak, przeniesiecie mnie?

Wiedział już, że przeniesie, w duchu przyznawał, że choćby temu Roleckiemu na złość to zrobi. Z drugiej strony jakaś przekora kazała mu droczyć się trochę z czarnym chłopakiem.

- Rolecki będzie wydziwiał, gwałt robił, że mu się rozbija brygadę.

- Kierownik boi się, żeby go znów nie opieprzyli w dyrekcji, nie?

- Głupiś.

- Głupimi to pan innych nazywaj. Jak mi kto coś takiego powtórzy drugi raz, to ramię go w ucho, i tyle.

- Pożarliście się z Roleckim?

- Z nim. I prawie z całą resztą. Bo Wiecha się nie liczy. Chłop przyszedł z wiochy i będzie się trzymał każdej roboty, a jeszcze jak dobrze płatna... Pożarłem się, bo to nie można? Kierownik, nie róbcie ze mnie balona. Wy wiecie i ja wiem, w czym rzecz. Taką brygadę to ja... sami już wiecie. Więc jak? Bo cholera mnie nosi.

Do okna z przeciwległej strony szyby zajrzała jakaś twarz. Wiktor uśmiechnął się, za decyzją Jurkowskiego kryła się najpewniej niezgorsza granda.

- Dobrze, przeniosę was od jutra. Tylko na drugi raz hukiem mnie nie bierzcie, bo też nie lubię - powiedział ostrzej. - To oni na was popatrują zza okna? Wiedzą, z czym tutaj przyszlście?.

- A oni. Wiedzą, bo im sam wyrąbałem w oczy, że z takimi łachmytami robił nie będę. Ani w jednym kole ZMP też nie chcę z nimi być.. Ja, to, no, wiecie co...

- Dobra, dobra, idźcie już. Tylko nie wiem, czy nie przydałby się wam teraz mocny charakter w nogach. - Za oknem znów jakaś twarz.

- Kicham... Nie ze mną im wojować. Widzicie? - wyszarpnął z kieszeni jakiś przedmiot, szczęk, wyskoczyło ostrze sprężynowego noża.

A jednak nie zdało się ani kichanie, ani nóż sprężynowy. Rano nie mógł Wiktor znaleźć Jurkowskiego na placu, w południe zaś nadeszła wiadomość, że jest w szpitalu, ciężko pobity ze złamanymi zębami. Sprawa była jasna. Wiktor poszedł do Roleckiego.

- Co się stało z Jurkowskim? Był wczoraj u mnie z prośbą o przeniesienie, a dzisiaj dowiaduję się, że leży w szpitalu, ciężko pobity. Nie wiecie nic?

- Skakał gówniarz, to się musiał doskakać. Co was tak to ciekawi? Zostawcie sprawę milicji.

- Wiecie, czemu? Wczoraj wy zaglądaliście przez okno, Widziałem. I wiem, komu zależało na pobiciu chłopaka. Daleko nie zajedziecie.

- Ty, sukinsynu, na nas zrzucaasz? Widziałeś, jak biliśmy? Już my cię urządzimy.

Nie mógł się dalej rozpędzić. Miał Wiktor tę wprawę, w partyzantce znali go z ciosu. Raz Niemca ogłuszył na ulicy jednym uderzeniem pięści. Rolecki też się nakrył nogami. Jeszcze zgramolił się z ziemi, próbował skoczyć na przeciwnika. Znów cios, nieco słabszy

tym razem. Ale na odurzone, niepewne równowagi ciało wystarczyło i tyle.

Dopiero się Wiktor rozejrzał. Świadcami byli tylko ludzie z brygady. Najbliżej stał ten wielki chłop ze wsi. Z uznaniem, uśmiechnięty, kiwał głową, też musiał mieć swego brygadzysty powyżej uszu. Pozostała trójka zbliżała się jakimiś kocimi ruchami..

- Uważajcie, chłopaki. I z wami poradzę. A Rolecki, słyszeliście, za co oberwał. Powiedzcie mu potem, żeby ze mną nie próbował, bo machnę już całą siłą. A ja Niemców waliłem jednym pogłaskaniem na trupa.

Zawrócił, poszedł. Czekał krzyku jakiegoś, kamienia czy cegły. Nic. Cisza, tylko pojękujące stękanie Roleckiego. I potem, jakby podsumowanie, głos niezgrabnego chłopca, pełen zachwyty:

- Ale, kurwa, ma cios!

Słyszając to, musiał się Wiktor uśmiechnąć. Zdawał sobie sprawę, że wplątał się w grubszą awanturę. Mogła się objawić na różnych frontach. Jakimś oskarżeniem o szykanowanie i bicie zetempowców, co może nieźle zabrznieć łącznie z opinią o jego akowskiej przeszłości. Pobiciem, tak jak Jurkowskiego. Tego jednak mniej się obawiał. Licho wie, czym jeszcze. Z przyjemnością stwierdził, że wszystkie te możliwości, zamiast zatrwożyć, sprawiły mu osobliwą uciechę. Lubił, jak coś się wokoło działo.

Minęło od tego wypadku zaledwie trzy czy cztery dni. Odwiedził Jurkowskiego w szpitalu. Gdyby nie to, w ogóle by o całej sprawie już nie pamiętał. Przestał się nawet wystrzegać.

Dosięgnęli go w klatce schodowej własnego domu. Nagle odczucie, że ktoś się na niego tu czai, choć ani co dojrzeć można było, ani usłyszeć. Przystanął. Cisza. Jeden stopień, drugi, na trzecim uderzenie w lewe, wrażliwe ramię. Krzyknął, uskakując ze stopnia, jakby przez mgłę drugi cios w głowę, zupełnie ogłuszający, świadomość staczania się ze schodów, nic więcej.

Zabrało go pogotowie. Przez parę godzin nie mógł wrócić do przytomności. Szpital, jak na ironię, ten sam, w którym dopiero co odwiedzał Jurgowskiego. Tyle że na innej sali.

Milicja nie mogła niczego dojść. Wiktor uczciwie zeznał, że nie słyszał nic, ani głosu, ani nawet jakiegoś szmeru. Fachowo się to odbyło. Niemniej jednak podejrzenia sformułował wyraźnie. Nie pomogło. Okazało się, że brygada ma doskonale alibi. Do późnego wieczora zasiedzieli się u jednego spośród nich, omawiając sprawę, jak zwiększyć wydajność pracy. Rodzice chłopca potwierdzili. Rolecki umiał się zabezpieczyć.

Jeszcze ze szpitala skierował Wiktor dodatkowy wniosek do dyrektora o przeniesienie z odgruzowania do innej pracy. A potem już tylko kurował się. Uderzenia były poważne w

skutkach, i tak szczęście, że mię rozbiły mu głowy. Przychodził ojciec, raz przydreptała babka, a jakże, z garnkiem po brzegi wypełnionym „zeppelinami”. Zjawił się też Majchrzak wraz z drugim kamratem z budowy.

Potem okazało się, że w budowlance nie ma innej pracy dla Wiktora. Poczytał to za szykanę, z trzaskiem pożegnał się z przedsiębiorstwem. Parę tygodni tkwił bez roboty, szukając takiej, gdzie czułby się dobrze. Chciał trafić w zgraną kompanię, a nie do zbieraniny jak poprzednio. Z tym nie było łatwo. Zaczynała mu przeszkadzać jego specjalność. Prac dla technika budowlanego ani w zakładach mechanicznych, ani nawet w wielkiej meblami „nie było. Podobnie na kolei. Na zwykłego robotnika też nie chciano go przyjąć. Jakże, z maturą. A jeszcze to chore ramię.

Zaczął się rozglądać za prywatnymi robotami, trzeba było wszak z czegoś żyć. Ale i tutaj panowała posucha. I wtedy nadeszło wezwanie od dyrektora budowlanki. Poszedł niechętnie, bardzo dalekie stało mu się przez ten czas to dziwne przedsiębiorstwo.

Niespodzianka. Nareszcie rysuje się okazja porządnej roboty., Czy Wiktor zgodziłby się objąć kierownictwo budowy mleczarni, kilkanaście kilometrów za Słupskiem? Wykopy pod fundamenty zrobiła miejscowa ludność w czynie społecznym. Od razu można zaczynać z całym rozmachem.

Zgodził się na ślepo. Nareszcie pierwsza bardziej samodzielna, zgodna z zawodem praca, a nie jakieś obijanie się przy liczeniu starej cegły. Dopiero nieco później zjawiła się refleksja.

- A jaka załoga?

- Musicie ją sami dobrać. Zlecenie przerobowe duże, trzeba fachowców. Bo i czas krótki... Jedno tylko, zgłaszają się chłopcy z zetempowskiej brygady, chcieliby jechać.

- Rolecki ze swymi?

- On.

- Wobec tego cofam zgodę. Dyrektor złapał go za rękaw.

- Wy wszyscy kapani jesteście we wrzątku. Powiedziałem, że byłoby dobrze, ale nie zmuszam. Tylko że wszystkich fachowców niechaj mi pan nie bierze. Dostaniecie szesnastu ludzi, powinno wystarczyć, jak wyliczyliśmy. Tam jest co robić.

Dyrektor namyślał się jeszcze.

- Sam obejmę nadzór techniczny... No, a wam życzę powodzenia, to poważna i naprawdę odpowiedzialna budowa. Na cały powiat krzyk o niej. Maszyny przychodzą z importu najnowocześniejsze. Żeby więc nie poszkapić.

- Zrobi się, dyrektorze.

Wiosna była jakaś niemrawa, ciągle chłapa, wilgoć z rzadka przymrozek ścinał grude nocami, by w południe znów ziemia wsysała powyżej kostek ciężkie robocze obuwie. Wiosnę tę przywitani jednak radośnie. Można wrócić znów na budowę.

Jesienią ładnie podciągnęli robotę. Mury wyrosły na wysokość pierwszego piętra, zdążyli zacementować strop. Potem już zagroziły mrozy, trzeba było odczekać parę miesięcy. Z żalem wracali do Słupska. Wiadomo, jaka to robota zimą na budowlanec: partanina, łatanie, remonciki, jakieś końcówki, znów odgruzowywanie, w dodatku cięższe teraz niż przedtem: coś się załamało w dotychczasowym rozmachu, pełnomocnik jak niepyszny zwinął manatki, skończyło się burzenie domów zdalnych jeszcze do odbudowy.

I Wiktor tęsknie wyglądał dłuższych dni, ocieplenia, zapowiedzi zmiany w temperaturze. Dlatego może z odczuciem wzruszenia przywitał na ulicy babinę sprzedającą pierwsze, już w końcu lutego rozkwitłe przebiśniegi. Kupił pęczek. Kwiaty były bezwonne, ale zarazem miały w swojej rześkości coś z wiosny. Żałował, że nie ma komu ich ofiarować.

Gdyby tu była Ingeborga, jej by wręczył białe sztywnawe kwiaty. Potrafiłaby to chyba ocenić. Myślał o niej niekiedy przez zimę. Trochę się okłamując przed samym sobą, że czyni to dla dobra budowy - trzeba sprawdzić, jak reagują mury na mrozy - pojechał kilka razy do miejscowości w której budowali mleczarnię. Oczywiście, że odwiedził przy tej okazji panie Gruszczyńskie.

Widawa po zmarłym przed paru laty weterynarzu zajmowała wraz z córką piękny domek odnowiony jeszcze za życia męża. Gruszczyński był obrotny; już w parę lat po wojnie, ledwie tutaj osiedli, załatwił przyznanie obiektu na własność. Jakby przewidywał, że wcześniej odejdzie, i chciał w ten sposób zabezpieczyć kobiety. O tym zabezpieczeniu trochę za dużo mówiono w okolicy, jakiś łut prawdy musiał się kryć w plotkach, świadczyła o tym chociażby zamożność wnętrza. Dwa fortepiany, w salonie i na pięterku, mnóstwo dywanów, kryształów, sreber, piękne pod antyk robione meble, na gust Wiktora nieco przyciężkie, jakieś podczerniałe ze starości obrazy. To się od razu rzucało w oczy, cóż dopiero kryć się musiało we wnętrzach potężnych szaf, komód, w schowkach i składzikach, którymi dom był usiany przedziwnie bogato.

- Mąż, Panie, miej pieczę nad jego duszą, zakupił wszystko legalnie, z mienia ponemieckiego. Opłacił, mam dokumenty. Bo to wie pan, ludzie złośliwi, już tu jakiś dom kultury chciał nam odebrać fortepian. Ledwie ich przegoniliśmy. W ogóle zazdroszczą nam, a komu to? Dwóm samotnym, nieszczęśliwym kobietom, które z takim trudem radzą sobie z

codziennymi troskami.

Na przybitą troskami pani Gruszczyńską nie wyglądała. Nie wymagała nadmiaru energii również i posada księgowej w miejscowym GS-ie, jak domyślał się Wiktor, przyjęta nie tyle z potrzeby, ile dla podkreślenia przynależności do świata pracy i dla przytłumienia złośliwych języków. Pulchna, jeszcze pełna wigoru i trochę śmiesznej już zalotności, umiała zająć należne sobie miejsce w hierarchia okolicznych osiedli i wiosek. Należała do wszystkich chyba możliwych organizacji i stowarzyszeń, piastowała różnorodne funkcje, zamęczając interwencjami lokalne czynniki. Bano się jej języka, którym operowała nad podziw zręcznie.

- Bo to my, inteligencja pracująca, drogi panie Wiktorze, musimy podkreślać naszą rolę w budowie socjalizmu, nie możemy usuwać się na margines. Patrzą na nas, czekają przykładu... Czasem, prawda, trudno jest, gdy pcha się byle chłop czy robotnik, traktując nas jak równych sobie, ale cóż, na to nie poradzimy, demokracja, panie Wiktorze. Za wiele nas kosztowało jej ustanowienie, byśmy się mieli przejmować teraz nieistotnymi drobiazgami...

- Kiedy bo ja, proszę pani, nadal czuję się robotnikiem. Cóż ten dyplom technika, tyle że odrobina wiedzy. Przyjdzie czas, maturę będzie miał każdy robotnik, a i wyższe studia...

Uśmiechała się wtedy z poczuciem wyższości:

- Rozumiem, pan się snobuje w ten sposób. Mąż też lubił pokrzykiwać, że on to chłop z dziada pradziada.

Podobne teorie, wygłaszane nader często, zwłaszcza w początkach znajomości, śmieszyły tylko Wiktora, uważał je za nieszkodliwe. Potem i pani Leokadia przestała się przed nim popisywać, uznając go za swojego.

Jego zaś interesowała znacznie bardziej Ingeborga. Imię, co prawda, było dziwaczne, ale w skrócie, jako Inga, brzmiało już zupełnie możliwie. W końcu nie imię było najważniejsze, ale ta dziwna, nosząca je dziewczyna. Urodę miała dziewczęcą. Wysoka, postawna, może nazbyt tylko pulchnawa, do tego musiały już przyczynić się niezłe warunki życia, o zawsze leciutko przymrużonych zielononiebieskich oczach, podobała mu się od pierwszego spotkania. A nadarzyło się prędko, w tydzień zaledwie po zjechaniu brygady na plac budowy, leżący nie więcej jak o kilometr od osady, gdzie pierwszy z brzegu dom należał do pań Gruszczyńskich.

Inga przyszła z prośbą, żeby pan kierownik - tak nazywano tutaj Wiktora - zezwolił kilku swoim ludziom na pracę po fajrancie w ich domu. W ogrodzie chciałyby postawić kurnik, solidny, z cegieł, ogrzewany na zimę. - To wieczne pomysły mamy - usprawiedliwiała się, jakby ją żenowało zajmowanie się takimi prozaicznymi sprawami. Referując swą prośbę

przyglądała mu się ciekawie i trochę bezczelnie, takie przynajmniej odniósł wrażenie. W ogóle zaskakiwała przedsiębiorczością i pewnością siebie. Prośbę jej potraktował przyjaźnie. Jeżeli trafia się fucha chłopakom, czemu nie mają zarobić?

Bliższy kontakt nawiązał się przypadkowo, nie wiedzieć kiedy. Przyszła pani Gruszczyńska z prośbą o radę, jak by coś tam w kurniku rozwiązać. Znow przysłała z czymś córkę. Może zresztą lepiej - omówić sprawy te przy herbatce, pan kierownik nie musi wracać do Słupska najwcześniejszym autobusem, komunikacja teraz szczęśliwie dobra, nie to co w poprzednich latach.

Tak się zaczęło i właściwie do niczego więcej nie doszło. Dziewczyna spodobała mu się, trochę tylko raziły jej różne dziwactwa, choćby drwiny z wykształcenia, afiszowanie się, że sama skończyła zaledwie podstawówkę, a z liceum uciekła już z drugiej klasy. Powiedziała to przy matce. Ta oczy wzniosła ku niebu, brakło tylko jeszcze, by załamała dłonie. Sama tak się pyszniła swoją małą maturą. Raziła go też dusznawa atmosfera domu, natłok mebli, ten cały bogaty wystrój wnętrza. Nieswojo się czuł na wyfroterowanej podłodze, z lękiem unosił filiżankę z cieniuseńskiej porcelany, nuż wymknie się z palców. Ze znudzeniem słuchał słów mamy o tym, że my, inteligencja; zawsze go kusiło, by powiedzieć wtedy coś złośliwego. Dawał spokój, ostatecznie było to jakieś urozmaicenie. Cała załoga każdego dnia wracała do Słupska, autobusy na szosie koszalińskiej kursowały często, nie było kłopotów z miejscami. Jemu najmniej się chyba śpieszyło. W domu od ukończenia nauki czas dłużył się, nie wiedział, co ma z nim robić. Ojciec wyjechał na swoją stacyjkę, zamieszkał u kogoś kątem, wpadał na niedzielę, zawsze jak po ogień, babcia tylko samotnie snuła się po domu, z uwagi na reumatyzm coraz rzadziej wychodząc nawet do kościoła.

Chętnie zatem zostawał u pań Gruszczyńskich. Jeżeli nie padało, spacerowali z Ingą pobrzeżem szosy, gdzie indziej było już mokro i grząsko. Pogadywali na głupie tematy, o innych ani on nie chciał mówić, ani dziewczyna nie próbowała ich podchwytować. Zdarzyły się pocałunki, dziwne, grzecznościowe jak gdyby. Nigdy jeszcze żadnej dziewczyny nie całował tak obojętnie.

Przywiązał się do tego domu z nudy. Z nudy właściwie także, w okresie przerwy budowlanej, zawitał też kilka razy do pań Gruszczyńskich. Już przy pierwszej wizycie zauważył porozumiewawcze spojrzenie, jakim się obrzuciły. Co miały na myśli?

Po przejściach minionego roku wytracony był z równowagi. Zgubił się, nie wiedział, co z sobą począć. Z udziału w szerszych sprawach usunięto go obcesowo, pamiętał gorzką naukę na zebraniu partyjnym. Było to zarazem i ostrzeżenie: niechaj nie pcha nosa w nie swoje sprawy. Nawet Majchrzak, który razem z nim trafił na budowę mleczarni, klnąc

dosadnie, radził Wiktorowi odczekać. Praca nie przynosiła spodziewanej satysfakcji. Budynek mleczarni okazał się dość banalnym stereotypem, powielanym już w wielu przypadkach. Brygada była dość zgrana, brakło zatem większych kłopotów z robotą. A i ta ucięta została wraz z zimą.

Po początkowym oszołomieniu swobodą, uwolnieniem od ślęczenia nad książkami, wolnym czasem, niedługo zaczął się nudzić. Kino, czasami książka, czasami ćwiartka w sobotę w lokalu przy głównej alei, to wszystko nie zabierało całego czasu. Gazety były nudne, pełne sloganów. Nad życiem miasta ciążyła szarzyzna. Ludzie zamykali się w kręgu własnych kłopotów, zabiegów o dodatkowy grosz, bali się szczerych rozmów. Nastąpiło, co prawda, trochę zmian na lepsze.. Kilku cwaniaków usunięto z urzędów, nowi jednak nie umieli, a przede wszystkim nie mogli wyjść poza szablon działania. Zastanawiał się: może by gdzie indziej wyjechać? Podpytywał znajomych, wybrał się do Szczecinka, zajrzał do Koszalina, ale nawet w nowej wojewódzkiej stolicy niewiele się działo.

Ciągle pamiętał Halinę. Mniej nawet ją samą, ile zakończenie tego zwariowanego romantycznego okresu. Dziś już świetnie pojmował, że stał się dla niej tylko wakacyjną przygodą. On tylko zaplątał się w złudzenia, w zwariowane projekty, w mirażę wspólnego życia...

Nie umiał zainteresować się teraz głębiej żadną dziewczyną. Chyba dlatego pocałunki z Ingą były talk zimne, tak obojętne. Podobała mu się, ale czasami nachodziła go myśli, że może więcej od niej ceni sobie ten dom, w którym mógł bywać, przyjmowany na pozór serdecznie. Nie znał takich domów w Słupsku. Przez lata nauki oddalił się nawet od tych znajomych, których poznał w pierwszych latach po osiedleniu, zetkniętych sympatii nie można już było odgrzać. W budowlance nie znalazł ani zgranej wiary robotniczej, ani ciekawszych ludzi w pionie technicznym. Poczul się w próżni. Przypominały mu się wtedy narzekania Pawła, który czuł się podobnie. Poblążliwie do tych narzekań podchodził, sam wplątany w wir wielu spraw, zaangażowany, członek egzekutywy, działacz społeczny, zaczepiony setkami nitkami o nerwy życia. Dopiero gdy nitki te pękły, zrozumiał Pawła. Kto wie, czy tamten nie był po chłopsku wytrzymalszy, bardziej zahartowany od niego. Jemu, Wiktorowi, było o wiele trudniej. Zastanawiała go ta pokrewność przeżyć. Może łączyło ich pragnienie działania i pamięć o przeszłości. Czyżby to tylko miało pozostać udziałem ludzi, którzy przybyli „stamtąd”, jak to czasem mówiono, repatriantów? Skąd się brała nieufność do nich? Bolało to. Bo właśnie oni najtwardziej, z piekielnym, desperackim uporem zahaczać się chcieli o nowe.

Zdawał sobie sprawę, jak mało wiedział. Cóż, że dojrzałość, matura, dyplom. Łapał

się na tym, że właściwie teraz dopiero trzeba by rozpoczynać naukę, już mię na lekcjach, ale samemu czytać pogłębiać znajomość problemów o które dotąd zahaczał tylko z wierzchu. Ale zbyt był zmęczony, mniej nauką poprzednich lat niż tym dziwnym klimatem, jaki wytworzył się wokół niego. Izolują go. Dobrze, nie będzie się pchał. Tylko co ma ze sobą robić?

Nastroje wiosny, pęk przebiśniegów, wyzwoliły w nim jednak tęsknotę do tamtej budowy. To była pierwsza robota prowadzona przez niego całkowicie samodzielnie. Nadzór dyrektora stawał się fikcją. Przez całą jesień raz tylko zajrzał na miejsce, poklepał Wiktora po ramieniu, zaraz go uniosła z powrotem służbowa warszawa.

Pierwszy raz ciepłe uczucie w stosunku do załogi zadrgało w Wiktorze we wczesnomarcowy ranek, gdy całą gromadą pakowali się do autobusu, mającego zawieźć ich na budowę. Nie dziwił się nastrojowi ożywienia. Przekomarzali się starzy i młodzi, nawet chmurnawy zazwyczaj Majchrzak się rozpogodził. Uśmiechali się, wyglądali oknem. Oziminy stały jasnozielone, świeżutkie, na bardziej odsłoniętych miejscach pokazywała się trawa. Znad rzeczutki rozpekniętymi baziami strzelały gałęzie wierzbowe. Jakiś chłopaczyna szamotał się z wędką.

Pojmował ich ożywienie i radość. Wyrwali się z ciasnej atmosfery domów burzonych dla uzyskania cegły, z drobnych przeróbek i remoncików, będą naprawdę budować *coś* nowego, na co można będzie spojrzeć, powiedzieć sobie w duchu: „To moja robota.” Stąd radość z tej małej nawet budowy. Bo jednak coś się robi tutaj, na ich terenie, nie tylko gdzieś w Częstochowie czy Nowej Hucie, nie tylko na przemysłowych Śląsku.

- Musowo trzeba będzie zatankować dziś po fajrancie. Na dobry początek.

Uśmiechnął się, ostatecznie to nie zaszkodzi, jest naprawdę okazja. Z tym uśmiechem wygramolili się na przystanku, spieszonym krokiem ruszyli na teren budowy. Wyglądała oklaple, martwo, otoczona grząskim, pasmem gliny i gruzu. Przystanęli zadziwieni. W wyobrazeniach ich wyrosła ta mleczarnia na coś znacznie większego, stała się nieomal gigantem, nie pamiętali jej z dni jesieni.

Pierwszy ochłonął Wiktor.

- Chłopaki, brakuje drugiego pięterka, dlatego to jakieś smutnawe. Bierzmy się do roboty, zaraz zaczną nadjeżdżać ciężarówki z cementem. Wapno odkryć w dołach, oczyścić, narzędzia wywalić z szopy. Musimy narobić tu ruchu, żeby było co oblewać wieczorem.

Ocknął się Majchrzak, brygadzysta, zerwał z kopyta młody Jurkowski, który od początku przyłączył się do grupy Wiktora. On sam też nie potrafi ustać spokojnie, oczyszczał teren z błota odprowadzając wodę rowkami, układał deski pod taczki, pomagał mieszać pierwszą skrzynię zaprawy. Ani się spostrzegł, jak zajechał star z cementem. Biegiem nosili

worki do magazynu skleconego z wybrakowanej szalówki. Ruszyło. Nigdy jeszcze nie pracowali tu w takim tempie. Chcieli tchnąć życie w zamarłą budowę, od nowa poczuć się tu na swoim.

Dopiero po fajrancie Wiktor spostrzegł się, że przez cały dzień ani razu nie spojrzął w stronę jasno tynkowanego domku Gruszczyńskich, choć prezentował się od tej strony w całej okazałości. Bardzo daleka okazała się Inga, jej mama, graciarnia ich domu, bliska stawała się jedynie budowa. Doszło także coś więcej, niespodziewanie bliska stała się naraz załoga.

Przez całą jesień wyczuwał dystans między nim, szumnie tytułowanym tu kierownikiem, a resztą robotników. Pośród nich czuł się równie samotny, jak na wieczornych spacerach po ulicach Słupska. Może dlatego zaglądał do domku pań Gruszczyńskich. I z nagłą dzisiaj przełamały się lody. Może jesień była okresem wzajemnej próby, cichego podglądania, oceny, może też świąteczny nastrój dzisiejszego zwariowanego dnia oddziałał na wzrost serdeczności, tego już Wiktor nie usiłował dociekać. Było mu dobrze z tymi chłopcami w zachlapanych ubraniach, kombinezonach i fufajkach - od pól nadciągały jeszcze ostre powiewy, w cieniu ziąb przenikał do kości - wiedział także, że i oni z nim dobrze się czuli. Przez zimę rozbici na grupki, kierowani do różnych robót, mijali się obojętnie, dopiero w autobusie coś trzasnęło i coś się zarazem zrodziło.

Na polu kisiła się wilgoć, nie było gdzie usiąść. Szosą pędziły autobusy do Słupska i do Koszalina. Odprowadzali je obojętnym wzrokiem, nie było im teraz spieszo. Młodzi poszukiwali miejsca na wieczorny biwak. Na wynioślejszy punkt, gdzie nie było tak mokro, ściągali deski improwizując z nich ławki. Z zapalem rąbali obrzynki drzewa, dźwigali całe naręczka. Majchrzak zajął się przygotowaniami do uczty. Wiktor dopiero wtedy się zorientował, że przemysłeli wszystko już wcześniej. Była wódka, pojawiła się także zagrycha z nieśmiertelną kaszanką na czele. Niespodziewanie znalazła się patelnia i kostka smalcu. Żeby kaszankę podawać na gorąco. Z musztardówkami nie było kłopotu, pełno ich plątało się na budowie.

- Kierowniku, w wasze ręce - rozlewał Majchrzak pierwszą kolejkę.

- W wasze, chłopcy, żebyśmy razem nie takie budowy stawiali, większe, roślejsze, całe ulice.

Zaszumiało, dobrze musiało trafić.

- Żebyśmy! Żebyśmy!

Zaczynało mrocznieć. Niewysokie mury przyszłej mleczarni zdawały się rosnąć, nie były już tak mizerne jak rankiem, olbrzymiały teraz na miarę ich pragnień. Wiatr ustał, cisza była w powietrzu, przerywana jedynie ich głosami. Skwierczała na ogniu kaszanka. Jasny

plomień strzelał skrami, twarze czerwieniały w ich blasku.

Rozbici na kilka grupek gaworzyli leniwie o błahych sprawach, o tej budowie, o zarobkach, o wiosnie, że taka wczesna; gdzie bardziej sucho, chłopci już orzą, widzieli wszak z autobusu.

- Ale w tej spółdzielni za szosą pies z kulawą nogą nie stąpił na pole przez cały dzień.,
Zaśmieli się na to burknięcie zbrojarza Mańki. Wiadomo, rodzinę miał swoją w jakiejś spółdzielni, której się nieszczególnie wiodło. Klął też często tę formę gospodarowania, zwłaszcza po gryfickiej aferze nie żałował języka.

Musiało być także i o kobietach. Na rozmaity sposób. Byli między nimi żonkosie starsi i świeżo upieczeni, przeważali jednak kawalerowie. Tych najbardziej się trzymały przekpinki, za którymi można było wyczuć wyraźną tęsknotę. Nie obeszło się bez mocnych kawałów. Śmiech niósł się daleko. Czasami cienie jakieś przystawały na szosie obserwując gromadę mężczyzn skupionych koło ogniska. Nikt jednak nie odważył się podejść bliżej.

Potem nastąpiło ogólne znużenie., Nie pili zbyt dużo, tyle że kręciło się - trochę w czubach. Powoli ucichło, wszystkie spojrzenia wbiły się w ogień, przyciągał i zaciekawiał. Od osiedla niosło się ujadanie psa, nikt nie odwrócił głowy w tamtym kierunku.

I wtedy nagle Jurkowski, na swój obcesowy, szorstki sposób przywiązany do Wiktora od starcia z Roleckim, przerwał milczenie:

- Wiecie, kierowniku, wczoraj byłem w dzielnicy ZMP. Chcieli, aby zawiązać na naszej budowie młodzieżową brygadę, podjąć zobowiązania przed Pierwszym Maja... Powiedziałem, że się rozejrzę... Co robić?

- Wasza rzecz, Jurkowski - odrzekł zaskoczony tym realnym nawrotem rozbijającym nastrój wokół ogniska.

- Tego nam tylko potrzeba. Zaczniecie rozrabiać, jak ten zasraniec Rolecki - rzucił któryś ze starszych.

- Znów podział: młodzi i starzy. Że ci starzy to niby gorsi, - choć pętałów w kozi róg mogą zapędzić.

Jurkowski potrząsnął czarną głową. Niski wzrostem, gdy tak siedział na ławie, zdawał się jeszcze mniejszy.

- Kurza twarz, od razu pyskowania. Pytałem, co robić. Starczyłoby nas tutaj na taką brygadę. I co z tego? Ja już raz byłem, właśnie u Roleckiego, i też nie mam ochoty.

- A dyscyplina organizacyjna? - zakpił Majchrzak.

- Wy mnie, towarzyszu, pod włos nie bierzcie. Ciągłe macie coś za uszami. Mógłbym kumpli brać na bok, obgadać, powiedzielibyśmy wam, że tak a tak, i koniec. Pytam

wszystkich, a wy mnie zaraz zaczynacie zaginać.

- Mnie wyleli z ZMP, że dziewczuchę całowałem w kącie w jednym z pokoiów związku. Gównu mnie teraz obchodzi, czego tam oni chcą. Przewodniczący baby zmienia jak rękawiczki, rąbie po kątach, aż trzaski lecą, i nikt mu słowa nie powie. Ale mnie całą ideologię z całowania rozprowadzili - zamruczał najbliższy sąsiad Jurkowskiego.

- A ja bym zrobił taką brygadę. Niech i na naszej budowie pokaże ZMP, co potrafi - wyrwał się inny z młodych. Czapkę przesunął na bok, odrzucił kosmyki włosów, zaczępnie się wyprostował.

- A rób sobie, rób, na zdrowie.

- Zwołajcie na jutro zebranie, nie zawracajcie nam dzisiaj gitary, nie po to siedliśmy tutaj, żeby politykować. Niechby lepiej to wasze ZMP zabrało się do zrobienia porządku w mieście. Za dużo już różnego bajzlu co krok.

- Pewnie, róbcie zebranie, powołujcie brygadę, a teraz pomyślelibyście lepiej, skąd wytrzasnąć jeszcze z litr wody - podał głos wyraźnie pojednawczy.

Nastrój skwasił się. Na budowlanice mieli na ogół złe doświadczenie z brygadami młodzieżowymi. Krzyk tylko podnosili, rozgardiasz w robocie, pchali się na najlepsze odcinki, nabijali zarobki. Jedna przykładowa grupa Zaleskiego na hali meblowej nie mogła przyćmić tych niechęci.

- Jechalibyście lepiej do Nowej Huty. Tam trzeba takich, tam też nie pozwoliliby wam wymigiwać się krzykiem - zbrojarz wyraził szerszą opinię.

- Zostawcie ich w spokoju. Młodzieżowe brygady mogłyby wiele zrobić. Gdzie indziej też robią. U nas tylko zdaje się, że za wiele w tej organizacji cwaniaków, stąd bieda - pojednawczo próbował Majchrzak.

Przytaknęli, nikomu nie chciało się już wypowiadać swojego zdania, rozbiła się harmonia dotąd jednocząca ich wszystkich, zaczęli spoglądać po sobie nieufnie. Diabli wiedzą, co w którym siedzi, lepiej gęby mię otwierać za wiele. Płomień przygasał, ktoś rzucał, że może by *czas* już się zbierać do domu. Za pół godziny nadjedzie autobus.

- Towarzyszu Majchrzak - Jurkowski zmieniając adresata, skierował się tylko do brygadzisty. - Mnie co innego przychodzi do głowy. Pierwszy Maja pewnie że warto by uczcić. Więc żeby zamiast młodzieżowej brygady tak zrobić, żeby cała nasza załoga podjęła jakieś zobowiązanie. Przyspieszyć co, ja już tam nie wiem, sami poradźcie...

- Lipa z tymi zobowiązaniami. Zaniżają plan, a potem gwałtują, jak pięknie go przekroczyli. Albo fuszerują czy na papierze piszą wyniki, kto je tam sprawdza na miejscu... Roboty to nie podgoni, wiadomo, że i tak będziemy robić, co można. Daj ty spokój,

Jurkowski, daj spokój - zaperzył się zbrojarz.

Brygadzysta natomiast ciekawie przyjrzał się Jurkowskiemu.

- Mnie to nie wydaje się głupie. Tylko dziś nie będziemy nic tu uchwalać. Trzeba dobrze zobaczyć, jaki jest harmonogram, przemyśleć sprawę. Odłóżmy do jutra, zgoda, Jurkowski?

- Mnie się nie pali, majster.

Odetchnęli z ulgą. Jutro jeszcze dalekie, dalsze w każdym razie niż ten dzisiejszy wieczór. Licho kazało Jurkowskiemu wyrwać się ze swymi pomysłami. Chyba że mu zbyt mocno w tym komitecie wbijali w głowę, co ma zrobić i jak.

- Pora się zbierać, bo baby w domu nas zaklną - zaśmiał się trochę niepewnie, musiał się jednak tej baby bać, murarz Kitajko.

- Zdązysz, może cię wcale nie czeka. A bo to wiadomo, co kiedy z babami?

- Zostawcie, aż nudno, zupełnie jakby jeden z drugim żadnej kiecki nigdy nie zadarł w górę. - Mańko był zły. - Jak już takie pierdoły zaczęliśmy, żeby szybciej budować, zobowiązania robić, to niech mi kto powie, czemu to u nas tak wiele stanęło w miejscu. Harują wszyscy, byle co, zaraz zobowiązania, wyścig pracy, przodownicy, ja sam wisiałem w gablotce, że normę dużą wyrabiam; za bezdurno, podleciała łatwa robota, to się jej więcej machnęło... Z rodziną zjechałem tu jeden z pierwszych, moi osiedli na wiosce, ja po staremu za zbrojarkę się wziąłem. Ładnie szło im, mnie. Aż się potem urwało. Na początku był ruch. Cholera, ile sam się namachałem łopata, kilofem, czym się dało. Trupy leżały po piwnicach, po ogrodach, śmierdziało, że trudno wytrzymać. Miny się rwały. Niemiechy wszędzie ponasadzały tego paskudztwa. Jeszcze w czterdziestym piątym odbudowało się parę domów z tej starej cegły, którą teraz wywozi się do Warszawy. Potem szło jeszcze lepiej, choć przecież ani państwo pieniędzy nie miało, ani spokoju nie było, tyle że ochota zastępowała wszystko. Aż się urwało. Co my w tej budowlance chociażby? Pętanina, łatanie, jak już taka mleczarnia, to gwałt, jakby nie wiem jaka budowa. Zarabia się mniej, drogo jest, brakuje towaru, a niedawno było o niego łatwiej. Majchrzak, ty jesteś stary partyjny nie z tych gorliwych, ale jeszcze sprzed wojny. Powiedz uczcie, co to się dzieje.

- Prawda, zamiast lepiej, to się robi gorzej na tym zachodzie. Wszystko buduje się w starym kraju. Przestały kogoś te ziemie obchodzić czy jak? Niby się jechało tu jak do czego obcego, ale teraz przywiązał się człowiek, mieszka, żyje, chciałby dla miasta jak najlepiej. A tymczasem guzik z pętelką - poparł go inny, mówił jeszcze popędliwiej, jeszcze goręcej.

Nie dopuścili Majchrzaka do słowa. Musieli się teraz wygadać. Pękały żale, rozładowały się urazy trawione w sobie, nad wszystkim górowało poczucie

niezrozumienia, niepokój. No bo jakże, za parę miesięcy będzie obchodzone dziesięciolecie, już tam podobno odbudowują Lublin, a tu... Co się naprawdę dzieje? I w ogóle żyć trudno, nawet gadać też niebezpiecznie, zaraz zrobią z ciebie ostatnią zarazę. Ale raz trzeba wygarnąć, niech się dzieje, co chce.

Wiktor słuchał, zaskoczony szczerością tego zbiorowego wybuchu. W jakiejś formie powracały w ich słowach jego własne z wąpienia, narzekania ojca. Okazało się, że sprawy osobiste nagle odpłynęły na stronę jako mniej ważne, że zadrgała w tych słowach ogólniejsza już troska, że ten Słupsk wszystkim jest drogi, że o miasto im chodzi, o wieś, o to, co naprawdę dzieje się w Polsce. Gdy Majchrzak zaczął mówić o wielkich budowach, nie przeczyli, tylko pytali, czemu jedynie tam, w, głębi kraju, te wielkie sprawy, a tu inaczej... Do czego to wszystko zmierza? Wśród ludzi krążą już różne gadki; po jaką cholere się na to zezwala, utrzymując uśpienie, zastój? Majchrzak w końcu przyznał im rację. Tyle że podkreślał swoją wiarę, iż się odmieni, musi się odmienić, znowu nabierze życie rozmachu, także i u nich, także i w Słupsku...

Ogień znowu palił się jasno, paru młodych skoczyło ku budowie dorąbać drzewa, bo brakło. Nikt ich nie zatrzymywał, że nie warto, bo zaraz pojedą do domów, Wiktor zakrzyknął, żeby w rozpędzie nie zsiekli dobrego materiału. Wódka okazała się niepotrzebna, pewnie, nie wyleliby jej za kołnierz, rozpałało ich bardziej coś zupełnie innego. Wyrzekania przepłatały się z marzeniami, co by to trzeba zrobić i co zbudować, jak zmienić życie miasta, jak naprawić to, co przeszkadza, hamuje, zniechęca i lękiem przejmuje ludzi. Aż wreszcie po raz pierwszy zabrał głos najstarszy spośród nich, świetny murarz, ledwie go Wiktor wytargował - do swojej grupy, Kubiak, zwany powszechnie Pyrą Poznańską. Nie obnażał się wtedy, uśmiechał, niech sobie będzie i pyra, dobra rzecz, w okupację niejedni zmarnieliby, gdyby nie syciły ich pyry...

- A wiecie, jaki ja miałem numer zaświadczenia, że jestem obywatelem Słupska? Trzeci. Ty, Mańko,- szczeniak jesteś według mnie; jak przyjeżdżałeś, w mieście i okolicy było już parę setek... My tu nieledwie za wojskami, front było słyhać, walki szły o Kołobrzeg, ostro się bili... Partia w Poznaniu nas tu wysłała, grupę administracyjną. Dwunastu ludzi. Wojskową jechaliśmy ciężarówką, miejscami na szosach były tylko wąskie pasy przejazdu, dalej już miny...

- To wy jesteście partyjni, Kubrak? - ucieszył się Majchrzak.

- Nieee, zwyczajny robociarz. Murarz, wiadomo. Ale gdy ogłosili, że partia montuje grupy szturmowe dla przejmowania ziem zachodnich, to pewnie, że się zgłosiłem, choć żona włosy rwała w domu z rozpacy, że mnie tutaj zabiją... Co prawda, niewiele brakło. Ale to

inna sprawa. No i zajęliśmy Słupsk jako grupa operacyjna. Niemców dużo tu jeszcze było, powyłazili z dziur, w których się pochowali w czasie frontu, na początku spokojni, potem to nawet zaczęli szumieć...

- Kiedy to było, ojciec?

- A na sam ostatek kwietnia czterdziestego piątego... Dwunastu nas było, jeszcze się potem paru znalazło takich, co pod Słupskiem byli do bauerów zabrani. Stanowiliśmy całą władzę; i burmistrz, i milicja, wszystko. Niemcy, psiajuchy, nocami próbowali podpalać domy. Trzech takich esesowców tośmy złapali, nasze chłopaki z milicji zatrzaszali drani na miejscu. Potem było spokojniej, choć kuł nie brakło... Ale ja o czym innym. Tak gadacie na Słupsk, że to i tamto, brzydki, nic się nie robi. Mało, to prawda, zaś ale można by więcej. Ale jak ja patrzę, co było, a jest, to wierzyć się nie chce oczom. Prawie połowa miasta zburzona, gruzy, ciągle pożary, miny, ani co jeść, dobrze, jak się trafiło gdzie na jaką opuszczoną spizarnię niemiecką. Tam, gdzie byli Niemcy, nic nie ruszaliśmy, delikatnie, przykaż, choć czasem chciało się inaczej... Oni nawet mieli już swojego burgermeistra. Jak przyjechaliśmy, to nami chciał rządzić. Trzeba go było przymknąć na parę dni, od razu spokorniał... Długo by gadać, może kiedy opowiem. Dwie kule oberwałem wtedy, bo mało różnych Niemców, jeszcze i własnych bandziorów dość było, szabrowników różnych, deztererów, cholera ich wie... Potem Szamotuły objęły nad miastem patronat, trochę się szamotulan zjechało, starali się, nie można powiedzieć. Sklepów to tak narosło w parę miesięcy jak na ulicy 27 Grudnia w Poznaniu. Ulżyło trochę, można było co kupić, gdzie zjeść. Odgruzowywaliśmy. Niemcy pomagała, dostawali za to chleb z nasiej piekarni, już po miesiącu ruszyła. Zboże wojsko nam dawało i mąkę. Ale nie to chciałem powiedzieć. Wy zaś tak nie gadajcie na Słupsk, że ani taki on, ani owaki, jeżeli nie widzieliście, co było wtedy...

- Dziesięć lat, można było już więcej zrobić.

- A można, synku, można, ale nie jest jeszcze tak źle. Nie jest. A wiecie, tak po prawdzie - ucieszył się z nagła Kubrak - Kto ja jestem teraz najstarszy obywatel w Słupsku. Bo ten z numerem pierwszym umarł, mina go rozszarpała. Z drugim - wyjechał, w Warszawie jest. A ja zostałem. Już tutaj kości złożę, przecież nie będę wracał do Poznania na pogrzeb, kiedy mnie i tu dobrze, a cmentarz na górcie, piaseczek, wody nie będzie, tej to nie lubię...

Wódka podziałała na Kubiaka, rozgłędził się, za wiele już było w tym piaseczku i cmentarzu, przestawali go słuchać. Jurkowski w pewnej chwili trącił Wiktora w ramię, wskazał za siebie. W mroku majaczyły dwie sylwetki kobiece, stały oddalane o kilkadziesiąt metrów, nasłuchiwały.

- To z tego domku, co to pan kierownik do nich tam chodził.

Poznał je. Panie Gruszczyńskie przyszyły najwidoczniej zobaczyć, co się tu dzieje, skąd ogień przy budowie, pokrzykiwania, z nagłą ten niewycieczny ruch. Stały w oddali, nie mając odwagi przybliżyć się. Dźwignął się z miejsca bez żadnej ochoty, dzisiaj nie ciągnęło go do tych kobiet. Pierwszy raz poczuł się tak bliski załodze, wyczuł w ludziach jakiś inny, nowy do siebie stosunek. To, czego mu dotąd brakło. Grzeczność jednak nakazywała podejść, przywitać się z kobietami. Trudno udawać, że się ich nie zauważa.

Nie były spłoszone, gdy zbliżył się do nich.

- Och, pan kierownik! Nie wiedziałyśmy, panie Wiktorze, co myśleć. Ten ogień, krzyki. Nie wiedząc, że już wróciliście, bałyśmy się, że może łobuzy jaką szkodę wyrządzą mleczarni. Bo to wie pan, walka klasowa nie wygasa, musimy zawsze zachowywać proletariacką czujność - rozgadała się pani Gruszczyńska.

- Tak, tak, mamó - ucieła niecierpliwie Inga. Zwróciła się do Wiktora, nie krępując się obecnością matki podsunęła się bardzo blisko, niemal go dotykała biustem. - Ładnie to, nawet nie zaszedł pan przywitać się z nami?

- Pierwszy dzień, roboty więcej niż kiedy, zamierzałem dopiero jutro... - Czuł się zawstydzony naprawdę. Inga miała rację, tylko że on wcale nie miał ochoty. Teraz nawet żałował, pewnie, można było zajrzeć w ciągu dnia. Ładna dziewczyna, wyraźnie się garnie do niego. I zgrabna.

- Chyba się pan poprawi na przyszłość... Idziemy, Inga, chłodno, uspokoiliśmy się już, wiadomo, że to pan kierownik ze swoimi ludami płoszy nasz sen. Pewnie uświadamia ich pan ideologicznie, rozumiem, to konieczne, nasz proletariat jeszcze często nie zdaje sobie sprawy ze swojej roli...

- Mamó, dosyć.

Spoglądał, jak sylwetki ich rozplywały się w mroku. Wrócił do swoich. Ale i tu szykowano się już do drogi, dochodziła dwunasta, ostatni autobus, potem trzeba by czekać do rana, tymczasem zmęczenie robiło swoje, ziąb wzmagał się, straszyl przed rannym przymrozkiem, odeszła ochota do rozmów i zwierzeń.

- Jutro będziemy łazić na budowie jak muchy jesienią po szybie - zaśmiał się ktoś..

Tak i było, ani rusz nie mogli wykrzesać z siebie poprzedniego zapału. Dopiero później ruszyła robota. Mury rosły szybko, nawet najoporniejsi zaczęli być radzi, że podjęte zostało zobowiązanie przyspieszenia o dziesięć dni stanu przewidywanego na początek maja. Umieszczą ich na tablicy, może i premia wleci, dziś każdy grosz bardzo się przyda.

Wiktor lepiej czuł się tu teraz aniżeli jesienią, znikł dystans dzielący go od brygady, traktowali go naprawdę tak jak swojego. Pojawiły się na budowie trudności, podmakało w

piwnicach - dodatkowe izolacje, a zatem i koszty. Trochę się krzywił inżynier, nie było jednakże rady. Materiał nie zawsze był odpowiedni, czasem opóźniały się dostawy, w końcu wszakże pojawili się cieśle, montowali na ziemi więźbę, dni już zaledwie dzieliły ich od wiechy. *Znów* była frajda, tym razem oficjalna, bo i dyrektor przyjechał, i księgowy, i personalny. Popili zdrowo z brygadą. Przyszły panie Gruszczyńskie i jeszcze kilku mieszkańców z okolicy, nawet zatabaczony wójt, który krążąc z musztardówką w ręce z każdym się trącał. Jeszcze się zaczęły kłopoty wykończeniowe, ale najważniejsze te mury, które urosły, więźba, świecąca świeżyzną drzewa, stos dachówek czekających na ułożenie.

Inga siedziała przy nim, odprowadzał ją potem do domu. Całowali się inaczej już niż jesienią. Ciągłe jednak nie przekraczało to granic flirtu, nie zobowiązującego żadnej ze stron. Ot, po prostu zbliżył się znowu do pań Gruszczyńskich, zaglądał do ich domu, obie były mu rade, samą budową przecież żyć nie mógł...

Odradzał się, ustępowała nuda. Wyłaniał się jakiś sens pracy, zaczynał owocować dyplom technika. Dyrektor przebąkiwał o jakiejś nowej budowie, jakby w ogóle zaczynało się już coś ruszać. Jednego nie mógł wszakże Wiktor przewidzieć: tego świtu, gdy do drzwi jego słupskiego mieszkania zadzwoniono gwałtownie, a potem zaczęto się dobijać pięściami. Wiedział, co to znaczy. Zaskoczony, z ponurą miną szedł do rozłomotanych drzwi. I wtedy ten głos za nimi:

- Pacuk? Kierownik?

- Ja. A kto tam?

- Ganiaj pan czym prędzej. Nieszczęście się stało na waszej budowie. Dyrektor zaraz tu będzie warszawą. Migiem się pan ubieraj. Ja pędzę jaszczkę po majstra Majchrzaka...

Szarpał drzwiami, właśnie teraz jakby nią złość zamek musiał się zaciąć. Wołał jednocześnie, jakie nieszczęście, co się zdarzyło, ale gdy wyjrzał wreszcie na klatkę schodową, nikogo już na niej nie było. Z dołu tylko dobiegało jeszcze dudnienie szybkich kroków.

Babcia się także zbudziła, słyszeć musiała wszystko. Po swojemu spokojna w najbardziej krytycznych chwilach, szeptała spoglądając na lampkę oliwną przed Matką Boską Ostrobramską:

- Zmiłuj się nad nami, Panienko, zmiłuj się nad nami...

A za wychodzącym Wiktorem nakreśliła dłonią znak krzyża.

VI

Intensywnie wpatrywał się w twarz siedzącego za biurkiem człowieka. Rozpoznał go od pierwszej chwili, już od drzwi, do których doprowadzili go strażnicy więzienni. Stłumił okrzyk, który już się w nim zrywał.

Sitecki, porucznik jednostki, w której razem atakowali Budziszyn, a potem przez prawie dwa lata dzień po dniu ryzykowali życiem w Bieszczadach walcząc z sotniami kurinu „Bajdy”; Sanockie i Leskie. Tysiące razy wydeptywali tam wspólnie leśne ścieżyny, pieli się na góry i opuszczali w zapadliska wąwozów, wystawieni na kule i sami je posyłający.;

Od razu go rozpoznał, mimo że minęło już tyle lat. Cóż, że w cywilu, że przerzedziła mu się czupryna, twarz wypełniła się tylko oczy są ciągle, jak i tam, bardzo zmęczone.

Łamał się, by odegnąć napływające wspomnienia tamtej nieprzytomnej przeprawy przez San, w ucieczce po rozbiciu oddziału, i w rok potem forsowania tej samej rzeki w brawurowym, nie do końca przemyślanym ataku. Ale jak było powstrzymać chłopców, mszczących się za innych i za siebie, za setki trupów najbliższych kolegów i za swoje zmarnowane lata, za chłód, za podmrażane uszy i dłonie, za pamięć tamtych trzydziestu czterech żołnierzy z ich pułku, Strzelców Budziszynskich, wymordowanych okrutnie przez bandę Rena? Albo dwie i pół doby bezprzytomnej i niemalże beznadziejnej już walki zza kamiennych murów posterunku milicyjnego, atakowanego przez wielokrotnie liczniejszych upowców, kiedy leżeli z porucznikiem tuż obok siebie i w rzadkich chwilach oddechu zwierzali się ze wspomnień. Mówił wtedy porucznikowi o Halinie. A jeszcze rozpoznanie w wiosce Łastowa, gdy z trzech stron posypały się kule, odcinając wszystkie drogi odwrotu. Siedmiu ich było, wytrzymali całą godzinę, aż nadciągnął szczęśliwie konny zwiad WOP-u. Tylko że z tej siódemki trzech już nie mogło się cieszyć, a ranny porucznik...

Nie, nie, oderwać się od pamięci tamtego czasu, oderwać zwłaszcza od wskrzeszenia tej sceny, gdy ranny Sitecki... Zmieniły się role, inaczej jest, oto nowe doświadczenie, jeszcze jedna gorycz, jeszcze jedna osobliwa podzięka. Sitecki jest prokuratorem, który wydał nakaz aresztowania, który zatwierdził sankcję zatrzymującą go w więzieniu, aprobował kierunek śledztwa opatrzoney artykułem stwierdzającym jasno i niedwuznacznie: sabotaż gospodarczy. To przed nim teraz będzie z kolei odpowiadał na te same ciągle od dwóch miesięcy pytania. Nie, nie nawiąże niczym do tamtych lat, do braterstwa broni, do dnia, kiedy wspólnie dekorowani byli Krzyżem Walecznych. Będzie zeznawał po prostu przed prokuratorem, kimkolwiek on jest...

Tylko dlaczego Sitecki milczy, patrzy zmęczonymi oczyma zza okularów? Nie nosił

jeszcze ich wtedy. Czemu nie pyta, nie zaczyna od początku historyjki z - sabotażem przy budowie mleczarni? Czemu przeciąga to męczące, szarpiące nerwy milczenie? Czy myśli, że coś tym wygra, wymusi zeznanie, przybliży tym samym szansę uzyskania dla siebie nowego orderu? Tyle że już nie za waleczność tym razem. A może i Sitecki boryka się z sobą, również tkwi pamięcią w tamtych latach, w klimacie ich rozmów, jak to z chwilą nastania spokoju radośnie będą uczestniczyć w budowaniu Polski Ludowej, naprawdę sprawiedliwej, naprawdę socjalistycznej? Albo, albo może to wcale nie jest Sitecki, tylko ktoś podobny? Albo może wszystko splątało się mu w głowie podczas więziennych dni, majaczy, przywołuje przed pamięć ludzi i zdarzenia dawno minionych i zapomnianych czasów? Co w końcu tutaj jest prawdą?

Wchodząc do tego pomieszczenia, przywitał prokuratora skinieniem głowy. Skinieniem odpowiedział prokurator. Wielki zegarek, też dobrze znany, ogromna cebula z kompasem i sekundnikiem, położony na biurku, odmierza teraz czas zwolniony, ospały. Czas ponurego, szarpiącego milczenia.

- Dzień dobry, Pacuk. Nie w takim miejscu się spotykamy, w jakim pragnęlibyśmy może się spotkać. I nie w takich rolach.

- Tak jest, panie porucz... przepraszam, panie prokuratorze. W nieprzewidzianych rolach. Przynajmniej w nie przewidzianej przeze mnie mojej roli. Ale już od czterdziestego siódmego w wielu rolach występowałem. Przyzwyczailem się. Raczej inaczej, musiałem się przyzwycząić.

- Zostawmy aluzje, Pacuk. Są bliższe sprawy i trudniejsze.

- Tak jest.

- Tu już nie wojsko, nie potrzebujecie używać tej formy... Czy wiedzieliście, że od początku mnie była przydzielona sprawa mleczarni?

- Nie wiedziałem. Teraz dopiero się dowiaduję.

- A ja wiedziałem o was od pierwszego dnia. Od chwili, gdy Urząd wystąpił z wnioskiem o sankcję prokuratorską. Nawet nie przypuszczałem, że mieszkacie i pracujecie w Słupsku.

- Od samego powrotu ze szpitala. Z wyjątkiem roku z górą, gdy po raz pierwszy siedziałem w więzieniu. Podejrzany o współdziałanie w podziemiu, poza tym o nieujawnienie działalności w AK i ucieczkę z Kaługi. Wtedy - jednak nie pan prokurator, ale ktoś inny nakazywał aresztowanie:

- Nie kpijcie, Pacuk. - Głos Siteckiego zabrzmiał ostrzej. - Wiem o tym wszystkim dokładnie, znam wasze akta. Wracajmy do rzeczy. Proszę, opowiedzcie mi szczegółowo raz

jeszcze sprawę zawalenia się budynku mleczarni. Zaznaczam, szczegółowo.

Wyciągnął z różowej teczki na biurku spięty klamrą plik papierów, przerzucił je chwilę, potem starannie, dokładnie ułożył przed sobą. Dopiero wtedy, wspierając się na lewym łokciu, utkwiał znużone, bezbarwne wejrzenie w siedzącym naprzeciw w przepisowej odległości aresztowanym.

Wiktor z wysiłkiem zbierał myśli. Uwolnić się od wspomnień, od wspólnych przeżyć. Zapomnieć, widzieć przed sobą tylko prokuratora, nikogo więcej. Znowu po raz setny chyba odgrzewać sprawę mleczarni. Dzień po - dniu, jeszcze jesienią, gdy śpieszyli z założeniem przed mrozami stropu na piętrze, po wiosenne narastające tempo, kłopoty z materiałami, z deszczami, z przyjętymi zobowiązaniami przed Pierwszym Maja, aż po założenie wieńca i wreszcie ten zachlapany, tonący w ulewie ranek, gdy go zbudziło silne kołatanie do drzwi.

W tej osobliwej sytuacji najtrudniej było wyłuskać z siebie pierwsze zdania. Potem szło już dobrze, składnie. Tyle razy powtarzał już przez ostatnie dwa miesiące historię - budowy. Zaczynał się dopiero na wspomnienie owego ranka...

Dyrektor był blady, nie mniej przejęty niż on. Kierowca rwał warszawą z pominięciem wszelkich przepisów, wyciągał ze starej maszyny więcej, niż było ją stać, a tamten jeszcze poganiał: prędzej i prędzej. Zarazem krótko, urywanie, informował Wiktora o tym, co wiedział. Nad samym świtem runęła nagle ściana frontowa. Dwa piętra osunęły się w dół, jakby nożem podcięte. Załamały się stropy. Pod nimi ktoś zasypany dał się straszliwym krzykiem...

- Zasypany! Nikogo tam przecież nie było. Wiec skądże?

Dyrektor wzruszył tylko ramionami z nieukrywaną pasją. Jeżeli nie wie kierownik budowy, skądże on może wiedzieć? Jedno ujęło Wiktora: ani słowa żadnych ataków, pogroźek. Tylko wciąż i wciąż popędzał kierowcę, i tak z trudem ślepiącego na drogę zmywaną potokami wody. Lało od samej północy, lało tak zresztą od paru tygodni, nadbiegały alarmy o powodzi na Ziemi Lubuskiej, niebezpiecznie wezbrała Słupia.

Raz tylko obrócił się dyrektor ku Wiktorowi:

- Rozumiecie, co tam właściwie się stało?

Nawet nie oczekiwał odpowiedzi, pojmował bezradność i zaskoczenie technika.

Przy zakręcie z szosy ma budowę zarzuciło na mokrej glinie, kierowca cudem wyprostował wóz. Przez ledwie radzące sobie z ulewą migocące wycieraczki Wiktor wytrzeszczał wzrok w kierunku zarysów budowy. Zadrzał: cała ściana stanowiła teraz jedno kłębowisko gruzu. Z odsłoniętego wnętrza sterczały dźwigary stropowe, wybiegały do przodu niekształtnymi kikutami.

Tłoczno już tutaj było. Nie wiadomo, jakim sposobem zdołała przybyć na budowę połowa stanu załogi. Kupili się gęstą gromadą okoliczni mieszkańcy, poprzykrywani od deszczu szerokimi płachtami. Jak przez mgłę zobaczył Wiktor stojące obok siebie panie Gruszczyńskie. Inga zamachała ku niemu dłonią... Przy stosie gruzów stało dwóch milicjantów, kręcili się jacyś cywile. Majchrzak porwał się ku wysiadającym z Warszawy.

- Kto by pomyślał, panie kierowniku? Takie nieszczęście! A jeszcze ten biedny Jurkowski. Że się ja na to zgodziłem, aby nocował chłop na budowie. Chciał, nie chciał, trzeba mi go było zabrać do siebie, nie poniewierałby się, życie ocalił...

- Nie żyje?

- Żył, jak go zabierali, ale chyba niedługo pociągnie - przysuwali się inni. - Pogniotło go, połamało całego, już nawet nie jęczał, jak go odkopywaliśmy spod cegieł. Niewielka nadzieja.

Dyrektor przełknął ślinę raz, drugi, nim mógł wreszcie zapytać:

- Kto z was zna, chłopcy, przyczynę awarii? Mówcie szczerze. Rozumiecie, że to nie przelewki.

- Cholera wie, panie inżynierze. Tak ładnie stało, dopiero niedawno oblewaliśmy razem więźbę... Pion był gładziutki, ani wybrzuszenia. Sam pan oglądał.

- Może grunt się obsunął po deszczach?

- Patrzyliśmy, nie widać, chyba że pod cegłami.

- Sam muszę zobaczyć. - Podszedł do kupy gruzu.

Jeden ze stojących tam milicjantów zatrzymał go wyciągniętym ramieniem.

- Nie wolno. Zabezpieczane dla śledztwa - powiedział bardzo służbowo, sprężył młodziutką figurę. Zmoknięty był, ale zdawała się docierać do niego świadomość tego faktu, tyle w nim było przejęcia swą funkcją.

- Jestem odpowiedzialny za tę budowę. Nadzoruję ją.

- Jest nakaz nie dopuszczać nikogo.

Przybliżył się któryś z nieznanymi cywilów, wyraźnie odbijający ubiorem i zachowaniem od okolicznych gapiów i od załogi.

- Tam bardziej, obywatelu, nie wolno, że jesteście odpowiedzialni.

- Ale...

- Jestem z Urzędu... Proszę o spokój.

Dyrektor rozłożył bezradnie ręce. Spojrzał na Wiktora.

- Nie mamy tu zatem co robić, wracamy do Słupska. Trzeba się wywieźć w szpitalu o tego Jurkowskiego. Żeby nam tylko nie zmarł. - Nie wiadomo było, myślał więcej o rannym

czy o sobie. Śmierć zdecydowanie zwiększała odpowiedzialność.

Zatrzymali się jeszcze przy robotnikach. Ponurzy, zmartwieni, na próżno dociekali przyczyn wypadku. Rzucało to plamę na ich fachowość. Zdaje się, nie sfuszerowali niczego, nawet wtedy, gdy zaczęła się ta gonitwa: prędzej i prędzej. I teraz, masz, babo, placek. Ponura sprawa. Może coś z cegłą, z zaprawą, może zwyczajnie złe obliczenia?

- Sam przeliczałem. To był projekt typowy, zatwierdzony, ale pomimo to zrobiłem raz jeszcze obliczenia statyczne. Raczej margines rezerwy był moim zdaniem za duży... - mruczał inżynier.

Gdy odchodzili, do uszu Wiktora dobiegły ze współczuciem wypowiedziane słowa:

- Wsadzą ich, szkoda gadać. Cholerna draka.

Sam pewien był tego. Wiadomo, nic się nie mogło przydarzyć samo z siebie. Musiał znaleźć się winny.

Gdy już wsiadali do samochodu, przypomniał sobie o Indze. Obejrzał się. Matka i córka zbliżały się w ich stronę.

- Chwileczkę, panie dyrektorze...

Inżynier spojrział w kierunku nadchodzących kobiet. Dopiero rozzłościł się.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jeszcze się flirtów panu zachciewa. Jedziemy.

Mógł już Wiktor tylko im dłonią pomachać. Nie wiadomo czemu, Inga wydała mu się teraz tak bardzo bliska...

Jurkowski żył jeszcze. Trwała skomplikowana operacja, czaszkę miał chłopak wgniecioną, złamane żebra. Lekarze wrzuszali ramionami na wszelkie pytania. Przy takich stanach nigdy mię wiadomo.

W biurze dyrekcji przedsiębiorstwa już na nich czekano. Następnego dnia, przy kąpieli w więziennej łaźni, Wiktor dostrzegł jeszcze prowadzonego przez strażników Majchrzaka. Czy na nim krąg się zamknął? Inżynier, technik, majster...

Tak właśnie wyglądał ów ranek. Co sam myślał, co przeżywał, zwłaszcza gdy po zamknięciu w celi ochłonać mógł z natłoku bezpośrednich wrażeń, stanowiło jego wyłączną sprawę. Z tego nie potrzebował przed nikim się zwierzać. Przez całe dwa miesiące. Więc czemu teraz, nagle, przed prokuratorem, przed porucznikiem Siteckim zaczął mówić o tych myślach najbardziej już osobistych?

- Im więcej o tym myślałem, tym mniej pojmowałem przyczynę awarii. Kto zresztą mógł jej dochodzić, jeśli my zostaliśmy aresztowani? Majchrzak, taki uczciwy, świetny fachowiec. Inżynier, który jeśli czyim grzeszył, to umiłowaniem wszelkich obliczeń, na pewno nieraz zatem zastanawiał się nad elementami statyki mleczarni. Ja wreszcie... II Armia,

Bieszczady, rany, odznaczenia, nie chodzi o wyliczanie zasług, ale o podkreślenie okoliczności, z których można odczytać moją postawę. Potem ZWM, zresztą jeszcze w jednostce. Partia, członkostwo egzekutywy... Gwałtowny krach, aresztowanie, pomawianie o zbrodnie. Zwolnienie z braku dowodów winy. Skreślenie z listy członków partii, przy ponownych staraniach bluźnięcie w gębę od nowa i AK, i jeszcze podejrzeniem o dwulicowość. Mało mi brakło do załamania, do zupełnej niewiary. Ja ciągle wszakże wierzyłem w rację, w słuszność tego, co w Polsce się dzieje, byłem nie tylko lojalny, wiem, że to bardzo mało, byłem sprzymierzeńcem, szedłem w jednym szeregu, choć siłą starano się mnie z niego wypychać. Rozradowała mnie ta budowa, nic, że miała, stawiała się nie tylko warsztatem pracy, ale świadectwem, że i na tej ziemi chcemy coś robić, nie opuszczamy trajk... A tu znów cela. Jakby mało było wstrząsu i bólu, i przerażenia, że nastąpiła awaria? Jakby mało dręczyła niepewność, że może coś przeoczyłem, może nieumiejętność moja doprowadziła do katastrofy?... A nawet jeśli aresztowanie, istniała taka konieczność, czemu aż taka niewiara, czemu pomówienie o gospodarczy sabotaż, znów odpychanie, jakże bolesne, znów stawanie przeciw temu, co w niejednym coraz bardziej niezrozumiałe, ale nadal pozostaje mi drogie?... Dlaczego od razu spychanie na wrogie pozycje? Żeby się można było wykazać, podkreślić swoją rewolucyjną czujność, proletariacką świadomość, ideowe zaangażowanie?

- Uspokójcie się, Pacuk! - znów ten zgryźliwy i nieprzyjemny ton. - Uspokójcie się i odpowiedzcie mi jeszcze na jedno. Zastanawiając się choćby przez te dwa miesiące, na które tak biadolicie, nie zgłębiliście możliwych przyczyn katastrofy, zawalenia się ściany? Nic a nic?

Wiktor spogląda na prokuratora, usiłuje zobaczyć coś więcej poza zmęczeniem w jego przysłoniętych szklami oczach. Te szkła kryją uczucia, nic poza nimi nie widać. Więc taki jest dawny porucznik Sitecki, dziś prokurator Polski Ludowej, jeden ze stróżów socjalistycznej praworządności? Twardy był, kapitan powiedział mu kiedyś, słyszało ich kilku, że jest pryncypialistą. Zostaje nim najwidoczniej nadal. Ale w Siteckim było też tak wiele człowieka. Umiał być serdeczny, dobrze się z nim czuli żołnierze, pewnego plutonowego łączyła z nim nawet więcej niżeli zwykła koleżeńskość wojskowa. Teraz tamten plutonowy jest poczytywany za wroga, porucznik zaś reprezentuje karzącą dłoń ludowego państwa. O co on pyta? Ach, prawda, o przyczyny awarii...

- Nie mam zdania w tej sprawie. Rozważałem tysiące przyczyn. Nie było możliwości zbadania. Może nastąpił obsuw gruntu na skutek ulewnych deszczów?

- Rzecznicy orzekli, że obsuwu nie było.

- Murarka była solidna, Majchrzak tego pilnował, dla niego aresztowanie jest straszną krzywdą, to stary partyjniak...

- Mówcie, Pacuk, o sobie.

- Więc mur solidny, w pionie, zaprawy nie żałowaliśmy. Chyba że zaprawa była zła, wapno źle wylasowane, cement zwietrzały, jesienią wiara coś narzekała właśnie na cement...

Wiktor wyczuł to, spojrzenie zza okularów wyraźnie się ożywiło. Palce prokuratora zabębniły po pliku akt.

- Nic więcej? Cegła, Pacuk, jak wam się wydawała?

- Cegła? Mieliśmy ją z naszej cegielni spod Słupska. Zwyczajna cegła... Zaraz, zaraz, nie pomyślałem. Ale jesienią do wysokości pierwszego piętra tośmy ciągnęli inną cegłą. Z Łodzi ją przywozili, jeszcze chłopcy się śmiali, kto tak mądrze wymyślił, żeby od nas zabierać cegłę z uzysków, a do nas wieźć przez pół kraju. Majchrzak trochę psioczył na tamtą cegłę, że wypalona za mało... - Wiktor podniósł oczy na Siteckiego. - Czyżby cegła? Dlaczego pan pytał?

- Zostawcie własne pytania... - I nagle, cichym głosem, tak cichym, że go ledwie Wiktor usłyszał, prokurator zapytał: - Słuchajcie, Pacuk, bardzo mnie teraz nienawidzicie? Bardzo? Zdumiony wzruszyłem ramionami.

- Ja pana prokuratora? Nawet bym nie pomyślał. Pan jest dla mnie innym człowiekiem niż ten, którego kiedyś znałem. Urzęduje pan, robi swoje, minie o tym nie sądzić.

Sitecki uniósł się z krzesła, oparł całym ciężarem ciała na biurku, twarz jego zbliżyła się do oblicza Wiktora.

- Nie ma w was nienawiści, Pacuk! Zatem została już tylko obojętność? Niczego nie pamiętacie?

- Tak jest, panie porucz... panie prokuratorze. Nie chcę pamiętać. Znadto boli ta pamięć. Jeszcze po tym, co słyszałem przez całe dwa miesiące śledztwa: zem z AK, wróg, że maskę nakładałem przez cały czas, że dopiero przy tej sabotażowej dywersji udało się mnie wysledzić. Nawet temu nie darowano, że z Wilna pochodzę. „Wy tam wszyscy byliście reakcyjniści” - wmawiano mi. Więc dziwi się pan, że nie chcę nic pamiętać? Że pragnę już tylko spokoju gdziekolwiek? Po takiej odpłacie za moją wiarę, za to, że stanąłem po tej, a nie po tamtej stronie? Dziad mój był robotciarz i ojciec nim jest. Ja też byłem robotnikiem, ale teraz się najpierw zdeklasowałem, za dużo myślę, a inteligencja, tak też mi oświadczono, to rzecz niedobra, niepewna... Nie mam, czemu pan pyta o tamte dawne sprawy. Nie było ich, panie prokuratorze. Nie było...

Urwał, nie mógł mówić, nie potrafiłby wypowiedzieć więcej ani jednego słowa. Co go

talk raptem zdławiło za gardło? Czy odczucie, że nieprawda, iż nigdy tak nie pomyśli, jak mówił, że nie odrzuci nigdy i nie przekreśli pewnych spraw i faktów, są one tak trwałe jak on sam, jego myśli i uczucia? Czemu go ten Sitecki tak męczy? Myśli może, że działaniem na uczucie wydusi zeznania, potwierdzenie, że to była dywersja, gospodarczy sabotaż? Tego się nie doczeka. I po co w ogóle mówił temu człowiekowi to wszystko? Po co się zwierzał? To są własne jego, osobiste najbardziej sprawy. Nikomu nic do nich, ani prokuratorowi, ani tym zmieniającym się sędziom śledczym, nikomu.

Zacisnął wargi, przysięgając sobie, że nic więcej nie będzie mówił. Nic. Patrzył na Siteckiego. Ten zdjął okulary, wyciągniętą chusteczką przecierał szkła, ale patrzył nie na nie; swoje zmęczone, bardzo biedne jakieś wejrzenie wlepił w Wiktora.

Za oknem jaśniał piękny dzień lipcowy. Za parę dni zaczną się w kraju obchody dziesięciolecia Polski Ludowej. Rozlało się w Wiktorze to przypomnienie goryczą. On spędzi ten dzień w więzieniu, pomówiony o sabotaż, o dywersję i zdradę. Zabiłby chyba, gdyby mu ktoś przepowiedział coś podobnego przed siedmiu laty w Bieszczadach, w ten świt, gdy tuż po śmierci generała Waltera rwali do walki, pędzeni zemstą. Może przez to byli zbyt nieostrożni, zagarnął ich ogień, ale wszakże żaden z nich nie myślał wtedy o sobie... A teraz dziesięciolecie, więzienna cela. Niedaleko zaniósł go piastowane w ZWM marzenia, niedaleko...

Cisza w celi przemienionej na gabinet przesłuchań. Jakby ich obu wcale tutaj nie było. Jego i Siteckiego. Północna strona. Tylko z rozblasku powietrza na zewnątrz można się domyślać pięknej pogody, tu nie dociera ani promyczek słońca. Zawsze panuje chłód. Wiktor czuje, jak wstrząsa nim ziąb, zdaje się przenikać do kości. Jak w Bieszczadach, gdy godzinami zlegali w śniegu w czterdziestym szóstym, źle jeszcze umundurowani i odżywiani, walczący z dobrze zaopatrzonym przeciwnikiem... Co mu znów te Bieszczady, czy nie oderwie dziś myśli od nich?

Jakiś ptak zaczął wierkać za oknem. Nie widać go, ale Wiktor wie, że to zwyczajny szary wróbel. Miły ten świergot, jednak robi się tym smutniej. A na parapet jego celi zlatują się każdego ranka gołębie, czekają na chleb. Jeden talk śmiesznie grucha, zupełnie inaczej niż reszta.

- Nie słuchacie, Pacuk...

- Przepraszam, panie prokuratorze. Słucham uważnie.

- Powiedziałem, że umyślnie wziąłem waszą sprawę. Gdy mi przedstawiono nazwiska dla nakazu aresztowania, od razu domyśliłem się, że to musicie być wy. Nie ma dwóch Wiktorów Pacuków w tym kraju. Tak łatwo mi było oświadczyć, że znam was osobiście i

sprawy nie będę prowadził, aby nie widzieć jej subiektywnie... Chciałem wam pomóc, w każdym wypadku pomóc, Pacuk. Byłem wprawdzie przekonany, że to nieporozumienie, że wy byście na pewno nie szkodzili Polsce Ludowej, ale nawet gdyby inaczej... Nie to, żebym was zwolnił, ale znalazłbym argumenty na waszą obronę. Nakazywałem przyspieszać śledztwo. Dobiega końca.

- Ja o łaskę nie proszę, panie prokuratorze.

- Posłuchajcie do końca, Pacuk. Pamiętacie, jak zostałem ranny podczas pewnego zwiadu? Wyście mnie wynieśli z ostrzału. Wylizałem, się, wróciłem do jednostki. Dużo wtedy rozmawialiśmy z sobą. Gdy zostaliście ranni, odwiedziłem was w przemyskim szpitalu. A potem rozeszły się nasze drogi. Mieszkamy w Słupsku i żaden nic o drugim nie wiedział. Złączyła nas awaria na budowie mleczarni... W waszą winę nie chciałem, nie mogłem uwierzyć. Tropiłem, szukałem przyczyn, nawet zaczęto trochę dziwić się temu w Urzędzie, w innych wypadkach przyjmowałem wiele rzeczy bardziej jednoznacznie... Pytaliście, czemu mi chodzi o cegły. Majchrzak twierdził, że w tych łódzkich ceglach tkwi przyczyna. Były źle wypalone, najpewniej w ochłodłym piecu. Murowaliście późną jesienią, już przy pierwszych przymrozkach, nocami nisko spadała temperatura. Zaprawa, a i cement nie był najlepszy, nie schła, nie mogła dobrze wiązać. Od paru tygodni trwały ulewne deszcze. Źle wypalona cegła łatwo wchłaniała wilgoć, lasowała się. Napór drugiego piętra, stropów, więźby był silny. Dlatego budowa runęła...

Szeroko otwarte oczy wbił w Siteckiego. Aż się unióśł znad krzesła.

- Cegła? Rozlasowała się? Tak, to być może, narzekali na cegłę. Więc już wiadomo? Nareszcie! Dlaczego nas zatem trzymacie? Czemu nie zwolnicie z miejsca do domów? Czemu?

- Spokojnie, Pacuk. Tak sądzi Majchrzak. Potrzebne są analizy, jeszcze nie nadesłano ich wyników. Bądźcie pewni, jeżeli rzecz się potwierdzi, tego samego dnia podpiszę nakazy zwolnienia, umorzę sprawę...

Uśmiechnął się, dorzucił:

- Przeciwno wam. Bo winni muszą się znaleźć. Ja ich wynajdę, choćby w tej łódzkiej cegielni.

Wiktor łapał oddech jak ryba wyrzucona na brzeg. Kotłowało się w nim wszystko. Radość, że sytuacja ulega tak nagłej zmianie, był przeświadczony, że to na pewno cegła. Majchrzak ma rację... Ale radość przesłaniało inne jeszcze, nie sprecyzowane uczucie, łączące się z osobą Siteckiego. Wdzięczność? Na pewno tak. Ale nie tylko. Jeszcze coś zupełnie innego. Bo jak to Sitecki powiedział: że w każdym wypadku dopomógłby jemu, Wiktorowi,

nawet w wypadku, gdyby zarzuty okazały się prawdą? Za tamto, za to wyrwanie spod kuli? Więc gdzież miara sprawiedliwości? gdzie ta nieskazitelność prokuratorskiej togi?

- Cieszyście się, Pacuk?

- Panie prokuratorze, pan by ratował mnie w każdym razie? W każdym?

- W każdym... Ale uspokójcie się. Do pewnej granicy. Żądałbym najmniejszego wymiaru kary, przewidywanej przez odpowiedni paragraf.

Wiktor odetchnął z ulgą. Coś się w nim prostowało.

- A czy zawsze muszą być winni? Czy zawsze, panie prokuratorze?

- Za wiele pytaacie, Pacuk. Zawsze muszą znaleźć się winni... Proszę, podpiszcie protokół...

VII

Cienie stały się dłuższe, ciemniejsze pasmo wody przy trzcinach poszerzało się. Tym intensywniej bił poblask od płaszczyzny jeziora, obramowanej gęstwiną lasu. Nieco w bok od łódki płaśało niez mordowanie stado uklei, wiodą miotała tam nieustannie, trącana srebrzystymi smugami. Poskrzypując piskliwie, od przeciwległego brzegu dystyngowanym lotem pływała kania. W sitowiu baraszkowały drobniutkie, brązowe trzciniaki. Wiatr nieustannie prześlizgujący się na stacji podcieniami peronów nad jezioro zdawał się nie docierać. Stało spokojne i ciche, przy zatokach upstrzone liśćmi okalającymi kwiaty białego grążela. Było ciepło tym ciepłem specyficznym dla sierpnia, kiedy nawet w najupalniejsze dni zniecka potrafi zaciągnąć Skądś ziąbem, krótkotrwałym, delikatnym jak muśnięcie, ale przywodzącym już na myśl chłody jesieni.

Rozpiął koszulę. Gdzieś spod lasu zaczynały wyłazić nieokreślone jeszcze, znaczące się zmniejszonym natężeniem światła, zapowiedzi zmierzchu. Tutaj, pod ścianą trzciny, gdzie przystanął na maleńkiej, smolnej łódeczce, natężenie słońca zdawało się jeszcze wzmacniać. Spławek wędki w upartym bezruchu tkwił na powierzchni, czasem tylko trącał go wyzywająco popląsujący wokół drobiazg rybi. Spokój i ciepło wytwarzały aurę sytego rozleniwienia.

Przeciągnął się aż ostry ból przeniknął stawy ramion. Cisza dookólna działała obezwładniająco. Nawet kania nie krążyła już nad jeziorem. Przyglądał się wodzie. Bliżej ku środkowi miała srebrnawy odcień, wywoływany intensywnością słońca. Obok łodzi barwiła się ostrą, przejrzystą zielenią. Pamiętał podobną wodę. Na Zielonych Jeziorach pod Wilnem. W szczenięcych latach udawali się tam chłopięcą gromadą. Od Werek szli na Gulbiny, tutaj

nurzali się w las, a potem galopem, ile serce i nogi wydolą, gnali ku ciemnej wodzie. Jakże mocno utkwiał w nim ten odcień wód jeziornych, jeśli przy określaniu intensywności zieleni zawsze przyzywał tamten wzorzec przed pamięć.

Były inne wody. Te wielkie płaszczyny i maleńkie oczka, którymi usiane były pola i lasy w Brasławskiem. Stryj matki gospodarzył tam na paru hektarach, jeden z tych, którzy naprawdę dzielili zapalki nie na cztery może, ale na dwie części. Bieda, ale serdeczna, szeroko rozwierająca ramiona przed każdym, kto zechciał u nich gościć. Kilka razy jeździli tam na wakacje, on, matka i zupełnie jeszcze maleńki Czesiek. Ojciec też zjeżdżał na każdą niedzielę, korzystając z bezpłatnych kolejarskich biletów. Na tamtych jeziorach uczył się wędkowania. Lepiej ryby tam brały, może miały lepsze warunki rozwoju. Tu siedzi od kilku już dni, rzadko się trafia, by przynosił w siatce coś więcej nad przygarść drobnicy. Jedyne wielki leszcz zerwał mu się wczoraj. Długo się szarpał, nie dawał się wyciągnąć z głębiny, a potem zległ nagle na wodzie na płask, bez oporu pozwalał się już prowadzić. Nieopatrznie popuścił wtedy na moment linkę, ryba wróciła do normalnego położenia, szarpnęła silniej, tyle ją widział.

Dzieciństwo, chłopięce lata. Nie były łatwe, nigdy się w domu nie przelewało, choć też nie było tak źle jak u wielu innych. Ojciec miał stałą pracę, silny był, gdy przy wyładunkach brakło roboty, potrafił zawsze czymś dorobić. Matka umiejętnie gospodarzyła każdym groszem, nie pamiętał by kiedykolwiek byli głodni, częściej wspomagali biedniejszych sąsiadów... Pewnie, od małego musiał pracować, załatwiać sprawy na mieście, pomagał przekupkom na Rynku Drewnianym w rozmontowywaniu i oczyszczaniu stoisk, co piątku za to przynosił ryby. Płatki to były najczęściej albo kościste wzdregi, zwane tam krasnopiórami, rzadziej już kłujące okonie. Radzi byli wszakże i temu. Może dlatego potem z taką ochotą zanurzał wędkę w tonie brasławskich wód, że z rybą był od dawna znajomy.

I teraz najlepiej wypoczywał w ten sposób. Tak naprawdę to pierwszy raz odpoczywał, oderwany od wszystkiego dookoła, upity słońcem, wodą, spokojem tak głębokim, aż niemal niepokojącym. Były jeszcze te dni w Ustce ^cz Haliną, to prawda, ale to już coś zupełnie innego. Tam nie było spokoju, nie było ciszy. Teraz nie ma Haliny, nie ma prokuratora, nikogo ani z obcych, ani ze swoich. Ojciec załatany na swojej stacyjce nie stanowił przeszkody, raczej dodatkowy czynnik tego wewnętrznego Wiktorowego spokoju. Wiele ich ze sobą zbliżyło przez ostatnie pół roku.

Cienie rosły przy brzegach, coraz bardziej płasko spadały poblaski na wodę, wierzchołkami drzew powiał leciutki nadwieczorny szum, zadygotały pod jego trąceniem trzciny, zaczęła marszczyć się woda. Pławek drgnął nagle, wypłynął płasko na wierzch, znów

się zanurzył, zamarł, jeszcze raz leżał płasko, spokojnie. Wiktor mocniej ujął wędzisko, czuł, jak mu dłoń potnieje z emocji, choć dopiero przed chwilą zastanawiał się, czyby nie włożyć już marynarki. Sposób brania oznajmiał większą rybę, leszcza albo może i lina. O linie marzył, najbardziej może imponował mu ze wszystkich innych kształt tej ryby, wspaniałość proporcji obłego ciała, złocistość drobniutkich łusek pokrytych śluzem, wielka siła, gwałtowny opór stawiany wędkarzowi. Pławek zanurzył się teraz gwałtownie, Wiktor widział, jak ciągniony silnie, lekkim skosem szedł w głąb, już tylko majaczył zlewając się w jedno z barwą toni. Podciął zdecydowany, uczył opór. Teraz ułamek sekundy, zawsze istniejący moment niepewności. Ryba zamiotłała się gwałtownie. Uważnie regulował jej ruchy długością wędziska i żyłki, próbował holować do łodzi. Prędzej to poszło, aniżeli mógł się spodziewać. Wyrzucony na powierzchnię srebrny, lekko podmalowany smugami złota leszcz zwalił się na bok, jak łopata pruć teraz wodę całą swą szerokością, windowany przez przejętego człowieka. Większy był aniżeli ten, co zerwał się wczoraj. Ojciec szczególnie lubi leszcze, zawsze tłumaczył, że to specjalnie wyróżniana przez Żydów ryba, a Żydzi na rybie znają się tak jak nikt inny.

Ledwie zmienił przynętę i znów zarzucił wędkę, pławek już bez żadnego poprzedzającego drgania zanurzył się błyskawicznie... Znów leszcz. Dalej tak samo. Nawet niewidki linek, jakby radosna zapowiedź nowych sukcesów. Słońce zniżało się teraz szybko, zapadało za las, gasły rozblaski na wodzie, wiatr nadchodził mocniejszy, na jeziorze pojawiła się fala miarowo uderzając o łódkę i od wody, i od lasów na brzegu ciągnął przenikliwy chłód, zaczynało się ściemniać. Wiktor pozostawał nadal w koszuli, nie pamiętał o marynarce, wyciągał, rybę po rybie, zmieniał przynętę, zarzucał, wyślepiął oczy na coraz gorzej widoczny pławek, więcej polegał już na wyczuciu, ale nie ustępował. Nawet wtedy, gdy z jednej gwiazdy rozrodziły się ich setki na niebie, a w mroku nie mógł odróżnić poszczególnych strzał trzciny za łódką przy mocniejszych porywach wiatru muskających jego ciało...

Gdy potem szedł ścieżką wzdłuż świeżego rżyska, omal nie depcząc przy tej Okazji jeża - mądry zwierzak w porę zdążył na swoje szczęście ostrzegawczo zafukać - odczuł nagle, że dopiero ten wieczór przyniósł mu pełnię wypoczynku i odetchnienia, odsunął daleko, bardzo daleko niedawną przeszłość, przywrócił siły. Aż przystanął zaskoczony swym spostrzeżeniem, a potem zaśmiał się głośno, w mrok, na pola bielejące nie zaoranymi jeszcze rżyskami. Więc może być jeszcze pogodny, z odrodzoną nadzieją i ochotą działania? Więc to nowe aresztowanie i płynące w ślad za nim poczucie doznanej krzywdy nie załamało go, nie nasączyło nieufnością i zniechęceniem, więc jeszcze coś się nowego przed nim otwiera?

Jeszcze nie dowierzał swoim odczuciom, bał się, aby to poczucie wiary we własne siły nie było jakąś przelotną chwilą.

Ojciec z podziwem spoglądał na obfite trofea, podzielał entuzjazm Wiktora, zarazem popatrywał na niego badawczo. Zbyt dobrze znał syna, by jego nastrój przypisywać jedynie dobrym wynikom połowu.

- Przechodzą ci? - spytał.

- Chyba już przeszło. Dobrześ radził, by tu przyjechać - odpowiedział ze zrozumieniem.

- No, jeżeli tak, bierzemy się do ryb.

Skrobiąc leszcze Wiktor z wdzięcznością myślał o ojcu. Umie milczeć, nie wypytywać, gdy na to nie pora. Gdy w parę tygodni po pamiętnej rozmowie Wiktora z prokuratorem otwarły się drzwi celi, by wypuścić na wolność, podejrzanych o sabotaż przy budowie mleczarni, ojciec w domu także nie wypytywał, nie silił się swoim zwyczajem na przekpinki. Po wysłuchaniu zwięzłej relacji orzekł krótko:

- Należy ci się urlop. Pojedziesz do mnie, zmieścimy się w mojej klitce. Mama tyle czasu dawała radę, jeszcze się trochę pomęcz. Prawda, mamó?

Na proponowany przez ojca wyjazd nie był zdecydowany. W przedsiębiorstwie już ich oczekiwano, jakąś drogą rozeszły się wieści, że przyczyną wypadku była jakość cegły. Inżynier od razu zabrał się do roboty, twierdząc, że harówką zabić musi w sobie wspomnienie. Majchrzak oznajmił krótko, że ma rodzinę i wcale nie przelewało, się jej przez ostatnie miesiące. Jeden Wiktor nie wiedział, co począć ze sobą. Wrócił na wymarzoną wolność roztrzęsiony, naładowany sprzecznościami, uległy zarazem i zbuntowany. Musiał od nowa wszystko w sobie przetrawić, chciał też odnaleźć jeszcze raz swoje miejsce pośród tego, co w kraju się działo. Zachwiał się w przekonaniach, momentami gotów był przekreślić całą poprzednią swą wiarę w ustrój, w sprawiedliwość, w socjalizm. Wtedy wszakże wyłaniała się konieczność wyboru. Wóz albo przewóz. Tutaj nie umiał sobie poradzić, nie mógł wszakże łączyć się z tym, co budziło w nim organiczny sprzeciw. Zająć się zatem jedynie sobą, pomyśleć o własnej dziewczynie, może o dalszej nauce...

Coś mu zakotłowało w pamięci. Ktoś przestrzegał przed podobną postawą. Że zgubna, że dobra tylko dla głupich albo zdeprawowanych. Że nie można być emigrantem wewnętrznym... Kto tak mówił? Przypomniał sobie: Tadeusz. Wtedy gdy spotkali się na wsi u Pawła. Tadeusz gwałtownie szukał zaczepienia o nową Polskę, on, bardziej przecież od niej daleki niż Wiktor. Bał się pustki, bał osamotnienia w tłumie, poczucia pogłębiającej się obcości... Wtedy sprzeczali się ze sobą, przeciwstawiał się w niejednym Tadeuszowi jako

świadomy członek partii ze stażem bojowym i baretkami ludowych odznaczeń. Czy mógł przypuszczać, że mu odbiorą legitymację, że będzie wił się pod oskarżeniami, że tak wielu spraw w tej swojej Polsce nie będzie pojmował? I że wreszcie zacznie zamyślać o wycofaniu się, zrzuconiu z siebie jakiejś części współodpowiedzialności, że zechce stanąć na uboczu?... Tadeusz mówił, że to prowadzi do załamania, do samozguby. Może miał rację... Więc tymczasem lepiej nie myśleć, naprawdę wypocząć, zapomnieć choć w części o niedawnych przejściach, dopiero potem dokonać wyboru. Ojciec najlepiej radzi. Wycofać się na tę małą stacyjkę, nad wodę, do lasu, zachłysnąć się słońcem, powietrzem, najmniejszymi tylko, zwykłymi sprawami. Bez polityki, bez pamięci krat w oknie celi, bez sylwetki prokuratora Siteckiego.

Wdzięczny był ojcu i podziwiał go w tym Okresie. Stary Pacuk bardziej był zbuntowany, ostrzej oceniał, co w Polsce się działo, niejednemu był całym sobą przeciwny. Teraz nic o tym nie mówił, nie jątrzył. Zostawiał synowi możliwość własnej decyzji. Czasem nachodziła Wiktora myśl, że może tkwi w podłożu ojcowskiej postawy to, że sam skrzywiony jakimś pogłębiającym się w nim rozbratem między ideą, której wierzył, a która jakoś inne formy przyjmowała w realizacji, nie tylko chciał zaoszczędzić synowi własnych rozterek, ale więcej, w nim umyślił zobaczyć odrodzenie swojej wiary, w nim, który wolny jest od różnych ojcowskich zastrzeżeń, od pepesowskiego klimatu, od tęsknot i wielu naiwnych złudzeń, od zaskoczenia oderwaniem realnej polityki od jej wyidealizowanej wizji.

Bo przecież tłuło się w Piotrze, mimo zgorzknień, poczucie prawdy, uczciwa ocena faktów. Zasiadywali się czasem wieczorami na ławeczce przed domem, gdzie kolejarz wynalazł sobie maleńki pokoik, czy na dworcu, spowitym w nocną ciszę, przerywaną z rzadka dudnieniem przelatujących pociągów. Pogadywali leniwie o drobiazgach, o rzeczach mało ważnych, wspominali matkę Cześka, jakby pewne żale w ojcu już się przełamały, czas zrobił swoje, znów wracali do dni dzisiejszych. Nieśmiało kiedyś bąknął Wiktor ojcu, że się zastanawia, czyby nie zaryzykować dalszej nauki, są możliwości zaocznych studiów. Wspominał o tych swoich nie sprecyzowanych jeszcze marzeniach ostrożnie, pamiętając przekpinki ojca z czasu borykań się swoich w technikum wieczorowym dla pracujących. Ojciec potrafił być wtedy tak uszczypliwy...

Stary milczeniem pominął początkowo uwagę syna. Przelatywał właśnie pociąg, jedyny pośpieszny zmierzający tą linią, nie zatrzymujący się zresztą na małej stacyjce. Opodał nich zawiadowca w czerwonej czapce salutował przemykające z jazgotem wagony. Nowe były, jeszcze nie przeżarł ich kurz i sadza, połyskiwały pasami ciemnozielonej farby.

- Wrocławskie. Z Pafawagu - powiedział Pacuk.

A potem rozżalił się, że stacyjka ich straciła na znaczeniu. Nie była już pomocniczym ośrodkiem dla niedalekiej dużej stacji węzłowej, zarastały trawą rozjazdy i bocznice, rdzewiały szyny na torowiskach, nawet na rampie przeładunkowej zmniejszały się stopy towaru... Bolało to Pacuka. Tyle serca i wysiłku tu włożyli kiedyś w sześcioro, cieszyli się ruchem, snuli projekty dalszej rozbudowy nowych bocznic i ramp, dalszych peronów, wielkiego stacyjnego budynku. A tymczasem postępująca martwota. W rozgrywce zwyciężył inny węzeł. Pewnie, też go dźwigano z ruin, też jacyś zapaleni kolejarze wkładali tam pracę nad siły, trzeba to uznać, ale smutno i zazdrość...

Już myślał Wiktor, że ojciec niechętnie widzi jego projekty studiów, tylko przez tę objawioną w ostatnim okresie delikatność nie wyraża własnego zdania, gdy zniemacka usłyszał zaskakujące go słowa:

- Mówiłeś, żeby się uczyć. Za inżyniera chcesz być... Żeby mi ktoś powiedział to w Wilnie, przed wojną, w zęby bym trzasnął, żeby kpić przestał. Pewnie, gimnazjum może mógłbym ci dać, zaharowałbym się, alebym dał. I co z tego, nie byłoby ci o wiele łatwiej. W magistracie czy tak gdzieś piórkem byś przebierał za grosze. Już ja na przeładunkach więcej zawsze mogłem wyciągnąć. A od robociarzy byś odszedł. Bo to, synku, odchodzi się, odchodzi, nie sercem może, choć i tak często bywa, ale innym życiem, pracą, otoczeniem... A ja cię w tamto otoczenie nie chciałem dawać. I do gimnazjum nie poszedłeś. Ale o tym, byś dalej jeszcze mógł się uczyć, na inżyniera, doktora, to już i marzyć nie było warto. Za darmo to nie było, nie ujechałbym ani ja, ani ty byś też nie poradził... Dzisiaj mówisz mi to spokojnie i ja spokojnie słucham. Widzisz, też nie tak łatwo, ale każdy może się uczyć, na kogo chce, byle rozum miał i ochotę. Mój syn inżynierem! Aż wierzyć mi się nie chce, że to możliwe... Aż wierzyć się nie chce.

Słuchał, pojmował wzruszenie ojca, chociaż zdawało mu się, że stary nieco (przesadza, i nagle ni stąd, ni zowąd odczuł, że nieśmiały projekt zaczyna zmieniać się w postanowienie.

A potem, jak co dnia, jak co wieczoru, po przelocie pośpiesznego pociągu z nowym składem wagonów, przemierzali teren stacyjny. Ojciec pokazywał, tłumaczył. Przypomniawszy Wiktorowi Paweł, gdy oprowadzał po swoim gospodarstwie, snując plany na przyszłość. Też się zapalał, wymachiwał rękami, określał nimi płoty, drzewa, budynki. I też czasami gasł, chmurniał, zamykał się w sobie, zdawało się, odpływała z niego energia. Ale ojciec przygasał nie z braku energii, ale z rozżalenia nad jej brakiem u innych...

- Patrz, tu by dwie tony cementu starczyło, tyle by dali z dyrekcji, na pewno. Sami moglibyśmy podnieść ten poziom. Byle deszcz, woda stoi tu tygodniami, a i robota

nieporęczna w tym miejscu. Ale im ani starać się nie chce, ani tym bardziej robić... „Nie szalej, Pacuk” - mówią. - I tak wiem, że niektórzy pukają się w - czoło, niby na to, co tutaj wyrabiam. No cóż, iż naszej szóstki nikogo już nie zostało w osiedlu prócz mnie, rozrzuciły ich losy po świecie albo starły z tego świata. I nikt - właściwie nie odszedł po dobrowoli, z ochotą. Myślisz, chciałem tak bardzo jechać do Słupska? Pewnie, ciągnęła mnie towarówka, dość miałem czerwonej czapki zastępcy zawiadowcy, nie mój fach, inna specjalność. Ale i żal był, ale i zatrzymywało mnie coś silnie. Dlatego może musiałem wrócić. Pukają się w czoło niektórzy, ale im ze mną wygodnie. I stacji wygodnie... Ten narożnik był wtedy całkiem zburzony, murowaliśmy sami. Patrz, trzyma, choć żaden z nas nie był murarzem. W potrzebie człowiek niejedno potrafi... Cały ten kawałek skopałem sam na wiosnę. Kupa ziemi, gdy ją przerzucasz łopata. Tyle że mi gnoju przywieźli z PGR-u dwie przyczepy. Kwiaty też wydestałem od ogrodnika, za darmo, potem musiałem mu jedną sprawę załatwić, ręka rękę myje. Ładnie teraz; kwitnie to to, gdy ktoś obcy wysiadzie, aż się wydziwia. A te koszyczki z pelargoniami wiszące na słupach? Sam je plotłem z drutu, było parę zwojów w szopie, dał mi je zawiadowca. Znów ładnie... To zagrodzenie przy ustępach też zrobiłem, pomalowałem, zupełnie inaczej wygląda... A - drzewka rosną, i tamte z pierwszych lat, patrz, jakie olbrzymie niektóre, i te nowe, teraz sadzone. Jałowce tom z lasu na karku przyniósł, co trzeci przeżywał, uzupełniałem, ale jest żywoplot...

Wiktor wiedział, że zaraz będzie ocembrowanie wokół pompy na wodę dla lokomotywy, a potem barierka zabezpieczająca służbowe przejście przez tory; a potem jeszcze i jeszcze - wiedział to, nieledwie znał słowa ojca przy każdej z tych jego prac, a jednak nie nudził się. Było w głosie starego człowieka coś, co kazało słuchać z zaciekawieniem, przejmować się jego pasją. I właśnie teraz stawało się to Wiktorowi potrzebne. Ojciec też został skrzywdzony, zepchnięty na boczny tor, urażony w swojej godności świadomego robotnika, jak sam siebie określał. Ale wszakże odnajdywał się w tym choćby umiłowaniu przywróconej przez siebie do życia stacji, w tych tysięcznych pracach, wykonywanych bez zapłaty, często przy kpiących uśmiezkach obserwatorów. Miał swój własny nurcik w nurcie powszechnego życia. Może to była tajemnica odporności ojcowskiej, umiejętności trzymania się na powierzchni, niepoddawania zwątpieniu? Kimże był stary Pacuk na „swojej” stacji? Kimś bardzo nieokreślonym, na innej oficjalnej funkcji w listach zatrudnień, na innych, wielu - już funkcjach w praktyce. Podkpiwali z niego wprawdzie niektórzy, ale czynili to dobrotliwie, z sympatią dla starego, a w dowcipuszkach kryło się często przygłuszanie budzących się w nich samych wyrzutów i niepokojów.

Zazdrościł w takich chwilach ojcu, odczuwał zażenowanie, że sam nie jest z tej -

samej gliny. On miał mocniejsze wahania, rozterki, trudniej mu było o znalezienie własnego miejsca. Inaczej już myślał, nie tak prosto jak ojciec. Więcej wiedział, jeśli nie z doświadczenia, to z teorii. Może zresztą działo się tak tylko dlatego, że zatrzymał się w połowie drogi? Że gdyby wiedział i rozumiał jeszcze cokolwiek więcej, wyjaśniłoby się niejedno, byłoby łatwiej? Albo - może i jeszcze trudniej, kto wie? Bo w końcu od czego zależy sztuka odnajdywania siebie i swojego miejsca? Na pewno nie od stopnia wiedzy, nawet nie od sumy doświadczeń, ale najpewniej od jasno skryształizowanej postawy, od świadomości, czego się pragnie, w co wierzy. Ojciec - cóż, że psioczył, podkpiwał - w końcu wierzył w socjalizm, może zbyt przefastrygowany na własną modłę, to, inna sprawa. Syn zaś gubił się w zwątpieniach, momentami wcale nie był taki bardzo pewien, czy wierzy i w co wierzy naprawdę...

Było też coś jeszcze innego, co w tych niepamiętnych od lat dniach intymnego obcowania z ojcem, tak kiedyś oschłym i surowym, a później kpiarskim i złośliwym, wyłoniło się teraz przed Wiktorem wyraziściej niż kiedykolwiek. Ten ojcowski upór w szukaniu, w niezmordowanym sprawdzaniu samego siebie, przymierzaniu odczuć i tęsknot do konkretnych realiów. Tutaj dopiero, w ostatnie sierpniowe dni roku dziesięciolecia, zgadali się na temat prawdziwych przyczyn wileńskiej wyprawy Piotra, jak to Wiktor żartobliwie nazywał.

Też był wieczór, tym razem duszny i parny nie na sierpniowy sposób, jakby zapowiedź burzy, która zwała się nad okolice następnego dnia. Tradycyjnie już zaczynał Pacuk swoją opowieść o stacji, o tym, co się zrobiło, a co jeszcze trzeba tu zrobić. Siedzieli na ławeczce przed budyneczkiem dyżurnym umieszczonym pośrodku gmatwaniny torów. Wiktor, świadom tego sygnału do powstania i obchodu ojcowskiego włodarstwa, uczył, jak dłoń ojca zatrzymuje go, od nowa osadzając na miejscu.

- Chcę ci coś wytłumaczyć... Pewnie też czasami uśmiechasz się, że bzika dostaję z tą stacją. Trzeba, żebyś zrozumiał, czym stała się ona dla mnie. Każdy człowiek, widzisz, ma jakieś swoje miejsce na ziemi. Sto rzeczy go wiąże z tym miejscem, złych i dobrych. Gdy przyjechaliśmy tutaj, pamiętaj, matkę swoją straciłem, Czeška; nie łudziłem się, że ty żyjesz. Mnie ta rozwalona stacja pomogła. Pracowałem, aby się zemścić w ten sposób na Niemcach, że na ziemiach, z których musieli odejść, my od nowa odbudujemy życie. A jeszcze bardziej harowałem, aby zapomnieć choć w części o matce, Czešku, o tobie. I jeszcze aby zapomnieć o Wilnie.

- A potem? Czemu wyjechałeś z powrotem do Wilna? I czemu wróciłeś?

- Wiesz ty, jak Wilno dzisiaj wygląda? Anibyś poznał. Nie ma zniszczeń, odbudowane

wszystko, często dużo ładniej, niż było. Czysto na ulicach, są nowe dzielnice, place, pomniki. Dworzec - zmieniony, już nie ten sam co dawniej. Niejednego też brakuje. Nie odnajdziesz Trzech Krzyży; na miejscu domeczków, które rosły zaraz za torami, pamiętasz, a które rozsypały się w drzazgi, jak tuż po wojnie wyleciał w powietrze pociąg z amunicją, otóż tam na górze nie ma domów, są piękne trawniki, stopniami wznoszące się w górę, drzewa już wyrosły. Pozmieniało się, choć niby miasto zostało to samo. Tak samo iść możesz na ulicę Zawalną, pchnąć się pod górę jedną czy - drugą Pohulanką, przez Mickiewicza od katedry wyskoczyć prościutko na most Zwierzyniecki. Inaczej zresztą nazywa się dużo ulic, ale nie to ważne. Mówię, byś wiedział i przypomniał... Piękne miasto! Jakby się też zrobiło bogatsze. Kominów fabrycznych trochę przybyło, sklepów, nie wiem, może i ludzi. Pod Ostrą Bramą jak dawniej ruch tylko pieszy, klęcząc modlą się na ulicy babiny. I Rossa piękna, matka twoja tam leży, często u niej bywałem...

Umilkł nagle, urwał na tej Rossie, zamyślił się.. Może o żonie, może o Czešku, który nie miał własnego pagórka ziemi z krzyżem na nim i tabliczką z nazwiskiem. Na szlaku od Kolonii Wileńskiej do miasta jest kilka mogił przydrożnych, chłopci podwileńscy nimi się opiekują, ale kto i gdzie padł, nic nie wiadomo.

Pociąg towarowy hamował z piskiem i zgrzytem. Jazgotały na osiach koła wagonów. Potem zmów z posapywaniem ruszyła naprzód lokomotywa, jakby niechętnie zaczynały się toczyć za nią wagony. Zawiadowca stał długo, patrzył za oddalającymi się światełkami pociągu, potem poczłapał do swoich zajęć, z ulgą zdejmując z głowy czerwoną czapkę.

Gdy zmów zapadła cisza, Pacuk nawrócił do opowieści. Wiktor słuchał, z serdeczną czułością patrząc na ojca.

Jechał do Wilna, aby tam pozostać na zawsze. Po opuszczeniu stacyjki nie umiał związać się ze Słupskiem, dołączyła się jeszcze gorycz i rozczarowanie w związku z aresztowaniem syna z usunięciem jego samego z partii. Silniejszy nad wszystko stał się nawrót tęsknoty. Pozostawała w Wilnie siostra Klara, łatwo było o pretekst wyjazdu. A potem chyba można będzie na miejscu załatwić zakotwiczenie na stałe...

Tak było, jak pisał w swych rzadkich, lakonicznych fatach. Zachłysnął się miastem na nowo. Zachwyił się panującym porządkiem, zakończoną odbudową, zaskakującą przy pamięci zwalisk, unowocześnieniem węzła kolejowego. Znajomych z pracy nie znalazł wielu, garstka ich zaledwie została; innych los przerzucił gdzie indziej. O pracę przy tym nie było łatwo: obcokrajowiec przybyły na krótki okres. Ktoś jednak ułatwił. I tak płynęły dni: przedpołudnia na kolei, później daleka droga do domku siostry na Sołtaniskach, a jeszcze potem długie wałęsanie po ulicach, po Skopowce, Ludwisarskiej i innych zaułkach starej

dzielnicy. Długie godziny na Rossie, jakiś smutny spokój nad wzgórkami, znaczącym miejsce spoczynku żony. Wyprawy do Kolonii Wileńskiej, próby ustalania, gdzie padło najwięcej atakujących miasto akowców, wstrzemięźliwe odpowiedzi nielicznych z dawnych mieszkańców. Po latach szarpaniny i trosk uczucie zupełnego spokoju, nie zamażone nawet staraniami o przedłużenie prawa pobytu.

Po roku powstało w nim nagłe odczucie, że jednak brakuje mu czegoś w obrazie miasta. Na pół świadomie, gorączkowo zaczął poszukiwać dalszych zbliżeń, wypatrywać wśród tysięcy napotykanych twarzy znajomych z dawnych lat, znajomych choćby tylko z widzenia. Śledził tropy własnych przeżyć. Nie pomagało. Zaginał spokój pierwszych miesięcy.

Znów przedłużenie, tym razem o rok, prawa pobytu. Choroba siostry przyszła z pomocą, zaistniał pretekst do pozostania w Wilnie.

Aż wreszcie któregoś dnia w rano niedzielny stał na rogu ulicy Zamkowej i Królewskiej; naprzeciw zieleniał stary park, nieco z boku jasną bryłą odcinały się od tego tła mury katedry. Zrozumiał stał się ten narastający niepokój: Wilno przestało być już tym samym miastem, choć niby wokoło tak samo, te same mury, ulice, bramy przejściowe, drzewa w parkach, ten sam nurt Wilii poszum gwałtownie wlewającej się do niej Wilenki. Nie same mury wyznaczają jego granice, nie tylko one stwarzają swoisty, niepowtarzalny klimat. Dawnych mieszkańców prawie nie ma, ci co zostali, roztopili się w masie nowych przybyszów. Zmienił się język na ulicach, inaczej brzmią szyldy i wszelkie napisy. I knajpki Krzywego Mośka przy ulicy Portowej już nie ma, w ogóle cały dom został przebudowany, i nie można z dworca wyskoczyć na piwo do Zejmanowej, i nie biegają ulicami chłopaki z plikiem popołudniówki pod pachą. Inaczej już pachną bzy, w odmienny sposób ścielą się na ulicę płatki kwiecica kasztanów. Cóż z tego, że Rossa, że Ostra Brama, że ulica Zawalną, kędy zdążali swoją grupą, by dołączyć do wielkiego pierwszomajowego pochodu, kiedy nie napotyka już nigdzie żadnego z uczestników tych manifestacji, kiedy nikt nie zawoła do niego przyjaźnie z drugiej strony ulicy. Pewnie, są nowi znajomi, z niani też przyjemnie pije się piwo, zachodzi nie na ćwiartkę, jak kiedyś, ale na dwieście gramów. Tylko że ci znajomi mogą być równie mili w każdym innym mieście. Oni są nowym obliczem Wilna...

Tego dnia pierwszy raz zapragnął powrotu. Klara chorowała, musiał być przy niej. Coraz bardziej męcząco upływały dalsze miesiące i zarazem coraz silniejszy, przyzywający już nie tylko w snach nocnych, ale i na jawie, za dnia stawał się obraz stacyjki niedaleko Słupska. Tam już zdołał zapuścić korzenie, na poły nieświadomie, bez zdawania sobie jeszcze sprawy z tego faktu. Tęsknota za Wilnem była tęsknotą do marzenia, tęsknotą do innego

Wilna, nie tego, które miał teraz przed sobą, cóż z tego, że bardziej zadbanego, piękniejszego może i bogatszego.

Oto dlaczego właściwie powrócił. Zostawił grób żony, połacie trawy i łany zboża na wielkiej przestrzeni będącej mogiłą młodszego syna. Wrócił tam, dokąd rwało go serce, na swoją stację...

- Bo to widzisz, Wiktor - kończył zażenowany, zawstydzony własnym gadulstwem i nieumiejętnością wypowiedzenia wszystkich swych odczuć - tam nasze - miejsce, gdzie jesteśmy pośród siebie najbliższych, gdzie dzieciaki wrzeszczą na nasz sposób, trawa też po naszymu rośnie. W Wilnie dobrze było mi powspominać, ale nie sposób było mieszkać. Musiałem wrócić. Nie do Słupska, nie gdzie indziej, ale tutaj. I teraz nie dziwisz się chyba, czemu chodzę koło mojej stacji jak koło drogiej dziewczyny, że chciałbym ją przystrajać, widzieć coraz piękniejszą? Nie można żyć bez ojczyzny, bez kawałka swojej ziemi na świecie. Wtedy zmarniejesz. Pewnie, zawsze będzie tęsknota za minionym, za utraconym, wspomnienia odsuną wszystko, co złe, zostawią tylko piękne i miłe, tych wspomnień nie ma się co wyrzekać. Ja też myślę często o tamtym dworcu, chodzę sobie w duchu na Hoszę, do grobu Emilki, przypominam nasz idom przy Nowogrodzkiej i potem tamto drugie wojenne mieszkanie, ale już nie płaczę, mię chcę tam wracać. Tutaj zadomowiłem się, tutaj jest grunt, w który mocno się wparłem, nie chcę nigdy więcej odchodzić... Czy minie, Wiktor rozumiesz?

Nadbiegał nowy towarowy. Zwolnił nieco, sunął dostojnie, wabił różnorodnym ładunkiem. Od dachów peronu echem odbijały postukiwania kół. Stary Piotr przyjaznym wzrokiem patrzył na ciąg wagonów, spojrzeniem, w którym nie było już trawiącego go dawniej niepokoju. Zawiadowca znów stojąc na baczność odprowadzał pędzący skład, po czym wolno złożył swą chorągiewkę i znużonym krokiem odszedł ku budynkom stacji.

Przy mijaniu któregoś z peronowych słupów mocny blask z paleniska lokomotywy oświetlił wyraziście pelargonię, zwisającą z drucianego kosza. Duże jej kwiaty, czerwone, nabrały wzmocnionego koloru, przesyconego ciepłem wypływającym z miłości. Jak ten spokój na twarzy starego Piotra.

VIII

Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę. Z przyległego pokoju nadbiegało jedynie krzatanie się babci, wpadł w nie szept Ingi, potem skrzypnęły przymykane drzwi. Babcia wróciła do kuchni, gdzie się teraz przeniosła, umieszczając swoje łóżko w niewielkiej wnęce. Miał

początkowo wyrzuty sumienia. Jakże starą kobietę pakować w kuchenną ciasnotę, zapachy? Ale ona sama potraktowała to z taką swobodą, że skrupuły jego się rozwiały.

W całym mieszkaniu rozsiadła się teraz cisza. Do szóstej rano Agnieszka nie budzi się. Wyjątkowo spokojne dziecko. Tylko godziny posiłków wita przeraźliwym rykiem, momentalnie uspokajając się na widok butelki. Ciekawe to reagowanie małej na określone godziny, dopominanie się z energią o należny posiłek. Jakby już walczyła zawzięcie o swoje. Po nim tonią czy po Indze? Chyba po Indze, choć - właściwie zna żonę ciągle tak mało, że trudno mu odpowiedzieć nawet na tak proste pytanie...

Przeciągnął się, wyprostował ramiona. Spojrzeniem ogarnął rozpiętą na rysownicy kalkę. Niewiele już na dzisiaj zostało, wyciągnie tylko ostatecznie kontury, uzupełni poziomy rzut, robota gotowa. Nieźle na tym zarobi. Będzie można coś kupić Indze, wypadaloby też zrobić prezent dla babci, choć z tym największy kłopot, nie wiadomo, co jej potrzeba... Ale nad tym będzie czas zastanawiać się po wypłacie. Podobno mają dla niego jeszcze jakieś zlecenie. Weźmie, każdy grosz jest potrzebny.

Pokwitował tę myśl uśmiechem. Ani się spodziewał, że wykrzesze z siebie tyle zapału i sił, by chwytać za ogon przysłowiowe dziewięć srok, żadnej nie wypuszczając. Co najśmieszniejsze, że wbrew logice, przytył trochę. Mimo kierownictwa budową nowych pomieszczeń dla fabryki maszyn rolniczych, mimo uciążliwej nauki, trudniejszej nad spodziewanie, mimo tych prac zleconych, wykonywanych nocami, nie mówiąc już o życiu rodzinnym. Żona, dziecko - prawdziwy dom, z nie znanymi przedtem tysiącami kłopotów i potrzeb, ale i z nie mniej zaskakującymi radościami i odczuciem sensownie wypełnianego życia. Wiedział, w życiu tym znalazłyby się niejedne luki, ale nie chciał ich dostrzegać, usprawiedliwiał się przed samym sobą iż zaabsorbowania każdej chwili swojego czasu.

I teraz ten czas popędza, minuty zmieniają się w kwadransy, te sumują w godziny, o siódmej musi być na budowie. Agnieszka nie zapomni go zbudzić godzinę wcześniej. Dochodzi dwunasta, niedługo zaczną wybijać starodawny zegar wagowy, przywieziony z Wilna, ukochanie i babci, i ojca, powód pogardliwych wydziwiań Ingi nad gratem. Szybko wyprowadzał tuszem kontury, wypisał legendę, przeliczał współrzędne, pogwizdując lekko jak zawsze, gdy jakaś robota zbliżała się ku końcowi. Wreszcie odetchnął głęboko, leciutko pogładził kalkę. Gotowe.

Zatęsknił za ciałem żony. Trwał przez moment w niezdecydowaniu, na pół już rozebrany wyjrzał na korytarz, ostrożnie podszedł ku przymkniętym drzwiom, zajrzał przez szparę. Inga spała mocno, jej oddech równomiernie nasyczał pokój, rudawe włosy przesłoniły bid poduszki. Nie widział jej twarzy, rozchylonych leciutko warg, plamek piegów w

okolicach nosa, które tak go zawsze śmieszyły. Westchnął, żał mu było ją budzić. Chciałby jeszcze zerknąć na małą, śmieszne były te tłuściutkie nóżki i rączki z obrączkami nad maleńkimi dłońmi, ale głęb łóżeczka kryła przed nim dziewczynkę, do pokoju zaś wchodzić nie chciał. Wycofał się równie ostrożnie, jak przyszedł.

Rzut oka na połyskującą kalkę, na sieć obwiedzionych tuszem linii, na suwak i kątownicę, mniej już pewne spojrzenie na niewielką etażerkę pod oknem z ułożonymi na niej książkami. Nie zajrzał dziś w ogóle do podręcznika, tymczasem egzamin się zbliża. Ech, dotychczas sobie radził, poradzi nadal. Z kalendarza wyjrzała data: 16 sierpnia 1955. Rok temu tkwił jeszcze w tym czasie w więzieniu, zmieniali się sędziowie śledczy, padały absurdalne zarzuty, gdzieś tam prokurator przedłużał sankcję. I taka odmiana przez dwanaście miesięcy. Aż pojąć chwilami nie sposób.

Zgasił światło, przykrył się kocem, wyciągnął się na całą długość, zawsze tak sypiał, w przeciwieństwie do Ingi, która zwijała się w kłębek jak kocię. Zegar na ścianie zadygotał, chrypliwie wybił kwadrans, potem czystym dźwiękiem oznajmił pierwszą. Sypiał teraz mocno nie tylko na skutek zmęczenia. Sen taki pojawił się wraz z zanikiem poprzedniej nerwowości; jakiegoś przeczulenia w widzeniu spraw własnych i bardziej ogólnych, poczucia niezasłużonego odepchnięcia za nawias. Obrócenie całej energii na życie najściślej prywatne, z rozgrzeszeniem siebie, iż, decyzja ta narzucona została z zewnątrz, dawało poczucie wewnętrznego spokoju.

Czasami jedynie, bardzo rzadko nachodziło go niepomierne zdumienie, jak łatwo dokonała się w nim ta zasadnicza odmiana. Jak lekko odrzucił poprzednie pojmowanie życia jako wiecznego zaangażowania i walki. Jak niefrasobliwie w zasadzie zajął pozycję obojętnego obserwatora. To było takie proste, na pozór nadal zostawać sobą, tym z dawnych lat, opowiadać się za socjalizmem, za przebudową ustroju, za kształtowaniem nowej świadomości społecznej, zarazem traktując wszystko to powierzchownie, niemalże obojętnie. Wtedy tak nietrudno jest przyznawać się do sukcesów, osłaniać się Nową Hutą czy innymi budowlami sześciolatki, umywając zarazem ręce od niepowodzeń, od ciężkich błędów i licznych załamań. Postawa konsumenta, przypominał określenie, któregoś z wykładowców na szkoleniu ideologicznym... Był jeszcze dodatkowy atut: samiście nie chcieli, nie pozwoliliście być z wami, odepchnęliście... Ale ja mimo to pozostaję wiemy, jestem w jednym szeregu. Tyle że nie uczestniczę, stanowią jak gdyby rezerwę. Bardzo mu się podobało to określenie. Rezerwista, podobnie jak w wojsku. To stwarza dystans, ale nie zrywa więzów, które przecież nadal istnieją...

Było mu dobrze w tej rezerwie. Miał wreszcie wolny czas dla siebie, teraz dopiero

pojmował, jak można życie zaabsorbować tymi zwykłymi rodzinnymi sprawami.

Nagle wdepnął w to wszystko, sam najbardziej zaskoczony kolejnymi zmianami. Od ojca, z jego stacyjki, powracał do Słupska wypoczęty i uspokojony. Zazdroszcząc ojcu jego zaangażowania na dostępnym mu odcinku, jednocześnie odczuwał wyrzut, że sam nie umie znaleźć dla siebie takiego miejsca. Próżno gromadził cały arsenał usprawiedliwień, jakaś szpileczka zakłuwała znienacka a boleśnie. W budowlance, przywitany serdecznie, zaraz otrzymał kierownictwo nowej roboty, jakby tym dowodem zaufania chciano przekreślić pamięć nieszczęsnej młeczarni. W fabryce, dla której budowano hale, zetknął się z innym środowiskiem, nie tak przypadkowym jak wśród zmieniającej się budowlanej załogi. Przyglądał się wewnętrznym sprawom zakładu, próbował znajdować wspólny język tak z robotnikami, jak z kierownictwem. W robocie potrafił się wyżywać, nie żałował siebie ani swojego czasu.

Drugie, przeciwstawne pragnienie, również zrodzone w zamysłach nad tonią jeziora, zaczynało się jakby zacierać: ta wizja własnego domu, w którym jest żona, dzieci, piękne meble, radio, licho wie co tam - jeszcze. W którym nadchodzi wieczór, a wtedy Się idzie spokojnym, zadowolonym krokiem na spacer albo do kina, czasem pozwoli sobie i na kawiarnię. W którym noce są spokojne, obowiązki małżeńskie spełniane z przyjemnością, ale bez szaleństw, krótko przed snem, w wygodnym łóżku, w niebieskiej piżamie w czerwone paski.

Pokpiwał z tych swoich mieszczańskich mrzonek, ale było w nich także coś bardzo pociągającego: aura spokoju.

Przez pierwsze tygodnie przyglądał się miastu, swojej robocie, ludziom, tym przedtem już znanym i tym, do których dopiero się zbliżał. Aż potem pogmatwało się z nagłą wszystko, nabrało galopującego tempa, w którym trudno się było połapać, porwała go jakaś fala i niosła.

Zaczęło się od notatki przeczytanej w gazecie, że w najbliższych dniach upływa termin zapisów na studia zaoczne. Prośba o dzień zwolnienia, wyjazd do Poznania. Sekretariat Wyższej Szkoły Inżynieryjnej. Podanie, zapis, lista podręczników, terminy konsultacji i egzaminów. Z dziwnym uczuciem dotykał dłonią kieszeni, w której mieścił się świeży, czyściutki indeks i legitymacja uczelni. Przyływy zwątpienia we własne siły i zdradzanie się uporu. W technikum - było podobnie, niektórzy załamywali się i rezygnowali. Bywało, chciał iść ich śladem, ale zaciął się, wracał do niepojętego tekstu po raz dziesiąty, aż w nagłym przebłysku stawał się zrozumiały.

Zaraz potem nastąpiło spotkanie z Ingą. Dziewczynę często wspominał w celi więziennej, nawet w pokoiku ojcowskim, nie pamiętał natomiast o niej zupełnie w Słupsku.

Myślał niekiedy, że wypadałoby choć z grzeczności odwiedzić obie kobiety, ale nie było ani czasu, ani nade wszystko ochoty. Może też ważyła i jakaś niechęć do powrotu w miejsce, gdzie nieszczęsna awaria tak się odbiła na jego życiu.

Ale przypadkowe spotkanie nie wymagało żadnych decyzji. Wysoka, pełnawa sylwetka Ingi wyłoniła się przed nim z nagłą na szerokiej, ocienionej drzewami Alei Wojska Polskiego. W nim zaś na jej widok, obok uczucia zażenowania, że dotąd nie dał znaku życia o sobie, zrodziło się pragnienie posiadania swojej własnej dziewczyny, zawsze tej samej, a nie zmiennych, przypadkowych znajomych. Podrażnił go jeszcze jej wyraźny chłód.

- Ach, Wiktor - ściągnęła wargi.

- Cieszę się... Od dawna wybieram się do was, tyle spraw ważnych się zbiegło, lada dzień na pewno bym się pojawił...

- Mija drugi miesiąc, jak wyszedłeś z więzienia. Czekałyśmy cię z mamą następnego już dnia... Zapomniałeś. Ja zresztą też zapomniałam, to było talk dawno, gdy próbowałam przekazywać ci paczki, ale nie chciano ich ode mnie przyjmować, nie wodno, mówiono.

- Inga, ja, ja nie wiedziałem. Ja chciałem naprawdę; byłem u ojca, źle się czułem, pragnąłem odpocząć, a potem praca, jeszcze ta nauka, zapisałem się na budownictwo. Często o tobie myślałem... Pójdziemy gdzieś?

- Spieszę do domu, mamy dziś gości, mama czeka. Na pewno się jeszcze spotkamy...

Stanęli przy przystanku, pech chciał, że autobus już nadjeżdżał. Wściekły na siebie i na dziewczynę, odprowadzał ją wzrokiem. Wydała mu się ładniejsza niż przedtem, bardziej pociągająca, pod pozornym zimnem odczuwał temperament, zeszczupłała nieco, mocniej uwydatniała się jej zgrabna figura. Autobusu dawno nie było już widać, dworzec kolejowy wyrzucał z siebie podróżnych, z zadziwieniem zerkających na przyzwoicie ubranego człowieka, z dziką pasją spluwającego raz po raz na ziemię. Durnia z niego zrobiła, wykpiła, zmieszała z błotem. Musiał milczeć, bo racja była po jej stronie. Bądź co bądź, wypadało ją odwiedzić. Nic nie wiedział o paczkach do więzienia, ale i bez tego istniały powody, aby nie zapomnieć o najprostszej grzeczności. Zachował się jak ostatni pętał, jak ciemny chamuś.

Z okien leżącej naprzeciw restauracji „Dworcowej” padały na jezdnię kwadraty światła. Nadciągał rozgwar podnieconych głosów. Uczuł ochotę na wódkę, zapragnął znaleźć się w jakimś towarzystwie, nieważne w jakim.

Po paru kieliszkach „Dworcowa” stała się mniej brudna i hałaśliwa, przyćmione światła tuszowały braki, pociągnęła muzyka, w takt której kręciły się coraz liczniejsze pary, ściągające w podwoje knajpy z zapadającym na zewnątrz mrokiem.

- Jeszcze ćwiartkę.

Wódka stanęła na stole szybciej niż zamówione danie. Wypił kieliszek pod papierosa. Poprosił o piwo, wygodniej rozparł się w krześle. Złość przeradzała się w żal. Mogła Inga inaczej go potraktować, nie jak byle gówniarza, z tą miną urażonej damy, spoglądającej z wysokości dwóch fortepianów w poojcowskim domu. Co z tego, że miała powody, aby czuć do niego urazę? Nie musiała się tak od razu wygłupiać. Ruda małpa. Może takie mieć tuzinami, daleko nie szukając, znajdą się w tej samej „Dworcowej” i na pewno nie będą wysuwały głupich pretensji. Wiejska kwoka, pyszni się, że rzuciła naukę, liznęła coś tam rok tylko w liceum. Sądzi, że graty po tacie to wszystko. Jeszcze ta mamunia z ideologicznym uświadomieniem, pegeerowska aktywistka, psiakrew. A pod spodem czarna reakcja. Lepiej trzymać się z dala od nich, razem z ich kryształami. I innym dobrem.

Pił dalej, kelner uwijał się przy nim gorliwie, głuchy na inne nawoływania. Wiktor oglądał się na dziewczęta, te zezowały ku niemu, ale żadna go jakoś nie pociągała, choć trafiały się ładne i zgrabne. Inga ciągle stała mu przed oczyma. Kostiumik miała dziś na sobie obcisły, uwydatniał figurę, jasnoniebieskim kolorem kontrastował z rudawymi włosami. Mała noga, nowe pantofelki, dobrze to wyglądało. Nawet rękawiczki siatkowe, dobrane kolorem do kostiumu. Miała szyk, umiała się ubrać. Ruda małpa.

- Ruda małpa. Ruda małpa. Ruda małpa - ze złością zmieszaną z żalem cichutko powtarzał nad stolikiem to naiwne wyzwisko.

Nazajutrz wyświeżony, z kwiatami i jakimiś czekoladkami pod pachą, wysiadł z autobusu na przystanku nie opodał już pracującej mleczarni.

Przed samym Wejściem do domu pań Gruszczyńskich wytarł w chusteczkę wilgotne od potu dłonie. Drzwi otworzyły się bez pukania stanęła w nich uśmiechnięta Inga. Mama też witała go ze zwykłym sobie ferworem, usłyszał coś o robotniczej klasie, o zwycięstwie idei socjalizmu i o zgniliznie kapitalistycznego świata, ale nawet się nie wysiła, aby ją zrozumieć. Zajęty był Ingą i zamiarami, z jakimi tu przybył.

Gdy po poczęstunku oznajmił, że chciałby się z Ingą żenić, panie, choć musiało im coś chodźć po głowie, osłupiały z wrażenia.

- Inga mnie zwymyślała, że nie pamiętam, że zapomniałem, a to nie tak, zupełnie nie tak... Tylko że dojść nie mogłem do słowa, zresztą autobus zaraz odjechał... A ja właśnie bardzo poważnie... - jąkał się. Cóż, sytuacja była dla niego najzupełniej nowa, a jeszcze to piekielne wzruszenie.

- Wierzę w pana intencję, Wiktorze. Mówię po imieniu, jak matka, mam prawo, przecież to jakbym mówiła do syna - dostojnie zaczęła pani Gruszczyńska. - Myśmy dla pana bardzo życzliwe, dzisiaj, gdy tyle zwykłej hołoty wokoło, taki prawdziwy z krwi i kości

proletariusz, budowniczy socjalistycznego jutra...

- Mamo, daj spokój.- syknęła Inga.

- Ach, ty mi zawsze przeszkadzasz... No dobrze, dobrze. A więc, Wiktorze drogi, my, to jest ja, a na pewno i Inga, widzimy mile, bardzo mile twe oświadczyzny. Ale podobny krok to wielka rzecz, trzeba ją rozważyć, przemyśleć, nie można tak z miejsca...

- Ja jestem zdecydowany. Chcę wiedzieć dzisiaj... - upierał się.

Stańło na tym, że przyjedzie za dwa dni, wtedy otrzyma odpowiedź. Na odjeźdnym Inga całowała go mocno, jak nigdy przytulała się całym ciałem.

Reszta już poszła piorunem. Po trzech tygodniach - tyle trzeba było czasu, by krawcowa zdążyła uszyć suknię ślubną - piękny materiał, jeszcze za życia pana Gruszczyńskiego kupiony - młoda para otrzymała błogosławieństwo na wspólne życie. Do odnowionego mieszkania wprowadził Wiktor małżonkę. Babcia usunęła się dobrowolnie do kuchni, młodym zostawiając dwa pokoiki.

Babcia najmniej się zdziwiła decyzji Wiktora. Potrafiła też oblaskawić Inge. Gorzej było ze starym Pątnikiem. Jeszcze przed ślubem, gdy poznał wybrankę syna, przeprowadził z nim dłuższą rozmowę.

- Uczona ona, inteligentka? Czy taka będzie, Wiktorze, pasowała do ciebie?

- Ma tylko podstawową szkołę i jedną klasę liceum... Ojciec widzi, że ktoś dobrze ubrany, to zaraz, że inteligent. Nie szkodziłoby zresztą, żeby więcej umiała. Ale kobiecie mniej to potrzebne.

- Nie to, tylko że - widzisz... I ta jej matka, gadałem z nią i aż mi się na rzyganie zbierało. Ciągłe o socjalizmie, o zdobyczach ustroju, o niedługim końcu kapitalizmu. I w ogóle, jakie to u nas cacy, jak pięknie, jak narasta świadomość klasowa, jaki to dla niej zaszczyt, że styka się ze mną, przedstawicielem zwycięskiej klasy, wzorcem proletariackich cnót. Uff, ledwie dyszałem.

- Dobra kobieta, naprawdę dużo działa społecznie, Jest w Lidze Kobiet, kursy jakieś organizuje, jeszcze coś tam - tłumaczył przyszłą teściową, choć przed samym sobą również nie mógł przyznać się do serdeczniejszych uczuć w stosunku do pani Gruszczyńskiej. - Ale Inga podoba się ojcu, nieprawdaż? - Wcale nie był pewien ojcowskiej opinii. Inga nie odpowiadała typowi kobiecie, jaką by stary chętnie widział na małżonkę dla syna, wolał zatem zaskoczyć ojca, zmusić do potwierdzenia swych słów. Ze starym Pacukiem nie było jednak łatwo. - Pokiwał w zamyśleniu głową.

- Ty wybierasz, nie ja. I nie mnie coś radzić. Tylko, widzisz jest jedno. Tyś wyrósł może nie z biedy, ale z ciężkiego życia. Wiesz, jaki jest prawdziwy smak chleba. A ona?

Mówiłeś o tym domu, gratach, bogactwach. Czy wy się dopasujecie, czy nie będzie każde ciągnęło na swoją stronę? Żeby nie było jednemu dość, a drugiemu ciągle za mało.

Zaprzeczył wtedy tym energiczniej, im mniej był - pewien, czy w słowach ojca nie kryje się racja. Ejże, chyba jednak sobie poradzi, cudów nie będzie, ale nie będzie i biedy. Zapracuje, ma w sobie tyle ochoty, weźmie dodatkową pracę, kreślarzy, techników trzeba dziś wszędzie...

- Naukę rzucasz?

- Czemu mata rzucać? Inga wie, nawet się cieszy, że - kiedyś inżynierem zostanę.

- Więcej wtedy zarobisz. Tylko czy dobrniesz do tego inżynierstwa? Nie wiesz jeszcze, co to dom, dzieci...

- Ech tam, gadanie. Wszystko można, byle były siły i upór.

Jak dotąd radził sobie. Zarabiał więcej niż kiedykolwiek. Wokoło robiło się z zarobkami ciasniej, ludzie coraz bardziej narzekali, jemu jednak prace zlecone nadal przynosiły znacznie więcej niż oficjalna pensja. Trochę jednak na drugi plan zeszła nauka, zaczynał odczuwać lęk przed kolejnymi egzaminami.

Zdarzały się chwile, kiedy przypominały mu się słowa ojca: „Nie wiesz jeszcze, co to dom, dzieci...”

Uśmiechał się wtedy, przeciągał ramiona. Już wie, ale właśnie na przekór obawom ojca postawi na swoim. Pójdą jutro z Inga wybrać materiał na suknię. W tym miesiącu obiecywał sobie kupić nowe radio, stary poniemiecki aparat ciągnął już resztką sił. Niedługo kończą się raty za meble, piękna sypialnia o wysokim połysku, odpadnie spory wydatek.

Z nauką nie ma obaw. W najgorszym wypadku powtarzałby któryś rok. Ale skończy. Inga będzie panią inżynierową, wzrośnie jego społeczna pozycja. Najważniejsze, że ma dla kogo się uczyć, że jest jakiś cel jego starań i trosk.

Odpychał niechętnie przebijające się niekiedy przez zaambarasowanie codziennymi sprawami pytanie, czy taki sens wyznaczał kiedyś swojemu życiu, czy stawiał przed nim takie wyłącznie cele. W partyzantce, w bojach pod Budziszynem, w zimnych nocach bieszczadzkich, w zetwuemowskiej i partyjnej robocie? Cóż tam, młodszy był, w młodości każdy jest zapaleńcem, musi chyba nim być. A przy tym on się nie wyrzekał niczego, nie wyrzeka po dziś, jest sercem i wyborem z tej samej strony, że zaś mniej się udziela, nie jego to wina.

Prosto to sobie tłumaczył, na pozór logicznie, a jednak zastraszała go niekiedy rozwierająca się przed nim pustka. Narastało oddalenie od załogi fabryki. Nawet z Majchrzakiem - razem pracowali już znowu - nie znajdował wspólnego języka. Niby mię

zmieniło się wiele, były pogwarki przy zakurce, zdarzał się po fajrancie jeden i drugi kieliszek wódki, ale myślą krążył przy domu, przy Indze i Agnieszce, rozglądał się za nową fuchą, zleceniem, dodatkowymi rysunkami, które okazywały się z nagłą konieczne. I nie mógł przy tym znaleźć w sobie przejęcia sprawami, o których słyszał.

Dokoła coś dojrzewało, narastały jakieś procesy, kolejne plena KC partii coraz dobitniej wyznaczały kierunek zmian, ostrzej ujawniały się pewne błędy, niewłaściwy stosunek do ludzi i do produkcji. Prasa zaczynała pisać śmieiej, choć ciągle jeszcze z tłumikiem. Zmieniało się także wiele w nastrojach załogi, nawet pośród najbardziej płynnej masy budowlańców, wędrujących z miejsca na miejsce. Dostrzegał te zjawiska, na tyle wyobcować się ze środowiska nie było można, pozostawał jednak poza ich bezpośrednim zasięgiem. Miał tyle ważnych własnych spraw, skąd mu jeszcze znajdować energię i czas na wnikanie w nowe, zmieniające się nastroje. W końcu gdzie mógłby wypowiadać swoją opinię, skoro dawno już usunięto go poza bezpośredni krąg tych najbardziej zaangażowanych? Nie chciano go, nie będzie się wpraszał. Jakże wygodne było to tłumaczenie, jak bardzo teraz na rękę. Nawet drażniące uprzednio echa ubiegłorocznych rozmów z ojcem stawały się mniej natrętne, oddalały się coraz bardziej. Ojciec, Boże, to inny świat, ten, który przeminął. Nowego charakteru nabrała i rewolucja, i problem socjalny, zmieniły się formy działania i walki, nie można powielać wzorców sprzed wielu lat.

Mimo to niekiedy przychodziło mu do głowy, iż jego własny wzorzec był jeszcze starszy niż ten przedwojenny ojcowski.

IX

W maleńkiej klitce w prowizorycznym drewnianym baraku rozstępowały się ściany, ustępując miejsca szerokim przestrzeniom lasów i wód, to znów zwierając się ciasnymi szeregami domów miast - zmieniających się jak w kalejdoskopie. Cienie wnętrza rozświetlonego nie przysłoniętą niczym żarówką zdawały się niekiedy rzucać na okienko zarysy więziennych krat, kiedy indziej cała ściana przeistaczała się w płaszczyznę rajzbretu z rozpiętym na nim arkuszem. W zmroczniałej od dymu tytoniowego przestrzeni pojawiły się wywoływane z przeszłości sylwetki, migotały znajome oblicza, korek wyciągany z butelki grzmiał jak strzał z granatnika, mocniejsze słowo rozrastało się w krzyk dziesiątków gardzieli zrywających się do ataku. A potem od nowa wszystko szarzało, byli tylko oni dwaj, oddzieleni wątlą ścianką od chłodnego powietrza za oknem, zmęczone ich twarze, flaszki i szklanki z grubego szklaną koślawym stole, a jako jedyny pomost ku tamtym zwidzeniotn

pozostawały błyski w rozszerzonych źrenicach.

Próbował obliczać czas dzielący ich od ostatniego widzenia. U Pawła jeszcze gdzieś przed pięciu laty, jeśli nie więcej. Jeszcze potem w pięćdziesiątym trzecim krótkie zetknięcie w Gdańsku, ciepłe niby, serdeczne, a wszakże pełne nieudomówień, jakby dwóch obcych sobie ludzi. Właściwie to tylko Paweł, dopóki żył, starał się być ogniwem wiążącym ich wszystkich ze sobą. On jeden próbował przybliżyć *coraz* bardziej rozchodzące się ich własne ścieżyny. Od śmierci Pawła rozbiegały się coraz to dalej, nabierały znaczenia kiedyś tak nieistotne różnice.

Spotkali się nieoczekiwanie w małym sennym miasteczku, witającym jak mannę z nieba decyzję ulokowania w nim na stały pobyt większej jednostki wojskowej. Nieliczni z dawnych mieszkańców zaczęli snuć wspomnienia o czasach, kiedy w nadburzonych obecnie koszarach mieścił się pułk kirasjerów jego cesarskiej mości Wilhelma, jakie wtedy wyłaniały się możliwości i perspektywy. Więc może i teraz będzie podobnie, mundury na ulicach ożywią konającą mięścinę, tchną w nią nieco wigoru.

Mniejsza o miasteczko i jego nadzieje, ważne było, że fakt budowy sporego mieszkalnego osiedla zetknął ich z sobą. Samotnych, z dala od rodzin, bez wabika większych knajp i innych pokus wielkiego miasta. Dlatego tkwią teraz w maleńkim służbowym pokoiku Wiktora, suszą którąś już z rzędu butelkę, nieustającym ciągiem wspomnień rozsadzają drewniane ścianki przepierzeń, wędrują przez Polskę i poza jej granice, to zbieżni ze sobą, to różniący się talk bardzo, jak tylko różnić się można. I jest znów ten intymny ton, nawet wtedy, gdy tak wiele ich dzieli, jest nitka kombatanckich powiązań, pamięć dawnej wspólnoty. Czy tylko to? Wiktor nie wie, może alkohol przyćmiewa widzenie tych spraw, natarczywie natomiast rozjaśnia inne, wie tylko, że rad jest z tej mocnej, przytłumionym głosem prowadzonej rozmowy, jak zawsze, gdy słowa ludzkie wypływają wprost z serca...

Patrzy na Tadeusza przyglądającego się przyćmionej czerwieni migającego w szklance płynu. Wyraźnie zarazem widzi tę samą twarz sprzed kilkunastu lat, w Wilnie, na odprawie ich bojowego oddziałku. Ta sama twarz, a zarazem zupełnie inna. Brak w niej już tego nie gasnącego ognia w oczach, źrenice pobłyskują teraz jedynie pod wpływem wina. Jest natomiast znużenie, smutny niedosyt w całym wyrazie oblicza. Cóż, że jeszcze młode, że tylko czoło poradliło się poziomymi zmarszczkami, kiedy kąciki warg zwisły leciutko, wystarczająco wszakże, by świadczyć o zgorzknieniu. Włosy zaczesane jak zawsze do góry, mierzwiłone niecierpliwymi ruchami dłoni. Ozy ta dłoń równie pewnie potrafiłaby teraz słać kule ze zdobycznego pistoletu, czy nie drżałaby zgoła niemęsko? I te przygięte barki, obce tamtej żołnierskiej posturze. Czas tutaj zadziałał czy także coś więcej?

Czuje spojrzenie Wiktora, zdaje się nadażać za tropem jego myśli. Podnosi szklanke, uśmiecha się, Wiktor lubi ten uśmiech. Wypijają, szklanka Tadeusza zbyt mocno uderza o stół. Znow się uśmiecha.

- Myślisz, zmieniłem się. Wiem o tym. Nie jestem z siebie zadowolony, wbrew pozorom, mimo pewnych, skromnych jeszcze sukcesów. Czasami myślę, że jestem zupełnie kimś innym niż dawniej. Chwilami wydaję się sobie straszonym gówniarzem. I chętnie wtedy rzucam aa wszystko odpowiedzialność na innych, na kraj, na wykołowanie nas jeszcze wtedy przez Londyn, to znów na władzę ludową. Takie tłumaczenie daje chwilowy spokój. A w ogóle to jest zupełnie inaczej... Przedtem spotykaliśmy się u Pawła. Bardzo mnie lubił, to było więcej niż przyjaźń. Stawałem się dla niego jak gdyby wzorem. Przyznam się, ta świadomość budziła zdrowe Odruchy, stawała się momentami jakąś busolą. Paweł liczył się z moim zdaniem. Staralem się postępować na tyle uczciwie, by w tych sprawach, w których sam się wahałem, w których nie potrafiłem zająć stanowiska albo po prostu wygodniej mi było go nie zajmować, uchylić się po prostu od wypowiedzi. Okazywało się wtedy, że Pawłowi nie jest ona najbardziej konieczna, w wewnętrznej walce łatwiej może niż ja odnajdywał sam siebie... Zastanawiam się, jak w końcu było naprawdę, kto komu więcej, ja Pawłowi, czy też on mnie był potrzebny.

Urwał, brudnawe ściany klitki w baraku wypełzły nagle, nałożyły się na istniejący tu jeszcze przed ułamkiem sekundy obraz Pawiowej siedziby, przesłoniły wyłaniającą się stamtąd jego ściągniętą cierpieniem twarz... Spotkały się spojrzenia mężczyzn rozsiadłych za nie przykrytym stołem z sosnowych desek. Zabułgotało wino, z nagłą przestało im uderzać do głowy. Tadeusz znów się uśmiechnął, Wiktor skinął głową jak gdyby przytakująco. Wiedział, że tamte słowa stanowiły dopiero wstęp. Tadeusz wyraźnie zmierzał ku czemuś, co go nurtuje i boli, ale trudno mu to powiedzieć po prostu. Przełamał się jednak, wyznał prosto, uczciwie:

- Paweł wzywał mnie do siebie na krótko przed śmiercią. Nie pojechałem. Nie byłem także na jego pogrzebie. Powiedz mi, jak się to odbyło... Bo widzisz, są pewne sprawy...

- Jak było? Bardzo zwyczajnie. Wszystkie pogrzeby są do siebie podobne. Pogrzeb Pawła był - skromny, bardzo skromny, przez ostatnie lata choroby gospodarstwo jego zbiedniało, ostatni grosz wydusił z niego jakiś szantażysta z prezydium, a potem podatki. Niewiele kwiatów, maleńki kondukt najbliższych, paru gapiów i babek żałobnych. Może zresztą ta skromność pasowała właśnie do Pawła do jego całego życia, więcej dawał z siebie, niżeli żądał od innych... Dzień był pogodny, ale chłodny. Pochowano go obok maleńkiej Kaśki. Znowu mogli być razem ze sobą... Losia była blada, nie płakała, aż się baby

przypatrywały jej ze zgorzeniem. Nie było dla niej niespodzianką to, co się stało, oczekiwała tej godziny, przeżywała ją wiele razy. Teraz następowało tylko ostateczne stwierdzenie faktu. Musiała myśleć, że trzeba żyć nadal, pamiętać o dziecku. Tadeusz płakał cichutko. Chłopak miał wtedy dziewięć skończonych lat, w tym wieku pojmuje się - bardzo wiele.

Wiktor mówił, przywołując przed pamięć tamten listopadowy obraz. Mówił zgodnie z prawdą, czemu zatem zdawało mu się, że było jakoś inaczej, że przez cały czas smutnej ceremonii i zwłaszcza potem istniał jeszcze swoisty klimat, nadający zupełnie inne znamiona i śmierci Pawłowej, i oddawanej mu ostatniej posłudze? Tadeusz słuchał, źrenice przysłonięte miał powiekami, skupiony, jakby nie chciał niczego uronić, ale i w nim narastało oczekiwanie, jakby chciał usłyszeć coś jeszcze. O to mu wszakże chodziło, gdy stawiał Wiktorowi to pytanie: jak było?

Bo przecież naprawdę wyczuwało się przez cały czas pogrzebu szczególne napięcie, właśnie w Losi, w jej postawie, w jej wyprostowanej sylwetce, w wyrazie goryczy na mocno ściągniętych wargach. Jakby dopiero wtedy uświadomiła sobie nagle wielką samotność Pawiową. Bo mówić zaczęła o niej dopiero potem... To nie była stypa: zwykły poczęstunek panu najbliższych. Sąsiedzi, Zenek przybyły z wojska, Władek, Banasiak, stary Ukrainiec, jeszcze ze dwóch. Mało wspomnień o Pawle, wszystko poważnie, ale bez westchnień, raczej proste stwierdzenie tego, co zaszło, co jest nieodzownym końcem każdego. Wcześniej się rozeszli. Zostali tylko Wiktor i Zenek. Chłopak miał za sobą nie spaną noc, tłukł się od wieczora po świt pociągami, położył się teraz. Tylko Wiktor pozostał z Losia za stołem; w przyległym pokoju wiercił się Tadeusz, popłakiwał po swojemu cichutko, najgłębiej może przeżywał odejście ojca. Wtedy Losia zaczęła mówić o samotności Pawła. Ciągłe do kogoś czy do czegoś się garnął, za ciasny był mu dom, własne podwórko, chciał działać, tęsknił do ludzi, rwał się do szerszych spraw. I zawsze bez powodzenia, odchodzili go z wolna i ci, na których najwięcej liczył. Od długich tygodni, gdy jaz pewien był śmierci, marzył o przyjeździe Tadeusza. Był mu potrzebny, może jako potwierdzenie prawdy, że nie wszystko zostało zmarnowane w jego życiu, że zaczynając je ciągle od początku, coś w nim jednak osiągnął, że olbrzymie zaufanie do Tadeusza nie było wyłącznie jednostronne. Pisał do niego, czekał. Nie doczekał się nawet w dzień pogrzebu. Owszem, długa, serdeczna depeza. To wszystko w odplacie za przyjaźń, największe chyba uczucie w Pawiowym życiu, za ciągłą tęsknotę, za imię Tadeusza nadane własnemu synowi...

Wiktor nie zwracał uwagi na to, w jakich słowach formułuje wspomnienia owego wieczoru. Nie dobierał określeń, nie zastanawiał się nad ich bezpośrednią wymową. Proszono go o relację, odtworzył swój stan w dzień Pawiowego pogrzebu. Urwał nagle na gwałtowne

szarpnięcie się Tadeusza. Patrzyły na niego roz - warte teraz, pełne protestu oczy:

- Nie, nie tak było. Ja naprawdę nie mogłem przyjechać. Straciłbym wtedy wiele z tego, czego się dopracowywałem przez lata. Te dni były dla mnie rozstrzygające... Losia fałszywie mnie osądziła i wtedy, i potem, w parę miesięcy później...

Wiktorowi stało się obojętne, jak reaguje Tadeusz. W słowach towarzysza nocnej gawędy w obskurnej klitce prowizorycznego baraku nie szukał usprawiedliwień, ale też nie przyjmował ich do wiadomości. Tadeusz nie mógł mieć wtedy, właśnie wtedy, żadnych ważniejszych spraw, właśnie on nie mógł, nie miał po temu prawa. Za zaufanie, za przyjaźń, za miłość, jakimi obdarzał go Paweł niezmiennie przez lata.. Powiedział to prosto, bez żadnych osłonek.

Tadeusz przyjrzał mu się badawczo. Nie odpowiedział nic, uciekając zaraz potem spojrzeniem ku flaszcze. Ujął ją, napełnił grube szklanki, wypił bez słowa. Czerwony płyn zatracił swą konsystencję, stał się wyprany z zapachu i smaku. Okalały ich nagie ściany klitki. Szyby zapełzyły brudną mgiełką. Było duszno. Wiktor rozpiął szerzej kołnierz koszuli. Patrzył, jak Tadeusz jeszcze raz napełnia swą musztardówkę, jak z rozmyślam sączy płyn. Powiedział:

- Prosiłeś o szczerą wypowiedź, jak było. Wybacz, jeśli cię uraziłem.

Dłoń Tadeusza wylądowała z rozmachem na stole, aż zaturkotały butelki i szklanki, jakby werbel załomotał gdzieś urwanym króciutkim akordem.

- Nie miej wyrzutów. To wszystko prawda, próżno się przed nią bronię. Masz rację. Powinienem był znaleźć się przy Pawle w czasie jego choroby, talk samo jak w dniu pogrzebu. Wysłałem telegram, krótko potem napisałem do Losi i chłopca serdeczny list, długi, na pewno szczerzy. Odpowiedź otrzymałem dopiero po paru miesiącach. Wzburzyła mnie, wstrząsnęła i mną, i Janiną. W gniewie nie chciałem i nie mogłem przyjąć treści tego listu do wiadomości. Jednak odpisałem łagodnie, chwilami przymuszając się do tej łagodności. Zarazem była ta moja odpowiedź jednym wielkim usprawiedliwianiem się. Tym samym jakby przyznawałem racie Losi i przyznawałem się do winy.

Znowu pił sam, nie proponując nawet Wiktorowi, aby mu towarzyszył. Na twarzy jego wystąpiły brunatne plamy. Zęby zadzwoniły o szkło. Po czym znów podjął:

- List Losi był bardzo przykry, miejscami obelżywy, utrzymany w wulgarnym tonie. To wszystko prawda. Jak i to, że miała prawo do napisania takiego listu i że nie można żądać od niej subtelności, do jakiej zdolny był zawsze Paweł. Losia to prosta dziewczyna, jest pólsierotą, matka ją wcześniej odumarła, trafiła na macochę, z którą było jej źle. Ojciec miał w sobie zbyt wiele dobroci i łagodności, nazbyt się przy tym pozwolił zakrzyczeć żonie, by

oponować przeciw jej postępowaniu w stosunku do dziecka. To wytworzyło w Losi kompleks krzywdy, naturalny osad goryczy. Nie miała skąd nabyć umiejętności obcowania z ludźmi. Ale jest porządnymi, z gruntu dobrym człowiekiem. Mówię to, by tobie, Wiktorze, ale i sobie wyjaśnić, jak tłumaczyłem jej list, jak usiłowałem usprawiedliwić jej przykrą dla - mnie reakcję... Bo widzisz, pisała, że Paweł był dla mnie dobry, wplątała w to nawet Janinę, że dla nas był dobry tak długo, póki żył, póki łączył nas z nim jakiś po prostu interes: mogliśmy przyjechać, siedzieć u niego, korzystać z gościny... Ale już gdy zaczęło się wszystko psuć, zabrakło mnie przy Pawle, czas mój okazał się nagle nazbyt drogi... Było w tym liście także coś jakby ze słów twojego ojca, Wiktorze. O paniczykach w wysokich oficerkach, o inteligentkim zakłamaniu... Wszystko w nim prawda i wszystko kłamstwo. Nalej, Wiktor, zasycha mi w gardle...

Wypił dużymi łykami.

- Rzecz nie w zdradzie z mojej strony. Byłem i pozostaję uczciwy wobec Pawła i jego pamięci. Lubilem i ceniłem tego człowieka. Ale więzi między nami słabły, musiały słabnąć, nie mogły trwać w tej sile, jak w czasach konspiracyjnych czy partyzanckich. Weszliśmy w inne tryby, a Paweł nie potrafił tego pojąć. W nim chyba najmocniejsza była pamięć rodzinnej ziemi, tęsknota za nią, głuszona w sobie na różny sposób. Bo tam miał trwałe swe miejsce, mocne oparcie pod nogami. Tutaj je tracił. Był zbyt inteligentny, by zamknąć swój świat w ramach gospodarskiego obejścia, za słaby, by samodzielnie z tego obejścia się wyrwać. Dlatego szukał oparcia w innych, dlatego to jakieś zenujące oglądanie się na moją osobę. Wypytywał mnie często o sprawy, o których ja sam miałem chwiejne pojęcie. Boże drogi, cóż więcej mogłem dawać Pawłowi, jak nie sentyment, szacunek wspomnienia kombatanckie, bo czymże w końcu innym to wszystko było? On zaś chciał więcej, tak dużo, że nie sposób mi było go zaspokoić.

Urwał zapatrzył się w szaroczarny, brudny, prostokąt okna. Wargi ułożyły się w - wyraz gorzkiego znużenia..

- Przed dwoma laty, będąc na Mazurach, zajrzeliśmy na krótko do Losi. Już zameźnej. Było pewne onieśmienie z obu stron, ale już bez żalów i pretensja. W ogóle było zupełnie inaczej. Niczego od nas nie chciano, traktowano jak znajomych, może dobrych nawet, ale zupełnie obcych. Sprawę można by uznać za ostatecznie zamkniętą, gdyby nie Tadek. Ten chłopak to jakby odbicie Pawła. Dla mnie to także jakaś sprawa zobowiązania. Powinienem mu pomagać, ale Losia i ten jej Władek niczego nie chcą, żadnej pomocy. Chłopak jest ich. Pojmujesz to? Staje się to ich ambicją, by Tadek był ich, nie chcą żadnych powiązań z przeszłością. Wizyta skończyła się na moich obietnicach, że gdy tylko trzeba, gdy chłopak

zechce może pójść na wyższe studia, to służę pomocą, ułatwieniami... A w sumie duperele, lipa jakaś, choć niezamierzona. Posyłam mu co jakiś czas paki książek. Posłałem aparat fotograficzny na dzień imienin. Pisze krótkie, grzeczne listy. Wymieniamy z jego matką i ojczymem kartki świąteczne. Tak jak z tobą i twoim ojcem, Wiktorze. Czyli zdawkowa moneta, ostatecznie niepotrzebna nikomu. Najgorzej zaś, czuję jakiś wyrzut sumienia, coś mnie dręczy, że jednak nie wszystko jest w tej sprawie w porządku. Nie wiem co. Pomożesz mi, Wiktor, dać sobie odpowiedź? Wygarnij, nie żałuj, jakże wy to nazywacie, aha, z proletariacką pryncypialnością, ustal problem w ramach klasowych, podlej ideologicznym sosem, co chcesz, nie obrażę się, choć wątpię, czy trafisz do mnie, czy będziesz mógł mi pomóc.

Nagle podnosząc głos, wykrzyczał niemal te kpina przyprawione słowa i, odgarniając włosy znad spoconego czoła, wyzywająco wpatrzył się w siedzącego naprzeciw Wiktora. Dopiero po chwili osunął się głębiej na łóżko, opierając się o bieloną, mocno już przybrudzoną ścianę.

Wiktor podniósł głowę, spojrzał na Tadeusza. Raptownie ogarnęła go niechęć do tego człowieka, rozpartego teraz w pozie znużenia na składanym żelaznym łóżku. To ich dzisiejsze spotkanie... Pracując od kilku miesięcy przy zbliżającej się już ku końcowi budowie osiedla mieszkaniowego, wyrosłego na zboczu opadającym ku starej części miasteczka, Wiktor nie wiedział, iż osiedle to było projektem Tadeusza, nadesłanym na konkurs, że uzyskało pierwszą nagrodę i zatwierdzone zostało do realizacji. Zaskoczyło go niespodziewane spotkanie. Stąd ten chaos rozmowy tam, na budowie, kiedy pocieszał Tadeusza, że zmiana rozwiązania dachów ze spadzistych na płaskie nie psuje tak bardzo pierwszej koncepcji, a z braku dachówki posunięcie to było konieczne, jeśli nie miało w nieskończoność odwlec budowy. Dlatego obok radości ze spotkania uczucie zażenowania, które zgasło dopiero w ciasnej klitce roboczego baraku. Zgasło ustępując miejsca potęgującemu się rozdrażnieniu. Może dobrze, że nastąpiła ta prowokacja ze strony Tadeusza, niech się wszystko tutaj dopowie. Ostatecznie, albo się dogadają, albo się rozejdą tym razem zupełnie, niepotrzebne nawet staną się grzecznościowe kartki iż życzeniami, wymieniane na święta.

Nie spuszczał wzroku z przyjaciela, z dawnego swojego przywódcy. Tak jak nie spuszczał go niedawno z twarzy prokuratora Siteckiego. Inne sprawy, inni ludzie, a wszakże w tych spotkaniach i w tych spojrzeniach kryje się jakaś analogia... Sprzeczność jest natomiast w myślach, w postawie Wiktora. W stosunku do Siteckiego atakował to, co zdawało mu się złe w Polsce Lodowej, czego jakimś dowodem stawała się także jego krzywda. Tutaj atakuje kogoś, kto jest sceptyczny wobec tej Polski, kto go przekpiną

prowołuje do obrony wszystkiego, co mu drogie. Natarł równie gwałtownie, jak gwałtownie wykrzyczał Tadeusz ostatnie swe słowa:

- Oślaniasz się Pawłem. Nie o Pawle myślisz, już nie o niego, nie o Tadzika czy o Losię ci chodzi... Podrwiwasz z moich przekonań. Wiem, w dmie czego. Wspierasz się o błędy, o wiele zła, jakie istnieje w kraju, o jakiś chaos, z którego trudno jest wybrnąć. Sam kiedyś mówiłeś, że to sprawy wzrostu, braku rutyny w rządzeniu. Nie w tym zresztą jedyne przyczyny... Tobie się zresztą nie chce wcale niczego dociekać, wolisz zacierać ręce, że jednak się im nie udało. I ta między nami różnica. Ja nie jestem w partii, właśnie na skutek nieporozumień, błędów, zagmatwania. Oberwałem. Wspomniałem ci, że niedawno znowu siedziałem, że się wyizolowałem potem od szerszych spraw, wsiąknęłam w domowe nocniki i pieluszki. Ty nie jesteś w partii, w ogóle nigdzie nie jesteś z innych zupełnie przyczyn. Ja tęsknię za swoim aktywnym czasem, ty go nie znałeś w ogóle. Wiesz, Tadeusz, co ci powiem? Tobie brak decyzji, tkwisz ciągle w wahaniach. Dziś uświadamiam sobie, że tak było nawet w czasie wojny, zwłaszcza w jej fazie końcowej, gdy stanęły przed nami problemy polityki. Nie umiałeś się zdecydować do końca, choć nie brak ci było logiki i pewnego poczucia odpowiedzialności. Stąd płynie twoja decyzja nieprzeszkadzania Polsce, więcej, szukania płaszczyzn, na której jej możesz pomagać, nie zdradzając sam siebie... Rozbudowujesz w sobie opory, szeregujesz fakty tak, jak ci jest iż tym wygodniej. Wolisz być wahającym się, ciągle przekonywanym, to czasem bardzo ułatwia życie.

- Ale i w tobie, Wiktor, brak mi tego zapалу, z jakim klóciliśmy się kiedyś u Pawła. Choćby o spółdzielnie produkcyjne. Mówisz z pewnym przymusem, chcesz przekonać sam siebie, jakże więc możesz mnie przekonywać?

- Niemało było takich, którzy usiłowali zabić we mnie ten zapal. Są tacy nadal. Masz rację, że mnie niełatwo, często się gubię, ja też uciekłem od pewnych - decyzji, ale to nie jest droga odwrotu, ciągle jeszcze wierzę w swoją ideę. A twoja idea? Gdzie ona jest? Jaka?,

- Żądasz opowiedzenia się bez reszty nie za Polską Ludową, bo talk czy inaczej jest ona faktem, ale za socjalizmem, za całą, jego filozoficzną i praktyczną treścią. A jeśli inaczej ukształtowałem swoją filozoficzną postawę? Pójście za twoim głosem to byłby oportunizm, to także zatura siebie, Wiesz w czym tkwi błąd? Wy chcecie zbyt prędko wychowywać, z miejsca doprowadzać ludzi do generalnej rewizji poglądów, zapominając, że nawet tam, gdzie może to przynieść skutek, proces taki musi się ciągnąć latami.

- A tymczasem wisicie w próżni.

- To chyba już bardzo wiele, że nie mówimy: nie. Wypijmy za tę naszą budowę, za to osiedle, sknocone przez nowy układ płaszczyzn dachowych. Pierwszy mój wielki projekt,

pierwsza nagroda konkursowa, i tak się to poszkapilo...

Wino nabrało teraz cierpkiego, ostrego smaku, zbyt się zagrzało w dusznej atmosferze kłitki Wiktora. Tadeusz wstrząsnął się, przetarł dłonią oczy, piekły go od kłębow dymu, ruch jego ręki stał się nagle pełen znużenia, aż Wiktor poczuł w sobie żal, nawet niesmak, może zbyt ostro zaatakował, w dodatku próbując bronić się w ten sposób przed samym sobą. Przecież to właśnie rozmowa z Tadeuszem na nowo wyzwoliła w nim własne jego wzdragania, uczucie zażenowania i wstydu. Z ulgą usłyszał, że Tadeusz znów mówi. Słuchając można się łatwiej wyzwolić od własnych myśli.

- Wiktor, ty masz dzieci?

Zaskoczyło go to nagle, pozornie ni przypiął, ni przyłatał, pytanie. Skinał twierdząco głową:

- Jedno. Ale Inga od miesiąca znowu jest w ciąży...

- Ja też mam jedno. Chłopca. Myślę o nim, że powinienem go inaczej wychować. Niczego nie narzucać, zostawić swobodę wyboru i tylko wpoić potrzebę konsekwentnej obrony własnej postawy. Mam zresztą nadzieję, że oni, ca młodzi, nie będą mieli naszych kompleksów, w niejednym będzie im łatwiej, mimo że na pewno przyjdą nowe konflikty i rozterki. Czasem może nazbyt siebie rozgrzeszam tą myślą o dziecku. Ale jakichś usprawiedliwień musi się szukać dla siebie. Inaczej w ogóle nie można byłoby z sobą wytrzymać.

Ręka mu drżała, gdy rozlewał do szklanek resztę wina. Za oknem przecierało się, zbliżał się brzask. Wiktor uczył znużenie, jałowa i niepotrzebna wydała mu się cała ich gadanina. Sam się stroił w togę Katona, a właściwie niewiele różni się od Tadeusza. Tyle że Tadeusz uczciwie się przyznał do własnej postawy. A on? Obce mu nagle stały się idee i polityka, roztrząsanie ich na wszelkie sposoby. Pytaniem o dzieci Tadeusz poruszył inną strunę. Tę, której na imię Agnieszka, i drugą nazywającą się Inga. Jutro sobota, wcześniej fajrant, siądzie do pociągu, pojedzie do nich, w drodze ze stacji do domu kupi kilka prezentów, odetchnie domowym klimatem. I to jest najważniejsze. Po co sobie i komuś zawracać głowę, że jest inaczej?

Wydało mu się, że twarz Tadeusza znad łóżka uśmiecha się do niego ironicznym, porozumiewawczym grymasem, że zdaje się mówić, że są zupełnie tacy sami, jota w jotę podobni, nie wiedzieć tylko, po co się wodzą przez tyle godzin za nos. Zapragnął zaprzeczyć, uczył potrzebę zgaszenia uśmiechu w tej majaczącej niewyraźnie twarzy, musiał wykazać, że jest w nim także i coś innego, jakieś dążenia, szersze ambicje. Wypalił:

- Uczę się, jestem na politechnice. Też będę inżynierem...

Nie był pewien, czy Tadeusz słyszał te naiwne słowa. Nie mógł już tego sprawdzić, bo nagle głowa zaciężyla mu, klitka w baraku zafalowała, unosiła się w górę, to znów opadała. Chwiejnym krokiem, omal nie wywracając stołu, wywalał na zewnątrz nadmierną porcję trunków i własny niesmak i zagubienie.

X

Siedziała pod rozwartym oknem na obijanej ciemnoczerwonym pluszem kanapce. Parne powietrze czerwcowe, zastygłe w bezruchu, nie przynosiło ulgi. Siedząca obok Ingi żona prezesa miejscowego GS-u czuła się wyraźnie onieśmielona w towarzystwie weselnym. Próbowwała otoczyć czułością towarzyszkę, ze względu na ciążę nie biorącą udziału w zabawie, ale ta nie reagowała na jej starania. Z zaciśniętymi wargami spoglądała na przesuujące się pary, potem przenosiła spojrzenie ku widocznym przez otwarte drzwi biesiadnikami, wciąż okupującym zastawiony stół. Wiktor widział, jak wyszukiwała w tym tłoku swą matkę, odmłodzoną, pełną energii i życia, bawiącą się doskonale i zabawiającą innych z całym ferworem.

Wzruszył ramionami. Trudno było ostatnio porozumieć się z Ingą. Pewnie ciąża, ale chyba nie tylko to. Jakże ostro zareagowała na wiadomość o zamążpójściu matki.

- To mnie na złość. Żebym nie otrzymała po niej schedy w postaci domku i kupy gratów... Ma jeszcze matka i inne rzeczy. Zawsze mnie nienawidziła, pokrywając to niby troską. Nie chciałam się uczyć, to prawda, ale ona przyjęła to z ulgą. Głupia córka staje się od razu mniej niebezpieczna. Przecież konkurowała ze mną także o ciebie...

- O mnie? - wybuchnął śmiechem, talk to było nieoczekiwane i głupie.

- Nie wierzysz, a ja wiem swoje. Potem dopiero zdecydowała, że lepiej się pozbyć mnie z domu, a samej rozejrzeć za lepszą partią. Aż przyhołubiła sobie tego weterynarza.

Wzruszył ramionami. Ustępował teraz żonie, wołał się z nią nie spierać. Rozmowa przybierała potem przykry dla niego obrót utyskiwania na zmarnowany los...

Sekretarz partia z pobliskiego miasteczka stukał się kieliszkiem z Wiktorem:

- Za pomyślność pańskiej mamusi, - towarzyszki Gruszczyńskiej. To pandę, - dzielna kobieta, wiele nam pomogła w politycznej robocie. Niby z inteligencji, a jakie ma proletariackie wyczucie... Nie bardzo wiemy, kim jest jej nowy mąż, ale że go weźmie za łeb, to pewne. Nam potrzeba fachowców, a tu o tyle łatwiej, że jest mieszkanie, od razu osiadzie na twardym gruncie.

Młoda para właśnie zbliżyła się do nich. Matka Ingi promieniła, małżonek jej również

miał minę zadowoloną, choć zdawał się być już trochę zmęczony.

- Już widzę, zebrali się dwaj politycy, pewnie obgadujecie, co to się takiego wyprawia. Znam ja takich, tylko polityka i polityka wam w głowach, zawsze ku chwale socjalistycznej ojczyzny...

- Kochanie, dzisiaj zabawa, zostawimy na potem - perswadował ostrożnie małżonek.

- Kiedy ja ich rozumiem, sama przecież potrafię się zapomnieć w tej pracy społecznej bez reszty. To wciąga, drogi. Pomyśl, mieć świadomość, że jest się nie tylko widzem, ale współtwórcą tych wszystkich osiągnięć, które dźwigają nasz kraj...

- Hm, hm - chrząkał małżonek, Wiktor ułowił bezradne, błagalnie rzucone na niego spojrzenie.

- Towarzyszko Zofio, gdybyśmy mieli cały aktyw równie gorliwy jak wy, cudów byśmy dokonali na naszym terenie. Cudów, mówię, choć ja w cuda nie wierzę...

- A ty, Wiktor, jakże się czujesz? Inga po swojemu nie w sosie, ale nie przejmuj się, to dobra dziewczyna, tyle że miewa humory.

Pogładziła go macierzyńsko po głowie. Dostrzegł z oddali jak w oczach Ingi zapaliły się złe błyski. Musiała zauważyć to także matka, zaniósła się bowiem sztucznym śmiechem, zaraz pociągnęła małżonka, by zabawiać także i pozostałych gości.

- Jeszcze raz zdrowie naszej towarzyszki Zofii - szturchał Wiktora sekretarz, przyglądając się ciemnoczerwonej wiśniówce w kieliszku z grubego kryształu.

Odburknał coś, wypił przepaszając, bo już go Inga nagłać wzywała. Podniosła się, wstała zachmurzona, z wyraźnym gniewem na twarzy.

- Wiktor, mamy jeszcze jakiś autobus?

- Już nie... Dopiero nad ranem. Ostatni odszedł pół godziny temu.

- Trudno - skrzywiła się. - Idę na - górę, mam dosyć. A ten nowy konował to jakiś osioł, z miejsca dał się opętać. Będzie teraz kastrował ogiery i znosił forszę, matka to lubi, bardzo lubi dusić pieniądze w pończosze. Idziemy czy zostajesz?

- Może trochę zostanę, nie chciałbym, aby mama się obraziła. Ty jesteś wytłumaczona...

- Tak, masz rację: aby się mama nie obraziła. Jakbyś ją wiele teraz obchodził. Zaprosiła cały swój aktyw, połowa z nich nie umie widelca trzymać w rękach, za to nie ustają w pokłonach przed towarzyszką. Mam tego dosyć, po uszy, zawsze miałam dosyć, dlatego wyrwałam się tak od razu za ciebie.

Zmroziły go jej słowa. Spojrzał na Inge. Zmrużyła oczy, spod powiek przyglądała się mu zaciskając wargi.

- Inga, co ty mówisz, więc tylko dlatego?

- Żartuję, Wiktor. Zła jestem na wygłupianie się matki na jej nowy pomysł z małżeństwem, w ogóle zła na wszystko. Pobądź tu jeszcze, ja naprawdę muszę się już położyć.

Odprowadził ją do schodów, patrzył, jak zmęczonym krokiem przemierza stopnie ku niewysokiemu pięterku. Zrobiło mu się jej żal. Może nie rozumie Ingi, stąd między nimi niesnaski, których przedtem nie było? Kto wie, co w końcu zaszło między nią a jej matką, zbyt mało znał przedtem ten idom, by wnikać w to, co się w nim kryło. Po ślubie stosunki z panią Gruszczyńską osłabły zupełnie, rzadko ich odwiedzała, tłumacząc się nawałem pracy społecznej. W końcu niewiele wiedział o teściowej, nie miał o niej wyrobionego zdania. Wiadomość o ślubie z weterynarzem Drwęckim przyjął trochę z niedowierzaniem, a trochę z uśmiechem. Ostatecznie teściowa trzymała się dobrze, nie wyglądała na swoje lata, mogła jeszcze zapragnąć czegoś w życiu, samotność nikomu nie służy. Tylko ten zbieg okoliczności, że znowu weterynarz, najwidoczniej przyzwyczajenie do tego zawodu...

Co innego Inga. Nowe zamążpójście matki odczuła jako wymierzony w siebie cios. Zdumiało to Wiktora, nigdy dotychczas nie mówili o majątkowych sprawach jej matki. Dopiero teraz dowiedział się o jakichś kapitałach w obcych walutach, o wielkiej ilości wszelkiego dobytku w domu pełnym skrytek i zakamarków. Inga otrzymała z tego niewiele zadziwiająco mało. Nie obeszło go to, liczył jedynie na własne siły. Inga również nie Okazywała uprzednio swych odczuć. Dopiero powtórne zamążpójście matki wytrąciło z równowagi młodą (kobietę. Wtedy pierwszy raz, płacząc, ukazała rąbek jakiejś zadziwiającej prawdy. Trudno mu w nią było uwierzyć. Czyż istotnie mogła matka zazdrościć córce, rywalizować z nią o względy konkurentów, pod pozorami czułości żywić nieomal nienawiść? Zbagatelizował rewelacje Ingi, przypisał jej stanowi, powodującemu nieustanne zdenerwowanie.

Czasami wszakże nachodziły go wątpliwości, czy można wszystko zwać na ciężę? Niespełna pół roku jego pobytu poza domem, na budowie wojskowego osiedla mieszkaniowego, kiedy w Słupsku bywał gościem zaledwie raz w tygodniu, wprowadziło zupełnie nowe tony w ich wzajemnych stosunkach. Zbiegło się zresztą naraz wiele po temu powodów. Nie ostatnim była choroba babci. Do dawnych dolegliwości reumatycznych dołączyły się inne, często już nie wstawała z łóżka, nie mogła wykrzesać z siebie ani części dawnej energii. Na Inge zwały się domowe obowiązki, spełniane przedtem przez staruszkę, i doszła jeszcze opieka nad chorą. Stosunkowo uregulowany tryb domowego życia zmienił się na gorsze, wzrosły koszty utrzymania, Inga nie miała bowiem wielkiego pojęcia o

gospodarstwie. Zakradł się nieporządek, a nieraz i zgoła brud. Przyjeżdżając na niedzielę - do domu, Wiktor zabierał się do prania ubranek i pieluszek małej Agnieszki, porządkował mieszkanie, gotował obiady, Inga bowiem oświadczała, że choć jeden dzień w tygodniu musi odpocząć. Chwilami zżymał się w duchu, ale patrząc na jej zdeformowaną figurę, hamował się, przywoływał uśmiech na *usta*.

Nie to zresztą było najgorsze. Inga zaczęła coraz mocniej wyrzekać na jego skromne zarobki, wymawiała mu, że nie potrafi jak inni troszczyć się o rodzinę. Zaskoczyło go to. Zarabiał sporo w porównaniu z innymi. Wyjazd na budowę osiedla przyniósł mu dodatkowy dochód. Czegóż więc Inga pragnęła? Będzie lepiej, musi być lepiej, skończy studia, jako inżynier od razu powiększy zarobki. Ale na naukę trzeba spokoju i czasu.

Jednego i drugiego zabrakło. Na majową sesję pojechał słabo przygotowany. Ściął się aż z dwóch przedmiotów, nie mógł sobie tego wybaczyć. Na jesieni istniała szansa poprawki, ale w nim już zgasła poprzednia pewność siebie. Bo kiedy będzie się uczył? Zarwane noce pochłaniała nie nauka, lecz żmudne prace kreślarskie, obliczenia, rysunki, wszystko, aby tylko Inga nie wyrzekała, aby jej i Agnieszce, i babci niczego nie brakło. O sobie już przestał pamiętać, kupno nowego ubrania odkładał z miesiąca na miesiąc. I ciągle wmawiał sobie, że to ciąża, podobno przy drugim dziecku kobiety przechodzą ją trudniej, trzeba być bardzo cierpliwym, rozumieć ich stan.

Zdarzały się jednak sytuacje, kiedy w nim także wzbierał gniew. Zaczynało go boleć w ich pożyciu coraz więcej spraw. Tamtej nocy długo nie mógł zapomnieć... Mimo zmęczenia z uporem zabrał się do nauki. Było to krótko przed wyjazdem na egzaminy, pragnął za wszelką cenę nadrobić luki. Zasiedział się nieomal po świt, pierwsze pasemka brzasku zaczynały się błąkać za oknem, gdy w progu stanęła Inga. Wyczuł jej obecność, obrócił się, w przyływie czułości chciał ją uściskać, przytulić, z jej obecności zaczerpnąć sił i otuchy. Zaskoczył go wyraz jej twarzy. Była zła, brzydka w tej chwili, z zapuchłymi od snu oczyma, z rozczochranymi włosami, otulona nieświeżym, dawno domagającym się prania szlafrokiem.

- Jeszcze ślęczysz? Przecież już ranek.

- Wiesz przecież, egzamin, Ingo. Tak mało czasu zostało.

- Inni jakoś sobie radzą. Uczą się, ale i o zarobkach nie zapominają. Nie mam już pieniędzy. Siedzisz nad książkami, ale o nas to nie pomyślisz...

- Już nie masz pieniędzy? Niedawno ci dałem. Inga, czy nie moglibyśmy jakoś oszczędniej? Tymczasem, rzecz jasna, niech tylko przebrną przez egzaminy, znów się coś wystaram... No, Inuś, zrozum, to nasza wspólna sprawa, gdy będę miał dyplom, inaczej

będzie zupełnie, ustaną kłopoty. Muszę się czegoś dochrapać, naprawdę muszę...

Uchyliła się gwałtownie, gdy usiłował ją objąć i przytulić do siebie. Prychnęła mu w twarz:

- W biedę nas wpędzisz swoją nauką. Inni bez niej sto razy lepiej sobie radzą niż ty... Nie myślałam, że będę miała męża niezgułę.

Rozpłakała się, próżno ją uspokajał, z trzaskiem przekręciła klucz w drzwiach sypialni. Próbował perswadować, odpowiedzią był ciągły płacz. A potem i ten ustał, zapanowała cisza. Wrócił do biurka. Stojąc przy nim, spoglądał za okno. Szarość przedświt w rzedła, nadchodził ranek. W gardle zrobiło mu się sucho i gorzko. Z wysiłkiem przełknął ślinę. Przymrużył powieki, piekło go coś pod nimi. A później z pasją zgarnął książki i notatki ze stołu, z hukiem sypnęły się na podłogę. Przez pokój poniosła się głośna kłątwa...

- Cóż towarzysz tak podpira te schody? Wypijemy po jednym, podają białą kielbasę, bez wódki nie pójdzie. - Sekretarz czuł do niego wyraźną sympatię.

- Co, ja, ach tak... Żona w tym stanie, zmęczona, spać poszła - tłumaczył, dopiero spostrzegając się, że zajęty roztrząsaniem wzajemnych stosunków z Inga od dłuższej chwili stoi wsparty o schody, którymi się udała na górę.

- Pewnie, pewnie, ale dla nas wesele jeszcze trwa. Prosto stąd trzeba będzie iść do roboty. - Niektórzy już się ulotnili. Me my towarzyszki Zofii nie opuścimy do końca. Niech wie, że miała wesele. Już tam poślubną noc to oni w dzień sobie zorganizują, nie?

- Z towarzysza sekretarza to filut, ani myślałam - z ciepłym uśmiechem Skwitowała jego odezwanie matka Ingi, prowadząca świeżo upieczonego małżonka z podwórza, gdzie swoją część musiał oddać jakiemuś łapczywemu bożkowi. Pan weterynarz był błady; sześćdziesiątka, jaką miał już za sobą, musiała mu chwilami mocno doskwierać.

- To tak naprawdę z serca, nie inaczej, towarzyszko Zofio.

- Toż wiem. Chodźcie na białą kielbasę, aż ze Słupska sprowadzałam rzeźnika, wiedział, jak robić, nad ranem taki kąsek najlepiej wzmacnia. Idziemy. A i ty, Ingasiu, musisz zjeść dobrze, piłeś bez zakąsek dlatego tak cię wzięło... Wiktor, Ingi nie ma, możesz się wreszcie rozchmurzyć. Zaraz po kielbasie tańczymy, musisz zakołować z teściową, ale talk po robociarsku, z rozmachem, sam chyba pojmujesz, prawda?

Poszedł, jadł, pił, tańczył. Teściowa była dla niego szczególnie miła, mili wydali się wszyscy wytrwali goście, rozbawił się, tańcząc aż przytupywał, nawet ją podśpiewywał swym niezłym głosem. Świeżo upieczona pani Drwęcka oczy z łez ocierała na widok tej wesołości zięcia, brała go w ramiona, że tak się jej udał. W pewnej chwili Wiktorowi przemknęło przez myśl, że matka, gdy zabrakło Ingi, nie szarżowała już, śmiała się szczerze,

naprawdę szczęśliwa. A i jemu nieobecność żony jakby przydała nastroju.

Inga skwitowała to w kilka godzin później, gdy zasiedli w autobusie jadącym do Słupska:

- Dobrze się beze mnie bawiłeś. Słyszałam, jak pohukiwałeś, śpiewałeś, wygłupiałeś się jak nigdy, aż mi wstyd było za ciebie. Ciekawe, czy jak wyjeżdżasz na budowę do tamtego miasteczka, też tak się dobrze bawisz! Ja, głupia, niańczyłam dziecko, pitrasiałam jedzenie, harowałam w domu, a ty się zabawiałeś. Ładny mi mąż, hulaka.

- Inga, zostaw, nie masz racji, ludzie na nas się oglądają.

- Teraz ludzi się wstydzisz, teraz dopiero?

Uspokoila się jednak, tyle że zacięła się dla odmiany w milczeniu. W zwarzonych nastrojach dobrnęli do domu. Agnieszka powitała rodziców radosnym szczebiotem, co dopiero ich uspokoiło. Inga pierwsza wspięła się na palce, całując męża przed pójściem do pracy.

I znów powlokły się dni jeden za drugim: praca, dom, kradziona minutami nauka. Nudna powszedniość, a przecież rozwarstwiał ją coraz częściej pojawiający się w Wiktorze niepokój.

Zaczęło się, to jeszcze od zdunowej, pamiętnej rozmowy z Tadeuszem w ciasnej klatce roboczego baraku. Zrodził się tam w Wiktorze bunt, pragnienie powrotu do aktywnego życia, nie zamkniętego jedynie w kręgu pieluszek i pogoni za dodatkowym dochodem. W tym nastroju niedługo zaskoczył go Dwudziesty Zjazd partii radzieckiej, niosący za sobą wstrząs dla wszystkich związanych z lewicą. Co dnia napływały nowe szczegóły, autentyczne fakty spletały się z plotką, odradzające się nieprzychylnie postawy, wyróżniające się uśmiechniętymi szeroko twarzami, sąsiadowały ze zszarzałymi obliczami ludzi zaangażowanych najgłębiej. Stary Pacuk też nie wytrzymał na swojej stacyjce, zwałił się pewnego wieczora do Słupska.

- Widzisz, a nie mówiłem? - zaatakował syna.

- Co mówiłeś?

- No to, co się stało. Nie ta droga, nią byśmy nigdzie nie doszli, dlatego tak mroczno zaczynało być naokoło. Ale teraz będzie inaczej, zupełnie inaczej.

- U nas?

- Wszędzie. U nas też..

Rozzłościło go to ojcowskie gadanie. Jakby się cieszył z objawienia prawdy o kulcie jednostki dziwną jakąś uciechą, nie z likwidacji zła, ale z potwierdzenia faktu jego istnienia. To chyba nie może być powodem radości. Dla niego samego z jednej strony potwierdzały się

własne obawy i niepokoje, oczyszczało się pole widzenia, ale z drugiej strony tak wiele nadal pozostawało niezrozumiałe. „Więc w naszym ruchu - myślał - mogły się dziać aż takie rzeczy? Pewnie, to wielka odwaga odrzucać zło, prostować splątane ścieżki, ale że w ogóle można było zejść na takie manowce?”

Ojciec wyruszył z powrotem jeszcze tej samej nocy. Wiktor odprowadził staruszkę na stację. Patrzył, na ściągniętą zmarszczkami, smutno uśmiechniętą twarz, dochodził do wniosku, że się omylił w pierwszym swym sądzie. Ojciec, nie wszystko pojmując, instynktownie wyczuwał zaistniałą szansę odmiany, nowego działania. Nie wiedział, jak ta zmiana będzie wyglądać w praktyce, co inni, co on sam będzie robił, ale wyczuwał nowy klimat i możliwości, pewnie przeliczał to już na szansę dla swojej stacyjki, stąd czerpał otuchę. Ale obok był w nim też jakiś wstyd i rozczarowanie. Mógł wyklinać, udawać, że go nic nie obchodzi, ale w końcu to przecież były li jego sprawy. I na niego w jakimś ułamku zrzucali winę, obciążali ciężkim moralnym brzemieniem.

Wymachując z okna żyłastą ręką, wraz z zacichającym dudnieniem pociągu ojciec zginął z pola widzenia, a Wiktor, idąc wolnym - krokiem do domu, nadal się plątał w swych rozważaniach, zazdrościł ojcu jego umiejętności znajdowania we wszystkim również i jasnych stron, podejmowania choćby maleńkich decyzji. A on sam?

Nie brakło w następne tygodnie i miesiące nowych zaskoczeń. Coś zaczynało się zmieniać wokół. Wiktor starał się spoglądać na wszystko uważnie, sięgał po gazety, wdawał się w rozmowy z załogą. Ale oni tam niewiele byli mądrzejsi od niego. Nad wszystkim zaciążyło jakieś oczekiwanie, nikt przy tym nie wiedział na co. A jeszcze pogmatwały się jego domowe sprawy. Choroba babci, narastające wraz z ciężką pretensją Ingi, jak z mora wiszący nad głową termin egzaminów. Nocami próbował dzielić czas na odbębnianie zleconych prac, zaczęło o nie być coraz trudniej, wprowadzano nowe przepisy, zwiększyła się dyscyplina w finansach, a zarazem wykradał sobie godziny na naukę. Stale był niedospany, z przerażeniem patrzył na rosnące stosy pieluszek i kaftaników małej Agnieszki, zamykał uszy przed wyrzutami żony, odmierzał babci krople, które jakoś niewiele jej pomagały. Do pracy przychodził oczadziały, snuł się po budowie, marząc o wolno zbliżającej się godzinie fajrantu, kiedy będzie mógł się wyrwać do domu. I znowu zanikała szarpanina wewnętrzna na myśl o obowiązkach, rosnących w zawrotnym tempie. Zresztą i wśród zmiennej budowlanej załogi przycichło, ci i owi spoglądali na siebie spode łba, tyle że częściej robiono długie zakurki, w godzinach pracy zjawiała się wódka. Przełożeni, w ślad za nimi i Wiktor, starali się tego nie widzieć. Licho wie, jak by ludzie zareagowali na zwróconą uwagę?

Nadszedł maj, a z nim niefortunny wyjazd Wiktora do Poznania na sesję,

egzaminacyjną. Wrócił jak struty, odechciało mu się wszystkiego, zaczynał tracić wiarę we własne siły. Osowiał, chodził chmurny, krzywo patrzył na cały świat, stał się nawet z Majchrzakiem, który wrócił dopiero ze swoją grupą z terenowej roboty i zachwycał się jakimś dobrze prowadzonym PGR-em, w którym stawiali nowoczesną oborę. O głupstwo poszło, majster podszedł do niego życzliwie, nie zagaśła łącząca ich dawniej sympatia, zbyt wiele przeżyli w związku z katastrofą budowlaną w mleczarni. Zapytał o zdrowie, coś mu Wiktor mizernie wyglądał, napomknął o tym, że idą nowe czasy, staje się tak, jak kiedyś to mówił. Odpalił mu, że nic go to wszystko nie obchodzi, dawne i nowe czasy, ma to gdzieś razem z pocieszycielami. I w ogóle niech go Majchrzak zostawi - w spokoju, nie lubi, jak kto nad nim wydziwia, że źle czy dobrze wygląda.

Stary nawet się nie obruszył, z zaciekawieniem tylko, jak rzadkie zwierzę, obejrzał Wiktora. A jemu nagle zrobiło się przykro, przez moment chciał biec za majstrem, przeprosić, ale fałszywy wstyd powstrzymał go na miejscu.

Może i źle się stało, może właśnie jeden Majchrzak mógłby mu pomóc w tym najcięższym okresie. Autorytet majstra zwiększał się z dnia na dzień, jego pozycja, zwłaszcza w miejscowej organizacji partyjnej, rosła zadziwiająco. Przedtem odsuwany wyraźnie na bok, ledwie tolerowany, teraz zaczynał zajmować pierwsze miejsce. Na zebraniach sekretarz na niego się przede wszystkim oglądał.

W ogóle następowały zmiany wśród ludzi. Ci spośród partyjnych, którzy uchodzili za największych krzykaczy, teraz zwiesili głowy. Kulili się, cichli, oglądali na innych.. Właśnie na takich jak Majchrzak, którym nie brakło odwagi cywilnej, którzy mieli własny, wyrobiony pogląd na zachodzące przeobrażenia.

Wzmocniona pozycja Majchrzaka najwyraźniej się objawiła właśnie w maju, pod koniec, gdy doszło do awantury pośród załogi. Sprowokował ją właściwie główny księgowy. Oto z nagłą zatrzymał wypłatę premii, stanowiącej poważne źródło zarobków. Zaczęły krążyć pogłoski, że premia zostanie ucięta do jednej trzeciej: nie wykonali planu, opóźnili zwłaszcza budowę bloku przy pryncypalnej ulicy. Słupska, jedynej większej w ostatnim czasie inwestycji tego rodzaju. Zaczęło się od pokrzykiwań, od przeciągającej się w nieskończoność zakurki. Wreszcie rzucając robotę ruszyło bractwo pod barak kierownictwa. Kilku zdążyło odbić korek jednej i drugiej flaszki, ci też mieli najwięcej tupetu. Wezwany przez kogoś przypędził warszawą dyrektor, zjawił się wylekniiony sekretarz organizacji partyjnej. Zamiast uspokoić rozjątrzyło to załogę. Najwięcej z nich pochodziło ze wsi, dorabiali na budowach w okresie sezonu. Ci, sami mało się w czym wyznając, oglądali się na gardlujących prowodyrów. Rej wodziła wśród nich osławiona w czasie odgruzowywania młodzieżowa

brygada Roleckiego.

Właśnie jego dojrzał Wiktor na czele krzykaczy. Zawsze był taki pyskаты, rozrabiał bez przerwy i ciągle na sucho mu uchodziło. Wiktor w ślad za innymi - co zresztą miał robić sam na budowie? - ściągnął także pod kancelarię. Jeszcze przed chwilą myślał tylko o jednym, że jeśli naprawdę nie wyjdzie z tą premią, to w domu zrobi się jeszcze kruszej. Inga jeszcze więcej będzie wyrzekać. Co, u licha, ten księgowy wyprawia? Przy głównej budowie opóźnienie nie powstało z ich winy; nie otrzymali na czas potrzebnych dźwigarów, brakło też zbrojeniowych prętów. Ale czasu nie zmarnowali, podciągnęli remonty, to się w końcu jakoś sumuje. Więc dlaczego mają uderzać ich po kieszeni? Mało brakło, a byłby rozrabiał razem z innymi... I dopiero Rolecki, siekący politycznymi frazesami, klnąc okropnie, występujący z radą, aby księgowego zanurzyć w wapnie, to mu się odechce kantować... Pamięć dawnych starc z Roleckim, pobicia na własnej klatce schodowej, kpiących uśmieszków łobuza i dalszych pogroźek okazały się silniejsze od poprzednich rozumowań Wiktora. Już nie był razem z krzyczącymi najgłośniej, już zaczynał uspokajać najbliższych sobie zahukanych chłopków, nie bardzo nawet pojmujących, o co tu chodzi.

Dyrektor pierwszy przemówił. Wyjaśniał, że jeszcze nic nie wiadomo, diabli wiedzą, skąd przeniknęły do nich te wiadomości, cała rachuba od nowa przelicza wykonanie planu w poprzednim miesiącu, po co więc od razu taki raban? Niech się uspokoją, niech się rozejdą, jak co będzie wiadomo; da się im znać.

- Wy nas tu nie kantujcie. Będziemy czekać, aż się okaże co i jak. Premii nie odbierzecie.

Sekretarz partyjny też wiele nie wskórał. Spadł ostatnio jego autorytet pośród załogi. Był to człowiek nazbyt potulny, pozbawiony własnego zdania, nie umiejący dogadywać się z ludźmi.

Zaszumiało, ktoś zajrzał przez okno, zobaczył bladego księgowego z czarnymi zarękawkami na białych rękawach koszuli, rąbnął w szybę, rozsypała się z brzękiem:

- Wziąć go tutaj, przed kancelarię, niech sam mówi, co tam zmaglował...

Podniósł się gwałt, naparli na stojących przed drzwiami dyrektora i sekretarza, ci cofnęli się, wyraźnie zaleknieni. Na próżno inżynier coś wołał, zagłuszyli go.

Wiktor zaczął się przepychać do przodu, pojał, że przez zwykłą głupotę paru rozrabiaczy może stać się coś naprawdę niedobrego. Ale szybszy był Majchrzak. W ubrudzonych, nisko na brzuchu opadłych spodniach, w rozpiętej koszuli, spod której wyglądała owłosiona obficie pierś, stanął przed falującą, prącą naprzód gromadą.

- Durnie, nie robotnicy, jasna cholera. Stójcie, psie mać! Ty, Rolecki, uważaj,

spieprzaj na koniec, ale już.

Speszył ich jego krzyk. Nie cofnęli się, ucichli tylko, któryś tam burczał kaśliwie. Majchrzak wykorzystał to zaskoczenie, mówił teraz spokojnie:

- Naprawdę, chłopaki, nie róbcie szumu. Jeszcze nie wiadomo, co jest z tą premią. Księgowego jak wytłuczecie, to kto wam sprawdzi jeszcze raz obliczenia? A potem co będzie? Cholera, bohaterowie znaleźli się! Dzisiaj, bo żeby tak jeszcze parę lat temu całą wam nawet premię odjęto, tobyście pogadali tylko cicho po kątach i jak cacusie poszli do domu spać. Gdy trochę więcej jest luzu, to dopiero gwałt, krzyk, odwaga. Przedtem to wam jakoś jej brakło. Bądźmy mądrzejsi, hałasem nic nie zrobimy. Zaczekamy, jakie będą wyniki obliczeń, potem zaczniemy radzić, ale spokojnie, bez krzyku. Pewnie, można roznieść cały ten barak, powybijając resztę szyb, Rolecki by chętnie to zrobił, on przecież specjalista od wszelkich rozbiórek. Ale pod pion muru wyciągnąć do dzisiaj nie umie ani pod sznur położyć cegły... - Przeczekał śmiech, wiedział, że musi wybuchnąć.

Rolecki nie był lubiany, oglądali się wszyscy na niego, stał zły, niepewny, choć rozjuszony. Dopiero teraz mógł Majchrzak wystąpić z kolejnym wnioskiem:

- Wiecie co, po cholere mamy tu rozrabiać, roznieście się, gdzie nie trzeba, będzie poruta. Wracamy do roboty, a jak się rzecz wyjaśni, niech zaraz dadzą nam znać. Sam tego dopilnuję. Wiecie, z gęby cholewy nie robię, ale i nie kryję tego, co myślę. Znaie mnie chyba nie od dzisiaj. Gdyby zaś coś nie tak wyszło z premią, to z każdej brygady wybierzemy jednego, niech radzą z dyrekcją. Większa z tego będzie pociecha jak z krzyku. No jak, zgoda?

- Niech będzie.

- Zgoda. Dobra jest, Majchrzak.

- Durnie, nie słuchajcie, okantują, i tyle.

- Zostajemy.

Majchrzak skrzywił się, ocenił już sytuację, tych przeciwnych było niewielu. Znów wysunął się Rolecki na czoło. Stary majster poszedł prosto ku niemu, stanął blisko, naparł piersią.

- Czego chcecie? Odpieprzcie się ode mnie. O swoje wojuję - zawarczał Rolecki;

- Ach, ty byku, o swoje? A pamiętasz, jakieś mnożył to swoje kantami? Pamiętasz?

Nim się kto spostrzegł, złapał majster Roleckiego za kołnierz koszuli i choć ta darła się, podniósł za nią młodego brygadzystę do góry jak kota. Rolecki zamachał rękami, nogami, próbował się wyrwać, uderzyć starego, ale w tej właśnie chwili koszula pękła przez pól i chłopak rąbnął o ziemię. Powstała radość, ktoś zaklaskał, śmiech, gwizdy, nastrój się zmienił, jakby zapomnieli już wszyscy o zagrożonej premii. Majchrzak ani się oglądając na

zacerwienionego, usuwającego się na bok Roleckiego, już tylko zagarniał ich ramionami jak kwoka kurczęta, popychał:

- Do roboty, do roboty, chłopaki...

Od zakrętu na rowerach ukazało się kilku pedałuujących zawzięcie milicjantów, razem z nimi rwał jakiś cywil. Gdy znaleźli się przed kancelarią, z robotników już nikogo nie było w pobliżu.

- Co tu się dzieje? Był telefon, że jakiś szum u was. - Szczupły cywil obiegał teren oczyma.

- U nas? Szum? Kawał durny, towarzyszu, ktoś musiał wam zrobić... - wysunął się Majchrzak. - Przyszło paru z wiary zapytać, co z premią, rachuba nasza opóźnia się, padło jedno i drugie mocniejsze słowo, że księgowemu kości policzą, i tyle. Normalna rzecz. A wyście co znów myśleli?

- U nas spokojnie, ktoś musiał wam głupstw nagadać - witając się z cywilem poparł Majchrzaka sekretarz.

Tamten nadal wodził wokoło mniej już pewnym, trochę teraz spesjonym wejrzeniem. Milicjanci śmieli się w kułak.

Wiktor odchodził powoli, pełen podziwu dla Majchrzaka, niechętnie zarazem usposobiony wobec samego siebie. Co się z nim działo, że w pierwszej chwili gotów był iść z takim Roleckim i jego zgrają? Gdybyż ojciec to widział, dopiero kpić by mógł z syna, który zatracił robotnicze wycucie...

Jeszcze tego dnia wyjaśniło się z premią, po prostu zaszła pomyłka. Rachmistrz, młody szczeniak, coś tam zaplątał. Gdy dotarło to do wiadomości ogólnej, Rolecki jeszcze raz odpokutował za swoje, własna brygada po wojskowemu zrobiła mu koca, solidnie garbując kości w odwecie, że chciał z nich wszystkich zrobić durniów. Wzmógł się autorytet Majchrzaka, stał się pierwszym z całej załogi.

W jakiś tydzień po tej przeprawie znowu zaczął Wiktor.

- Nie chciałbyś kiedy trochę pogadać? Co się tak uwziąłeś od tamtej historii z mleczarnią? Pamiętasz, mówiłem ci, że wiele u nas się zmieni? Idzie już na zmianę, czuć nowe wiatry, mam nosa, możesz mi wierzyć...

- Ja tam wiele nie czuję. Pieluszki mi ciągle śmierzdzą, i tyle - zachnął się Wiktor. - Pogadać można, pewnie, tylko że ja już inny, za wiele we minie wygasło - powiedział z wyraźnym smutkiem.

Majchrzak pokiwał głową, przyjaźnie klepnął go po ramieniu.

- Odejdzie ci. Jeszcze się nieraz spotkamy, Pacuk. Tylko się nie daj pieluszkom. Był

czas, że ja także je prałem. Nie można powiedzieć, smród przy tym bogaty, ale każdy z nas w swym czasie też smrodził, ludzka rzecz...

Do zasadniczej rozmowy nie doszło, ale Wiktor coraz bardziej garnął się do starego majstra, niedługo wybranego na drugiego sekretarza miejscowej organizacji partyjnej. Zaczynały go znów interesować sprawy wybiegające poza dom i wyrzekania wciąż podrażnianej Ingi czy ciche pojękiwania babci. Już się wdawał w rozmowy, udzielał się i jemu nastrój dziwnego oczekiwania, nie wiedział dokładnie na co. Na jakiś inny wiew, na coś, co rozsądzi powszechne rozleniwienie, ospałość, co zatrzęsie tym Słupskiem, zaspanym teraz, niemrawym jak i inne ośrodki. Znów zapragnął włączyć się w grono takich jak Majchrzak. Ale nie wiedział jak. Nie zamierzał starać się ponownie o przyjęcie do partii, nie wyzbył się jeszcze bez reszty narosłych w nim wątpliwości, niektóre się pogłębiały. Kto wie też, jak by go znów potraktowano, może tak jak wtedy? Jeden Majchrzak o wszystkim nie decydował. Zresztą każdego dnia był dom, małe, nudne sprawy, były książki, z których mimo wszystko nie rezygnował, przynosiły spokój chwile igraszek z małą Agnieszką, coraz wdzięczniejszą, już siadającą w swoim łóżeczku, wyciągającą ku niemu pulchniutkie rączki.

Wyjazd do teściowej na weselisko, nowe, nie uświadomione do końca problemy, jakie odsłoniły się przed nim w Indze, po paru tygodniach poprawy gwałtowne pogorszenie się stanu babci - jeszcze raz odsunęły Wiktora od wszystkiego. Jeszcze raz zobaczył wokół jedynie przytłaczającą szarość.

Czuł się teraz straszliwie znużony. Na budowie, ledwie się oparł o jakiś mur albo przysiadł na deskach, zaczynał drzemać. Ręce i nogi zdawały się jak z waty. Umysł pracował leniwie, najprostsze - rzeczy z trudem teraz wtłaczał sobie do głowy, patrząc z przerażeniem, jak narastają zaległości w studiach. Zaczęły się w nim błąkać przebłąski myśli o rezygnacji z nauki. O wypoczynku ani - mógł myśleć, czekało go rozwiązanie Ingi, kłopoty z nowym małżeństwem, a jeszcze choroba babki; mnożyły się trudności materialne, coraz mniej się trafiało okazji dorobienia, mimo że nie przebierał, chwytął się - byle czego. Myślał już nawet, czy nie napisać do Tadeusza, może on mógłby podrzucić jakąś fuszerkę, kiedyś coś się mówiło o takich „murzynach” do technicznej roboty, firmowanej potem przez innych...

Gdy pewnego dnia pod koniec pracy zaczęły krążyć tu i ówdzie dziwne szeptki, wiadomości, przywiezione przez kolejarzy, że w Poznaniu coś niedobrego się dzieje, Wiktora to nie obeszło, może nawet nie dotarło do niego. Czerwcowy dzień był upalny, słońce morzyło, o jednym tylko marzył, by jak najszybciej doczekać się końca pracy.

W domu tego dnia zastał prawdziwe piekło. Inga pierwszy chyba raz od ich ślubu do tego stopnia wyszła z siebie, że zrobiła mu awanturę. Poszło o to, że babcia zabrudziła łóżko,

a ona, Inga, ani myśli w tym babrać się, nie przyszła tu na niańczenie starej, dość kłopotów ma z dzieckiem, z mężem, któremu roją się jakieś inżynierskie ambicje, a który zapomina o obowiązkach wobec własnego domu. Wstrząsała pięściami, sama się upodobniła do jakiejś wiedźmy, z czerwonym nabrzmiałym od płaczu nosem, z rozwichrzonymi włosami, w brudnym, zapaćkanym do niemożliwości szlafroku.

Wiele siły Woli musiał w to włożyć, aby odpowiedzieć milczeniem, zająć się porządkiem łóżka, znosić przeraźliwie smutny, zgnębiony wzrok starej kobiety, a potem, jak co dnia, gotować, sprzątać, prać, gubić się w tysiącu zajęć domowych, które mnożyły się, którym nie było końca. Na dobitkę ciągle czuł wodzące za nim spojrzenia złej, rozżalonej Ingi, teraz dla odmiany zastygłej w zapiekłym milczeniu.

Na dzwonek późnym wieczorem zareagował niechętnie. Za drzwiami stał sąsiad z szeroko wytrzeszczonymi oczyma, na siłę pchał się do przedpokoju:

- Panie Pacuk, panie Pacuk, słuchał pan radia? Już pan wie?

- Nie słuchałem. O czym mam wiedzieć? - odburknął, niemal wypychając sąsiada za drzwi.

- O Poznaniu. Podano komunikat. Tam jakieś zamieszki, awantura, panie, na całego... I co sąsiad na to? Doczekaliśmy się...

Z pokoju dobiegł nagle gwałtowny wrzask małej Agnieszki, z kuchni poniosło się jednocześnie głuchoe tąpnięcie, domyślił się: babcia w zamroczeniu znowu musiała spaść z łóżka, już się tak parę razy zdarzyło. Wypchnął sąsiada, krzyknął zatrzaskując mu drzwi przed nosem:

- Guzik mnie to obchodzi, Poznań, nie Poznań. Ja mam tu swoje własne trzęsienie ziemi i niczym się nie będę przejmował.

Biegł, dźwigał babcie na łóżko, obstawiał je krzesłami, aby znowu nie spadła, przykładął chorej na czoło wilgotny kompres. Potem grzał mleko, przelewał do butelki, nasuwał smoczek, pędził do rozkrzyczonej Agnieszki, dopominającej się o spóźniony posiłek. Inga leżała odwrócona twarzą do ściany.

Rzeczywiście, cóż innego mogło go teraz obchodzić?

XI

Rwało go w tamtym czasie na miasto, na tłumne zebrania, na ulice zatłoczone podnieconymi ludźmi. Ciągnęło go zarazem do domu, czas Ingi miał się ku końcowi, zbliżało się rozwiązanie. Echa Ósmego Plenum partii wstrząsały Polską, fale od Warszawy szerokim

krekiem rozchodziły się na cały kraj, budząc w jednych radość, w innych niepokój, jeszcze innych pozostawiając zdezorientowanych, niepewnych, jak oceniać to nowe, co jak burza przewalało się nad miastami i najcichszymi dotąd wioskami. Cięża tym razem komplikowała się, lekarz zdecydował wcześniejsze przewiezienie Ingi do szpitala, każdej chwili może być potrzebna interwencja chirurga. W fabryce metalowej załoga okoniem postawiła się dyrekcji, główny inżynier omal nie znalazł się za bramą. W warsztatach kolejowych odbyło się otwarte zebranie komórki partyjnej, sala nie mieściła uczestników, z ust mówców sypały się oskarżenia, narastały pretensje, niedługo po przeprowadzonych wyborach cały skład władz partyjnych uległ zmianie. W budowlance sekretarzem został jednomyślnie wybrany Majchrzak, próbował nawiązać kontakt z niezgraną, w znacznej części przypadkową załogą. Narastały pretensje do komitetu miejskiego, że izolował się, w najbardziej dramatycznych dniach zajmując stanowisko wyczekujące. Bąkano o zmianach w aparacie milicji i Bezpieczeństwa.

Ułożenie płodu u Ingi było niepomyślne, tętno dziecka stawało się przerywane, Inga cierpiała już od półtorej doby, zapadła decyzja: cesarskie ciecie. Wiktor przez długie półtorej godziny nerwowym krokiem przemierzał na ukos płaszczyznę ponurej poczekalni. Niezwykle dramatyczny przebieg miało ostatnie posiedzenie rady miejskiej, radni nabrali odwagi, sypały się konkretne fakty i cyfry, wskazywano na błędy, na zahamowanie wszelkiej inicjatywy, na cofnięcie się miasta w rozwoju. Prezydium grzęzło w asekurancie, dbało tylko o swoje fotele. Jeden z członków prezydium musiał na tym posiedzeniu ustąpić, rezygnację jego przyjęto oklaskami. Z wyjątkiem nielicznych rozsypały się w okolicach Słupska spółdzielnie produkcyjne, w kilku doszło do rozgrabienia wspólnego mienia, w jednej padło kilkanaście sztuk bydła, nikt się nim bowiem nie zaopiekował w powstałym chaosie. W PGR-ze specjalizującym się w gospodarce nasiennej i warzywniczej pobito kierownika i wyrzucono z zajmowanego stanowiska. Wyszły na jaw niemałe nadużycia tego człowieka i zgrai jemu najbliższych. W trakcie operacji zaszła potrzeba podtrzymywania Ingi tlenem, ktoś nie dopatrzył, aparat szwankował, nastąpił moment niesłychanie krytyczny dla życia matki. Przez całą noc przetaczano jej krew, lekarze ani na chwilę nie odchodzili od położnicy. Dziewczynka była zdrowa, z daleka pokazano ją Wiktorowi. Radość jego gasił wszakże niepokój o żonę. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak Inge kocha, jak nieważne stały się wszelkie starcia pomiędzy nimi. Wyjaśniły się przyczyny jej złych nastrojów, wyrzekań i nieustannych pretensji: cała ciąża przebiegała nieprawidłowo, młody lekarz ubezpieczalni nie rozpoznał w porę przypadku, dopuścił do stanu zagrożenia. Dwie doby trwała batalia o życie kobiety. Dwie doby strawił Wiktor w stanie straszliwego napięcia. Jakby z dalekich światów

dochodziły do niego echa wiwatującej albo znów dla odmiany burzącej się ulicy. Przeciągały pochody z orkiestrami na czele, na przedmieściu grupa chuliganów napadła na spółdzielnię produkcyjną, doszło do pobicia spółdzielców i częściowego rabunku ich mienia. W ostatniej chwili przed większymi szkodami uratowała spółdzielnię interwencja ochotniczej straży robotniczej, powołanej na skutek starań Majchrzaka. Przy kioskach ludzie godzinami oczekiwali na stołeczne gazety, wrywali sobie z rąk czytając i komentując. Młody organizm Ingi zwyciężył, kryzys minął, życie jej zostało uratowane. Po pięciu dniach pozwolono Wiktorowi stanąć u progu jej sali, zobaczyć żonę z daleka. W domu babce się poprawiło, mogła się zająć Agnieszką, z dumą wypróbowującą swe umiejętności chodzenia. Ogłoszono w Słupsku wiadomość o powołaniu grupy specjalistów, mających opracować perspektywiczny plan rozwoju miasta w najbliższych latach. Mieszkańcy proszeni byli o wnioski, o zwracanie uwagi na szczególnie zaniedbane dziedziny. Zaczynała się, jeszcze leniwa, jeszcze bez rozmachu, propaganda przedwyborcza. W jednym z mniejszych warsztatów robotnicy zaoponowali przeciw niesłusznym normom, byli nawet tacy, którzy proponowali porzucenie pracy; rozsądek przeważył, nowo wybrana rada robotnicza podjęła pertraktacje z nadrzędnymi władzami resortu. Z ust do ust przetaczała się po Słupsku wiadomość o przyznaniu racji robotniczym żądaniom. Stan zdrowia Ingi poprawiał się bardzo wolno, potrzebne były lekarstwa, których szpital nie posiadał, Wiktor musiał je sprowadzać prywatnie z Warszawy, zadłużył się, zapożyczył, nocami ślęczał nad robotą zleconą, ze znużenia linie wykresów zlewały się w jedną czarniawą plamę. Babcia miewała nawroty ostrych bólów, pozostawała wtedy w łóżku, Agnieszką opiekowała się sąsiadka, Wiktor przybiegał z pracy zdyszany, znów wszystkie obowiązki domowe spadały na niego. Mógł już odwiedzać Inge, spokojna była, witała go nikłym uśmiechem. To go nasycalo radością, nadziejami na przyszłość, rozwiewało poczucie straszliwego znużenia. W mieście coraz to wybuchało chóralnie śpiewane „Sto lat”, nowa narodowa pieśń Polaków. Więcej było uśmiechów, ludzie odzyskiwali wiarę w sens swoich wysiłków, budziła się uśpiona długo energia społeczna. Młodzież, po rozwiązaniu ZMP, próbowała grupować się w nowych, jak grzyby po deszczu powstających organizacjach. Kilku reprezentantów minionego okresu czym prędzej zgłaszało rezygnację z zajmowanych stanowisk. Przychodzili nowi, obdarzeni zaufaniem, odradzał się autorytet miejscowej władzy. Inga wróciła wreszcie do domu wraz z małą Joasią - tak nazwano dziewczynkę. Ktoś na budowie zakpił z Wiktora, jaki to z niego damski krawiec. Uśmiechnął się tylko, był szczęśliwy, na lepsze odmieniło się w jego życiu, znowu porozumiał się z Ingą. Majchrzak zwrócił się do niego z propozycją, aby ponownie wystąpił z wnioskiem o przyjęcie do partii. Zmieniły się kryteria ocen, na pewno nie będzie

obecnie przeszkód, a partii uczciwi, wypróbowani ludzie są teraz bardziej potrzebni niż kiedykolwiek. W całym województwie zradzały się nowe poddmuchy, biegly stąd i stykały się z tymi nadciągającymi z Warszawy. Koniec niedoinwestowaniu, zapoznawaniu Nadodrza, czas wielki na zryw gospodarczy, na rozbudowę, na aktywniejszy udział w życiu kraju. Już się zaczynało mówić o planach odbudowy Kołobrzegu miasta i portu, w Koszalinie zatwierdzono budowę dwóch wielkich dzielnic mieszkaniowych, ożywienie zaznaczało się w Szczecinie, w Złotowie, w Miastku i wszystkich ważniejszych miejscowościach regionu. Sypały się na zebraniach nowe wnioski, projekty, sugestie, kampania przedwyborcza wchodziła w najbardziej gorączkową fazę. Inga już wstawiała, powracała teraz szybko do zdrowia, Joasi przybywało na wadze, pulchniutka, o czarnych, gęstych włosach, zajadle wsysała się w pierś matki, potem opadała syta, z wyraźnym uczuciem zachwyty na maleńkim buziaczku. Na budowie okazało się, że przedsiębiorstwo plan tegoroczny wykonało z nadwyżką, obok premii pojawiła się i „trzynasta pensja”, rozjaśniły się miny. Pracę zleconą oceniono Wiktorowi szczególnie dobrze, wypłata większa była nad spodziewanie. Po raz pierwszy od bardzo dawna z domu ich zniknęły kłopoty finansowe. Z Ingą od wyjścia jej ze szpitala nie było starć, wróciła dawna serdeczność, odrzucił myśl, że przyczyna mogła tkwić w poprawie ich sytuacji bytowej. Znow się zabrał do nauki, w styczniu czekały go egzaminy, nie zamierzał rezygnować. Dotąd brnął przez życie z uporem, źle byłoby, gdyby się przewrócił na tej właśnie przeszkodzie. Wpisał się na listę zamówieniową choinek świątecznych, w duchu układał listę noworocznych zakupów. Z nagła życie zaczęło darzyć go uśmiechami.

Wtedy właśnie, krótko gdzieś przed połową grudnia, ze stacyjki ojcowskiej nadbiegły pierwsze niepokojące wieści. Po paru dniach, późnym wieczorem do drzwi mieszkania Wiktora zadzwonił ojciec. Stary Pacuk zmizerniał, dłonie drżały niepokojąco. Wiktor ledwie go w pierwszej chwili poznał.

- Ojciec, co się z tobą stało? - pytał czując, jak głos wzbiera mu niepewnością; nawracało wspomnienie zasłyszanych przypadkowo opinii o wydarzeniach na niewielkiej stacyjce rozrządowej opodal Słupska. Czyżby to wiązało się z ojcem?

I już nie potrzebował potwierdzeń, by zyskać pewność, że właśnie tak. Tylko ojciec mógł się zdobyć na podobne inicjatywy. Co dalej tam nastąpiło, co stało się przyczyną nagłej, nocnej wizyty? Bał się popuszczać wodzy swym myślom, wolał już czekać cierpliwie na wyjaśnienia.

Ale właśnie stary Pacuk wcale się z nimi nie kwapił. Nadrabiał humorem, rozgadał się z Ingą, wypytując, kiedy nareszcie postara się mu o wnuka. Jakże tak, same dziewczyny? A

potem wstydliwie wsunął synowej pod poduszkę niewielki pakiecik. - To od starego, żebyś nie myślała, że nie pamiętam o tobie - oznajmił speszony. Nie leżały w jego naturze podobne gesty. Długą chwilę przesiedział przy matce, o czymś sobie cicho gwarzyli. Wiktor usłyszał słowa babki o cmentarzu wileńskim na Rossie, ojciec przytaknął jej, napomknął o grobie swej żony, znalazły się także słowa o Czešku... Od powtórnego przyjazdu do kraju Piotr unikał takich wspominków, przynajmniej rzadko dawał im wyraz w obecności Wiktora. Zaszło zatem coś, co nim poruszyło do głębi. Jedno było pewne, ojciec odwlekał rozmowę, aż noc nazbyt się już zaciągnie, aby można było przechodzić do zwierzeń.

Nadeszła wszakże chwila, gdy zasiadł na łóżku w pokoiku, służącym Wiktorowi za sypialnię oraz miejsce pracy. Pacuk nie miał ochoty na sen, a że nie lubił udawać, więc nawet się nie kładł, po staremu wodził oczyma za synem, próbującym czytać rozłożony przed sobą podręcznik. Ale i jemu dziś nic nie wychodziło. Podniósł głowę, nasłuchiwał. Z ulicy przytłumione odległością głosy niosły się od Starego Rynku, napłynęło chrapliwe *Sto lat*.

Ojciec przestał się wiercić na skraju łóżka, również nasłuchiwał. Odezwał się niskim, nieswoim głosem:

- Znowu drą się, obrzydło już... No nic, nic. A ty, Wiktor, uczysz się?

Nie wyczuł teraz drwiny w tym głosie, inaczej niż za czasów pamiętnego odgruzowywania. Ojciec mówił poważnie, wyraźnie imponowały mu studia syna. Jego Wiktor zostanie inżynierem, syn robociarski inżynierem, kto by pomyślał...

Śpiewy za oknami zagasły, wtopiły się w mglistą, rozlazłą szarzyznę grudniowej nocy. Wiktor zamknął podręczniki. Nie potrafi zmusić się dzisiaj do nauki, w głowie chaos, natłok wrażeń, nutka wspomnień, dziwacznych, skaczących jak konik na szachownicy po całym życiu, ta śmiesznie bezradna sylwetka ojca na skraju łóżka, w gaciach tylko i rozchełstanej koszuli. Bezradna, mimo że stary ciągle nadrabia miną, jeszcze się broni przed świadomością nowej swej klęski.

Wiktor wiedział, nieomylnie wyczuwał, dlaczego zjawił się ojciec w ich domu. Nie umiał już nadal sobie radzić nie tyle z innymi, na to potrafił być odporniejszy, co z samym sobą. Zaplątał się, zagubił, wymanewrował się na boczne tory, prowadzące donikąd...

Obrócił się ku ojcu, patrzył na niego spokojnie, z jakiegoś dystansu, jakby w tych przykrótkich gaciach, śmiesznie opiętych guzikami na łydkach, siedział przed nim nieznany, obcy człowiek.

Piotr poruszał się niespokojnie pod spojrzeniem syna. Opuścił głowę, dłuższą chwilę trwał w upartym milczeniu, cień jego sylwetki na ścianie rysował się jeszcze bardziej bezradnie niż sama postać. Aż z nagłą determinacją dźwignął się całym tułowiem, prostując

się.

- Cóż mi się tak przyglądasz? - W tonie zabrzmiało wyzwanie. - Myślisz, przyjechałem szukać pomocy? Radę sam sobie znajdę. Mnie nie zagryzą tak łatwo.

-. O czym mówisz? Nic nie rozumiem.

Dopiero zerwały się jakieś upusty w starym człowieku. Pękła budowana mozolnie zapora. Dojmująca samotność, doskwierająca tym boleśniej, im bardziej gwałtowne stawały się zachodzące wokół przemiany, szukała ujścia w żałośliwej, choć pozornie zrównoważonej spowiedzi. Wiktor odczuwał to najwyraźniej: ojciec przyjechał tutaj, aby się wypowiedzieć, wywnętrzyć i najgłębszych swych trosk, może i więcej, by szukać jakiegoś ratunku i wyjaśnienia. Na tym tle niedawna jego buńczuczność stawała się żalosna i smutna.

Osobliwa aktywność starego Pacuka w ostatnich paru miesiącach nie była wynikiem przypadku. Musiała się kiedyś ujawnić. Stłumiona energia nie znajdowała dotychczas wyładowania w codziennej trosce o uboczne sprawy niewielkiej stacji, pozostawionej sobie w oddali od głównych szlaków. Od tej stacyjki brały początek wszystkie odczucia i poczynania Pacuka..

Przełom tego roku trafił w starym Pacuku na bardzo podatny grunt. Czekał na taką chwilę. Choćby tylko dla kręgu swojej stacyjki, osiedla, najbliższej okolicy i jej niewielkich problemów. Nie wyżytą chęć działania oddał bez reszty służbie temu, co przewalało się krajem, często żywiołowe, bez tam i hamulców. Odczuł rewolucyjną polską jesień jako głęboko, najbardziej swoją. To, co się działo teraz w Warszawie, co potężniejącą falą zagarniało kraj, było Pacukową sprawą. Nabierała intensywniejszych barw na długo przed wojną wpinana w klapę czerwona kokardka proletariusza.

Sam Pacuk nie potrafił sobie uświadomić, jak się to stało, że właśnie on wysunął się na swojej stacyjce i w całym osiedlu na czoło, że miejscowa organizacja partyjna jednogłośnie przyjęła go na członka, a gdy na drugim zebraniu doszło do gwałtownej zmiany we władzach, obwołany został sekretarzem. Pewnie, nie wszystko to było formalne, ale w takim czasie któż by zważał na nieistotne drobiazgi, wtedy gdy Polską szła wielka odnowa? Potrzebne się stawało rewolucyjne działanie, świadome, szybkie, bez oglądania się na formalności.

Na małej stacyjce iż nagle pojawił się nie znany tu przedtem megafon, zainstalowano głośniki, daleko w las i na pola niosły się echa transmitowanych przemówień radiowych, pieśni i marszów, nieodzownego *Sto lat*. Powstał w osiedlu rewolucyjny komitet obywatelski, radę gromadzką rozpędzano na cztery strony świata, za dużo było już kantów, dotąd potulnie znoszonych. Pacuk ze swoją najbliższą świtą w zapale pomagał rozwiązywać pobliską

spółdzielnię produkcyjną. Zła była, nierentowna, to prawda, - ale sami spółdzielcy wahali się jeszcze, co mają robić. Dopomóżono im walnie w wyborze. Usłyszał przez radio o warszawskiej ochronie robotniczej, zaraz założył podobną. Miejscowy komendant milicji nie oponował, zbyt był speszony. Gdy Pacuk nakazywał przymknąć kogoś na przepisowe dwadzieścia cztery godziny, zaraz usłużnie otwierał drzwi miejscowego aresztu. Zawiadowca również podporządkował się nowej władzy we wszystkich sprawach, nie dotyczących bezpośrednio ruchu pociągów. Szły do dyrekcji kolei pisma o kredyty na remont pomieszczeń stacyjnych, żądania dodatkowych inwestycji, naprawy bocznych, dawno nie używanych torów, skierowania na rampę części przeładunków z okolicy. Zarządzane zostały czyny społeczne. Niechżeby ktoś próbował się od nich wyłamać! Starzy i młodzi sadzili na siłę drzewa wykopywane za zgodą leśniczego - albo i bez niej - w pobliskim lesie. Ruszyła naprawa drogi. Skądś wystarał się Pacuk o żużel, zaczerniły się koło stacji ścieżki dojazdowe, z tartaku wykombinowano sterty obrzynków. Były na tyle dobre, że się znakomicie nadawały na nowe opłotowania. Komitet obywatelski wydał nakaz, by natychmiast zostały pomalowane wszystkie drewniane domy, pożądane byłyby też tynki na murowanych. Z poczekalni i innych pomieszczeń stacyjnych zniknęły zakurzone, sloganowe plakaty, na ich miejsce przybyły nowe hasła, po części malowane własnoręcznie przez sekretarza. Niektóre potraktowano potem jako zbyt śmiałe...

Początkowo, w pierwszych tygodniach przemian, słuchano Pacuka w osiedlu z uszanowaniem i pełną pokorą. Potem jednak zaczęły się sarkania: Jakże to? W parę dni pragnie nadrobić to, o czym się nie pamiętało przez całe lata: odmalować, odświeżyć, rozbudować, wypielegnować? Dni nie starczyło i nocy. Budżet gromadzki dawno już został przekroczony, niechże powiat się o tym dowie... A w spółdzielni, gdy ją tak rozwiązano z impetem, sporo rzeczy zginęło, także z żywego dobytku, ani się ich teraz doszukać. Nadleśniczy zhardział, grozić zaczął za samowolne wtargnięcie do lasu po te mizerne sadzonki. Podnieśli głowy usunięci w cień ludzie, zaczęli się burzyć, słać skargi do wyższych instancji powiatowych i wojewódzkich. Komendant milicji nikogo już nie chciał sadzać w areszcie, nawet Pacukowi zagroził tym samym, w końcu postawił się okoniem przeciw tej ochotniczej gwardia, która miała utrzymywać porządek. Pacuk szalał, kłął, pięściami wytrząsał. Coraz więcej było starć. Zawiadowca przestał nękać dyrekcję coraz śmielszymi żądaniami. Pruć się zaczęło całe Piotrowe działanie.

Zjechała specjalna delegacja z komitetu powiatowego, zwołano zebranie partyjne. Długo trwało. Chwalono i atakowano Pacuka, perswadowano i pokrzykiwano. Nie rozumiał, czego od niego chcą. Że państwo zamierza robić w państwie, że samowolnie, po kacykowski

poczyna, nie może być Pacuk bogiem na swojej stacji. Usłyszał, iż nie pojął wielu spraw, które się wydarzyły, że zagrały w nim prawicowe, pepeesowskie tradycje, próbując coś tu budować, zburzył niejedno już dokonane. A w ogóle poza dyscyplinarnymi postępowaniem partyjnym może go czekać wiele innych nieprzyjemności, za te choćby historie z milicją, za przemykanie ludzi, cóż z tego, że zwykłych, najordynarniejszych łobuzów. Od tego są odpowiednie władze, ale nie Pacuk. Wybakierowali tutaj całą miejscową organizację partyjną, w powiecie zapasć musiała decyzja, aby ich komórkę zawiesić, a sprawą zajmie się kontrola partyjna.

To spadło jak grom. Piotr nie mógł pojąć, czemu spotyka go nowa krzywda. Wszystko, co czynił, traktował jako normalne rewolucyjne działanie, inaczej zaczęłyby wygrywać na fali przemian najróżnorodniejsze męty. Że może przeholował w naciskach na komendanta, że niepotrzebnie przespało się paru łajdaków przez jedną noc za kratkami, że pośpieszyli z likwidacją spółdzielni, że hasła były za śmiałe, za daleko idące, to nie są sprawy ani dla ich stacyjki, ani dla powiatu czy województwa, rozstrzygną się one dopiero w Warszawie... Jeżeli nawet to wszystko prawda, każdy może się mylić, to trzeba ujrzyć i to, co zmieniło się u nich na lepsze. Nigdy jeszcze tak tutaj nie wyglądało. Nigdy plany na przyszłość nie były tak śmiałe, ludzie nie rwali się do roboty z podobnym zapałem. A w ogóle jeśli aż tak źle jakoby tutaj się działo, to czemuż towarzysze zjawili się dopiero tak późno zamiast wcześniej doradzić, pomóc, sprostować. Najłatwiej jest krytykować i karać...

Gdy po tym brzemennym ostatnim zebraniu partyjnym Pacuk wracał do domu, zetknął się z jeszcze jednym ciosem. Wielu znalazło się takich, którzy go w ogóle nie chcieli poznawać, przechodzili demonstracyjnie na drugą stronę ulicy, kilku znów zdobyło się na ironiczny uśmiezek. I tylko jeden łobuz, który po cichu handlował bydłem, żył z nielegalnego uboju, a sprytny był i tak obznajmiony z poprzednimi władzami, że nigdy nie można było złapać go na gorącym uczynku, tylko on jeden podszedł do Pacuka, przywitał się z nim serdecznie, ubolewać począł, co to znowu się dzieje, że towarzysza sekretarza aż taka krzywda spotyka... Pacuk splunął mu tylko za tę litość pod nogi. Jakże, właśnie tego łobuza kazał dwa razy uraczyć noclegiem w areszcie, było przecież nieomal pewne, że on zaopiekował się skradzionymi z dobytku rozwiązanej spółdzielni krowami.

Mówił nieskładnie, z przerwami. Ściszone zdania raz płynęły mu gładko, prosto określając sprawę, kiedy indziej słowa rwały się albo wybuchały gwałtownie wyrzuconymi okrzykami. Wiktor próbował z tego wszystkiego układać wyrazistsze odbicie wydarzeń gorących tygodni na małej stacyjce. Dobiegały przecież do niego okruciami inne relacje, chyba wyolbrzymione w świetle ojcowskiej spowiedzi. Była w relacji starego jakaś

bezradność, podświadome wyczucie pewnej racji w stawianych mu zarzutach, ale i zażarta obrona swojego stanowiska, własnych poczynań. Chciał dobrze, przez lata był odsuwany. Jedno pozostawało dla niego niezmienną wartością, ów strzępek czerwonego materiału w klapie taniego ubrania. Zbyt wielką miarę przydał stary robociarz przypadkowo przez los narzuconej mu roli. Chcąc najlepiej, zrobił niejedno głupstwo, może się nawet ośmieszył, załamał pod ciężarem zadań przekraczających możliwości, wiedzę, rutynę. Przegrał, musiał przegrać zaraz z samego początku. Ale tej klęski swojej nigdy już chyba nie pojmie, szczegóły najwyżej dotrą do niego, resztę zapisze na konto nowej swej krzywdy.

- No i co, Wiktor, jakże to widzisz? Zatrzymali znów wszystko w miejscu. Żebyś zobaczył jak nie pielęgnowane przez nikogo, a susza była i ciepło, usychały niedawno sadzone drzewka. Jak później deszcze rozmyły nie dokończoną drogę. Jak w piecach palono obrzynkami nadającymi się na ogrodzenie... Paru łobuzów, których wywaliliśmy z partii, śmieje się teraz, pokpiwa ze mnie i z paru innych. Pewni są, że przyjmą ich z powrotem, kto bowiem oprócz nas wie, jak nic prawdy w nich nie ma, samo załganie. I tylko ten spekulant do bydła żali się nade mną rękę wyciąga... Nie chciałem się poddać, pojechałem do powiatu, byłem w komitecie. Nikt mnie w życiu tak nie opieprzył, jak mi się oberwało od towarzyszy. Niewiele brakło, a wymawiać by zaczęli, że chciałem przywrócić kapitalizm. Drzwiami trzasnąłem, poszedłem.

Urwał, nawet w głosie jego odczuwało się wyraźne znużenie. Jeszcze się tylko tak nie po swojemu, zupełnie jak dziecko jakieś, poskarżył:

- Ja już coraz mniej rozumiem... Nic nie pojmuję. Może za prosty jestem, za głupi. Ucz się, Wiktor, niechaj ci to pomoże. Ale po mojemu to - miałem w niejednym rację. Znam ludzi, sprawy, wiem, co by inaczej się stało. W spółdzielni jeszcze by więcej rozkradli. Rządy objęliby tacy, którzy nie tylko że posadziliby kogoś na parę godzin, ale życie by mu obrzydźli na zawsze. Powiat, komitet, oni tak mało wiedzą, mało interesowali się naszą stacją, dopiero jak Pacuk zechciał coś nowego zrobić, porwali się z krzykiem, od razu się znaleźli na miejscu... Naprawdę niewiele z tego wszystkiego rozumiem. To co się właściwie stało w Warszawie? Powiedz, ty może wiesz?

Wiktor serdecznie pożałował w tej chwili, że nie ma z nimi razem Majchrzaka. Stary majster murarski dużo by mógł powiedzieć, może wyjaśnić. Przewidywał od paru lat, bąkał przeciw a zmianie, która nadejdzie, musi nadejść, mówił to jeszcze wtedy, gdy Wiktora nie przyjęto do partii. Jeden Majchrzak wtedy go bronił, doczekał się wreszcie swojego. Też działa, ale inaczej niż ojciec, są do siebie przeciw podobni, jednemu i drugiemu brakuje szkół, wiedzy. Ojciec ukazał to od razu z chwilą wypłynięcia na szersze wody. Majchrzak nie

załamuje się, nie wpada w przesadę, potrafi zachować właściwą miarę. Dlaczego?

Cóż może powiedzieć zgnębionemu, staremu człowiekowi? Że chociaż to wszystko, co robił, na swój sposób było szlachetne i piękne, zarazem było też jakieś dziecinne, zupełnie jakby mały chłopak zaczął bawić się w rewolucję.

- Ojciec pyta, co się właściwie stało w Warszawie. To chyba stało się już dawniej, narastało od chwili śmierci Stalina, wymagało jedynie czasu, by dojrzeć, odbić się na całym polskim życiu.

- Prawda, ty też niewiele wiesz,. Wiktor. Zapomniałem, że w ten czas Inga rodziła, chora była, siedziałeś przy niej w szpitalu... Tak sobie myślę, że już nie nadaję się do niczego...

Uderzyły go ojcowskie słowa swoją trafnością. Harował dniami i nocami, zamartwiał się, jak przez mgłę dochodziło do niego to wszystko, co działo się w Słupsku. Jeszcze ciemniejszy docierał obraz wydarzeń w Warszawie. A gdyby było inaczej, gdyby sprawy domu, rodziny nie pochłaniały go aż w tym stopniu? Dziś ocenia postawę ojca, widzi naiwność, błędy, choć nie przekreśla dobrej woli. Ale on sam jak by reagował na wszystko, co się wokoło dzieje? Czy w nim poczucie dawnej krzywdy nie odezwałoby się równie silnie, pchając do nierozważnych czynów? Czy okresu przemiany nie zechciałby wygrać także dla siebie? Czy zdołałby zachować umiar, rozsądek, czy nie stałby się jednym z tych szaleńców, którzy nie zdawali sobie sprawy, czym, ich nierozważne działanie mogło grozić. Kto wie, jak postępowalby w Słupsku, co dopiero, gdyby się znalazł w Warszawie?... Łatwo kogoś oceniać wtedy, gdy samemu nie przeżyło się drogi własnych doświadczeń, gdy nie ma się swojej miary. Tyle czasu wycofywano go za nawias, odrzucano, gdy chciał się znowu wdrzeć do środka, aż w końcu zgodził się na pozycję obserwatora. Wygrał na niej czy przegrał?

Podniósł się z krzesła przy stole, podszedł do ojca, przysiadł przy nim na łóżku, ogarnął ramieniem. Nie pamiętał czy zdarzyła „się już kiedyś podobna scena pomiędzy nimi, ojciec nie lubił okazywać czułości, on przejął to po nim. Ale teraz uczucie jedności stawało się obu potrzebne.

Przytuleni, każdy bijący się ze swoimi myślami, nie czuli czasu, przesuwanego ostatnie godziny nocy ku jasnemu brzaskowi.

XII

Wracał z Poznania z poczuciem triumfu, ale i zaskoczenia. Stojąc na korytarzu przy uchylonym oknie wagonu, wystawiając głowę dla orzeźwienia pod mocny pęd powietrza,

pierwszy raz od dawna, od bardzo już dawna przeżywał uczucie nawrotu wiary we własne siły. Pomimo zwariowanego tempa, jakie przydał ostatnio swojemu życiu, jednak podolał. Nie stracił roku, nie załamał się, a tak bliski już był rezygnacji ze studiów. Zdał wszystkie egzaminy, mógł wreszcie pozwolić sobie na swobodniejszy oddech...

Majowa noc za oknem stała rześka wiosennym chłodem parującej jeszcze wciąż po ciepłym dniu ziemi. Pociąg nabierał szybkości, przebiegały przed oknem słupy telegraficzne, białawe w świetle blasków padających z przedziałów, przesuwały się budyneczki drobnych stacyjek, na których pociąg - nie stawał. Przypominała się wtedy Wiktorowi stacja ojcowska, większa trochę, ale podobna klimatem senności, spokoju i ciszy. Może dlatego właśnie ojciec szybciej, niżli można się było spodziewać, odzyskiwał znów równowagę, wrócił do dawnej zapobiegliwej krzątaniny i tylko niekiedy można w nim było wyczuć smutek dawnych doświadczeń.

Opowiadał kiedyś Paweł, jak boleśnie, nieomal z płaczem żegnał umykający za rozwartymi drzwiami towarowego wagonu rodzinny krajobraz, ostatnią więź z jego Mejsutami, z pamięcią dobrego i złego, co się uprzednio przeżyło, ale co zawsze miało swojski, jedyny charakter. Trudna musiała być dla Pawła ta repatriancka wędrówka w nieznane, strasząca obcością, przez to chwilami aż wrogie. On sam inną drogą trafiał do Polski, inne przeżywał wzruszenia, ominęły go odczucia tamtych pożegnań.

Znów jadą teraz od wschodu repatrianckie transporty, opóźnione z własnej i nie własnej woli czajki wracają do kraju. Czy także jak tamci, przed dwunastu laty, wiozą bagaże konfliktów, rozterek, często załamań, czy też wędrówka rozgrywa się na innym zupełnie psychicznym podłożu?

Wzruszył ramionami. Któż może to wiedzieć, kto bezstronnie potrafiłby porównywać? Dwanaście lat, spory szmat czasu, jeśli go obliczać jedną miarą, drobnostka zaledwie, gdyby przykładać inną. Jeszcze tak, zdaje się, niedawno rozdzielało się w Słupsku repatriantów od centralniaków, izabużan od imigrantów. Teraz tamte podziały niemal zanikły, odnoszą się co najwyżej do nawrotów naglej tęsknoty.

Zapalił papierosa. Pęd powietrza wpychał dyni z powrotem do wnętrza wagonu. Któryś raz natrętnie wróciło pytanie, czy słusznie uczynił dając odmowną odpowiedź na serdeczną propozycję Jagustyniaka. Stwarzała szansę szybszego skoku, poprawy warunków, ułatwień w nauce. Może zbyt mało się zastanowił, uniósł się jakąś wydumaną ambicją, lichowicie co. A gdyby się cofnąć. Ma adres Jagustyniaka, powiedział mu przecież, że zostawia furtkę otwartą. A gdyby?

Jagustyniak. Edzio, jak go nazywano powszechnie. Właściwie mało zmieniony od

tamtych bieszczadzkich czasów. Tyle że jeszcze bardziej utył, z trudem już kałdun nosi przed sobą. Plutonowy był rygorysta, że się go początkowo bała wiara jak ogień, ale lęk ten ustawał z chwilą bliższego poznania. Zawsze miał tyle humoru, w najcięższych chwilach. Wtedy nawet, gdy jedni odmawiali po cichu zdrowaśki, inni zaś z ponurą zaciętością oczekiwali na pewną śmierć, on właśnie, gruby Edzio, zawsze potrafił powiedzieć coś dowcipnego, rozśmieszyć, dodać otuchy! Miał cholerne szczęście, ale szczęście mieli przy nim jego ludzie. Rzadko który pluton dokonywał równie zwariowanych akcji z tak minimalnymi stratami. Babiarez, wesołek. Taki i został.

Wszystkiego Wiktor prędzej mógł oczekiwać niż tego spotkania. Mając sporo czasu do najbliższego pociągu wałęsał się po ulicach Poznania, wygapiąc się na wystawy sklepowe, przy swym dobrym nastroju nie pomijając też spojrzeniem, co zgrabniejszych dziewczęcych figur, jakie zakwitły na ulicach wraz z majem. Na Placu Wolności zatrzymał się przed witryną księgarni, przyjrzał się książkom, a potem swemu odbiciu w szybie. Sięgając po grzebień, usiłował nadać jakiś ład zmierzwionej przez wiatr czuprynie. W tym momencie klepnął go ktoś w ramię. Obrócił się, rozgniewany, grzebyk wypadł mu z ręki, odbił się od chodnika i spoczął za krawężnikiem.

- Witek, psi synu! Patrzą, jaki to elegant mizdrzy się przed szybą, oczom nie wierzę. Żyjesz, byku, nie pochłonięła cię żadna sakramencka cholera?

- Jagustyniak? Edzio?

- A Edzio, żebyś wiedział. Pan Edzio, inaczej z takim brzuchem mi nie wypada. Masz czas? Bo ja piekielnie się śpieszę, chyba że tylko na jednej nodze po kielichu i dalej w drogę...

Zaciągnął go do jakiejś knajpy, zasypywał słowami. Śmiał się z wyraźnym rozbawieniem. Wiktor ledwie zdołał wtrącić czasem jedno czy drugie słowo. Co robi w Poznaniu? Czym się w Słupsku zajmuje? Jak mu się wiedzie?

Jagustyniak słuchał z zaciekawieniem, znów mu nie dał dokończyć, uderzył dłonią o stół, aż zadźwięczały szklanki.

- Dobra jest. Widzisz, następną ćwiartkę będziemy mogli wypić przy drugiej okazji... - Mimo to kiwał już na kelnera. - A ja takich właśnie szukam jak ty, swoich chłopaków. Zabieram cię do Poznania, jakoś się wszystko urządzi, najgorzej z mieszkaniem, ale zawsze będzie można i nad tym pokombinować... Czemu, się tak gapisz, jakbyś nagle banderowca zobaczył? Jasno mówię, no nie? Ale z ciebie to ciemna masa!... Więc tak jest, że mnie po październiku ni stąd, ni zowąd, pewnie dla pohamowania mej wesołości, zrobili dyrektorem takiej mordowni, co się nazywa Zjednoczeniem Budownictwa Przemysłowego. Bałagan tam, ludzi niewielu, trzeba dopiero rzecz monitować, a tu roboty jak nigdy. Powariowali teraz ze

wszystkim, wszędzie coś nowego, tu rozbudowa, tam tworzenie jakiegoś nowego zakładu, wszystko, rzecz jasna, na wczoraj. Jeszcze trochę, wyłysięję do reszty. - Przechylił głowę. Rzeczywiście, na środku rysowała się wcale zgrabna tonsurka. - Jak zakonnik, no nie? Płaca dobra, będą i dodatkowe robótki do domu, odżyjesz. Co ty masz się marnować na takim słupskim zadupiu? Na samych targach lepiej tu wyjdiesz, halę jaką zmontujesz na akord, zarobisz, ludzi poznasz. Jak co, to i rozkręcić się tutaj można, jest parę knajp, dziewczuch bez liku. Kanada prawdziwa. To jak? Za dwa tygodnie zjedziesz już do nas? Pomogę ci załatwić, jeżeli chcesz, szybciej uzyskasz zwolnienie. My mamy bowiem, tak się to mądrze nazywa, priorytet, byle kto nie może się nam okoniem stawiać.

Spadło to na Wiktora jak grom. Jeszcze półprzytomny z emocji i wrażeń egzaminacyjnych dostał się pod magiel słów i propozycji dawnego plutonowego, również technika budowlanego, nic więcej, tyle że zdolnościami organizacyjnymi zasłużył sobie na dobrą markę. Do Poznania na stałe! W swoim fachu, bliżej politechniki, z szansą lepszych zarobków, możliwszego życia. Nawet z perspektywami mieszkania; na tymczasem obiecywał Edzio dwa pokoiki w jakiejś tam gospodzie targowej...

A jednak odmówił. Tamten był z lekka urażony, choć zaraz przestał się tym przejmować.

Teraz wracało natrętne pytanie, jaki sens miała ta odmowa Słupsk nie może się równać z Poznaniem. Wielkie miasto, inny tryb życia, większe szansę dalszego startu. Inga chyba by się zgodziła, sama perspektywa zamieszkania w niemal półmilionowym mieście pociągnęłyby ją z pewnością.

Noc rzędła, przedzierały się przez mą pierwsze pasemka brzasku, niepostrzeżenie przeradzały się w świt, zmieniały w dzień. Cienie słały się długimi pasmami. Rosa połyskiwała na wysokiej runi i na trawie przy szlaku torów. Parowóz gwizdał, zbliżali się już do Słupska. Wychylił głowę za okno, przymknął oczy pod uderzeniem masy powietrza. Pociąg brał teraz łagodne zakole, przed oczyma Wiktora otwierała się panorama miasta. Tutaj wieża gotyckiego ratusza, obok ostra iglica pomnika Armii Radzieckiej, dalej znów zabytkowy kościół Mariacki, ruiny zaimku z wieloboczną wieżą kościoła Dominikanów, wokoło mrowie domów. Nie taki znów mały ten Słupsk. Pewnie, nie równać się mu z Poznaniem, ale jest jakiś bliższy, bardziej znajomy...

Peron. Gęsty tłum wysypał się otworami drzwi wagonowych, spływał do tunelu, gramolił się znowu w górę, parł potem rozdzielającymi się sznurami ku wnętrzu miasta. Jednym takim sznurem ciągnął Wiktor, uszczknął po drodze gałązkę bzu rozrosłego krzewu, wdychał świeży, mocny zapach, uśmiechnął się do dziewczyny, która przyglądała mu się

przez chwilę z ciekawością. Posłał jej ręką buziaka, spieszyła się. Miasto już ożyło po śnie, turkotały furgony rozwożące towar, pierwsi pracownicy szli do roboty, kobiety w byle jak narzuconym ubraniu pędziły po mleko i pieczywo. Dokoła drzewa, coraz to linie parków, w porannych promieniach weselsze tynki secesyjnych kamienic, pomiędzy nimi gdzieniegdzie nowe budynki. Mała dziewczynka z bukietami fiołków.. Zatrzymał się, kupił kilka pączków, zaniesie je Indze. Autobusy przewalały się ze zgrzytem, dudniły ciężarowe auta. Nie wiedzieć skąd wyrastali ludzie, szli jacyś pogodni, podstawiali twarze pod promienie słoneczne.

Dopiero teraz stała się jasna jego poznańska decyzja. Poznań jest mu obcy; nowe, nieznane miasto, z - którym nic go dotąd nie łączy. Co innego Słupsk, mały czy duży, nieważne, ale jakiś swój, bardzo serdecznie bliski. Tu spacerował z Haliną w czasie ich zwariowanych dni, tu przeżywał swoje upadki i klęski, tu go aresztowano, na tutejsze ulice powracał z więzienia. Tłukli go na tych ulicach, ale i on także tłukł. Uganiał tu z kolegami, przystawiał się do dziewcząt, kontemlował smak piwa przy ulicznych, kioskach, miał przyjaciół, znajomych. W tym mieście zaczynał od najmarniejszej roboty, tutaj z mozołem pchał się przez technikum. Agnieszka i Joasia w Słupsku przyszły na świat. Jakżeby się z tym wszystkim rozstawać z dobrowoli, jechać w nowe, nieznane strony? Że tam lepiej? Słupsk też nie będzie gorszy już, się wiele ruszyło, będzie na pewno lepiej. Jest uchwała rządu o rozbudowie ziem odzyskanych, inżynier z budowlanki bąkał niedawno o projekcie kina panoramicznego, czekającym tylko na zatwierdzenie, planuje się nowe fabryki, ruszy budowa domów mieszkalnych. Skończy się dawna martwota, pogoń za fuszerkami, rozbiórki domów na cegłę dla stolicy. Stolica poradzi sobie i bez tej niszczycielskiej pomocy, a oni zbudują Słupsk jeszcze piękniejszy, jeszcze miłszy i bliższy.

Aż przystanął, by odetchnąć z ogromną ulgą. Całą noc robił sobie wyrzuty, że odrzucił propozycję Jagustyniaka. Ale teraz po stokroć by ją odrzucił. Ma ojciec swoją stacyjkę, ma on, Wiktor, swój Słupsk. Kto to kiedyś mówił, że trzeba coś kochać, czuć się z czymś związanym na stałe, nie można tkwić w próżni? Tu chyba, w tych słowach mieści się także odpowiedź na pytanie, czemu nie ma już repatriantów czy centralniaków, czy jeszcze innych. Są mieszkańcy tej ziemi.

Stał na skraju Starego Rynku, biegiem swych myśli zatrzymany nagle w drodze do domu. Jakby dopiero teraz odczuł zmęczenie po doznanych emocjach, po nużącej podróży, przysiadł na ławeczce obok trawnika, powstałego na miejscu dawnych gruzowisk. Pomyślał jeszcze, że i ten Rynek, straszący dotąd pustymi oczodołami okien, wypełnią niedługo nowe budynki. Teraz, gdy inny duch ożył wśród ludzi...

Jak wiele zmieniło się również w jego życiu? Rzecz nie w rodzinie, nie w ponownym porozumieniu z Ingą, w przybyciu na świat drugiego maleństwa, prześmiesznej Joasi, nawet nie w zrezygnowanym uspokojeniu ojca. Okres gorączki październikowej przeminął jak gdyby obok niego, nie pociągając go za sobą w główny nurt powszechnego podniecenia. Mimo żalu, że utracił wiele przez niemożność zaangażowanego uczestnictwa w tym akcie polskich losów, pojmował, że przejęcie się wtedy walką o życie Ingi i dziecka zezwala mu patrzeć na niedawne wydarzenia z jakiegoś dystansu. Ta rola widza, zaciekawionego przechodnia wpływała na ochłodzenie jego uczuć w stosunku do ciągle jeszcze wyczuwalnego wokoło, choć przygasającego już entuzjazmu rodem z minionej jesieni. Dla jednych wydarzenia poszły nazbyt daleko, określali to jako cofnięcie, inni znów twierdzili z zawodem, że proces został zahamowany nieledwie w swoich zaczątkach. Większość jednak, mniej lub bardziej świadomie, nadal przy każdej okazji podejmowała triumfalne, pełne nadziei „Sto lat”.

W takim nastroju minęły styczniowe wybory. Mniej na nazwiskach przyszłych przedstawicieli, ale głównie na żmudnie przygotowywanych programach wyborczych skupiało się powszechne zainteresowanie, powstawały spory, rysowały się różnice zdań, nakładały na siebie odmienne, ale jednakowo entuzjastyczne i pełne wiary w ich sprawdzalność wizje przyszłości miasta, regionu, kraju. Słupsk wyrastał w tych wizjach, piękniał, stawał się jeszcze bardziej bliski, serdecznie swojski.

Cóż z tego, że programowi na pewno można było zarzucić rozbrat z realnymi możliwościami. Ta wizja była ludziom potrzebna. Na którymś z zebrań wyborczych - Wiktor trafił na nie właściwie przypadkiem - gdy jakiś bardziej trzeźwy kandydat na posła usiłował hamować lawinę najbardziej kategorycznych postulatów, spotkał się z oburzeniem zebranych. Jakiś niewielki mężczyzna o wylupiastych oczach zerwał się z miejsca obok Wiktora, z pasją zarzucając przedmówcy minimalizm.

- Nie obawiamy się naszych zamierzeń, nareszcie chcemy odważnie powiedzieć, czego pragniemy. Czy jest to możliwe do osiągnięcia? Panowie! - Szerokim gestem dłoni, ruchem całego tułowia zwracał się do wszystkich zebranych. Panowie, ja dopiero przed pięciu laty wróciłem z Anglii, pół roku musiałem się potem tłumaczyć, dlaczego kocham Polskę i do niej wracam. Drażniła mnie i bolała szarzyzna naszego życia. Ale jeden fakt dodawał mi wtedy otuchy. Pamiętam, pisały gęsto pisma angielskie, wtórując tym Niemcom Zachodnim, że pełne, prawdziwe przejęcie naszych ziem odzyskanych to kwestia stu albo i więcej lat... Tymczasem mimo trudności dokonaliśmy pracy pokoleń w kilkanaście lat. Więc cóż równać nasz skromny plan w odniesieniu do Słupska z tamtym ogromnym zadaniem? Mierz siły na

zamiary, kandydacie szanowny, a nie odwrotnie...

Niefortunny psycholog z listy kandydatów, na posłów próżno się próbował tłumaczyć, wyjaśniać, przyklaskiwać w końcu gorąco życzeniom słupszczan. Nie słuchano go, w paru kątach rozległy się gwizdy, niesławnie zszedł z trybuny.

Wiktor wyszedł wtedy z zebrania przedwyborczego w nastroju odmiennym niż większość obecnych. Skłonny był przyznać rację rozsądnym wywodom kandydata, choć również unosił się słuchając słów obok siedzącego nauczyciela. W słowach jednego i drugiego było tak dużo prawdy. Po czyjej więc stronie racja? Bo chyba nie w kompromisie, kompromisy to mają do siebie, że gaszą wszelką wolę działania. Często rozmawiali teraz ma budowie z Majchrzakiem. Wiktor wspominał majstrowi o tym zebraniu, Majchrzak odniósł się do sprawy spokojnie.

Ten cały amator na posła nie miał racji. Nie chodzi o słuszność tego, co mówił. Na pewno w jednym dniu nie przemieni się Słupsk i Polska w kraj szczęśliwości. Nie o same gospodarcze sprawy tu chodzi. On po prostu nie umie rozmawiać z ludźmi oderwany jest od nich. Te błędy, poprzednie wypaczenia, jak się to pisze w gazetach, myślisz z czego się brały? Ze złej woli może tylko - w jakichś wyjątkowych wypadkach. Z oderwania od społeczeństwa, z nieznajomości spraw, które w nim nurtują. W polityce wcześniej czy później oznacza to klęskę, musi nastąpić jakaś generalna kłapa. Ja jestem prosty facet, niewiele się uczyłem, ale w partii siedzę od lat, przechodziłem z nią dobre i złe, także i to najgorsze... I wiem, że jak się gdzieś drogi góry i mas rozejdą, to następuje katastrofa, przychodzi konieczność zmiany. Wracając do tego zebrania, nie można stawiać przeciw ludzkim pragnieniom. Myślisz, na sali byli sami głupcy nie rozumiejący, że z dziś na jutro wszystkiego się nie zrobi? Ale każdy chce marzyć, nie wolno pozbawiać prawa do marzeń. Program wyborczy nie mówi, co ma być zrobione jutro, a co za rok, ważne, że stwierdza, jaką drogą musi się iść. Ludzie dziś cieszą się, rwą się do roboty, jak rwali się tylko na samym początku, zaraz po wojnie. Więc po co to gasić? Powoli wyszumiają się wszystkie głowy, zwycięży rozum, ważne tylko, aby ocalić ten zapal tę nową wiarę, że otwiera się przed nami wielka, jedyna szansa, jakiej nic innego dać im nie może. Rozumiesz, Wiktor? Nigdy nie iść na przekór ludziom, a już nigdy nie iść z klasą robotniczą na udry. Zawsze się przegra.

Zdobył się wtedy na odwagę, zapytał wprost:

- Majchrzak, powiedz, ty tak całym sercem wierzysz w socjalizm, mimo wszystko, co było?

- Wierzę. Inaczej dawno bym z partii odszedł... Wierzę mimo wszystko, co było, mimo tych przejść w partii jeszcze przed wojną, długo przed rozwiązaniem, a i wtedy, w

trzydziestym ósmym roku. Mimo wszystko, co objawił Dwudziesty Zjazd. A może właśnie i dzięki temu, że mogło to zostać ujawnione. Musiało tak być... Jak, Wiktor, z twoim wnioskiem, składasz, nie składasz? Pytani, namawiać cię nie chcę.

- Chyba niedługo złożę... - Nie chciał wiązać się odpowiedzią.

Zwlekał świadomie, rad był, gdy Majchrzak przestał go nagabywać. Chciał znów odnaleźć siebie w chaosie, jaki się w nim zagnieździł. Bał się powszechnego entuzjazmu wokoło, nauczka ojcowska mocno musiała na tym zaważyć, choć nie od razu z samego faktu zdał sobie sprawę. Jak długo wszakże można być zawieszonym w powietrzu? Innym czynił z tego wyrzuty, może wyładowując w ten sposób niechęć do własnego niezdecydowania. Tym bardziej nagliła potrzeba decyzji. Zaczęły się pomyślniej układać prywatne sprawy, roz pogodziło się w domu, zaginał niepokój o trwałość uczuć jego i Ingi, były Agnieszka i Joasia, jaki taki dobrobyt, spokój w miejscu pracy. Był zatem czas na myślenie...

Zerwał się z ławki. Szedł szybko, zbiegał niemal ku wąskiej swojej uliczce, wciąż zerkając na słońce, które zdołało już wznieść się wysoko. Tyle czasu przesiedział na ławce, ani świadomy mijania „długich kwadransów. Zamiast śpieszyć do żony, do dzieci...

Może jednak się opłaciło, może to był właśnie ten najodpowiedniejszy czas do zastanowienia, co dalej robić należy ze sobą.

XIII

Dopiero wtedy, następnego dnia po powrocie z Poznania, zdobył się na stanowczość. Oświadczył Indze, że przenosi się z nauką do kuchni, urządzi tam sobie miejsce do pracy, sam ostatecznie straci na tym najwięcej, ale babcia „musi mieć inne warunki życia. Wzruszyła ramionami. Jak sobie chce, mniej będzie stękania w domu, trudno już w kuchni wytrzymać, ciągle te jęki i jęki... Gorzej było z babcią, broniła się, jak mogła, oponowała, zaklinała. Uśmiechał się tylko, już postanowił. Nigdy by sobie nie mógł darować, gdyby zezwolił jej dogorywać w ciemnej wnęce kuchennej. Jakby wyczuł, że tym razem choroba zmoże jednak sterany organizm. Zmarła, ledwie minęły dwa miesiące od tej przeprowadzki. Te dwa miesiące na trwałe utkwily w pamięci Wiktora...

Z nagłą zległa któregoś dnia, ostrymi nawrotami odezwały się wszystkie poprzednie bóle, dołączyły się nowe dolegliwości. Potem minęły, ale pozostało osłabienie nie zezwalające jej na wstawanie z łóżka. Leżała cicho, nie zważając nikomu, poszeptywała coś czasem, modliła się, przez całe godziny trwała w bezruchu, z przymkniętymi oczyma.

Wiktor opiekował się babcią. Jak nigdy wyczuwał teraz siłę łączących go z nią

powiązań. Przecież, od kiedy pamiętał, ona nadawała ład domowi ich rodziców, tutaj także ona ratowała z depresji ojca, niejedno i on sam zawdzięczał tej starej, zawsze schludnej, zawsze pamiętającej o innych, a nie o sobie kobiecie.

Wieczorami albo w południe, gdy Inga wychodziła z dziećmi na spacer, rozmawiali teraz często ze sobą. Wiktor zaczął łączyć do opowieści babcinych o dawnych latach, pociągały go jej sądy, spokojne, życzliwe ludziom, przepojone mądrością życiową prostych kobiet, które wiele przeżyły i wiele widziały. Że babcia umiała patrzeć, wiedział o tym, a teraz przekonywał się jeszcze raz. Jakże się starał kiedyś osłaniać przed nią starcia z Inga, trudny okres drugiej jej ciąży, własną gonitwę za groszem, wymówki i ciągle pretensje. Zdawało mu się, że czynił to skutecznie, aż oto oświadczyła mu ze swoim ciepłym uśmiechem:

- Młodzi muszą się dotrzeć jak nowe sprężyny w zegarku, aż gładziutko zaczną przylegać do siebie. I wy to macie za sobą, tamten czas już nie wróci... Chyba że zdarzyłoby się coś innego, ale tu nie odgadniesz, co nowego życie ci z nagłą przyniesie...

- Myślisz o czymś babciu? - zaniepokoił się.

- Nie. Sądzę, że między wami już dobrze. A - tamto powiedziałam tak sobie, dla zwyczajnej przestrogi.

Największe jej zmartwienie stanowiło to, że od pół roku zmuszona była zaniechać swoich wędrówek do kościoła. Spróbowała raz jeszcze, omal nie skończyło się to katastrofą.

Wspominała często słupski cmentarz za kościołem Świętego. Piotra. Po trosze przypominał jej wileńską Rosę. Od wzgórza kościelnego wzrok ogarniał szeroki teren, gęsto usiany drzewami i najróżnorodniejszymi krzewami, pośród których biegły starannie utrzymane alejki. Sporą część cmentarza zajmowały groby żołnierzy radzieckich, niemal tuż obok grobów powstańców warszawskich, przywiezionych tutaj i rozstrzelanych przez Niemców. Wiktorowi sąsiedztwo to kojarzyło się zawsze z obrazem jakiegoś pośmiertnego braterstwa broni.

- No widzisz, naprawdę tam jest ładnie. Ładniej nawet niż na stacji Piotra, tyle że może tam suchszy, żółtszy piaseczek. A i tu reumatyzm już nie będzie dokuczał... Bo to wiesz... - z tajemniczą miną sięgnęła do woreczka z niebieskiego pluszu, starej pamiątki, w której przechowywała swoje drogocności. Zaszeleścił papier. - Przed dwoma laty kupiłam sobie miejsce przy górcie, widok stamtąd na cały cmentarz. Teraz pewnie nie znajdzie się już takiego miejsca.

Uśmiechała się po swojemu, gdy oponował, że jeszcze czas na śmierć, babcia długo z nimi pożyje, doczeka chwili, aż prawnuczki podrosną. Lekarz wszak mówi, że wychodzi się z

takich rzeczy, nie przepisywałby inaczej lekarstw ani zastrzyków.

Jakby sprawdzać się zaczęły jego słowa. Piękna pogoda tego lata, długie słoneczne okresy wpłynęły na poprawę samopoczucia staruszki. Znow zaczęła się krzątać po domu, uważna na wszystko, wnosząca atmosferę mądrego spokoju. Z kapryśną Agnieszką ona tylko umiała poradzić, sobie znanymi sposobami. Mała garnęła się do babci, stale przesiadując w jej pokoju ku uldze Ingi. Wyglądało na to, że sama babcia nie pamięta już dawnych swych obaw.

Nagle w połowie sierpnia babcia zasłabła. Ingi właśnie nie było w domu, starowina ledwie się dowlokła do łóżka. Lekarz stwierdził zapalenie płuc łącznie z budzącym obawy osłabieniem serca. Gorączka spadała, to znow wzrastała. Wtedy babcia zaczynała majaczyć. Wiktor długo nasłuchiwał wyrzucanych przez chorą słów, całych opowieści, rozmów z dawno nieżyjącymi już osobami, z własną jego matką zgasłą na przedprożu wolności, z Cześkiem, jeszcze z innymi. Wspominała Klarę, pozostającą w Wilnie, wołała ją, potem śpieszyła gdzieś tamtymi ulicami do ulubionych kościołów, śmiała się, wzywała jakieś dzieci. Zaskoczyło go wtedy, jak w tej kobiecie wszystko było właściwie przeszłością, jeżeli zaś wiązało się z dniem dzisiejszym, to tylko poprzez nich, najbliższych jej tutaj. Nie pamiętał, aby wspomniała w chorobie choć raz o Słupsku, o stacyjce syna, na której przeżyła przecież tyle niełatwych, pierwszych po wojnie lat. Ciągle tamte jedynie strony: Kalwaria, Ponary, jeszcze inne miejscowości najbliższe Wilnu, a potem Porubanek i Antokol, i Zakręt, i z kolei ulice, wiele ulic, przy każdej coś się działo, coś utkwilo na zawsze w jej pamięci. Opowiadała sobie czy może komuś te wydarzenia, przebywała w tamtym czasie, wśród tamtych ulic, domów i zapelniających je ludzi. Aż dziw, jak, gadatliwa się stała; zawsze tak powściągliwa, teraz zalewała pokój tysiącem słów postaci i pomieszanych, błahych i ważkich wydarzeń.

Słuchał z zaciekawieniem i wzruszeniem, próbował rozeznawać się w tamtych wspominkach. Chora mówiła często o sprawach czy ludziach nie znanych mu najzupełniej; musiały to być dni jeszcze sprzed jego przyjścia na świat. Odnawiała się i w nim pamięć tamtej wileńskiej przeszłości, ale jakaś spokojna, bez żalu i bez boleści, jak coś, co nie zostaje niczym więcej jak tęskną nutką, czymś z dziecięcych rojeń, z pierwszych chłopięcych zachłyśnieć. Chodził wraz z babką po tamtych ulicach, po ciasnych zaułkach, zaglądał do parków, drapał się na Górę Zamkową czy obok leżącą Trzykrzyską. Z zaciekawieniem, z przejęciem, ale bez silniejszego emocjonalnego przeżycia.

Przystawał, najczęściej wsparty o framugę drzwi jej pokoju, spoglądał na chorą, nasłuchując dziwnych słów, przerywanych niespokojnym oddechem. Zamyślał się często, pograżał we własnych refleksjach tak dalece, że zapominał o obecności chorej, o jej majakach

i serdecznych wspominkach. Tym bardziej zaskoczyło go pewnego wieczora innym zupełnie, normalnym już tonem wypowiedziane wezwanie:

- Wiktorku, podejdź do minie bliżej...

Spojrzał, nagle przywrócony prawdzie chwili. Babcia spoglądała na niego szeroko rozwartymi, roziskrzonymi teraz oczyma. Spojrzenie jej było zupełnie przytomne, nawet na zmęczonych ustach błąkał się uśmiech. Przybliżył się.

- W kuferku pod łóżkiem są dwie gromnice, zawinięte w płócienko. Z Wilna tutaj je wiozłam, w katedrze były poświęcane.. A z boku będzie woreczek, z atlasu, tam znajdziesz trochę rubli, tych z Mikołajem. Na pochówek je miałam, żeby nie robić sobą kłopotu...

- Babciu, co babcia...

- Czekaj, Wiktorku, mnie trudno mówić... W tym samym woreczku jest taki obrazeczek za szkłem, z Matką Ostrobramską. Jak mi krzyżyk postawisz, żeby do niego przybić. Chcę, żeby zawsze pozostawała ze mną. I obrazek włożysz mi w rękę, dobrze, Wiktorku?

- Dobrze, babciu, dobrze. Ale to niepotrzebne, babcia wyzdrowieje, na pewno...

Nie patrzyła na niego, zdawała się nie słyszeć. Spojrzenie obróciła ku ścianie, gdzie przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej paliła się mała lampka oliwna. W czasie choroby babci Wiktor sam pilnował, żeby ogienek nie wygasł. W półmroku pokoju od rubinu oprawy lampki spokojne, czerwone blaski padały na przydymiony, poczerniały obrazek.

Babcia miała przed sobą jeszcze kilka dni życia. Dogasające, tłukło się jednak uparcie. Lekarz rozkładał ręce, nie widział ratunku, dodawał, że należy tylko się cieszyć, iż śmierć nadchodzi łagodnie, bez męki. Nawet gorączka rzadziej atakowała, krótkimi nawrotami, - jakby tym sposobem prędzej pragnąc wyczerpać serce. Chora była przytomna, drzemała, chwilami rozmawiała najzupełniej świadomie. Rozmowy tej tyczyły zwykłych tylko, codziennych spraw. Zabrakło poprzednich majaczeń, nawrotów wspomnień, cieni dziesiątków ludzi spotykanych w życiu. Raz jeszcze tylko wzruszenie zdławiło Wiktora: wtedy gdy chora zaczęła przyzywać córkę. Głos miała już słaby, brzmiał żałośliwie, straszliwie smutno:

- Klara, Klara.

Następnego ranka staruszka już mię żyła. Wyglądała tak samo jak zawsze, spokojna, z cieniem uśmiechu na wargach. W splecionych dłoniach trzymała obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Wracając później z pogrzebu, zastanawiał się, jak ze starym pokoleniem odchodzą bezpowrotnie dawne konflikty, tęsknoty i nadzieje, jakies widzenie świata. Musiał coś takiego

przetrawiać w sobie i stary Piotr, bo wskazując na trzymającą go mocno za rękę, drepczącą obok Agnieszkę, powiedział:

- Tym łatwiej już będzie żyć, zostaną bez naszych bagaży...

Dzień sierpniowy był ciepły, ulice Słupska zatłoczone jak zawsze wózkami, dziećmi, przejętymi młodymi ich matkami. Sprzed któregoś domu odjeżdżał wóz meblowy.

- Ten stary Niemiec, nie Niemiec, bo w nim na połę polskie z niemieckim mieszane, też wyjeżdża. Syn go ściąga, jest gdzieś w Hamburgu; stary i cieszy się, i nierad temu, już się przyzwyczał do myśli, że tutaj doczeka końca... Pokój obok mojego się zwolni, żeby wcześniej, mógłbym o niego się starać, nie mielibyście z babcią kłopotu.

Wiktor spojrział na ojca z wyrzutem. Chciał zaprotestować, ale przypomniał sobie, że stosunek Ingi do starej kobiety nie zawsze był najwłaściwszy. Zmilczał więc, ostatecznie już było to nieważne.

Ojciec wyjechał następnego ranka, zaraz o Świcie, aby zdążyć na czas do pracy. Jakież było zdumienie Wiktora, gdy wieczorem zobaczył go w drzwiach. Stary Pacuk był wyraźnie przejęty, znać było to z jego twarzy. Zaniepokojonemu synowi wtłoczył w ręce zmiętoszony telegram nadany w Wilnie przed kilku dniami, opóźnił się czemuś w drodze. Tekst był króciutki, oznajmiał, że ciotka Klara przyjeżdża na stałe do Polski, podawał datę przyjazdu. Zdumiony i zaskoczony Wiktor aa trzepotał tylko rękami:

- Ciotka Klara... Babcia tak ją wzywała...

- Jakby czuła. Nie doczekała jednak. - Otrząsnął się z rozważań, związanych z pamięcią matki. - Jutro tu będzie. Nie mam jej gdzie przyjąć, ten mój Niemiec nie wyniósł się jeszcze, ich transport dopiero szykują. Klara! Gromu z jasnego nieba bym się spodziewał. Mówiła, że za nic nie wyjedzie z Wilna, tam doczeka końca. Musiała dom sprzedać, zostawić wszystko, wraca. Tak jak inni teraz wracają, pchają się ludzie do kraju, każdy chce być między swoimi... Mnie, głupiemu, zdawało się kiedyś, że wystarczy rodzinna ziemia. Nic ona bez ludzi, bez swoich. Klara złękła się widać tej samotności, jaka by ją otoczyła wokoło po odjeździe reszty znajomych.

Długo wydziwiał, trząśł głową. Wiktor rozumiał go, ojciec cieszył się i trapił zarazem nowymi, spadającymi, na niego kłopotami. Ciotka, Klara nigdy nie była łatwa w pożyciu. Samodzielna, harda, nadmiernie czasami pewna siebie, nie oglądała się na niczyje rady przy organizowaniu własnego życia. Przegrywała, ale w końcu umiała jakoś to swoje małe życie ułożyć. Gdy Pacuk zdecydował się na wyjazd z pierwszym ciągiem repatriacyjnym, ciotka się zbuntowała. Ona nie pojedzie. Tłumaczyła, że domek, ogródek, że grób męża, że co jej po obcych ziemiach, kiedy tylko tutaj się czuje na swojej. W pewnej chwili zezłościły ją własne

tłumaczenia, zagrała bratu na nosie, oznajmiając, że nikomu nic do niej, mogą sobie wszyscy wyjeżdżać, ona zostanie. A czemu: jej sprawa.

- Żebyś wiedział, jak mi dokuczała, gdy pojechałem z powrotem do Wilna. Przygarnęła mnie, karmiła, pomagała we wszystkich urzędowych kłopotach ale nie było dnia, żeby nie wetknęła szpilki pod serce. Kpiła, że byłem naiwny, myśląc, iż z sercem można wojować, a serce moje przecież w Wilnie, nie gdzie indziej. To znów, że ona miała rację, nie zdradziła swej ziemi, swojego miasta, została mu wierna na złe i dobre... Co jej miałem tłumaczyć? Że nie tylko tęsknica minie gnała z powrotem, że mi coś nie zgadzało się w Polsce z tą moją czerwoną kokardką; myślałem: łatwiej będzie tam, gdzie przypiąłem ją po raz pierwszy. Nic nie było łatwiej, może jeszcze trudniej. Jak i dziś trudno... Aż znowu wróciłem, a teraz doczekałem się Klary. Tyle że ja jej nie będę dokuczał ani wyśmiewał. Tak chyba musiało się stać. Może dobrze, będziemy znów razem, jeszcze gdy matka odeszła...

Przyjechała, Wiktor także wyruszył na jej spotkanie. Z niewielkim bagażem wyładowała się na stacyjce mało zmieniona, choć przecie nie widział ciotki blisko piętnaście lat.. Może nieco przytyła, pojawiły się siateczki zmarszczek pod tak samo jak kiedyś żywo biegającymi oczkami, jakby w wyrazie zgryzoty kąciki ust opadły ku dołowi. I to chyba ten zmieniony przez układ warg wyraz twarzy był w ciotce Klarze czymś nowym. Zahuczała na nich od razu ostro, rozdzieliła walizki, który jakąś ma nieść, wytknęła Pacukowi, że brudno na jego stacyjce, zazłorzeczyła, że w Polsce ludzie nieuprzejmi, ani im równać się z wileńskimi, gdzie wiedzą, jak uszanować starą kobietę. Nic z czułości, bratu ledwie pozwoliła musnąć się po policzku, zaraz go otarła wcale wymownie, Wiktor musiał zadowolić się jedynie cmoknięciem w rękę. W małej, biednej izdebce Pacuka rzuciła tylko dwa słowa:

- Dorobiłeś się.

Zaraz potem zwróciła się do Wiktora, zabłyśły jej oczy:

- A żonka gdzie? Niełaskawa przywitać ciotki? Dzieci kto inny mógł pilnować.

I znowu do brata:

- No i co? O nic nie pytasz? Nie dziwisz się?

- Bo widzisz, Klarcu...

- Nic nie widzę. Na łóżku siądę, odsapnę i potem będziemy wypakowywać manatki. Poszukasz jutro pokoju, muszę gdzieś mieszkać. Zostanę tutaj. Mnie wielkiego miasta teraz nie trzeba, ciągle bym wspominała Wilno, a że wspominków takich nic dobrego. Jak się już pożegnałam, to teraz tylko witać się z nowym... Żebyście potem nie pytali za wiele. Ciężko było. Od pogrzebu Józiuka pierwszy raz popłakałam się przed pójściem po kartę na wyjazd.

Całą noc moczyłam poduszkę, na zapas, żeby tu już więcej nie płakać. Dom kupił jakiś Kałmuk, może i dobry człowiek, ale zostanie mi w niedobrej pamięci. Ledwie mu nie machnęłam czerwonościami przez oczy, gdy śliniąc palce wykladał je na stół. Dużo było tych czerwoności, małe domy w wielkiej tam cenie. No więc popłakałam się, czerwonce przeliczyłam, po wódce z Kałmukiem wypiałam i jestem. Wiecie już wszystko?

Ojciec wreszcie ochłonął, śmiać tylko się zaczął, śmiechem zawtórował mu Wiktor. Zarzała także ciotka Klara, po czym obrzuciła ich szybkim spojrzeniem, uznała widać, że ceremoniał powitania i zwierzeń został skończony. Dopiero z podręcznego tobołka wyciągnęła butelkę wódki i olbrzymią suchą kielbasę.

- Kieliszki - skinęła na brata. - Nóż, talerz jakiś, chleb. Trzeba wypić na szczęście. Musowo.

Potem nastąpił jeszcze dalszy zaskakujący akt. Ciotka nakazała Pacukowi pilnować najbliższych (pociągów. Bo to bagaż ma nadejść albo wieczorem, albo następnego dnia.

- Bieda z tym była, nie pozwalają wiele wywozić, a ja co miałam zrobić z rublami za dom, może temu Kałmukowi zostawić? Tam jest motocykl, Wiktorek, dla ciebie. Dla ojca - wskazała brata - radio, dobre, nie takie tam coś - pogardliwy gest w stronę skromnego Pioniera na stoliczku pod oknem. - A dla twojej, jakże jej, imię wariackie, Inga, tak? Dla niej - mam tutaj...

Jednym rzutem wędrował na łóżko spory tłumok. Wiktor, który zapragnął dopomóc, odtrącony został z całą energią. Z płótna wyrzało futro, w nim zaś zabrzączał pięknie oczyszczony, połyskujący samowar. Ciotka uniosła futro, strzepnęła fachowo.

- Karakuły. Pierwszej sorty... Ty na samowar nie patrz, to dla mnie, nie będę herbaty pić z garnków. Czaj tylko z samowara.

Taka była przez te pierwsze godziny, przejęta, pohukująca na nich, pewna siebie. Wiktor z odcieniem zazdrości przyglądał się jej energii. Ale zarazem czuł, że w tym zachowaniu ciotki jest sporo pozy, że pod swoją swobodą, całym wysiłkiem kryje mniej pogodne uczucia. Decyzja wyjazdu nie musiała być łatwa dla tej kobiety.

Pacuk nie od razu odważył się oznajmić o śmierci ich matki. Klara też nie zapytywała o nic, a przecież musiała widzieć krepę na ich rękawach. Dopiero krótko przed odjazdem Wiktora do Słupska dotknęła opaski palcem:

- Kiedy? Chyba niedawno, bo jeszcze w drodze mi się śniła.

- Wczoraj był pogrzeb, ciociu. A parę dni temu właśnie ciocię wzywała.

- Nie udało się wcześniej wyjechać. Tak już było sądzone...

Odprowadzając go na stację, mówiła o obojętnych sprawach, oczy jej pozostały nadal

żywe, zdało się tylko Wiktorowi, że kąciki ust ciotki obwisły jeszcze bardziej. Na nieśmiałe zaproszenie, by może zamieszkała u nich, choćby tymczasem, przystała, popukała się w czoło:

- I co? Dzieci wam niańczyć, jeść gotować, może użerać się z twoją kobietą? Ciotka sama jeszcze sobie poradzi, a przytułku rodzinnego mnie nie trzeba. No, już twój pociąg, jedź z Bogiem, zajrzę do was na parę dni.

Znów, jak rankiem przed paru miesiącami, teraz z zapadającym zmrokiem wysiadał na peronie dworcowym Słupska. Już same litery oznajmiające nazwę stacji przywitał ciepłym odczuciem. Rwały się jedne po drugich jego związki z przeszłością, znamienne tak przez odejścia, jak przez powroty. Ze śmiercią babci zerwały się jakieś nici wileńskie, zerwały jeszcze inne z przyjazdem ciotki Klary. Dotąd istniała gdzieś świadomość jej obecności w małym, jasno bielonym domku na Sołtaniszkach, w ogródku, gdzie rosły wspaniałe, ogromne wiśnie pokapujące ciemnoczerwonym sokiem. Teraz zetleją białe ściany tamtego domku, zatracą barwę obcą ręką zrywane wiśnie.

Nic nie może pozostać bez wyrównania. Tamten serdeczny, ale mgłą z daleka zasnuwający się obraz przesłania widok miasta, które go przytuliło, śmieje się teraz wargami dziewcząt, wabi własnym domem, w którym czeka żona i małe dzieci, wiąże przez lata osadzonym tu sercem.

XIV

Najtrudniejsze były chwile późnej nocy, gdy litery w książce zaczynały zlewać się w kłębowisko czarnych, drgających wężyków. Krążył po pokoju nerwowym krokiem, czasem przystawał na moment, by posłuchać oddechu śpiących za otwartymi drzwiami dziewczynek, znów miotał się po niewielkiej powierzchni pomieszczenia, które tak nagle przestało być ich domem. Domem może było, ale już pomniejszonym, zmałym, jakby okulałym przez ubytek Ingi. Nie pomagał żal, przywoływana na pomoc pogarda, sztuczne, nie wytrzymujące próby lekceważenie, uczucie smutku narastało, przesłaniając wszystko wokół.

Z gorzkawym uśmiechem, ćmiąc w tych marszach po przekątnej pokoju papierosa po papierosie, przedkładał sobie, że ostatecznie powinien się być spodziewać jakiegoś nieszczęścia. Życie uderzało go niemal regularnie, krótkie bywały okresy względnej stabilizacji, jakiegoś spokoju, z nagłą dosięgał cios, zawsze ze strony najbardziej nieoczekiwanej.

Stanął przed stołem zawalonym skryptami i notatkami. Jaki właściwie sens miała

nauka? Czy warto było tyle dla niej poświęcać, skoro przygasły dawne ambicje, a ślęczenie po nocach stało się właściwie jedynie środkiem do przygłuszania dręczących myśli? Stan zmęczenia przynosił gwarancję krótkiego, mocnego snu, nie przerywanego żadnymi zwidzeniami, potem dzień pochłaniał tysiącem zajęć i obowiązków, w pracy, w domu, przy dzieciach. Wieczory i noce, znów książki, tak w kółko, niemal do otepienia.

Pojmował, trwa to wszystko zbyt długo, najwyższy czas, by się otrząsnąć z nowej klęski, zebrać siły do życia, przestawionego na zupełnie inne tory. A jednak nie mógł się zdobyć na zapomnienie. Do przeszłości kazał nawracać ciągnący się przewlekłe proces rozwodowy. Nie mógł doczekać się końca tej procedury, aktu skreślającego urzędowo to, co się rozsypało już wcześniej, ale co moralnie ciągle istniało, napelniając uczuciem bolesnej klęski.

Nauka, skrypty, te wszystkie książki stały się ratunkiem od godziny, kiedy sen morzył główki dzieci, brakło ich szczebiotania i całego ambarasu, jaki sobą sprawiały. Szukał przedtem zapomnienia w pracy, ale ta spowszedniała, nie dawała szans takiego zaangażowania myśli, by usunąć w cień tamte sprawy. Zawód przyniósł mu powrót do aktywności społecznej. Przyjęty został do partii, właściwie rehabilitowany w prawach członka, ale po okresie pierwszego rozmachu działalność tu zmaląła, ograniczając się do zebrań i sporadycznych akcji. Zabrakło w organizacji przy budowlance sprężystości Majchrzaka. Nowy sekretarz był spokojny i bojaźliwy, ograniczał swoją aktywność tylko do troski, aby unikać spięć wśród załogi. Na pewno ciążyła na bierności partyjnej nauczka Majchrzaka, by zbyt daleko nie iść w samodzielnej interpretacji ogólnych zaleceń.

Historia Majchrzaka i dla Wiktora stała się materiałem do głębokich przemyśleń. Z jednej strony całkowicie akceptował działalność starego majstra, przecież nie nowicjusza w partii, stażem bijącego ich wszystkich, jednego z najstarszych działaczy w Słupsku, z drugiej wszakże nie mógł odmówić jakiejś dozy słuszności argumentom tej oceny, która tak dotknęła ówczesnego sekretarza zakładowej organizacji. Chodziło o sprawę weryfikacji, decyzję szczególnego znaczenia, mającą przywrócić zachwianą napływem ludzi z marginesu czystość ideową i jedność szeregów. Praktyka wykazywała istnienie różnych oporów w niższych ogniwach, swoistą interpretację instrukcji, zderzały się interesy skumotrzonych klik, odgrywały przesadną rolę momenty uczuciowe, zwyczajna litość. Majchrzak natomiast postawił rzecz twardo: mniej, ale ludzie naprawdę związani z ideą. Były głosy, chyba niesłuszne, że przy tej okazji stary majster pragnął odplacić niektórym za usuwanie go na margines w poprzednim okresie, za upokorzenia i pouczenia wypowiediane przez takich, do których nie zawsze można było żywić niepodważone zaufanie. Komisja weryfikacyjna

przeprowadzała rozmowy, zaglądała w życiorysy, oceniała postawę nie tylko polityczną, ale również interesowały ją sprawy osobiste. Rosła lista skreślonych lub zawieszonych, mnożyły się bunty, niezadowolenie, odwoływanie do wyższych instancji. Majchrzak był uparty, twardo bronił swych racji, szeroko otwierał oczy na argumenty przeciwnej strony... Wiele odwołań w wyższej komisji weryfikacyjnej uznano za słuszne, anulowano orzeczenia zespołu Majchrzaka. Musiało dojść do burzliwego zebrania, na którym stary majster znalazł się w mniejszości, urząd sekretarza przeszedł w nowe ręce. Wiktor pamiętał rozmowę z Majchrzakiem W kilka dni po tych zmianach. Na próżno majster usiłował maskować wewnętrzne swoje rozbitcie, wynik porażki nie tych zewnętrznych form działalności, ale własnego spojrzenia na sprawę. Poddawał się dyscyplinie partyjnej, ale do ostatka nie był przekonany wewnętrznie.

Przysiedli któregoś razu na stosie kantówek. W postawie Majchrzaka, w zwieszeniu jego ramion odczuwało się znużenie, rzecz, której w tym człowieku Wiktor nie dostrzegął dotychczas. Majster wpatrzony w dal, przed siebie, z nie ogoloną twarzą, mówił półszepem, wolno, jakby zasłuchany we własne słowa:

- Widzisz, dziś inny czas. Ja wychowałem się w walce. Na zewnątrz, co było zrozumiałe, ale i wewnątrz. Czasem bywało szczególnie trudno. Ja wiem, teraz zmieniły się formy, inaczej się działa Sięgając po zwycięstwo, inaczej przy jego umacnianiu. Ale nie poradzę na to, że wiele spraw widzę inaczej, z wieloma nie umiem się zgodzić. To źle, na pewno źle, są żywe i we mnie te krzywizny, jakimi ruch robotniczy szedł od swych początków przez Polskę. Nie wszystko się wyjaśniło do dziś, niejedno jeszcze boli, drażnią jakieś zastarzałe oceny. Moje pokolenie działaczy tak zupełnie, bez reszty, już z tego nie wyjdzie... Dopiero wy, młodzi, albo dopiero ci następni, jeszcze młodszy, potraficie wyprowadzić ruch - raz wreszcie na proste drogi, bez urazów, bez wspomnień przeszłości.

- No dobrze, a ja, tacy jak ja, których też już łamano, ale wiary nie utracili? Co ja mam robić? - przerwał Wiktor długie milczenie zapadłe po słowach Majchrzaka.

- Ty? Patrzę na ciebie od dawna, szanuję. Nie jest ci łatwo, też się borykasz z samym sobą. Czymże chcesz być? Działaczem, aparaczykiem? I tacy potrzebni, ale to nie robota dla ciebie. Budujesz, uczysz się, żeby robić to jeszcze lepiej. Przy tym zostań, Wiktor. Ważne, że będziesz stawiał nowe domy żarliwie, z przekonaniem, że służy to twojej wierze, idei, którą przyjąłeś za swoją. Każdy sam wybiera własne swe miejsce.

- Kiedyś myślałem, że będę mógł walczyć, kiedyś, pamiętam, użerałem się do ostatka o każdą sprawę, gotów byłem skakać do oczu, jeżeli ktoś myślał inaczej. Wtedy bym i na ciebie, Majchrzak, rzucił się z atakiem, że nie pojąłeś, czym naprawdę ma stać się

weryfikacja... Dziś rozumiem i ciebie, staram się pojmować i tamtych. Nowe formy bojowania, zmiana warty, doszlusowanie, ale nie kosztem odejścia innych... Też jakaś moja przegrana. Nie pierwsza. Więcej mam przegranych na koncie niż zwycięstw.

- Ale na psy nie zszedłeś, sobą zostałeś.

- Czasem sam nie wiem...

- Dojdiesz-do tej wiedzy. Choć ciągle będziesz od nowa zaczynał. Widzisz, robimy dla ludzi i pośród ludzi, sami jesteśmy ludźmi, źle byłoby gdybyśmy myśleli jak automaty. Dyscyplina nie zabrania myśleć... Młodszy jesteś, *na* tobie mniej ciąży przeszłość, łatwiej ci będzie dojść do własnej prawdy.

Podniósł się, przyzwany przez kogoś z budowy Wiktor patrzył za nim, jak szedł zmęczony ale wciąż twardym i pewnym krokiem. Nigdy uczucie szacunku do tego człowieka nie objawiło się w nim podobnie silnie...

A potem myśl nawróciła do bliższych spraw. Majchrzak mówił o dochodzeniu do własnej prawdy, o nieustannej szamotaninie, niepokoju wewnętrznym... Jednego stary majster nie pojął, że w Wiktorowej tęsknocie była i nuta własna, najbardziej już osobista. Szukanie zapomnienia, chęć zdławienia poczucia krzywdy, ostrego żalu do losu. Czemu to właśnie jego musiało spotkać, zawisnąć nad nim tak bardzo niespodziewanie, zatrzymać znowu w połowie drogi? Czemu musi szukać ucieczki w zafascynowaniu czymkolwiek, byle tylko nie myśleć o Indze? Czemu nie może znaleźć żadnej drogi ratunku, każdego wieczora zaczyna marsze po przekątnej, wpatruje się w rozrzucone skrypty, rozpamiętując raz jeszcze niedawne wydarzenia?

Każdej nocy powtarzała się chwila, kiedy w niepojętym, dławiącym za gardło zdumieniu wsłuchiwał się w oddechy dziewczynek śpiących w przyległym pokoju. Joasia, zaczynała wtedy jedenasty miesiąc, stawiała pierwsze kroczki, maleńka, drobniutka, tak bardzo potrzebująca matki. Że właśnie, wtedy mogła ją Inga opuścić, właśnie wtedy. Mniejsza o niego, nawet i o Agnieszkę, podrosła nieco, mniej już bezbronną. Ale żeby zostawić Joasię?

Tutaj walił się z kretesem ciąg jakichś usprawiedliwień Ingi i oskarżeń w stosunku do siebie. Tutaj nic Ingi nie mogło bronić.

Byłoby może inaczej, gdyby trwały między nimi dawne scysje. Przyjąłby odejście Ingi jako ostateczny rezultat narastającej obcości. Tymczasem od przyjscia Joasi na świat przez całe dalsze życie nie zaszły między nimi poważniejsze starcia, nie było pretensji ani wyrzekań. Inga zdawała się być zadowolona ze wszystkiego. Po śmierci babci przybyła do domu gosposia, zezwalały na to zarobki Wiktora, nie było też poprzedniego uganiania za

groszem, starczało na nowe suknie dla Ingi. On sam znajdował w domu wytchnienie, czekał go tam jeśli nie uśmiech żony, to jej ciepłe spojrzenie niekiedy wyciągnięte ramiona. Potem jakby nieco ochłodziła. Nie przejął się tym; tłumaczył stan żony zmęczeniem, pogodą, nastrojami; nigdy przecież nie była od nich wolna.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że zajęty ogólnymi sprawami, zaambarasowany pracą, nauką i szukaniem dodatkowej roboty, nie zauważył, od kiedy nastąpiło to ochłodzenie Ingi. Rzadziej go całowała, pocałunki te stawały się zdawkowe i zimne, jego propozycje zbliżenia traktowała znudzonym westchnieniem. Przy tym Inga jakby ładniała, w oczach jej zjawiała się mgiełka rozmarzenia, wargi zdawały się pęcznić krwią, w ruchach zaznaczała się wzmożona zmysłowość. Zwracała większą uwagę na stroje, częściej niżeli zazwyczaj spostrzegał ją przeglądającą się w lustrze..

Dzisiaj to wszystko rozumiał: dla kogoś innego piękniała, przeglądała się w lustrze, z powodu kogoś innego dom zaczynał ją niecierpliwie, denerwowały dzieci, nużyła czułość Wiktora.

W tym właśnie okresie wyjeżdżać musiał na nadzór robót do Ustki, do Sławna, przebywał czasem po kilka dni poza domem. Parę razy nie zastał Ingi, któregoś wieczora czekał na nią niemal do północy. Nie powstał w nim cień podejrzenia, spokojnie przyjął wiadomość, że ze znajomą zasiedziała się na pogawędce. Dzieci pozostawały pod opieką gosposi.

Tak, dopiero obecnie nabierało to wszystko innego wyrazu. Nawet te porozumiewawcze spojrzenia między Inga a gosposią. Tamten już od dawna istniał na horyzoncie, on tylko nic o tym nie wiedział. Historia, jakich wiele, często o nich się słyszy; bolał dopiero, gdy staną się naszym udziałem.

Aż dopiero to popołudnie: otrzymał niespodziewaną premię, spóźnił się robiąc na mieście zakupy. Wbiegał na schody obarczony paczkami, rad z niespodzianki, jaką uczyni Indze. Dozorczyńni przystanęła na jego widok, jakby coś chciała powiedzieć, ale zaraz się odwróciła, z zapalem wypatrując czegoś w ciasnej przestrzeni podwórza.

Agnieszka pierwsza przekazała mu tę wiadomość. Gdy jak zawsze wybiegła mu na spotkanie, gdy w korytarzu unosił ją w górę, łby ucałować dziecięce policzki, po zbadaniu, co jest w przyniesionych przez niego paczkach, oznajmiła ze śmieszną powagą:

- A mama zabrała walizki i pojechała...

Nie rozumiał, zwrócił się do gosposi stojącej w drzwiach kuchni.

- Co ona mówi? Żona wyjechała?

- Tam w pokoju jest list dla pana... Pani zostawiła...

Przecucie jakiejś kłęski zmroziło go. Sztywnym, nie własnym krokiem przeszedł do pokoju. Na stole leżał list, starannie zapieczętowany. Krótkie były, zdawkowe jej słowa, nawet nie próbowała szukać usprawiedliwień. Oznajmiała po prostu, że odchodzi, że jednak się nie dobrali, że coraz bardziej stawał się jej obcy. Ona chce mieć w życiu coś więcej niż dzieci, ciasne mieszkanie, jeden i ten sam kołowrót małych spraw. Znajduje swoją szansę szczęścia, jest szczęśliwa, odchodzi. Uważa, że będzie tak lepiej, rozwód przetnie ich nieudaną próbę. Dzieci może Wiktor zatrzymać przy sobie.

Czytał od początku i jeszcze raz, i jeszcze, wrażał w umysł i w serce zimne, wyważone słowa, skreślone niedbale. Czuł, jak przestaje panować nad sobą, jak ogarnia go ból i żal, i pasja jakaś, i nienawiść zarazem. Trzasnął listem o ziemię. Szorstkim gestem odsunął czulące się do niego dziewczynki. W kuchni natarł na gosposię, całym wysiłkiem starając się zachować spokój..

- Jakże to było?

- Zwyczajnie, proszę pana. Z samego rana pani zapakowała walizki, dwie, te największe. Potem pisała, potem kazała wołać taksówkę, ledwie znalazłam, aż koło poczty. Zniosłam te walizki, pani wsiadła i pojechała. Panu kazała list oddać.

- Nic więcej?

Wzruszyła ramionami, co ona tam wie, co ją te sprawy obchodzą. Zgodziła się na gospodarzenie i opiekę nad dziećmi, swoje robi, a już co tam między panią i panem, nie będzie dochodzić. Ale miała jakiś kpiący uśmiezek na twarzy, nie potrafiła go ukryć, może nawet nie chciała.

Przypomniał sobie, już widział takie uśmieszki.

Z miejsca, z trzaskiem odprawił gosposię. Zapłacił z góry, też wezwał taksówkę, odetchnął z ulgą, gdy ruszyła uwożąc paskudne babsko, które okłamywało go razem z Inga. Tymczasem będzie sam sobie radził, potem poszuka kogoś do dzieci.

Ten wieczór był najcięższy. Gdyby nie Agnieszka i Joasia, które nie mogły zostać same, zerwałby się, biegł szukać Ingi, siłą by ją sprowadził albo upiłby się w jakiejś knajpie na umór, żeby nie myśleć, i nie pamiętać o przedstawionej mu dziś odpłacie za cały jego wysiłek, za troskę, za szarpaninę z niełatwym, zwłaszcza w początkach małżeństwa, życiem. Musiał zostać w mieszkaniu, gdzie mu wszystko przypominało Inge, gotował kaszkę Joasi, mył, ją, a potem Agnieszkę, układał do snu, opowiadał bajeczkę, bez której starsza z dziewczynek nie chciała usnąć. Jakaż ironia tkwiła w zestawieniu jego sytuacji z tymi krasnoludkami, piękną królową i jej rycerzem... Rycerz został oto na miejscu, a królowa frunęła po swoje szczęście.

- Mama kiedy psydzie? - kaprysiła Agnieszka, a on zacinał wargi, by nie odpowiedzieć brutalnie, złym, mocnym słowem.

Później, w czasie nocy przesiedzianej na krześle obok-listu, leżącego na podłodze, w miejscu, na które spadł rzucony w pierwszym porywie, pasję zastąpiło poczucie nowej bezmiernej kłębki. Ciężkie były łzy, którymi to poczucie przypieczętował.

Inga nie zostawiła adresu, nie znała go również, a może nie chciała tylko ujawnić, jej matka. Potem nadszedł list podający adres posterestante. Zupełnie jak przy sztubackich miłośkach. Niech na ten adres pisze w związku ze sprawą rozwodową. Rozwód? Uprze się, będzie utrudniał, odwlekał na wszelkie sposoby, nie da jej tego upragnionego rozvodu. Na przekór, zwyczajnie, na złość. Nie chciał przyznać się nawet przed sobą, że nie tylko upór i dziecięco naiwna złość leżały u podłoża tego wzdragania. Głęboko, bardzo głęboko (kołatało marzenie o powrocie Ingi. Wróci, wszystko okaże się złym snem, będą znów razem, z sobą, przy swoich dzieciach. Stać go będzie na przebaczenie, wszystko uczyni, by w imię jutra zapomnieć o całej historii.

A jeśli sam był w czym winien, zbyt mało okazywał czułości, zagoniony robotą grzeszył oschłością, to się odmieni, na pewno...

Nie wiedzieć, którą ze stron bardziej zaskoczyło niespodziewane spotkanie. Włókł się po załatwieniu jakichś spraw ze spuszczoną głową, jakby unikając widoku ludzkich twarzy. Czasami musiał jednakże unieść głowę, nie zawsze na pół po omacku można snuć się po ludnych ulicach. I wtedy wzrok jego natknął się na Ingę. W jej oczach odbiło się zaskoczenie i lęk, choć tuszowany wyzwaniem. Jakby na rozkaz przystanęli oboje. Kotłowało w nim wszystko, myśli rozpierchły się, ledwie wykrztusił z siebie:

- Inga!

- Tak, Wiktor. Nie spodziewałam się, że cię spotkam. To chyba pójdziemy każde w swoją stronę - wycofała się.

Uchwycił ją mocno za rękę, zaśmiał się, widząc przerażenie wzbierające na świeżej, teraz zalewającej się gwałtownym rumieńcem twarzy.

- Nie bój się, to chyba ja mógłbym się ciebie bać... Musimy porozmawiać, Inga. O tym, co zaszło.

- Nic to nie zmieni.

- Ale chcesz wszakże rozvodu? - Uczepił się tego pretekstu, fałszywego, nie o tym chciał mówić, nie o tym...

- Jak sobie życzysz. -- Już była opanowana, już zimna.

O tej wczesnopołudniowej godzinie w kawiarence było pustawo. Patrzył na nią poprzez pstrokaty blat stolika. Ta sama Inga czy nowy, inny zupełnie człowiek, którego istnienia ani się w niej domyślał? Chłodne teraz, uważne spojrzenie, już nie zarumienione, ale przybladłe policzki.

- Inga - powiedział.

- Słucham cię.

- Inga, czy to się stało naprawdę? Czy mogło się tak stać?

Skinęła głową. Chwilę milczała, potem zaczęła mówić szybko, jakoby tym tempem wyrzucanych słów pragnęła go przytłoczyć, a zarazem zdusić coś w sobie.

- Tak, Wiktor. I nie odstanie się. Nie może już być inaczej. Ja ciebie nie kocham chyba nigdy cię nie kochałam, łudziłam się. Chciałam po prostu jak najprędzej wyjść za męż. Matka była trudna, życie z nią piekłem. Nawinałeś się, podobałeś mi się, myślałam, że to wystarczy... Ale teraz kocham inaczej, wiem, że naprawdę... Wiktor, nie miej żalu, musiałam, dusiłam się z tobą w tamtym mieszkaniu, w tym wszystkim, co ty wносиłeś do domu. Nie mogłam, musiałam odejść.

- A dzieci? - przerwał ostro, pierwszy raz brutalnie w ciągu tej rozmowy..

- Dzieci? Napisałam, że zostawię je tobie, pojmując, jak bardzo je kochasz, jak ci będą potrzebne, nim sobie na nowo ułożysz życie. Ja też je kocham, ale oddalenie od nich zastąpię czym innym, mam czym zastąpić...

- Masz czym zastąpić? Dzieci można czymkolwiek zastąpić, Inga? - Nagle spłynęła ta decyzja, zaginęły wahania. Gwałtownie podniósł się ze swojego miejsca. - To mi więcej mówi o tobie niż wszystko inne. Otrzymasz rozwód, sam o ten rozwód wystąpię. Ja wystąpię, nie ty. W imię Joasi i Agnieszki. A ty... ty baw się dobrze, bądź po swojemu szczęśliwa, choć ja wiem, że nigdy nie będziesz. Bywaj, Inga.

Swoim dawnym, sprężystym krokiem wyszedł z kawiarni. Ale już za najbliższym rogiem głowa ponownie zaczęła ciążyć ku ziemi, przygarbiły się plecy. Nie zawsze jest łatwo postępować po męsku. Ból niekiedy aż przygina człowieka.

Jeszcze w tym samym tygodniu złożył do sądu wniosek o rozwód. Z winy drugiej strony, nie widział potrzeby zdobywania się tutaj na gesty.

Wyszukał nową gospozię, starszą, oddaną kobietę, wbrew sobie zabrał się nawet do nauki. Procedura rozwodowa ciągnęła się opieszale, z miesiąca na miesiąc, próżno starał się ją przyśpieszyć. Męczyły go zetknięcia z Inga na sali sądowej, nasłuchiwanie jej głosu przy odpowiedziach na pytania sędziego.

Ojciec długi czas nie wiedział o niczym. Rzadziej teraz przyjeżdżał do Słupska,

zaśniedział na swojej stacyjce, nie ciągnęło go w świat. Gdy pojawił się wreszcie, mijał drugi miesiąc samotniczego życia Wiktora. Stary Pacuk szeroko otwierał oczy, słuchając zwięzłej relacji. Potem podparł głowę rękami, długo tak siedział. Gdy wstał, by wziąć syna w objęcia, Wiktor dostrzegł w jego oczach siłą powstrzymywane łzy.

- Wezmę urlop, przyjadę do ciebie - postanowił.

Ale potem chorował, to właśnie Wiktor musiał jeździć do niego. Przy chorym czuwała ciotka Klara. Zadomowiła się już w osiedlu, znalazła dla siebie pokój, dostała pracę, o Indze wiele nie rozmawiała, zapytała tylko Wiktora, co stało się z karakułami.

- Zabrała? To lepiej, że się tak stało. Niewarta ciebie.

Tak się złożyło, że zjechał wreszcie Pacuk do Słupska na tydzień przed ostatnią rozprawą, która orzekła długo wyczekiwany rozwód. Wiktor czekał niecierpliwie na papierek stwierdzający, że on i Inga stają się sobie obcy. Jednak gdy go wziął wreszcie do ręki, załamał się jeszcze raz, całą goryczą spłynęła na niego świadomość krzywdy.

Stan taki trwał parę tygodni, w całym tym okresie chyba najcięższych. Już nie żałował Ingi, stracił dla niej szacunek, tego nie mogły nadrobić kołaczące się gdzieś tam jeszcze resztki uczucia. Żałował własnych złudzeń, zapaćkanego swojego losu, który wziął się, by mnożyć przed nim wciąż nowe przeszkody. Wszystko wokół przybladło, zszarzało, straciło w ogóle jakikolwiek sens. Może by nie wybrnął z tego impasu, gdyby nie świadomość, że są Agnieszka i Joasia, jego córki, dla których trzeba i warto żyć. Jakże im tylko zastąpić matkę?

Ojciec przez cały ten okres był razem z nimi. Wiktor zdumiewał się, skąd w tym suchym przecież, impulsywnym i nie zawsze taktownym człowieku zjawia się nieraz tyle subtelnego wyczucia, nieograniczonej tkliwości. Piotr słowem nigdy nie wspominał o Indze, nie złorzeczył jej, zachowywał się, jakby tej kobiety nigdy w domu jego syna nie było. Sam nie wtrącał się do niczego, wyczuwał, kiedy należy zostawić Wiktora samego, a kiedy właśnie trzeba być przy nim. Przeształ z dziećmi, które szalały za dziadkiem, bawił się z nimi, na czworakach biegał przez pokój aż do ostatecznej zadyszki, prowadził na spacer, pokazywał Słupsk, wiodł do domów stawianych przez Wiktora, przekarmił cukierkami. I bardzo, bardzo rzadko łapał tylko Wiktor jego uważnie zwrócone na siebie wejrzenie. Udawał, że tego nie widzi, nie chciał podejmować z ojcem żadnej rozmowy. Zrozumienie w milczeniu wystarczało im obu.

Zbliżała się sesja egzaminacyjna. Był wyjazd parodniowy na konsultację. Popędzałby pociąg, tak go ciągnęło do małych. Delegowano go do Koszalina i Kołobrzegu, przedsiębiorstwo pertraktowało o przejęcie tam nowych prac. Oszołomił go nagły rozmach w

tych do niedawna uśpionych miastach, po raz pierwszy zainteresował się znów zewnętrznymi sprawami. Nagle spostrzegł się, jak wiele przeoczył w ostatnim półroczu, jak ożywiło się wkoło, jak zaczęła wchodzić w stadium realizacji rządowa uchwała o rozbudowie tego odcinka wybrzeża, jak zagrały nagle ambicje regionu.

Złączyło się to z nagłym nawrotem ochoty do dalszych studiów. On również powinien się przyczynić do tej budowy. W Kołobrzegu osiadła jakaś grupa młodych architektów i budowniczych zaczynało o niej być głośno. Gdyby tak mógł się do nich przyłączyć... Z taką pasją nie ślęczał jeszcze nigdy nad podręcznikiem, nie kreślił, nie przepisywał, nie robił wyciągów. Stary Pacuk, widząc to, uśmiechał się, a późno w noc zjawiał się nagle przy biurku syna stawiając przed nim szklankę herbaty i jakąś niezgrabnie przyrządzoną kanapkę. Zaczęli rozmawiać swobodniej, tak jak kiedyś, zwyczajnie.

- Na co mi zeszło. Dzieci niańczę, jeść podaję, a chciałem rządy sprawować na mojej stacji... - uśmiechał się, ale nie wszystko było szczere w tym uśmiechu, nie wszystko.

- Swoje zrobiłeś. Tamte pierwsze miesiące ważniejsze od innych. Z gruzów przywracałeś do życia. Resztę zostaw innym, każdy ima swoją część do zdziałania - dopowiadał mu Wiktor.

Ta wzajemna obecność potrzebna było obydwu, coś w nich leczyła, coś zablizniała. Jakże inaczej mogłoby dojść do tego, że stary Pacuk znów przysiadł w koszuli tylko i gaciach ha skraju łóżka, przesłaniając się płachtą czytanej gazety. Spoglądał zza niej na zanurzonego w nauce syna, a potem, nawiązując do jakiegoś przeczytanego tekstu, mruczał jak dawniej:

- Uczysz się? Uczysz? Żeby tak jak ci tutaj znów spieprzyć robotę? - Uderzał dłonią w gazetę, czytał, zaczynała się dyskusja, dziwaczna, bo przy swej gwałtowności prowadząca przecież do tych samych stanowisk i z nich się wywodząca.

Potem ojciec zasypiał, Wiktor w znużeniu odkładał książki, spoglądał na okno, za którym brzaskiem zaczynał się znaczyć nowy słupski świt. Nie myślał więcej o Indze, nie sumował swoich życiowych klęsk. Przysłuchiwał się pochrapywaniu ojca przeplatanemu oddechami dziewczynek w przyległym pokoju. Czuł wtedy, jak zaczyna powracać w nim spokój.

Część trzecia

Tadeusz

Wchodziła do gabinetu, gdy kończąc rozmowę mówił w słuchawkę:

- Zatem najdalej za pół godziny jestem u pana. Do widzenia.

- Wychodzisz? - spytała.

- Do Knapika, chcę ustalić ostatnie szczegóły, pozbyć się już roboty. Facet ciągle wprowadza zmiany, raz by się już wreszcie namyślił... Za godzinę, półtorej będę z powrotem.

Opadła na fotelik. Podeszedł, uniósł ją łagodnie, sam usiadł, biorąc ją na kalana. Przejechała mu palcami przez włosy.

- Łysiejesz, robi się z ciebie poważny, starszy pań. Nawet ci dostojnie z tym brzuszkiem... - zaśmiał się. - Zapomniałeś o jednym, prosileś, by ci przypomnieć.

- No?

- Dziś imieniny Tycnera. Strasznie mi się nie chce tam iść. Właściwie zupełnie nie mamy czasu dla siebie.

Zdenerwował go ton jej głosu, spokojny, ale dźwięczący wyrzutem. Zaperzył się tym mocniej.

- Myślisz, że mnie się chce? Ale sama wiesz, Tycner, główny architekt, wszędzie ma chody. Mógłby poczuć się obrażony. Postaramy się ulotnić możliwie najprędzej.

- Właśnie! Ty i ulotnić się! Jak ugrzęzniesz w fotelu, to będziesz tkwił w nim całymi godzinami.

Stuknął się w czoło.

- Pięknie, imieniny, ale prezent? Licho wie co? Kwiaty? Ninuś ty zawsze najlepiej z tym radzisz - przymlał się.

- Dobrze, już dobrze. A teraz przez chwilę nie mówmy o obowiązkach...

Przytulił żonę, kołysali się leciutko. Wdychał woń jej włosów, odgarnął je potem, ucałował pachnący karczek. Przytuliła się mocniej. Spokój zdawał się nasączać gabinet, rozmazywać sterty papierów na biurku, rozpięty arkusz na stole kreślarskim, półki z książkami. Wszystko to oddalało się, wyzbywało cech realności.

Pomyślał z żalem, że podobnych chwil mogłoby być więcej. Nie Janina tu winna, choć przyjęciem asystentury w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych też wiele pogmatwała w ustabilizowanym już zdawałoby się, układzie życia ich domu. Tyle, że tej decyzji on sam właściwie był sprawcą... Westchnął.

Odsunęła się od niego leniwie.

- Musisz już jechać. Wóz masz przed domem? Zaczekaj chwilę, podrzucisz mnie, załatwię od razu prezent. Kwiaty i koniak, tak będzie dobrze?

- Na pewno dobrze, tylko się pospiesz.

Knapik mieszkał w Gdańsku. Z Wrzeszcza - kawałek drogi. Tadeusz naciskał gaz. Octavia poddawała się miękko. Lubił zryw swojej maszyny, lubił szybką jazdę. Gdy żona wysiadła przed wielką kwaciarnią, czekając chwilę, aż zniknie w drzwiach, przesunął ręką po czole gestem odpędzającym znużenie. Jutro też nie będzie spokoju, diabli go podkusili z urzędaniem przyjęcia, można było z tydzień jeszcze poczekać, Wojtyłowie nie uciekną, o nich głównie tu chodzi, reszta już na doczepkę. Musiał na dobitkę naciskać Wojtyłę, bo wymawiał się trochę. Łaskę robi, psiakrew.

W złym humorze witał się z Knapikiem. Stanowczo wymówił się od kieliszka. Przyjechał wozem, nie-będzie ryzykował.

- Bo to, panie architekcie, takeśmy z żoną uradzili, że warto by trochę strych podnieść, na wszelki wypadek, kiedyś dałoby się tam zmieścić jeden, dwa pokoiki. I w kuchni żeby ściankę przesunąć, moja to lubi przestronniej.

- Strych zgoda, ale jakże panu przesunę ściankę, jeżeli to zwięzi nam pokój? Trzeba było mówić o tym od początku. I co pan jeszcze przemyślał, panie Knapik? Czas by już skończyć projekt, zatwierdzić, idzie wiosna, pora zaczynać budowę. Chodzą słuchy, że trudniej będzie z zezwoleniami, wie pan, brakuje miejsc pod budownictwo blokowe, są apetyty i na działnice uprzednio przeznaczone pod domki jednorodzinne.

- Panie architekcie, już tego, co dali, nam nie odbiorą. Jakby co, załatwi się, ludzie żyć - muszą, nie tak? Ale z tą kuchnią, żeby pan jednak pomyślał. Na całe życie się robi. Po co później żałować, żal mieć do siebie, do pana? Gdy tak się przyglądam rysunkom...

- Dobra, zastanówmy się. - Sięgnął po szkic. - Chyba że generalnie zmienimy usytuowanie tej części... Ostatecznie można i tak... Pokażę panu jeszcze, jak projektuję prześwietlenie klatki schodowej, okno byłoby fantazyjne, najlepiej owal na gładkiej płaszczyźnie ściany, stwarzałoby to wyrazistszy akcent. No i mógłby już wtedy mieć pan witraże, na których tak panu zależy...

- Panie architekcie, ja może poproszę, żonę, niech ona spojrzy, doradzi...

- Proś pan, tyle że mi dzisiaj bardzo się spieszy.

- To może umówmy się na jutro? Do to z pośpiechem nie można, sam pan rozumie. Zwróciliśmy się do pana, talk nam radzono, że pan najlepiej, ale galopem, to i panu może coś

nie wyjść... Nie, nie ja tylko talk sobie, pan inżynier zaraz się czuje urażony...

Spojrzał na zegarek. Minęło więcej jak pół godziny, z tą nudną babą przeciągnie się drugie tyle. Chciałoby się prasnąć tym wszystkim o ziemię i pójść sobie, powiedziawszy im co nieco do słuchu. Tymczasem robi dobrą minę, uśmiecha się. Nie do Knapików, do tych iluś tam złotych, ładnie nawet okrągłych. Kraży po Trójmieście opinia o nim jako o specu od will, snobują się zatem, choć nie gorszy projekt zrobiłby każdy inżynier. Tyle że on pomaga potem przy zatwierdzaniu, a to liczy się drugie tyle.

Tęsknie zerknął ku wypolerowanej na wysoki połysk szafce barowej na ruchomych kółkach i wdzięczącym się w niej etykietkom trunków. Chętnie by wypił kieliszek, tyle mógłby zaryzykować, ale odmówił, teraz już nie wypada... Janka ma rację, nic im nie zostaje dla siebie, ciągle tylko te interesy, zabiegi, ustawianie się, wieczne lawirowanie...

- Dzień dobry panu architektowi. Mąż mnie ciągnie, próżno mówię, że obejdzie się na pewno beze minie. Może tylko iż kuchnią, to babska już sprawa. Ta ścianka i jeszcze żeby przemyśleć spiżarnię, taką wentylowaną, mówią mi, że to jest konieczne...

Całując babsko w rękę, zaniepokoił się:

- Przecież spiżarnię już mamy gdzie indziej...

- Tamta też potrzebna. Ale i w kuchni. Pan architekt widać bardzo się spieszy?

- Nie, nie, przyjechałem, żeby omówić wszystkie szczegóły. Proszę, słucham panią...

- Może jednak po kieliszeczku? Pan architekt to koniak, już wiem, ja zawsze czystą.

Z ulgą uczuł gryzący smak, bez delectowania się wychylił zawartość kieliszka. Niechże ich diabli, tych całych Knapików!

* * *

- Pańskie zdrowie, dyrektorze.

Wojtyłło ochoczo podnosił kieliszek, wdzięcząc się do tak nieoczekiwane zastanego w domu Zapieńskich gościa z Warszawy. Tadeusz widział to, pokpiwał w duchu, ale sam rad był niezmiernie temu zbiegowi okoliczności. Przyjazdu inżyniera Malickiego z KUA wcale nie oczekiwał, przypadkiem dowiedział się o jego pobycie w Trójmieście. Zaraz potem odbierał od niego telefon. Z miejsca zaprosił na wieczór. Taka maleńka kolacyjka w niewielkim gronie, będzie niezmiernie zaszczycony... I oto Malicki świetnie się czuje, rozpięty mu się środkowe guziczki kamizelki, wyłazi przez nie koszula, momentami prześwituje spod niej kosmaty brzuch. Nie widzi tego, nieźle ma w czubie. A Wojtyłowie, jacy są wniebowzięci, przytulają niemal wszystkich rozanielonym wzrokiem, coś tam

zaszeptał Wojtyłło do ucha, że ma sprawę do Malicki ego, ten kontakt bardzo mu jest na rękę. Też już pod muchą, inaczej nie wyrwałby się z czymś takim, zawsze miny stroi, persona grata, psiakrew. Choć można z nim wytrzymać, zbliżyli się ostatnio, kto wie, czy nie należałoby załatwić przeniesienia do niego, zawsze to - budownictwo przemysłowe, szersze możliwości, z większymi perspektywami niż ich biuro. Ale na to zawsze jeszcze jest czas. Zresztą musiałby z tym wystąpić Wojtyłło, reguły gry nie - zezwalają występować w charakterze petenta, na tym się zawsze traci.

- A wyście też zapędzili się w ślepy zaułek, dyrektorze. Różne słuchy chodzą o tym, co dzieje się w KUA. Znów mają być zmiany personalne, czy tak? Kwestia ostrzejszego lansowania oszczędnościowych norm, budownictwa z elementów wielkopłytowych, dobrej organizacji zaplecza... My właściwie ciągle skaczemy od jednej skrajności do drugiej, raz wysokościowce, to znów przeciwko nim, tylko akcenty w punktowcach; dziś budownictwo rozstrzelone, jutro zaś zwarta zabudowa. A w KUA reorganizacja jedna po drugiej...

Zerknął ciekawie, jaką ma minę Malicki słuchając tyrady Pielusza, głównego weryfikatora w ich biurze. Pielusz może sobie ostatecznie pozwolić na atak, ma mocną pozycję, partia go silnie popiera, zresztą zna się na rzeczy, fachman z niego. O tych sprawach w KUA dużo się słyszy, rzecz jednak tkwi, zdaje się, głównie w personalnych historiach.

Malicki zmarszczył się, dopiero teraz zauważył nie dopięte guziki u kamizelki, niezdarnie przebierał po nich palcami, aż Tadeusz uczuł przez chwilę szczeniacką ochotę, aby niu w tym dopomóc. Ledwie się pohamował.

Gość z Warszawy zbył sprawę.

- Ja nie odchodzę, panie kolego - zaśmiał się. - A że są takie skoki, to dobrze, lepiej niż uśpienie, jak u was. Przygaśliście, zbyt się zabezpieczacie, ani za grosz u was ryzyka. Już ci młodzi w Koszalinie i Kołobrzegu mają więcej rozmachu.

Szansę wyjściową dano im większą... - upierał się Pielusz z nudną przekorą. Tadeusz go znał, w zasadzie spokojny i cichy, po paru wódkach stawał się nieco buńczuczny, zresztą w nieszkodliwy sposób.

- Bo o nią się bili. Ale panie są znużone, nie bawią ich te tematy, zatem za zdrowie pań! Widzę, że urocza gospodyni solidaryzuje się ze mną. To straszne, pani Janino, być żoną architekta. Zawsze mówię to swojej, ale cóż, uparła się, nic nie poradzisz - zwracał się już tylko do niej. - Miałem dziś wolną godzinkę, jakoś szybciej nam poszło w stoczni, mają tam świetny zespół. Przespacerowałem się trochę po Gdańsku. Mimo że bywam tu często, rzadko mi się trafia podobna okazja. Jest na co spojrzeć. Kolega Pielusz - wyrzeka, ale w końcu w tej Polsce i trochę naszego wkładu... Zajrzałem tylko do Desy, była tam prześliczna statuetka,

brąz, podobno robota przy egzaminie mistrzowskim sprzed wieku. Ten sam lewek co we Dworze Artusa, z małymi modyfikacjami. Żebyśmy dzisiaj mieli takich mistrzów, byłoby łatwiej. Cudem zachowanych paru ostatnich ceni się dosłownie na wagę złota. Już trochę mija pierwszy szal z zabytkami, ale wieleż to było kłopotów i w Warszawie, i tutaj, wszędzie, gdy chodziło o detale snycerskie, kamieniarskie, sztukatorskie, ciesielskie, lichy wie jakie... Widziałem też broszkę, srebro i bursztyn, oryginalne połączenie, wartość raczej tylko już artystyczna. Pięknie by pasowała do pani sukni, właściwie powinna się pani uśmiechnąć do męża...

Spojrzała na Tadeusza. Nie słyszał, przychyłony ku Wojtyłce, przekładał mu coś zawzięcie. Dobiegły ją jego słowa:

- Gdybym miał trochę czasu, sam bym spróbował zaprojektować taką halę. Problem tkwi w kącie padania światła. Tu nawet mniejszą rolę grałby sam metraż powierzchni okien i tych przeszklonych dachów... Widziałem album niemiecki z ciekawymi rozwiązaniami w tym duchu...;

- Więc może by pan jednak, kolego, przemyślał bliższe związanie się z nami, tymczasem w formie pracy zleconej. Z tym trudno, ale w ostateczności... - życzliwie zastanawiał się Wojtyłko.

- Mąż zajęty, znów zawodowe sprawy, już my żyć bez nich nie potrafimy. - Malicki uśmiechnął się do Janiny. - Wspominała pani, że jest nadzieja na tańce? Piszę się od razu na pierwszy.

- Jeszcze tylko mała niespodzianka na deser, taka litewska specjalność. Kawę będziemy pić w gabinecie.

- U państwa naprawdę dobrze się czuję, odpoczywam. Nastrój, jakiś własny charakter domu, znać pani rękę. Miła też jest ta tradycja, którą państwo podtrzymujecie. Tylko że łączy się ona przy tym stole już nie z łakomstwem, ale doprawdy z obżarstwem. Ładną będzie pani miała opinię o mnie, ale trudno mi opanować się, od dziecka lubiłem lasować.

- Przepraszam na chwilę, muszę dopilnować, żeby właśnie teraz mię wystawić się na blamaż. - Uśmiechem osładzając wysunięcie z jego dłoni całowanej nazbyt może gorąco swej ręki podniosła się z miejsca.

Skorzystał z sytuacji Pielusz. Już od jakiejś chwili wiercił się niespokojnie, pozostawiony sam sobie.

- Co tam zresztą KUA, dyrektorze. To od nas daleko. My i w naszym światku mamy też wielkie burze. Jutro walne zebranie SARP-u, nadzwyczajne -. ze smakiem przeciągnął to słowo. - Burza, choć w szklance wody...

- Bardzo proszę, pan pozwoli, inżynierze, że zmienię talerz - gospodyni porozumiewawczym uśmiechem skwitowała pełne ulgi odsapnięcie gościa z Warszawy. Teraz już nie KUA, nie SARP, ale zachwyty nad specjalnością naszego domu. Uwag krytycznych głośno wypowiadać nie wolno. Tadeusz byłby niepokieszony...

- Wspaniałe, delacje, rączki całuje, pani Janino.

- Jeszcze, dyrektorze, pan nie spróbował..

- Telefon. - Tadeusz uniósł się z krzesła.

- Zostań, ja załatwię, baw gości.

Wróciła po paru minutach, nadal żywa i rozbawiona, przyciągając zwłaszcza uwagę Halickiego, który wodził *za* nią rozanielonym spojrzeniem.

W chwilę potem przechyliła się ku Tadeuszowi.

- Tadziki... Jest przejazdem. Przeprasza, że dzwoni tak późno, ale ma sprawę do ciebie.

- Dzisiaj? Przecież nie teraz...

- Zaprosiłam go do nas, niech zanocuje. Chłopak nie ma się przecież gdzie podziać, w hotelu nie znajdzie miejsca. Certował się, ale zostanie na jutro...

- Mam SARP, a rano przyjęcie projektu.

- Znajdziesz chwilę i dla chłopca.

- Pani Janino, czekam na obiecany taniec - wołał Malicki.

- Zatem panowie, do roboty, trzeba stół przesunąć pod ścianę. Tadeusz, rusz się z miejsca!

* * *

Gęsto było od dymu, cicho pobrzękiwały filiżanki. To jednak wygoda, że można obradować w ten sposób.

Dyskusja trwała, pozornie gładziutka, parę by tylko wyłowiło się z niej ostrzejszych akcentów. Krytyka przeważnie była bezosobowa, łatwiej się w ten sposób formułuje opinię. A jednocześnie wszystko i tak - było z góry wiadome. Od kilku miesięcy narastała aura napięcia, echa warszawskiego zjazdu organizacji odzywały się silnie i w miejscowym oddziale zmiany były nieuniknione, chodziło jedynie o formę w jakiej nastąpią.

Początkowo świetnie się bawił, zorientowany w szczegółach. Motywowana stanem zdrowia rezygnacja prezesa nikogo nie zaskoczyła. Zbyt wielu było takich, którzy nie mogli mu wybaczyć szeregu pociągnięć za minionej kadencji, podważania ich autorytetu i

ugruntowanej pozycji. Trudno też było żywić większe wątpliwości co do następcy, choć dotychczas nie padły kandydatury. Wygrać musiała postać najbardziej bezbarwna, do przyjęcia dla każdej ze stron. Ktoś z „centrum”.

Uśmiechał się, pogadywał do najbliższych kolegów. Rozsiedli się jakoś tak przy stolikach, że można było wyróżnić wyraźnie grupki i orientacje, zbieżności interesów, rzadziej poglądów. On też usiadł między bliższymi sobie. Łatwiej było dworować, pokpiwać z rozgrywającej się farsy. Nie u nich zresztą jednych tak było. Wszystkie środowiska twórcze Wybrzeża przechodziły kryzys. Żarli się literaci, nie było zgody pomiędzy dziennikarzami. Sodoma i Gomora działa się jakoby wśród plastyków. Jakżeby SARP jeden miał się ostać cało w tym wszystkim?

I tam u innych, i tutaj było to wszystko mdłe; ostatecznie najmniej chodziło o zasadniczy charakter spraw. Gdzieś zaginął klimat namiętnych, żarliwych sporów ideowych sprzed paru lat. Teraz ścierały się tylko ambicje, ambicyjki, osobiste urojenia, usiłowały odgrywać się zapoznane wielkości. Jeżeli któryś przyoblekać próbował swoje prywatne sprawy w szatki ideologii, sztuczność i załganie wyłaziły wszystkimi porami. W końcu przestawało to bawić, nie tylko już nudziło, ale zgoła mierzilo. Nie jego jednego. Kilka razy spotkały się spojrzenia Tadeusza i Walickiego, kierownika wydziału propagandy komitetu wojewódzkiego. On także miał dosyć tej całej historii. Zaproszony, musiał przybyć, ostatecznie pomagało to w lepszym rozeznaniu środowiska, na pewno jednak w niczym nie budowało. Walicki skrzywił się raz i drugi, ironicznie uśmiechnął do Tadeusza.

Przestały bawić rzucane szeptem w najbliższym gronie dowcipy. Zebranie nie nabierało cech życia: i tak już wszystko wiadomo, i tak nie dopowie się niczego do końca. Uwagę nieco żywszą skierowano tylko na punkt mówiący o projektowanych konkursach. Niektórzy notowali sobie ważniejsze z nich.

Ziewając wspominał ten czas, gdy jako świeżo upieczony inżynier z nabożeństwem otrzymywał legitymację SARU-u, był w nim wtedy jakiś nabożny szacunek do tej instytucji, szczeniacka wiara w posłannictwo zawodu, urzeczenie głoszonymi wkoło sloganami o funkcji architekta w nowym ustroju. Może nawet rzecz nie w sloganach, tam w głębi tkwiła wszakże niekiedy żarliwa prawda. To dopiero kołomyjki etapów różnorodnego pojmowania zadań i treści sztuki zdewaluowały uprzednie wartości.

Po dwu latach członkostwa wszedł do zarządu, został sekretarzem oddziału. On, jeszcze paru żółtodziobów, bo prezes, dostojny profesor politechniki, zbyt był zaabsorbowany uczelnią, by wiele udzielać się zawodowej organizacji. Oni właśnie wprowadzili pasję i żarliwość działania. Bili się o obecny lokal, prowokowali odczyty i dyskusje, występowali na

zewnątrz, uczestniczyli w pracach rad narodowych, pisywali w prasie, atakując i odpierając ataki. Zdarzało się im robić głupstwa, wpadali w przesadę, usiłując zbyt silnie podporządkowywać życie członków sprawom organizacji, ciągle im roiła się wizja kraju jeśli nie szklanych domów, to przynajmniej wygodnych, nowoczesnych budynków. Naiwnie gotowi byli przyjmować za nowoczesność sztuczny barokowo-secesyjny monumentalizm, kolumnady osłaniające wejścia do jatek i sklepów z nabiałem, na frontonach płaskorzeźby o charakterze mobilizującym, dla nich był to wyraz okresu wielkich ambicji. Podcinano im Skrzydła, wygaszano ten ogień; regenerowali się, wiara silniejsza była ciągle niż przeciwności. A w końcu nie wszystko szło wniwecz, nie wszystko stawało się tandetą. Odradzały się stare, zabytkowe dzielnice, gdzie pietyzm dla przeszłości przechodził nieraz w obsesję, a tuż obok rosły dzielnice mieszkaniowe, biurowce i gmachy reprezentacyjne, nie każdy wszak nieudany i poroniony w koncepcji.

Ta dynamika i szczerza żarliwość drażniła i tych nielicznych, umiejących właściwie ocenić panujące w architekturze tendencje, usuwających się jednak na bok, gdyż brakło odwagi jawnego protestu, i tych znacznie liczniejszych, gotowych przyjąć każdą bzdurę za dobrą monetę, jeśli to im wychodziło na korzyść.

Ci o miernych zdolnościach potakiwacze, gnuśni i zbyt leniwi, by zaangażować się w pracy o charakterze społecznym, najnienawistniej spoglądali na grupkę zapaleńców. Każdego z nich można było uderzyć umiejętnie podszeptym słowem. Ten ma za sobą przeszłość akowską, tamten wrócił z Zachodu, był w armii Andersa, ci dwaj, choć partyjni, jednak zapominają o klasowej czujności, a w ich wypowiedziach odkryć się dają odchyleniowe tendencje. Potem urastały zdecydowane opinie, sytuacja zaczynała stawać się groźna. Trzeba było ustępować pola, patrzeć, jak gasną wszelkie rozwijane przedtem inicjatywy, jak życie związku jałowije, coraz natomiast buńczuczniejsi robią się wyrzucani na wierzch nie najciekawszi faceci.

Bezwiednie niemal obejrzał - się za głównym swoim antagonistą. Sowa tkwił w środku grupki satelitów, nieudolnych, ale trzymających się tym bardziej kurczowo swego duchowego wodza. On sam, niewątpliwie nie bez talentów, choć rozmieniający je nieustannie na drobne, też nudził się przeciągającym zebraniem. I on też nie miał tutaj nic do roboty, i jemu zależało na tym jedynie, by nowy prezes okazał się neutralny i bierny; funkcja w SARP-ie teraz nic nie dawała, nie było po co ubiegać się o to stanowisko. Zresztą jego kandydatura nie miałaby chyba szans, o tym Sowa dobrze wiedział. Plenum zgodzi się na każdego neutralnego, ale jego osoba nie przejdzie.

Już teraz rozsądniej się jakoś ubierał, uprzednie pozy wywietrzały mu z głowy. Bo

wszakże całe lata demonstracyjnie paradował w oficerkach - wynik jakiegoś kompleksu wyrosłego na tle obrazu butów panicza ze dworu. Nie nosił krawata, goła szyja podkreślała wszak bardziej proletariackość. Pewnie z tych samych powodów nie czyścił też nigdy paznokci... Teraz był już bardziej domyty, krawat, choć wymięty i zsunięty pod ucho, widniał na białej koszuli, na nogach tkwiły nie doczyszczone, ale modne, o spiczastych noskach lakierki.

Westchnienie ulgi, koniec porządkowych punktów, nudnawej dyskusji, czas na wybory prezesa. Kandydatury. Padają dwie, jak było do przewidzenia. Chyba już wszystkie?

Jakimiak podnosi rękę. Pewne ożywienie na sali. Jakimiak jest, znany szerzej z kilku artykułów obrazoburczych w „Dzienniku Bałtyckim”, gdzie poddał generalnej krytyce perspektywiczny plan rozbudowy Trójmiasta. W niejednym miał rację. Zaraz zgrupowało się przy nim kilku młodych. Przed paru laty starali się nawet o zezwolenie na własne pismo, pragnęli je nazwać „Szkłane Domy”, coś się w nich paliło, zdolni byli na ogół. Więc buntują się nadal, mają swoją koncepcję?

- Gównu zwojują, kapłani nowej estetyki... - sąsiad zjadliwie syczy Tadeuszowi prosto do ucha.

- Jakimiak wysuwa kandydaturę młodego, ale już jego zapalczywe poparcie nie budzi zainteresowania. Koncepcję może mają, ale reprezentanta nie wybrali zbyt fortunnego.

Nastrój ożywienia znów zagasł. W dymie przyćmiły się światła, zszarzało. Rozdawanie kartek, tajne głosowanie, obliczanie wyników. Jak było do przewidzenia, kandydat Jakimiaka otrzymał parę zaledwie głosów. Inni dwaj szli niemal łeb w łeb. Wygrał człowiek spokojny, dobry, choć nieco naiwny w swoich sądach o sprawach środowiska i kraju.

Jakimiak był wyraźnie zgnębiony. Tadeusz podszedł do niego. Żał mu było chłopca. Działał szlachetnie, z zapałem, dotąd go nie zdołano utemperować ani podciąć Skrzydełek.

Siadając za kierownicą wozu, złapał się na tym, że zaczyna już myśleć kategoriami pokoleń. Było to tak wyraźne na sali. Jakimiak przodował garstce najmłodszych; ci czegoś jeszcze chcieli, o coś walczyli. Ale niepomernie znudzeni byli wszyscy ci starsi; prezesi, kierownicy, profesorowie. Obojętnie, grzecznościowo śledzili tok zebrania. Im już SARP nie był potrzebny, mieli wypracowaną pozycję, stanowisko, renomę. Gdy będzie trzeba, i tak ich nikt nie pominie; przyjdą, pokłonią się grzecznie poproszą... Czy wszakże to sprawa pokoleń? Bo wśród tych opierzonych są starzy, ale i młodszy, nie ma tylko tych z mlekiem pod nosem. To są ci z nazwiskiem...

A on sam? Też należy do tych z nazwiskiem, znudzonych, obojętnych?

Zamiast odpowiedzi z pasją nacisnął na gaz.

Spotkała go zachmurzona twarz Janki. Nie mógł się niczego innego spodziewać. To nie było w porządku wobec Tadzika i przede wszystkim wobec pamięci Pawła. Na zebranie SARP-u mógł nie iść, jego osoba nie była tam wcale potrzebna. Czy więc pognała go jedynie ciekawość, jak rozstrzygnie się przesilenie w zarządzie, czy też wewnętrzna konieczność udzielania się, akcentowania swego istnienia, jakby w obawie, że ktoś mógłby je może przeoczyć? Przecież nurtował go ledwie uświadomiony lęk, że znajdzie się za nawiasem, przestanie być potrzebny, da się zdystansować innym.

Zresztą, tym razem nie tylko te względy decydowały. Świadomie tkwił przecież dziś w SARP4e. Zadzwoił do domu uprzedzając, że zebranie przeciąga się, niech zatem Janina zatrzyma chłopca do jutra... Nawet gdyby Tadzik odjechał, mógłby się usprawiedliwiać przed sobą, że tak się złożyło. Rano przyjęcie projektu, potem wybory. Bo w końcu, przy całej życzliwości dla chłopca, nie cieszył się tym spotkaniem, perspektywami rozmowy. Pociągnie to znów za sobą nawrót do przeszłości, da temat do nie najweselszych przemyśleń.

Udał, że nie dostrzega wyrzutu w spojrzeniu żony. Ucałował ją jak zwykle, rzucił coś o znużeniu, o nudzie, której się jednak wyrzec nie można, w końcu kryją się poza nią istotne sprawy. Zapytał o synka.

- Dawno śpi. Czekał na ciebie, narzekał, że tatusia wciąż nie ma...

- Zostaw, Inuś, wiesz, że pragnąłbym inaczej, tak się układa. Jak Tadzik, pewnie jest rozżalony?

- Nie dziwiłabym mu się... Ale na to nie wygląda. To ciekawy, niegłupi chłopak. Sporo ze sobą rozmawialiśmy. Szczery jest, ma jakieś własne spojrzenie, choć nie wszystko w sobie uporządkował. Zależy mu na rozmowie z tobą.

- Przyjdiesz do gabinetu?

- Jestem znużona... - Zaśmiała się, widząc, że jest przekonany, iż go przedrzeźnia. - Nie kpię, naprawdę jestem zmęczona. Dziś były nudne ćwiczenia. Jutra mam znów to samo.

- Ten twój pomysł z przyjęciem asystentury...

- Nie mówmy na ten temat, znowu się posprzeczamy. Zjesz coś? Podam ci do gabinetu, będziecie sobie gadali. Aha, dzwonił ten Knapik. Prosił, żeby na taras ogrodowy były dwa wyjścia.

- Oszalał? Co jeszcze wymyśli? Kiedy ja się do tego wezmę? Wiesz, może byłoby lepiej, żebyś była przy tej rozmowie z Tadzikiem.

- Ty jemu jesteś potrzebny, nie ja...

Opluskał się trochę w łazience, odświeżył. Przed gabinetem na moment przystanął. Musiał się otrząsnąć z nie najweselszych refleksji.

Wszedł z szerokim uśmiechem. Podnoszącego się z fotela szczupłego chłopca złapał w objęcia, uściskał serdecznie, ucałował w oba policzki, aż Tadzik zaczerwienił się z zażenowania.

- Chyba bardzo się na mnie nie gniewasz, kochany? Tak się paskudnie złożyło, żebyś to przedtem dał znać... Ciągle pośpiech,

„jedno pogania drugie, zupełne wariactwo. Z drugiej strony to ma także swój urok, jest w tym coś z niepokoju typowego dla wszystkich artystów... Siadajże, siadaj! Wyciągnąłeś się tak, bardzo czy schudłeś? Ile ty właściwie, Tadzik, masz lat?

- Już mi leci dwudziesty...

- Przy takich jak ty przestaję czuć się młody. Skąd się nagle zjawiłeś w Gdańsku? W trakcie roku szkolnego?

- Jesienią skończyłem liceum pedagogiczne... Zapisalem się jeszcze na półroczny kurs specjalistyczny w Toruniu. Przed trzema dniami go ukończyłem. Chwilowo koniec nauce, biorę się do roboty. Mam przydział, dobrze się złożyło, bo w samym Olsztynie. A do Gdańska dawno się wybierałem, zależało mi na rozmowie z panem.

- To strasznie miło... Czekaj, chłopie, jakoś musimy uczcić twoje sukcesy. Wypijesz kieliszek? Po co ja zresztą pytam? Jasne, że tak. Koniak o tej porze będzie najlepszy, są tu też jakieś orzeszki na ząb.

Krzątanina przy barku skrytym we wnętrzu jednej z szaf bibliotecznych bardzo mu była na rękę. Nie kleiła się jakoś rozmowa, przewidywał to zresztą, było w niej coś sztucznego. Próżno nadrabiał miną i głosem, długo przecież się nie utrzyma w pozie rubasznego wujaszka. Rozlewał, podsuwał kieliszki i kątem oka zerkał ku Tadeuszowi Sekule. Zastanawiała go powaga w zachowaniu chłopca. Przecież to nie onieśmienie.

- Twoje zdrowie, Tadzik, niech ci się wiedzie. Nie ceregiel się długo, koniakiem niby to trzeba się delectować, ale ja smak jego najbardziej czuję, gdy wypijam od razu haustem. Zresztą jak wolisz, ja, widzisz, nalewam sobie już drugi kieliszek, jestem znużony posiedzeniami, ciągłym galopem. Koniak zawsze dobrze mi robi...

Nagle odechciało mu się gadać, silić na nastrój. Wystarczy tej wstępnej przygrywki. A jeszcze że ten Tadzik tak mu się dziwnie przygląda. Podkpiwa w duchu? Ej, chyba nie. Czyżby więc przymierzał go do swych odczuć, może szuka proporcji między zachowanym w sobie obrazem a realnym jego odbiciem?

Opadł w fotel. Z życzliwym, niekłamany tym razem uśmiechem spoglądał na swego

gościa. Dwadzieścia lat, Boże drogi, takie to małe pętało się przy nim, gdy pierwszy raz zjechał na Mazury do kolonii Pawiowej. Pawła już nie ma, z chłopaczka dojrzały, świadomy człowiek. Pokolenie Polski Ludowej, w niej już wyrosłe. Inni od Jakimiaków, odmienni od starszych pokoleń, bez garbu wojny i bez bagażu trzęsienia ziemi, które dosięgło co nieco od nich starszych. Pierwsze pokolenie bez krzywizn...

Wysoki, podobny do Pawła, ale o rysach ostrzejszych i szlachetniejszych. Mocny zarys podbródka znamionuje energię. Ojciec jego był chwiejny, właśnie energii niekiedy mu brakowało. Czy Tadzik przejął po ojcu szlachetność jego charakteru? A co ma z matki, z Losi, co w nim z jej rodziny?

- Tadzik, nie będziemy się ceregielować... Przyjechałeś z czymś, zatem gadaj prosto i szczerze. Myślę, że porozmawiamy dziś dłużej.

- Musiałem widzieć się z panem. Nie w jednym pamiętniku ojcowskim sprawa... Ale to może później... Zacznę od podziękowania. Gdyby pan nie dopomógł nam wtedy, matka była bezradna, ojczym tak samo, gruźlica spadła nagle. Byłem w liceum, musiałbym przerwać naukę. Pan się postarał o sanatorium, w którym mogłem się nadal uczyć. Po roku wróciłem do dawnej szkoły... I te listy od pana, te paczki, prezenty, a z nimi świadomość, że pan o mnie pamięta, z niej zaś Wypływająca ambicja, że w żadnym razie zawieść pana nie mogę, to dodawało mi sił. Nie zawsze było mi łatwo, sam nie wiem czemu... Więc z serca dziękuję, może w życiu znajdę jakąś sposobność, by pełniej okazać swą wdzięczność...

Jak on mówi, przecież to język inteligenta, ani śladu tych narośli, które ludzie ze wisi, nawet po studiach, dźwigają na sobie nieraz przez całe lata. Po Pawle, jednak po Pawle to odziedziczył, razem z delikatnością, z dużą skromnością...

- Tadzik, miło mi słyszeć te słowa, ale nie mówmy na ten temat już więcej. Twój ojciec był mi prawdziwym przyjacielem. Niewielu bym takich w swym życiu wymienił.

- Wiem o tym. Miałem dziewięty rok, gdy ojciec umierał. Rozmawiał ze mną, mówił wiele o panu. Tak bardzo żałował, że pan nie mógł wtedy przyjechać.

Jednak musiało to wrócić, musiało, już zawsze będzie go prześladować. Owiany mgiełką sentymentu, sprowokowany także i tą porcją koniaku nastrój spokoju minął. Podniósł się z krzesła, przeszedł się po dywanie. Potem stanął przy oknie, story nie były zasunięte, jasno rozświetlona ulica drżała przenikającą ją ciszą. Za nim, w gabinecie, też było cicho, nie słyszał nawet oddechu Tadzika.

Stanął teraz przed chłopcem. We wzniesionych ku sobie oczach dojrzał oczekiwanie.

- Może by wyjazd pogmatwał moje sprawy. Ważne były, to prawda, ale nie najważniejsze. Nie spodziewałem się śmierci, odkładałem więc decyzję z tygodnia na tydzień.

Potem już było za późno... To, że nie zjawiłem się na pogrzebie... Wiele się na to złożyło. Najmniej ważne to, że wykańczałem pracę na konkurs, że była to moja olbrzymia szansa. Istotniejsze, że dopiero wtedy uczułem wstyd za uprzednie zwlekanie. Głupio mi było, przecież nie na cmentarzu byłem potrzebny, ale znacznie wcześniej. Nie wiedziałem, jak spojrzę twej matce w oczy. Gorzko później musiałem tego żałować, po dziś dzień... Tadzik, czy to ci wystarczy? Czy chcesz o tej sprawie wiedzieć coś więcej?

- Dziękuję, panie Tadeuszu. I proszę się nie gniewać, ja wspominałem o tęsknocie ojca nie w takiej intencji.

- I tak by wrócił ten temat, jak bumerang.

Przymknął na chwilę oczy. Trwało to może dłużej. Zastanowiło go milczenie młodego gościa. Spojrzał. Sekuła wpatrywał się w jedną z licznych grafik okalających ściany.

- Czy to z Wilna?.

- Tak, Góra Zamkowa... Tam kościół Świętej Anny, Napoleon podobno na dłoni chciał go przenosić do Paryża, miła legenda. A tam podwórzec uniwersytecki. Nie znasz nic z tego.

- A reszta?

- Gdańsk. Stare Miasto. Widzisz, przemieszały się tutaj Wilno i Gdańsk, chyba nieprzypadkowo, kocham oba te miasta. Tamto, co było, to, co jest... Słuchaj Tadzik, a ty myślisz czasami o Wilnie, o ojcowskich Mejsutach? W nich przecież przyszedłeś na świat.

- Nie - potrząsnął głową. - Jeśli, to tylko przy wspominkach o ojcu. Dla mnie to raczej dalekie, nieznanne. Nie wiem nawet, czy chciałbym kiedy zobaczyć Mejsuty. Nie wywozłem stamtąd niczego, pamięć niemowlaka nie mogła nic zanotować. Natomiast te ojcowskie Mejsuty wyrosły we mnie jakimś własnym, fantastycznym obrazem. Są w nim wszystkie krajobrazy, które kocham. Zetknięcie z prawdą tej wioski byłoby w każdym wypadku zburzeniem tej fantazji. Więc po co w sobie rozwalać coś, co jest baśnią?

- Tak, ty masz poza sobą nasze tęsknoty.

- Dla mnie miejscem rodzinnym jest kolonia ojcowska, miasteczko z zamkiem i fosą, jabłonie przydrożne, które ojciec sadił własnymi rękami. Jest Olsztyn, w którym zacznę pracę nauczyciela, jest Mrągowo z liceum, w którym robiłem maturę. Tamto wszystko, co tak żywe - było w ojcu, jest nadal w panu, to dla mnie daleki świat. Jeśli w czym bliski, to przez uczucie do was. Nic więcej.

- Szczęśliwi, bez kompleksów i rozczarowań.

- Stać nas na swoje, inne, ale ich nie brak... Polska, wie pan... mówi się wiele o naszej antybohaterszczyźnie, o przekpince z ofiar i dziadów, i waszej, o cwaniactwie i cynizmie. A

to nieprawda. Rzecz w tym, że niekiedy chowamy się za tą przesłoną, bo nie chcecie dać nam naszego własnego miejsca.

Podniósł oczy, przyglądał się chłopcu. W jego słowach dalekim, więcej wyczuwalnym niż ogarnianym rozumem echem odzywały się własne młode lata. Czy to się zawsze musi powtarzać, ten właśnie kaliber tęsknot? - Jak ty właściwie widzisz Polskę, Tadzik?

- Jak kraj, w którym wy, starsze pokolenie, często niewiele od nas starsze, zrobiliście niesłychanie wiele, może zmieściliście w krótkim czasie to, ma co kiedy indziej nie starczyłoby pracy kilku generacji. Stworzyliście nam materialną bazę wyjściową. To cenimy i szanujemy. Ale zarazem mamy do was straszliwy żal. I w nim szukajcie odpowiedzi, skąd ten nasz niby cynizm i walka z waszymi świętościami, które po cichu są czymś droгим i dla nas. Budując bazę materialną, zapomnieliście o nas. Zdawało się wam, że wystarczy upuścić nas sloganami, głaskaniem, wołać przy każdej okazji, że przyszłość w młodziży i dla młodziży. Ale o prawdziwym wychowaniu to zapomnieliście. Stąd nasze zagubienie, po omacku nieomal szukanie własnej drogi. Wy zapomnieliście o człowieku, a już zwłaszcza młodym, który pragnie czegoś więcej niż tylko sławienia stawianej przez was Nowej Huty, odbudowy Warszawy, zasiedlenia Nadodrza i Północy, jeszcze tysięcy rzeczy. A potem się dziwicie, skąd między nami jakaś przepaść, brak zrozumienia... Tymczasem najmłodszy mają szeroko otwarte oczy, my wcześniej dojrzewamy, nie tylko fizycznie. Myśmy przyjęli wytyczony przez was kierunek, nie myślimy go zmieniać, ale dążyć będziemy do przywrócenia równowagi w treściach duchowych i materialnych, żadna z nich nie może mieć prymatu nad drugą. Nie chcemy, by i nas przyszła młodziż przyciskała do muru pełnym rozżalenia pytaniem, dlaczego zapomnieliśmy o nich...

- Ty jesteś w partii, Tadzik?

- To wasze przedziały: w partii czy poza nią. Nie przeczę, mogło to być na pewnym etapie potrzebne. My pytamy inaczej: w kraju, tym jaki jest, czy poza krajem. Tu może być przedział. Ja jestem z nową Polską, gdy ojciec mój tylko po części był razem z nią albo tak mu się tylko zdawało. I stosunku swojego nie będę określał legitymacją albo Jej brakiem. To wtórna sprawa.

Mówił to ostro, nerwowo, twarz mu drgała, zanikał z niej poprzedni spokój. Umilkł teraz, ucichło nagle w pokoju, gdzieś z bardzo daleka doniósł się zza okien krótki sygnał klaksonu. Zabrzęczało szkło, zabulgotał koniak. Tadeusz wypił go dwoma łykami. Przed chłopcem stał kieliszek opróżniony do połowy.

Czas przebiegał niezauważenie, już północ minęła. Tadzik spostrzegł się. Wziął do rąk gruby pakiet, starannie zapakowany.

- Już późno... I właściwie to ja głównie mówiłem. Choć zarazem zdaje mi się, że wiele tutaj pojąłem, pomogła mi w tym pańska obecność, może dopiero teraz rozumiem ojca, gdy pisze, jak pan ułatwiał mu we właściwy sposób dostrzegać niejedno w życiu...

- Przecież dzisiaj na pewno ci nie pomogłem. Sam słuchałem, w niejednym minie zaskoczyłeś. Może i zawstydziłeś. Myślałem, słuchając cię, że jesteście pokoleniem bez tych cholernych skrzywień poprzednich generacji. A one na każdym z nas ważą. W każdym z nas jest świadomość, może nie klęski, albo bolesnego zawodu. I chyba jest jednak zasługą to, cośmy pomimo to zrobili... Wy widzicie zjawiska prościej, myśmy je sami częstokroć komplikowali. Ale wyrzuty twoje chyba też słuszne, choć niektóre sprawy widziałbym trochę inaczej... Mówisz o ojcu, o jego zdaniach, przedtem wspominałeś o pamiętniku. Pisał Paweł pamiętnik i tutaj? Sam kiedyś go namawiałem, myślałem, nie zechce więcej...

- Przeczytałem go pierwszy raz przed dwoma laty. Czekałem, aby mieć pewność, że wszystko tam dobrze pojmę, nie wypaczę myśli ojcowskich. Dużo mi dały te cierpliwie robione zapiski. Ale i wiele w nich zostało do wyjaśnienia. Ciągle myślałem, że pan, panie Tadeuszu, zechce mi kiedyś dopomóc w ich naświetleniu. Pan znał ojca i znał ten wasz najgorętszy czas, dla nas w niejednym tragicznie śmieszny, w innym po prostu tragiczny. Sporo tam pisze ojciec o panu, to mnie wstrzymywało, a nużby to w jakimś stopniu zmieniło czy nawet spaczyło w pańskich oczach jego obraz. Tego bym nie mógł sobie darować... W końcu zdecydowałem się. Przywiozłem pamiętnik, zostawię go panu, to nie jest lektura na jeden dzień, na pewno zechce pan wrócić do niejednej z zapisanych tu kartek... Moja serdeczna prośba to tylko o troskę nad rękopisem. Najcenniejsza to pamiątka po ojcu, którego kochałem i Kocham, zawsze szanowałem, a po tej lekturze jeszcze bardziej szanuję.

- Dobrze, Tadzik. Dziękuję. Dziękuję ci też za ten dzisiejszy wieczór. Kto wie, czy nie był mi bardzo potrzebny... Rozbieraj się, chłopcze, ja jeszcze posiedzę, wypiję kieliszek, papierosa zapalę...

Spojrzeniem zahaczył o stół kreślarski, o rozpięte tam kalki ze szkicem willi Knapika. Trzeci już dzień nie może zasiąść do ukończenia tego projektu... W ogóle projekt ten wydał się mu teraz jeszcze mniej ważny niż kiedykolwiek.

* * *

Ocknął się z poczuciem zmęczenia, jak po nierównej walce. Z kim to walczył? Prawda, z Knapikiem, tym fabrykantem oksydowanych guzików, spinek do mankietów, tanich broszek jarmarcznych. Z zysków stawia dziś willę, dyktuje swe wymagania, łaskawie

przemawia do architekta, który mu niczym nie imponuje. Że zna się na czymś? To niekonieczne, by robić pieniądze... Dziwaczny sen. Knapik chciał, żeby było sześć wyjść na taras, jego żona pokrzykiwała skądś, że kuchnia musi być przestronna jak salon. Zakrzyczał, że niemożliwe, że się nie zgodzi, ostatecznie firmuje projekt swoim nazwiskiem, ładnie by wyglądał akceptując podobne bzdury... Wtedy twarz Knapika zaczęła olbrzymieć, gruby nochal rósł, nabierał kolorów. Twarz ta - zbliżała się, rozwierała w niej gęba, chwila, a połknie go.

Z całej siły, z rozpaczą trzasnął w pysk Knapika, prosto w obrzmiały nos. Knapik zachrypiał, zmalął do właściwych rozmiarów, jeszcze się kurczył. Na nic nie zważał, tłukł zaciekle w tę gębę, w kryjącą się w niej przekpinę, w zjadliwy uśmiech dorobkiewicza, nieuka, ohydneho parszywca. Tłukł, aż twarz przeciwnika zaczęła zmieniać się w miazgę, w jedną olbrzymią plamę, rozlewającą się, zanikającą, zbitą aż do jej zupełnego unicestwienia...

Wtedy się ocknął z odczuciem strasznego zmęczenia. Walka zdawała się być z góry przegrana, (pierwszy cios był już tylko ciosem rozpaczliwej, desperackiej samoobrony, dopiero później zmieniły się szanse.

Ostrożnie, by gwałtownym ruchem nie zbudzić śpiącej obok Janiny, przeciągnął dłonią po czole.

Skąd ten sen? Refleks może myśli po rozmowie z Tadzikiem, że projekt ciągle nie wykończony, kalki przypięte od dawna do kreślarskiego blatu. Wyrzuty za brak energii na zabranie się do roboty? A zarazem coś więcej, jakiś ponury symbol wartości tych wszystkich prac, opinii nadwornego dostawcy projektów domów dla fabrykantów guzików i broszek jarmarcznych?

Jedno i drugie. Nie trzeba wszak snów, by wybrzydzać na siebie... Trapi się projektem prywatnej willi, przyklaskuje czyimś zachciankom, nie zważając, że w powstałym w ten sposób kloku nie będzie ani kraty własnej inwencji, lecz tylko zła kopia najbardziej drobnomieszkańskich upodobań i smaczków. I cóż? Ano, całuje rękę pani Knapikowej, gorliwie jej przytakuje. Pamięta bowiem o tej okrągłej sumce, która znowu na jakiś czas zezwoli ma dalsze lawirowanie pomiędzy Tycnerami, Wojtyłami czy Pieluszami, na „ustawianie się” poprzez pseudotowarzyskie grzeczności, przyjęcia, wizyty, poprzez towarzyszącą temu strasliwą, ziejącą, zupełnie już beznadziejną nudę.

Z Knapikiem walczył w tym dziwacznym śnie czy z sobą, powoli zaczynającym się przeobrażać w takiego symbolicznego Knapika? Nie w tym rzecz, że chałturzy, projektuje jedną czy drugą willę, tak czy inaczej składając te same, już ograne szablony. Każdy przecież dorabia. I te wille również trzeba zaprojektować, ostatecznie na dzikie budownictwo nie

wolno zezwalać. Ale to ma istotnie być marginesem. Gdy wszakże margines coraz bardziej zaczyna stawać się treścią i przesłania sobą ambicje, rozmach, piastowane kiedyś marzenia? Gdy tak sprawa wygląda, że projekt dla Knapika czeka zaledwie trzy dni na ukończenie, wyciągnięcie rysunku, dokonanie reszty statycznych przeliczeń, a ta druga praca, ledwie rozpoczęta, zaznaczona tylko ledwie uchwytnym konturem, spoczywa nie tknięta od kilku miesięcy i ciągle zostaje w strefie odsuwanych od siebie, jeszcze gdzieś tłących się tęsknot?

Niekoniecznie trzeba produkować oksydowane guziki, aby mieć psychikę dorobkiewicza. Można nim również być mając opinię dobrego architekta, ciesząc się talk zwanym nazwiskiem. Wtedy dopiero wyłaniająca się ze snu straszliwa gęba stawać się będzie symbolem czegoś przerażającego. Wyrzutem, ostatnim sygnałem do walki dwóch postaw, tej małej, utylitarnej, i tej drugiej, wyrosłej z piastowanych ongiś ambicji, by własnym wysiłkiem, myślą, wizją i mozolnym trudem stwarzać treści wyrażające afirmatywny stosunek do świata.

Właśnie afirmatywny, wbrew doświadczeniom własnym i innych, wbrew cwaniackiemu pozerstwu i nudzie wypływającej z braku zaangażowania w coś więcej niż tylko własna filisterska wygoda. Tylko afirmując można walczyć ze złem, i tanioczą i brudem, przeciwstawiając im wyższe wartości.

Czemu się znów wyłania z mroku ta gęba Knapika, jeszcze mglista, ale już się zaostrażająca w konturach? Już nie straszy, ale śmieje się szeroko rozwartymi mięsistymi wargami. Z tej afirmacji, z naiwności i patosu określeń, powierzchownych i mdłych. Najłatwiej przemawiać z wysokich koturnów, to z góry wiadomo, że długo ustać na nich nie sposób, trzeba zejść na jakiś grunt, nawet grząski czasami, ale zawsze zostaje potem świadomość, że się było hen w górze, wysoko, pragnęło się tkwić tam już zawsze, ale za silny był napór zewnętrzny, obiektywne przeszkody, z bólem, z żalem, z tęsknotą, wieleż tych słów można by jeszcze użyć, trzeba ześliznąć się w tok zwykłych, codziennych spraw. I wtedy już mniej razi, staje się jakoś usprawiedliwiona i ta jedna czy druga, czy trzecia willa dla kolejnych fabrykantów guzików i ta nudna, asekurancka poprawność w pracowni. Bo w końcu i wielkie bloki mieszkalne, i nowe szkoły, i budowle o charakterze społecznym również mogą być niczym innym jak poszerzonym zlepkiem dziesiątków czy setek prywatnych will. Poprawnych, ściśle przylegających do normatywów, oszczędnych, pozbawionych elementów wszelkiego ryzyka, nudnych i szarych. Za to przyjmowanych w spokoju, bez walki, z góry gwarantujących premię i dobrą ocenę równie asekuranckich zwierzchników.

Niepokój typowy dla wszystkich artystów... Komuż niedawno tak mówił? Cóż w nim

zostało z tych stanów niepokoju, z emocji i trudu szukania własnego widzenia, ze zmagania z nieustannym uczuciem niedosytu, z pasji narzucenia innym własnej, wyhołubionej w marzeniu wizji? Był taki czas, żyły w nim podobne tęsknoty, spod ołówka rysowały się nowe kształty, piętrzyły bryły, dźwigały konstrukcje. Zakochanie w reliktach architektonicznej przeszłości poszerzało widzenie nowoczesności. Były zrywy, cóż z tego, że skopane niejednokrotnie, były ambicje, cóż, że gwałtem tłumione, ale była indywidualność. Załamał się zatem, został załamany, tak czy inaczej, nie forma, ale rezultat ostateczny jest ważny. A ten się sprowadza do willi Knapików. I jeszcze śmieć wtedy mówić o niepokoju artysty.

A było tak. Nie zwykły przecież przypadek pchnął go na architekturę, nakazywał w tej dziedzinie szukać własnego, twórczego miejsca na ziemi. Gdyby nie było tych szans w Gdańsku, studiowałby na pewno gdzie indziej. Nagle coś go porwało w tym kierunku. O ileż łatwiej było ukończyć prawo, w oparciu o te studia znaleźć odskocznię do wyboru drogi życiowej.

Rozkochał się w wizjach dalekich perspektyw, w śmiałym rysunku, symetrii płaszczyzn. Ale zbyt wiele miał za sobą, by można było składać decyzje jedynie na karb młodzieńczych uniesień. Rozum, tak jak miłość patronowały decyzji. Dalekie to tak bardzo, że chwilami aż nieprawdziwe. Zagubił się, artyzm wymienił na rzemiosło. Czyż naprawdę aż tak się zmienił, naprawdę przestał być dawnym sobą? Ale ozy w ogóle, tak w pełni, bez reszty był kiedykolwiek sobą?

Sobą? Knapikiem? Jednym i drugim zarazem? Znów ta obleśna gęba, żarłoczna, wargi rozwarte, mięsiste... Schronić się, nie dać się zeżreć sobie samemu czy Knapikowi, jakaż różnica? Uciekać, bronić się, osłaniać na wszelkie sposoby... Ale ona, ta gęba, jest bliżej, zupełnie już blisko. Ratunku, ratunku!

Sen go odbiegł zupełnie. Czuł w sobie lęk przed zwariowaną zjawą, pragnącą go pochłonać... Czerń, przyspieszony jak zawsze oddech Janiny. Sypia jak dziecko, z rękami zarzucanymi nad głowę. Kiedyś lubił podglądać ją dyskretnie w trakcie snu. Dzisiaj i na to brak czasu, okazji, może nawet ochoty. Pochłonięła ich nieustanna galopada, nonsensowny tryb życia, któremu ulegli.

Gdyby nie czekająca ją jutro praca, zbudziłby Janinę. Tak bardzo zapragnął teraz rozmowy. Coraz rzadziej stać ich na spokojną, rozważną wymianę zdań, na dzielenie się swoimi wątpliwościami, na szukanie u drugiego wyjaśnień i podtrzymania.

Praca Janiny. Asystentura na WSSP, dojazdy do Sopotu, przerabianie ćwiczeń ze studentami, szukanie sposobów, by wykład historii sztuki ukazać atrakcyjnie, bez szkolarskiej nudy. To jedna strona. Jest i druga. Janina przecież uciekała w ten sposób z domu, od niego,

od zaambarasowania wyłącznie jego sprawami. Nie uświadomiona, ale przecież wyraźna chęć jego podporządkowania żony własnemu sposobowi myślenia zbudziła w niej wreszcie opór.

Cóż z tego, że w chwilach zgorzknienia próbował przerzucać na żonę przynajmniej część winy za zmianę w ich wzajemnym stosunku. Z podświadomości nigdy nie ustępowało przeświadczenie, że cała odpowiedzialność spada wyłącznie na niego. Janina długo walczyła, broniła się przed wepchnięciem ich życia w nerwowy tok nieustannych zabiegów, gdzie nie wiadomo w końcu, co stawało się ważniejsze: pozycja, pieniądze, poczucie własnej godności, psychiczna niezależność czy wymogi powiązań.

- Zrozum, ja ostatecznie nie mogę zrezygnować dlatego, że nie jestem z ich kręgu... Mam swoje ambicje i chcę je realizować. Stać mnie na coś więcej niż na pozowanie do portretu szarego obywatela, zjadacza chleba.

Słuchała jego przedłożeń, wtedy jeszcze reagowała spokojnie, tłumiała w sobie uniesienia, chciała działać dobrocią.

- Tadek, ale czy to właśnie jest ta ambicja? Czy się nie mylisz? Czy nie poddajesz rytmowi, jaki ci ktoś narzuca? Ambicja to własny styl architektoniczny, jakaś tylko twoja wizja, jakieś wielkie marzenie. Tymczasem ty zżerasz się w tych różnych zagraniach, wśród facetów zdolnych jedynie do wykorzystywania koniunktury. Zabiera ci to czap i energię. Potem już nie możesz wykrzesać nic z siebie.

- Janino. Nie pojmujesz stylu życia, jaki się wytworzył. Niestety, nie ujedziesz bez koneksji, bez powiązań, bez udziału w gierkach i gierczkach różnych gówniarzy. Tego nie można uniknąć. Przynajmniej tak długo, aż się nie wywalczy własnej takiej pozycji, żeby to wszystko mieć w nosie...

- Czym wywalczy?

- No, tym własnym stylem, o którym mówisz, mocnym projektem, koncepcją... Chodzi mi teraz po głowie nowy zupełnie układ brył. Pamiętasz osiedle, o którym ci wspominałem? Gdybym miał szansę dostać taką realizację... Nie mam zbyt mocnego oparcia w Warszawie, bez tego nie poradysz, trzeba by o tym pomyśleć. Podobno inżynier Boguszko robi się szarą eminencją, do niego dotrzeć...

- Ale czym mu udokumentujesz swoje możliwości? Minie ciągle się zdaje, żeś się pogmatwał, zagubił, brniesz coraz głębiej w niepotrzebne ci rzeczy. Z zarządu SARP-u wyszedłeś, nie działasz, okazało się, w niczym ci to nie zaszkodziło...

Wieleż było podobnych rozmów, kończących się smutną rezygnacją Janiny. Dostrzegał, zaciskał czasami usta, by nie wybuchnąć. Zawsze go to rozdrażniało, jak rozdrażniała zarazem i ta jej dobroć, łagodność. Momentami dochodziło do tego, że pragnął

sprowokować, wywołać awanturę, może w uniesieniu słowa jej straciłyby coś ze swojej miażdżącej racji, piękącej, obcej jego racjom.

Ta jedynie istniała między nimi różnica, że on sam w swoje racje nie wierzył. Janina miała słuszość, to wszystko nie było potrzebne, sam wmawiał w siebie wszelkie doraźne konieczności. Własny styl, wizja, marzenie, wyrażane w architektonicznym kształcie, coś odrębnego i niepowtarzalnego - Janina mówiła to serio czy w tonie jej dźwięczała skrywana, może i przez nią samą nie uświadamiana w pełni przekpina, jakiś wielki zawód? Bo temu wszystkiemu przeciwstawiał tylko nudę stereotypów powielanych w biurze projektowym skub plany konstruowane według zaleceń Knapików.

Czyżby i architektura, mię tylko prawo, okazywała się omyłką? Może i tutaj nie był sobą, uległ odruchowi, złudzeniu, że właśnie w tej dziedzinie potrafi się wyżyć, wybije się ponad przeciętność?

Coraz częściej to pytanie natrętnie jawiło się przed nim. Bał się go, uciekał od odpowiedzi. Janina, zmiana w jej zachowaniu, jakiś bunt, którego wyrazem było przyjęcie asystentury na WSSP, poczucie obowiązku niekiedy zdające się przerastać uczucie, czy to wszystko nie łączyło się z jej rozczarowaniem, z odkryciem tej prawdy, o której on sam boi się nawet myśleć?

Janina śpi spokojnie. Czemu na niego także sen nie przychodzi? Coraz gorzej ostatnio sypia. W bezsennych nocach zaczyna się ostrzegawczo świętować nerwowość każdego dnia. Tu śpi Janina, ze zrzucaną z siebie jak zawsze kołderką pochrapuje cichutko Julek, za parę miesięcy, skończy sześć lat. W gabinecie leży Tadzik. Usnął czy może także przewraca się z boku na bok?

Że też sprawa Pawłowego pogrzebu musiała wpleść się w rozmowę z Tadzikiem. Sam naprowadził na jej temat, wystarczyło leciutkie potrącenie przez chłopca tej struny.:

Nie o pogrzeb chodzi, nie o ten nie zrealizowany przyjazd.

Gdyby zjawił się w domostwie Pawła przed jego śmiercią, odpowiedział na naglące wezwanie, nieważny - zupełnie stałby się wtedy udział w cmentarnej uroczystości. Wszystko zaczęło się i urwało wcześniej.

Formalnie był najzupełniej w porządku. Starał się o lekarstwa, przysyłał Pawłowi streptomycynę, zastrzyki, jakieś zagraniczne pigułki. Jeszcze książki, gazety, prezenty dla Tadzika. Interesował się stanem zdrowia, w swoim czasie napierał przecież na potrzebę leczenia. Szczerze współczuł Pawłowi. Nietrudno i Janinie, i jemu przyszło odgadnąć prawdziwą chorobę Sekuły. Przyjęli zasady jego gry, nie dali poznać po sobie, że wiedzą...

Tak, formalnie wszystko w zupełnym porządku. Ale naprawdę? Cóż tłumaczyć się projektami, konkursem, harówką tamtego okresu, straszliwym zmęczeniem, powściąganym napięciem nerwowym. Nie to zadecydowało o zlekceważeniu Pawiowego wezwania. Nawet też nie wygoda, nie zwykły egoizm. Raczej jakaś obawa przed uwikłaniem w nowy problem, wzdraganie przed nasuwającą się koniecznością przejmowania na siebie dodatkowych trosk, zaangażowania emocjonalnego, lęk przed dalszym pogmatwaniem i tak dosyć zaciemnionego obrazu swojej osobowości...

To było dziewięć lat temu, z górą już dziewięć. Nieraz jeszcze stawał w obliczu pokrewnych sytuacji, gdy instynkt podszeptował ucieczkę-. Instynkty zaś tylko w oklepanych formułach prowadzą do słusznego wyboru. Przegrał boleśnie sprawę Pawła, nigdy już chyba nie potrafi się z niej wyzwolić. Nie inaczej skończyły się te dalsze ucieczki. Sprowadzały w rezultacie na coraz beznadziejniejsze rozdroża. Aż doszedł do stanu niemal pogardy dla samego siebie, do tego, że prześladowają go jak zmory obleśne gęby Knapików, on zaś dokonując na samym sobie psychicznej wiwisekcji, znając już przyczyny swych błędów, nie potrafi się od nich wyzwolić. Nie chce, nie może, nie-umie? To w końcu najmniej jest ważne.

Ciągłe te niedopowiedzenia wewnętrzne, zakłamywanie samego siebie. Przecież i w słowach Losi nie mało prawdy. Wyjazd do Pawła latem, z Janiną stawał się wypoczynkiem, pewną formą wakacji... Co innego te inne zetknięcia, one wiązały, domagały się zaangażowania, analiz i odpowiedzi na gorączkowe, niespokojne poszukiwania Pawła. Stawiały w konfliktowej sytuacji... Ale i to nie wyczerpywało wszystkiego. Poglębiała się z latami różnica pomiędzy nimi, nieistotna w konspiracji i partyzantce okupacyjnej, wtedy wszelkie przesadne subtelności same odpływały na dalszy plan, teraz jednak wdzierało się pomiędzy nich również i coś nowego, nie tylko wszakże sprawa odmiennych zainteresowań, innego widzenia zjawisk politycznych, różnicy środowisk, nawyków, ale jeszcze i inny przedział, na pewno wstydlivy, tym trudniejszy do określenia. Paweł bądź co bądź, prosty chłop, zapaćkany w gnoju, pogrążony w tym specyficznym klimacie wsi, z którego nie można się wyrwać, który daje znać o sobie ubraniem, mową, mentalnością, nastawieniem całego życia na obowiązki wyznaczone kolejnymi wschodami i zachodami słońca. I on, Tadeusz, ze swoimi aspiracjami, ambicjami, z pretensjami wreszcie do intelektu, artyzmu, mierzenia wszystkiego tymi właśnie kategoriami. Kiedyś inaczej rozmawiali ze sobą, pełniej i szczerzej. Ale potem rozdział zaczynał się już pogłębiać, razem z nim narastała pewna obcość. Zabrakło szczerości.

Gdzieś tutaj znajdowała się przyczyna jego wzdragań przed wyjazdem do Pawła w czasie choroby, odkładanie z dnia na dzień, aż już było za późno. Uczestnictwo w pogrzebie,

pewnie, byłoby już tylko formalnością, ale nie niechęć do formalistyki, do nudnego ceremoniału sprawiła, że i tym razem też nie pojechał. Wyłonił się zwyczajny, najprostszy wstyd, za poprzednie wzdragania, za odczucia, w których było coś nieprzyjemnie małego, jakaś psychiczna podłostka. I tak grzął coraz bardziej, wplątywał siebie w sytuację, która odzywać się potem będzie przy każdej okazji, trapić, jątrzyć i denerwować. I dla której tak naprawdę to nie znajdzie już żadnych usprawiedliwień. Bo i to, co mówił Wiktorowi czy jego ojcu i to, co przedkładał Janinie, co nawet szeptał w duchu sam sobie, nie było prawdą. Prawdą była ta jego małość, niezdecydowanie, wahanie, nic nowego, struna coraz to pobrzękująca przez całe jego życie. Paweł, Wiktor, każdy z nich na swój sposób, też się szarpali. Ale u nich przebiegało to całkiem inaczej, nawet w buncie była tam konsekwencja. A u niego?...

Tadzik Sekuła; Nazwał chłopca przedstawicielem pokolenia Polski Ludowej, w niej już wyrosłym, tych czupurnych, zaczepnych dwudziestolatków. Pokoleniem zbuntowanym przeciw zastanemu światu, jak każde chyba z dojrzewających pokoleń, Słuchając słów Tadzika, myślał o tym podobieństwie. Ale na pokrewieństwie buntu chyba się, i kończyło. Inna była świadomość Tadzika, jakiegoś bardziej realne oparcie o twardy grunt...

On sam, jego pokolenie, wchodzące w wojnę w tym samym wieku, 4rochę starsze czy młodsze, też było zbuntowane. Inaczej wyrażało swój bunt. Protest przeciw zastanym faktom rzadko kiedy stawał się twórczym protestem. Dokoła wabiła sloganami gęstwa partii i ugrupowań, personalnych powiązań i mniej lub bardziej mocnych lub chwiejnych autorytetów. Ostro rysował się problem wyboru. Stąd skoki od Sodalicii Mariańskiej do członkostwa w nielegalnym ruchu komunistycznym, stąd inne skrajności aż po mamiące pozorną ruchliwością faszyzujące ugrupowania. Obok demagogicznej tandety powaga ideowego zaangażowania. Przeskoki, nagłe olśnienia i równie nagłe zwątpienia. Okresy religijnej żarliwości i okresy zakładania w gimnazjach nielegalnych kółek wolnomyślicieli, jedno i drugie rzadko podbudowane głębszym przemyśleniem.

Ścierały się ze sobą wpływy domu i szkoły, środowiska kolegów i pierwsze zachłyśnięcia możliwością działania w zorganizowanej gromadzie. Ojciec wywodził się z kręgu ideowego legionu. Żyła w nim nutka legionowej legendy, tym bardziej wzruszająco sentymentalna, im bardziej ojciec odchodził potem od swych dawnych kolegów. Z kultem ojcowskich legionów wiązała się tradycja dawnych powstań, mit ułańskiego czaka, ponury obraz rwących w zaśnieżoną przestrzeń sybirskich kibitek. Ale był i ten narastający ojcowski bunt, demonstracyjne ustąpienie z szeregów kombatantów, mnożących się jak grzyby po ciepłym deszczu, protest przeciw wygrywaniu dla osobistych korzyści patriotycznej ofiary.

To jedna dziedzina wpływów przeszłości. Równolegle oddziaływały inne: jakaś związana z endecją półlegalna organizacja w gimnazjum, przydająca poczucie dorosłości ledwie opierzonym szczeniakom, hymny na melodię *Warszawianki* śpiewane przez facetów w jasnych koszulach przepasanych koalicijką z wpiętym w nią mieczykiem Chrobrego, ostry protest głoszony przez opozycyjną prasę przeciw społecznym i gospodarczym impasom, z którymi nie mogła się uporać sanacja. Ulegał czas jakiś tym wpływom, dał się unieść złudnej junackości wyskoków antyżydowskich, ciągnęło przecież do awantury gromadę rozrosłych byczków. Aż nadszedł moment na dziedzińcu uniwersyteckim, gdy cała gromada tłukła jednego, nawet nie próbującego stawiać oporu, skulonego młodzika z przerażonym spojrzeniem zza grubych szkieł okularów, chwilę potem rozbitych na twarzy. Znow się wtedy zbuntował. Wyjazd na wakacje, biwak nad wodą w pobliżu wsi białoruskich, obecność przy którejś pacyfikacji, jak się oficjalnie nazywało represyjne akcje policji. Wszystko to spowodowało gwałtowny odwrót od dawnych powiązań, tym razem zupełny, zbliżenie do tych bitych, inaczej mówiąc pacyfikowanych. Był to czas, gdy narastała w sile akademicka lewica, czas głośnych wyborów w „Bratniaku”, procesów pism młodzieżowych. I jak kiedyś w bojówce rozbijanie pochodu pierwszomajowego, teraz manifestacyjna z nim solidarność. W finale bójka, guzy na głowie, zwiększony zapal, szukanie jakichś kontaktów, pierwsze zbliżenie do PPS-u, przewąchiwanie za własnym miejscem po tej stronie barykady... Aż potem rok 1939, klęska, gwałtowne szukanie winowajców, runięcie raz jeszcze wszystkich dawnych sympatii, znowu poczucie wewnętrznego chaosu. Radą ojca, jakimś hartem, zawsze imponującym, dźwigającego się już z klęski, by tymczasem stawiać na jedną stawkę, na patriotyzm jako rzecz najważniejszą. I tak już zostało. Taka postawa przez konspirację wwiodła go w końcu w Polskę Ludową, z owym bagażem powikłań, tęsknot i nieustannych zadziwień.

Jego droga była miernikiem chaosu panującego w umysłach sporej części tego pokolenia zawieszzonego w próżni. Pokolenia, dla którego stawka tylko ma patriotyzm stawała się często najprostszą drogą do osobistej już klęski.

A to pokolenie reprezentowane przez Tadzika? Pokolenie, którego pełna dojrzałość kształtowała się w czasie wojny, stawało u progu swych dni przed koniecznością wyboru. Ta gęstwa partii i stronnictw, orientacji i autorytetów, dawnych i nowych tradycji stwarzała możliwość wykształcenia orientacji poprzez własny wysiłek. Równie łatwo jednak powierzchowność tego wysiłku mogła prowadzić do skrzywień. Za obecne pokolenie wybór w zasadzie został już dokonany. Pozbawiono je bólu niejednego z ciężkich konfliktów. Oceny, do których ich rodzice czy starsi bracia musieli dochodzić w trudzie, zostały już

wyjaśnione od wczesnych dni. Pokolenie czterdziestolatków przechodziło kryzys klęski wrześnieowej i kryzys akowski. Pokolenie trzydziestolatków przeżywać musiało postalinowskie trzęsienie ziemi. Ci w wieku Tadzika wszystko to mają za sobą, to dla nich przeszłość, niekiedy jedynie odżywająca legendą czy bliznami starszych pokoleń. Ale oni też muszą przeżywać swój bunt. Tadzik o nim mówił wyraźnie. O tym żalu za zapomnienie o nich w morderczej szarpaninie przy budowie i odbudowie tego, co określił jako bazę materialną. Za frazesy o roli młodzieży. Za zachwianie równowagi treści duchowych i materialnych. Bunt przeciw pokutującym, przeniesionym z odległych, dla nich nie znanych lat walki pojęciom i przedziałom, przeciw bezdušnemu segregowaniu po jakichś zakurzonych, przeżartych przez kornika szufladkach.

Tadzik atakował, przystępował z miejsca do szarży. Miał przemyślane zdanie własny stosunek do każdego problemu. Czy oni wszyscy są tacy w tym pokoleniu? Głębsi przez to, że nie mają skali porównań, czy płytsi? Biedniejsi czy też bogatsi?

Pytał chłopca o Mejsuty, o Wilno... Jakaż naiwność tego pytania, ugrzęźnięcie w przeszłości, w świecie starych sentymentów i pojęć. W Niemczech Zachodnich przesiedleńcy mnożą swe wygasające w naturalny sposób szeregi - wpisywaniem na listy członkowskie niemowlaków przychodzących na świat w przesiedlonych rodzinach. Tak samo można by mnożyć liczbę repatriantów, z tym samym też skutkiem. Tadzik odpowiedział najprościej: słowami o kolonii ojcowskiej, o Mrągowie i Olsztynie.. Tamto to dla niego jakaś nuta sentymentu zrodzona przez przywiązanie do ojca, nic więcej... Więc po co zadawać naiwne pytania?

Za wiele tych pytań, za mało odpowiedzi, nazbyt natrętna ta wiwisekcja wewnętrzna, niepotrzebne nieustanne rozszczepianiu włosa na czworo. Spotkanie z Tadzikiem stawało się konfrontacją. Wiedział o tym, pragnął jej i uciekał od niej zarazem.

Coraz częstsze są te konfrontacje z samym sobą. Jakoś namiętnie próbuje je mnożyć, choć mogłoby się pozornie zdawać, że od nich ucieka. Jak i minionego wieczora z Tadzikiem. Tego się nie dało odsunąć, wykreślić z rachunku dni, to było nieuniknione. Więc po co te jego pozerskie zagrania?

* * * ..

Jak zawsze świeży i wypucowany do przesady, Miloch wpadł do pracowni ze zwykłym rwetesem. Zarusieniły się co młodsze kreślarki; zawsze robił na nich wrażenie.

Przysiadł na Skraju biurka Tadeusza, kołysząc nogami, przy czym wpadały w oko

modne, kolorowe skarpetki, perorował trochę piskliwym głosem:

- Za dwa tygodnie samolocik, i jazda. Paszport i wszystkie inne papierzydła są już w kieszeni. Ekipa nasza tak sobie. Wolałbym paru podobnych tobie... Najgorsze te cholerne zastrzyki, wbijali we mnie, gdzie można i nie można, parę dni musiałem przeleżeć. Na szczęście i z tym paskudztwem już koniec... Wiesz, czasem zazdrozczę im, ci Murzyni mają forsę od cholery i trochę, można u nich budować z rozmachem, ani tam nasze normy oszczędnościowe, ani ostrożność z materiałem, ani co. Gdyby tak u nas! A tu tylko się ściętniaj, równaj do wskaźników albo i niżej. Ech...

Tadeusz uśmiechał się słuchając tej paplaniny, nie milknącego potoku słów. Lubił Milocha, z pozoru tylko oczajduszę i bawidamka, w gruncie rzeczy człowieka rzadkiej życzliwości.

- Rozpłyniesz się w zachwytach, co z ciebie wtedy dojedzie do Ghany?

- Bo kiedy ja naprawdę się cieszę jak szczeniak. Pierwsza taka frajda w moim życiu. Pomyśl, dwa lata w dalekim, egzotycznym kraju. Wyobrażasz sobie, jaki muszą mieć temperament ich babki? Twoje sikorki już się gorszą, słuchając tych słów, ale cóż poradzę, kiedy tam słoneczko więcej rozpała niż u nas... Bzdurzę, ale niech sobie pobujam trochę w pętacki sposób, w końcu czeka nas ładna harówka. Taki fuks. Pomyśl, Czechowiczowi zlecono zmontowanie zespołu. Kiedyś pracowaliśmy razem w Bydgoszczy, próbowano mu podstawić nogę w brudny sposób. Kapnąłem się, przeszkodziłem. Stąd nasza znajomość, stąd i mój udział w ekipie. Dobrze, co?

Zaprzestał z nagłą majtania nogami, spoważniał. Przechylił się bliżej do Tadeusza.

- Miałeś już jaki cynk? Stary z tobą nie gadał?

- Nie wiem nic... Trzy dni znowu siedziałem w Gdyni, wiesz, poknócili robotę, nadzór okazał się tym razem nie zwykłą lipą, tylko piekielną harówką... Od dwóch tygodni nie mogę sobie z nimi poradzić, ciągle tam jeżdżę. A ty coś wiesz? Przejdzie ten numer?

- Cholernie chciałbym, żeby przeszedł. I dla ciebie i dla siebie. Co tu gadać, przez lata związał się człowiek z pracownią, szkoda, by się miała zmarnować, rozleć przy jakimś pętaku. Ty, wiem, poradzisz, jeszcze ci to i owo dopowiem, teraz tam się wyłania niezła szansa, przy projekcie nowego osiedla są pewne luzy, można nabrać rozmachu. Ja zrobiłem zaledwie wstępne szkice... Zaśmiał się.

- Po tobie, Tadek, wszystko od razu poznać. Oczy ci się palą. Rozumiem ciebie, to jest jakaś szansa. Facet, niby ja, wyjeżdża, bez rozróbek, bez szeptania zwalnia się miejsce. Dwie pracownie połączone to już jest coś, można się rozkręcić... No, to już ci powiem. Gadałem, gdzie tylko można, pchałem rzecz na wszelkie sposoby. Powinno się udać... Jest przychylna

opinia, ktoś tam wprawdzie bąkał, że ja specjalizowałem się w innych robotach, ale uciałem gościa od razu, że chyba nie wie, co to architektura. Zmalał, o tyci się zrobił, to taki jeden z awansowanych techników, nawet niezły fachman, tyle że inwencji to w nim nie znajdziesz za grosz...

- Cholera, żeby to się jednak udało.

- Uda się, Tadek! Spróbuję dziś znowu pocisnąć. W tych dniach mieli zdecydować. Tam była jeszcze kandydatura Białka, wiesz, chłopaczek, któremu wyskoczył zgrabny pawilonik handlowy w Sopocie.

- Niezłe było i jego przedszkole, widziałem, podoba mi się ten projekt. To może Białka Wezmą?

- Eee, zdolny facet to jest, czuje temat, ale na moją pracownię trzeba rutyny, - tego się z powietrza nie weźmie. Co innego z tobą, Tadek. Nie, tu, moim zdaniem, rzecz pewna. Będziesz kręcił na dwóch stołkach. Przyda ci się... Na mnie pora. Zajrzę do pracowni, potem muszę wyskoczyć do miasta, anibyś się domyślił, ile to kłopotów z takim wyjazdem. Spróbowałbyś choćby tylko pożegnać znajome babki, płacz, że rozstanie, ogólna bojowa gotowość, a człowiek nie w formie po tych zastrzykach. Wszystkiego, Tadek. Pani się pokłoń.

Jeszcze raz zawrócił do biurka:

- Pamiętaj, Tadek, wielka wódka jeszcze przed moim wyjazdem.

- Możesz być spokojny, zorganizuję, takie *rozliwnoje* morze, pojmujesz?

I znów odprowadzające go spojrzenia, a potem ciche westchnienia kreślarce.

Ktoś podniósł terkoczącą słuchawkę.

- Żona dzwoni, panie kierowniku...

Ucieszył się, chwilę słuchał.

- Dobra, Januś, ja wrócę dziś później... - Rozejrzał się, ścisząc głos informował: - Dopiero wyszedł stąd Miloch. Pozdrawia cię... Mówił, że rzecz na dobrej drodze, podobno przychylne opinie, lada dzień będzie wiadomo. Cieszysz się?

Odłożył słuchawkę, spojrzął za okno. Słoneczna, majowa pogoda. Nawet nie zauważył w tym roku, jak wiosna wygląda. Może wszystko się teraz odmieni. Pracownia Milocha specjalizowała się w projektowaniu całych osiedli. Miała dobrą opinię, trafiały tani co najbardziej łakome kąski. To Janek wyszedł z projektem, aby w związku z wyjazdem złączyć ich pracownie, będą mogli przez to zabrać się do większych kompleksów. I oto wyłaniały się szansę na realizację tego zamysłu. Byłby to potężny skok do przodu po nudnych ostatnich latach... Młody inżynier, dopiero po studiach, spojrzął ciekawie.

- Panie kierowniku, prawda to, że przejmujemy pracownię inżyniera Milocha?

- Są i takie projekty, jeszcze nic nie wiadomo... - Mówiąc to, rad był, że znów zadzwieczęł telefon, ułatwiał mu, zbycie pytania kolegi. - Talk, to ja, czas już, by pani mnie poznawała po głosie, panno Dziuniu. Zaraz mam przyjść? Dobra, za chwilę się zjawiam.

Spojrzał na młodego inżyniera.

- Stary znów czegoś chce.

- Może właśnie ta pracownia Milocha?

Wzruszył ramionami, choć o tym samym myślał w tej chwili. W sekretariacie panna Dziunia położyła palec na usta gdy zagadał ją nazbyt głośno.

- Ciii, dyro piekielnie zły.

Znowu wzruszył ramionami, ale już nie pomyślał o pracowni Milocha. Nie znosił złych humorów Likowajskiego. Stary wątrobiarz, pewnie się wczoraj przeżarł i teraz odbija humory na innych... Likowajski stawał się szczególnie nieprzyjemny w napadach swej złości. Zazwyczaj spokojny, wtedy wychodził z siebie, nie zważał na rozmówcę, pluł mocnymi słowami, występował z setkami - pretensji. Trudno, trzeba jednak, wejść.

- Kolega Zapieński, dobrze, czekam już na was...

Gest dłoni wskazujący krzesło.

Tadeusz usiadł, przyglądał się bynajmniej nie dyskretnie Likowajskiemu, z wyraźną ostentacją przerzucającemu jakieś papiery. Nie znosili się od lat, choć właściwie nie było żadnych przyczyn usprawiedliwiających niechętny wzajemny stosunek. Tolerowali się, dbali o pewne formy w obcowaniu, nic więcej.

Likowajski był niewielkiego wzrostu, o drobnej twarzy, na pierwszy rzut oka nawet ujmującej, dopiero uważniejsze spojrzenie mogło wyłapać niemile, badawcze błyski, w oazach i gorzki grymas warg. Mógł on być zresztą skutkiem choroby wątroby, nerek, śledziony, które często odrywały dyrektora od pracy. Rzadko kiedy działał wprost, różne słuchy chodziły o jego zakulisowych posunięciach o cichym szkodzeniu ludziom. W pięćdziesiątym szóstym roku właśnie Likowajski stał się jedną z najbardziej atakowanych postaci. Nie złamało mu to kariery, tyle że przeniósł się z jednego stołka dyrektorskiego na drugi.

Tadeusz nie znosił jego pozy i sposobu bycia. Likowajski nie był inżynierem. Jakby ukończył studia ekonomiczne, ale nikt dokładniej nie potrafił określić uczelni, w której to się stało. Z architekturą nie miał nic wspólnego, jednak dzięki pracowitości nieźle już wyznawał się w jej arkanach. Nie żałował swojego czasu, często zostawał w biurze do późnego wieczora. Zawsze gotów na każde wezwanie władz, aż śliskawy w swojej przy pochlebności, na każde pytanie miał przygotowaną odpowiedź, uzupełnioną wykresami, obliczeniami,

danymi procentowymi.

Teraz zgarnął papiery w stosik, pedantycznie wyrównał brzegi, dopiero wtedy przeniósł wzrok na Tadeusza. Długie, upstrzone brązowymi, typowymi dla wątrobiarzy plamami palce zabębniły po biurku.

- Co to jest, do cholery, Zapieński, z waszą pracownią? Oberwałem przez was taki ochrzan z Warszawy, że go do sądnego dnia będę pamiętał. Cały wasz projekt sknocony od początku do końca. To granda, z byle gównem nie umiecie sobie poradzić. Błędy konstrukcyjne i błędy w obliczeniach statycznych. Podstawowe. Kardynalne. Nie pojmuję, jak mogliście coś takiego wypuścić z pracowni!

Nie od razu mógł zrozumieć, o co Likowajskiemu chodzi. Oddali ostatnio szereg projektów. Trzeba mieć pecha, właśnie teraz, gdy rozstrzyga się sprawa sukcesji po Milochu...

- Panie dyrektorze, o jakim projekcie pan mówi?

- Zespół trzech bloków dla osiedla W-M. Oddaliście go parę tygodni temu.

Myśl pracowała szybko. Rzeczywiście, okres wtedy był gorący, jedno gonilo za drugim. Ale żeby aż tyle błędów? Zaraz, czy to nie zdarzyło się w tym czasie, gdy zaalarmowano go z Gdyni o zmianach w projekcie? Wtedy właśnie zaczęła się harowa z nadzorem autorskim. Należało przepracować od nowa współczynnik bezpieczeństwa, zmianie uległy przecież atesty stali, z konstrukcją dachu też były kłopoty... Ale czemu projekt od razu dostał się do Warszawy?

- Dobrze, a weryfikacja? Przecież robił ją chyba kolega Pielusz?

- Nie robił. Pamiętacie, to przyszło w tej grupie ekstra zleceń z Warszawy. Sami tam weryfikowali. O, tu mam pismo w tej sprawie. Ładną, taka mać, robicie nam, Zapieński, opinię.

- Od paru miesięcy nie mogę uporać się z Gdynią. Wie pan najlepiej, co tam za galimatias. Z nadzoru autorskiego zrobiłem się niemalże instruktorem budowlanym. Może w tym bałaganie nie przejrzałem dokładnie szczegółów, w pracowni mam samych niewypierzonych młodzików, nietrudno wtedy o błędy.

- Nie pieprzcie mi głodnych kawałów. Wy, Zapieński, odpowiadacie za pracownię. Najpierw się podnosi u nas gwałt o jednostkową odpowiedzialność, o zwiększenie zaufania, a potem znów chcecie zwać winę na innych.

- Nie powstało mi nic takiego w głowie. Sam potrafię odpowiadać za siebie. Wskazywałem jedynie na klimat. - Uniósł się, nie mógł znieść fanfaronady Likowajskiego. W końcu poczucie winy też nie wpływało uspokajająco.

Dyrektor nic nie odpowiedział. Długimi palcami manipulował wśród papierków na biurku. Milczał. W powietrzu unosił się żar upalnego dnia majowego, przezroczyście stopy nie hamowały dopływu słońca. Tadeusz poczuł ogarniające go znużenie, tak silne, że przytłumiało nawet pulsującą w nim jeszcze przed chwilą złość. Na Likowajskiego także nie chciał już patrzeć. Niech się wypcha, stary dureń.

- Staraliście się podobno o pracownię po inżynierze Milochu, wysuwaliście koncepcję połączenia. - Likowajski mówił teraz dziwnie spokojnie, tonem, zdawałoby się, najbardziej obojętnym. - Rozważaliśmy tę sprawę. Decyzja jest negatywna. Nie widzimy celu łączenia obu pracowni, każda z nich ma inny kierunek działania. Stanowisko po Milochu obejmie inżynier Białek. Przykro mi, ale nic nie poradzę. Szerokie rozłożenie rąk, zawieszenie ostatnich słów w jakimś oczekiwaniu.

Zagotowało się w Tadeuszu. Oto przepiękny finał! Z jaką satysfakcją wygrywał go Likowajski. Zna się na tym, stary rozrabiacz. Na pewno maczał palce w podejmowaniu decyzji. Szansa pojawiająca się raz na wiele lat mijała obok nosa. Znowu zostanie ślęczenie nad nudnymi stereotypami. Ogłupiająca robota, już to samo zwiększa możliwość popełniania błędów. A on, głupi, tak się dziś cieszył po wizycie Milocha, zwierzał się przez telefon Janinie, pracowników swoich utwierdzał pośrednio w nadziei. Wystarczyło kilka spokojnych, obojętnych na pozór słów Likowajskiego, by wszystko runęło w gruzy.

Czuł na sobie spojrzenie dyrektora, badawcze, wyczekujące. Jakby to ładnie wyglądało, żeby inżynier Zapieński urządził teraz awanturę, bluznął to czy tamto w zdenerwowaniu; zaraz byłby gotowy raporcik do jakichś władz, w końcu diabli wiedzą, gdzie ten Likowajski ma swoje chody. Nic z tego, nie wpadnie jak mucha w pajęczynę jego rozłożonych bezradnie rączek.

Podniósł się z miejsca tak gwałtownie, aż Likowajski odsunął się z krzesła głębiej za biurko.

- Tak, pozostaje mi podziękować panu za wiadomości... Czy ten list z Warszawy mogę zobaczyć? Zrobimy poprawkę. Sam projekt też odesłali?

- Zatrzymali u siebie. Będziemy monitować.

- Tak, trzeba monitować. Jestem panu jeszcze potrzebny?

- Dziękuję.

Na tyle sobie pozwolił, że gdy przeciąg przewiał otwartymi drzwiami, wzdymając stopy na oknach, dopomógł tym drzwiom w zamknięciu. Trzasnęły wcale efektownie.

* * *

Przekręcając klucz w zamku, z niepokojem usiłował sobie przypomnieć, czy rzeczywiście ten wieczór ma wolny, nie trzeba gdzieś iść, kogoś zabawiać, rozmawiać po raz setny o ciągle tych, samych sprawach, narzekać i biadolić, usypiając tym własną energię.

Odetchnął, czuł wyraźną potrzebę samopoczucia, uniósł w górę Julka, który na jego widok wybiegł do przedpokoju.

- Mama w kuchni. - Chłopak zauważył jego pytające wejrzenie. - A omy byliśmy dzisiaj w Oliwie, w zoo. Taka jedna brzydka mała klepała się po czerwonym tyłku, a potem jadła i łapek wcale nie myła. Niedobrze, prawda? Julek zdawał relację, rad, że ojciec po przywitaniu nie odsuwa go od siebie jak zawsze, nie śpieszy do gabinetu, gdzie zamyka się jak borsuk, czekając na obiad.

- Mama, oczywiście, od razu wygłosiła ci kazanie i potrzebie mycia rąk, po, hm, drapaniu się w tyłek, talk, Julek?

- System wychowawczy mojego męża działa w pełni - zaśmiała się Janina. - Narzekasz zawsze, że od wyzwolenia nie opracowano w Polsce modelu wychowawczego. Może byś podsunął jakimś organom ten swój? Skutki od razu byłyby widoczne... Masz dziś ciekawą pocztę, zdążysz jeszcze przejrzeć ją przed obiadem.

Od dawna istniało między nimi porozumienie, że Janina otwiera pod jego nieobecność wszystkie listy z urzędowymi nadrukami. Czasem wyłaniała się konieczność nagłej interwencji, można było przekazać pilne wiadomości telefonicznie.

Przeszli razem do gabinetu. Nawet wiecznie merdający ogonem psiak, kupiony jako rasowy w rzeczywistości niewiarygodny kundel, skorzystał z okazji, zaraz się ułożył na dywaniku pod biurkiem.

- Gratuluję - powiedziała, gdy przebiegł oczyma treść pierwszego listu. Objęła go serdecznie i ucałowała.

Projekt jego na typową, powtarzalną przy małych modyfikacjach szkołę Tysiąclecia uzyskał trzecią nagrodę i został przeznaczony do realizacji. Na tle serii ostatnich niepowodzeń była to pierwsza jaskółka jakiegóż odmiany. Ucieszył się szczerze.

- Może zła passa przemienie, ledwie się już mogłem ostatnio pozbierać - szepnął przytulając żonę. Julek też pchał się pomiędzy nich, nie lubił być pomijany w pieszczotach.

- Czytaj dalej...

Wyszarpnął papier z dużej koperty.

- Ooo... To bardzo ładnie. Od dawna nie pamiętali o mnie. Na decyzję dają mi dwa

tygodnie. To mało. Przecież taka robota to wiele miesięcy czasu. Także i koszty, nie zwróci ich zaliczka za udział...

- Nie staniesz do konkursu? To wielka szansa, Tadek...

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy przyjdzie mi do głowy jakiś dobry pomysł. Zabudowa całego śródmieścia, partie zabytkowe, sprawa harmonii tych elementów... Niewielkie miasto, ale z ambicjami. Konkurs na taką skalę. W Gdańsku nie potrafią się zdobyć na coś takiego, tymczasem ci tutaj... Protektorat wicepremiera, ministrów, sama śmietanka. Jest także profesor Boguszko.

- Twój ideał.

- Ideał, nie ideał, ale facet z rozmachem w życiu i w sztuce. Może imponować.

- Wiesz, Tadzik, bardzo bym chciała, żebyś stanął do konkursu, choćby na złość wszystkim tym Likowajskim, Sowom i innym twoim przyjaciółom.

- Myślisz, poradziłbym?

- Na pewno, nie wpadaj w kompleks niższości. Tej szkoły też nie chciałeś projektować, właściwie napaćkałeś ją od niechcenia. Masz rezultat. A nad śródmieściem przysiedzisz fałdów, wszystko inne odstawisz na bok... Mam przeczucie, że ci się uda.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Mówiła bardzo żarliwie, namawiała gwałtownie. Czemu jej na tym tak zależało? Jakby za wszelką cenę chciała go podtrzymać na duchu, rozbudzić ambicję, wiarę w siebie.

- Jeszcze zobaczymy. Ninuś, mamy czas, dwa tygodnie, trzeba przemyśleć. Przejrzę szkice, założenia, może strzeli mi jakiś pomysł do głowy. Bo inaczej nie warto by nawet się angażować.

- No, to zaczynaj myśleć, my z Julkiem nakryjemy do stołu. Zabawiliśmy dziś długo w zoo, wszystko się opóźniło. Znasz Kasię, dla niej zegarek w ogóle nie istnieje...

Usiadł, patrzył na dużą - białą kopertę. Dawno nie zapraszano go do udziału w zamkniętych konkursach. Od szeregu już lat. Więcej szczęścia miał jako młody architekt, potem przycichło o nim, uznano najwidoczniej, że rozmienił się już na drobne, nie ma co zawracać sobie Zapieńskim głowy.

Przewiało nim uczucie lęku, niewiary w samego siebie. Czy podoła, czy przystąpienie do konkursu nie zakończy się kompromitacją?

Zaraz zawstydził się tych uczuć, nowych jakichś, od niedawna napływających wraz z wielu innymi zwątpieniami. A gdzie ambicje, a gdzie poprzednia żarliwość? Wygasnąć by miało już wszystko? Konkurs staje się wielką, może ostatnią szansą...

Machinalnie rozcinał koperty. Jakieś zaproszenie, prywatna propozycja spotkania, dla omówienia projektu domku jednorodzinnego. Nazwisko nieznane, pewnie znów któryś z handlarzy, bogacących się na lewych siuchtach z marynarzami. Oni najwięcej ostatnio budują. Znów byłyby deliberacje, czy ma być pięć, czy może dwadzieścia wyjść na taras, kuchnia taka czy inna, z klimatyzacją czy bez.

Szeroko otworzył oczy. Przeczytał raz jeszcze. Stempelek był wyraźny: „Inż. mgr Wiktor Pacuk.” Zatem nie żaden naciągany awans z technika, teraz się już zresztą tego nie robi. Normalne studia, dyplom... Śmiesznośćka z tą pieczęcią, taki snobistyczny popis inteligenta w pierwszym pokoleniu. Niech tam. Że się jednak Wiktor dochrapał! Cóż on takiego pisze, nie ma przecież żadnej okazji, ani to święta, ani imieniny. Ach, przyjeżdża na zjazd. To już, prawda, za dwa tygodnie. Pierwsza narada architektów i urbanistów z całego Wybrzeża, wielki krok ku ujednoczeniu planu zabudowy pasma nadmorskiego. Słuszna koncepcja. Nic dziwnego, że Wiktor też został zaproszony. Jakże dawno się nie widzieli! Było to gdzieś z początkiem tego październikowego roku. Drewniany barak w małym miasteczku, to pierwsze zaprojektowane przez niego osiedle, sknocone w dodatku, Wiktor pracujący, tam w charakterze technika, kierownika robót. Nocna rozmowa przy kiepskim winie, cholernie dużo go pili. Spory, kłótnie niemal, zwierzenia.

A potem już nic, przez całe pięć lat, tylko te zdawkowe kartki. Oddalili się od siebie. Wiktor znów wyciąga rękę, chce przybliżyć tamten czas. Czy to jeszcze możliwe, czy znów nie przedzieli ich pamięć Pawła? Ten pogrzeb, jakże on mówił, dał przenikliwy wiatr, Losia szła za trumną z zaciśniętymi ustami. Tadzik także hamował łyzy... Dziwnie wraca to wszystko, jakby nie można nigdy oderwać się od przeszłości, od tego, co było.

Mgiełka goryczy, znów ten uporczywy żal do siebie. Wiktor pnie się uparcie, nie rezygnuje. Życie go nie głaskało, przeżył niemało. A jednak się nie poddaje. Jak to on wtedy mówił o potrzebie wyboru, opowiedzenia się, o niemożności życia w próżni. Dzielił też: my - wy, zupełnie jak jego ojciec.

A on boi się udziału w konkursie, odrzucić chce szansę, jaka się przy tym wyłania, brak mu odwagi wypróbowania własnych sił... Ta myśl wracała teraz natrętnie, dawała znać o sobie prawie fizycznym bólem. Janina ukazała się w drzwiach, prosiła na obiad. Pokazał jej list Wiktora, odcisk pieczęci nadawcy na kopercie. Ucieszyła się:

- Więc się jednak wydrapał. Twardy.

W przeblysku trwającym ułamek sekundy złapał w jej oczach jakby cień rozczarowania. Janina ceniła mocne charaktery. Czyżby się na nim zawiodła?...

Zacisnął pięści. Nieprawda, omyłka, to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Wiktor,

inni, im dano szansę, nosili ją w sobie. Z nim samym było zupełnie odwrotnie. Ale czy warto o tym w ogóle mówić, coś wyjaśniać?

Zamachał dłońmi.

- Twardy, twardy... Pewnie, że twardy.

Z jakąś pasją wymawiał te słowa. Spojrzała na niego, leciutko, ledwie dostrzegalnie uśmiechnęła się.

- A czy nie zdaje się panu, że na naszym odcinku socjalizm zapomniał po prostu o tym, że ma być ruchem patrzącym w przyszłość? Czymże pan wytłumaczy szereg realizacji, którym można by zarzucać właśnie zapatrzenie w przeszłość? Myślę o tym okresie, kiedy nie żałowało się pieniędzy na wszelkiego typu giganty, I czym pan obroni fakt, że trasę W-Z źle zaplanowano? Od paru lat jest za ciasna, olbrzymim nakładem kosztów trzeba ją będzie przebudowywać, poszerzać, co zresztą nie w całości będzie możliwe. Skąd się wzięły wąziutkie ciągi ulic, naturalne korki samochodowe? Wiele jest fabryk planowanych z rozmachem, często z zewnętrznymi efekcikami, a tymczasem metraż na stanowisko robocze jest znacznie poniżej normy...

W perspektywicznych planach rozbudowy miasta zmieniamy teraz na wariata, co tylko można, walczymy o miejsce, ale to trudna sprawa, inna niż zaraz po wojnie, kiedy często dowolnie można było kształtować przestrzeń. Pośród domów, gotowych ulic możliwości się znacznie ograniczają. Ba, dzisiejsze koncepcje oszczędnościowe nie wszystkie też są celowe, i w nich sporo krótkowzroczności, oparcia o zasadę doraźnych efektów. Wyobrażam sobie, jak serdecznie kląć nas będą przyszłe pokolenia urbanistów i architektów. Trzeba więcej odwagi w widzeniu przyszłości...

- Na pewno w tym, co pan mówi, jest racja, ale należy też uwzględniać obiektywne przesłanki. Nie było czasu na dyskusje i wymiany poglądów, na długie projektowanie, życie domagało się najszybszej realizacji...

- Nie wszędzie, nie wszędzie.

- Więc według pana cały dorobek architektów poprzedniego okresu właściwie nic niewart...

- Upraszcza pan. Pisałem przed rokiem artykuł do pisma francuskiego. Z całą świadomością podkreślałem tam, że ze swojego wkładu w odbudowę kraju architektura nasza może być dumna. Cholernie wiele zrobiliśmy, która to ocena nie zwalnia mnie od potrzeby

mówienia prawdy o błędach. Mówi się o architekturze jako o sztuce, zastanawiam się czasem, czy jest to słuszne w odniesieniu do ogółu reprezentantów naszego zawodu, czy tylko do niektórych, wcale nie tak częstych, wielkich indywidualności, o zdolnościach wizjonerskich. Zresztą nie w tym sprawa. W każdym bądź razie zawód nasz jest zawodem zwróconym ku przyszłości, zdolnym do widzenia zjawisk w dalekiej perspektywie. Tu może być płaszczyzna dyskusji z politykami, działającymi dla jutra, ale zawsze w kategoriach wyłącznie terażniejszości. Nie możemy zezwolić na ścieśnianie naszego wyobrażenia, funkcjonalnego widzenia tych brył, które projektujemy i wnosimy. Niczym pan nie usprawiedliwi dziewiętnastowiecznej ciasnoty ulic, placów, przelotowych arterii, budowanych przecież w połowie dwudziestego wieku.

- Ale bo...

- Ja staję po stronie Tadeusza - wtrącił się nagle do rozmowy przysłuchujący się jej dotychczas gospodarz. - Poszkapilo się niejedno. Tkwią w budownictwie przemysłowym, mógłbym pokazać wam jeszcze bardziej wsparte o nonsens cuda niż ciasnota W-Z czy urwany ciąg Marszałkowskiej... Ja wiem, Stefan, bronisz po trosze swoich własnych pozycji, starszy jesteś od nas. W tym, co się stało, niemało, i twojego własnego udziału. W dobrym, ale i w złym.

- Dziś łatwo wam mówić... - zaperzył się tamten. - Gdybyście znali warunki, w jakich trzeba było projektować, pośpiech, różne dobre rady możnych wujaszków...

- Kochany, i wyście mieli, i my mamy kłopoty. Bez swojego czyraka na dupie nikt nie przejdzie przez życie. Musi się mieć i to za sobą... - Wojtyła obejrzał się, czy panie nie słyszą tych jego słów.

- Chyba że tak - skapitulował jego przeciwnik. Wyglądało, że ma dosyć zasadniczej dyskusji.

- Zatem jeszcze whisky? Z Białym Koniem, najlepsza...

Tadeusz pił, brał udział w rozmowie, teraz już błażej, przetykanej różnej wartości dowcipasami, przeważnie o politycznym posmaczku. Zastanawiał się, co kazało Wojtyłie wystąpić tak nagle z tym zaproszeniem. Bo jasne było, że przyjęcie urządał wyłącznie dla nich, ta druga para już tylko na dokładkę, dla towarzystwa. Mało tego, nie po swojemu szarmancki jest, Wojtyła w swej gościnności. Jak to choćby ukrócił tego Stefana. Może zresztą zależało mu na ucięciu dyskusji, obawiał się, by nie padły w niej zbyt mocne słowa. W końcu diabli wiedzą, kim jest ten Stefan. Zjechał do Gdańska z Warszawy niedawno, bąkano po pracowniach, że to tak jakby zsyłka, coś przeholował, najlepszym wyjściem było wycofanie się ze stołecznego horyzontu. Tacy są potem zazwyczaj niesłuchanie gorliwi,

starając się na nowo zaskarbić utracone łaski. Może właśnie w tym rzecz... A serdeczność Wojtyły to dobry znak. Wpadnie projekcik hali, pomysł miał już dawno gotowy, nęciła go ta praca, mógłby na jakiś czas pozbyć się obrzydłych will z rezerwą w postaci loggii, wysokich, strychów, murów obliczanych w wytrzymałości tak, by unieść mogły jeszcze piętrową nadbudowę... Ta hala, w której wszystko koncentrowało się na takim wymodelowaniu płaszczyzn dachowych, by przechwytywały maksimum światła. To byłby pierwszy krok. A potem może przejść do budownictwa przemysłowego... Już mniejsza o perspektywy, ale co ważniejsze, to pozbycie się szefostwa obrzydliwego Likowajskiego. Z Wojtyłą na pewno łatwiej będzie pracować. Można się z tym człowiekiem dogadać. Zresztą, jest między nimi jakaś wzajemna mięta, dopiero co wypili brudzia, było, nie było, te rzeczy się liczą.

Spoglądał na zastawiony stół. Wojtyło miał gest, nr6 spodziewał się tego po nim; uchodził powszechnie za sknerę. Nie pasuje taka ocena do frykasów na stole, zdobytych gdzieś przez „Baltonę”, niektórych rzeczy w handlu przecież się nie dostanie, te krewetki chociażby albo whisky, którą chwali się jak nuworysz. Ostatecznie nie taki to wielki grzech. Gorzej, że wody sodowej mało, o tym już nie pamiętał.

Zadzwoił przedwczoraj. Przepraszał, że tak niespodziewanie, ale zatęsknił nagle za rozmową, za spokojnym wieczorem, więc gdyby wpadli z Janiną pojutrze...

Pewnie, że się zgodził. Było mu to na rękę. Ospale jakoś ciągnęła się sprawa zlecenia na projekt hali, Wojtyło nie dawał znaku życia, sekretarka informowała telefonicznie, że pan dyrektor właśnie wyszedł, że jest na konferencji, że wybiera się do Warszawy. Zaczynało to wyglądać już na zbywanie. Dopiero ten wieczorny telefon. Zatem musi być wszystko na najbardziej pomyślnej drodze, tylko takie sprawy zwykło się dziś zapijać. Z Milochem na wódkę nie poszli, pojechał do Ghany bez niej, w ogóle już potem się nie pokazał, tyle że dla przyzwoitości zadzwonił, tłumaczył, że nie jego wina, miał najlepszą wolę, to Likowajski podobno się uparł, tafcie słuchy do niego dotarły.

Pewnie, że przyjął zaproszenie Wojtyły. Nareszcie zaczynało się coś przecierać. Projekt nosi w sobie od dawna, tylko wyliczenia, zwłaszcza kąty nachylenia dachów, to najważniejsze, a potem będzie można porozmawiać na serio. Zerwać z Likowajskim, pożegnać się, niby przez zapomnienie na odchodnym nie podać mu ręki... Cholera, gówniarskie zagrania, ręka nie ręka. Już i z niego zaczyna się robić pozer.

- Tadziu, kurczę blade, nad czym tak myślisz?. Trzeci raz proszę, byś wypił za naszą przyjaźń. Stefan już gotów, pognał do sracza, wyobrażam sobie, jak zarzyga tam wszystko dokoła. To dobry chłop, ma rozmach, ale kiedyś dużo rozrabiał. Zdawało mu się, że w taki sposób najpełniej „określa się ideowo”. Musiał kiedyś oberwać, przyszło to i na niego, choć

on sam pojąc tego ciągle nie może, stąd jego wytrzeszczone gały... No, za nasze. Miałaś rację z brakiem odwagi patrzenia w przyszłość. Stefan tego nie zrozumie do końca, będzie bronił tamtego widzenia, bo to było jego widzenie. Ludzie rzadko kiedy potrafią odejść od swoich błędów, ciągną się one za nimi jak smród po gaciach... Whisky trzeba z wodą sodową, a mnie smakuje bez niej. Pewnie mam chamskie gardło. Stefan by powiedział: proletariackie. A to duża różnica. Pij, Tadek, z Białym Koniem, kapitalistyczna wódzia. Skąd w nas ciagotki do takich rzeczy?

- I mnie zaczyna rąbać... Za dużo wypilem. Janka krzywo już na mnie patrzy. Siadły sobie przy małym stoliku, kawę piją. I ja chcę kawy, czekaj, naleję tobie i sobie... Ten, jakże mu? Stefan? nie wraca, to dobrze. Powiedz, kochany Leonku, co z halą? Bo wiesz, miałbym inne fuchy do wzięcia, ale to mnie szczególnie pociąga. W ogóle myślę, czyby nie przejść do ciebie... Moc - na kawa, taką sobie zawsze zaparzam, gdy muszę pracować nocami. Więc jak?

- Jak by ci to powiedzieć? To przemysł, decyzje, zapadają dłużej i ostrożniej niż przy jakichś tam blokach... Pilę, jak tylko mogę. Czekam każdego dnia, dali mi słowo, że jutro już będzie wiadomo. Raczej wszystko po myśli, choć nie powiem, żeby nie zaistniały opory. Komuś musisz się nie podobać, ja wiem, nos, a może oko czy ucho. Mają coś różni do ciebie, podpadłeś im, nie wiadomo za co. Że się nie angażujesz, za mało w tobie ideowego podejścia, cholera wie co... Ale nie bój się, jakoś to będzie... Co tam zresztą dzisiaj będziemy gadać, dość ma się w biurze tych spraw. Dziś mam ochotę wypić z przyjacielem. Ot, jutro rano zadzwoń do minie, pewnie będę już wiedział, dowiesz się... Kawy, czy rąbniemy jeszcze po jednym?

- Ty, Leon, ale kto mnie próbuje wrąbywać? Powiedz, musisz wiedzieć...

- Gównon wiem. Mnie też się wszystkiego nie mówi. Są różne kręgi wtajemniczenia. Czekaj, żona mnie woła. O, Stefan już przywłókł się, blady jak śmierć musiało go niezłe wytrząść. Ale on z takich, że teraz będzie już mógł od nowa.

Na nogach z waty odmaszerował do stolika, przy którym nudziły się panie. Nie pasowały do siebie, z trudem znajdowały wspólne tematy.

Stefan całą mocą ścisnął ramię Tadeusza. Głos miał spokojny, zdania budował gładkie. Tadeusz pomyślał jeszcze, że na bardzo różny sposób ludzie się upijają, potem zaczął słuchać z zaciekawieniem...

- Pan, kolego, ma rację, ale wyłącznie w ocenie samych faktów. We wszystkich określeniach przyczyn i skutków pan błędzi. Mówi pan, nazbyt się zasugerowaliśmy przeszłością, nie wyciągnęliśmy wniosków z faktu, że socjalizm musi patrzeć w dalekie jutro... Łatwo tak dzisiaj mówić nawet nam samym, którzy wtedy z jakimś piekielnym często

samozaparcie tworząc te krytykowane dzisiaj, wartości właśnie patrzyliśmy w jutro. Bardzo, straszliwie daleko już odeszliśmy od pierwszych lat powojennych. Mówi pan: ciasno, bez perspektywy widzenia... Ale myśmy tę trasę, te ciągi ulic, dziś może нефunkcjonalne, przeprowadzali wśród morza ruin, wbrew, często zdawałoby się, jakiejś podstawowej logice. Zmienialiśmy dawny, przedwojenny kształt, nie chcieliśmy go już przywracać poza paru partiami zabytkowymi, wie pan Nowy Świat i Starówka. Reszta to było nowe, stawało się wyzwaniem. Chyba nie była fałszywa radość już nie nasza, ale milionów Polaków, gdy widzieli, co wykluwa się z ruin... Zagubiliśmy proporcje? Możliwe. Albo trzeba to ocenić inaczej, rozmach życia nas zaskoczył. Wszystkich... Dziś słucham pana i panu podobnych i uśmiecham się. Jestem pewien, że i was pewnego dnia ten rozmach zaskoczy, okaże się, że i wy nie umieliście się wyrwać z nacisku tej jakoby przeszłości. Nie ma co zwalać na oszczędności, na normatywy, pewnie, one hamują i też nieraz prowadzą do głupstw, za które gorzko będziemy płacić za parę już lat. Tylko że to jakaś fatalna konieczność. Chodzi mi o waszą wizję, również ciasną, bo i wy nie przeczuwacie kształtu jutra. Za piętnaście, dwadzieścia lat was też będzie przeklinać następne pokolenie architektów i urbanistów. Nie wiem, może to jakaś konieczność.

Nalał sobie wódki do filiżanki, wypił ją duszkiem, prosto z kryształowego półmisezka, wziął korek, osobno wydłubał kaparek, zamlaskał ze smakiem.

- Jest i druga sprawa - kontynuował. - Bronię się, miałem swój współdział w tym, co teraz nazywacie ciasnym i krótkowzrocznym. Bronimy się wszyscy. Nie tylko dlatego, że w pełni nie możemy wam przyznać racji, nie w ocenie efektów, ale postaw nami wtedy powodujących. Bo myśmy patrzyli w przyszłość... Ale jest także coś jeszcze. Był to czas, kiedy działał na każdego z nas swoisty mechanizm. Zwłaszcza na tych, którzy próbowali coś robić. Ten mechanizm wykolejał nas samych, zdawało się nam, że to ideowość każe wykańczać nosicieli innych koncepcji, innego widzenia. Tak łatwo było zarzucić komuś zachłyśnięcie się zachodnimi, obcymi ideologicznie wpływami, do jednego kotła wrzucać Le Corbusiera i rzeczywiście byle partacza, tak łatwo tłumaczyć obce naszemu stanowisko argumentami klasowymi, wrogością wobec ustroju. Łatwo się oczyszczało przedpole. Dlatego dziś sumuje się zarówno to, co było cenne w nas i naszych dokonaniach, jak i to co było zwyczajnie brudne...

Jeszcze raz nalał wódkę, patrzył przez chwilę na biały płyn w filiżance. Powiedział innym, znużonym głosem:

- Wtedy, w tamtych latach też piłem. Ale nigdy tak często i tak wiele, nigdy też w tym celu, by się po prostu zapijać. Macie racją, nie macie, ale pokuta nie pokuta, ekspiacja nie

ekspiacja, czasami boli, gdy nas wyrzucacie na śmietnik, tak od razu, za jednym zamachem... Teraz, po wódce, jestem spokojny, dzielę się z panem odczuciami. Ale na trzeźwo będę walczył o swoje, nie chcę, byście mnie zgnetli. Chcę jeszcze czegoś od życia. Choćby tyle, bym miał na wódkę.

Wojtyłło stanął przed nimi wraz z Janiną. Uśmiechnął się, ale Tadeuszowi wydało się, że ułowił jakiś niespokojny błysk w jego mętym spojrzeniu.

- Znów się spieracie? Dajcie spokój... Tadek, nie mogę nic wymóc na twojej pani, ani godzinki. Chce się już stąd zabierać.

Czcze i puste wydało mu się nagle to całe przyjęcie, nudne i niepotrzebne wszystkie rozmowy. Z wdzięcznością spojrzął na Janinę, od razu podniósł się z miejsca.

* * *

Na tym odcinku było zawsze pustawo, w perspektywie gładki asfalt zlewał się z liniami poboczy, można było naciskać gaz. Octavia sunęła z poszumem opon, zagłuszającym pracę motoru. Przez uchylone okna pęd powietrza wdierał się ze świstem do wnętrza, rzeźwił, tarnosił włosy.

Julek bobrował na tylnym siedzeniu, to było jego stałe miejsce, Janina siedziała tuż obok, przy ostrzejszych zakrętach, gdy kierownicę rzucał na lewo, łokciem bezpośrednio odczuwał jej obecność przy sobie.

Cały ranek czuł się źle po wczorajszym przepiciu. Pamięć z trudem wyłuskiwała fragmenty rozmów, dziwnej serdeczności Wojtyłły, odsuwania na później pewnych spraw. Wtedy już coś go tknęło. Była wszakże mowa o jakichś oporach... Dzwonił do Walickiego, to był jedyny kontakt z kimś z władz partyjnych. Kierownik wydziału propagandy wyróżniał się pośród miejscowego aktywu inteligencją i szerokim widzeniem zjawisk. Chciał go prosić o zajęcie się sprawą zlecenia na zaprojektowanie hali fabrycznej, o zgaszenie tych jakichś oporów. Walickiego jednak nie zastał w komitecie, wyjechał gdzieś w teren.

Zatelefonował zatem, trzeba było już mieć to za sobą, do Wojtyłły. Ciepłutki, serdeczny ton, tak jak przy wódce. Wcale nie dyrektorski. Tak, tak, są wiadomości, ale nie przez telefon, niech zaraz przyjeżdża do niego...

Po tym wszystkim zapragnął nagle ruchu, powietrza, przestrzeni. W soboty Janina nie miała zajęć ze studentami, pozostawała w domu. Sam też wyszedł wcześniej pod jakimś pretekstem. Janina i Julek z uciechą przyjęli propozycję przejażdżki. Maj już zbliżał się ku końcowi, a mogli zliczyć tej wiosny parę najwyższych spacerów. Nigdy nie było na nie wolnego

czasu, ciągle to zwariowane tempo.

Zerkał czasem na żonę, w lusterku odnajdywał buzię chłopaka. W Janinie jakby wyzwalala się cicha radość. Świadom był, że bardziej może niż on tęskni do dawnego, pełnego ich zespolenia, wspólnego odczuwania i przeżywania. Ta dzisiejsza przejażdżka stwarzała jakąś namiastkę dawnych dni.

Czuł, że i ona go obserwuje. Jak zawsze była dyskretna. Musiała coś wyczuwać, nigdy nie umiał bez reszty maskować swych stanów, ale nie pyta o nic, nie objawia natrętnego zaciekawienia. Ceni w Janinie jej subtelność.

Szosa była pusta, gładka, bez garbów i pęknięć. Naciskał gaz, pęd powietrza z szumem wdzierał się do wnętrza. Janina przymruzała oczy, mały coś tam pogadywał wesoło, nie sposób było rozróżnić słów. Słońce mocno paliło jeszcze o tej godzinie, od asfaltu bił poblask, boleśnie wciskał się w oczodoły. Uraz łagodziła natychmiast głęboka, intensywna zieleń; pogłębiająca się, im bardziej zniżali się w dolinę Żuław.

Znów zahaczył spojrzeniem o twarz Janiny. Spokojna, z leciutkim uśmiechem, ale i z wyrazem, jakiegoś napięcia. Wyciskał około setki, nie lubiła jazdy w tym tempie. Tym razem chyba jednak nie chodziło o szybkość, nie zwróciła mu ani razu uwagi, nie wskazała palcem na zegar, odczuwał to, wiedział, wczuwała się w jego nastrój, może zbierała w sobie siły, by być z nim razem, gdy zaczął mówić o tych nowych trudnościach, o jeszcze jednym doznanym zawodzie.

Znad stawów dochodzących w tym miejscu do samego pobraża szosy uniosła się czapla z kabłąkowato wygiętą szyją, powoli, ociążale przefruwała do siebie tylko wiadomego miejsca. Julek zaklaskał w ręce, wskazywał na ptaka.

Zwolnił. Nie ma jeszcze godziny, jak wyjechali z Gdańska, a już znaleźli się w sercu Żuław. Rzadko jakąś połączyć kraju znał tak dobrze, chyba tylko kiedyś tamte strony, wileńskie, właśnie te wszystkie połączenia jeziorne, łęgi nadrzeczne, pasma szuwarów przechodzące w bagienne trzęsawiska, gdzie już rosła tylko turzycyca, gnidosz o karbowanych liściach i rozweselająca białym puszkami wełnianka. Gdy pierwszy raz zawędrował na teren Żuław, było tu tak samo niby, a zarazem zupełnie inaczej. Trzcina wybujała znacznie wyżej, pod samo niebo, przez gęstwę jej tylko dzik umiał się przecisnąć, człowiek ustawał znużony po kilku już krokach. Zapadliska były groźniejsze, straszyły ostrzejszą czernią, tafla wody przetkana z rzadka sterczącymi z toni drzewami czy krzewiem gubiła się gdzieś za horyzontem.

W tamtych latach, czterdziestym siódmym i ósmym, rozkochał się w Żuławach, Zatopionych, zalanych wodą, wyrwanych ludzkiej dłoni, zdawałoby się, nie na lata już, ale na

wieki. W tym czasie przecież zjeżdżała na Wybrzeże delegacja holenderskich i duńskich speców od depresyjnych terenów, kręcili głowami, określając szansę przywrócenia tej ziemi życiu w najlepszym razie dopiero za kilkadziesiąt lat... Obszar stał bezpieczny, mnożyły się stada dzicze, przerażając zbiorowymi wypadami okoliczne powiaty, milionami lęgło się błotne ptactwo, w zagarniające także twardszy, żyzny grunt trzciny jak do najdzikszych mateczników kryły się czasem jelenie. Po zalewiskach mnożyły się ryby, od lat nie płoszone tu przez nikogo.

W różny sposób dostawał się wtedy w te strony, sam czy z przygodnie - dobranym kolegą wędkarzem. Na dzień, dwa, czasami na tydzień. Z lada jakim namiotem, z - maszynką spirytusową, z przyczerniałą patelnią. Wyżywał się w pasji wędkarskiej, trofea przewyższały obfitością wszystko, o czym mógł tylko zamarzyć. Był to zarazem czas wielu przemyśleń, może najcieńszy, ale i najbardziej owocny. Żarzył się w nim wtedy jeszcze ten dawny szczeniacki zapal, tliła się wiara w samego siebie, zdawała się znów mocniej rozpalać.

Unikał myśli o obliczu ziemi, skazanej na jałowienie, na dziczenie, coraz bardziej pokrywającej się morzem dwakroć wyższej nad wzrost człowieka trzciny. Gdy dał wiatr, gięła się, falowała, poszum szedł jak od sztormu bijącego o betonowe nabrzeża. Zdawało się mu, że spotykane coraz częściej ekipy miernicze, melioracyjne, inne jeszcze, działają leniwie, jak od niechcenia. Że prawdą najpewniej będzie opinia holenderskich i duńskich speców.

Potem był czas nauki, nie miał tu kiedy zaglądać. Zdumiał się, gdy zjechał po kilku latach na dawne swoje łowiska: nie zostało z nich ani śladu, ma części zieleniło się zboże, część podsychała w podmuchach wiatru i spiekocie słonecznej, wyrastały nowe domy, gdzieś pojękiwały dźwigi i bagry, słały się długimi Miniami wykopy melioracyjne. Żuławy odżyły po niespełna dziesięciu latach.

Znikły tereny dawnych połowów, morze trzciny i stada błotnego ptactwa, zrodziło się uczucie satysfakcji i dumy. Właśnie Żuławy pomogły mu później przy przemyśliwaniu stosunku do Polski. Dzięki nim poczuł się z nią silniej związany, z ludźmi, którzy w kozi róg zapędzili holenderskich czy duńskich fachowców. A były w tym czasie i inne przesłanki do satysfakcji, bliskie, tylko rękę do nich wyciągnąć z mieszkania we Wrzeszczu: stocznia z coraz nowymi wodowanymi statkami i ta gdańska Starówka, przy której sam przepracował spory szmat czasu, i wiele jeszcze podobnych zjawisk. Dźwigały się przeciw sprawom, które drażniły i bolały, stawały się pewną ich przeciwwagą.

Odtąd lubił wracać na Żuławy, odnajdywać na nich coś więcej niż pamięć bogatych rybackich trofeów.

Gwałtownie przycisnął pedał hamulca. Octavia posłusznie zwolniła, zjechali na

szerokie pobocze szosy, wysłane intensywną zielenią młodej trawy. Wóz stanął. I wtedy zerwał się w nim nagle ten wybuch. Wyrósł z gmatwaniny odczuć, które nawarstwiały się nieskładnie, przeplatały jedne, z drugimi, równie ważne i równie prowokujące. I ta zawsze tu odżywiająca tęsknota za ziemią dzieciństwa, i przeżycia, emocje owej chwili, gdy holował z rozlewisk suma większego od siebie, i oczarowanie potęgą żywiołu, trzciny zagarniającej teren zdobywany przez człowieka tak długo, i wreszcie zachłyśnięcie się dumą z kontrofensywy jego pokolenia, które zdobywało się na wysiłek nie tylko nad zwykłe siły, ale nad możliwość zrozumienia, co człowiek potrafi osiągnąć, gdy mocno zapragnie. I nad tym wszystkim najświeższe wrażenie minionego dopiero ranka. Znow próba odstawienia jego zapału na boczny tor...

Stali obok siebie, patrząc w ślad za chłopcem, który, pognął ku kępie najbliższych krzewów. Chwilę milczał, coś w nim wzbierało, pęczniało. Janina musiała to świetnie wyczuwać, rozumiała, czemu zmarszczyło się jego czoło z pasją zmrużyły oczy. Łagodnie ujęła go pod ramię, ciągle bez słowa. Czekala, wiedziała, że zacznie mówić. Jakże go dobrze znała.

Wybuchnął:

- Czasem mam uczucie że nie ma nic większego jak to, że jestem z tego narodu, z tego kraju, z jego dzisiejszych dni. To już nie radość, to jakaś piekielna duma, gdy się spojrzy, co się zrobiło. Ta ziemia, ty nie wiesz, ale ja pamiętam, co tutaj było. Pustynia. A dzisiaj? Znow zboże, domy, dzieci... Tyle w tym kraju się robi, nad spodziewanie, nad możliwości, nad siły! I tyle jeszcze można by zdziałać! Wielu jest takich, co całym sercem pragną w tym działaniu uczestniczyć. I co? Ci sami ludzie, którzy potrafią tchnąć w innych wolę działania takich cudów, jak na tych choćby Żuławach, ci sami ludzie hamują zarazem rozmach, niesłychany zryw energii społecznej. Odsuwa się tych, którzy też chcą razem pracować, pomniejsza się szansa ich startu, uczy malkontenctwa i egoizmu. W imię sztucznych przedziałów, nierzadko w imię interesów różnych wałkoni. Przecież to w końcu bije w tych ludzi na górze, w zasady, które głoszą, to w końcu pomniejsza, zuboża dobro ogólne....

Zamilkł, nagle minęła pasja, iż jaką wygłaszał swoją tyradę. Przytuliła się mocniej do niego, czuła, że w tej chwili staje się bardzo bezradny, zupełnie jak dziecko, jak ten Julek, hasający po łące. Wargi Tadeusza ścięły się w jedną linię, kąciki warg obwisły.

- Znowu się egzaltuję, jak za gimnazjalnych lat, jak za pierwszych miesięcy konspiracyjnych... To dzisiejszy ranek tak mnie nastroił. Już teraz wiem, czemu byliśmy proszeni do Wojtyły. On wiedział - już wczoraj, chciał się wykazać swoim alibi, może osłodzić moją przegraną, może zaasekurować się na wszelki wypadek na przyszłość, skąd

mogę wiedzieć? Bo może w końcu był to po prostu ludzki gest, zwykła sympatia. Prosił mnie dziś Wojtyła do siebie, nie chciał przez telefon nic mówić... Właściwie wtedy już zrozumiałem, ale człowiek zawsze czepia się nadziei. Zamierzałem się nawet skontaktować z Walickim, nie było go; dobrze, że tak się stało, nie mógłby wiele tu zdziałać i nie było sensu go absorbować... No, ale z Wojtyłą. Ugrzeczniony, słodki, diabli już wiedzą, szczerze to było czy poza. Od razu mówi, że jednak fiasko, nie dostanę tego zlecenia. Już wczoraj bąkał o jakichś oporach, przy wódce trudno było się wypytywać, ten cały Stefan przeszkadzał, jakiś sfrustrowany niedobitek tamtego etapu, a właściwie trzeba było przycisnąć, przynajmniej od razu pozbyłbym się złudzeń. Dosyć, że ktoś podstawił mi nogę, znów na jakiejś pseudoideologicznej podstawie. Że niby węzłowy przemysł, taka hala to nie błażostka, a w ogóle mógłbym zbyt głęboko zajrzeć w tajniki fabryki. Jakbym nie wiedział, tak jak wszyscy, co tam się produkuje. Nic o fachowości, tylko ten smrodek. Też bez konkretów - skądże je wezmą? - ale wszystko takimi akcencikami, niedomówieniami, zawieszaniem głosu, stroskaną miną, wiadomo, jak się to robi... Wojtyła zdawał się być szczerze zmartwiony, kłął pod nosem, wybrzydzał, ale cóż, on jest w końcu bezsilny. Więcej nie chciał pary wypuścić, wruszał ramionami, że niby sam też nic nie wie, to przyszło skądś z góry, ani kto, ani co, trudno wy wachać...

Roześmiał się nagle.

- Wiesz, Janka, jedno dobre, że jakoś potrafiłem to przyjąć. Trochę się zdziwiłem i oburzyłem, ale w końcu zbagatelizowałem rzecz, że niby nie taka ważna, przeszedłem od razu na wspominki z wczorajszego wieczora, jak to miło było, przyjemnie, jaki on był serdeczny jako gospodarz. Cały czas wgapiał się we minie, nie wiedząc, kpię czy mówię serio. Kawę jeszcze wypiliśmy, podłapałem go, że ma coś z sekretarką bliższego, aż się rumienił sprośnik, gdy na nią patrzył.

Szli wolniutko skrajem drogi, przysiedli później nad rowem. Z łąk i pól niesło się mocną wonią, ziemia parowała po nocnym deszczu, z jakiegoś bajorka leniwie odzywała się żaba.

- To nigdy nie przestanie mnie drażnić. Dyskutujmy na płaszczyźnie fachowości, zdolności, rutyny, na to zgoda. Albo grajmy w otwarte karty, jasno mówiąc, że tu chodzi komuś o złób, o forszę. Tylko po diabła wprowadzać w to ideologię? Nawet gdybym był nie wiem jak zajadłym wrogiem, i tak dbałbym w końcu o swoją markę jako architekt, dałbym z siebie wszystko, by dobrze i mądrze zaprojektować tę halę. Ale przecież wrogiem nie jestem, choć niektórzy koniecznie chcą we mnie widzieć wroga. Pamiętasz, mówiliśmy kiedyś, wściekałem się wtedy na tego Knapika, że gdy tylko będzie można, oderwę się od tych

fuszerek, od durnej chałturki. Chciałem, nic z tego. Gwałtem pchają mnie w objęcia Knapików. A potem gęby tych nuworyszów zaczynają mnie straszyć po nocach...

Bez słowa gładziła go po ramieniu. Zajrzał jej w oczy. Smutne były, zgaszone, jakby zetlała w tej chwili ich intensywna błękitna barwa, w której głębi wyławiał coś jakby zieleń. A może to po prostu odbijała się w nich tylko ta łąka, nad którą siedzieli.

Zabolał go ten jej smutek, tak dobrze pojmował jego przyczyny. Powie jej, przecież zdecydował się jeszcze w czasie drogi, jakoś go te Żuławy, ich widok, natchnęły, przyspieszyły decyzję.

Objął ją mocno ramieniem, przygarnął do siebie, ucałował w usta; miały leciutki chłodek, który tak lubił.

- Uśmiechnij się Ninuś... Staję do tego zamkniętego konkursu. Jutro wysyłam zgłoszenie. Chce, żeby to była mocna rzecz. Najwyższy czas, bo inaczej na zawsze - ugrzęzę w chałturach, skołowacieję do reszty, zagubię szansę znalezienia własnej drogi... Nie tylko w architekturze. A ja znajduję ją jeszcze, Ninuś, na przekór wszystkiemu.

Chciał jeszcze coś mówić, nie mógł, zamknęła mu usta wargami. Był na nich ten chłodek, ale był i żar, którego nie zaznał tak dawno. Lekko rozchylił powieki, ona też spod przymrużonych rzęs patrzyła na niego. Zobaczył w jej źrenicach wielką radość.

Pomyślał jeszcze tylko, jak on ciągle zbyt mało zna tę kobietę, swą własną żonę...

- Wy się tylko całujecie i całujecie, a tymczasem zobaczcie, co ja tu mam... - nabrzmiały wyrzutem, ale zarazem triumfujący odezwał się obok głos Julka.

Z tymi słowami wysypał na spódnicę matki całą gromadę młodych, zielonych żabek.

- Pełno ich tutaj, takie ładne, milusie... Czemu się mama ich boi? - zdumiał się, widząc, jak Janina zrywa się z ziemi.

A potem zawtórował śmiechem pokładającemu się z nagłej uciechy ojcu:

- Mama boi się żabek, mama boi się żabek...

* * *

Obejrzał się na deskę kreślarską, potem ogarnął wzrokiem arkusiki kartonu rozsypane na biurku. Te wszystkie kreski, zamazane w szczegółach szkice, ledwie obwiedzone konturem rysunki - to odbicie wewnętrznego stanu podniecenia, niejasnych ciągle przeczuć, próba odtworzenia nagle zjawiających się w wyobraźni i równie nagle znikających obrazów. Znał ten stan. Godziny przesiedziane w znużeniu, zmuszanie się do wysiłku, zniechęcenie, a

potem sekundy, najwyżej może minuty przeblysków. Wtedy szybkie ruchy ołówka, kontury, kontury, jeszcze mgliste, ale przecież w jakiś sposób wylapujące wizję rodzącą się we wnętrzu, coś z barwy i harmonii tych przesuwających się w mózgu, ledwie uchwytnych obrazów.

A potem czas przemierzania, dopasowywania faktów do siebie, sprzeciwy i bunty w sprawach pozornie najdalszych od tych pierwszych znaczonej na rajzbrecie szkiców.

Myśl uciekła od kształtów przyszłego projektu. Kawa paruje, gorąca, znów ją przesłodził, trzeba dodać z termosu. Fotel niezbyt miękki, by w nim nie zasypiać i by nie kusił do wygodnego przesiadywania. Zwłaszcza wtedy, kiedy rozkołysana myśl zagarnia coraz nowe obszary.

Niedosyt. Znał to uczucie od szczenięcych, gimnazjalnych jeszcze lat. Ciągła, niewspółmierność tęsknot i pragnień powstałych ambicji i realnych kształtów w realizacji. Kiedyś wszakże, w momentach aktywnego działania, umiał zagasić w sobie to ssące uczucie. Teraz wbrew oporom uzyskiwało nad nim władzę, nasączało sobą cały organizm. Wyrwał się, zdawał sobie sprawę z bezlitosnej ciasnoty tego kręgu, w jakim sam się zamykał, ale sił w końcu brakło, zaczynało się raz jeszcze to męczące gmeranie we własnych bebechach. Inteligenckie nastroje? Wieczne pretensje do całego świata? Chyba jednak nie tylko to.

Nie powiodło się z przejściem pracowni Milocha. Przegrał sprawę z Wojtyłą. Pamięć przywołała z przeszłości więcej podobnych przegranych. Zatem już reguła, nie zbieg wyjątkowych przypadków. Atmosfera kulis, rozgrywek i opinii zapadających w nieznanych konwentyklach, dalekie echa dochodzące w jakichś strzępach wygłaszanych tam osądów. To chyba najwięcej męczyło. Drugie jak gdyby dno w każdej błahostce. Skończyło się z tajnymi, mnożącymi się w aktach personalników opiniami. Ale pozostał jeszcze u wielu, czad każący nie rezygnować z tamtych kryteriów. Parawan pseudoideologii. Maski ochronne dla gorliwców i niedouków. Wszystko przyczajone w mroku, pośród ścielących się cieni, w panicznym lejku, przed jasnym światłem. Tak najłatwiej można by rzecz określić. Czy to wszakże jest pełna prawda?.

To tylko jedna płaszczyzna widzenia tych samych zjawisk. Płaszczyzna osobistego zawodu przygnębienia i uczucia beziły...

Ale z drugiej strony jak łatwo własną nieudolność, ambicje nie podparte talentami, wiedzą czy doświadczeniem usprawiedliwić wyolbrzymieniem owych cieni, snujących się wszędzie; wyrastających do upiornych majaków. Chciałem wszak jak najlepiej, mogłem, umiałem, to „oni” podrzucili mi kłody pod nogi, zgasili mój zapal, stłamsili wyobraźnię, doprowadzili do skrzywienia osądów. To „oni” winni, że kisnę w goryczach i niechęciach,

złorzeczę, na swój sposób zaczynam przytupywać kołomyjce wygrywanej przez ukrytych nie wiadomo gdzie ryzykantów. W samoobronie muszę przyjmować ich taktykę, działać w myśl ich własnej strategii.

Bo przy tym imam prawo i ja nie ufać, węszyć za owymi kulisami, których często w ogóle nie ma. Tyle że tej drugiej strony medalu lepiej nie przyjmować do wiadomości...

Cóż Likowajski? Sama w sobie postać nieciekawa. Biuro wszakże postawił wysoko; zaharowuje się, żądając wiele od siebie, wymaga także od innych. Z tego punktu widzenia Likowajski jednak traci wymiary, w jakich by się pragnęło go widzieć. Może zatem z innej strony: - przerosty ambicji, poczucie zagrożenia, konieczność obrony swojego siodła, skąd krok do umiejętnego wygrywania nie pisanych reguł niejednej gry. Wiadomo, dyrektor potrafił zachowywać się nielojalnie, wyszło na jaw jedno i drugie, w wielu pociągnięciach decydowała w jego zachowaniu zwykła stronnictwość, jeszcze dochodziła słabość do tak zwanych politycznych interpretacji. Dwa oblicza - ten sam człowiek. W miarę potrzeby można oglądać go od dowolnie wybranej strony, zawsze jest się zadowolonym.

Cóż w końcu stało się wtedy? Awantura za rzeczywiście spartaczoną robotę, wychodzącą z jego pracowni. Co kogo obchodzą wyjątkowe warunki, w jakich uchybienia mogły się zdarzyć? To, że młody inżynier przeżywał zawód miłosny, nie cyfry były mu w głowie. Projekt tak czy inaczej, został sfuszerowany, odpowiedzialność za to spada na kierownika pracowni. Likowajski jednym określeniem nie wyszedł poza stwierdzenie oczywistego faktu. A co do Milocha? To była koncepcja na pewno naciągana w niejednym, działalność jednej i drugiej pracowni była dość różna, efekt ich zlania niekoniecznie musiał przynieść korzyści. Rzeczą dykcji czy władz nadrzędnych było przychylić się do koncepcji albo też ją odrzucić. Likowajski, jak każdy inny, miał tutaj na pewno swe zdanie. Oznajmił je. Jakże to ma znaczenie, oschłym czy też przyjaznym tonem?

On zaś tymczasem węszy, klnie, doszukuje się ciemnych sił za kulisami nieprzychylniej dla siebie decyzji. Może jakieś ciche opinie także zagrały, ale równie dobrze mogło ich nie być. Więc po co to błędzenie za nieuchwytnymi cieniami, przerzucanie swojego zawodu na innych, na kraj nieledwie, *na* władzę, na ustrój, na cały porządek świata? Rośnie nieufność do Likowajskiego, który staje się w końcu jedynym winnym, bestią czyhającą na Zapińskiego.

Diabli też w końcu wiedzą, jak było naprawdę z Wojtyłą. Czemu za wszelką cenę piłatowskim sposobem starał się tak gorliwie umywać ręce od całej tej sprawy, urządzał przyjęcie, pił brudzia, cmokał ustami nad mitycznymi jakimiś szerzycielami złych o nim opinii. Też się zasłaniał mię wiedzieć kim, powoływał do życia gabinet cieni, a sam rozkładał

bezradnie ręce. Może grały w tej decyzji zupełnie inne motywy. Równie dobrze mógł być ktoś skumotrzony z biurem czy z samym Wojtyłą, mogło zaważyć w ocenie nowicjuszostwo kandydata w projektowaniu obiektów fabrycznych, w końcu rządzących się swoistymi prawami, innymi w niejednym niż budownictwo mieszkalne. Mogła też być - podobny motyw w stosunku do siebie najtrudniej przecież dopuścić - nieszczególna ocena fachowych kwalifikacji przyszłego projektanta, tymczasem to inwestycja rzędu paru milionów złotych, za które przecież się odpowiada...

Obie strony spoglądały na siebie nieufnie. I obu stronom w jakiś sposób staje się przydatny mit tych „onych”, polityczny posmaczek do najzwyczajszych w końcu decyzji.

I tak rozszerza się, wsysa ich razem to dziwaczne bagienko, którego wcale mogłoby nie być. Stwarza się klimacik, ponure echo okresu, który zaważył widnie, choć pewno mniej, niżeli mu w końcu przypisywano. Jakże trudno o zwykłą, codzienną jawność. Nie umiesz, nie mamy zaufania do twoich umiejętności, brak ci rutyny, trudno, może nawet jesteśmy asekurantami, mówimy to jednak szczerze... Ba, tylko że wtedy to zakichane życie znów stałoby się na swój sposób trudne. Prawda czasami jest boleśniejsza od mitów.

* * *

W drugi dzień zjazdu podszedł do niego młody człowiek z oznajmieniem, że towarzysz inżynier Pacuk nie mógł przyjechać, dziecko mu zachorowało, prosił więc serdecznie przeprosić... Chciał o coś jeszcze zapytać, bliżej wywiedzieć się o Wiktora, ale w tej chwili odciągnął go na stronę Pielusz, młody człowiek zawieruszył się gdzieś, więcej z sobą się nie zetknęli...

Obrady przebiegały ze zwykłą nudą, powodzenie miała natomiast kawa w obszernym hallu, gdzie ktoś przezorny świadomie coś musiał uszkodzić w głośnikach, żadne echa z sali posiedzeń tam bowiem nie docierały. Sprawa dopiero się wykluwała, istniała koncepcja, porywająca, ale zbyt młoda, by można było rozważać jej poszczególne detale. Zagospodarowanie całego pasma Wybrzeża, nadanie mu zróżnicowanego, ale stanowiącego jedność piętna architektonicznego. Miasta, osiedla mieszkaniowe, fabryki, kompleksy wczasowe i sanatoryjne, a obok zespół spraw związanych z portami i rozrastającymi się żywiołowo stoczniami. Architekci, urbaniści, plastycy są coraz bardziej potrzebni tam, gdzie nikt nawet w myśli nie dopuściłby kiedyś ich udziału. Powstała zatem potrzeba nowych form organizacyjnych: przekształcenia pracy biur projektowych i ich ścisłego współdziałania. Nad zjazdem unosiła się nie dla wszystkich jeszcze pełna barw wizja przyszłości, może

niewspółmierna do środków, ale popuszczająca wodze marzeniom.

Oczekiwał Wiktora, odżyła w nim potrzeba spotkania, zadrgały jakieś nutki wspomnień, tych najdawniejszych i tych z dzisiejszych już dni. Rozczarowała go wiadomość przekazana przez młodego człowieka. Zarazem jednak znów się odzywał ten lęk przed spotkaniami, przed potrzebą nawrotu do kręgu spraw ciągle nie dopowiedzianych i ciągle drażniących. Znów byłaby któraś noc przegadana, nasycona zwierzeniem, męczącą konfrontacją na tak wielu płaszczyznach...

Bez Wiktora lepiej mógł przeżywać ten zjazd, pozwolił nawet unieść się zapałowi, zerwał się wszakże do przemawiania, czego od dawna już zaniechał... Obecność Wiktora przesunęłaby orbitę zainteresowań, więcej by patrzył w przeszłość, nie w jutrzejszy dzień. A chyba ta wiara w jutro była mu najbardziej potrzebna.

Zaangażowanie się w konkurs, nagłe objawienie, że można wyeliminować się z gorączkowej galopady drobnych spraw, znaleźć czas naprawdę tylko dla siebie, uspokajało, a jeżeli wytwarzało nawet podniecenie, to jakże inne, związane z wyczarowywanymi na białym kartonie perspektywami, formami, pionami i poziomami. Obecność Wiktora może zburzyłaby ten z trudem wypracowywany, tak dawno nie zaznawany już ład wewnętrzny...

Spotkanie z Wiktorem zawsze stwarza potrzebę cofnięcia się w przeszłość, nie dla niej samej, ale dla pełniejszego obejrzenia na jej tle teraźniejszości, dla odszyfrowywania samego siebie. A czy warto odszyfrowywać, gdy właśnie idzie czas regeneracji, puszczania nowych pędów.

Dopiero teraz pojął, czemu tak niechętnie przyjmował wizyty ludzi związanych z przeszłością. Stąd płynęły wtedy jego wahania przed rozmową z Tadzikiem. Stąd także wzdrażanie przed zagłębianiem się w treść Pawłowego pamiętnika. Parę miesięcy tkwi już na półce, nie wzięty ani razu do ręki. Nie przez lekceważenie tych ręką Pawła robionych zapisek, ale przez zwykłą obawę, że zbyt wiele ta lektura zrodzić może raz jeszcze niepokojów i konfrontacji.

Bo w końcu naprawdę chodzi tylko o to przymierzanie innych do sądnego siebie. Dlatego drażni sięganie w przeszłość, spoglądanie na swoją sylwetkę innymi oczyma czy może raczej widzenie siebie w innych kształtach, w innych wymiarach.

Ale mimo wszystko ostatnio coraz częściej zaczynała się odzywać tęsknota za Wilnem.

Inna jakaś ta tęsknota, mocniejsza od przeżywanej przed laty, ale zarazem bardziej platoniczna, wyprana z politycznych realiów. Wtedy jakby mniej pamiętał o repatrianckiej swej doli, zmuszał się do niepamiętania. Może dlatego w Polskim Związku Zachodnim szukał

przeciwwagi dla bolesnych refleksów, później znów zachłyśnięcie się gdańską Starówką nadrabiać miało pamięć starego Wilna. Bo też każdy nawrót pamięci bolał, fizycznie bolał, odradzał się buntami, jaskrawością ocen, niebezpieczeństwem czających się za nimi nie dopowiedzianych decyzji... Teraz przecież nie waży sprawy buntem przeciw politycznym realiom. Nie sumuje tęsknot w marzeniach powrotu... nie myli się umawiając na spotkania w plątaninie nazw ciągle wszak jeszcze żywych. To dzisiejsze jego Wilno jest symbolem, odbiciem jego własnej osobowości. Jest właśnie konfrontacją dwóch jakby Zapięskich. Tamtego z Wilna i tego z Gdańska.

I tego się boi. Dlatego unika sytuacji stwarzających wewnętrzną konieczność powrotu do dawnego siebie.

Spoglądanie na grafikę odtwarzającą subtelność gotyku kościoła Św. Anny czy szerokiego kompleksu podwórzni uniwersyteckich albo masywu murów klasztoru pobazylińskiego nie wzbudza innych w zasadzie refleksji poza odczuciem piękna tych właśnie obiektów. Dopiero ujrzanie w wyobraźni własnej sylwetki mijającej właśnie ten kościół, obrony napadniętego przez całą gromadę Żyda na dziedzińcu uniwersyteckim, własnego zaciekawienia przy oględzinach celi Adama - dopiero to nabrzmiewa tęsknotą. Bo przecież Wilno jako miasto, jako kształt polityczny stało się dzisiaj dla niego odległe. Żyje natomiast intensywnie w bardziej abstrakcyjnych wymiarach tęsknoty za sobą samym, za tym kimś innym, kim był tam - w odróżnieniu, w buncie przeciw temu, jakim jest dzisiaj.

Rozwichrzony był ten jego wizerunek wileński. Wiktor powiedziałby pewno, że i wtedy był nie sprecyzowany, uchylający się od decyzji. Wtedy szukał gwałtownie i namiętnie, chciał tego szukania. Balansował często pośród skrajności. Silniejsza nad wszystko inne była tęsknota za własnym miejscem. I zawsze istniała w nim zarliwość działania dla idei, która wydawała mu się aktualnie najpełniejsza... W ten trudny, ale na pewno nie bezpłodny czas wtargnęła katastrofa września, zmieniająca sympatie i antypatie, ukazująca zjawiska w groźniejszym kształcie, w zwiększonym wymiarze. Konspiracja zjawia się jako jedyna szansa wyjścia z szamotaniny poglądów i orientacji. Konspiracja w swej treści wewnętrznej jakaż łatwa i prosta. Wystarczy hasło walki z okupantem, wizja wolnej ojczyzny. Jakiej, to się staje mniej ważne, chwilami wręcz nieistotne. Ale z czasem okazuje się, że to nie wystarcza. Wszystko, nawet działanie konspiracyjne, podlega pewnej stabilizacji, zastyga w jakichś ukształtowanych formach. Nawet w końcu ryzyko, życie za pan brat ze śmiercią staje się normalnością. I oto obok zawołania patriotycznego pojawiają się coraz to z innej strony dodatkowe wezwania. Na lewo, na prawo, w zgodzie wszystkich ze wszystkimi albo w generalnym skłóceniu. Kiszą się, kipią dawne namiętności, ambicje i najzwyczajniejsze żądze.

Szkolą się przyszli starostowie, ktoś obsadza już synekury na jutro. Rygorystyczne posłuszeństwo zaczyna stawać niekiedy Okoniem wobec niezrozumiałych albo sprzecznych z podstawowymi pojęciami decyzji. Zatem konflikty, starcia, wzrost wymagań, poświęcenia i ryzyka, ale coraz to skąpsze dawki pochwał, awansów, odznaczeń, gdy w stosunku do innych dzieje się właśnie odwrotnie. Jakże ciężko zapracowana szarża podporucznika, ani o jeden krok dalej. Zresztą to nie wzbudza wtedy pretensji; zrozumienie i związany z tymi posmak goryczy przyjdą później, wtedy gdy działania wojenne zostaną zakończone i ze wzmożoną ostrością raz jeszcze pojawi się dylemat wyboru. Poprzedzony w dodatku raz jeszcze wzbudzonym chaosem. Bo byli w końcu i ci z legionowej przyśpiewki, był także Grzybas w kolonii opodal Pawiowej wioski, istnieli też tamci, którzy, skoro już szli to koniecznie i tylko „w skier powodzi”... Z londyńskiej stacji nie pobrzmiwała już teraz melodia „Z dymem pożarów”, wtórująca tragedii warszawskiego powstania, zastępowała ją nuta bezradności i niezdecydowania, ale od lubelskiej strony płynęły na wyzwolony kraj jednocześnie obok pekawuenowskich haseł także słowa o reakcyjnych akowcach. Jakże w tym wszystkim dokonywać wyboru, jak nie czynić fałszywych kroków?

Tyle że kroków tych jeszcze się nie bał, nadstawiał głowę, warto było, bo w coś się wierzyło, na jakąś kartę rzucało się wszystko...

Jeszcze tu, w Polsce, umiał spalać się w pasjach. Otrzeźwienie następowało powoli, narastało wahaniem, zagubieniem tamtej wileńskiej wiary. Otrzeźwienie stawało się też zarazem klęską. Wtedy dopiero nabrał spora z tych cech jakimi obdarzał Wiktor. Jak kiedyś był szukaniem, teraz stał się wahaniem, gorzej, często zwykłą asekuracją. Dotychczasowe życie jakby się rozpadło na dwie części: tamtą dawną, żarliwą, i tę obecną, boleśniejszą, to prawda, ale wypraną już także z pełni szacunku i zaufania do samego siebie.

Cóż dziwnego, że tęsknił za sobą, tamtym wileńskim chłopcem, że jednocześnie dławił te tęsknoty, nazbyt upodabniały się bowiem do wyrzutów sumienia? Czy mógłby jeszcze się stać dawnym sobą, oderwać od otoczek, mgiełek, pozorów, jakimi obrósł przez lata jak kamień w zatęchłej wodzie?

Najłatwiej było odsuwać od siebie to pytanie. Zarazem odsuwać, choćby wbrew sobie samemu, to wszystko, a zwłaszcza tych wszystkich, co mogli przypominać ten jego wizerunek wileński Pacukowie przypominali, przypominał, dopóki żył, Paweł, w zastępstwie czynił to dzisiaj jego syn, Tadzik...

Skąd się w nim wtedy zrodziła ta wewnętrzna potrzeba protestu, przeciwstawienia mądrym wszakże, rozsądnym, choć nudnym, wyzbyta żaru wystąpieniem zjazdowym? Nie narzucana, wewnętrzna zgoda dyktowała solidarność w poparciu przestrzennych planów

zagoszpodarowywania Wybrzeża. Uczciwy był ciągle głoszony postulat dobrej roboty, z hasła przeradzał się w żywą treść konkretnych już projektów i planów. Zarazem jednak martwo i ospale toczył się przebieg obrad, nie rozwiewała się aura znużenia, z jaką większość przybyła na salę. Kształt tej przyszłej, czekającej ich dobrej roboty stawał się kształtem samym dla siebie, oderwanym jakimś, świadomie izolowanym od reszty spraw kraju, tych nie zawsze wszak najweselszych, trudnych, znaczonych na wykresie zygzakowatą, zdobną zakrętami linią.

Ale w końcu przecież klimacik moralnej neutralności traktowanie fachowości nie jako środka, lecz celu, nie spłynął na salę z nieba, nie zrodził się na niej, odbijał te treści, jakimi rządziło się niejedno już środowisko. Sam on stykał się z tym na co dzień, sam ulegał uwikłaniom oplątującym zapał i żarliwość mackami ośmiornicy. Więc skąd w końcu ten niespodziewany dla niego samego bunt, wystąpienie podyktowane nagle zrodzoną pasją, drażniącym, wprowadzającym niepokój wtrętem rozbijające sennawą atmosferę zjazdu mijającego w ogłupiającej, ale tak miłej atmosferze powszechnej zgody?

Wiele chyba złożyło się na narastający, cichy jeszcze, ale coraz mocniejszy bunt przeciwko samemu sobie, przeciw rozmałnianiu wewnętrznemu, narzucanemu poprzez zjawisko zwane przez niektórych małą stabilizacją. Stabilizacją czego? Bunt przeciwko odżywającym, tyle że przyklejonym na niby socjalistyczny sposób, mieszczańskim ideałom, spokoju, dosytu i samozadowolenia, bunt przeciwko zgodzie na wszystko, cokolwiek nie hamuje szans dorabiania się, przeciwko przyjęciu mieszczańskiej ideologii, upstrzonej jeszcze dla zaspokojenia sumień sloganem liberalizacji, równych praw startu, ba, nawet prawa do ostrożnej krytyki, stanowiącej najwygodniejszy parawan dla kompromisów, stawki na koniunkturę dla ideowego cwaniactwa.

Z tego podłoża zrodził się bunt, z pasją wypowiedziane wystąpienie. Bez przygotowania, bez notatek i przemyślanych uników, aby nie powiedzieć zbyt wiele. Bez asekuracyjnej liny w odwodzie.

Wołał o zaangażowanie, o pasję, o zapał, dopiero przydające sensu dobrej, najlepszej choćby robocie. O potrzebę zrośnięcia z działaniem treści wewnętrznych. Sama robota, bez żaru, bez zaangażowania w niej siebie także i w sensie duchowym, tylko w skromnej mierze przyniesie upragnione wyniki; w którymś miejscu skończy się zahamowaniem, nową klęską dla jednych, niedosytem, poczuciem frustracji dla innych... Bo musi się nadać jakiś szerszy, pełniejszy sens własnemu istnieniu, odnaleźć głębsze treści własnego życia.

Zdumiało salę to jego przemówienie, ściągnęło nawet tych zaprzysiężonych kawoszów, kontemplujących niestrudzenie barwę ścian w kularach, zaskoczyło, zgniewało.

Czyż nie starczało zainteresowanie tematem, aprobatą sugestii, korzystnych dla nich, a zarazem dla kraju, co w sumie przynosiło spokój sumienia, wyrzucenie się kłopotów i trosk. Po co ten Zapieński staje się bardziej niż sani papież papieska?.

Ale zarazem ekscytowało, podniecało to wołanie o twórczy współdziałanie nie tylko fachowości, ale i serca. Bo w końcu w jakimś stopniu odpowiadało to odzwierciedleniem na wstydliwie zatajone w sobie podobne uczucia; zagrzebane teraz pod teoryjką małej stabilizacji....

Rad był, że pozwolił się unieść nagłemu napływowi pasji, i klął siebie zarazem za niepotrzebną może dekonspirację, zwrócenie na własną osobę powszechniej uwagi. Ale w końcu był to jakiś pierwszy od długiego już czasu odruch, zbliżający go do własnego obrazu z tamtych dawnych, czasem już zgoła wyglądających na jakąś legendę, wileńskich czasów.

Grafiki na ścianach gabinetu, te z Wilna i także te z Gdańska, nabierały nowej wymowy, ich kontury zyskiwały większą głębię i wyrazistsze, akcenty.

* * *

- Zastanawiałem się ongiś, czyby na parę lat nie rzucić wszystkiego, zająć się socjologią, nie dorywczo, jak teraz, ale studiować normalnie, od razu łącząc to z architektonicznym i urbanistycznym widzeniem. My wszyscy zbyt mało znamy człowieka, a jedyna szansa naszego zawodu tkwi w wybiciu nad inne cechy humanizmu, postawy służebności w stosunku do niego... Nic nie wyszło z tych marzeń, niełatwo wyrwać się z kieratu. Tyle że obiecałem sobie, iż będę się radził fachowców, co i jak trzeba prywatnie poznać z tego zakresu; choćby tylko w elementach najbardziej istotnych...

Mówił, jak zawsze, zapalając się, impulsywnie - niezależnie od tematu rozmowy. Przypisywano to skłonnościom tarczyczym. Istotnie, w osadzeniu oczu Jakimiaka znać było lekki wytrzeszcz,: zaznaczał się guz na krtani, zwłaszcza gdy właściciel jego był zdenerwowany, a denerwował się przecież często. Chyba jednak nie tylko to decydowało o pasji, o gwałtownym trawieniu życia. Tadeuszowi w jakiś sposób przypominał on jego samego sprzed lat. Czy i Jakimiak zawiesi na kołku ambicję wysokich lotów? Na to nie wyglądało, musiał stanowić inną konstrukcję psychiczną, poza tym był młodszy, otrząsał się w konfliktowym klimacie powojennego życia który nieco starszym osmalił skrzydła. On na te płomienie był już uodporniony.

Jakimiak zapowiedział się ze swoją wizytą w parę dni po zjeździe głośnym z Tadeuszowej filipiki. Przeciągnęło się jednak, spotkali się dopiero po dwóch tygodniach. Nie

zdawało się, by wpływało to na osłabienie temperatury Jakimiakowych zamysłów.

- Co tu gadać, nas to cholernie wzięło. Nie tylko mnie, także i innych. Myślmy podobnie, ale nawet nie wrywaliśmy się, zaraz posypałyby się przekpinki, że szczeniaki, mleko pod nosem, dobrze jeszcze nie wiemy, czym jest nasz zawód, wie pan, atmosferka dla ogłupiania, a tu jeszcze łatwy pretekścik. Co innego pan, tu *waży* pozycja, rutyna, autorytet w środowisku. Tego tak zupełnie zbagatelizować się nie da... Dla nas znów ważne dodatkowo było, że to pan mówi, że właśnie pan wraca tak ostrym startem do pełniejszego życia. Pamiętają jeszcze niejedni pana aktywność. Potem miał pan okres jakiejś depresji, wycofał się, zdawało się, już na zawsze. Dopiero to wystąpienie... Choć myśmy już wcześniej o panu mówili.,

- Panie Zygmuncie, bez przesady. Nie znam jeszcze sprawy, z jaką pan przychodzi, ale jeśli coś wam w związku ze mną strzeliło do głowy, to chyba dopiero po tym wyskoku na zjeździe. Bo przedtem, na jakiej płaszczyźnie, w oparciu o co? Wycofałem się czy mnie wycofano, mniejsza o to, fakt, że już w robocie społecznej udziału nie brałem.

- Mimo to ciągle panu się mówi. Dobrze czy źle. Nazwisko Zapięński czyimś drażni, czymś innych przyciąga... Gdy dokooptowano mnie do zarządu SARP-u, gdyby pan wiedział, jak ochoczo uczyniło to zacne gremium, od razu zresztą spychając na mnie kupę roboty, od razu chciałem zetknąć się z panem, naradzić, zapytać, może też o niejedno poprosić.

Zaskoczyły go te słowa. Nazwisko Zapięńskiego drażni albo przyciąga, jest jeszcze w obiegu? Czyżby przez pamięć tamtych aktywnych, żarliwych lat? Bo z jakiejż innej przyczyny? Te wszelkie zagrania, ustawiania, takie lub inne koneksje należą do spraw innego kalibru. Po zebraniu wyborczym w SARP-ie podszedł do Jakimiaka, rzucił kilka ciepłych słów, by mu osłodzić przegraną po nieprzejściu ich kandydata, tej grupki szarpiących się młodych. Może po prostu refleks owej życzliwości kierował później intencjami tego zapaleńca, nic więcej. Chyba jednakże nie tylko. Jakimiak nie kłamie, ma odwagę wyrażania bezpośrednio swych myśli. Więc jednak pamiętają o nim, na tym tle wyrosło poruszenie spowodowane wystąpieniem na zjeździe architektów Wybrzeża.

W każdym razie była to jakaś satysfakcja, czuł wyraźne zadowolenie, życzliwiej spoglądał na Jakimiaka. Chłopak jeszcze kołował, daleki zdawał się być od sprawy, z jaką przyszedł. Tylko czego może chcieć? Włączenia go znów do jakiejś roboty? Na to nie da się nabrać...

- Ten postulat to jakiś minimalizm poprawności. Nie chodzi, przynajmniej u nas, w naszym fachu, o samą dobrą robotę. Architekturze trzeba rozmachu, pełniejszego widzenia, zwykłej odwagi. Poprawność, przeciętność to dobre chyba dla każdego ustroju, ale nie dla

nas, którzy chcemy wyzwalać nie spotykane dotychczas, zasoby energii, myśleć perspektywami, w końcu i ryzykować, bo ryzyko także stwarza szansę. Dobra robota to założenie wyjściowe. Może słuszne to w fabryce, gdzie knocą poszczególne detale, może w konfekcji - dbałość, by oba rękawy były tej samej długości, u nas ten typ dobroci jest nieodłączną treścią całej pracy. Taki slogan ogłupia, a nie dodaje sił. W architekturze to będzie trąbka na odwrót... Robimy dobrą robotę. Dobrą, to znaczy nudnie poprawną. W końcu w projektach naszych jest jakieś widzenie przestrzenne, jest funkcjonalizm, są zdobycze formalne. Nam brakuje rozmachu. Operuje się terminami: walory konstrukcyjne, wartości funkcjonalne, racjonalizm rozwiązań; przejadło się to, stało puste, bez żadnego wewnętrznego pokrycia. Jak mnie nudzą te wszystkie nasze realizacje, ciągle jednakowe, w szczegółach zerzniete czasem bezczelnie z zagranicznych podpatrzeń. Szaro, nudno, przeciętnie. Ciągłe mówią o architektonicznym kształcie, bo urbanistyka to w ogóle jeszcze dziedzina teorii, w praktyce natomiast marzycielski postulat... Na palcach zliczyć by można w kraju nowe realizacje wybiegające ponad przeciętność, będące nie tylko dobrą robotą, ale i dziełem twórczym. Po cholere zważ nas twórcami, sami obnosimy się z tym pojęciem, stwarzamy zwariowany fason, snobujemy się, tymczasem gdzie nam do jakiegoś artystycznego widzenia!

- No, no, panie Zyguncie. Jest trochę pięknych budowli. Jest sporo nazwisk ponad przeciętność: Hryniewiecki, nie tylko ze swoim Stadionem, nie tylko też z projektami na zagranicę, Pniewski, Leykam, jeszcze inni. Czy zna pan Dom Turysty Leykama w Płocku? Majstersztyk. Albo Skibniewska, jej osiedla mieszkaniowe w Sadach czy na Okęciu? Zalewski ze swoim Supermarketem? A lisowska Wielka Krokiew? Tam są rozwiązania uwzględniające elementy urbanistyczne, to wszystko znacznie przekracza kanon dobrej roboty.

- Zgoda. Jeszcze by można dorzucić Osiedle Krzesławickie w Nowej Hucie, parę wrocławskich realizacji, nawet osiedle praskie w Warszawie. Polska ostatecznie nie taka mała, projektantów mamy wielu i bardzo dobrych, w końcu to i tamto musi wyskakiwać ponad przeciętność. Ale to kropla w morzu. A mogłoby być inaczej. Slogan dobrej roboty nie poszerzy skrzydeł, nie zerwie do zagrania w ludziach wielkich ambicji. Czemu chce się u nas zagubić rozmach?

Zaczerpnął tchu, znów zamachnął rękami, omal nie wywrócił kieliszka nawet nie nadpitego. Nie zdążył, tyle że zamoczył w nim usta.

- Koncepcja zagospodarowania Wybrzeża, nadania mu wyraźnych cech architektonicznych, nowoczesnego kształtu. Słuszne, byle jej nie utopiono. Parę lat temu mało mnie nie zadżgano, gdy objechałem plan przestrzenny rozwoju Trójmiasta. Dzisiaj przyznaje

mi się już rację. Ale paru lat zmarnowanych nic nie może nam wrócić...

- Nauczka, nie starać się prorokować, zazwyczaj czyni się to przedwcześnie, gdy stare instrukcje nakazują przestrzegać aktualności, nie wybiegać w dalekie, wizyjne światy - zakpił Tadeusz, pragnąc jeszcze bardziej podjudzić rozmówcę, tak mu trafił do przekonania tok Jakimiakowych myśli.

- My nie chcemy prorokować, nie w tym sprawa. Chcemy przyozdobić Polskę nie przez formalne sztuczki, okładziny czy frymuśne łamanie płaszczyzn. Ręcz w tym, żeby połączyć ze sobą jakieś artystostwo z najprostszym utylityzmem. Żeby ludzie mieszkali wygodnie, nie tylko ładnie. Jeżeli oszczędnie, ciasno, to przynajmniej tak, by te zaniżone normy nie krępowały ludzi, żeby były w całej pełni użyteczne. Można chyba te sprawy pogodzić. Tymczasem...

- Tymczasem niechże pan wychyli kieliszek, panie Zygmuncie. Za pomyślność pańskich marzeń...

- Naszych marzeń. Zdrowie pana, panie inżynierze.

- Toastem nie zamierzałem przerywać pańskiej wypowiedzi. Zgadzam się z nią, tylko... tylko że ja nie zawsze już wierzę w szansę tego oddechu, w realność takiego marzenia. Sceptycyzm. Cóż, gdy pewnych doświadczeń się nie da zapomnieć...

- Proszę pana, ja mam dwadzieścia sześć lat. Nie tak dawno - udało mi się zresztą wcześniej niż wielu innym - skończyłem studia. Wszedłem do ciekawej placówki, wśród dobrych fachowców, coś tam skleciłem... Ale ciągle nie mogę zrozumieć jednego. Wyście oduczyli się patrzeć w przyszłość, ciągle oglądacie się wstecz... jak nie na wojnę i okupację, to na okres schematyzmu, tłumaczycie jednym czy drugim własne winy. Czy wam tak lepiej, łatwiej się żyje? Wygodniej, z tym zgodzę się. Ale jaka piekielna cena za tę wygodę! Brak wizji, rezygnacja z marzenia. Czy w ogóle można żyć bez nich?

- Pan nie ma za sobą tych wszystkich doświadczeń, o jakich pan mówi, stąd może panu i łatwiej.

- Nie mam w tym stopniu, w jakim wy przeżywaliście. Miałem dziesięć niespełna lat, gdy padał Berlin. Dopiero uczyłem się pojmuwać, co znaczy naprawdę wojna. Właściwie pojąłem to o pół roku wcześniej. Gdy hitlerowcy zamordowali mojego ojca... Ale wojna we mnie nie pozostała, otrząsnąłem się z niej łatwo. Wierzę, już nawet o parę lat starszym ode mnie jest trudniej. Należę wszakże do tych, którzy mają za sobą postalinowskie trzęsienie ziemi. I też się podniosłem.

- Ale czy wszyscy pana rówieśnicy, panie Zygmuncie?

- Nie wszyscy. Część wybrała wygodę, w ślad za wami. Zresztą jeszcze większą

wygodę, bo bez kaców moralnych... U nas pokolenia mierzą się dziwnie, nie okrągłymi cyferkami, ale nieraz różnicą zaledwie paru lat. Dość zresztą o pokoleniach, nie to jest ważne. Pyta pan o rówieśników, czy wszyscy. Może pan być spokojny, że jeszcze w pewnej ich części zachowała się żarliwość i dobra wiara. I chyba utrzyma się nadal, jesteśmy już na tyle zahartowani, by ją w sobie podtrzymać. Właśnie tym spoglądaniem w przyszłość. Jeżeli do pana przyszedłem, naprawdę nie wyłącznie w swoim imieniu, to dlatego iż rozradowało nas niezmiernie, że pana też razi płaskość, poprzestawanie na minimum, chce pan zrywów, rozmachu.

Tadeusz uśmiechnął się uśmiechem, w którym już się zaczynało czaić znużenie. Niechże już powie Jakimiak, z czym przyszedł.

- Rozumiemy się... - wskazał na rajzbret. - Próbuję się stosować do pana założeń. Szukam powiązań architektury i urbanistyki na zasadzie jakiegoś integralnego zespolenia. To jest cholernie trudne. I tak jak pan, chcę to natchnąć humanistycznym widzeniem, z którego, o dziwo, wypływa konieczny utylitaryzm, jakaś pełna funkcjonalność rozwiązań. Powiedziałem sobie: żadnych smaczków, żadnych efekcików, nawet najbardziej modnych. Uda mi się podporządkować koncepcję tym zamysłom, robię projekt, nie, to rezygnuję, ale właśnie tutaj nie chcę pójść na łatwiznę. Zbyt wiele mam jej w swojej pracowni. Panie Zygmuncie, niechże pan wreszcie się przyzna, z czym pan przychodzi?

- Właściwie już pan się chyba domyślił. Jestem w zarządzie, dano mi funkcję wiceprezesa. Przyciągam za sobą jakąś gromadkę młodych. Chcemy działać, trochę zrewolucjonizować ten SARP, Wyjść z inicjatywami, dyskusjami. Robić pokazy, ściągnąć właśnie takich ludzi, jak Skibniewski, jak Leykam, jak wielu innych. Nasi architekci i urbaniści zdobyli nagrody i zatwierdzenie do realizacji całych dzielnic w Bilbao, w Tunisie, w Moskwie. Niechże przyjadą, podzielą się z nami sukcesami. To zresztą część tylko projektów, pan zna to z doświadczenia, pań też kiedyś rewolucjonizował ten SARP...

- Niewiele z tego wyszło, opaliłem skrzydełka...

- Skromność. Jeszcze ja sam pana pamiętam. Kończyłem studia. SARP wtedy żył. Wiele z pańskiej roboty zostało, został też pański autorytet. Chcemy mieć go za sobą, pana i jeszcze kilku innych. Będziemy przez to mocniejsi. Odwagę my dajemy, ale potrzebne nam wsparcie, rutyna, wiedza, większe od naszych. I co pan na to?

- Trafił pan na dobry moment. Jeszcze przed miesiącem czy dwoma odmówiłbym panu bez wahania. Wtedy stać mnie było najwyżej na gratulacje dla pana za jego zapał, na parę zdawkowych słów. No, a na użytek już mój ściśle wewnętrzny, na zawiść... Pojmuje pan?

- Pojmuję i dziękuję. Nie przyszedłem z projektami, tylko z ogólną płaszczyzną porozumienia. To potwierdziło się... Muszę się panu przyznać jeszcze do jednego. Niedawno ostatecznie wycofałem swoją już przyjętą ofertę do Kołobrzegu. Chciałem uciekać z Gdańska. Tam w Koszalinie i Kołobrzegu jest inaczej, tam działa zapał, oni naprawdę wywracają te miasta. A jeszcze teraz, gdy w związku z reorganizacją biur projektowych Wybrzeża pomnożą się szanse... Zostaję tutaj, inni też zostają, chcemy rozruszać Gdańsk. Bardzo dziękuję panu...

- Ja też panu dziękuję.

Ta rozmowa była mi nader potrzebna, właśnie teraz. Są czasem takie okresy, kiedy szuka się podnieć, jakiegoś wsparcia... To, co pan nadmienił, że o Zapieńskim mówi się, że moje nazwisko jeszcze gdzieś waży, miało dla mnie szczególne znaczenie. Teraz. Przepraszam za szczerość.

‘- Odplacam tym samym. Wiemy, że pan się łamie ze sobą. To się czuje, a i wie się co nieco. Rąbali pana mocno. Ta hala... Przecież już była decyzja na pańskie nazwisko.

Złapał go mocno za rękę.

- Wie pan coś bliżej?

- Niewiele i chyba nie warto wywlekać szczegółów... To było. Kto wie, czy nie otrzyma pan propozycji na inny projekt...

- Nie teraz. Mam to. - Dłoń, któryż raz dzisiaj, w ślad za nią spojrzenie - powędrowały ku kalkom rozpiętym na tablicy kreślarskiej.

* * *

Pracownia Konserwacji Zabytków mieściła się w odpowiadającym jej dostojnością, choć niekoniecznie wygodą budynku: w Długiej Bramie na Starym Mieście.

Oficjalna sprawa, z którą tam przyszedł, nie zabrała mu wiele czasu: z dyrektorem od dawna łączyły go dobre stosunki, jeszcze z czasów szaleństwa, jak nazywali ten okres, przy odbudowie starego Gdańska. Ale potem musiało przecie zejść na inne tematy, na sprawę pracowni, na plotki o znajomych, nie obeszło się bez wyrzekań. Jakiś czas przypatrywał się jeszcze pilnej, choć żmudnej robocie przy średniowiecznym drewnianym ołtarzu z ciekawym tryptykiem szafkowym. Malowidłami zajmował się wysoki, chronicznie nie uczesany Krościenko, dobry przy tym portrecista. Teraz, nachylony nad ledwie wyraźnymi konturami, nad zetłętymi w barwach warstwami, mozolnie punktował poszczególne partie obrazu. Czasem podnosił się, prostował, odrzucał gwałtownym ruchem szopę włosów opadających na

oczy, sięgał po papierosa.

- Dawno nie, mieliśmy tak ciekawej roboty. Jeszcze parę lat, a zabraknie w ogóle takich prac. Zaraz po wojnie w całym tym bałaganie nie pomyślałbym, że i w tej dziedzinie zrobimy tak wiele. Niedługo, a już tylko w muzeach będziemy potrzebni.

Dwie plastyczki mordowały się z rzeźbami przeżartymi kornikiem. Szydełkowate pensety, strzykawki, cuchnące roztwory, którymi nasycali nadbutwiałe drewno, przybrukane chałaty robocze, a przy tym werwa, żywość, które zawsze go zdumiewały: jak się to mogło ostać przy tej benedyktyńskiej pracy? Wtedy, przy restauracji starego Gdańska, zawsze mieli z tymi konserwatorami najwięcej kłopotu, nigdy im się nie spieszyło, choć harowali przecie nie mniej od innych. Pamiętał, wisieli pod ozdobnymi stropami, przywracając dawny blask wytartym malowidłom czy modelując uszkodzone sztukaterie sprzed wieków. Ale przy byle okazji, a tych nie brakło, ostatecznie przy zachłyśnięciu się pracą jakieś odprężenie stawało się czymś koniecznym, nikt lepiej od tych „rupieciarzy” nie potrafił pić, bawić się, wyśpiewywać niefrasobliwe, a często dość swobodne pieśniczki.

Gdy zszedł wreszcie na rozgrzane, jasne powietrze przed Bramą, stał przez dłuższą chwilę niezdecydowany. Postój taksówek był blisko, chwila, jechałby do pracowni, ostatecznie nawet do domu; Likowajski znów został wezwany do Warszawy, pewnie w związku z przewidywaną reorganizacją większości pracowni w całym pasie Wybrzeża. Spojrzał w kierunku Długiej, Długiego Targu, zdecydował się.

Od bardzo dawna nie był na Starym Mieście. Nie ciągnęło go do miejsc, którym tak wiele zawdzięczał, gdzie spalał się w jakiejś pasji, której już niedługo potem nie potrafił z siebie wykrzesać. Może najzwyczajniej drażniło tamto wspomnienie, łączyło się z nakazem głębszego spojrzenia na siebie po tej nowej, niekorzystnej odmianie, w każdym razie unikał tej części miasta, starał się w ogóle tam nie zaglądać.

Dziś te opory nie zadziały tak silnie, mocniejszym echem odezwały się za to wspomnienia. Przecież starą dzielnicą pasjonować się zaczął na długo jeszcze przed ukończeniem studiów, błagał później o praktykę właśnie tutaj, po dyplomie była to jego pierwsza robota. Dwa pełne lata. Mało i dużo zarazem.

Tędy chodzili kiedyś wraz z Pawłem. Było to jeszcze wtedy usypisko ruin, jakże mało już nie budynków, ale fragmentów zostawało zachowanych z pożogi wojny. Któryż to mógł być rok? Chyba czterdziesty dziewiąty. Z jakąś pasją pokazywał Pawłowi wszystko, co w Gdańsku ciekawe, jak dzielił się z nim wizją odbudowy tej zabytkowej części miasta. Szli tą samą ulicą, przystawali przed każdym zachowanym ułomkiem, dziwił się, jak Paweł umie wchłaniać w siebie tak pozornie obce mu rzeczy. Zaglądali potem do Arsenалу, stali przy

Dworze Artusa. Wszędzie to samo. Skąd on sam brał w sobie tyle zachwytu, czasem naprawdę szczeniackiej już żarliwości? Może zagłuszyć pragnął tym protest przeciw nie najweselszym przemianom zachodzącym w kraju. Mogło tak być, bronił się przed zwątpieniem, ciągle chciał potwierdzać sens swoich decyzji.

A później była tu praca. Tropienie śladów przeszłości na fotografiach, na odnajdywanych gdzieś w archiwach rysunkach i szkicach, mozolne rekonstruowanie każdego domu, a w nim każdego detalu. Setki zajętych ludzi, snycerze, sztukatorzy, kamieniarze, plastycy, fotografowie, dziesiątki naukowców z najróżnorodniejszych dyscyplin. Ruch, pasja udzielająca się wszystkim, nawet robotnikom, którym, zdawało mu się, obca bidzie żarliwość wskrzeszania dawnych kształtów, w najlepszym razie obojętna. A było zupełnie inaczej. Raz jeszcze przekonywał się, jak mało zna ludzi, osądy zaś swoje często czerpie z płytkich, obiegowych opinii.

Stał teraz przed domem na Długiej, pokrytym rdzaworóżowym tynkiem, patrzył na ciąg mieszczańskich portretów nad zawiasami okien pierwszego piętra. Ten dom był mu szczególnie bliski, on mu przecież przywracał życie. Jego zasługą było wyłuskanie z niepamięci dawnego kształtu, tych samych form, którymi beładnie tłoczące się dołem gruzy żyły przez lata. I teraz następowało jakby zmartwychpowstanie. Domów - jak ludzi... Dziwaczna przesyłka nadeszła od nieznanego nadawcy z Niemiec Zachodnich jakąś osobliwą, na pół prywatną drogą: pakiet ze stosem szkiców i zdjęć poszczególnych fragmentów Starego Miasta. A razem gruby zeszyt z uwagami, ze szczegółowymi informacjami, ze wskazaniem źródeł, do których można dotrzeć w poszukiwaniu danych, pozwalających na pełne odtworzenie przeszłych kształtów. Bez podpisu... Bo nieco wcześniej był wszakże apel polski do Niemców, by dopomogli znajdującymi się w ich posiadaniu materiałami do odbudowy Gdańska. Nagonka rewizjonistycznych piśmideł, odmowa - i naraz taka przesyłka... Były w niej materiały związane i z jego domem. Zwłaszcza doskonale zdjęcia stylizowanej bestii zdobiącej zwieńczenie budynku. Jakże się cieszył! Jak pilnował później każdego detalu, wszyscy pilnowali, nigdy chyba nadzór autorski nie był tak pedantycznie ścisły...

Tknęło go coś, zaczęło się wyłaniać z mglistych konturów wspomnienia. To było krótko po likwidacji Polskiego Związku Zachodniego. Buntował się, przeżył też jakieś załamanie, żał za wyrwanie mu sfery działania. Przewyciężył to wzbudzoną w sobie miłością do tego starego Gdańska. Ulica Długa, później jeszcze Dwór Artusa. Tam w zasypanej piwnicy znaleźli robotnicy sporą baterię flaszek ze słynną „Goldwasser”, oryginalną, jednak nie umywa się do niej ta powojenna. Listki złota pływały w niej, w ogóle nie opadały na dno... Powszechnie pijaństwo na budowie. Jedną wielką gromadą, robotnicy i

profesorowie, architekci i rzemieślnicy. Także plastycy, ci z konserwacji i inni, kręciła się ich przecież tutaj cała gromada. Ktoś tam miał nawet później pretensję, że należało rzecz zdeponować, nie wolno było wypijać. Śmiali się. Właśnie, akurat, znalezisko o typie zabytkowym. Niech się wypchają, gorliwcy, sami potem by wyżłopali...

Szedł wolno, przystawał, przyglądał się poszczególnym domom. Dobrnął tak aż do Dworu Artusa, dziś reprezentacyjnej budowli. Czyżby przywiodła go tu pamięć tamtej „Goldwasser”? Musiał się uśmiechnąć, dopiero by się oburzyła Janina, gdyby jej to powiedział. Tutaj się przecież poznali. Przyjechała z Torunia z wycieczką studentów swojego roku. Przez tydzień bobrowali po Gdańsku. Oprowadzał grupę jednego dnia. Od tego się zaczęło. Dodatkowy powód sentymentu do tej części starego Gdańska.

Ale nie tylko to... Coś jeszcze... Przysiadł na ławce na przeciwległym skwerze. Bryła budynku nabierała stąd perspektywy, wybijała się na jaw pełnia jego urody. Więc co to było? A może co jest? *Zaraz...* Jakimiak. Zwariowany entuzjasta o czarniawej czuprynie, o lekkim wytrzeszczu oczu. Czy on sam wtedy, w czasie odbudowy Starego Miasta, też może miał wytrzeszcz oczu? Z nadmiaru energii i entuzjazmu? Może to nie tarczyca, ale intensywność istnienia, urzeczenia życiem? Był takim Jakimiakiem, jeszcze bardziej tylko skomplikowanym. Chłopak jest przekonany, jego bunty są buntami o charakterze niejako wewnętrznym. Z nim samym było inaczej. Nie należał do przekonanych, buntował się na inny sposób, nastawiał często opozycyjnie, wiele spraw negował od podstaw, ale mimo to potrafił się poddawać urokowi niejednego, co się w kraju robiło. A czas był przecież trudniejszy, wołający często o generalny protest, lata pięćdziesiąte i dalsze.

Dzisiaj tak mu trudno wybrnąć z jakiejś degrengolady, wykrzesać z siebie już nie dawny zapał, ale choćby część tej wiary w celowość przynajmniej niektórych wysiłków. Teraz, gdy zaszły przecież zmiany na lepsze. Więc gdzie tkwi w końcu przyczyna jego stanu? Na zewnątrz, jak ciągle to w siebie wmawia, czy też jednak w nim samym? Bo w końcu w tej Polsce jest także wiele spraw zdolnych zaangażować bez reszty. Nawet bez przymykania oczu na to, co drażni, niepokoi czy boli. Tylko w proporcjach następuje jak gdyby wyrównanie, rośnie co najwyżej cena, jaką płacić trzeba za prawo do pasji czy entuzjazmu na innych polach.

Nie on sam jest zatruty jakąś goryczą. Także wielu innych, zbyt może wielu. Skąd to się bierze? A na dobitkę wszyscy ci nadwątleni wściekle się szczerzą na siebie samych. Jakże się nazywał inżynier, jakoby zesłany tutaj z Warszawy, ten, z którym się tak starli nad whisky Wojtyły? Stefan, mniejsza już o nazwisko... Miał wiele żalu do świata, do siebie, do tych, którzy przekreślali dzisiaj cały jego wysiłek łącznie z tym dobrym i słusznym, co działał. To

musi boleć; z jednej strony dokuczają świadomość własnych błędów, z drugiej poczucie niezasłużonej krzywdy. Też atakował tego Stefana: za brak wyobraźni, za minimalizm projektów, za brak przewidywania przyszłości. Słusznie mu odpalił, że następne pokolenie architektów także będzie ich obwiniać o krótkowzroczność, nie nadążanie z tempem czasu.

Uroczy jest ten gmach. Skąd się brało tyle smaku u budowniczych sprzed wieków? Skąd ich wyobraźnia, wytrzymująca próbę Czasu, i to jakiego czasu. A może inaczej, może na zabytki patrzy się odmiennie, jedynie od strony artystowskiej, pomijając funkcjonalizm i wszystko inne? Chyba tak...

To był jednakże uroczy okres, te - miesiące i lata pracy na Starym Mieście. Gdyby jeszcze kiedyś wykrzesać z siebie podobną żarliwość, przejęcie się pracą, tematem, perspektywami... I jeszcze... Czemu dziś tutaj przyszedł, czemu ustąpiły dawne, pełne niechęci wzdargania? Może właśnie ten projekt, jakaś rodząca się w trudzie, z bólem wizja śródmieścia, gdzie partia zabytkowa ma harmonijnie wtopić się we współczesność, może to właśnie jest przyczyną zachodzących w nim przemian, szerszego oddechu, spokojniejszych, mniej już nerwowych snów? Przemówienie na zjeździe, Jakimiak i jego grupa, teraz spacer wśród wspomnień, dawnych i nie tak znów dawnych, może to wszystko jakoś się wiąże ze sobą?

Jakaś kobieta w szafirowej sukience... Podobna. W jakiej sukience była Janina, gdy ją tu poznał? Czyżby też w szafirowej?

To ona. Cóż za traf. Ze studentami. Zmieniły się role, ją tutaj prowadzono, ona obecnie niańczy tych przyszłych artystów, próbuje w nich przelać własne - ukochanie miasta, a może szczególnie tego właśnie budynku.

Wyjść naprzeciw, ubawić się zaskoczeniem na jej twarzy? Przecie gdy kilkakrotnie prosiła, by zajrzeli na Stare Miasto, odmawiał, nawet nie bardzo się tłumaczył, pewien, że i tak go rozumie. Zdumiewające, jak bardzo go rozumiała, jaki był dla niej przejrzysty. On jej tak dobrze nie znał, może nie zadał sobie aż tyle trudu, by poznać, ciągle przeto go zaskakuje. Projekt, nad którym ślęczy, w końcu to jej decyzja powzięta za niego, on sam tylko ją aprobował, nie wiedzieć kiedy i jak...

Lepiej tu zostać. Oni już wchodzi do wnętrza. Nie przyszedł wszakże pod Dwór Artusa dla spotkania z Janiną, przygnały go inne odczucia. Zostawić je lepiej ich własnemu biegowi, może i w staromiejskim spacerze znajdą dla siebie pożywkę?

* * *

Przed snem Janina zajrzała, jak zawsze, do gabinetu. Przyjął się między nimi ten rodzaj pożegnań każdego wieczoru. Zasiadywał się teraz nad projektem do późna w noc. Czasem mijały te noce w zupełnie zwariowanej robocie; szkice, obliczenia, rysunki, coraz częściej też już poszczególne detale wyciągane na kalce nawarstwiały się, pęczniały, z nimi zarazem satysfakcja, że oto pierwotny, niedoskonały jeszcze obraz zaczyna nabierać pełni barw i kształtów. Kiedy indziej całe tygodnie nie potrafił ani o kreskę posunąć się naprzód, z furią darł gotowe szkice, zmieniał, poprawiał, przeliczał od nowa, wreszcie rezygnował; dreptał uparcie po przekątnej pokoju, jakby to miało zniewolić myśl do podążania w upragnionym kierunku. To znowu zasiadał w fotelu, półdrzemiąc wgapiął się w ściany, w półki z książkami, wracał pamięcią do tematów rozwieszonych wokoło grafik, czytał, czasem spostrzegając się, że któryś już raz studiuje tę samą gazetę, kiedy indziej wracał do jakiejś pasjonującej powieści, przez zachłyśnięcie się nią pragnąc uzyskać dystans wobec swojej pracy, wyzwolić myśl od niej na jakiś czas. I zawsze, każdego wieczoru, nasłuchiwał kroków Janiny, czekał na jej przyjście. Niekiedy przychodziła na chwilę, wtedy przeważnie, gdy kipiała w nim, choćby podświadomie, gotowość tworzenia. Musiała to doskonale wyczuwać. Kiedy, indziej wizyta żony przeciągała się na całe godziny. Nie brakło w nich i gwałtownych uniesień, fizycznego zatapiania się w sobie, jak i spokoju rozmowy, kiedy nawet niewielu słów trzeba, by siebie zrozumieć.

Dzisiaj oczekiwał na Janinę szczególnie może zniecierpliwiony. Nie mógł odnaleźć w sobie koniecznego spokoju. Znał przyczynę swego stanu i choć teraz skłonny był ją uważać za błąd, podświadomie utkwiała gdzieś cierniem, jątrzyła, wprowadzała w rozdrażnienie.

Znów się spięli dziś z Likowajskim. Przez jakiś czas panowało pomiędzy nimi coś w rodzaju nie uzgadnianego zawieszenia broni. Przyczyną był może pewien rozgłos wokół niego w ostatnim okresie, typowy projekt szkoły uznany został za szczególnie udany, przyjęto go do realizacji od razu w kilku ośrodkach, krążyły jeszcze echa i komentarze po wystąpieniu na zjeździe, sam Likowajski też był zaaferowany, szykowało się wielka reorganizacja, gadano po kątach biura, że pozycja dyrektora nie należy do najmocniejszych, w każdym razie nic nie zapowiadało ponownego wszczęcia kroków wojennych.

Poszło o rzecz właściwie niewielką, ciągle jeszcze o tę zapapraną nie z ich winy budowę w Gdyni; jakaś awaria, gwałt, że projektant źle przeliczył współczynnik bezpieczeństwa, pretensje, zwalanie winy na biuro. Ani awaria nie była groźna, ani, jak się okazało, błędu nie popełniła pracownia, poszkapili coś wykonawcy. Likowajski przed paru

dniami względnie spokojnie oznajmił to Tadeuszowi. Chcąc nie chcąc, musiał wyjechać do Gdyni. Na miejscu okazało się, że wszystko zostało wyjaśnione, kierownikowi budowy zależało już tylko na zaklajstrowaniu sprawy.

Gdy zameldował dziś o tym Likowajskiemu - w końcu musiał to zrobić - ten wyraźnie oświadczył, że mu nie wierzy, i kazał sekretarce łączyć się z Gdynią. Rozmowę uzyskał natychmiast, Tadeusz był przy niej obecny. Mina Likowajskiego rzedła, sklął kierownika budowy, w końcu trzasnął słuchawką, przeciągle zadzwoniły widelki. Wtedy dopiero spojrzał na kierownika pracowni.

- No tak, zgadza się... Ma pan do mnie coś jeszcze?

Żeby choć wycedził przez zęby „przepraszam”, machnąłby ręką, spory z Likowajskim traktował ostatnio jako rzecz poniżej swojej godności. Dyrektor znów się parę razy skompromitował, tracąc resztę szacunku pośród kolegów. Tyle że nadal się jeszcze go bali. Ale przeproszenia zabrakło, zarzut kłamstwa pozostawał nie odwołany. Nie mógł tego zostawić bez konsekwencji. Ostatecznie Likowajski może o nim myśleć, co mu się żywnie podoba, ale musi liczyć się ze słowami.

- Innego nic nie mam. Tyle że sprawa nie wydaje mi się zakończona...

- Kierownik budowy powiedział, że wszystko w porządku, niczego od nas już nie chcą.

- Myślę, że nasza rozmowa jeszcze nie zakończona... Pan dyrektor zarzucił mi kłamstwo.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Owszem, powiedział pan, że mi nie wierzy.

- Już wierzę. Słyszał pan, rozmawiałem z nimi.

- Więc wypada mnie chociaż przeprosić.

Likowajski uniósł się na to z fotela.

- Nie przeproszę, pan za wiele ode mnie wymaga. Mam prawo, to mój obowiązek wszystko sprawdzać. Pan kiedyś już zawiódł, była taka historia z mylnymi obliczeniami, miałem więc wszelkie podstawy...

- ...By mnie obrażać, tak?

- Proszę wyjść! Proszę... - wyciągnął rękę, czerwony, rozdygotany.

- Wychodzę, ale uprzedzam, że ja to przedstawię do wyjaśnienia gdzie indziej.

- Powiem wtedy, że pan zwyczajnie łże.

Wspominając całe to wydarzenie, chamskie, brutalne, znowu zatrzęsł się z pasji. Podlec. Powie, że on łże. Prawda, to także sposób. Świadców nie było. Wiadomo, że żrą się

od dawna jak pies z kotem. Racja zostanie po stronie dyrektora, choćby dla świętej zasady, że w kwestiach spornych wygrywa ten, kto z urzędu powinien mieć większy autorytet... Czyli praktycznie nic Likowajskiemu nie zrobi. Ale mógł zrobić, po prostu trzasnąć go w głowę, również bez świadków. Zresztą nawet by się tego nie zapierał. Nie trzasnął. Uświadomił sobie potrzebę takiego czynu, dopiero, gdy się znalazł za drzwiami, gdzie warowała przybladła z emocji sekretarka. Coś do niej musiało dotrzeć, drzwi były cieniutkie...

Powinien pójść do dymisji. Zrezygnować z pracy w tym idiotycznym biurze, które napsuło mu tyle krwi i nerwów, w którym ogłupiał przy ciągłym powielaniu niemal identycznych projektów. Ale to znów będzie tylko na rękę Likowajskiemu. Po co sprawiać łożowowi przyjemność? Musi jeszcze na spokojnie przemyśleć to wszystko, jutro, pojutrze, na dzisiaj, nie na gorąco. Wtedy też poradzi się Janiny, ona znajdzie, jak zawsze, najlepsze wyjście. Ale zwierzy się jej także nie dzisiaj. A teraz niechby już nadeszła, może potrafi go uspokoić...

Jakby na zawołanie otworzyły się cicho drzwi. Zawsze tak dyskretnie wchodziła, zdarzało się, pogrążony był w ferworze roboty i nagłym wejściem mogłaby mu przerwać tok myśli; wtedy czekała spokojnie, aż sam odkładał ołówek czy suwak.

Rozjaśnił się.

- Czekałem na ciebie.

- Julek grymasił, śpi niespokojnie, trochę się niepokoiłam, ale już dobrze, za wiele pewnie dziś hasał. Cieszę się, że czekałeś. Nie idzie ci dzisiaj?

- Nie. Myślałem o Likowajskim, miałem starcie z facetem, nic wielkiego, jutro ci opowiem, nie dziś, dobrze?

- Dawno już sobie powiedzieliśmy, że nie ma co się przejmować tym panem, stać nas na to, Tadek... Zostawmy ten temat. Są ważniejsze. Czytałeś już list Tadzika Sekuły?

Dopiero teraz spostrzegł go na biurku.

Rozerwał kopertę. Tadzik pisywał nieczęsto, ale regularnie. Spokojnymi, przemyślanymi zdaniami relacjonował swoje życie. Dużo pracuje, cieszy się z tego, nie najłatwiej mu idzie, z daleka zawód nauczyciela wyglądał o wiele prościej, często nie umie znaleźć z uczniami wspólnego języka, nie ma właściwego podejścia, w dodatku przydzielono mu starsze klasy, zatem niewielka różnica wieku, kłopot z utrzymaniem autorytetu...

Czytała przez jego ramię. Chłopak zwierzał się, że czuje się zadowolony z usamodzielnienia. Udziela się społecznie dosyć aktywnie. Sporo skorygował w swych sądach. Nieraz spiera się w nim afirmatywny stosunek do życia z nie mniej silnymi buntami, tak wiele pragnąłby przyspieszyć, widzieć już dzisiaj, tymczasem złością różnego zahamowania. Marzy,

by przy jakiejś okazji znów porozmawiać z panem Tadeuszem i panią Janiną. Z ostatniej bytności w ich domu wyniósł dla siebie dużo, wyłoniły się przed nim problemy... Ciekaw jest też, jak odczytał pan Tadeusz pamiętnik ojcowski. To także temat do osobistego spotkania. Nawet, nie prosi o relację listowną, wie że tych treści nie zamknie się zdawkowymi określeniami, tego by zresztą w żadnym razie nie pragnął... Nosi się z pewnymi zamiarami, nie chciałby poprzestawać na tym, co dotychczas osiągnął, ale dopiero dojrzewają w nim jakieś decyzje, za wcześniej może, by o nich mówić... Zapytuje, co słyhać u drogich państwa, wdzięczny będzie za najkrótszą wiadomość...

Uniósł wzrok znad arkusika papieru. Spojrzał na żonę.

- Wmawia mi któryś już raz, że tyle wyniósł z naszego domu, z rozmowy, kiedy to on sam mówił, ja tylko słuchałem... Chyba że ty coś wniosłaś, Janino, pół dnia jeszcze u nas przesiedział, ja byłem w biurze, ty go sama niańczyłaś... Może myśli o tej rozmowie?

- Nie wiem. Gawędziliśmy, niejednym byłem zaskoczona. Zdaje mi się, znam dobrze studentów, ale rzadko spotykam się wśród nich z podobnymi opiniami jak u Tadzika. Może tutaj nie imam podobnych okazji, ten typ rozmów, właściwie zwierzeń, wymaga specjalnego klimatu, szczególnej szczeroci...

- Przypomniał mi się Jakimiak. Oni są trochę do siebie podobni. Jakimiak i ci przy nim się skupiający... Zaciekawiają mnie, są dziwnie dojrzałi, a przy tym, niezależnie od tych buntów, o jakich mówią trochę chyba na wyrost, to jakiś fason, mają zrównoważone, zdecydowane spojrzenie na świat, na życie... Mówisz, że twoi studenci są inni?

- Inni, nie, zresztą nie można ich w żaden sposób określić jednym słowem. Dzielą się na kilka grup. Pamiętaj, że to młodzież artystyczna, w większości bardzo zdolna. Do nich pewne cechy środowisk twórczych, niekoniecznie najlepsze, docierają szybko. Część już jest sfrustrowana, pozują na niedobitków życiowych. Jeszcze inni są przesadnie cyniczni, czasem serio, czasem znów dla pozorów. Ale sporo jest żarliwych i mądrych, może po prostu dojrzałych. Wiedzą, gdzie są, czego pragną, na czym powinni się opierać. Na pewno im przez to łatwiej.

- Na pewno. Tadzik z tej świadomości wysnuwał wyraźne wnioski. Chciał pogłębiać i poszerzać dość radykalnie to, co zostaje w Polsce. To dobrze, że pragną iść dalej, rozwijać to, co zastali.

- Moja ty entuzjastko!

- Pocałuj lepiej, mój ty asekurancie...

Po dłuższej przerwie dopiero znowu podjęła:

- Ale gdybyś był naprawdę asekurancem, nie zniosłabym tego.

- Zdarzało się, że bywałem.

- Myślisz, że nie znam twoich depresji? Ej, Tadzik, Tadzik, czasami patrzysz na najbliższe rzeczy jak koń z ochraniaczami założonymi - na oczy. Czy sądzisz, że nie cieszę się z twego lepszego, nastroju od czasu, jak zająłeś się konkursową pracą? Nie chodzi o sam projekt, ale o to, co on tobie daje.

- Wiktor nazwał to kiedyś deklarowaniem się.

- Znów pokpiwasz. Ale nie w tym sprawa, a i Wiktor określał rzecz najpewniej w innym kontekście... Wiesz, ja ich obu coraz więcej szanuję: Tadzika i Wiktora. I jednemu, i drugiemu na pewno niełatwo. Zwłaszcza Wiktorowi. Na podstawie jego doświadczeń można było dojść do bardzo różnorodnych wniosków. On jednak potrafił ocalić siebie.

- Tak myślisz?

- Jestem pewna. Nie zdobyłby tytułu inżynierskiego bez tego ocalenia. To nierozłącznie wiązało się jedno z drugim.

- Wcale nie jestem pewien, czy Tadzik miał o wiele łatwiej.

- W każdym razie nie ciążył na nim taki balast przeszłości, jaki dźwigał na sobie Wiktor. Jaki na swój sposób tobie doskwiera. Od którego ja też nie jestem wolna.

- Może masz rację. Patrz, tyle lat właściwie kontakty między nami trzema niemalże nie istniały. Od śmierci Pawła. Jakby w nas się wiele zerwało. Skłonny już byłem sądzić, że poza jakimiś zdawkowymi konwenansami - na zawsze. A teraz jakby się coraz mocniej coś znowu motało między nami.

- Słuchaj, Tadek, powiedz mi, jak z tym pamiętnikiem, czy czytałeś?

Spojrzał na nią z uśmiechem. Przecież wie dobrze, że nie czytał. Podzieliłby się z nią wrażeniami. Janinie wszak chodzi o podkreślenie faktu, że powinien był już dawno przeczytać.

Podniosła się.

- Późno, jutro od samego rana mam seminarium.

Po jej wyjściu dłuższą chwilę wpatrywał się w drzwi, które ich rozdzieliły. Wdzięczny był Janinie za tę godzinę. Likowajski zmałał, stał się zupełnie nieważny, nie gniewał, budził co najmniej politowanie.

Próbował wziąć się do pracy. Mozolił się z rysunkiem, zaczęty już wcześniej, gotowym w koncepcji wymagającym tylko wykończenia. Ale myśl zajęta refleksami rozmowy z Janiną nie chciała się podporządkować narzucanym sobie rygorom. Wreszcie, pokonany, odsunął karton.

Teraz patrzył na półki. W tym samym miejscu, gdzie go położył po wizycie Tadzika,

nie ruszany, leżał pamiętnik Pawła.

Długo spoglądał na okładki owinięte w szary papier, jeszcze się wahał, aż wreszcie sięgnął na półkę zdecydowanym ruchem. Zaszleściło z nagłą niecierpliwością rozrywane opakowanie. A potem wyrzało drobne, znajome pismo. Pierwsze zdania zabrzmiały zupełnie jakby w jakiejś powieści: „Dzisiaj już na pewno nie zasnę. Niedługo będzie świtało...”

* * *

Cóż znaczy, że człowieka tego dawno już nie ma, nie żyje, odeszły zdawałoby się, jego sprawy, przeminął świat pojęć i przeżyć tamtego czasu? Prawie dziesięć lat - to strasznie dziś dużo. Nie tylko pokolenia dzieli od siebie teraz tak bardzo niewiele, kilka lat może stanowić dziś epokę.

Paweł poprzez swoje notatki nadal istnieje, obecny w swojej naiwności i wierze w świat, w wątpliwościach, wahaniach, lękach, ale przecież i w jakichś niełatwych, mądrych zwycięstwach. W tych zapiskach mieści się wiele godności i dumy. Więcej, niżby się kiedy spodziewał...

Czy dobrze znał Pawła? Czy go rozumiał właściwie, traktował tak, jak zasługiwał na to ten człowiek? Jakiś nowy, pełniejszy świat Pawłowy wyrzał z tych nie zawsze najporadniejszych przecie notatek.

Czemu czuje się zarazem zażenowany? Czemu w przyływie wzruszenia przerwał lekturę? Zbyt wiele przyplątało się własnych myśli, pogmatwanych, poganiających siebie jakby w popłochu. Nutka sentymentu. Znajdowali się wszak razem w niejednej doli z Sekułą, mieli możliwość wzajem się wypróbować, przyjrzeć się własnym odbiciom z bliska, w bezpośrednim, decydującym doświadczeniu. Zażenowanie, jak to sobie określił, chwilami nawet coś więcej: zwyczajne poczucie wstydu.

Zawarł się na tych kartkach nie tylko okrucich historii czyjegoś trudnego życia, ale coś więcej, jakaś suma doświadczeń całych ludzkich zespołów. Także i jego własnych, tamtych z Pawiowego czasu i dzisiejszych, w niejednym z tego właśnie podglebia wywodzących rodowód. Często nadal nie rozwiązanych, bolesnych i dotkliwie piekących utrwalających jakieś skotłowanie zjawisk współczesnego życia.

Dlaczego Tadzikowi tak bardzo zależy, by zapoznać go z pamiętnikiem pisany przez jego ojca? Czy potrzebny był chłopcu tylko komentarz do wielu dalekich, niezrozumiałych już spraw, czy także pragnął konfrontacji Tadeusza z notatek z inżynierem Zapięńskim w codziennym życiu? Ale Tadzik wszakże tak mało wie. To chyba on sam poprzez pomost z

odczuć tego chłopaka podpowiada sobie potrzebę podobnej konfrontacji. Nie można bowiem uciec od niej po tej lekturze, musi się próbować dopowiedzieć samemu sobie pewne rzeczy do końca.

Chaos, plątanina myśli podobne pogmatwanym splotom długiego sznura; niełatwo natrafić na jakiś koniec.

Własny wizerunek można czasem modelować na kształt odbicia w widzeniu innych. Ktoś z zewnątrz dopomaga nam niekiedy w budowaniu własnego charakteru. Na dobre albo na złe...

Skąd się zrodziło to zaufanie Pawła do niego? Potrzeba wsparcia właśnie o jego opinie, tęsknota za nimi, gdy zarazem jednocześnie dojrzewał przecież i własny, trzeźwy osąd rzeczy i zjawisk. Samo przyzwyczajenie nie mogło *zaważyć*, czasem zbyt długie okresy dzieliły ich poszczególne spotkania. To musiało być przede wszystkim uczucie, przywiązanie, najszczerza przyjaźń.

Paweł oczekiwał jego oceny. Konspiracyjna dyscyplina nakazywała posłuch. Fakt ten nabierał dodatkowej siły, gdy wytwarzał się sentyment w stosunku do osoby przełożonego, a jego powstaniu sprzyjać musiały wspólne przeżycia. Sporo ich było w krótkim okresie bezpośredniej współpracy z grupą Pawła, właśnie z tych jego Mejsut, w wielkiej akcji bojowej przeciw formacjom litewskim, rzuconym do walki z partyzantami polskimi. I tam, i w trakcie działań wileńskich zdarzały się sytuacje, w których jego postawa musiała Pawłowi zaimponować.

Przedostali się wtedy sporym oddziałkiem aż pod Szyrwinty w pościgu za kompanią esesowców litewskich, którzy w przemarszu przez powiat spalili dwie wsie, zostawiając za sobą kilkadziesiąt trupów. Akcja nocna na terenową komendę rzezaków Plechaviczjusa. Zaskoczenie przez nadjeżdżający samochodowy odwód, konieczność odwrotu, rozsypka na mniejsze grupy. Po długim marszu nocnym zapadli przed świtem na własnym już terenie operacyjnym, w melinie zorganizowanej w starym wialuszu. Nieostrożność, wsypa, czyjaś zdrada? Któż wie? Tyle że z nagłą atak, skoncentrowany ogień, trzask wywalanych drzwi starej nadmurszałej budowli. Kilkakrotna przewaga Litwinów, ach pięciu za ledwie. Obrona przybierała coraz to bardziej desperacki charakter, padli ranni, od ślepej ściany wialusza nadbiegały już głosy planujących coś napastników. Ogarnął go żal pełen pasji, że jest przecież kaem o dwieście kroków, dokładnie z tyłu za rozbestwionymi żołdakami, misternie ukryty w załamaniach strychu od dawna nieczynnego już młyna, używanego na magazyn... Skąd spłynęła na niego wtedy decyzja przerwania się poprzez gładź wodną? Więcej działał zapewne instynkt samoobrony niż zjawisko nazywane odwagą. W ostatniej chwili dziwaczne,

śmieszne odczucie, że głupio będzie ginać nagim, jak Bóg stworzył. Najtrudniejszy odcinek: spłynięcie z wartkim potokiem walącym korytem śluzy, oślizłe, zielonym mchem porośłe deski, gwóźdź rozorujący ramię, wariackie nurkniecie wraz z prądem wody w zjeżoną kamieniami głębie. Ogarnął go lęk, czy utrzyma właściwy kierunek pod spienioną przykrywą piany. Gęstwa pali, oślizłych jak zwłoki topielca, jeden jedyny wdech, chwila decydująca, bo jeśli spostrzeżę, koniec, tak głupio, w wodzie, goło, wcale nie po żołniersku... potem przeprawa przez gładką przestrzeń stawu. Dzień był bezwietrzny, ciepły, woda powlekała się patyną starego srebra, znać na niej każdy ruch, każde niemal drgnienie. Jak największy zapas powietrza do płuc. To dopiero prawdziwy egzamin z umiejętności pływackich, coś innego niż te przedwojenne zawody szkolnych, zespołów. Głęboko, możliwie najbliżej dna, żeby poprzez przejrzystą wodę nikt z góry nie mógł go dojrzeć. Straszliwy moment, gdy piersi rozrywały się, w czasie pulsowały miliony uderzeń, dłonie i nogi nie mogły wykonać już potrzebnych ruchów, świadomość przestawała pracować, zostały w niej tylko jak automatyczny nakaz słowa: dobrnąć do pali, dobrnąć do pali... Po przeciwległej stronie stawku znów gęstwa starych pniaków, wysokich, dających osłonę, jedyna szansa dla niego, dla tamtych, walczących ostatkiem sił. Domyślił się raczej, niż wyczuł, że to uderzenie w czaszkę pochodzi tym razem z zewnątrz, że oto dobrnął do pali... Oburącz, przytulony do pnia, już nie mierzyła jego oślizłość, długo wypoczywał, od nowa wyławiał z mętu słoneczny świat, rozedrgany gwałtowną palbą. Wtedy zobaczył, wiałusz zaczynał płonąć, esesowcy musieli podłożyć ogień, aby potem już czekać tylko na obleżonych jak na kaczki wystawione przez wyżła... Nowy zastrzyk energii, lawirowanie pod osłoną pni, wśliznięcie się do młyna, gwałtowna wspinaczka na strych, pod wiadome okienko. Szarpnięcie deską, jedną, drugą, przesunięcie kaemu na odpowiednie miejsce. Co za wspaniały widok! Skryci za drzewami, za nasypem grobli Litwini przestali już popukiwać w kierunku wiałusza, leniwie teraz czekali... Z jakąś pasją nacisnął spust, sznurował seriami największą gromadę, wyławiał i pojedynczych, spłoszonych, nierozumiejących sytuacji tak z nagła zmienionej. Wreszcie ucieczka, sromotny odwrót, a od strony wiałusza radosny wrzask zwycięstwa...

Od wtedy datował się wzrost jego autorytetu w oddziale. W ogień poszliby za nim. Skądś przedostały się wieści o tamtej dawnej ucieczce z gestapo, skokiem z okna pierwszego piętra, jeszcze dawniejsze odbicie więźniów na Ignacowskim zaułku w Wilnie, zwariowane, ryzykowne zagranie w białutki dzień, obrastające potem legendą.

Bohaterstwo, odwaga, brawura? Chyba tylko to ostatnie było prawdziwe. W tym wiałuszu po prostu bowiem za nic nie chciał umierać, stąd desperacka pomysł, zwariowana eskapada pod wodą. A wtedy w gestapo? Opowiadał już to szczerze Pawłowi. To była

ucieczka nie przed gestapowcami, ale przed samym sobą, przed lękiem, że się załamie, że nie wytrzyma. Dopiero udany skok, traktowany z początku jako akt samobójczy, spowodował dalsze działanie, potem nazwane brawurową ucieczką. Ale tam nawet brawury nie było, cóż dopiero mówić o bohaterstwie! Oto, jak kształtują się mity...

Ale przecież i uwielbienie dla przywódcy nie decydowało chyba bez reszty o bezgranicznym oddaniu Pawła. Istniała tu inna spójnia, duchowa, może nawet intelektualna. Paweł na pewno wyrastał ponad wiejską przeciętność, zwłaszcza tej zabiedzonej, zapomnianej wisi podwileńskiej. Wieleż razy wspominał o tym w rozmowach, nawraca ciągle do tej sprawy i w pamiętniku, nazywa ją wyobcowaniem, nie jest tylko w stanie uchwycić istoty problemu. Sprawa tymczasem prosta; miał nie tylko większą wrażliwość, ale przede wszystkim wyższy poziom inteligencji. Nie o pięć klas gimnazjum tu chodzi, nie o szersze otrzaskanie ze światem: sanatoria, szoferka, ale o pasję poznawczą, o skłonność do analizy, niechęć do przyjmowania gotowych sloganów.

W swoim środowisku w Mejsutach, cóż że wyżywał się w działaniu, nie znajdował płaszczyzny rozmowy czy sporu. Chyba jedynie ten Grzybas, marksista, samouk, obłożony książkami, między jednym a drugim pokosem siana zachłystujący się Leninowskim studium o imperializmie. Sam przecież zastał starego nad tą lekturą. Kiedy tyłu innymi rządzić zaczynała już beznadzieja, Grzybas czytał Lenina. Więcej, przetrawiał go samodzielnie, tak jak w każdej ze spraw miał własne swe zdanie. I zawsze podkreślał konieczność rozróżnienia idei od próbujących realizować ją ludzi. Był przeciwny jakimkolwiek autorytetom... Ale i ten samotnik, tkwiący na skrawku piaszczystej ziemi, w chałupinie krzywej i biednej, nie mógł zaspokoić Pawiowych tęsknot. Nie tylko z tej racji, że inaczej spoglądali na świat. Grzybas był zbyt może wyizolowany z życia, nie z przypadku, ale z konieczności, co jednak nie zmieniało istoty rzeczy. A jeszcze zerwały się dawne więzi Pawła zadziergnięte przez „Wici”, zwięzły się nieliczne kontakty wileńskie, nawet konspiracja w swych początkach nosiła w tych Mejsutach zbyt dworski charakter, kierowana z pobliskiego majątku...

Na taki okres przypadło ich zetknięcie. Dla niego jeden z dalszych, licznych kontaktów, ciekawy i wartościowy, mało było grup w konspiracji równie bogatych w broń, ale w końcu nic więcej. Oceniał Sekulę jako człowieka, któremu można zaufać, więcej też od niego wymagać niżeli od innych. Dopiero później nastąpiło bliższe związanie. Po „spaleniu” w Wilnie i odkomenderowaniu na wieś, bezpośrednio do partyzanckiej roboty, zdarzyło się kilka dłuższych rozmów. Paweł zaczął go zaskakiwać wnikliwością, zastanawianiem się nad problemami, o których on sam niewiele dotychczas - myślał. Wplotły się w wyłącznie wojskowe sprawy kwestie polityki, światopoglądów, ocen. Od września, a potem i wstecz.

Jakieś nowe spojrzenie na Polskę od strony wsi, nie tylko akademickich konwentykli i balansowania od jednej orientacji do drugiej. Cóż z tego, że odsuwany, jako chwilowo nieaktualny, na później, wyłaniał się problem oceny ideologicznej, zaczęły zaciekawiać elementy programu na przyszłość... Paweł mu to podsuwał, rozbudził niejedno zainteresowanie, poszerzył płaszczyzny widzenia.

Sekuła nic o tym nie wiedział. Zdawało mu się, że ciągle tylko przyjmuje, nie wnosząc nic ze swej strony. Jakież bywał czasami zażenowany, gdy wypytywał o jakieś gnębiące go sprawy, chciał wyjaśnień dopowiedzianych do końca. Czerwienił się, jękał coś jak przeproszenie... Narzucał potrzebę myślenia, zarazem trafiał na żyłkę polityka i społecznika, w każdym razie działacza, tkwiącą w rozmówcy. Pewnie, zakres wiedzy, jakim dysponował wystarczał, by odpowiadać na pytania Sekuły. Wkradły się jednak, w te odpowiedzi, w wyniku konieczności własnych przemyśleń, treści nowe, nie zawsze zgodne z oficjalnie nurtującymi konspirację tezami.

Przyszedł wreszcie najcięższy, najtrudniejszy czas doświadczeń. Sprawa decyzji wyjazdu, rozbratu między wezwaniem z eteru, zaklinaniem na miłość ojczyźnej ziemi a logiką i może podświadomym uznaniem konieczności repatriacji. Rozbiegły się ich drogi, nie stykali się z Pawłem w tym czasie. Okazało się, że Paweł miał lepsze wyczucie, jeśli nie zrozumienie sytuacji, jej twardych, boleśnie twardych realiów. Wyjechał do powstającej w nowym kształcie ojczyzny w pierwszej turze transportów, wiozących ludzi skołatanych, niepewnych, nawet nie mających odwagi, by przyznać sobie prawo własnego wyboru. Paweł (pojechał, on pozostał. Bo po rezygnacji z pierwszego hasła: masowej odmowy repatriacji, znalazło się inne: emigrować. Tylko kadra musi zostać, żeby być w każdej chwili tu, na miejscu gotowa. Jeszcze działała delegatura, jeszcze, choć przetrzebiony, pracował sztab dywizyjny, i jedno i drugie pogubione w sprzecznościach, co z kolei, prowadzić musiało do sprzeczności zaleceń czy nakazów. Usłuchał tego drugiego wezwania. Okazało się, że więcej niż Paweł potrzebował czyjegoś przewodnictwa, prowadzenia za rączkę. Wyczucie nielogiczności tego postępowania, też połowiczne, niepełne, nie dopowiedziane do końca, kłóciła się ze swoistym pojmowaniem honoru, z ambicją, by nie być poczytanym za tchórza. Narastał spór wewnętrzny, bierności towarzyszył bunt. Rezultat był właściwie do przewidzenia, opóźniona możliwość powrotu, i tak szczęśliwie, że tyle jedynie, dwa lata nie najciekawszych doświadczeń. O dwa lata opóźnione wkroczenie w nową Polskę, i tęsknota za minionym i opuszczonym, a obok pasja działania, współudziału na pełnych prawach, z pełnymi obowiązkami.

Czyżby Paweł nie wyczuł w nim przy ich ponownym spotkaniu luki tych dwóch

brzeziennych dla każdego z nich lat? Bo znowu chciał się o niego wspierać, nie zmalowało podbudowane sentymentem zaufanie. Świadczy o tym choćby imię nadane pierworodnemu synowi, jeszcze tam, w. Mejsutach czy Wilnie. Akcenty wyraźnej tęsknoty rozsiane po kartach pamiętnika...

Nie przeczuwał, że Paweł był z nim aż tak silnie związany, że aż tak bardzo ufał mu i wierzył. Czy potrafił odpowiedzieć na tę przyjaźń równą przyjaźnią? Czy nie zawiódł tamtego człowieka? Na pewno potrafił być wobec Pawła w pełni lojalny, z tym, że lojalność ta rzadko wykraczała poza swoistą grzeczność, poza rady dobrego wujaszka. Może nie traktował Pawła jako równorzędnego partnera, coś w nim było z inteligenckiego dystansu, o którym z taką pasją, zresztą z innej okazji, z furią niemal wyrażał się stary Pacuk. I chyba z tego niepotrzebnie stwarzanego intelektualnego dystansu zrodziło się wszystko późniejsze, aż po jego zachowanie podczas choroby Pawła i ten nieszczęsny pogrzeb.

W rozgrywce bezinteresowności przyjaźni, zaufania i pełnego oddania Paweł zostawał bezspornym zwycięzcą.

Piaszczyste, o ostrym spadku zbocze Góry Trzykrzyńskiej od strony Wilenki, wartkiej tutaj, choć płytkiej, szumiącej nieustannie przy przetaczaniu wody przez dno usiane warstwą drobnych wyszlifowanych kamieni. Rozpędzali się na płaszczyźnie szczytu i potem z odbicia wyfruwali w powietrze, kto dalej, kto dalej. Pierwsze poczucie lotu, zachłystywanie się pędem powietrza. Osiem metrów, dziesięć, niekiedy upadek, staczanie się niemal aż na brzeg rzeki, jeżeli nie zatrzymał miłosiernie któryś iż rzadko rosnących ikr zewów.

A w kilka lat później urok majowych czy czerwcowych wagarów na przystani wioślarskiej, na zmontowanym w nurcie Wilii basenie. Zażenowanie i wdzięczność dla profesora gimnastyki, który z Antokola tą drogą zdążając co dnia na lekcje odwracał wstydliwie spojrzenie w innym kierunku. Jest dziś nadal z młodzieżą, gdzieś bodaj w Gorzowie. Jakże musiały się w nim spierać uczucia wychowawcy klasowego i pedagoga z ambicjami nauczyciela wf, bo te wagary zwiększały przecie szansę czołówki pływackiej na międzyszkolnych zawodach.

Ta sama Wilenka, ta sama Wilia schroniła go, gdy ostrzeliwując się w trakcie ucieczki po wyspie lokalu przy niedalekiej Zaimkowej, nie znalazł innej szansy, jak skok w wartki, pełny wirów nurt. Dziwnie brzmiały plaśnięcia o tafle goniących pocisków, chłód wody łagodził ostry ból otrzymanych ran, dlatego może ramiona miały jeszcze dość siły, by donieść do drugiego, zbawczego brzegu.

Wojna, konspiracja, noce w pewnych okresach każda gdzie indziej i każda niepewna,

zamelinowane lokale, żar patriotyczny, wola działania, gorczy, że tego działania czasami tak bardzo mało. Oczadzenie polskością. Jaka? Po prostu wolną. Cóż więcej mogło obchodzić tę masę szczeniackiej młodzieży? Dopiero późniejszy czas uczyć miał rozrachunków nad miarę bolesnych.

Pierwsza dziewczyna, szkolny czas, mleko pod nosem, niezdarność pocałunku, nikt ich wszak tego jeszcze nie uczył, długie spaceru w cieniu drzew ulicy Zakręt, wiodącej do zamkniętego już o tej porze naturalnego parku.

I pierwsza wódka wypita w przyległym do knajpki prywatnym pokoiku gospodarza, jakże inaczej? Niech no by kto zobaczył. I pędzenie co dnia do gimnazjum przy Pohulance, i ten defekt dzwonka rozmyślny, skrócenie lekcji o pół godziny. Pierwszy gorący spór ideowy, wybuchły na tle konfliktów w środowisku akademickim. I przejście, chyba pierwszy raz tak żarliwe, przy wieściach o tragicznym strajku biednych rybaków nad wodami Naroczy. I znów dawniejszy czas, szlak wycieczkowy wiodący nad Świtez, odczucie innego zupełnie, pełniejszego smaku Mickiewiczowskiej ballady.

Albo to koło krajoznawcze, prowadzone przez nauczycielkę geografii, entuzjastkę piękna tak architektury, jak i przyrody, pierwsze przejście się budowłami, badanie tajemnic stylu. Przecież czekał egzamin na przewodnika po Wilnie, traktowany poważniej niż niejedna z klasówek szkolnych. Może w tamtym zachłyśnięciu się urodą Smuglewiczowskich linii, patyną krętych zaułków, labiryntami lochów na Bakszczie, zwiewnością gotyku kościoła Św. Anny czy legendą Gedyminowską wiążącą się z Górą Zamkową tkwi podłoże powojennej decyzji studiowania architektury, gdy prawo stało się nagle obce, zaczęło po prostu mierzić?

Pierwszy raz wetknięty w kieszeń, na serce, indeks akademicki, pierwszy egzamin, zdawany z nie zaznanym dotychczas dygotem serca, znajomość wszelkich przejść, pasaży i bram przechodnich; tak potem przydatna w czasie okupacji; wielkie kina przy ulicy Wileńskiej i Wielkiej, gdzie się przesiadywało na cowbojskich filmach po trzy czasami seanse; szperanie po antykwariatach Dożynkiewicza czy innych, zwłaszcza z atrakcyjną książkową tandetą w dwóch budkach żydowskich na Rynku Drewnianym, gdzie można było napotkać prawdziwe skarby.

I wszystkie znajome dziewczęta, i knajpki maleńkie schowane gdzieś w suterrenach, dorożkarskimi zwane, gdzie w godzinach świtu można było jeszcze dopijać „tak pięknie zaczęty wieczór”, i podwórza domów, w których się przez te lata z kolei mieszkało, i rozpacz, bunt, smutek, wszystko razem, gdy gestapo wiodło cię przez ulice do twojego własnego domu, byś wskazał przy rewizji miejsce, w którym skrywałeś broń, a której sami znaleźć nie mogli i mimo wszystko - w twojej obecności też nie znaleźli, choć była, i dużo jej było...

Wiosny pachnące kasztanami na tak wielu ulicach zielonego miasta, jesienie pokapujące z konarów szarymi łzami, zimy, gdy czekało się dnia, by termometr opadł dość nisko, by iść nie do szkoły, ale bawić się do upadłego wraz z kolegami.

Lata spędzało się na Wileńszczyźnie, na wodach brasławskich, trockich, dryświackich. Tam rodziła się znajomość białoruskiego i tam wraz z wiekiem jawiło się rozumienie pogmatwania narodowościowych i społecznych problemów. Podobnie jak w inny, buntowniczy sposób odradzała się płaszczyzna narodowościowych konfliktów we wrześniu, gdy coraz cięższa stawała się droga rozbitków w polskich mundurach, od których ani guzika mieli nie oddać...

Siła przeżyć i ich różnorodność, zachłanność na poznawanie świata i rozczarowanie jego niektórymi barwami. Wszystko w końcu znajdowało rodowód swój w Wilnie. Z tym wszystkim trzeba się było w pewnej chwili rozstawać. Bunt, łza niejedna, z nagłą cały wizerunek zostawianej przeszłości staje się różowy, bez cieni, w sercu uczucie pustki i gorycz doznanego zawodu. Z wolą czy bez woli, nadszedł czas rozstania: z romantyką kresową, z błyskotliwością intelektualną środowiska pełnego ofiarstwa społecznego, narosłego przez lata pośród gościnnych, cichych ludki, melancholijnych w zadumie płynącej od lasów i rojstów.

Przemożniejsze nad siłę uczuć, nad powiązania osobiste i narodowe, nad wszelkie tęsknoty i ich szczerze racje, wyrastało prawo realiów polityki, surowa wymowa konkretnych faktów. Nieodparta w końcu stawała się logika dziejowego wywodu. Ale cóż z tego, gdy uczucie przeciwstawiało się wszelkim racjom, wewnątrz ludzkie przemieniając w bitewny poligon?

Dla niego nie była łatwa nawet adaptacja fizyczna, a cóż dopiero psychiczna do nowych warunków. Ratunkiem stawało się często zaprzątnięcie i sił, i myśli *bez* reszty tym nowym. Konieczne stawało się szukanie nowych wartości i nowych miłości, które, nie wypierając starych, przywracały wewnętrzną równowagę. Proces wrastania, niełatwy, ciągle w pełni nie zakończony, trwający tak długo, jak trwałe będą wspomnienia, żywa pamięć tych, którzy tam byli, a potem z bólem przemieszczała korzenie na nowy grunt. Proces często nie zrozumiany, deptany, głuszony na wszelkie sposoby. Nie pisać, mię mówić, nie słuchać. Zostawało tylko trawić w sobie własne uczucie, samemu się z nimi borykać, w tajemnicy największej. Skutki bywały odwrotne, przedłużały proces w tej jego najboleśniejszej fazie zamiast go skracać. Jeszcze jedna z kategorii psychologicznych omyłek.

Cóż z tego, że jechał tu, świadom faktów, w zgodzie z logiką, z wszystkimi nakazami rozumu. Każdy ma swoją gruszę, przy której się musi wyplakać, nie tylko Paweł. A jeszcze

niepokój, jak przyjmie go nowa Polska, czy znajdzie tam własne miejsce, o które można będzie się wesprzeć, spróbować zapuścić w nie korzenie. Czy zrodzi się nowa miłość, mogąca zrównoważyć tamtą, rosnącą przez dzieciństwo i młodość, przez cieką próbę pierwszych dojrzałych lat? Przecież wiedział, że argumenty logiki narzuca sobie nieomal siłą, że postulatami politycznego rozumu walczy wciąż z sobą samym, z przemożną siłą nagle wyolbrzymionych, a może dopiero ujawniających się w pełni uczuć. Tak jak wiedział, że te dawne uczucia wpływają wciąż na obecne, na każdy dzień, na widzenie i na ocenę każdej sprawy. Tym trudniejsze stawało się wyrobienie jasnego sądu o każdej z napotykanym po drodze rzeczy. Tym więcej ważyło najmniejsze nawet zwycięstwo nad sobą samym.

Zdarzyła się pierwsza szansa, możliwość skoku, od razu w głęboką wodę. Zanurzyć się w Polskę tam, gdzie dopiero się staje: w polski zachód. Nie zdziwił się, gdy zastał tam niejednego z towarzyszy repatrianckiej doli. I oni poddawali siebie tej próbie, pozornie paradoksalnej, a przecież po przemyśleniu najbardziej słusznej. Bez sztucznego wygaszania konfliktów, bez głuszenia wielu innych sprzeciwów, znajdowali możliwość działania. Zamiast kultywować spopielałe uczucie - tworzyli klimat dla nowej miłości. U niektórych, najczęściej nie uświadomione, a więc i nie nazwane do końca, pojawiać się już zaczynało uczucie satysfakcji i dumy z nadawania zmienionego biegu nurtowi historii.

Zachłusnął się wtedy urodą ciągle pięknego, choć tak zniszczonego Gdańska, przed kikutami murów kościoła Marii Panny odżyło zrodzone kościołem wileńskim Św. Anny umiłowanie architektury, błysnęła pierwsza myśl poświęcenia się właśnie tym studiom. A gdy w Toruniu, przy odwiedzinach dawnego znajomka grafika, poznał nędzę ziemianek betonowych i bunkrów dawnych fortów, służących za locum tysięcznym rodzinom, zaszklily się w nim jakąś wizją poblaski okien przyszłych domów mieszkalnych...

W tych pierwszych latach rozstania z ziemią rodzinną często zdawało mu się, że za nią nie tęskni. Należał do zarządu okręgu PZZ, zaliczał się do najściślejszego aktywu. Cenił to sobie. Aż się momentami zdumiewał, jak w tym działaniu odradzała się w nim dawna żarliwa pasja na tym samym podłożu patriotycznych uniesień jak walka z hitlerowcami w konspiracji i partyzantce.

Napór gwałtownej tęsknoty, nieodpartej pamięci Wilna w każdej chwili, na co dzień, zjawiał się po zmianach czterdziestego ósmego roku. Rozwiązano PZZ, przedwcześnie uznano integrację Nadodrza i Północy z resztą Polski za dokonaną, zmniejszył się nagle i materialny, i psychiczny wkład w te ziemie. On sam zaś, otrząsnął się nagle z kurzu jak jeździec zmienacka wyrzucony z siodła przez zbyt narowistego konia.

Znalazł się wczesnym popołudniem nad wodą Mołtawy. Ciepłe były jeszcze

promienie słoneczne, ale od cienia ciągnął ostry chłód, przenikał ciało. Rzeka płynęła ciemna, zbrudzona, o tej godzinie nie było na niej żadnego ruchu. Nagle odczuł w sobie pustkę, przeraźliwie zaczęła mu doskwierać samotność. Nawet architektura straciła swój sens, przygasły wszelkie rojenia. W wyostrzonych konturach pojawił się obraz błędów i przegięć, nad miarę zmalały osiągnięcia kraju. I wtedy nadpłynął obraz Wilna i jego samego na tym tle, pełnego życia, goniącego w nieustannym poszukiwaniu, walczącego o własne racje, zachłannego na poznanie świata.

I tak potem było już zawsze.

Osobliwie przejawiały się nawroty tęsknoty z miastem rodzinnym. Nie wtedy, gdy znajdował sens swojego działania, udzielał się aktywnie, przejmował jakimiś sprawami, ale wtedy, gdy wpadał w depresję, poddawał się zniechęceniu, z zewnątrz umiał już wyławiać tylko to, co głupie, marne, niedobre, świat czarnych barw.

Czemu dziś nawraca zmów do tych spraw, czemu jeszcze raz nie może wyzbyć się ich ze swoich myśli? Refleks zwierzeń Pawła Sekuły? Podobieństwo ich odczuć? Bo i w Pawle są te wahania, takie sanie chwiejności, również zależne od wewnętrznego nastroju, od stanu samopoczucia, od nateżenia wiary w samego siebie. Ich wina Na pewno, ale nie tylko.

Jeszcze w tym okresie, który nazwano kultem jednostki, próbował się zrywać, walczyć o sprawy innych, zarazem o swoje, o te najbardziej już osobiste. Wyżywał się w SARP-ie, występował z inicjatywami, polemizował, wyklócał się, przelewał w innych swój zapal. Czasem się udawało, częściej odpowiadały mu zdziwione wzruszenia ramion, niemal popukiwanie się w czoło: wariat, czego się szarpie, dla kogo? Popukiwali się częsta ci najbardziej zdolni przy innych okazjach do deklaracja, skoro tylko w nagrodę mogły spadać na nich określone profity. Obserwował, też wzruszał ramionami, znów robił swoje; nie sam, dobrało się kilku zapaleńców, w końcu coś się udawało osiągnąć, coś pchnąć naprzód. Z ulgą wtedy ocierali pot z czoła... Aż zaczęło to jednak razić, inni pozazdrościli, posypały się kłody pod nogi, zaczął się wytwarzać taki fetorek, że w końcu machnął na wszystko ręką, ledwie doczekał nowych wyborów, zaznaczył z góry, iż więcej do żadnych władz wchodził nie będzie. Znów skończyła się złota bajka.

Na inny sposób teraz jeszcze raz zaczął się załamywać. Obok dawnych dołączyły się nowe przyczyny. I te zewnętrzne, i te tak bardzo już własne. Musiał przyjąć wieczór, gdy wziął nagle album Wilna do ręki, zaczął odszukiwać znajome miejsca, a w niektórych tych miejscach szukać siebie.

Paweł również zmagął się z podobnymi nastrojami i tęsknotami, ale zarazem był w tych walkach wewnętrznych mocniejszy mniej rozlazły, mniej cikliwy. Twardszy...

Gdzie słyszał to słowo, co mu ono przypomina? Ach, Janina mówiła tak o Wiktorze, gdy wyczytali na jego liście poprzedzające nazwisko literki tytułu. Więc Paweł także był twardy, pomimo wszystko, wbrew pogmatwanej, pełnej zakrętów drodze pracowitego swojego życia.

I cóż chce Tadzik usłyszeć po lekturze zwierzeń pisanych przez jego ojca? To, że ojciec był twardszy, że wyżej się nosił ze swoją godnością, głębiej przejmował przyjętymi przez siebie prawdami?

Czegoś mu jednak w wizerunku Pawła brakuje. Nie znajduje wyjaśnienia to przesadne już może oddanie, przyjaźń do człowieka, który w końcu wszak późno i niespodziewanie wkroczył w życie ambitnego chłopca ze wisi Mejsuty. Zaraz... Mowa była o zaufaniu. O zaufaniu, jakim Paweł go darzył...

Czas powojenny przyniósł bezpośrednio, nie do odparcia związanie wszystkich z problemami polityki. Nie można od nich uciec, nawet nie warto próbować, przenikają wszystkie arterie życia, stają się jego treścią. Chyba słusznie określa się to mianem, gwałtownego wzrostu świadomości społecznej. Ale zarazem na mniej przygotowanych spada to ciężkim brzemieniem. Nie zawsze potrafią sobie z nim poradzić. Bezradnie rozglądają się wkoło, chcąc wyjaśnień, jakiejś pomocnej dłoni.

Paweł, mimo że na swój sposób nieprzeciętnie przecież inteligentny, sam nie umiał poradzić z sensem przeobrażeń otaczającego go świata. Za świadomością nie nadążała wiedza. Zresztą jakże często wiedza okazywała się nie najbardziej pomocna... Zostawało zaufanie. Do sprawy, a nade wszystko do ludzi, choćby do jednego człowieka. Dlatego Paweł, niezależnie od sympatii, od żywych uczuć dla swego byłego dowódcy, którego na domiar przyozdobił jakąś swoistą aureolką, obdarzył go największym, bez reszty, kredytem zaufania. Najważniejsze stawały się ostatecznie nie słowa tej wyroczni, ale sam fakt jej istnienia, możliwość odwoływania się do niej, chociażby w myślach czy w słowach wpisywanych do pamiętnika...

Teraz dopiero stała się jasna sprawa gwałtownych wezwań w czasie choroby, innych, nowych treści nabierała także symbolika pogrzebu; darzył go tą - miarą ufności dlatego, że nie mógł nią obdzielić innych wokoło siebie. Miał pecha, że życie usuwało z jego drogi tych właśnie najlepszych. Odszedł gwałtownie doktor Czeladzin, rozsypał się zespół przy Związku Zachodnim, zawiódł się w końcu na własnym szwagrze, to wszystko wbrew niemu samemu, przeciw jego naturze, zaczęło wzbudzać nieufność do innych, sznurowało usta milczeniem, koniecznością rozgryzania samemu swych wątpliwości. A jeszcze fura prawdziwych i

urojonych kompleksów, cierń akowski do końca niezrozumiała, niedaleki przykład sąsiada Władka, w nieskończoność pokutującego nie za swoje przecież winy, to wszystko musiało działać. Narastała tęsknota za kimś, przy kim można bez reszty być sobą. Zbliżał się do Pacuków, do niego, wciąż chciał poszerzać kombatanckie więzi. Zmarł z tą swoją tęsknotą do ludzkiej ufności, z jej namiętym oczekiwaniem.

A on sam ileż zaznał goryczy na podobnej zasadzie. Na ciągłym stykaniu się z brakiem ufności, na poczytywaniu niekiedy tego braku za najwyższą zasadę. On sam, inni... Z tym klimatem wchodziła przecież Polska Ludowa w swe życie. Na pewno istniały przesłanki, by nie rozwierać ramion w bezgranicznej szczerości, nazbyt tragiczne były konflikty. Ale z ostrożności zrobiono zasadę, czujność zastąpiono podejrzliwością. Dopiero trzeba było wstrząsu zjazdu moskiewskiego, by w oszalamiającym, bolesnym przejrzeniu wyrosła świadomość genezy tej fałszywej zasady.

Zaginęła podejrzliwość, gdzieś gdzieś poniewierają się tylko jej resztki, ale kryzysu zaufania dotąd usunąć się nie zdołało. Nie obdarzeni zaufaniem też odpłacają nieufnością, ślepe koło, z którego tak trudno się wyrwać.

Nie tylko Pawła to męczyło. Wiktor - zwierzał się wszakże w tamtej rozmowie w baraku przy budowie wojskowego osiedla - na swój sposób przetrawiał ból spotykanej wciąż nieufności. Łatwo przekreślano zasługi, wkład krwi, żarliwość. Starego Pacuka napojono nieufnością, uciekał z kraju do wyrosłego do rangi symbolu miasta młodości, by tam znów zatęsknić za jeszcze jednym powrotem.

Właśnie dlatego był Pawłowi tak bardzo potrzebny. Nie dla zwierzeń, których mogło wcale nie być, ani dla jakichś przedśmiertnych zaleceń. Dla spokoju cichej rozmowy, dla wydobycia jakiejś, przez każdego w sobie chuchanej, najbardziej swojej i własnej prawdy.

Jaka szkoda, że pojął to dopiero dzisiaj, nad kartkami Pawłowego pamiętnika. Kto wie, w przeciwnym razie może i z nim samym w niejednym stałoby się inaczej. Może sam by przejął od Pawła postawę ufności do ludzi, pomimo wszystkich doświadczeń. I im, i jemu byłoby z tym wtedy na pewno lepiej.

Tak mało właściwie trzeba. Wiary ludzi mię tylko w samych siebie, ale i w innych, szczypty ufności zaprawionej na dodatek uśmiechem. Trudno jest żyć. Byłoby łatwiej, na pewno łatwiej...

* * *

„Nieprawda, że nic się nigdy nie powtarza, zdarzają się nawroty” - rozmyślał szykując

się do wyjazdu. Zatrzymywały go wprawdzie ważne sprawy: przyjęcie projektu, szansa zasadniczej rozmowy z przedstawicielem władz architektonicznych z Warszawy, wymagały jego obecności narastające spięcia z Likowajskim. Nawet nie myślał o tym wszystkim: gdyby paliły się niebo i ziemia, równie gwałtownie wyjeżdżałby teraz do Słupska, goniony nie pamięcią Piotra, ale choć to jakiś paradoks żywym ciągle wspomnieniem Pawła. Główna postać aktualnego dramatu, stary Pacuk, stała się nieważna, niejako szczegół podkreślający po raz wtóry wagę zdarzenia sprzed lat dziesięciu, Pawiowego pogrzebu.

Chwilami łapał się na nedorzecznej myśli, że wyrusza na pogrzeb Pawła, że ostygłe gdzieś ciało Pacuła jest tylko przypadkowym atrybutem nie dokończonych zdarzeń. Że dopiero teraz nadchodzi moment decydującej konfrontacji. Nie poprzez rozmowy z Wiktorem, z Tadzikiem, nie w zadumie nad linijkami pamiętnika Sekuły, ale na jakimś nieznanym cmentarzu na dalekiej, zapomnianej stacyjce.

Dopiero w tej chwili pojmował rozpaczliwość swojej obrony przed zarzutem zlekceważenia nadpływającego wtedy z Mazur wołania. Żadna obrona nie mogła dopomóc, cóż znaczyły najbardziej przekonywujące argumenty wobec prostej wymowy moralnej jego ówczesnej nieobecności.

Przed paru dniami utknął w lekturze pamiętnika, drugie tyle nie przeczytanych kartek czekało nadal. Pragnął tej lektury i odczuwał zarazem jakieś wzdragania; przecież wraz z czasem Pawiowym notowanym drobnutkim pismem dopłył wspólnie do chwili, gdy gwałtowność choroby musiała już zgasić w chorym resztkę nadziei, gdy pewna stała się konieczność odejścia. W tym czasie pisany był list do Gdańska wołający o przyjazd... Musiało to znaleźć odbicie również i w pamiętniku. Jak przyjmie te słowa, jaką zajmie w stosunku do mich postawę? Znowuż obrony, szukania wykrętów czy nie ugaszonych, dalszych wyrzutów sumienia?

Depesza Wiktora nadeszła we właściwej chwili. Stwarzała nie tylko dystans w stosunku do nie znanej jeszcze części pamiętnika, ale wyłaniała szansę zadośćuczynienia, odzyskania spokoju poprzez pokutę, odprawioną na innym grobie.

Opędził się wreszcie od tych myśli, bezsensownych, chorobliwych. Ostatecznie trzeba zachować wymiar wszelkich spraw w normalnych kategoriach. Umarł Piotr Pacuk, śmierć tragiczna, Wiktor w depeszy wyraźnie sygnalizuje wypadek.

* * *

Ktoś nieznamy powiedział do, niego, rozszerzonymi oczyma przyglądającego się

stłoczonemu tłumowi.

- To był człowiek, panie! Trzeba było go widzieć... Zawsze dla wszystkich chciał dobrze...

- Za to krzyże mu przetrącili wcześniej jeszcze, mim się dostał między zderzaki - dorzucił zgryźliwie inny z pogrzebowych ceremoniantów.

- Przetrącili, nie przetrącili. Nie takie to proste... Kwiatów na żadnym jeszcze grobie tyle chyba nie było.

Nie zareagował, nie wtrącił się, odsunęli się na bok. Nie miejscowy, diabli wiedzą, skąd się wziął na pogrzebie starego.

Rad był z przywróconego spokoju, nie chciał rozmów, opinii, zwierzeń. Mogłoby spacyć obraz człowieka, którego żegnał. Nawet nie spacyć, zbrudzić tanimi ocenami, płaskimi słowami.

Chociaż czy można jakieś słowa przeciwstawić temu, co ogląda teraz przed sobą? Maleńkie, zdawałoby się, osiedle, niewielu mieszkańców. Skąd zatem te tłumy ludzi, skąd tyle kwiatów, czemu tyle żalu? To nie organizowana akademія żałobna. Zwyczajny pogrzeb, tyle że jest delegacja kolejarzy z powiatu, z wieńcem, w odświętnych mundurach. Zginął przecież na stanowisku pracy. Pomagał w zestawieniu pociągu, mocniej pchnięty wagon potoczył się zbyt szybko, Piotr nie zdążył w porę wcisnąć się w luźne miejsce, płaskie talerze zgmiotły go w oka mgnieniu, zmiażdżyły klatkę piersiową. Nie musiał tam być, nikt go nawet nie prosił, zawsze taki już był. Co ma stacji, należało do niego. Na samej stacji, wokoło niej, w tym spokojnym osiedlu, z którym zrósł się jak drzewo z ziemią.

Wszyscy chyba tutaj wylegli, nawet dzieciarnia, pewnie ją zwolniono ze szkoły, z bukietami kwiatów, kwitną teraz w ogródkach. Ale czyż to przyczyna, że miałyby być na każdym pogrzebie, składane rękami obcych często zupełnie ludzi? W tym rzecz, że Piotr musiał być swój. Pierwszy się tutaj zjawił, pierwszy wnosił w osiedle zaradź przyszłego życia. Uciekał, wracał, wypływał na górę, zmów był spychany, aż w końcu zakotwiczył się już tylko w kręgu połyskujących szyn łączących go ze światem.

Był swój. Dlatego wylegli, żegnają go. Nie ma przemówień, ksiądz wypowiedział jedynie kilka serdecznych zdań. Nie wiadomo nawet, czy Piotr był wierzący, czy nie, Klara przecież organizowała ten pogrzeb. Naczelnik stacji, prawda, także chciał mówić, ale rozplakał się. Nad Pacukiem czy może nad sobą, z lęku przed odpowiedzialnością? Wypadek zdarzył się wszakże na rządzonej przez niego terenie...

Czemu wszystko przypisywać niskim uczuciom? Właśnie że łyzy zgarbionego kolejarza były łzami tylko dla Piotra. Jak kwiaty ze stacji, wszystkie kwiaty, które sam sadił

i pielęgnował, ścięte dziś rano, co do jednego, musiały pozostać z nim razem. Tam znów odrosną, zakwitną, tutaj choć dzień, dwa może, będą mu jeszcze pachniały.

Jest zatem miara słuszności czyjzegoś życia, pełniejsza nad zakręty i załamania losu, nad gorycz rozczarowań i poczucie własnego zagubienia. Ci ludzie odmierzają teraz prawdziwą miarę Pacukowych poczynań i tęsknot. Różni byli dla niego, niejedni go zwalczali, inni podkpiwali, inni byli zawsze tak samo szczerzy. Może dopiero dziś uświadomili sobie, że z odejściem Piotra, snującego się tak niezdarnie po peronach i torach, gładzącego dłonią drzewka wyrosłe z jego inspiracji przy ulicach osiedla, żądającego od innych i dającego najwięcej z siebie, że z odejściem tej charakterystycznej postaci osiedle zubożało z nagłą, zmalowało, stało się bardzo biedne. I nie pojmowali, co tę pustkę zapełni, co nadrobi stratę wynikłą z odejścia Pacuka.

Wolno, grupkami szli drogą powrotną do swojej osady. Tylko dzieci godzinę spokoju musiały nadrobić żywością. Pędziły brzegami drogi, śmiały się i pohukiwały. Nie raziło to nikogo, na odwrót, stawało się takie jakieś Pacukowe, bardzo potrzebne.

Mógł się spodziewać obecności Tadzika. Gdy się jednak spotkali w słupskim mieszkaniu Wiktora, ogarnęło go zażenowanie. Wróciły refleksy pierwszych odczuć po otrzymaniu depeszy, że właściwie ten wyjazd co najmniej tyle się wiąże z Piotrem Pacukiem, co i z Pawłem Sekułą. Że los w jakiejś swojej logice wiąże tamten czas z dniem dzisiejszym.

Tadzik wyglądał poważniej, nie był już taki szczeniący jak przed kilku miesiącami zaledwie. I on właśnie rozproszył dziwne zapeszenie swego imiennika naturalnością przywitania, potwierdzeniem oczywistości faktu, że obaj muszą tutaj być razem. Zażenowanie znikło, ale niepokój pozostał. Cóż z tego, że z pasją próbował tłamsić w sobie obsesję, jak to nazywał, Pawłowego pogrzebu, tam, na Mazurach, w odległym pięćdziesiątym pierwszym roku. Dlaczego tu jest, a tam nie uznał za konieczne się zjawić? I czemu łączy ze sobą te dwa pogrzeby?

Tym więcej zaskoczył go zrodzony na cmentarzu zupełny spokój. Jakby Pawłowy kompleks tam właśnie znalazł rozładowanie, przestał jątrzyć i wstydzić, zaginął. Czemuś czczy stała się relacja dociekań, skąd napłynęła, we wsparciu o jakie motywy dokonała się w nim ta gwałtowna przemiana, która, czuł to, jest już czymś stałym.

Pod wieczór, do zmierzchu było daleko - godziny, dni teraz ciągnęły się długie, niemal bez końca - zasiedli w małym pokoiku Wiktora. Ciotka Klara została w osiedlu przy stacji, należało zlikwidować sprawy po zmarłym bracie. W przyległym pokoju usypiały dziewczynki. Dochodziło aż tutaj mamrotanie gosposi, opowiadającej im jakąś bajkę.

Nie było sztucznie żalobnego nastroju ani przesadnego smutku. Panował spokój.

Także w Wiktorze. On pierwszy przerwał milczenie:

- Można by sądzić, że powinienem być więcej się przejąć, nie tyle już śmiercią, to w końcu musiało przyjść, ile jej kształtem. Wypadek... Uwierzcie, podświadomie zawsze tkwiło to we mnie, że śmierć ojca nie będzie naturalna. Nie pasowałaby do jego życia, bez wielkich przygód na zewnątrz, ale z nieustanną intensywnością wewnętrzną. Żył w buncie, zawsze od kiedy go pamiętam. Teraz, w Polsce Ludowej, bunt ten był silniejszy niż kiedykolwiek. I w tym widzę pełnię tego człowieka. Tylko mali, słabi się nie buntują, gorąco nie pragną, do niczego nie dążą. W tym wymiarze mniej ważkie stają się nawet małe przegrane, byle się nie kończyły poczuciem klęski. Myślałem w pewnym okresie, po październikowej przegranej ojca, że się załamam. Może nie wiecie, że usunięto go wtedy z partii. Dla mnie to także był cios. Zastanawiałem się, czy samemu nie złożyć legitymacji. Przecież to krzywda dla ojca, któż mógł znać lepiej jego przekonania niż ja. I to znów mnie otrzeźwiło. Ja znałem, ale tamci, akceptujący skreślenie, nie znali... U nas teraz jest moda na gadanie o klęsce postaw pojedynczych ludzi i całych środowisk, tak wśród wyznawców innych orientacji, jak wśród lewicy. Wiele w tym chyba przesady. Klęska to koniec, ostateczna degrengolada, rezygnacja z samego siebie. Chyba słuszniejsze, konieczne jest walczyć o coś do końca, ratować swą wiarę... Ale to szersze sprawy. Jest dla mnie w odejściu ojca jakby dopasowanie ram do obrazu. Właśnie te wagony, ślepo uderzające zderzaki. Nie sam fakt, ten był okropny, przecież ja ojca krótko po tym widziałem... Ta śmierć od początku do końca była związana z koleją. Całe życie żył wśród wagonów, zawsze mu towarzyszył świst lokomotyw, kłęby pary, perony i budynki stacyjne. To jego świat. W nim pozostał do ostatniego tchnienia.

Słuchając słów Wiktora, zastanawiał się nad czymś zupełnie, innym niż ich treść. Kto to mówi? Ten sam Wiktor Pacuk, przywódca robotniczego oddziału młodzików w Wilnie, chłopak odważny, w którym sporo było cwaniactwa z przedmieścia, z odpowiednim słownikiem, z przystosowanym do tego środowiska światem pojęć. Jakże daleki od tamtego chłopca jest teraz inżynier Pacuk. To nie tylko olbrzymi Skok wiedzy, to przede wszystkim awans w umiejętności myślenia, w zdolności definiowania zjawisk. Może Wiktor posiada ją teraz w stopniu wyższym od niego samego? Albo może to instynkt inteligenta w pierwszym pokoleniu, jeszcze nie oderwanego od tradycji środowiska, w jakim wzrastał, od jego bezpośredniości i prostoty myślenia, bez dodatkowego komplikowania często najprostszyc zjawisk. Jakże prosta, zwyczajna i symboliczna zarazem staje się śmierć Piotra w naświetleniu Wiktora. Mimo bólu miał już czas to przemyśleć, znaleźć uspokojenie w wyciągniętych stąd wnioskach.

Tadzik inaczej reaguje, przyjmuje wypowiedzi Wiktora jako coś najbardziej

oczywistego. Zatem ich mentalność jest pokrewna.

Poczuł potrzebę poruszenia sprawy, która od momentu, gdy tak we trójkę znaleźli się teraz naprzeciw siebie, intrygowała go najbardziej. Przecież nie o pogrzeb chodziło, zwyczajowy w nim udział na zasadzie starych powiązań. O coś innego, o inne racje, że się spotykają, że są ze sobą. Że musieli tutaj się znaleźć, co Tadzik od razu przyjął jako rzecz naturalną, wynikającą z faktu, że być nie mogło inaczej. Dlaczego nie mogło?

Przyjrzał się teraz ich twarzom. Ostry zarys oblicza Wiktora, podłużne bruzdy przy policzkach opadające ku ustom, wyraz spokojnego smutku, zamyślenie, chwilami jakby nieobecność pomiędzy nimi. I Tadzik, nagle wydoroślały, skupiony, z lekko rozchylonymi wargami, przeżuwający w zadumie sens dopiero co zasłyszanych słów. Kim są ci dwaj ludzie dla niego? Czemu rad jest z ich obecności, z zawisłego tutaj oczekiwania na jakąś ich jedynie tyczącą wymianę poglądów?

- Jadąc tutaj, myślałem nie tylko o Piotrze, ale również o Pawle. Te dwa pogrzeby, choć odmienne, mają razem coś wspólnego. Na ich tle moja sprawa, znacie ją obydwaj. Nie o niej chcę mówić, zresztą wygasła właśnie teraz na cmentarzu, gdy stałem nad grobem. Coś się we mnie dopowiedziało, odzyskałem spokój, tak oczekiwany przez lata, od pięćdziesiątego pierwszego roku...

- To już przebrzmiało, panie Tadeuszu. Dawno się wyjaśniło, minęło... - W szepcie Tadzika zabrzmiało wyraźne zażenowanie.

- Masz rację, Tadzik, dzisiaj minęło, ale chcę, abyście i o tym wiedzieli. Bo znów jesteśmy tutaj we trójkę. Zawsze było nas trzech. Tadzik zastąpił ojca, odszedł Piotr, który był dopełnieniem Wiktora. Ale treść stosunków pomiędzy nami pozostaje ta sama. Co nas łączy? Nie chodzi o udział w pogrzebie, o akt spełniony w imię dawnych przyjaźni, bardzo różnorodnych powiązań. Ale czemu tkwimy tu teraz, w tym pokoju we trójkę? Czemu pragniemy coś sobie powiedzieć, może nawet nie to, chcemy w sobie coś wyczuć, czymś się podzielić? Co nas łączy przez czas i oddalenie? Przypadek? Wspomnienia? Powiedz, Wiktor, czemu i twój ojciec, i ojciec Tadzika są ciągle jak gdyby obecni pomiędzy nami. Przedzielają nas lata, a potem z nagłą musimy tak czy inaczej stykać się ze sobą... Twój list przed zjazdem, pamiętasz? Odwlekło się, w innych okolicznościach, ale jesteśmy razem. Musiało dojść do takiego spotkania. Dlaczego?

- Pamiętam także co innego. Tamto małe miasteczko, osiedle w budowie, drewniany barak, flaszki nie najlepszego wina. Atakowałem ciebie, bo to stawało się dla mnie wewnętrzną potrzebą, bo tym atakiem próbowałem ratować zarazem siebie. Niejeden z tamtych zarzutów odnosił się przecież do mnie samego. Tamta rozmowa została urwana.

Nigdy nie odnajdziemy końca, tak długo, jak będą dla nas istnieć nie tylko prywatne sprawy. Może potrafimy tylko uzgodnić nasze przesłanki wyjściowe. Wspomniałeś o moim ojcu i o ojcu Tadzika. Mój ojciec reprezentował sobą także i moje racje, byliśmy przeciwko tobie we trójkę. Intelktowi, zasobowi wiedzy przeciwstawialiśmy to coś, co się określa instynktem proletariackim. Dziś w jakimś stopniu wyrównały się nasze szanse; myślę o pewnym ogólnym zasobie wiedzy zezwalającym widzieć szerzej, pełniej. Tadzik jest poniekąd odbiciem Pawła, i on też osiągnął awans intelektualny. Jakby zatarły się przez to samo i podrwinki mojego ojca, częścią tylko płynące z przekonania, znacznie więcej z żalostnej, nie wyrozumowanej zawiści, z zazdrości, że ktoś dysponuje większym zasobem wiedzy, wyższą inteligencją. Przez mnie ojciec nie będzie już mówił tamtymi kategoriami. Tak jak w Tadziku nie będzie się odzywał dręczący Pawła kompleks zagubienia na głuchej wsi, poczucie izolacji od głównego nurtu tego, co w kraju, w ogóle w świecie się dzieje. Dziś ukuto już slogan, w istocie swojej najgłębiej słuszny: „Polska krajem ludzi kształcących się”. Co tu gadać? Można zrobić rewolucję bez większego zasobu wiedzy, nie można bez tej wiedzy jej utrwalić. Jeśli umownie przyjmujemy, że w Tadziku w innym wymiarze odzwierciedla się Paweł, we mnie mój ojciec, to pozyskany przez takich jak my zasób wiedzy generalnie zmienia układ sił w kraju. Przyspiesza się przez to bieg pewnych procesów, normuje je, pełniej definiuje i pewniej strzeże od błędów, choć żadne kryteria intelektu przed nimi nas nie uchronią... Czy rozumiecie, do czego prowadzę? Że musimy, chcąc nie chcąc, kontynuować naszą rozmowę sprzed lat. Choćby dlatego, iż zbyt wiele wiemy o sobie, nie potrzebujemy się opukiwać, przeprowadzać próbną sondaż. Że w każdym z nas tkwią niedopowiedzenia, odzywa się jakiś niedosyt, brakuje poczucia pełni, chcemy analizy, wykrystalizowania się czegoś w nas samych...

- Chcesz powiedzieć, że ciągle szukamy? Ale jak z tym wyborem, samookreśleniem, ma które kiedyś tak nastawałeś?

- Tam świadomie przesadzałem w ostrości sformułowań, wspomniałem już o tym... Nie wypieram się przy tym ogólnej słuszności tamtego mojego spojrzenia. Chodzi mi, Tadeusz, nie o to. Myślę o niepokoju, jaki w nas tkwi, niezależnie od zajmowanych pozycji. Nie wierzę w niezaangażowanie kogokolwiek w tym kraju, nawet ludzi najbardziej odmiennych przekonań, wyłączając tylko jawnych, zaciętrzewionych wrogów. Bo w końcu, wykształcają się w Polsce pewne wartości nie tylko materialnej natury. Zmienia się stosunek do wielu spraw. I każdy do tych zmian w taki lub inny sposób dokłada swoją cegiełkę. Nawet poprzez sprzeciw czy protest, byle nie poprzez negację. Bo sprzeciw także poszerza widzenie zjawiska, ukazuje jego nowe aspekty, zezwala na korektury...

- Wplątani jesteśmy zatem wszyscy w dzisiejszą Polskę, czy więcej, czy mniej w niej złości albo czy mniej lub więcej cieszy i domaga się akceptacji.

- O to mi chodzi. O tę obecność. O ciągle szukanie. Nie znoszę ludzi letnich, bezbarwnych, potakiwaczy, gorliwców. Są zawsze albo załgani wewnątrz, albo puści. Dzisiaj nie można czuć się zaangażowanym bez jednoczesnego szarpania się w sobie z konfliktami na wielu polach. Ciągle będą się rodzić nowe koncepcje, nowe racje, będą dyskusje, dla niektórych boleśnie może krzywdzące, ale to chyba także pomnaża szansę rozwoju, przyspiesza ucieczkę od zastoju, który w końcu zawsze jest zabójczy...

- Dobrze, Wiktor, rozumiem ciebie - przerwał mu dosyć porywczo. - Ale mnie prześladowuje coś jeszcze innego, dlaczego my, dlaczego właśnie ciągle my, z naszymi trzema punktami widzenia, pokrewnymi, w niejednym wspólnymi, ale i rozbieżnymi zarazem? Czemu tych swoich wniosków nie wysnuwasz gdzie indziej, czemu właśnie ja i Tadzik musimy być twymi słuchaczami? Czemu ja czytając pamiętnik Pawła ciągle go w jakiś sposób przymierzam do siebie? Czemu musieliśmy przyjechać na pogrzeb Piotra, ja też, choć nie byłem na innym pogrzebie i gorzko *ma* to pokutowałem przez długi czas? Czemu my właśnie?

- Dyskusja nasza zaczęła się wcześniej, może jeszcze tam, w Walnie. Spierałeś się z ojcem, Tadeusz, zjawiał się u ciebie Paweł ze swoimi wątpliwościami...

- Teraz ja przychodziłem, jak kiedyś ojciec - wtrącił milczący dotychczas Tadzik.

- Chyba się mylisz, to ja ciebie słuchałem, ode mnie niewiele wyniosłeś.

- Sprawa oceny. Na mnie bardzo zaważyła tamta rozmowa. Choćby jako materiał do dalszych przemyśleń...

Wiktor uśmiechnął się leciutko.

- Atakując cię w tym baraku w znacznym stopniu czyniłem to również z pozycji mojego ojca... Kontynuowanie dyskusji jest nadal konieczne. Będziemy się spotykali. Choćby wbrew/ sobie.

Zdarzają się drogi, które nieustannie się ze sobą krzyżują. A potem może się okazać, że prowadzą w tym samym kierunku.

- Nie jestem pewien.

- Nie jesteś pewien, Tadeusz, czy nie chcesz sam przed sobą przyznać się do „tej właśnie pewności? Stajesz ciągle okoniem, ale nie *masz* przesłanek do zbudowania programu tej opozycji. Dlatego, że kłóć się w tobie ząb za ząb trochę wmawiana w siebie postawa opozycjonisty i postawa bezpośredniego współuczestnika, nie świadka, ale współuczestnika wydarzeń. Świadomego współuczestnika. Cóż z tego, że ciążą na tobie pewne nawyki, opory,

kiedy w końcu co najwyżej zaostrzają one twój zmysł krytyczny, ale nie mogą cię odsuwać na stanowisko obojętnych czy niezaangażowanych. A zmysł krytyczny to cenna rzecz, ja się dopiero jej uczę. Żeby nie polegać na odruchach, na uczuciowym wyłącznie stosunku do sprawy, ale na rozumowej jej analizie. Buntuj! Kto ich nie zna? Jakże ja się ciągle buntuję, jak tysiąc rzeczy mnie drażni, widzę wiele głupstw, partactwa, czasem zwykłych nonsensów. Ale zarazem znam swoje miejsce, wiem, gdzie jestem, że mnie nic już stamtąd nie ruszy. Coś takiego istniało i w moim ojcu. Szarpał się, protestował, ale ani na jotę nie odszedł od swojej prawdy. I ty się buntujesz, z innych płaszczyzn widzisz niejedno. Tym lepiej, obraz staje się wtedy jaśniejszy. Tadzik znów poprzez ojca poprzez siebie wnosi coś jeszcze nowego w spojrzenie na świat, na Polskę. Ta suma naszych doznań jest potrzebna.

- Dla buntu?..

- Pokpiwasz, to także metoda ucieczki przed samym sobą. A choćby dla buntu, bunt w końcu jest zawsze twórczy. Byle nie dla negacji. Ale tej w żadnym z nas nie ma.

- Masz wiele racji, Wiktor, ale nie w zupełności. *Zmów* sprzeczasz się z samym sobą, dobierasz argumenty dyskusyjne nie tylko dla przekonywania mnie czy może Tadzika, również dla siebie... Ale właśnie Tadzik, niechaj on się wypowie, jak widzi te same sprawy. Nasz wiek powoli zaczyna się przechylać na stronę tych już nie średnich, ale starych, on mówi w imieniu młodych, wchodzących dopiero na scenę, przed nimi pewnego dnia stanie ona otworem, przejmą władzę, odpowiedzialność, zsumują i nasz wysiłek... Mów, Tadzik.

Wzruszył ramionami. Nie był to wyraz niechęci, ale zażenowanie, może wynikające z niepełnego jeszcze sprecyzowania własnego osądu.

- Już kiedyś mówiłem panu Tadeuszowi o żalach, jakie mamy do waszego pokolenia. W niejednym was podziwiamy, szanujemy, ale w niejednym stajecie się dla nas obiektem przekpinki. Pewnie, wyrastaliście w innych warunkach, stąd wasze aż do znudzenia odgrzewane kompleksy. Przeżyliście wojnę i okupację, na niektórych pozostał głęboki ślad, inni z tego się wyzwolili, ale wszystkim - utrudnia to ocenę niektórych zjawisk. Szarpiecie się w jakichś podziałach, w sporach dla nas zupełnie niezrozumiałych. Szanujemy was, ale zarazem oceniamy i imamy prawo oceniać surowo, choć się to wam nie zawsze podoba, choć to nasze prawo oceny hamujecie często na różne sposoby. Mamy żal, wielką pretensję o sprawę jakiegoś pełnego modelu wychowawczego, praktyki, nie teorii. Więcej, tak ciągle mówicie o dniu dzisiejszym, zachłystujecie się tym terminem, ale naprawdę to przecie wy sami nie macie jasnej definicji tej współczesności, dla doraźnych potrzeb stwarzacie często doraźne teorie, by niedługo później generalnie z nich się wycofywać, szukać nowych środków zastępczych. Liberalizm, demokratyzacja, dyktatura proletariatu, sprężystość rządów, ich

sprawiedliwość - nigdzie tu nie wymierzyliście granic, nie wypracowaliście jasnego modelu. Nie schematu, tych jest za dużo, ale modelu, dość elastycznego i dość sztywnego zarazem, aby zmieścić wszelkie istotne treści i przygotować się na zawsze mogące zdarzyć się niespodzianki... Pewnie, imacie na usprawiedliwienie jedno: zbyt krótki czas, zbyt wielki w nim zakres zadań, zbyt wielkie wahania, błędy, zbyt wiele zarazem sukcesów. Rozumiemy tę specyfikę czasu, zgadzamy się z tymi usprawiedliwiającymi racjami, ale zarazem zachowujemy żal i pretensję. Bo to dla nas ciągle za mało. Tak jak nieodmiennie za mało w waszych staraniach człowieka. W gonitwie, w wysiłkach dla niego czynionych - o nim samym jakże często zapominacie z kretesem. My zaś stawiamy na człowieka, pragniemy odbudować jego godność, poczucie dumy...

- To niełatwe...

- Tak, panie Tadeuszu, dlatego nie twierdzę, że to się nam uda; w ogóle, wierząc w moje pokolenie, daleki jestem od przesądzania, czy potrafi ono dokonać więcej niż wasze, może popełnimy jeszcze więcej omyłek, namnożymy obok aktów sprawiedliwych także i krzywd. Ale wasze doświadczenie bardzo się nam przyda.

- Do ojca garnęli się ostatnio młodzi na tej jego stacyjce. Umiał z nimi rozmawiać, nawet z huncwotami, którzy chuliganili na jego peronach i torach. Jakoś ich obłaskawiał. Ciekawym, czy mówiliby podobnie, Tadzik, jak ty. Bo według mnie upraszczasz, przesadzasz, choć w jednym bezwzględnie masz rację, w tym zbyt częstym niedostrzeganiu człowieka. Środki przesłoniły w poważnym stopniu cel...

- My tego chcemy uniknąć. Złości też nas, że osłaniacie zbyt wiele treści mgiełką niedomówień, jakąś tajemniczością. Tymczasem z wyjaśnieniem i nazwaniem prawdziwie wielu spraw, tak dobrych, jak złych, nie zawsze należy czekać, aż się staną odległą historią. Bo przez to znowu można zapomnieć o żywych ludziach, którzy mają prawo żądać pokwitowania za swoje troski i radości, za krzywdę i nie zawsze właściwie odplaconą zasługę...

- Tadzik! - przerwał mu jego imiennik. - Mówisz ciągle per wy, jakbyś miał mandat od młodych, by mówić w ich imieniu. Czemu tak?

- Czy dziś można mówić inaczej? Wy też, panowie, używacie podobnej nomenklatury. Spieracie się w imieniu jakichś zespołów, środowisk, grup, bo ja wiem w końcu czego? Nikt mi mandatu nie dawał, mówię w swoim własnym imieniu, ale są to sprawy na pewno wspólne, niezależnie od indywidualnych różnic spojrzenia. To znowuż kwestia czasu, epoki.

- Tak, Tadzik, coś się z tego wykluwa, z naszej rozmowy: nie ma w tym kraju bezludnych wysp, nie ma izolacji od spraw powszechnej natury, ucieczki do własnego wyrka

i własnych wyłącznie kompleksów.

- Trzeba się opowiedzieć tak lub inaczej, buntować się spróbować, ale musi się być. Ojciec kilka razy próbował uciekać, ja chciałem, bardzo chciałem; wiem, Tadeusz, że ty też szukałeś jakichś ostępów, w których mógłbyś się zaszyć, ale nic z tego, każdego z nas dogonił dzisiejszy czas.

Spojrzał na Wiktora, przytaknął. Uśmiechnął się do zamyślonego Tadzika. Przypomniał mu się tłum na cmentarzu odprowadzający na wieczny spoczynek starego Pacuka.

* * *

„Prosto z pogrzebu na imieniny - myślał ponuro, śledząc rozbawione towarzystwo. - Szkoda, że nie wesele albo wystawne chrzciny, kontrast stałby się jeszcze pełniejszy.”

Nie można było odmówić. Usiłowali się wykpić, Janina też nie miała ochoty na to przyjęcie, przesłali w południe kwiaty powinszowania, nie pomogło. Profesor dzwonił, natarczywie zapraszał; gdy się mu wymigiwał, wyraźnie słyszał w słuchawce głos nabrzmiewający urazą. Ustąpił. Machnickiemu za wiele zawdzięczał jeszcze ze studiów, on go skierował na praktykę na gdańskiej Starówce i potem na pierwszą pracę. Szedł wszakże jak na ścięcie, tych właśnie imienin szczególnie nie lubił. Tłoczno tam zawsze, gwarno. Staruszek wychodził z założenia, że imieniny są doroczną okazją do załatwiania wszystkich obowiązków towarzyskich. Zapraszał na prawo i lewo, obok siebie przy stole zasiadali zatem często przysięgli wrogowie...

W tym momencie musiał spojrzeć w kierunku Sowy.

Już zdążył się zalać, coraz mu szybciej to przychodziło. Chuda pociągła twarz robiła się teraz zupełnie lisia, zlepione potem włosy zsuwały się na czoło, ton głosu, jak zawsze w takich razach stawał się zawadiacki, wszystkie kompleksy wychodziły na wierzch. Sowa dostrzegł jego spojrzenie, przez stół wlepił wzrok w swego antagonistę, mruknął coś, wychylił kieliszek, sięgnął po papierosa, zaraz wyskoczy z jakąś zaczepką. Janina na szczęście spostrzegła się, zagadała go. Przyszpiliła jakimś pytaniem, zacai się więc, dziwnie się przy niej peszył, tracił swój pijacka rezon. I korzystając z okazji, że go przywoływano spod okna, pomaszzerował sztucznym krokiem w tamtą stronę.

Odetchnął z ulgą. Nie pragnął tego starcia, zawsze przybierało taki obrót, że budziło zażenowanie i wstręt, odbierając ochotę do jakiejś wymiany zdań. A jeszcze w obcym domu, właśnie u Machnickiego. Staruszek byłby niepokieszony. Już i on obserwował Sowę spod oka, na jego twarzy znać było wyraźny niepokój.

Sowa. Ileż to lat minęło od chwili, gdy ścięli się po raz pierwszy ze sobą. Ostatnio, jak

sluchy glosily, przezywal zalamanie, uzalal sie, ze go nie szanuja, poniewieraja, ze partia bardziej interesuje sie ludzmi stojacymi na innych pozycjach niz wyznawcami, oddanymi jej dusza i sercem. Ot, chocby on, jak jest przygnębiony, pomijany w odznaczeniach, nagrodach, orderach, nie zapraszany na imprezy, nie doceniany. Jednocześnie wiadomo bylo, ze chandra Sowy bierze sie po prostu z klopotow bytowych: rozpil sie ostatnio, zaniedbal prace, sila rzeczy zmalec musialy dochody, na piekne oczy nikt mu juz nie chcial nic dawac, tworzylo sie slepe koło zawiści i żalu. A przy tym byl przecie zdolny, umial zdobyć sie na więcej nizeli poprawny projekt, nie z koniunkturalnych względów przystal w swoim czasie do partii. Tyle ze zbyt go w niej moze w tamtym czasie glaskano. Gdy zaczely obowiazowac oceny wsparte bardziej o rzeczywiste wartosci, Sowa coraz bardziej odzeglowywal na daleki margines. Pil wiecej ze strapienia.

W ogóle sporo bylo okazji <do obserwacji na imieninowym spędzie u profesora. Chocby Wojtyłowie. Jakze niepewne sie zrobily ich miny na widok Janiny i jego. Porwali sie witalc, Wojtyło byl słodziutki, klaniał sie, gadal wylewnie, nie mógł skryć wyraźnego niepokoju. Łatwo sie bylo domysleć, ze w tamtej decyzji z halą jego udział musial być znacznie większy niz mitycznych oponentów Tadeuszowej kandydatury.

Zbyt wielu bylo gości, za szeroką strugą splywal alkohol, profesor na imieniny okazywal gest prawdziwie slowiański, lamaly sie stoły, a juz zwlaszcza mnozily sie baterie przeróżnych flaszek. Nie stwarzalo to wszystko klimatu do głębszych rozmów, aura byla raczej swobodna: odgrzewane dowcipy z niewielkimi modyfikacjami, zwykle tanie ploteczki, z rzadka jakis poważniejszy temat, trafniejsza uwaga.

On sam zresztą nie miał dziś na to ochoty. Na nic. Ani na dowcipy, ani na zasadnicze rozmowy. Znów sie zebrał materiał do przemyślenia, wyluskiwal sie z niego i z poprzednich refleksji niejasny jeszcze, ale wyraźnie nabierający konturów kształt zmienionego stosunku do siebie. Dźwiganie sie z psychicznej degrengolady niedawnego okresu powoli postępowalo, pragnął podtrzymać w sobie ten proces, zbyt wielkie miał dla niego znaczenie, by chcial sie teraz rozpraszać.

Tłok u Machnickiego miał tę zaletę, ze w pewnym momencie nietrudno bylo wymknąć sie stamtąd bez zwracania na siebie uwagi.

Dopiero na ulicy i on, i Janina odetchnęli z wyraźną ulgą. Powietrze rzeźwiło, od morza przeciągal wiatr, odświezail ulice Sopotu.

- Nie piłes dziś prawie wcale - ze zdziwieniem stwierdzila Janina.

- Nie miałem ochoty. Zmęczony jestem. A moze to ten nastrój, nagły przeskok z jednego typu wrażeń w zupełnie inne. Ledwie wysiedzialem tych parę godzin...

- Zmieniasz się, dawniej z podobnych imprez ani cię można było wyciągnąć, twierdziłeś, że trzeba w nich uczestniczyć, na domiar jeszcze aktywnie - podżartowywała, przytulając się do jego ramienia.

- No, pewne kontakty trzeba utrzymywać, od tego się nie uchronisz... Ale powiedz, czy nie odniosłaś wrażenia, że cała ta śmietanka, bo kogóż w końcu u profesora nie było, robi w gromadzie bardzo ubogie wrażenie. Twórca, intelektualiści, ideowcy i myśliciele, to mocno brzmi, a tymczasem dowcipasy stare i sprośne. Każdy poważniejszy temat rwał się. Boże, jakąż inną była rozmowa z Wiktorem i Tadzikiem. Tutaj połowa co najmniej obecnych to groszoroby, mniej lub bardziej inteligentne, albo znów nadłamani faceci - jak ten nieszczęsny Sowa, cwaniaki - jak Wojtyła, naiwni - jak sam profesor, niepoprawny idealista...

- Lubisz skrajności. Przecież znasz wielu tych ludzi z innych zetknięć, znam niektórych i ja... Umieją myśleć, potrafią się przejmować; reprezentują wysoki poziom. Że tutaj byli tacy podobni do siebie? A ty, myślisz, tak się znów wiele różniłeś? Tkwiełeś ponury, to prawda, ale lotności wielkiej też znać po tobie nie było...

- Jak już wleziesz...

- Między wrony, tak ale przypuszczam, że trzy czwarte obecnych wychodziło w swoim zachowaniu od tego przysłowia. Poddali się pewnemu stylowi, nie chcieli psuć zabawy... Potrzebują wypoczynku po ciągłych intelektualnych wysiłkach. Ja również gadałam z babkami o jakichś przepisach kuchennych, choć sam wiesz najlepiej, jak nie uwielbiam pitraszenia, o strojach, lichu jeszcze wie o czym, to były nie tylko nudy, ale także chęć odetchnienia... Taziu, a pamiętasz, jak dawniej, krótko po naszym ślubie, zupełnie inaczej bywało przy podobnych spotkaniach? Spięcia, kontrowersje, mocne akcentowanie poglądów? Nawet na imieninach tego rodzaju. Pamiętasz, potem był czas milczenia. Tamte osady nie spłynęły jeszcze z ludzi bez reszty, dają o sobie znać.

Przytuliła się mocniej. Szli ulicą, pustą o tej późnej porze, kroki ich rozlegały się mocnym echem, odbijały od murów starych domów, nowe bloki dawno zostały za nimi. Spojrzał na nią, dostrzegł twarz ożywioną, połyskujące wejrzenie.

- Tada, tak bardzo jestem rada, że się wzięłaś do tego projektu... A już bałam się, że zagubisz się w tej szamotaninie. Z jednej strony grzążeś w drobnych tanich sprawach, z drugiej przesadzałeś w krytyce samego siebie. Przecież, niezależnie od własnych przewinień, ta twoja chandra wynika z niewspółmierności możliwości do ich realizacji.

Przystanął, obruszony tym zdaniem.

- Przecież sama miałaś żal, że się rozmienia, że nie umiem być twardy... Pamiętasz, jak akcentowałaś twardość Tadzika, Wiktora... Teraz widzisz sprawę inaczej? Więc jak to w

końcu jest?

- Bez zmian - zaśmiała się. - Ciesz się minie, że tak się oburzasz. Bo widzisz, pojmowanie niewspółmierności swych pragnień i możliwości do szans ich realizacji nie jest jeszcze powodem do załamania rąk. A ty chciałeś takie właśnie wnioski wyciągać. Staralam się ci pomóc, ale nie bardzo chętnie przyjmowałeś te usiłowania, narzucałeś mi swoje zdanie, obruszałeś się na sprzeciwy. Sam wiesz, w jakim momencie wyraziłeś zgodę na udział w konkursie...

- Ty mi pomogłaś, głównie ty, sam bym się może nie zdecydował... Ale, Ninuś, sama stwierdzasz jakąś przepaść istniejącą między tym, co się może, czego by się najmocniej pragnęło, a szansami, jakie ci dają... Niełatwe wyjście, trudno w takim układzie zachować siebie. Widzisz, i to mnie gnębi w tej naszej Polsce, tyle zmarnowanych możliwości ludzkich i szans.

- Zdaje mi się, że ta dysproporcja zachodzi wszędzie i zawsze, ale prawda, że u nas jest ona szczególnie wielka. Jak trudną drogę ma w Polsce każdy wynalazek, każda słuszna, mądra inicjatywa. Panuje jakiś powszechny lęk przed ryzykiem, obawa przed decyzją... Tylko znów nie uwierzę, gdy ktoś mi powie, że to przekreśla wszelkie szansę. Bo z drugiej strony, gdy się zwalczy pewne opory to właśnie w tym kraju można dokonać cudów. Najtwardsze są pierwsze bariery, budowane ze strachu, małości, z egoizmu i zwykłej głupoty. Potem droga staje się lżejsza. Rzecz w tym, by wdrzeć się na nią, znaleźć w sobie dość uporczywości i silnej woli...

- Mówisz jak wytrawny demagog.

- Wiesz, że mam rację, że w tym demagogii za grosz... Łap, Tadek, taksówka, bobyśmy inaczej szli pieszo aż do samego Wrzeszcza...

W wozie spytała go:

- Pracujesz dziś?

- Chyba nie... Nie skończyłem czytać pamiętnika Pawła. Może dobrze się stało. Rozmowa u Wiktora uzupełni tamtą pisaną wypowiedź... Tadzik zapowiedział się do nas z wizytą po zakończeniu roku szkolnego. Chce porozmawiać o notatkach swojego ojca.

A potem dodał ciszej, tonem zwierzenia:

- Ale nie o Tadzika mi chodzi... Sam potrzebuję tej lektury dla siebie. Właśnie teraz. Znów zachciało mi się odszukiwania samego siebie. Niewdzięczny trud, zbyt często się jakoś powtarza.

- To chyba dobrze. Jakże inaczej, Tadek?

* * *

Pamiętnik Pawła. Ile się z niego mógł dowiedzieć o sobie samym?

Był w jego zachowaniu jakiś protekcyjny tonik, jakieś mentorstwo. Paweł wyczuwał to podświadomie, stąd nutka żalu, gdy mówił o przyglądaniu się światu oczyma ćwierćinteligenta. W wiele lat później, przy zwierzeniach na budowie osiedla w małym miasteczku, ten tonik znów wrócił, tyle że adresatem był dla odmiany Wiktor. Jakaś inteligencka nutka wyższości, wypływająca ze świadomości, że więcej wie, że posiada umiejętność głębszego widzenia zjawisk. Ciekawe, czy Wiktor umiał to odczuć, czy może, zasłuchany w spowiedź partnera, nie doszukiwał się niczego poza nią?

I czy nie ten właśnie tonik wyższości był powodem z pasją rzucanych przez starego Pacuka oskarżeń inteligencji? Jakby w formie samoobrony odpieranie jednego absurdu drugim absurdem. Czy w końcu nie tutaj także kryje się klucz do odszyfrowania wielu tendencji krążących po Polsce, wywierających ujemny wpływ na niejedno zjawisko? Owe teoryjki antyinteligentkie, maleńkie tezy o zagubieniu tych właśnie środowisk, przejawiające się nawet w uświęconej hierarchii ważności, gdy się mówi o chłopach, robotnikach i inteligencji, na ostatnim miejscu. Gdy chyba pierwszą przyczyną dumy i sensem działania każdego państwa, każdej klasy powinno stać się dążenie do pomnażania warstwy inteligencji, traktowania jej jako najpełniejszego wyrazu własnej swojej wartości, odbicia szans i możliwości całego narodu?

Nie ma dymu bez ognia. Nawet ta swoista hierarchia ma swój rodowód. W nim zaś pokaźne miejsce znajdzie się dla tych tomików, dla z jaśniepańska brzmiącego gestu protekcja, dla nieuzasadnionego poczucia wyższości, nie stopnia wiedzy, ale w ogóle wartości człowieka. Przecież i w nim tkwiło to przeświadczenie, tkwi może nadal. Paweł w swoich notatkach nie dotarł do sedna problemu, ale w całym pamiętniku, gdziekolwiek mowa jest o nim, o Tadeuszu, gdzie jest relacja z jego wypowiedzi, zachowania, rad takich lub innych, ten osobliwy stosunek wyższości znajduje wyraźne odbicie.

Zdawałoby się, nie istniały przesłanki, w oparciu o które mogło się w nim zrodzić takie podejście do innych. Dom ojcowski narzucał raczej ton szczerze demokratycznych stosunków pomiędzy ludźmi, szkoła poprzez najserdeczniejszych przyjaciół zbliżała do środowisk chłopskich, podobnie okres studencki, czas pierwszych naiwnych sondaży polityki a wreszcie konspiracja, gdy działał głównie wśród robotników, a potem na wsi. Co więcej, boleśnie odczuwał czyjeś akcenty wyższości w stosunku do siebie protestował, przeciwstawiał się arogancko, z tupetem, co ku jego zdziwieniu również okazywało się

niekiedy dobrym sposobem na zjednywanie szacunku u przełożonych.

Sprawa zatem szlacheckiego rodowodu inteligencji polskiej? Może i to, napór tradycji, nawyków, postaw i upodobań przechodzących z pokolenia na pokolenie. Ale dlaczego zatem i pośród inteligentów pochodzenia mieszczańskiego czy wręcz chłopskiego, a nawet robotniczego, pojawia się nader często ten sam stosunek wyższości, zadzieranie nosa, mierzenie siebie uprzywilejowanymi kategoriami? Klimat środowiska, gdzie przewagę mają warstwy wywodzące się z tamtych klas? Nasiąkanie złymi tradycjami, błędną interpretacją wartości uzyskiwanych przez zasób wiedzy?

A tymczasem wszystko to okazuje się mydlaną bańką. Bo nie tylko braknie przesłanek do tych różnorodnych toników, ale nawet zasób wiedzy w praktyce nie na wiele przychodzi z pomocą w rozwikływaniu posupłań wewnętrznych. Ani pomniejsza ich ilość, ani pomnaża.

Fałszywa ocena leżała u podstaw jego powojennych odniesień do Wiktora, a nade wszystko do Pawła. Sądził, że oni mniej drastycznie przeżywają napór faktów, że odporniejsi są na wahania. Że mniejszy zasób wiedzy zuboża tło doznań duchowych. Tymczasem nieprawda, gdzie indziej znajdują się mierniki natężenia treści przeżyć wewnętrznych.

Wracali z Pawłem z miasteczka, asfalt połyskiwał, falowały na nim cienie koron drzew potrącanych wiatrem. Sekuła gorzko przeżywał swoje niepowodzenia, niemożność znalezienia własnego miejsca, szarpanie się między skrajnościami negacji i aprobaty. W nim również grały te same uczucia, także grzął w swoich konfliktach, szarpał się między niedomówieniami, dręczył się w stukaniu wyjaśnień. Jakaż doskonała okazja do zwierzeń, do szczerej rozmowy, do szukania nawzajem u siebie pomocy. Nie przyjął tej szansy, odrzucił ją z powodu tego toniku wyższości, przekonania, iż Paweł nie będzie tu godnym partnerem. Stąd pewnie, że szczerza, życzliwa, więcej, bardzo nawet przyjazna jedna czy druga jego wypowiedź, a jednak nieuczciwa, bo próbująca w kształt zwartych tez zamykać problemy, które w nim samym gwałtownie domagały się wyjaśnienia. Że sam, nie mogąc wybrnąć ze swoich wątpliwości, pragnął ich oszczędzić Pawłowi. Byłaby to niedźwiedzia przysługa, taką się zresztą okazywała. Po jego każdorazowym wyjeździe zarysowujący się już w Pawle mocniejszymi konturami obraz wydarzeń znów się rozmywał w niezgrabne plamy.

Jakże można było komuś doradzać, gdy coraz to zdumiewało coś absurdalnością, kłóciło się z logiką, a kiedy indziej uderzało znów wysublimowaną mądrością, dającą szybkie, praktyczne efekty. Jak choćby ta sprawa powojennych amnestii dla „lasu”, mądra, przysparzająca Polsce z miejsca blisko sto tysięcy obywateli; sprawa też nadłamana, nie zawsze równie mądrze doprowadzona do końca. Doraźność ocen, nagłość nie zawsze przemyślanych decyzji, gwałtowność nawrotów i cofnięć, nie dawało się to ująć, w jakieś

logiczne ciągi myślowe, zezwalające na słuszną radę, na właściwy program postępowania. Ale to przecież nie usprawiedliwienie dla niego, nie powinien był sugerować Pawłowi wydedukowanej sztucznie oceny, reguł, jakimi miał się powodować w swym życiu.

Paweł odszedł nie pogodzony ze światem i zarazem w świecie tym rozkochany. Nie tylko w szmerze swojego strumienia, w szarpaniu rosnącego szczupaka na haku wędki, w drzewkach pielęgnowanych z oddaniem, w brzęczeniu pszczół z jego pasieki, ale w ludziach, w Polsce, tej nowej, bliskiej i obcej, przyciągającej i rażącej zarazem. Nie widział wyjścia z gmatwaniny, w jaką wpędził go nowy czas. Może i choroba przeszkodziła mu w odnalezieniu samego siebie, własnego miejsca. Bo z drugiej strony Paweł zaczynał przecież powoli dochodzić do pełniejszego widzenia zjawisk współczesnych, przez niejedną chwilę męki, przez smak goryczy, ale i przez nie mniej silne radości. To on, przyjeżdżając, do tej cichej kolonii, od nowa gmatwał mu obraz świata, zamiast pomagać utrudniał proces odnajdywania. Pewnie, czynił to wbrew sobie samemu, mało komu życzył tak dobrze jak właśnie Pawłowi. Starał się mu pomóc, ale co może ktoś, kto sam czuje się zagubiony, błąka się po ciągle wyrastających przed nim rozdrożach?

Po tylu latach dopiero musiały powrócić te wszystkie problemy, jeszcze raz trzeba doszukiwać się istotnego ich sensu. Jakieś przebłyski zrozumienia już w trakcie rozmowy po Piętrowym pogrzebie i dzisiaj jakby olśnienie spływające wraz z doczytaniem pamiętnika po ostatnią stronicę... Przez tyle minionych lat i w nim także sycono ten tonik wyższości. Sycono i pogłębiano działaniem chociażby na zwykłą przekorę. Skóro md odmawiacie twórczych wartości, boicie się inteligenckiego wkładu jako zbyt pełnego wahań, więc niepewnego, to znaczy, że musi być jakaś część prawdy w stawianych zarzutach, że stanowię część grupy czy stanu o specjalnych, predyspozycjach nie tylko intelektualnych, ale również moralnych. Stawiacie zapory, sztucznie chcecie odgrodzić mnie od reszty narodu, zatem zgoda, choćby na przekór, zaakceptuję to całkiem świadomie. Spojrzę z góry, z lekceważeniem, z tonikiem wyższości, muszę wszakże wyrabiać w sobie siłę odporu, nie dam się przerobić na jakiś niekształtny twór bez kadłuba. I jak zawsze, bzdura musiała zdradzać kolejną bzdurę. Bo zaczynał imponować ten tonik fałszywy, naśladowali go podświadomie albo i zgoła świadomie jedni i drudzy, powstawał styl, stwarzający z kolei dodatkowe przedziały społeczne.

W niczym nie przerastał ani Pawła, ani Wiktora w intensywności przeżyć wewnętrznych, w sile swoich załamania i chęci dźwignięcia się z duchowego impasu. Jakże więc niepotrzebna była ta protekcyjność, ta niby inteligencka wyższość, spoglądanie ponad głowami.

Jak naiwne było jego pojmowanie istoty zjawiska, jakim jest Polska. Warszawa, parę jeszcze wielkich ośrodków - to mu zdawało się jedyną alfą i omegą życia kraju. Pacukowie w swym Słupsku, myślał, już bardzo są oddaleni od wszelkich węzłowych spraw, zostają na marginesie zjawisk i przemian, dochodzą one do nich już tylko w zetlełej jeśli nie wypaczonej postaci. Pewnie, pojedyncze fakty mogły takie wnioski potwierdzać, jakieś przerosty władzy, fałszywe interpretacje zarządzeń czy skrajna gorliwość w ich realizowaniu. Ale to były tylko odpryski, poprzez nie tymczasem chciał widzieć cały sens zachodzących procesów. Tym bardziej Paweł w dalekiej kolonii mazurskiej zdawał mu się chwilami niemal zupełnie pozbawiony widzenia szerszych perspektyw niż te obejmujące jego miasteczko. Nadawał przeżyciom Sekuły jak gdyby zmniejszony format.

Nie od dzisiaj zaskakuje go nowa, pełniejsza prawda o Polsce. Cóż Warszawa, większe ośrodki, bogatsze w środowiska wszelkiego autoramentu, skłócone i zżarte, często tak zaabsorbowane plotkami, że nie umiejące już widzieć niczego poza nimi. W dodatku tak wiele rutyny, zubożenia, cynizmu idącego zawsze w ślad za szansami większej wygody życiowej, za możliwościami robienia kariery. A w skutkach mniej zapалу, mniej wewnętrznego żaru, zanik zdolności może nawet naiwnego, ale szczerzego i jakże w istocie twórczego zachłystywania się światem.

Kto wie, czy nie szersze perspektywy można było dojrzeć z kolonii Pawiowej, ze stacyjki Piotra Pacuka. Widzenie zjawisk w ich dalszym kręgu, pozbawionym aury domysłów i plotek, nie w doraźności zarządzeń czy ustaw, ale w ich kształcie praktycznym, przybliżało niekiedy do pełniejszej oceny.

Upraszczał, do dziś upraszcza wiele spraw. Zdawało mu się, że brzemień ciężarów związanych z konfliktami okresu powojennego spada wyłącznie na brak inteligencji, że ją tylko obciąża mózół przemyśleń i przeżyć wewnętrznych. Tamci wszyscy na dalekiej, zagubionej prowincji, sądził, są w sytuacji o tyle szczęśliwszej, że odczuwają na sobie złe czy też dobre skutki odgórnego działania, ale nie muszą docierać do złożoności zjawisk, nie szukają ich różnych interpretacji. Tymczasem jakże słusznie podkreślił Tadzik, że od dzisiejszego czasu nie może nikt uciec, nie ma takiej mysiej dziury, w której by można schować się bez reszty. Niepokoje i poszukiwania są powszechną własnością wszystkich, polityka stała się doznaniem i strefą działania każdego, czy chce tego, czy nie chce.

Przez całe lata doskwierało mu poczucie samotności, znów z jakiegoś górnego tomiku wywodzące się przekonanie o wyłączności podobnych doznań.

Dobra jest ta sfera samotności, w gromadzie nie można żyć intensywnym życiem wewnętrznym, zawsze muszą się znaleźć pewne treści do przetrwania w samotności. Czas

zmienny, szybki, bogaty w konflikty poszerza zakres problemów do samodzielnych przemysłów. Ale przecież we wszystkich, ale też wszędzie! W nim, w Pawle, dopóki żył, w Wiktorze, w Tadziku. Jakież sens dzielić tutaj, kto inteligent, a kto robotnik czy chłop, kto w centrum wielkomięskim, a kto w maleńkiej, zapomnianej osadzie? Mądra samotność również odbija współczesną zwielokrotnioną treść społecznego życia.

Czemu do tych wniosków trzeba w sobie dochodzić tak długo, przez całe lata? I płacić za to szukanie tak wielką cenę?

* * *

Tak niepowodzenia, jak i sukcesy mają zwyczaj chodzić stadami. Tylko że te drugie przyjmuje się niemal jak coś naturalnego, a do okresów impasu trudno się przyzwyczaić.

Choć tak naprawdę to zaznawane powodzenie nie tylko go zwyczajnie cieszyło, ale i zaskakiwało w przyjemny sposób. Po starciach z Likowajskim i celowym lekceważeniu przez niego pracowni Tadeusza nie mógł się spodziewać, aby właśnie przy niej skoncentrowały się teraz najlepsze osiągnięcia całego biura. Ni stąd, ni zowąd kilka projektów uzyskało szczególnie dobrą ocenę, któryś przejęły Lublin i Wrocław do nieco tylko zaadoptowanej realizacji na swoim terenie, rozpisywano się w gazetach i łączącym w sobie walory użytkowe i rzadką estetyką budynku liceum, wznoszonym w ramach szkół Tysiąclecia. Wiązała się z tym co nieco i sprawa pracowni inżyniera Białka. Młody i ambitny architekt nie poradził sobie z ciężką machiną, jaką stanowi pracownia, nie umiał się dogadać ze starą (kadra inżynierów i techników, odbijało się to na wynikach pracy. W efekcie coraz częściej przekazywano do pracowni Zapieńskiego ambitniejsze projekty. W tej sytuacji Likowajski musiał stulić uszy po sobie, tym bardziej że był zajęty własnymi rozgrywkami. Reorganizacja biur projektowych znajdowała się w pełnym toku, nadchodził czas na decyzje personalne, fetu tylko mógł, walczył o zachowanie dla siebie co intratniejszego stołka. Gdzież więc był czas na nie związane z tym głównym nurtem walk i potyczek personalne rozróbki?

Jakimiak okazał się uparty, dzięki niemu zaczął się ruch w SARP-ie, praktycznie niezauważalna na miejscowym rynku artystycznym organizacja zaczęła z nagłą działać, interesować się wszelkimi pozostającymi w jej kręgu zagadnieniami, wypowiadać swoje zdania, nie zawsze przy tym zgodne z oklepaną frazeologią. Niespodziewanie dla samych siebie di i owi zaczęli się nagle stawać bardziej aktywni, zmieniali stosunek z obojętnego na co najmniej pełen zaciekawienia. I jemu dostało się coś z rozdzielanych przez Jakimiaka obowiązków. Jakaś zasadnicza dyskusja zorganizowana przez SARP, sprawa nie

rozstrzygniętych dotychczas zagadnień związanych z Gdańskiem, zwłaszcza z przylegającymi do Starówki częściami, spór poruszonych do żywego w obronie swoich koncepcji zasiedziały, dufnych we własną firmę bonzów architektonicznych z gwałtownym naciskiem młodych, i już nie tylko młodych, bo i on, Tadeusz, wszakże się włączył, i profesor Laguna z politechniki wyzbył się postawy zadufanej w sobie obojętności, zaskoczył wszystkich śmiałą oceną, i jeszcze inni. Zmiany zapoczątkowane planami całościowego zagospodarowania architektonicznego Wybrzeża nie mogły wszakże ograniczać się wyłącznie do personalnych spraw, powiała śmielsza myśl, odżywały ambicje, obok rzemieślniczej sprawności, do której tak wielu się ograniczało od lat, włączało się rozbudzone raz jeszcze poczucie odpowiedzialności artysty. Nawet lato zbliżające się wielkimi krokami nie osłabiło żaru polemiki i zamysłów twórczych, dopiero jednak na najbliższą jesień szykowano się do zasadniczej batalii. Za tym kryła się działalność Jakimiaka, wsadzającego kije w mrowiska, pobudzającego je na nowo do życia, drażniącego jednych, głaszczącego innych, z wolą siania ożywczego fermentu, nadawania indywidualnym buntom innych cech niż tylko zgryźliwość i kpiarskie wyrzekanie.

Przyglądał się Jakimiakowi, odnajdywał w nim siebie sprzed lat,- zazdrościł mu tej pasji, natrętnie odpychał zjawiające się pytanie, co Jakimiak w końcu będzie miał z tego, co pragnie osiągnąć. Pewnego dnia za wiele już sadła zaleje wszelkim potentatom za skórę, oberwie po łbie. Wiedział jednak zarazem, że jest inaczej. Jakimiak działał z wyraźnym celem, zwierzał się przecież głośno, że pragnie najpierw rozruszać środowisko, ospałe teraz i zatechłe jak rzęsa na nieruchomym stawie, dopiero później opowie się za jedną z koncepcji, rozpocznie nową batalię. Bo bić się o coś w środowisku, gdzie od razu oddaje się punkty walkowerem albo co najwyżej zrywa się wyłącznie do jakiejś akcyjki z za węglą, nie ma ani racji, ani nie wróży to żadnych szans... I znów przyznawał rację tej taktyce. Ani się obejrzał, jak sam pozwolił się wciągnąć w niektóre sprawy; gdy brakło wieści od Jakimiaka, ujmował słuchawkę, by zadzwonić, wywiedzieć się, nie zostawać nadal w izolacji, którą kiedyś sobie narzucił...

Ale najważniejsze, przynoszące najwięcej satysfakcji, było wyklarowywanie się z pierwszych realnych już kształtów projektu konkursowego. Ciągłe Coś zmieniał, przepracowywał, przeliczał, z uporem, a zarazem z wewnętrzną radością. Zagięły, obawy, że nie podola, z każdym dniem rosła ambicja, poczucie własnych możliwości. Jakby z niedowierzaniem zapytywał sam siebie w nocie przesłęczane w gabinecie po świt, czy naprawdę umie tak myśleć, przemieniać świat w śmiałych rzutach kreślonych na arkuszach sztywnego brystolu.

Bywało trudno, zdarzały się ciągi takich dni, gdy niczego nie umiał z siebie wykrzesać, projekt z nagła wydawał mu się martwy, stawał się jakby nie znanym zupełnie dziełem. Albo znów zaczynał w nim razić każdy szczegół, zdawał się nie dopowiedziany, nie związany harmonijnie z całością. Zjawiało się wtedy bolesne uczucie niedosytu, niewiedza, czego pragnie, co chce wyrazić poprzez naszkicowany układ płaszczyzn i brył... Znał podobne stany, wiedział:- należy je przeczekać, bo dopiero w podświadomości trwa intensywny proces myśli i wyobraźni. Ale czekać nie było można, terminy paliły coraz gwałtowniej, od gotowej nawet w pełni koncepcji, od pierwszych szkiców do ich wykończenia jest bardzo daleko, dzieli je żmudny wysiłek dziesiątków nieprzespanych nocy, nieustanna mordęga umysłu.

Łatwo było w tym stanie o chwilowe, ale boleśnie doskwierające napady zniechęcenia. Tłukł się po gabinecie, przystawał przed stołem kreślarskim wgapiał się długo w linie, czasem stał coś albo poprawił, potem znów krążył, to wprowadzał skreślony, element, to znów go kasował, ciągle niepewny swojej decyzji, kurczowo trzymający się tego detalu, by uspić ponurą świadomość, że dalej nie może ruszyć ani o krok, że coś się zarwało, zastygło przed nim jakąś przepaścią i za nic nie można jej teraz ominąć. Rosły stopy niedopałków w popielniczkach, kawę zaparzał coraz mocniejszą, próbował niekiedy odszukiwać zatracony wigor twórczy w koniaku, niewiele to pomagało, wzmagając tylko stan podrażnienia i nerwowości.

W takich chwilach najbardziej oczekiwał cichych nadejść Janiny. Nie biegł sam do niej, starał się skrywać swoje stany, choć wiedział, że to na próżno. Wolał czekać; znał jakże dobrze cichutki poskrzyp drzwi, ledwie dosłyszalny szelest kroków. Odwracając się mówił wtedy znużonym głosem skarżącego się, rozkapryszonego dzieciaka:

- Znowu utknąłem, nie mogę ruszyć dalej... Czwarty dzień zmarnowany...

- Przecież zawsze tak bywa, gdy się zapalasz. Czemu się tak zamartwiasz? Pewnego dnia wszystko stanie się nagle proste i łatwe.

- Tak, ale czas mija, przedtem zdawało się, że zostaje tyle jeszcze tygodni, teraz ze strachem spoglądam na kalendarz, Boję się momentu, w którym mogłoby się okazać, że nie zdążyłem, że niegotowe. Nie wypieszczonej roboty nie będę wysyłał. Wiesz, to dla mnie szczególna stawka...

- Zdązysz na pewno, jestem przekonana... Wiesz, Julek dziś tak śmiesznie tłumaczył swojemu koledze, że jego tata buduje miasto. W ogóle chłopak bardzo się teraz rozwinął.

Umiała wprowadzać go w zakres innych tematów, ani się spostrzegł, jak zaprzestawał myślenia o projekcie, wchodził w krąg większych i mniejszych, ale odmiennych zupełnie

spraw, żartował, opowiadał, wspominał. Niekiedy kończyły się te wieczorne spotkania na fizycznych zbliżeniach, lubił odgarniać włosy żony i całować ją w szyję, wtedy ten zapach włosów, delikatny i bardzo subtelny, najpełniej do niego docierał...

Wychodziła, zostawał sam, jednak bez poprzednich depresyjnych nastrojów, ale ze wzbudzoną na nowo ufnością. Zdarzało się, że i nadal nie mógł nic iż siebie wykrzesać, nie przybywało rozwiązań, chociaż szukał ich z pasją, namiętnie, próbował je odnaleźć w sporze gwałtownie prowadzonym ze sobą. Ale kiedy indziej, jakby za jej pomocą, zjawiał się stan ożywienia twórczego. Kreślił wtedy i obliczał szybko, jakby goniąc myśl, by znów nie uciekła.

A gdy znużenie nakazywało oderwać się wreszcie od wykresów, dłoń przestawała poddawać się myśli, osuwał się w fotel, z całą świadomością wielkiego, ale podbudowanego radością zmęczenia. Oto znowu uczynił krok naprzód. Tworzy, nagina ku swojej myśli oporny materiał, wyczarowuje z cegły, betonu i stali lekkie kształty, znajduje pełną zgodność swojego obrazu z plenerem, w który wejść musi bez zgrzytów, w całkowitej harmonii. Za nic by nie oddał nikomu tych chwil satysfakcji, zadowolenia z siebie, nie zamieniłby tego znużenia na nic innego. Odżywał, stawał się kimś innym, tym z najpełniejszych swych dni; Odnajdywał powoli siebie, sens własnego działania, ujście dla swoich marzeń. Z jakąż wtedy wdzięcznością myślał o tych, którzy uznali go za godnego uczestnictwa w konkursie, spowodowali w jego życiu uzdrawiający proces...

I nagle w ten nowy nastrój, w pogodną passę ścielącą się wokoło niego i w nim samym, wdarł się tamten dźwięk telefonu, a w nim spokojny, rzeczowy głos informujący o tragicznym wypadku... Stan poważny, ranna dotychczas nie odzyskała przytomności, za chwilę wjedzie na stół operacyjny.

Odwiesił słuchawkę, osunął się w fotel, dłońmi kilkakrotnie przecierał czoło. Nie mógł jeszcze pojąć, nie potrafił ogarnąć świadomością tak przeraźliwie nagłej odmiany. Zerwał się z miejsca, przerażony kilku minutami które utracił. Wypadek, katastrofa na jezdni, Janina nieprzytomna w szpitalu, operacja, a jego tam nie ma.

Jak zwariowany, z nieprzepisową szybkością gnał do szpitala, z wizgiem opon hamował przed wejściem, pchał przed sobą ciężkie, masywne drzwi. Przeprawa z portierem, w dyżurce znudzony lekarz, wstrzemięźliwy w słowach, może niezbyt zresztą zorientowany.

- Tak, proszę pana, poważny wypadek, szczegółów nie znam, profesor operuje, on jeden mógłby bliżej poinformować o stanie zdrowia pańskiej małżonki...

W nim zaś chaos, narastający lęk, przeraźliwy smutek, konieczność walki o Janinę, a obok świadomość bezsiły. Może być tylko biernym świadkiem, nic więcej. Słowa modlitwy

placzą się z wybuchami wściekłości na nieznanego pirata, który spowodował tragedię; wiare, że wszystko skończy się, musi się skończyć dobrze, coraz to przesłania lęk, co będzie, jeśli się stanie jednak inaczej.

Długa operacja, nieporównanie dłuższe godziny oczekiwania. Wreszcie profesor, zmęczony, łapczywie chłęczący dużymi haustami kawę podaną przez siostrę szpitalną, informujący dokładniej, ale jakże nieokreślenie. Bo cóż, że operacja udana, kiedy stan krytyczny, wstrząs mózgu, złamania barku i nogi, szok nerwowy, wylew krwi, ciągły stan nieprzytomności, teraz wprowadzicie działają jeszcze środki nasenne, można będzie coś powiedzieć dopiero jutro, pojutrze, trzeba zdobyć się na odwagę przetrwania tych dni... Zobaczyć chorej nie można w żadnym wypadku, dopiero gdy już przeminie kryzys; owszem, chętnie udzieli mu informacji każdej chwili, to oczywiste...

Wszystko potem stało się zamazane, jakby spowite gęstą przesłoną mgły. Raport z milicji, tak, kawalerska jazda kierowcy, nagle zacięcie hamulców, również ofiara zbyt nieostrożnie przechodziła przez jezdnię, w nieprzepisowym miejscu. Kierowca zatrzymany, stan ofiary nie wyjaśniony... Julek, dziwnie dzielny w pierwszych chwilach, popłakał się dopiero w łóżeczku, budził się, pochlipywał, przywoływał matkę przez sen. On przy telefonie, ze szpitala te same wieści, bez zmian, ani pogorszenia, ani poprawy, za wcześnie, aby coś prorokować; on przy biurku, obojętnie, jak na coś bardzo obcego spoglądający na projekt ciągle nie ukończony; on nad stertą nadeszłej poczty, z dłonią machinalnie przecinającą koperty, ze wzrokiem bez zainteresowania przesuwającym się po rządках pasma nadawców. Jakieś dalekie sprawy. Co go obchodzi propozycja projektu na prywatny domek jednorodzinny? Co z tego, że Tadzik donosi, iż zdecydował się na dalsze studia, zdawał egzamin, właśnie został przyjęty na Uniwersytet Warszawski, na pedagogikę? Jakie to ma znaczenie, że inny przypomina się z lat szkolnych, proponuje spotkanie?...

Nie pamiętał swojego postępowania w tamtych dniach, ani monotonii biurowej, ani rozmów z Julkiem. Były jedynie te telefony, były spotkania, nie najweselsza mina profesora, operacja udana, ale stan chorej wciąż ciężki, już pięć dni pozostaje nieprzytomna, tylko uraz w niej nadal tkwi silnie, zrywa się z krzykiem, dłońmi przesłania twarz, chce zdzierać bandaż, uciekać... Ale pojawia się już drobniotka, ledwie, ledwie zauważalna niteczka nadziei...

Huśtawka między życiem i śmiercią trwała przez trzy tygodnie. Dołączyły się powikłania, zaszła konieczność dodatkowej operacji, zdarzyła się zapaść serca, drugi parodniowy okres nieświadomości.

Przejęcie się stanem Janiny spowodowało zupełne zobojętnienie dla innych wydarzeń.

Sprawy, którymi potrafił się przejmować, które go martwiły czy doprowadzały do pasji, stawały się teraz najzupełniej nieważne, dziecinnie śmieszne. Obojętnie zniósł nowy afront Likowajskiego, jak o rzeczy tyczącej kogoś zupełnie innego dowiedział się o nagonce przeprowadzonej na niego pod jego nieobecność na otwartym zebraniu SARP-u, dyskutującym koncepcję ostatecznego wykończenia odbudowy starego Gdańska.

Ważna była jedynie Janina. Długo nie mógł się otrząsnąć z pierwszego wrażenia wywołanego odwiedzinami, na które profesor niechętnie wreszcie zezwolił. Ten tułów spowity bandażami, ciężkim oddechu, to miała być jego Janka? I tylko oczy, ich jasne spojrzenie nie uległo zmianie, było takie jak dawniej. Tulił do twarzy jej dłoń, dławiąc w sobie ochotę do płaczu. Profesor tymczasem wyraźnie przestrzegał: żadnych wzruszeń, skutki mogą być zupełnie nieobliczalne... Sam też asystował dla pewności przy tym widzeniu.

Tryb życia niby niewiele się zmienił. Po tygodniowym okolicznościowym urlopie powrócił do pracy. Znowu wydawał dyspozycje, przeprowadzał obliczenia, kontrolował (pracę podległych sobie techników i kreślarzy, wyklócał się z inżynierami, przekazywał do realizacji gotowe projekty, ale czynił to na zasadzie automatu wprawionego do pewnych reguł postępowania, nic z tych spraw nie docierało do uczuć, nie wywoływało jakichkolwiek emocji. Podobnie bywało w domu, gdy zasiadał jak zawsze w gabinecie, wbrew wszystkiemu próbując kontynuować pracę konkursową. Kreślił, przymierzał, ale nie mógł wykrzesać już ani cienia dawnego nastroju, przejęcia się tworzeniem czegoś nowego. Zobojętniał. I tutaj działał na zasadzie nastawionego w odpowiednim kierunku mechanizmu. Zdawał sobie przy tym sprawę, że w rzeczywistości chodzi mu teraz o coś zupełnie innego. Nie o konkurs, nie o skończony, pełny kształt projektu, ale po prostu o zagłuszenie pracą szarpiących, niespokojnych myśli związanych z Janiną. Najzwyczajniej bał się myślenia o jej stanie, przewidywania najgorszych ewentualności. Nawrotami żarła ją silna gorączka, okresy nieświadomości mieszały się z zamroczeniami, po chwilowej poprawie występowały nagle pogorszenia, od nowa objawiały się skutki szoku nerwowego.

Dom funkcjonował bez większych wstrząsów, jakoś nadspodziewanie dobrze radziła sobie gospoia. Julek, wrażliwy nad miarę, o tyle dostosował się do nowej atmosfery, że starał się jej niczym nie zakłócać; spokojny, zamyślony, snuł się po pokojach i z rzadka tylko zapamiętywał się na dawny sposób przy jakiejś zabawie.

Nie na porządku domowym ważyła nieobecność Janiny, nie na zewnętrznych sprawach. To było coś najbardziej osobistego. Trzy tygodnie szarpał się z troską o żonę, od depresji przechodził w stan euforii, od załamań do wiary. Wspomnienia wspólnie przeżytych lat wylaniały się w najdrobniejszych fragmentach, tym bardziej ponury stawał się czas

obecny. Próžno go zabijał pracą, szukaniem absorbujących zajęć; chwilami, zwłaszcza po wstrzemięźliwych komunikatach profesora, poddawał się przerażeniu, nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Chyba nie zaznał w swym życiu większej radości, nie zachłysnął się pełniej szczęściem, jak wtedy, gdy nadszedł dzień kończący kryzys. Janina wyjdzie obronną ręką, ustąpiły najgorsze objawy, proces rekonwalescencji będzie przebiegał teraz szybko, wszystko będzie jak dawniej...

Ale razem z tą radością ustąpiło podtrzymujące go przez te tygodnie napięcie nerwowe. Nagle poczuł się wypompowany, wyżęty jak szmata, zupełnie wyprany z woli, i sił. Jest granica napięć, której nie można bezkarnie przekraczać.

Lato zaczynało się męczącymi upałami, nawet powiew znad morza, z rzadka zresztą dobiegający pomiędzy gdańskie mury, nie przynosił orzeźwienia. Ciężko się pracowało, myśl wiotczała, ciało ogarniała tępa ospałość. Urlop należało przełożyć na późną jesień, powracająca szybko do zdrowia Janina musiała pozostawać nadal pod opieką lekarską, od skutków fizycznych trudniej było wyleczyć urazy powstałe na tle wypadku..

O urlopie nie zamyślał zresztą li wcześniej, istniała wszak nie ukończona praca konkursowa, przyhamowana zaledwie w połowie drogi. Pewnie, pomysł, rozpracowanie koncepcji, widzenie w niej najdrobniejszych detali miał już za sobą, ale najbardziej żmudna strona techniczna: obliczenia, rysunki, to jeszcze wisiało nad nim jak zmora. Zgasła ochota do pracy wyrwa nie tylko w czasie, spowodowana chorobą Janiny, ale nade wszystko w, jego siłach rozrastała się w zaporę nie do przebycia. Jeszcze nie zwątpił, nie zrezygnował, ale ileż czasu poświęcał już na zmaganie się z sobą, z ogarniającym go zniechęceniem, z nawrotem niewiary we własne siły. A jednak pracował uparcie, całym sobą tkwił w tym projekcie, zmuszał się, by o nim jedynie myśleć, by odgrzewać w sobie choć resztki poprzedniego zapалу, by nie poddawać się nastrojowi kompletnej tępoty, spływającej wraz ze zmęczeniem, z powietrzem rozprężonym i we dnie, i w nocy, którym trudno było oddychać.

Wieczorami Janina siadywała często w gabinecie, w przyległym pokoju spał Julek, dopiero za tydzień miał jechać na wakacje do krewnych. Wokoło stała cisza, rzadko przerywał ją za oknami poszum opon prześlizgującego się samochodu czy zgrzyt tramwaju na nie opodal ciągnących się torach. Czytała, ale najczęściej ze złożoną książką w dłoniach wpatrywała się to w niego, to znów iw ciemny kwadrat okna, przesłonięty storą.

Powoli wracała do równowagi. Wstrząs był zbyt silny aby minął szybko i zupełnie bez śladu. Zdjęto już gips, złamane kości zrosły się dobrze, wróciła pełna swoboda ruchów.

Pozostał tylko ten uraz. Za nic w świecie nie potrafiłaby teraz zasiąść w Octavi tuż obok niego, jak siadywała od lat. Bała się pracy motoru, monotonnego pogwizdu opon, umykania wsączającej się pod koła przestrzeni. W oczach jej pojawiał się wtedy lęk wciskała się w oparcie siedzenia, błagając, by stanął... Do kliniki na badania jeździli zatem tramwajem; odpadła możliwość wycieczek za miasto, zaspokajania tęsknoty za skrawkiem zieleni.

Rozumiał stan Janiny; wynikającą z niego potrzebę szczególnej czułości i oszczędzania jej kłopotów. Jedynym lekarstwem stawał się teraz czas. Kiedyś będzie znów jazda samochodem, wycieczki w nieznanne, gdzie oczy poniosą, a właściwie, gdzie droga wytyczy szlak. Spojrzenie jej przestanie zapalać się lękiem i nie będą wtedy ogromniały jej źrenice. W ogóle zaginą spotęgowane teraz nerwowość i przewrażliwienie... Starał się powściągać w obecności żony wszelkie nastroje, nie ukazywać wzburzenia czy stanów apatii, gdy znów coś psuło się w biurze, w środowisku architektów, gdy Likowajski dalej próbował odgrywać się w drobnych szykanach. Jak też chwilami dla niej tylko markował zapał do swego projektu, wtedy gdy w ogóle nie przejawiał najmniejszej ochoty do pracy. Czasem okazywało się to nawet pomocne, bo w pewnej chwili rozpałał się, już bez przymusu zaczynał kreślić linie wymarzonych konstrukcji, nadawać im realny technicznie kształt. Oglądał się momentami na Janinę i widział wtedy, jak się uśmiecha spokojnie, łagodnie. Ale kiedy indziej na próżno szukał w niej tej pogody, znajdując tylko zasepienie i cichy smutek. Tak bywało, gdy szarpał się, łamał, gdy zmuszając się do pracy czynił to tylko dla niej, dla tak jej potrzebnego spokoju.

Złościła go ta nieumiejętność skrywania przed *nią*, własnych niepowodzeń. Zwłaszcza teraz, gdy utrudniało to rekonwalescencję. Znajdowała się obecnie jakby gdzieś na połowie drogi, w zasadzie zdrowa, może z bardziej wyostrzoną wrażliwością, ale zarazem też przygaszona, pełna leków i wątpliwości. Powinien ją oszczędzać, odsuwać przykrości, separować od wszystkiego, cokolwiek niemile czy brudne. Tymczasem na nic nie przydawały się jego wysiłki, jak zawsze odszyfrowywała go z miejsca. Cóż z tego, że się to odbywało bez słów, bez szczegółów?

Wystarczała wzajemna świadomość, że wiedzą i trapią się sobą.

Chyba jednak i on zaczynał odnosić pewne, niewielkie jeszcze zwycięstwa nad samym sobą. Tym razem nawet Janina przez parę pierwszych dni nie zauważyła zmiany w jego nastroju, nawet ją zmyliło tym razem odczucie. Przeżył to niewątpliwie, ten fakt otrzymania niewielkiego skrawka papieru, ale okazał się o wiele mniej ważny, niżby mógł być jeszcze przed paru zaledwie miesiącami. Możliwe także, że dopiero wypadek Janiny, dni i tygodnie straszliwego lęku o nią ukazały mu właściwą ocenę wartości. Jakże to

wypowiedzenie, całe kryjące się za nim świństwo Likowajskiego, było mizerne wobec ponownego odkrycia wielkiej wygranej, jaką stała się w jego życiu ta właśnie kobieta. I cóż mogło przyćmić szczęście, że znów ją odzyskał, ma obok siebie, czuje w każdej chwili jej tak mu potrzebną obecność?

W samym fakcie wypowiedzenia nie było nic zaskakującego. Postępująca reorganizacja biur projektowych Wybrzeża, wchodząca w ostatnią fazę, nie mogła obejść się bez formalnej procedury rozwiązania jednych umów, by w ich miejsce zawrzeć niedługo inne. Wszyscy pracownicy, niezależnie od funkcji i służbowego szczebla, otrzymali podobne wypowiedzenia, łącznie z Likowajskim i kierownikami poszczególnych pracowni. Beztrosko podpisał odbiór pisma, machinalnie rzucił na nie spojrzeniem, schował świstek do portfela. Dopiero później, gdy któraś ze zdenerwowanych kreślarek półgłosem zaczęła dukać tekst swojego świstka, zwrócił uwagę, że jest tam coś więcej niż na otrzymanym przez niego papierku. Bo u kreślarki po oznajmieniu trzymiesięcznego wypowiedzenia figurowało zdanie, że bez przerywania ciągłości pracy w tym jeszcze okresie podpisana zostanie nowa umowa o pracę w zrekonstruowanym już przedsiębiorstwie... U niego tej zapowiedzi nie było. Brakło jej także u paru innych osób, tych wszystkich, które miały z Likowajskim na pieńku. Odchodząc, załatwił osobiste rachunki.

Opanowało go poczucie goryczy. Na nic zatem nie zdały się osiągnięcia pracowni, zbiegło się ich przecież szczególnie wiele w ostatnim okresie, nie pomogła opinia ambitnego projektanta, trudno wliczać w rachunek jakieś drobne omyłki, zdarzały się one każdemu w nerwowym tempie ich pracy. Nadrzędna stała się opinia Likowajskiego, jego osobiste niechęci. Zetknęli się na korytarzu tego samego jeszcze dnia. Nie uklonił się dyrektorowi, pozwolił sobie na ten nietakt, na pewno szczeniacki. Nie tak należało wyrażać swoją pogardę. Likowajski jakby nie zauważył tej demonstracji, minął go obojętnie, tyle tylko że na wargach jego wykwitł uśmiezek złośliwej satysfakcji.

Potrafił ukryć po przed Janiną, sam jej przedstawił ten fakt dopiero po paru dniach, bagatelizując przy tym jego znaczenie. Nieco się zdziwił, gdy przytaknęła tej opinii. Pewnie, raz się wreszcie skończy epoka Likowajskiego, starć i nerwów, ciągłych zadrażnień. Można będzie spokojnie poszukać ciekawej i ambitniejszej roboty, nie trzeba się tylko śpieszyć, żyć mają z czego, ostatecznie można sobie pomagać pracami zleconymi, zawsze je przecież uzyska. Cały wysiłek należy teraz włożyć w projekt konkursowy, tu ich największa szansa. Nie w nagrodzie, nie w jakichś splendorach, gdyby mu się powiodło. Szansa po prostu dla nich samych, pogłębienie przeświadczenia, że można, wbrew wszystkiemu, iść własnymi drogami zamiast trzymać się łatwych, do znudzenia wydeptanych przez innych ścieżek.

Podświadomie czuł od szeregu dni, że będzie musiał dojść do takiego wniosku, ale ciągle go od siebie odsuwał. Karmił się naiwnymi złudzeniami szarpał się, troił w robocie, zatrzymywał chciał w miejscu galopujący teraz bardziej niż kiedykolwiek czas. Ze snu zrezygnował niemal zupełnie, kładł się na parę godzin dopiero w stanie ostatecznego znużenia, zrywał się na terkot budzika, nieważne, noc to była czy dzień, przecierał zaspane oczy, przemywał je zimną wodą spod kranu, znów się chwycił desperacko roboty. Nie było teraz zastojów, chwil niezdecydowania, mozołu poszukiwań, wszystko rysowało się jasno, poszczególne elementy współgrały ze sobą, składały się na harmonijną, oryginalną całość. Tyle że czasu przegonić nie sposób. Stany poprzedniego impasu, kilka tygodni wyrwanych na skutek choroby Janiny, wszystko to zsumowało się nagłym przybliżeniem godziny dwunastej. Musiały odpaść złudzenia, że jeszcze zdąży. Stało się pewne: nie ukończy na czas projektu, nie będzie mógł wysłać pracy na konkurs, nie przyjęliby jej w stanie nie wykończonym, sam zresztą nie zgodziłby się na to...

Wtedy nastąpił ten kryzys. Czemu wszakże nie o jeden dzień wcześniej czy później, a właśnie tego dnia, nie żadnego innego? Czyżby to jakiś wpływ miała tutaj zasłyszana rano nowina?

Inżynier Pielusz przyniósł wiadomość, że mianowany już został dyrektor nowego połączonego przedsiębiorstwa projektowego. Ktoś z Koszalina czy Kołobrzegu, takie dziwaczne nazwisko, zdaje się Pacuk, tak, Wiktor Pacuk, inżynier, młody jakoby, ale o silnej ręce, łatwo przy nim nie będzie, może jeszcze pożałują nieraz Likowajskiego...

Zaskoczyło go to. Z jednej strony ogarnęło go uczucie radości, że właśnie Wiktor przychodzi, na nic pójdą zamysły Likowajskiego, nie uda mu się wykończyć Zapińskiego, jak się w pewnym gronie podobno wyraził. Wiktor z całą pewnością zaangażuje go z miejsca, będzie można uzyskać szersze warunki działania, wreszcie postawić pracownię na poziomie własnych ambicji i nie znajdujących dotąd szans ujawnienia możliwości. Ale obok poczuł zadrę jakby zawiści, nowego zawodu. Nawet może nie to, życzył przecież zawsze i teraz Wiktorowi, by mu się wiodło najlepiej. Nie, to raczej pewien żal do siebie, że oto tylko jemu ciągle się nie udaje, zawsze wyrastają kłody pod nogami, zawsze lata ze skrupowanymi skrzydłami. Każdy obrywa od życia, mnoży sumę swoich doświadczeń, ale miewa także i okresy sukcesów, stające się jakby sumą wniosków wyciągniętych ze swoich przeżyć. On jeden nie może przekroczyć zakłętej jakiejś bariery, nie umie odnaleźć siebie w dziwacznym kręgu stosunków w tym kraju i drogim mu bardzo, i obcym zarazem, nie potrafi się jasno określić, wyznaczyć ostatecznie własnego miejsca. Czyżby trzeba było zdecydować się na rezygnację z jakiejś części własnych poglądów, wyrzec się w czymś swojego ja? Wielu tak

czyni, łatwiej im; dziwne też, nie czują potem żadnych wyrzutów sumienia. Ozy nadal brnąć z ładunkiem samemu sobie narzucanym na plecy, zarazem godząc się z tym, że nigdy nie dadzą ci warunków pełnego lotu, ciągle jak cień postępować będzie za tobą nieufność, złość czyjaś czy też zła wola, a ty będziesz czuł się straszliwie samotny z nigdy nie spełnionym pragnieniem. Co lepsze? Rezygnacja czy walka o własne widzenie świata, o własną może kiedyś na mego zgodę?

Dziwnie skołowany wracał do domu, tam zaś ze zdwojoną, żarliwością zabrał się do projektu. Popołudnie, wieczór, noc aż po świt tkwił to przy stole kreślarskim, to znów wracał za biurko, wszystko nieledwie biegiem, przy kawie łykanej w popłochu, przy papierosach przypalanych jeden od drugiego, byle prędzej, byle więcej wcielić w życie z tej swojej nie skończonej wizji. Pracując tak, miał zarazem świadomość, że projektem tym wybiegł poza dotychczasowe swe osiągnięcia, że tym razem naprawdę pokazał lwi pazur, odrodził znów dawny zapał, szczeniackie jeszcze nieomal zaangażowanie w architekturę, tak mocne przy pierwszej praktyce na gdańskiej Starówce.

Brzask przemienił się w świt, gdy znużenie narzuciło mu potrzebę krótkiej chwili spoczynku. Spojrzenie zatrzymało się chyba nieprzypadkowo na kalendarzu. Data na nim zaczęła nagle olbrzymieć, stawać się jakimś kpiącym wyzwaniem. Gwałtownie, w coraz wzmagającym się podenerwowaniu, zaczął obliczać, ile mu jeszcze czasu potrzeba dla ukończenia roboty. Dzień, trzy, tydzień, dwa tygodnie, co najmniej osiemnaście dni. Za osiem tymczasem upływa ostateczny termin składania prac konkursowych. Nie zdąży, żadną miarą nie skończy, choćby zaprzestał chodzić do biura, choćby przez cały ten czas zdobywał się na równy dzisiejszemu wysiłek. Przegrał konkurs, nim jeszcze do niego stanął. Zostanie mu tylko ta nie skończona realizacja, świadectwo wielkiego zrywu, będącego czymś więcej, znacznie więcej niż zwyczajnym projektem na rozpisany konkurs, stanowiącym jakąś deskę ratunku, wielką szansę odnalezienia siebie. I wszystko na nic, znów będzie szaro dokoła, będą Tycnerzy, Wojtyłowie, Maliccy, znajdzie się nowy garnitur Knapików z ich idiotycznymi willami, będzie nadal wódka na przyjęciach, a potem niezadowolenie, gorycz, narastający żal do całego świata. Znów los pokrzyżował mu plany, wszystko się na to złożyło, może najwięcej choroba Janiny.

Zachnął się. Czyżby pragnął zwałać winę na żonę, na nie zawiniony przez nią wypadek? Czyżby chciał po staremu szukać winnych gdzieś poza sobą, sam się rozgrzeszać z własnych słabości, z braku wytrwałości, z poprzednich przy tym samym projekcie tygodni zastoju, zwykłego lenistwa, niewiary w siebie? Gdyby zabrał się do projektu w porę, nie marnotrawił czasu, nie przeszkodziłaby w niczym choroba Janiny, projekt zostałby

ukończony w terminie, stałby się przedmiotem oceny, może wielkiej konkursowej wygranej. Teraz zostanie jedynie nowa garstka spopielonych złudzeń...

Trzech ich było, uważali go za swego przywódcę nie tylko z uwagi na dyscyplinę, ale właśnie ze względu na niego samego, na odwagę i umiejętność, i wolę walki. Tak jak Paweł wyolbrzymiać gotowi byli te jego cechy. Tak jak Wiktor walczyć o niego samego, wyolbrzymiając późniejsze słabości, by przez to wzbudzić w nim wolę odporu. Poprzez Tadzika przebojem rwie się jak gdyby Paweł przez życie, ucieleśnia się w swoim synu. Wiktor znów umie przetrwać sumę swoich i ojcowskich doświadczeń, także znajduje własną rację, określa cele swojego życia. On jeden tkwi nadal zbłąkany, skazany już chyba na szarpaninę z losem, który sumować się będzie wciąż beznadzieją...

Stał długo przed stołem kreślarskim, przyglądał się usianym obliczeniami kartkom papieru na biurku. Czuł przesycający go smutek, wraz z goryczą odradzanie się wszelkich niechęci do układu stosunków, który paraliżował jego wolę, hamował zapał, spychał w szamotaninę bez wyjścia. Pił potem koniak. Nie smakował, stawał się samą cierpkością. Janina? Nie, teraz nie byłaby tu jej obecność potrzebna. Po co ujawniać się przed nią z załamaniem, z potęgującą się z chwili na chwilę depresją? Nic przecież teraz nie potrafiłby ukryć, by nie mógł udawać.

Czarno-białymi konturami znaczyły się grafiki na ścianach. Te z Gdańska i tamte, wileńskie. Oto kościółek pod wezwaniem świętej Anny, a to podwórzec uniwersytecki. Gdyby go stamtąd nie wyrwano, nie byłoby tego wszystkiego, tego klimatu, w którym krąży jak zagubiony we mgle, tych trosk i stanów depresji. Tam w pełni zostawałby sobą, miałby wszelkie warunki rozwoju, nie znałby hamulców marzeń ani oporów w ich ucieleśnianiu.

Ocknął się z tych rozmyślań jak z męczącego snu. Sobą? To znaczy kim? Jakże gwarancja, że i tam, w Wilnie, nie zaznawałby podobnych stanów, że i tam nie szukałby usprawiedliwienia poprzez zrzucanie winy na innych, ma ustrój taki lub owaki, na system, na złą koniunkturę dla prawych ludzi? Jakież mizerny, dziecinny kaliber wyrzutów, szukanie najtańszych usprawiedliwień. Nawet ta z nagłą wzbudzona tęsknota do Wilna stała się niepoważna. Tęsknić też trzeba umieć, w tęsknocie także należy zachować godność. A on? Gdzież już nie szuka usprawiedliwień, wyjaśnień spraw, które naprawdę tkwią tylko w nim samym. Tylko w nim samym, w nikim i w niczym więcej.

Byłe jak ciśnięte w szufladę wykresy, szkice i obliczenia, niedbale zwinięte rulony kalki, wszystko to znów wychynęło pewnego dnia na wierzch.

Wyglądał pomięte arkusze, wyprostowywał załamania, ciekawie, trochę jakby nie swojemu własnemu dziełu przypatrywał się tym widomym śladom wysiłku rozumu i

wyobraźni. Dawno upłynął termin składania prac konkursowych, lada dzień powinny się ukazać pierwsze, ogólnie tylko informujące komunikaty. Nie będzie nawet po co do nich zaglądać, nie znajdzie tam swojego godła. Może dopiero po ogłoszeniu wyników zechce porównać, przymierzyć nagrodzony projekt do czerniejącej gmatwaniną linii własnej koncepcji.

Już nie boli ta sprawa, minął wstrząs pierwszej reakcji, gorzyc nowego rozczarowania. Jest tylko smutno, takim łagodnym, już niebolesnym smutkiem.

Machinalnie wziął ołówek do ręki, poprawił jakiś szczegół, zastanowiło go coś w obliczeniach, musiała tam tkwić omyłka, poszedł w ruch suwak i tablice do przeliczeń statycznych. Równie nieoczekiwanie zawędrowała kalka na deskę kreślarską, pineski przypięły ją mocno do blatu...

.Skrzyp drzwi, cichy krok Janiny. Zwracał w jej stronę jeszcze zapatrzony gdzieś daleko spojrzenie, nasycone tamtymi wymarzonymi kształtami, urzeczony wylaniającą się symetrią brył... Przytomniejąc przydawał własne zaskoczenie jej wyraźnemu zdumieniu. Czyż naprawdę spędził aż tyle godzin przy pracy nad dawno odrzuconym, niepotrzebnym projektem? Znalazł na to ochotę, zapomniał o depresji chwili, w której się spostrzegł, że nie wygra wyścigu z czasem?

Nie wiedział, kiedy Janina znalazła się w jego ramionach. Tulił ją, całował, trwali tak obok siebie, bez słów jakby zasłuchani w narastające w nich obydwójgu uczucie wielkiego spokoju. Na policzku odczuł coś wilgotnego. Łagodnie odsunął twarz żony od siebie. Niebieskie oczy przesłoniły się łzami.

- Płaczesz, Ninuś?

- Cieszę się, Tadek, tak bardzo się cieszę...

I znów to długie, tak bardzo wymowne milczenie. Znacznie później powiedział z melancholijnym uśmiechem:

- Mam zamiar skończyć ten projekt. Nieważne, że się na nic nie przyda, będę go miał dla siebie. Jako świadectwo, jako wspomnienie, jedno chyba z ważniejszych.

Przytwierdziła skinieniem głowy, a potem wyszła równie cicho, jak się tutaj wsunęła.

Długo patrzył na drzwi, które się za nią zamknęły. Nie wrócił już więcej tej nocy do nie dokończonego projektu. Wystarczała świadomość, że nieraz jeszcze będzie powracał bez pośpiechu już, na spokojnie, by tym pełniej wzywać się w każdy szczegół, pasjonować się każdą płaszczyzną, widzieć w sobie skończoną, zaskakującą świeżością całość... Janina odeszła, ale tkwi w aurze pokoju jej ciągle żywa obecność. Jakże się zrozumieli dzisiaj w radości swojego wspólnego zwycięstwa, jak imać trzeba było słów, aby podkreślić ich stan

wewnętrzny. Umieli wspólnie odczuwać, dzielić się własnymi myślami. To zawsze znaczy tak bardzo wiele, szczególnie zaś w momentach próby. Bezcenną staje się wtedy świadomość istnienia obok drugiego, czującego człowieka, do którego zawsze można się uciec...

Tamto wszystko zdarzyło się tak właściwie niedawno, parę zaledwie tygodni temu. Zarazem jednak od tych doświadczeń dzieli ich bardzo wiele czasu, tyle że mierzonego w innych kryteriach, obcych kalendarzowym. Wtedy czuł w sobie przedsmak klęski. Zachwiały się wszystkie zasady, zagubiły jakiegokolwiek proporcje, narosło poczucie gorzkiego osamotnienia. Nie znajdował w sobie ochoty do walki, gorzej, bo nie odczuwał jej potrzeby. Przypominał sam sobie liść jesienny, rzucony na strony za byle podmuchem.

Tak dawno i niedawno zarazem. Dzisiaj Janina zdaje się zapominać o swoim wypadku, jest taka jak dawniej, ale zarazem inna, jakby spokojniejsza i głębsza, dojrzała. On znowuż bez oporów mógł zasiąść dzisiaj nad nie wykończonym projektem, znów sam niby jak dawniej, jak wtedy, ale zarazem też świadom odczucia, że coś się w nim przesiliło, jakby przeżyty kryzys zezwolił mu na dostrzeżenie nowych, przedtem lekceważonych wartości.

Osobliwie wszystko się odmieniło. Kiedyś przez całe lata uciekał od gdańskiej Starówki, by odgrzebywaniem wspomnień z nią związanych nie budzić w sobie wyrzutów, nie mnożyć pretensji i żalów. Bał się zetknąć z przeszłością, istniał wszakże kompleks Pawłowego pogrzebu, było wzdraganie przed lekturą pamiętnika, który stał się jakby pamiętnikiem ich wszystkich. Szukał różnic, nie spójni z Wiktorem, także w imię tych samych lęków. Przerażała go każda konfrontacja z sobą samym sprzed lat. Dzisiaj i to już wygląda naiwnie, tamte obawy i dziwne zahamowania. Wbrew swoim wzdraganiom musiał raz jeszcze przemierzyć drogę dalekich lat, na nowo przeważyć wszystko na delikatnej szali, nie sumienia chyba, to frazes, po prostu zwykłej ludzkiej godności.

Kiedyż to było? Przedwczoraj. Pierwszy wspólny z Janiną wyjazd. Na ich Żuławy. Jeszcze tkwiły w niej resztki samochodowej obsesji, dłonie miała wilgotne, niepokój rozszerzał chwilami źrenice. Potem i to minęło, przeszłość także przełamała się w niej, stając się zapomnieniem. Bardzo spokojnie prowadził maszynę, nie wyciągał wielkich szybkości. Dla Janiny to czynił, ale również dla siebie samego. Nie gonila go zwykła nerwowość, nie potrzebował pędu dla uspokojenia miotającej nim gwałtowności. Utwierdzał teraz w sobie tak dawno nie zaznaną ciszę. Wiedział już, nie była to cisza wewnętrzna, płynąca, z rezygnacji z apatii, poddania się, wyłącznie z walki. Rysowały się przed nim nadal bunty i ostre konflikty czekał na pewno trud niejednego poszukiwania i nie spełnionych pragnień. Inna tylko była świadomość ich wagi, nieodłączności od każdego pełnego życia.

Przystanęli na starym miejscu, Judek zaraz popędził na zakrzewioną łąkę, wyzywając się tam w donośnych pokrzykach. Siedzieli na skraju rowu, trawa syciła wzrok soczystością zieleni, powietrze wibrowało leciutko.

Myślał o spokoju zrodzonym w nim jakby na przekór ostatnim doświadczeniom. Czy to przesilenie posunęło go o jakiś krok dalej, czy znów zacznie się cofać przy byle impasie? To pewne, że nieodłączne jest od niego szukanie, niedosyt, nadzieje i gorycze. Każdy kroczy chyba podobną drogą. Tadzik odnalazł na niej własny swój szlak, pędzi nim, może nawet nie wiedząc, ile ma jeszcze przed sobą. Wiktor również nieustannie zмага się w swojej wędrówce. Ale i on też, razem z nimi, kulejąc, wlecze się jakoś w tym samym kierunku. Żaden z nich nie osiągnie pełnego celu, cel ten przed nimi wszystkimi jest bardzo, bardzo jeszcze daleki, ale gdzieś na horyzoncie niebo jakby zaczynało się już przejaśniać. Sprawa jedynie w tym jak każdy z nich będzie przebywał tę wspólną drogę, komu pisane na niej więcej poszukiwań i łamań, zawodów i goryczy, komu zaś więcej nadziei.

Pisałem w latach 1962-1963

Posłowie

1. Jedną ze swych najwybitniejszych powieści - *Wrastanie* - pisał Eugeniusz Paukšta w latach 1962 - 1963, a więc w latach dla polskiej, prozy szczególnych. W polskim życiu literackim jeszcze trwały dyskusje nad zadaniem i obowiązkami literatury wobec głównych problematów najnowszej historii, a choć już nie miały tak wysokiej temperatury jak w latach poprzedzających oraz następujących po październikowym przełomie, to ciągle jeszcze nie słabły, ogarniając swym zasięgiem coraz to nowe przestrzenie doświadczeń zbiorowości narodowej.

Przez polską publicystykę przetoczyła się już wielka dyskusja o sprawach akowskich oraz o kompleksach i urazach generacji „wykiszkowanej” - jak pisał Bohdan Czeszko - przez historię. Wielka powieść Romana Bratnego - *Kolumbowie* przedstawiła czyn i los pokolenia, które swe wybory i swą wierność przypłaciło niemałymi ofiarami i wielkimi rozczarowaniami. Literatura i publicystyka ujawniała całe pokłady emocjonalnych i intelektualnych doświadczeń ludzi, którzy swój pokoleniowy romantyzm i swe generacyjne męczeństwo, dramat poszukiwania nowych form społecznej aktywności okupili światopoglądowymi rozdarciami, niesprawiedliwymi osądami swych zaangażowań oraz boleśnie przeżywaną nieufnością wobec ich decyzji politycznych. Popaździernikowe dyskusje o tragicznej generacji ujawniały wiele miejsc pustych w narodowej pamięci, rozbrajały gorycz i poczucie rozminięcia się z historią, przedstawiały cnoty i niezawinione winy młodych Polaków, których historia uwikłała w niezwykle złożone sytuacje polityczne, moralne i światopoglądowe.

W prozie Romana Bratnego, Zbigniewa Safjana (szczególnie ważny dyptyk *Zanim przemówią*, 1961 oraz *Potem nastąpi cisza*, 1963), Wojciecha Żukrowskiego (*Skapani w ogniu*, 1961), Bohdana Czeszki (np. opowiadania *Kłopoty władzy*, *Bal u weteranów*, powieść *Tren*, 1961), Wacława Bilińskiego, Wiesława Jażdżyńskiego i innych znalazły odzwierciedlenie starcia przeciwstawnych racji, odmiennych postaw politycznych i moralnych, jakościowo innych wyobrażeń o społecznym i ustrojowym kształcie Polski, która miała powstać po zakończeniu walk z hitleryzmem. Literatura ujawniała bezkompromisowo różnice przekonań i wyobrażeń o pożądanym rozwoju sytuacji w kraju, jakie dzieliły wojenną generację, oraz prowadziła dyskusję o wartościach wyniesionych z wojny. Ujawniała krzywdy i wartościowała doświadczenia niekiedy bardzo bolesne i negatywnie ważące na społecznej pamięci. Dążyła do oddania sprawiedliwości tym, którzy walczyli z okupantem niezależnie od programowych różnic politycznych, oddzielających niekiedy dychotomicznie

programy społeczno-polityczne ugrupowań politycznych organizujących krajowe związki walki zbrojnej. Wojna bowiem nie sprzyjała wewnętrznej konsolidacji pokolenia. Niestety stawiała ludzi obok siebie, a czasem i naprzeciwko sobie, budując wysokie mury niechęci i wzajemnych uprzedzeń.

Młoda polska rewolucja była niekiedy nad miarę ostrożna i z nieufnością odnosiła się do ludzi z odmiennym, najczęściej akowskim rodowodem podziemnym. Mnożyło to urazy i budowało nowe podziały, utrudniające „kolumbom” odnalezienie swego miejsca w wojsku oraz w cywilnym życiu społecznym. Pisali o tym Bratny i Safjan, Żukrowski i Biliński, a własną prawdę o szczególnie złożonych losach akowskiej młodzieży z Wileńszczyzny starał się wypowiedzieć również Eugeniusz Paukszta.

Było mu trudniej niż innym, którzy sprawy akowskie analizowali z perspektywy powstania warszawskiego lub walk partyzanckich prowadzonych na terenach między Wisłą a Bugiem. Jego osobiste doświadczenie wiązało go z Wilnem i konspiracją akowską na tamtejszych terenach. Jak skomplikowane i trudne były to sprawy oraz jak niełatwo przychodziło je wyrazić, dowodzi proza Tadeusza Konwickiego, by przypomnieć powieść *Z obleżonego miasta* (1956), ukazującą całą skalę dezorientacji pokolenia uwikłanego w sprawy [przekraczające jego skalę rozumienia, zdezorientowanego przez nieoczekiwany i niepodatny na proste kategoryzacje bieg wydarzeń historycznych, uwikłanego w walki bratobójcze i wchodzącego w dojrzałe życie zarówno z poczuciem osobistej klęski, jak i winy. Skomplikowane wydarzenia i gry polityczne postawiły akowską młodzież na drodze wyzwoleniczej Armii Czerwonej, a część z niej zepchnęły na pozycje czynnej walki o obalenie nowego porządku społeczno-politycznego na radzieckiej Litwie. Z perspektywy całkowitego zagubienia i zatracenia racjonalnych miar w osądzie zdarzeń historycznych przedstawił tę problematykę Tadeusz Konwicki w *Rojstach*, a obsesyjnie powraca ona w nie zamkniętych rozrachunkach *Sennika współczesnego*, *Wniebowstąpienia* i innych jego utworów, tworząc klimat zagubienia, obcości i nieprzydatności. Eugeniusz Paukszta ani chciał, ani mógł pominąć akowskie kwestie, które w niebogatych bagażach przewieźli na „ziemię odnalezionych przeznaczeń” repatrianci z Wileńszczyzny. Potęgowały one uczucie rozżalenia i osamotnienia wywołanego przemieszczeniem ze starych siedzib na nowe obszary istnienia, a w konfrontacji z polityczną nieufnością, jaką otaczano niedawnych akowskich konspiratorów i partyzantów, wywoływały postawy szczególnej apatii i nieufności wobec przemian socjalistycznych w Polsce oraz wobec nowego porządku społeczno-politycznego. Pisarz starał się wiernie oddać stan zagrożenia wewnętrznej integralności - doświadczeń ludzi, którzy w okresie wojny walczyli z okupantem, a w czasie po zwycięstwie byli

niejednokrotnie traktowani jako przeciwnicy polityczni przez krótkowzroczną i niesprawiedliwą politykę wewnętrzną. Identyfikowała ona bowiem szarych uczestników okupacyjnych wydarzeń z politycznymi grami ich przywódców, budowała wobec nich zastrzeżenia i ograniczenia, których oni nie potrafili zrozumieć i uznać jako możliwe do przyjęcia, bo w rzeczy samej nie mogły podleg jakiegokolwiek akceptacji i racjonalizacji pośród ludzi prostych i szczerych, jak Paweł i Wiktor.

Dlatego w powieści Eugeniusza Paukszty tyle zgorzknienia, zachwianego poczucia prawdy i dążenia do uczciwej oceny faktów politycznych i społecznych. Jego bohater - Paweł - podobnie jak Wiktor i Tadeusz bezustannie poszukują prawdy i zakorzenienia w historii, choć rozporządzają różnymi skalami samowiedzy o mechanizmach, które miały ich indywidualne losy i dotkliwie ich uciskają. Najbezwolniejszy z nich - Paweł - mówi o sobie: „Bo czemuż to ja dałem się zepchnąć na margines, stałem się popychadłem przypadków, wahadłem rozhuśtywanym przez innych”, i już nie zdoła przed śmiercią przedrzeć się poprzez „zły wybór, przekleństwo chłopskiego losu”, umrze jak współczesny Hiob, doświadczany bezustannie przez wszystkie możliwe plagi, jakie spaść na niego mogły i nieuchronnie spadły. Tylko czasem przychodzi na niego łaska spokoju i wzbiera „zachwiana już wiara w życie”.

W przeciwieństwie do niego Wiktor Pacuk zgodnie z lewicową, socjalistyczną tradycją rodzinną poszukiwać będzie swoich racji w obozie lewicy. Odsuwany, więziony, wyrzucany z partii skupia w swoim życiorysie bolesne doświadczenia „skąpanych w ogniu” oraz „kolumbów” poszukujących szansy aktywnego życia mimo przeszkód, jakie piętrzy przed nim niesprzyjająca mu i nieufna wobec niego rzeczywistość wojskowa, partyjna i zawodowa. Osiąga za cenę wielkich wyrzeczeń i bolesnych strat osobistych porozumienie z życiem i własne w nim miejsce. Nie traci wiary w sens socjalistycznych powołań społecznych i stara się ich w miarę swych możliwości dopełniać. Wielkim wysiłkiem wpisuje się w otwarte przed nim możliwości awansu i kariery zawodowej, staje się pełnym człowiekiem, jednym z „niespokojnych ludzi”, których losy tak bardzo interesują pisarzy szóstej dekady, by przypomnieć Jerzego Jesionowskiego, Władysława Machejka, Ryszarda Liskowackiego i innych.

Intelligencka kariera Tadeusza, architekta, przebiegała w sposób tylko do pewnego stopnia analogiczny: też z trudnościami, też z koniecznością przewyciężenia licznych oporów, jakie stawiała mu nie przyjazna rzeczywistość, ale w rzeczy samej bez dramatycznych powikłań, jakie stały się udziałem Pawła i Wiktora oraz starego Pacuka. Tadeusz osiąga awanse społeczne stosunkowo szybko i jakby kosztem mniejszych ofiar; ciekawy to wizerunek inteligenckiej kariery, jakby sugerujący, iż najgłębszy i najbardziej

porywisty nurt przemian przebiega wewnątrz klas podstawowych - wśród chłopów i robotników. Przedstawiciele bowiem tamtych warstw polityka doświadcza najsurowiej i najmocniej, dramatyzując ich losy wyjątkowo silnie i ostro. Ich też skazuje na wręcz nadzwyczajne wysiłki, ma wielkie ofiary, które wymusza na nich teraźniejszość w imię ich niejasnych zobowiązań wynikających z niedawnej historii, zobowiązując do spłacenia długów, których oni - są o tym głęboko przeświadczeni - nie zaciągnęli.

2. Powieść Eugeniusza Paukszty pisana była również w klimacie odnowionych wymogów, jakie krytyka, ale i praktyka literacka stawiać zaczęły przed prozą tzw. zachodniego tematu. Kolejne zjazdy pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych, jakie odbywały się w Dusznikach, Świerklańcu, we Wrocławiu i Opolu z jednej strony fundowały szczególne zapotrzebowanie na powieść o problematyce osadniczej i integracyjnej, ale jednocześnie dokonywały wcale surowych rozrachunków z dotychczasową praktyką pisarską. Zwykła deskrypcja i fabularyzowanie głównych procesów socjologicznych, jakie przebiegały na Nadodrzu, na Pomorzu, Warmii i Mazurach krytyce już nie wystarczały. Oczekiwano dzieła epickiego i wedle obyczaju krytycznego tamtej epoki niecierpliwie przynaglano pisarzy, aby znaleźli dla historycznej formuły powrotu Polski nad Odrę - Nysę i Bałtyk odpowiednio wysoką formę, najlepiej epicką, dokumentującą wielkość procesów, które się dokonały i które przez dłuższy czas zaprzętały uwagę całego narodu. Oczekiwano również wyjścia poza zakłete progi literatury dydaktyzującej, ułatwiającej czytelnikowi samoidentyfikację z bohaterem poprzez wyposażanie fabuły w kody oddziaływające na emocje odbiorcy, na jego przekonania o świecie zewnętrznym przy pomocy wzorców, stereotypów i schematów właściwych dla dekalogu współczesnej literatury masowej. Po prostu oczekiwano na wielką powieść o problemach osadniczych i o cudzie formowania się nowej zachodniej społeczności polskiej.

Krytyka z uwagą przypatrywała się twórczości Henryka Worcella, Katarzyny Suchodolskiej, Ryszarda Liskowackiego, Romualda Cabaja, Jana Brzozy, Wandy Pawlik, Juliana Znamierowskiego, Leszka Proroka i wielu innych, którzy podejmowali temat zachodni traktowany wówczas jako społeczne i obywatelskie zobowiązanie, poszukując pełnowymiarowego dzieła na miarę oczekiwań i potrzeb. Znaczeniu bowiem, jakie nadano ruchowi literackiemu na Ziemiach Zachodnich i Północnych, powinno - postulowano - odpowiadać dzieło o realistycznych ambicjach sprostania wielkości procesów, jakie stały się udziałem zachodniej i północnej polskiej społeczności. Wysoko oceniano w związku z tym prozatorskie miniatury Henryka Worcella, prozę Heleny Dowgielewicz, Zygmunta Trziszki, Katarzyny Suchodolskiej i Leszka Proroka, ale nadzieją był przede wszystkim Eugeniusz

Paukszta, w którego pisarstwie od wydania *Zatoki żarłocznego szczupaka* (1957) a przede wszystkim *Pogranicza* (1961), zbeletryzowanego reportażu z trudnych dziejów babimojskich wsi polskich, dostrzegano szybko dziejące się zmiany, oddalające jego książki od standardów właściwych prozie popularnej. Jego bohaterowie już nie umożliwiali prostej identyfikacji odbiorcy ze sobą, już nie byli nosicielami określonych ras, a właściwie znakami postaci, ale zaczęli przynosić w swych osobistych dziejach trudne pytania i trudne problemy.

Już *Ziemia Jana Brzozy* (wydana w 1956 roku) przywołała odmienny od dawnych plakatowych obrazów wizerunek wielkiego ruchu repatriacyjnego oraz inaczej niż tylko w optymistycznych tonacjach ukazywała „trud ziemi nowej” oraz kulturowe zderzenia różnych grup osadniczych ze społeczną i cywilizacyjną rzeczywistością nowoodzyskanych ziem. Henryk Worcell w znakomitych miniaturach nowelistycznych z tomu *Widzę stąd Sudety* (1959) oraz w opowiadaniach zgromadzonych w tomie *Parafianie* stworzył realistyczny dokument pierwszych dni osadniczych ze znakomicie podchwyconych i zapamiętanych szczegółów obyczajowych i społecznych. Leszek Prorok w *Wyspiarzach* przedstawił trudne losy ludności autochtonicznej oraz jej osamotnienie w kulturze odrzucającej zjawiska graniczne i nieostro się wyróżniające. Codziennosc ziem zachodnich ukazywała proza Krystyny Suchodolskiej, Anny Kowalskiej, Zygmunta Trziszki i innych, ale ciągle nie było wielkiej i ambitnej powieści repatriacyjnej..

Eugeniusz Paukszta był do jej napisania w sposób szczególny przygotowany. Jak mało kto znał problematykę społeczno-obyczajową zachodnich obszarów polskich i jak mało kto silnie identyfikował się z przemianami społecznymi, które tam zachodziły. Szeroką wiedzę o „wszystkich barwach codzienności” zachodniej bezustannie potwierdzał w pisarstwie najzupełniej świadomie zakładającym „prawdziwość” i „wierność odtworzenia” rzeczywistości obiektywnej przy udziale fikcji literackiej, respektującej wymóg maksymalnego uszczegółowienia świata przedstawionego, tak aby wyglądy przedstawieniowe były jak najbardziej zbliżone do wyglądu postrzeganej analogicznej rzeczywistości obiektywnej. Realistyczne pisarstwo Paukszty pragnęło równocześnie być nie tylko werystyczne wobec rzeczywistości, ale również reprezentatywne wobec jej struktury. To znaczy miało ukazywać zasadnicze cechy, składniki i stosunki zachodzące w tej rzeczywistości. Od tej strony rozpatrywane *Wrastanie* reprezentuje typ wiarygodności wobec rzeczywistości społecznej właściwy kronice lub publicystycznej rozprawie, i z pamięcią o tym powinien czytelnik czytać tekst, ufając dokładności i prawdomówności pisarza, który rekonstruuje miniony czas w jego zasadniczych etapach, ukazując jego wpływ na losy, postawy i zachowania swoich bohaterów. Prawdziwe jest tu właściwie wszystko: i sprawy

osadnicze, i trudności gospodarcze, i entuzjazm ludzki, i małość politycznych rozwiązań, które krępowały lub hamowały aktywność społeczno-gospodarczą powojennych lat, i nadużycia władzy, np. związane z uspołdzielczaniem wsi (Gryfice), i właściwie wszystko, czego byśmy się nie tknęli.

Realizm Eugeniusza Paukszty posiada również pewne ambicje formatywne; chodzi w nim mię tylko o realizację poznawczego programu sztuki realistycznej, ale również o wydobyć z rzeczywistości pierwiastków typowych, stanowiących o istocie przemian społecznych czy przemian moralno-obyczajowych, dziejących się w planie przeżyć zbiorowości lub charakterystycznej biografii indywidualnej. Jednocześnie - zauważmy - ambicją pisarza jest upowszechnienie i udokumentowanie pewnej wiedzy o rzeczywistości, uczynienie jej własnością jak najszerszej rzeszy odbiorców, i dlatego też jego proza nie jest nastawiona na poszukiwanie treści uniwersalnych, ale na taki opis rzeczywistości, który chwyciłby proces rodzenia się postaw wzorcowych, sytuacji typowych, rozwiązań modelowych.

3. *Wrastanie* w porównaniu z wcześniejszymi powieściami Eugeniusza Paukszty jest próbą kompozycji mającej nie tylko werystyczne ambicje w odniesieniu do obiektywnej rzeczywistości społecznej, ale rozciągającej je również na płaszczyzny światopoglądowe, polityczne, ekonomiczne itd. określające sferę głównych przeżyć bohaterów. Powieść jest zatem przykładem stworzenia realistycznej rzeczywistości obiektywnej we wszystkich jej aspektach - jest konsekwentnie werystyczna, jak były werystyczne w globalny sposób wielkie utwory europejskiego realizmu od Defoego i Lessage'a do Martina du Gard'a i Dąbrowskiej.

Narrator *Wrastania* przyjmuje wobec świata postawę ekstraspekcyjną i stara się stworzyć mimetyczny obraz ludzkiej rzeczywistości, odtwarzając losy głównych bohaterów: Pawła, Wiktora i Tadeusza. Łączy ich wspólne pochodzenie - krajem rodzinnym była dla nich Wileńszczyzna oraz inna wyższa wspólnota, określone ideowym specyficznym zabarwieniem przeżycie okupacji w szeregach akowskiej konspiracji. Trzej bohaterowie pochodzą z trzech różnych klas i warstw społecznych: Paweł jest chłopem, Wiktor pochodzi z rodziny robotniczej, Tadeusz wychował się w rodzinie inteligenckiej. Łączy ich akowska przeszłość, repatriacja, trudne, ale odmienne sposoby wchodzenia w powojenną rzeczywistość. Tak pomyślana kompozycja powieści ułatwiła Paukszcie wypełnienie podstawowego zadania pisarza realisty: zachowanie werystycznego stosunku do rzeczywistości, której główne tendencje rozwojowe - jak pisaliśmy - chciał ukazać w losach głównych postaci.

Wrastanie jest powieścią o bogatej warstwie sensów, ale równocześnie dość jednoznaczną w ostatecznej propozycji ideowej: bohaterowie osiągnęli w niełatwy sposób

porozumienie ze światem, zaczynają żyć w nim w harmonii, we współpracy. Życie jest bowiem dla pisarza materia, którą można oswoić, uczynić bliską i przydatną człowiekowi. Rzeczywistość społeczną i polityczną można duchowo zagospodarować, odnaleźć w niej miejsce własne, odrębne, choć tę osobność trzeba okupić niemałą ilością wyrzeczeń, rezygnacją z łatwego życia, ze stabilizacyjnych udogodnień. Była więc ta powieść manifestacją światopoglądu aktywistycznego, obywatelskiego, przeciwstawieniem się paseizmowi i kompromisowym rozwiązaniom życiowym, uzyskiwanym za cenę rezygnacji z własnej wewnętrznej prawdy.

4. *Wrastanie* jest powieścią dokumentem, wiele mówiącym o atmosferze tamtych lat, o problemach i sprawach, jakimi żyło wówczas społeczeństwo polskie po drugiej wojnie światowej, odzwierciedla klimat tamtych lat, tworzący się wówczas system pojęć i wartości. *Wrastanie* przeciwstawia swój niełatwy, trudny świat wcześniejszym powieściom Paukszty i wielu wcześniejszym utworom literackim je wyprzedzającym. A jednocześnie jest to powieść o autonomicznych wartościach literackich, funkcjonująca jakby w opozycji do utworów, które - w pisarstwie Paukszty znajdziemy ich niemało - stanowiły przede wszystkim przekąźniki treści pozaliterackich lub ich literackość podporządkowana była zadaniom służebnym. *Wrastanie* było próbą artyzmu.

Witold Nawrocki